

JAMES S. A. COREY



8

EXPANSE

GNIEW TIAMAT

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog. Holden

Rozdział pierwszy. Elvi

Rozdział drugi. Naomi

Rozdział trzeci. Aleks

Rozdział czwarty. Teresa

Rozdział piąty. Elvi

Rozdział szósty. Aleks

Rozdział siódmy. Bobbie

Rozdział ósmy. Naomi

Rozdział dziewiąty. Teresa

Rozdział dziesiąty. Elvi

Rozdział jedenasty. Aleks

Rozdział dwunasty. Bobbie

Rozdział trzynasty. Naomi

Rozdział czternasty. Teresa

Rozdział piętnasty. Naomi

Rozdział szesnasty. Elvi

Rozdział siedemnasty. Aleks

Rozdział osiemnasty. Naomi

Rozdział dziewiętnasty. Elvi

Rozdział dwudziesty. Teresa
Rozdział dwudziesty pierwszy. Elvi
Rozdział dwudziesty drugi. Teresa
Rozdział dwudziesty trzeci. Naomi
Rozdział dwudziesty czwarty. Bobbie
Interludium. Tańczący niedźwiedź
Rozdział dwudziesty piąty. Naomi
Rozdział dwudziesty szósty. Elvi
Rozdział dwudziesty siódmy. Teresa
Rozdział dwudziesty ósmy. Naomi
Rozdział dwudziesty dziewiąty. Elvi
Rozdział trzydziesty. Bobbie
Rozdział trzydziesty pierwszy. Teresa
Rozdział trzydziesty drugi. Bobbie
Rozdział trzydziesty trzeci. Aleks
Rozdział trzydziesty czwarty. Elvi
Rozdział trzydziesty piąty. Naomi
Rozdział trzydziesty szósty. Teresa
Rozdział trzydziesty siódmy. Aleks
Rozdział trzydziesty ósmy. Naomi
Rozdział trzydziesty dziewiąty. Elvi
Rozdział czterdziesty. Teresa
Rozdział czterdziesty pierwszy. Naomi
Rozdział czterdziesty drugi. Aleks

Rozdział czterdziesty trzeci. Elvi
Rozdział czterdziesty czwarty. Naomi
Rozdział czterdziesty piąty. Teresa
Rozdział czterdziesty szósty. Elvi
Rozdział czterdziesty siódmy. Naomi
Rozdział czterdziesty ósmy. Teresa
Rozdział czterdziesty dziewiąty. Naomi
Rozdział pięćdziesiąty. Elvi
Epilog. Holden
Podziękowania
O autorze

8

EXPANSE

JAMES S. A. COREY

G N I E W
T I A M A T

PRZEŁOŻYŁ MAREK PAWELEC

WYDAWNICTWO MAG

WARSZAWA 2020

Tytuł oryginału: *Tiamat's Wrath: Book 8 of the Expanse*

Copyright © 2019 by James S. A. Corey

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Elwira Wyszynska

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Cieśliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-66409-65-1

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 50 10

www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej:

pan@drewnianyrower.com

*Dla George'a R. R. Martina –
dobrego mentora, lepszego przyjaciela*

Prolog

Holden

Chrisjen Avasarala nie żyje.

Cztery miesiące temu zmarła we śnie na Lunie. Po długim, pełnym życiu i krótkiej chorobie zostawiła ludzkość bardzo odmienną od tej, jaką zastała. Wiadomości miały od dawna nagrane klepsydry i wspominki, gotowe do wyemitowania na wszystkie tysiąc trzysta układów odziedziczonych przez ludzkość. Paski na ekranach i nagłówki były pełne hiperboli: *Ostatnia królowa Ziemi, Śmierć tyranki* czy *Ostatnie pożegnanie Avasarali*.

Niezależnie od ich treści wszystkie mocno dotykały Holdena. Nie potrafił sobie wyobrazić świata, który nie będzie się ugiął przed wolą staruszki. Nawet gdy na Lakonię dotarły potwierdzenia raportów, Holden wciąż gdzieś w głębi duszy wierzył, że ona jednak jeszcze żyje, złoszcząc się i klnąc, wbrew wszelkim ograniczeniom siłą woli próbując nagiąć historię, by choć o ułamek stopnia oddalić ją od potworności. Zanim pozwolił sobie w to uwierzyć, minął prawie miesiąc od chwili, gdy pierwszy raz usłyszał tę wiadomość. Chrisjen Avasarala nie żyje.

Ale to nie oznaczało jej końca.

Zanim interweniował Duarte, jej państwowy pogrzeb zaplanowano na Ziemi. Czas rządów Avasarali jako sekretarz generalnej Organizacji Narodów Zjednoczonych był kluczowym okresem historii i jej zasługi – nie tylko dla swej planety, ale i całej ludzkości – sprawiły, że zasłużyła sobie na honorowe miejsce

w dziejach, które nigdy nie zostanie zapomniane. Wysoki konsul Lakonii uznał za właściwe, by jej doczesne szczątki spoczęły w samym sercu nowego imperium. Pogrzeb odbędzie się w Budynku Rządowym. Zostanie wzniesiony monument na jej cześć, by nigdy nie została zapomniana.

Przemilczano ten kawałek, w której Duarte był współwinny niezwyklej rzezi na Ziemi, stanowiącej podstawę kariery Avasarali. Historię jak zwykle spisywali zwycięzcy. Holden był prawie pewien, że choć wzmianki o tym nie pojawiły się w komunikatach prasowych i kanałach informacyjnych, wszyscy pamiętają, że w tamtych czasach stała z Duartem po przeciwnych stronach barykady. A jeśli nawet nikt inny nie pamiętał, to on tak.

Mauzoleum – jej mauzoleum, ponieważ jeszcze nie było nikogo o równie wielkich zasługach, by je z nią dzielić – wzniesiono z białego kamienia wypolerowanego z mikronową precyzją. Ceremonię zakończono, wielkie drzwi zamknięto. Centralny panel północnej ściany struktury wypełniał portret Avasarali. Wytrawiono go w kamieniu z datami urodzin i śmierci oraz kilkoma wersami nieznanego mu wiersza. Setki krzeseł ustawionych wokół podium, z którego przemawiał kapłan, były już w połowie puste. Ludzie przybyli tu z całego imperium, a teraz, skoro już się tu znaleźli, przeważnie zebrali się w grupki z osobami, które znali. Trawa rosnąca wokół krypty nie była podobna do tej na Ziemi, ale wypełniała tę samą niszę ekologiczną i zachowywała się na tyle podobnie, by nazywali ją trawą. Powiewy wiatru były ciepłe. Mając pałac za plecami, Holden pomyślał, że może odmaszerować w dzikie rejony za terenem pałacu i odejść, dokąd tylko zechce.

Miał na sobie ubranie o kroju lakońskiego munduru wojskowego, niebieskie z rozłożonymi skrzydłami wybranymi przez Duarte'go na imperialny herb. Kołnierz był wysoki i sztywny, drapał mu skórę z boku szyi. Miejsce na insygnia stopnia zostało puste, co najwyraźniej było symbolem szanowanego więźnia.

– Uda się pan na przyjęcie, sir? – zapytał gwardzista.

Holdena zaciekawiło, jak wyglądało drzewko eskalacji na wypadek odmowy. Gdyby uznał, że jest wolnym człowiekiem

i odmówił gościnności pałacu. Niezależnie od procedur nie miał wątpliwości, że zostały spisane i przeciwiczone, a jemu wcale by się nie podobały.

– Za chwilę – odpowiedział. – Chciałem tylko... – Machnął ręką w stronę grobowca, jakby nieuchronność śmierci była czymś w rodzaju uniwersalnej przepustki. Przypomnieniem, że wszelka ludzka władza jest tymczasowa.

– Oczywiście, sir – odparł gwardzista i ukrył się w tłumie.

Choć Holden nie miał wrażeń, że jest wolnym człowiekiem. „Dyskretnie ograniczany” to najlepsze, na co mógł liczyć.

Na podłodze mauzoleum stała kobieta i patrzyła w górę na portret Avasarali. Miała na sobie jaskrawoniebieskie sari o barwie na tyle zbliżonej do kolorów Lakonii, by świadczyła o uprzejmości, a równocześnie dostatecznie różnej, by jednoznacznie zakomunikowała jej nieszczerść. Choć nie wyglądała podobnie do babki, jednoznacznie identyfikowało ją emanujące z niej równocześnie subtelne i oczywiste „pierdol się”. Holden podszedł do niej.

Skórę miała ciemniejszą niż Avasarala, ale kiedy zerknęła na niego, kształt oczu i wąski uśmiech wyglądały znajomo.

– Bardzo mi przykro z powodu pani straty – odezwał się Holden.

– Dziękuję.

– Nie przedstawiono nas sobie. Jestem...

– James Holden – dokończyła kobieta. – Wiem, kim pan jest. Nani wspominała o panu.

– Ach. Cóż, musiało to brzmieć bardzo ciekawie. Nie zawsze patrzyła na świat w taki sposób, jak ja.

– Owszem, różniliście się. Jestem Kajri, ale ona mówiła na mnie Kiki.

– Była niezwykłą kobietą.

Przez dwa oddechy milczeli wspólnie. Powiew powietrza sprawił, że tkanina sari Kajri załopotiała jak flaga. Holden zamierzał się wycofać, gdy znów się odezwała.

– Nienawidziłaby tego – stwierdziła. – Zaciągnięta do obozu wrogów i wychwalana teraz, gdy nie może już ich ścisnąć za jaja.

Przechwycona, gdy tylko nie może się już opierać. W tej chwili, podłączając do niej turbinę, można by zasilić miasto, tak szybko obraca się w grobie.

Holden wydał z siebie cichy dźwięk, który można było uznać za zgodę.

Kajri wzruszyła ramionami.

– A może nie. Mogłaby to uznać za zabawne. Z nią nigdy nie byłam niczego pewna.

– Dużo jej zawdzięczam – rzucił Holden. – Nie zawsze zdawałem sobie wtedy z tego sprawę, ale robiła, co mogła, żeby mi pomóc. Nigdy nie miałem okazji jej podziękować, choć... Właściwie to miałem, ale z niej nie skorzystałem. Jeśli mógłbym coś zrobić dla pani albo rodziny...

– Nie wydaje się, by był pan na pozycji umożliwiającej wyświadczenie przysług, kapitanie Holden.

Holden obejrzał się na pałac.

– No tak, ostatnio nie jestem u szczytu formy. Ale i tak chciałem to powiedzieć.

– Doceniam pańskie dobre chęci – zapewniła Kajri. – I z tego co słyszałam, zdołał pan zdobyć pewne wpływy? Więzień z dostępem do ucha imperatora.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Owszem, dużo mówię, ale nie jestem pewien, czy ktoś tego słucha. Oczywiście poza ochroną. Zakładam, że słuchają wszystkiego.

Zaśmiała się i był to cieplejszy, bardziej współczujący dźwięk, niż się spodziewał.

– Nie jest łatwo, gdy nie ma się w życiu niczego tylko dla siebie. Dorastałam ze świadomością, że wszystko, co zrobię, będzie monitorowane, katalogowane, rejestrowane i oceniane pod kątem zagrożenia dla mnie i rodziny. Gdzieś w archiwach wywiadu są zapisy dat wszystkich moich okresów.

– Z jej powodu? – zapytał Holden, kiwając głową w stronę grobowca.

– Z jej powodu. Ale dała mi też narzędzia, żeby sobie z tym poradzić. Nauczyła nas używania wszystkich wstydlivych

elementów naszego życia jako broni do upokarzania ludzi, którzy chcieliby nas umniejszać. Wie pan, na tym polega tajemnica.

– Jaka tajemnica?

Kajri się uśmiechnęła.

– Ludzie z władzą nad panem też są słabi. Srają, krwawią i martwią się, że ich dzieci już ich nie kochają. Wstydzą się głupich rzeczy robionych w młodości, o których zapomnieli już wszyscy inni. I przez to są podatni na ataki. Wszyscy definiujemy się przez otaczających nas ludzi, bo tego typu małpami jesteśmy. Nie potrafimy wyjść poza te ograniczenia. Kiedy więc pana obserwują, przekazują też w pańskie ręce możliwość zmienienia tego, kim są.

– Ona tego panią nauczyła?

– Owszem – potwierdziła Kajri. – Choć wcale o tym nie wiedziała.

Jakby na dowód jej tezy, gwardzista ruszył ku nim po trawie, utrzymując pełen szacunku dystans do chwili, gdy się upewnił, że go zobaczyli, a potem dał im czas na dokończenie rozmowy, zanim podszedł bliżej. Kajri obróciła się do niego, unosząc brew.

– Przyjęcie rozpocznie się za dwadzieścia minut, proszę pani – poinformował gwardzista. – Wysoki konsul liczył na spotkanie z panią.

– Nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby go rozczarować – odpowiedziała z uśmiechem, który Holden widział już na innych wargach.

Zaoferował ramię, skorzystała z oferty. Gdy odchodzili, kiwnął głową w stronę grobowca i wyrytych na nim słów. JEŚLI ŻYCIE PRZEKROCZY ŚMIERĆ, ODSZUKAM CIĘ TAM. JEŚLI NIE, TO TAM TEŻ.

– To ciekawy cytat – powiedział. – Mam wrażenie, że powinienem go rozpoznać. Kto to napisał?

– Nie wiem – przyznała. – Ale powiedziała nam, żeby umieścić go na jej grobie. Nie wyjaśniła, skąd pochodził.

* * *

Na Lakonię przybyli wszyscy, którzy coś znaczyli. Było to prawdą na kilku poziomach. Plan Duarte'go polegający na przeniesieniu centrum ludzkości z układu Sol do serca swojego imperium trafił na poziom współpracy i poparcia, który z początku zaszokował Holdena, a potem wzbudził w nim trwałe, łagodne rozczarowanie ludzkością jako gatunkiem. Na Lakonię przeniosły swoje kwatery główne najbardziej prestiżowe instytuty badawcze. Cztery szkoły baletowe zrezygnowały ze stuleci rywalizacji, by dzielić wspólnie miejsce w Lakońskim Instytucie Sztuki. Celebryci i uczeni przepychali się do nowych, pałacowych i sponsorowanych przez państwo ośrodków w stolicy. Zaczynano tu już kręcić filmy. Miękką moc kultury na najwyższych obrotach, gotowej zalać sieci i kanały życzliwymi komunikatami o wysokim konsulu Duarte'cie i trwałości władzy Lakonii.

Przybywały też firmy. Duarte miał wybudowane banki i budynki biurowe czekające na najemców. Stowarzyszenie Światów nie sprowadzało się już tylko do Carrie Fisk w nędznym biurze na Medynie, zajmowało katedralną przestrzeń w samym środku stolicy z lobby większym od hangaru i ścianami ze szklanych mozaik, które wyglądały, jakby wznosiły się w nieskończoność. Były tam też główne władze Związku Transportowego, w skromniejszym budynku zajmującym mniejszą powierzchnię, dzięki czemu fizycznie i socjalnie widać było, kto jest faworyzowany, a kto traktowany z niechęcią. Holden przyglądał się temu wszystkiemu z Budynku Rządowego będącego jego domem i więzieniem, kojarzącym mu się z mieszkaniem na wyspie.

W granicach miasta Lakonia była czystsza, nowsza, jaśniejsza i bardziej kontrolowana niż większość stacji kosmicznych, które Holdenowi zdarzyło się odwiedzić. Tuż za miastem zaczynały się tereny tak dzikie, jakie widywał tylko na filmach. Starożytne lasy i ruiny obcych, na których zbadanie i oswojenie potrzeba będzie całych stuleci. Holden słyszał plotki i pogłoski o resztkowych technologiach, obudzonych do chwiejnego życia przez wczesne eksperymenty z protomolekułą: wierzące w ziemi robaki wielkości statków kosmicznych, podobne do psów drony naprawcze, którym

nie robiło różnicy, czy pracują z maszynami, czy ciałem, krystaliczne jaskinie z efektem piezoelektrycznym indukującym halucynacje, muzykę i obezwładniające zawroty głowy. Choć stolica stawała się synonimem całej ludzkości, to planeta, na której się znajdowała, pozostawała obca. Wyspa czegoś świetnie znajomego w morzu „jeszcze tego nie rozumiemy”. Na swój sposób pocieszająca była myśl, że Duarte, pomimo możliwości boga-imperatora, nie potrafił osiągnąć wszystkiego w ciągu zaledwie kilku dziesięcioleci.

Z drugiej strony było to przerażające.

Przyjęcie zorganizowano w wielkiej, ale nie przesadzonej sali. Jeśli Lakonię zbudowano na obraz Duartego, w duszy wysokiego konsula kryła się dziwna osobista powściągliwość. Niezależnie od tego, jak wspaniałe było miasto, jak przytłaczające były ambicje, kompleks pałacowy i dom Duartego nie były jarmarczne ani nawet szczególnie wyszukane. Salę balową wyznaczały proste linie i neutralna paleta barw sięgająca elegancji bez zbytniego przejmowania się czyimiś opiniami. Tu i ówdzie rozstawiono kanapy i krzesła, pozwalając gościom dowolnie je przesuwać. Młodzi ludzie w mundurach wojskowych roznosili kieliszki z winem i herbatę z przyprawami. Duarte potrafił sprawić, że wszystko, co go otaczało, wydawało się zrodzone nie tyle z potęgi, ile z pewności siebie. Sztuczka była bardzo dobra, bo choć Holden ją przejrzał, i tak działała.

Przyjął kieliszek wina od młodej kobiety i ruszył nieśpiesznie przez tłumek zebranych. Kilka osób rozpoznał od razu. Carrie Fisk ze Stowarzyszenia Światów, udzielającą audiencji przy długim stole, otoczoną gubernatorami licznych kolonii walczących o to, który z nich pierwszy zaśmieje się z jej żartu. Thorne Chao, twarz najpopularniejszego programu z wiadomościami z Bara Gaon. Emil-Michelle Li w długiej zielonej sukience, będącej jej znakiem szczególnym, gdy nie grała w filmie. Każdej rozpoznanej przez niego twarzy odpowiadało kilkanaście, które wyglądały znajomo.

Przemieszczał się przez cienką chmurkę socjalnych uprzejmości, uśmiechów i ukłonów, starannie ograniczających potencjalne zaangażowanie. Był tu, bo Duarte chciał, by go widziano, ale

diagram Venna osób, które chciały zaskarbić sobie przychylność wysokiego konsula, będąc równocześnie gotowymi na jego niezadowolenie z powodu zadawania się z najbardziej znanym więźniem stanu, nie miał wielkiej części wspólnej.

Choć coś się tam znalazło.

– Nie jestem na to dość pijana.

Prezes Związku Transportowego Camina Drummer opierała się o stół, trzymając kieliszek obiema dłońmi. Na żywo jej twarz wyglądała starzej. Zmarszczki wokół oczu i ust były wyraźniejsze, niż kiedy filmowała ją kamera, a on oglądał obraz na ekranie odległym o kilka miliardów kilometrów. Przesunęła się nieco, robiąc mu miejsce przy stole, a on przyjął zaproszenie.

– Nie jestem pewien, jak wygląda upicie się dostateczne na coś takiego – odezwał się. – Spicie się do nieprzytomności? Na bojowo? Popłakiwanie w kącie?

– Nie wydajesz się nawet wstawiony.

– Nie jestem. Ostatnio prawie nie pijam alkoholu.

– Zachowujesz przytomność umysłu?

– I źle mi działa na żołądek.

Drummer parsknęła śmiechem.

– Wypuścili szacownego więźnia pośród ludzi. Co może znaczyć, że nie jesteś już dla nich tak użyteczny. Wycisnęli z ciebie wszystkie soki?

Sposób, w jaki to powiedziała, mógł być przekomarzeniem się między starymi znajomymi, którzy razem stracili władzę i żyli w półmroku politycznej akceptacji, ale mogło to być też coś innego. Sposób na spytanie, czy został już zmuszony do zdradzenia podziemia na Medynie. Czy zdecydowali się go złamać. Drummer równie dobrze jak on wiedziała, kto słucha, nawet tutaj.

– Pomagałem, ile mogłem, w sprawie zagrożenia ze strony obcych. Zresztą gdyby zapytał mnie o cokolwiek innego, wszystkie moje odpowiedzi i tak byłyby już nieaktualne. Zakładam też, że jestem tutaj, bo Duarte uważa, że mu się przydam w tym miejscu.

– Element przedstawienia.

– Cyrku – poprawił Holden, a potem, widząc jej reakcję, dodał: – Mówiło się o cyrku.

– Jasne – zgodziła się.

– A co z tobą? Jak idzie demontaż Związku Transportowego?

Drummer błysnęła oczami i szerzej się uśmiechnęła. Odpowiedziała perfekcyjnym głosem dziennikarki wiadomości, pełnym energii, wyraźnym i sztucznym jak plastikowy owoc.

– Bardzo cieszę się z gładkiego przekazywania pełniejszego nadzoru lakońskim władzom oraz Stowarzyszeniu Światów. Skupiamy się na zachowaniu wszystkich starych praktyk, które sprawdziły się w działaniu, oraz usprawnieniu i integracji nowych procedur eliminujących zbędny balast. Zdołaliśmy utrzymać, a nawet poprawić skuteczność handlu bez narażania bezpieczeństwa, czego wymaga wielkie przeznaczenie ludzkości.

– Aż tak źle?

– Nie powinnam narzekać. Mogło być gorzej. Jak długo jestem grzeczną żołnierką i Duarte uważa, że mogę się przydać do wywabienia Saby, nie wyląduję w stodole.

Od głównego wejścia dobiegł szmer podniecenia i poruszenie zebranych. Uwaga w całej sali balowej zmieniła kierunek jak metalowe opiłki zwracające się do magnesu. Holden nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że przybył Winston Duarte, ale i tak to zrobił.

Mundur dyktatora wyglądał niemal tak samo, jak ten Holdena. Emanował od niego łagodny spokój, który towarzyszył mu w każdej sytuacji. Z drugiej strony jego ochrona rzucała się w oczy dużo bardziej niż ludzie zajmujący się pilnowaniem Holdena. Dwóch potężnych gwardzistów z pistoletami przy boku i oczami błyskającymi wszczepionym sprzętem. Wraz z nim przyszedł też Cortázar, ale trzymał się na uboczu, wyglądając trochę jak nastolatek odciągnięty na siłę od gry do rodzinnego obiadu. Faktyczna nastolatka – córka Duarte, Teresa – szła przy boku ojca jak cień.

Do Duarte pośpiesznie podeszła Carrie Fisk, porzucając swoją koterię, i uścisnęła mu rękę na powitanie. Rozmawiali chwilę, po czym Fisk zwróciła się do Teresy i uścisnęła również jej dłoń. Za

plecami Fisk zaczął się zbierać niewielki tłumek ludzi, starających się niezbyt nachalnie walczyć o możliwość spotkania z wielkim człowiekiem.

– Aż ciarki przechodzą na widok sukinsyna, prawda? – rzuciła Drummer.

Holden mruknął. Nie wiedział, o czym dokładnie mówiła. Może chodziło po prostu o to, jak wszyscy wokół niego zostali przeszkoleni do posłuszeństwa – to byłoby wystarczające wyjaśnienie. Ale może zobaczyła coś z tego, co widział w nim Holden: migotliwe przebłyski w oczach, perłowy cień pod skórą. Holden widział protomolekułę w działaniu w stopniu dużo większym niż ktokolwiek, kto nie odwiedzał laboratorium Cortázara, i zapewne dlatego skutki uboczne zabiegów na Duartem były dla niego bardziej oczywiste.

Uświadomił sobie, że się gapi. Co więcej, dotarło do niego, że wszyscy się gapią, a on dawał się ponieść zbiorczemu naporowi ich uwagi. Obejrzał się na Drummer, czyniąc świadomy wysiłek odwrócenia wzroku. Było to trudniejsze, niż chciałby przyznać.

Zamierzał zapytać, czy miała jakieś wieści o podziemiu, czy rządy Duartego w bezmiarze próżni między gwiazdami wydają się równie nieuchronne jak tu, w jego domu.

– Jakież wieści o podziemiu? – zapytał.

– Zawsze będą jacyś malkontenci – odpowiedziała, poruszając się na granicy między niewinnością a ukrytym znaczeniem. – A co z tobą? Jak spędza czas sławetny kapitan James Holden? Chodzisz na przyjęcia? Wymachujesz pięściami w bezsilnej furii?

– Nie. Po prostu spiskuję i czekam na właściwą chwilę, by uderzyć – odpowiedział Holden.

Oboje uśmiechnęli się, jakby to był żart.

Rozdział pierwszy

Elvi

Wszechświat jest zawsze dziwniejszy, niż myślisz.

Było to ulubione powiedzenie jednego z profesorów w czasach studiów doktoranckich Elvi. Profesora Ehrlicha, burkliwego starego Niemca z długą białą brodą, który Elvi przywodził na myśl krasnala ogrodowego, a powtarzał to zawsze, gdy kogoś zaskoczyły wyniki otrzymane w laboratorium. W tamtych czasach Elvi uważała ten tekst za tak prawdziwy, że był truizmem. Oczywiście, że wszechświat krył nieoczekiwane niespodzianki.

Profesor Ehrlich prawie na pewno już nie żył, bo był na granicy możliwości technologii przedłużania życia w czasach, gdy Elvi miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Sama teraz miała już córkę starszą od niej wtedy. Jednakże gdyby wciąż żył, Elvi wysłałaby mu długie przeprosiny z głębi serca.

Wszechświat był nie tylko dziwniejszy, niż myślała, był dziwniejszy, niż dało się przewidzieć. Każde nowe odkrycie, niezależnie od tego, jak było zdumiewające, kładło zaledwie podwaliny pod jeszcze niezwyklejsze odkrycie później. Wszechświat i jego nieustannie zmieniająca się definicja dziwności. Odkrycie tego, co wszyscy uznali za obce życie, gdy na Febe znaleziono protomolekułę, wstrząsnęło ludźmi aż do podstaw, a jednak było to zdecydowanie mniej niepokojące od stwierdzenia, że protomolekuła jest nie tyle obcym życiem, ile zaledwie jego narzędziem. Ich wersją klucza francuskiego, tyle że takiego, który potrafił zmienić całą

stację na asteroidzie Eros w statek kosmiczny, przechwycić Wenus, stworzyć pierścień wrót i dać im niespodziewany dostęp do tysiąca trzystu układów słonecznych po drugiej stronie.

„Wszechświat jest zawsze dziwniejszy, niż myślisz”. Cholerna racja, profesorze.

– Co to jest? – odezwał się jej mąż, Fayeze.

Znajdowali się na mostku jej okrętu, *Jastrzębia*. Okrętu, który dało jej Imperium Lakońskie. Na ekranie przed nimi powoli wypełniał się szczegółami wysokiej rozdzielczości obraz tego, co wszyscy nazywali „obiektem”. Było to ciało planetarne nieco większe od Jowisza i prawie przezroczyste, wyglądające jak niezwykle wielka kryształowa kula o lekko zielonkawym zabarwieniu. Jedyna struktura w układzie Adro.

– Według danych z pasywnej spektrometrii to niemal wyłącznie węgiel – poinformował Travon Barrish, nawet nie podnosząc wzroku znad ekranu wyświetlającego dane. Był ich specjalistą od materiałów i najbardziej dosłowną osobą, jaką Elvi kiedykolwiek poznała. Oczywiście, że podał Fayezeowi odpowiedź na pytanie zawierającą fakty. Sama dobrze wiedziała, że mąż wcale nie o to pytał. Chodziło mu o „po co to jest?”.

– Jest upakowany w gęstą sieć – dorzuciła Jen Livey, fizyczka zespołu. – To...

Umilkła, więc Elvi dokończyła za nią.

– To diament.

W wieku siedmiu lat Elvi Okoye wróciła do Nigerii z mamą, gdy zmarła jej babka cioteczna, której nigdy nie poznała. Kiedy mama zajmowała się organizacją pogrzebu, Elvi zwiedzała dom babki. Uczyniła z tego coś w rodzaju gry, próbując stworzyć sobie obraz zmarłej kobiety na podstawie przedmiotów, jakie po sobie zostawiła. Na półce obok łóżka zdjęcie uśmiechniętego młodego mężczyzny o ciemnej skórze i jasnych oczach, który mógł być mężem, bratem albo synem. W maleńkiej łazience, pośród opakowań tanich mydeł i środków czyszczących, stała jedna piękna kryształowa buteleczka z tajemniczym zielonym płynem. Perfumy? Trucizna? Bez

znajomości kobiety pozostawione przez nią przedmioty wydawały się tajemne i pociągające.

Wiele lat później, podczas płukania ust, zapach przywołał wspomnienie i zrozumiała, że zielona substancja w butelce prawie na pewno była płynem do płukania ust. Rozwiązała jedną zagadkę, ale pojawiły się nowe pytania. Czemu płyn do płukania ust znajdował się w tak pięknej butelce, zamiast po prostu w nadającym się do recyklingu pojemniku, w którym został kupiony? Skąd wzięła się tam ta butelka? Czy babka używała go do płukania ust, czy też płyn można było wykorzystać także w jakiś sposób, o którym Elvi nigdy nie pomyślała? Bez martwej kobiety, która by to wyjaśniła, te pytania na zawsze pozostaną bez odpowiedzi. Niektóre rzeczy można było zrozumieć wyłącznie w kontekście.

Na ekranie widniał pojedynczy lekko zielonkawy diament o perfekcyjnie gładkiej powierzchni, unoszący się w Układzie Słonecznym bez żadnych innych planet, krążący wokół gasnącego białego karła. Butelka płynu do płukania ust z rżniętego kryształu na brudnym łazienkowym blacie w towarzystwie taniego mydła. Fayez miał rację. Jedyne liczące się pytanie, brzmiało: „czemu?”, ale wszyscy znający odpowiedź już dawno nie żyli. Jedyne odpowiedzi, jaka jej została, to ta, której udzielał profesor Ehrlich.

Jastrzębia zaprojektowano specjalnie na zlecenie wysokiego konsula Duarte go właśnie dla niej. I miał tylko jedno zadanie: odwiedzać „martwe” układy sieci wrót i sprawdzać, czy zawierały jakieś wskazówki dotyczące bezimiennego wroga, który zniszczył cywilizację twórców protomolekuły albo dziwne niefizyczne pociski, które oni – niezależnie od tego, jakiego określnika używały pozawymiarowe istoty – po sobie zostawili.

Jastrząb jak dotąd odwiedził trzy takie układy i każdy był niezwykle. Elvi nie podobało się określenie „martwe układy”. Ludzie zaczęli je tak nazywać, bo nie zawierały planet zdolnych do podtrzymywania życia. Dla niej taka klasyfikacja była irytująca i zbyt uproszczona. Owszem, żaden rodzaj życia, jakie potrafili zrozumieć, nie zdołałoby egzystować na diamencie wielkości Jowisza unoszącym się wokół białego karła, ale też nie istniał żaden

choćby odrobinę prawdopodobny naturalny proces, który mógłby coś takiego stworzyć. Ktoś go zrobił. Inżynieria na taką skalę była fantastyczna w klasycznym znaczeniu tego słowa. Wzbudzała w równym stopniu zachwyty, jak i strach. Opisanie układu jako „martwego”, bo nie rosły tu kwiatki, wydawało się zwycięstwem strachu nad zachwytem.

– Wszystko posprzątał – zauważył Fayez. Przeglądał obrazy teleskopowe i radarowe Układu Słonecznego. – W promieniu roku świetlnego od gwiazdy nie ma nawet pasa komety. Zebrali każdy kawałek materiału w całym Układzie Słonecznym, zmienili wszystko na węgiel i zbili w pieprzony diament.

– Ludzie kiedyś wręczali diamenty jako prezenty podczas oświadczeń – przypomniała Jen. – Może ktoś chciał się upewnić, że dostanie właściwą odpowiedź.

Travon gwałtownie poderwał głowę znad konsoli i przez kilka sekund patrzył na Jen, mrugając. Sztywna dosłowność znaczyła, że jego biochemia nie przewidywała żadnych przekaźników pozwalających na poczucie humoru, więc Elvi nie raz już obserwowała, jak beztronska ironia Jen wprawiała go w osłupienie.

– Nie sądzę... – zaczął Travon, ale Elvi nie dała mu dokończyć.

– Skupcie się na pracy, ludzie. Musimy dowiedzieć się wszystkiego o tym układzie, zanim aktywujemy katalizator i zaczniemy psuć różne rzeczy.

– Robi się, szefowo – odpowiedział Fayez i mrugnął do niej tak, że nie widział tego nikt inny.

Pozostali członkowie jej zespołu, najlepsi naukowcy i technicy z całego imperium, osobiście wybrani i przydzieleni pod jej dowództwo przez samego wysokiego konsula, wrócili do swoich ekranów. W kwestiach naukowych związanych z bieżącą misją jej rozkazy miały pełną moc imperialnego prawa. Nikt w zespole nigdy nie próbował się z nią spierać.

Oczywiście zastrzeżenie było takie, że nie wszyscy byli członkami jej zespołu i nie wszystko uważano za kwestię naukową.

– Ty mu powiesz, że przechodzimy do kolejnej fazy – zapytał Fayez – czy ja mam to zrobić?

Znowu tęsknie spojrzała na ekran. W diamencie zapewne kryły się jakieś struktury. Ślady jak wyblakły atrament antycznego tekstu, który mógł przybliżyć ich nieco do następnej tajemnicy, następnego odkrycia, następnej niepojętej dziwności. Nie chciała nikomu o niczym mówić, chciała oglądać.

– Zajmę się tym – zdecydowała i ruszyła do windy.

* * *

Admirał Mehmet Sagale był mężczyzną wielkim jak góra, z czarnymi jak węgiel oczami i twarzą płaską jak talerz. Jako wojskowy dowódca ich misji przeważnie nie wtrącał się do pracy naukowców, ale gdy coś wkraczało w obszar, za który zgodnie z rozkazami to on odpowiadał, był równie niewzruszony i nieustępliwy, jak sugerowały jego rozmiary. Na dodatek miał w sobie coś, przez co siedzenie w jego biurze zawsze kojarzyło jej się z reprimendą. Jakby została wysłana do dyrektora szkoły z powodu ściągania na teście. Elvi nie znosiła odgrywania petentki przed wojskowym figurantem, ale w lakońskim imperium na szczycie struktury władzy zawsze znajdowali się wojskowi.

– Doktor Okoye – przywitał ją admirał Sagale. Potarł grzbiet nosa czubkami palców wielkości kiełbasek i popatrzył na nią z taką samą mieszaniną sympatii i protekcyjnej irytacji, jaką ona odczuwała wobec swoich dzieci, gdy robiły coś głupiego. – Jak pani wie, jesteśmy zdecydowanie spóźnieni względem harmonogramu. Według moich rozkazów...

– Ten system jest niesamowity, Met – przerwała mu. Użycie przydomka było lekkim aktem agresji, ale tolerowanym przez niego. – Jest zbyt niesamowity, żeby odrzucić go z niecierpliwości. Musimy spędzić czas na dogłębnym przestudiowaniu tego artefaktu, zanim wyciągniesz katalizator i zaczniemy sprawdzać, czy coś wybuchnie!

– *Major* Okoye. – Sagale odpowiedział, używając jej stopnia wojskowego, by jednoznacznie przypomnieć ich wzajemne relacje w strukturze dowodzenia. – Gdy tylko pani zespół skończy wstępne

zbieranie danych, wyprowadzimy katalizator w celu sprawdzenia, czy ten układ ma jakąś wartość wojskową, dokładnie według naszych rozkazów.

– Admirale – odpowiedziała Elvi ze świadomością, że gdy jest w takim nastroju, agresją nic nie wskóra, i spróbowała zamiast tego łagodzącego sytuację szacunku. – Chciałabym tylko dostać trochę więcej czasu. Możemy nadrobić opóźnienia podczas drogi powrotnej. Duarte dał mi najszybszy statek w dziejach ludzkości, żebym mogła spędzać więcej czasu, zajmując się nauką, a mniej podróżami. Dokładnie zgodnie z tym, o co teraz proszę.

Przypomniała Sagale o fakcie, że ma bezpośredni kontakt z wysokim konsulem, który cenił jej pracę na tyle, by zbudować specjalnie dla niej statek. Trudno było dopatrzeć się w tym przesadnej subtelności.

Sagale pozostał niewzruszony.

– Ma pani dwadzieścia godzin na ukończenie zbierania danych – oświadczył, składając ręce na szerokim brzuchu niczym Budda. – I ani minuty dłużej. Proszę poinformować zespół.

* * *

– Tego rodzaju sztywne podejście jest dokładnie powodem, dla którego nie da się robić dobrej nauki pod rządami Lakonii – powiedziała Elvi. – Powinnam kierować jakimś uniwersyteckim wydziałem biologii, jestem za stara na przyjmowanie rozkazów.

– Zgadza się – odpowiedział Fayez. – Ale siedzimy tutaj.

Byli z Fayezelem w ich kabinie i mieli czas na prysznic i zjedzenie czegoś na szybko, zanim Sagale i jego szturmowcy wyciągną swoją żywą próbkę protokolekuly i zaryzykują zniszczenie liczącego miliardy lat artefaktu, żeby sprawdzić, czy wybuchnie w przydatny sposób.

– Jeśli nie da im to lepszej bomby, to kogo obchodzi, że coś zepsują!

Mówiąc to, odwróciła się do Fayeza, który cofnął się przed nią o pół kroku. Zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręce talerz.

– Nie będę nim rzucać – zapewniła. – Nie rzucam rzeczami.

– Zdarzało ci się – odpowiedział. On też zrobił się starszy. Jego kiedyś czarne włosy były teraz prawie całkiem siwe, a z kącików oczu rozchodziły się pajęczki zmarszczek od uśmiechu. Nie miała nic przeciwko, zdecydowanie wołała, gdy się uśmiechał, niż marszczył brwi. Teraz właśnie się uśmiechał. – Różne rzeczy latały.

– Ja nigdy... – zaczęła, zastanawiając się, czy Fayez faktycznie boi się, że rzuci w niego talerzem, czy tylko się z nią droczy, żeby rozładować napięcie. Nawet po dziesięcioleciach życia razem czasami nie miała pojęcia, co dzieje się w jego głowie.

– Bermudy, zaraz po wyjeździe Ricky'ego z domu na uniwersytet pojechaliśmy na pierwsze wakacje od lat i...

– Tam był karaluch. Po moim talerzu chodził karaluch!

– Ale rzucając nim, prawie urwałaś mi głowę.

– No cóż – powiedziała – przestraszyłam się.

Roześmiała się, a Fayez wyszczerzył się, jakby wygrał nagrodę. Czyli faktycznie, jego celem od początku było skłonienie jej do śmiechu. Odłożyła talerz.

– Słuchaj, dobrze wiem, że salutowanie i słuchanie rozkazów nie było dokładnie tym, o czym myśleliśmy, odbierając dyplomy – powiedział – ale to nowa rzeczywistość, dopóki Lakonia jest przy władzy. Zatem...

Właściwie porwanie do Dyrektoriatu Naukowego było jej winą. Lakonia przeważnie zostawiała ludzi w spokoju. Planety same wybrały gubernatorów i przedstawicieli do Stowarzyszenia Światów i mogły ustanawiać własne prawa pod warunkiem, że nie były sprzeczne z prawem imperialnym. Ponadto, w przeciwieństwie do większości dyktatur w historii, Lakonia nie wydawała się zainteresowana ograniczaniem dostępu do wyższego wykształcenia. Uniwersytety w całej galaktyce działały praktycznie tak samo jak przed zmianą władzy, a czasem nawet trochę lepiej.

Jednakże Elvi popełniła błąd, stając się czołową ekspertką ludzkości w dziedzinie protomolekuły, zaginionej cywilizacji, która

ją stworzyła, i zagłady, jaka ją spotkała. Będąc znacznie młodszą kobietą, została wysłana na Ilusa w ramach pierwszej misji naukowej w celu zbadania biologii obcego świata. Do tamtej chwili jej specjalizacja w egzobiologii była czysto teoretyczna, skupiała się głównie na życiu batypelagialnym i pod głębokim lodem, zdającym się oferować dobrą analogię do tego, co można było znaleźć pod powierzchnią Europy.

Na Europie nigdy nie znaleźli żadnych bakterii, ale otworzyła się sieć wrót i nagle egzobiologia stała się prawdziwą nauką, mogącą badać ponad tysiąc trzysta nowych biomów. Poleciała na Ilusa, spodziewając się badać odpowiedniki jaszczurek, a zamiast tego natknęła się na artefakty obejmujące całą galaktykę wojny starszej niż jej gatunek. Pochłonęła ją obsesja zrozumienia. Oczywiście. Dom wielkości galaktyki pełen pokojów z fascynującymi rzeczami, a jego właściciele nie żyli od miliardów lat. Poświęciła resztę naukowej kariery na próby rozgryzienia ich, kiedy więc Winston Duarte zaprosił ją do poprowadzenia zespołu badającego dokładnie tę tajemnicę i zaoferował nieograniczone fundusze, nie była w stanie odmówić.

Do tamtej pory znała Lakonię tylko w postaci prezentowanej w kanałach informacyjnych: niemożliwie potężną, niepokonaną militarnie, ale niezainteresowaną czystkami etnicznymi czy ludobójstwem. Może nawet mającą na sercu faktyczne interesy ludzkości. Przyjmowanie pieniędzy na prowadzenie badań nie wzbudziło jej oporów, między innymi dlatego, że nie bardzo miała wybór. Kiedy król mówi: „pracuj dla mnie”, nie ma wielu sposobów na odmówienie mu.

Wątpliwości przyszły później, gdy poznała bliżej ich flotę i źródło przewagi technologicznej Lakonii.

Kiedy spotkała katalizatory.

– Powinniśmy wracać – stwierdził Fayeze, gdy skończył sprzątać ostatnie naczynia z ich kolacji. – Zegar tyka.

– Przyjdę. Za minutę – odpowiedziała, wchodząc do małej, dzielonej przez nich prywatnej łazienki. Jednego z przywilejów jej

stopnia. Z lustra nad umywalką patrzyła na nią stara kobieta. Jej oczy wypełniała świadomość tego, co za chwilę zrobi.

– Jesteś gotowa?! – zawołał Fayez.

– Idź już, zaraz dołączę.

– Jezu, Els, nie pójdziesz chyba znowu tego zobaczyć?

„Tego”. Katalizatora.

– To nie twoja wina – powiedział Fayez. – Nie ty zaprojektowałaś to badanie.

– Ale zgodziłam się je nadzorować.

– Skarbie. Najdroższa. Światło mego życia. Niezależnie od tego, jak nazywamy Lakonię wśród ludzi, gdy odrzec ją z szat, jest dyktaturą – stwierdził. – Nigdy nie mieliśmy wyboru.

– Wiem.

– To czemu to sobie robisz? – zapytał Fayez.

Nie odpowiedziała, bo nie potrafiłaby wytłumaczyć, nawet gdyby chciała.

– Dogonię cię.

* * *

Przechowalnia katalizatorów mieściła się w samym sercu *Jastrzębia*, otoczona ze wszystkich stron grubym pancerzem ze zubożonego uranu i najbardziej złożoną klatką Faradaya w galaktyce. Bardzo wcześnie stało się jasne, że protomolekuła porozumiewa się szybciej od prędkości światła. Najpopularniejsza teoria zakładała jakąś postać splątania kwantowego, ale niezależnie od mechanizmu protomolekuła potrafiła ignorować lokalność, tak samo jak stworzony przez nią system pierścieni wrót. Cortázar i jego ludzie potrzebowali wielu lat na odkrycie sposobu uniemożliwienia próbcie protomolekuły rozmowy z innymi, ale pracowali nad tym całe dziesięciolecia i w końcu zaproponowali połączenie materiałów i pól, które przekonywało węzeł protomolekuły do odcięcia się od reszty świata.

Węzeł. To. Katalizator.

Drzwi do jego komory pilnowało dwóch marines Sagale'a. Mieli na sobie ciemnoniebieskie pancerze wspomagane, jęczące i klikające przy każdym ruchu. W rękach trzymali miotacze ognia. Tak na wszelki wypadek.

– Wkrótce użyjemy katalizatora. Chcę go sprawdzić – powiedziała Elvi w przestrzeń między strażnikami.

Choć sama miała stopień wojskowy, wciąż często nie potrafiła dojść do tego, kto był najwyższym stopniem oficerem w danym pomieszczeniu. Brakowało jej kursu wprowadzającego na szkoleniu podstawowym i dziesięcioleci praktyki, która dla Lakończyków była czymś oczywistym.

– Oczywiście, majorze – odpowiedziała ta po lewej. Wyglądała zbyt młodo, żeby być starszym oficerem, ale w przypadku Lakończyków było to częste. Większość z nich wyglądała za młodo na swoje stopnie. – Będzie pani potrzebować eskorty?

– Nie – odpowiedziała Elvi. „Nie, zawsze robię to sama”.

Młoda marine zrobiła coś na przedramieniu swojego pancerza i rozsunęły się drzwi za jej plecami.

– Proszę nam dać znać, gdy będzie pani gotowa do wyjścia.

Pokój katalizatora był sześcianem o boku czterech metrów. Nie miał łóżka, umywalki ani ubikacji, tylko twardy metal i zakratowane odpływy. Raz dziennie pokój przemywano rozpuszczalnikiem, który następnie odpompowywano do spalenia. Lakończycy mieli obsesję na punkcie procedur zakażenia wszędzie, gdzie w grę wchodziła protomolekuła.

Węzeł, to, katalizator – kiedyś był kobietą po pięćdziesiątce. Jej nazwisko ani powód wybrania do zakażenia protomolekułą nie zostały zamieszczone w żadnej dokumentacji, do której Elvi miała dostęp, ale nie służyła w ich armii długo, gdy dowiedziała się o Stodole. Miejscu, gdzie wysyłano skazanych więźniów w celu świadomego zakażenia, żeby imperium dysponowało nieograniczonym źródłem protomolekuły do wykorzystania.

Choć katalizator był szczególny. Dzięki efektom pracy Cortázara lub przypadkowej kombinacji czynników genetycznych kobieta była tylko nosicielką. Wykazywała wczesne objawy zakażenia – zmiany

skórne i struktury szkieletu – ale w ciągu miesięcy, od kiedy została sprowadzona na pokład *Jastrzębia*, te zmiany w ogóle nie postępowały. I nigdy nie weszła w fazę, którą wszyscy nazywali „rzygającym zombie”, w której zakażeni wymiotowali materiałem biologicznym, próbując roznieść zakażenie.

Elvi wiedziała, że jest doskonale bezpieczna, przebywając w jednym pokoju z katalizatorem, ale i tak za każdym razem, gdy tam wchodziła, przebiegał ją dreszcz.

Zakażona kobieta popatrzyła na nią, miała puste spojrzenie i poruszała wargami w bezdźwięcznym szepcie. Pachniała głównie rozpuszczalnikiem, którym myto ją codziennie, ale pod nim kryło się coś jeszcze. Trupi odór rozkładającego się ciała.

Poświęcanie zwierząt było normalne. Szczury, gołębie, świnie. Psy. Szympansy. Biologia zawsze miała problem poznawczy z dowodzeniem, że ludzie są tylko jeszcze jednym zwierzęciem, twierdząc równocześnie, że różnią się moralnie. Zabicie szympansa w imię nauki było w porządku, ale nie dotyczyło to ludzi.

Z wyjątkiem sytuacji, gdy jednak tak było.

Może katalizator się na to zgodził. Może alternatywą do tego była jakaś inna, gorsza forma śmierci. Czymkolwiek miałyby być.

– Przepraszam – powiedziała do niej Elvi, jak zawsze, gdy wchodziła do komory katalizatora. – Bardzo przepraszam, nie wiedziałam, że robią coś takiego. Nigdy bym się na to nie zgodziła.

Głowa kobiety zachwiała się na szyi, pochylając się, niczym w udawanej zgodzie.

– Nie zapomnę, że zrobili ci coś takiego. I jeśli kiedyś zdołam to naprawić, uczynię to.

Kobieta zaparła się dłońmi o podłogę, jakby chciała wstać, ale nie miała w rękach dość siły i dłonie tylko przesunęły się bezradnie. To tylko odruchy. Przynajmniej tak sobie powtarzała. Instynkt. Kobieta nie miała już mózgu, a przynajmniej został zmieniony w coś, co nie spełniało żadnej rozsądnej definicji mózgu. Tej skóry nie wypełniał już nikt żywy. Już nie.

Choć kiedyś tak było.

Elvi wytarła oczy. Wszechświat był zawsze dziwniejszy, niż można się było spodziewać. Czasem był pełen cudów, czasem pełen koszmarów.

– Nie zapomnę.

Rozdział drugi

Naomi

Naomi tęskniła za *Rosynantem*, ale z drugiej strony w tych czasach tęskniła za mnóstwem rzeczy.

Jej stary statek i dom wciąż stał zaparkowany na Freehold. Zanim odlecieli, razem z Aleksem na skraju wysuniętego najbardziej na południe kontynentu planety znaleźli system jaskiń z wejściem dostatecznie dużym, by wprowadzić do nich statek. Ustawili go w suchym tunelu i spędzili tydzień, rozciągając foliowe osłony i uszczelnienia, które miały powstrzymać miejscową florę i faunę przed wchodzeniem do środka. Jeśli tylko wrócą do *Rosa*, będzie tam, czekając w gotowości. Jeśli nie wrócą, będzie tam stał przez stulecia, wciąż czekając.

Czasami, na skraju snu, pozwalała sobie na spacer po nim. Wciąż pamiętała każdy centymetr statku, od szczytu kokpitu do krzywizny dyszy silnika. Wiedziała, jak przez niego przejść w ciągu albo w nieważkości. Słyszała o starożytnych uczonych na Ziemi, budujących w ten sposób pałace pamięci. Wyobraź sobie Aleksa w kokpicie, trzymającego klepsydrę do pomiaru czasu. Potem w dół, na mostek, gdzie Amos i Clarissa rzucali sobie w tę i z powrotem kulę do golgo z namalowanym na boku numerem 2, dla prędkości początkowej i końcowej podzielonej przez dwa. Potem w dół, do kabiny jej i Jima. Sam Jim. Jim oznaczający przemieszczenie. Proste równanie kinematyczne, w którym trzy wartości pozostawały bez zmian, łatwe do zapamiętania, bo głęboko odcisnęły się jej na sercu.

To właśnie było jednym z powodów, dla których zgodziła się na plan gry w trzy kubki, gdy skontaktował się z nią Saba w imieniu podziemia. Wspomnienia były jak duchy i jak długo Jima i Amosa nie było, *Ros* zawsze pozostanie trochę nawiedzony.

I nie chodziło tylko o Jima, choć on był pierwszy. Naomi straciła też Clarissę, która umarłaby od powolnego zatrucia toksynami z jej implantów, gdyby nie zdecydowała się na gwałtowną śmierć. Amos przyjął od podziemia misję obarczoną wysokim ryzykiem, prowadzoną w głębi terenu wroga, i zamilkł, nie zgłaszając się na kolejne okna odbioru, aż wszyscy przestali się spodziewać, że jeszcze kiedyś się odezwie. Nawet Bobbie, choć zdrowa i w dobrym stanie, ale teraz już na fotelu kapitańskim własnego statku. Straciła ich wszystkich, choć Jim był najgorszy.

Z drugiej strony wcale nie tęskniła za Freehold. Doświadczenie życia pod bezkresnym i pustym niebem miało przez chwilę pewien urok, ale niepokój utrzymywał się znacznie dłużej niż fascynacja. Jeśli miała prowadzić życie wyjętej spod prawa uciekinierki, mogła to przynajmniej robić gdzieś, gdzie powietrze trzymało na miejscu coś widocznego. Jej nowa przestrzeń życiowa – choć prosta i kiepska – oferowała przynajmniej tyle.

Z zewnątrz jej chatka wyglądała jak standardowy kontener transportowy do przewożenia planetarnego reaktora fuzyjnego niskiej mocy. Typu stosowanego przez kolonistów na nowych planetach – dokładnie było ich tysiąc trzysta – do zasilania małego miasta lub średniej wielkości instalacji górniczej. Po usunięciu faktycznego ładunku w kontenerze było dość miejsca na pryczę przeciążeniową na zawieszeniu kardanowym, awaryjny recykler, zapas wody i kilka zmodyfikowanych torped niewielkiego zasięgu. Prycza przeciążeniowa była jej łóżkiem i miejscem pracy. Recykler awaryjny zapewniał zasilanie, pożywienie i usuwanie odpadów. Było to urządzenie mogące całymi tygodniami utrzymać przy życiu załogę uszkodzonego statku, choć takie życie trudno byłoby nazwać komfortowym. Woda służyła do picia, ale też zapewniała maskowanie: połączona z małymi panelami parowania na zewnątrz kontenera pozwalała pozbyć się nadmiaru ciepła.

Natomiast torped używała do rozmowy ze światem zewnętrznym.

Ale nie dzisiaj. Dziś spotka się z żywymi ludźmi. Będzie oddychać tym samym powietrzem, dotykać ich skóry. Słyszeć ich głos bez pośrednictwa elektroniki. Nie była pewna, czy odczuwała z tego powodu podniecenie, czy dziwne uczucie w żołądku wynikało z niepokoju. Czasami trudno było je od siebie odróżnić.

– Pozwolenie na otwarcie? – powiedziała, a monitor pryczy przeciążeniowej zawahał się, wysłał wiadomość i po kilku oddechach wyświetlił odpowiedź: POTWIERDZAM. WYLOT O 18:45 STANDARDOWEGO. NIE SPÓŹNIJ SIĘ.

Naomi odpięła się od pryczy i odepchnęła do wewnętrznych drzwi kontenera, po drodze zakładając hełm skafandra. Gdy skafander wyświetlił zielone kontrolki wszystkich uszczelek, sprawdziła je i tak jeszcze raz, a potem odpompowała powietrze z kontenera do awaryjnego recyklera, sprowadzając wnętrze swojego mieszkania prawie do próżni. Gdy ciśnienie osiągnęło granicę wydajności urządzenia i przestało spadać, otworzyła drzwi kontenera i wyciągnęła się na zewnątrz, w olbrzymią przestrzeń ładowni.

Verity Close był przerobionym lodowcowcem latającym jako transportowiec dalekiego zasięgu wożący zaopatrzenie dla kolonii. Jego ładownia była równie bezkresna jak niebo Freehold, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Mógłby się tu zmieścić *Rosynant* w towarzystwie jedenastu identycznych jednostek, bez potrzeby dotykania się burtami. Zamiast tego w ładowni zamocowano tysiące kontenerów takich jak ten Naomi, gotowych do transportu z Sol do dowolnych nowych stacji i miast budowanych przez ludzkość, by oswoić nowe dzicze planet nieznanymi kodu genetycznego ani drzewa życia ludzkości. Większość kontenerów zawierała to, co zapisano w manifeście – glebę, przemysłowe inkubatory drożdży, biblioteki bakteryjne.

Ale były i takie jak jej, kryjące coś innego.

Gra w trzy kubki.

Nie wiedziała, czy autorem pomysłu był Saba, czy też jego żona, figurantka na stanowisku prezes Związku Transportowego, znalazła

jakiś potajemny sposób na skontaktowanie się z nim. Ponieważ stacja Medyna i powolna strefa znajdowały się pod ścisłą kontrolą Lakonii, największą przeszkodą stojącą przed ruchem oporu było przewożenie statków i personelu między układami gwiazdowymi. Nawet coś tak małego jak *Ros* nie mogło liczyć na przelecenie obok Medyny i pozostanie niezauważonym. Kontrola ruchu w sieci wrót była zbyt ważna, by kiedykolwiek dopuścić do czegoś takiego.

Jednakże dopóki Związek Transportowy wciąż sam dysponował swoimi jednostkami, można było fałszować zapisy. Kontenery towarowe takie jak jej można było przenosić między statkami, utrudniając lub wręcz uniemożliwiając powiązanie jej łączności – albo łączności Saby lub Wilhelma Walkera czy dowolnego z innych przywódców podziemia – z jakimkolwiek pojedynczym statkiem.

Lub, jeśli nagroda uzasadniała podejmowane ryzyko, można było przemycić coś większego. Coś groźnego, jak przechwycony okręt *Zwiastun burzy*, i przewieźć go potajemnie do układu Sol. A wraz z nim Bobbie Draper i Aleksa Kamala, których nie widziała już od ponad roku. I którzy w tej chwili czekali na spotkanie z nią.

Odbiła się i poleciała wzdłuż rzędu kontenerów, sunąc tuż przy nich z precyzją zyskaną dzięki doświadczeniu całego życia. Na rogach kontenerów mrugały światła prowadzące, wyznaczając wiecznie zmieniający się labirynt dostępu i kontroli, prowadząc ją do wjazdu załogowego. Faktyczna przestrzeń załogowa była pewnie mniejsza niż na *Rosynancie*, a jej tajny kontener towarowy był równie przestronny jak kabiny załogi.

Nie знаła załogi statku, który woził ją przez ostatnie kilka miesięcy. Większość z nich nawet nie wiedziała o jej obecności. Saba tak to urządził. Im mniej ludzi wiedziało, tym mniej mogli powiedzieć. Stary termin Pasiarzy na to brzmiał *guerraregle*. Zasady wojenne. Tak żyła jako dziewczyna, w dawnych złych czasach, tak żyła i teraz.

Znalazła służbę prowadzącą do wnętrza statku i przez nią przeszła. Jej kontakt na nią czekał. Była młodą kobietą, nie więcej niż dwudziestoletnią, z jasną skórą i szeroko rozstawionymi ciemnymi oczami. Ogolona głowa zapewne miała jej nadać twardy wygląd, ale

Naomi skojarzyła się tylko z meszkiem niemowlęcia. Wcale nie musiała mieć na imię Blanca, ale takie właśnie znała Naomi.

– Jest pani kryta przez dwadzieścia minut – powiedziała Blanca. Miała dobry głos, melodyjny i czysty. I marsjański akcent, który Naomi przypominał Aleksa. – Potem schodzę ze zmiany. Mogę się tu jeszcze pokręcić, ale nie zdołam zatrzymać przyjscia następnego gościa.

– To w zupełności wystarczy – odpowiedziała Naomi. – Muszę się tylko dostać do pierścienia mieszkalnego.

– Żaden problem. Będziemy przenosić pani kontener na *Mosley*, stanowisko szesnaście-dziesięć. Zajmie to kilka godzin, ale zlecenie wykonania transferu zostało już zatwierdzone.

Przerzucenie fasolki pod inny kubek. Do czasu, gdy Naomi będzie gotowa do wysłania następnego zestawu rozkazów i analiz, *Verity Close* przeleci już przez wrota Sol i uda się w stronę jakiegoś innego układu, a Naomi znajdzie się z powrotem w swojej małej norce, śpiąc na tej samej pryczy, choć podróżując innym statkiem. Blanca prawdopodobnie zostanie zastąpiona przez nowy kontakt czekający na nią w doku. Naomi nie potrafiła już zliczyć, ile razy to robiła. Stało się to prawie rutyną.

– Dziękuję – odpowiedziała i zaczęła przeciągać się w stronę służby prowadzącej do doku.

– To był zaszczyt, proszę pani – rzuciła Blanca, prawie za szybko wypowiadając słowa. – To znaczy spotkanie pani. Poznanie Naomi Nagaty.

– Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Doceniam to bardziej, niż potrafię wyrazić słowami.

Blanca się wyprostowała. Naomi czuła się jak na przedstawieniu, ale i tak jej zasalutowała. Dla dziewczyny to coś znaczyło, a potraktowanie jej przez Naomi z mniejszą powagą byłoby niegrzeczne. Gorzej, nawet okrutne.

Potem wciągnęła się do ciasnego zielonego korytarza *Verity Close* i zostawiła Blancę za sobą. Nie spodziewała się jej już więcej zobaczyć.

* * *

Daleka stacja transferowa trzy unosiła się między orbitą Saturna i Urana, dopasowana do pozycji wrót Sol. Jej architektura była bardzo znajoma: duży sferyczny dok zdolny do przyjęcia kilkudziesięciu statków równocześnie i pierścień mieszkalny wirujący z jedną trzecią g. Miejsce to było równocześnie kluczowym ośrodkiem dla ruchu do i z układu Sol, jak i po prostu kompleksem magazynowym. Statki z całego układu zwoziły tu towary gotowe do wysłania do skolonizowanych światów lub przylatywały odebrać przychodzące przesyłki. W każdej chwili na stacji transferowej znajdowało się zapewne więcej artefaktów obcych niż gdziekolwiek indziej w układzie.

Stacja mogła pomieścić około dwudziestu tysięcy ludzi, choć ruch rzadko wymagał wykorzystania wszystkich kwater. W środku przebywały załogi przylatujących i odlatujących statków, był też stały personel, wraz z pracownikami zakontraktowanymi do obsługi szpitali, barów, burdeli, kościołów, sklepów i restauracji towarzyszących ludzkości wszędzie, dokąd się udawała. To była baza, do której załogi z całego układu oraz innych układów po drugiej stronie pierścieni mogły uciec przed sobą na kilka dni, zobaczyć nieznaną twarz, usłyszeć głosy, których nie słuchali codziennie przez wiele miesięcy, i pójść do łóżka z kimś, kto nie sprawiał wrażenia rodziny. Tworzyło to atmosferę nieustannego bratania się, dzięki czemu pierścień mieszkalny zyskał nieoficjalną nazwę „Alei ojcostwa”.

Naomi lubiła to miejsce. W stabilności ludzkiego zachowania było coś dającego pociechę. Cywilizacje obcych i galaktyczne imperium, wojna i ruch oporu: wszystko tam było. Ale też picie i karaoke. Seks i dzieci.

Szła przez publiczny korytarz pierścienia mieszkalnego z opuszczoną głową. Podziemie umieściło jej fałszywe dane identyfikacyjne w systemie stacji, żeby jej parametry biometryczne

nie wywołały alarmu, ale mimo wszystko pilnowała, żeby się nie wyróżniać, na wypadek gdyby rozpoznał ją ktoś żyjący.

Spotkanie miało się odbyć w restauracji na najniższym i najbardziej zewnętrznym poziomie pierścienia. Spodziewała się wprowadzenia do magazynu lub chłodni, ale mężczyzna czekający przy drzwiach zaprowadził ją do prywatnej salki restauracyjnej. Wiedziała, że tam są, jeszcze zanim przeszła przez drzwi.

Bobbie zobaczyła ją pierwsza i wstała z szerokim uśmiechem. Miała na sobie niczym się niewyróżniający kombinezon statkowy bez identyfikatorów i plaketek, ale nosiła go jak mundur. Wstający razem z nią Aleks był ubrany w starszy wzór. Stracił trochę wagi, a pozostałe włosy przyciął krótko. Równie dobrze mógłby być księgowym, jak i generałem. Podeszli do siebie bez słowa, unosząc ręce. Potrójny uścisk z głową Naomi na ramieniu Aleksa i policzkiem Bobbie przy jej. Ciepło ich ciał dawało większy komfort, niż chciałyby się do tego przyznać.

– Och, do diaska – rzuciła Bobbie – ależ dobrze znowu cię widzieć.

Zakończyli uścisk i ruszyli do stołu. Czekały na nim trzy szklaneczki i butelka whiskey: jasny i charakterystyczny znak nadchodzących złych wieści. Toast do wzniesienia, pamięć o kimś do uczczenia, kolejna strata odkładająca się na duszy. Naomi zapytała spojrzeniem.

– Słyszałaś o Avasarali – odpowiedział Aleks.

Gwałtowną falą przyszła ulga, a po niej wstyd z powodu jej odczuwania. Chodziło tylko o śmierć Avasarali.

– Słyszałam.

Bobbie naląła wszystkim po porcji, a potem uniosła swoją szklaneczkę.

– To była cholernie wielka kobieta. Nie zobaczymy już nikogo takiego.

Stuknęli się szkłem i Naomi wypić. Utrata staruszki była bolesna – zapewne dla Bobbie bardziej niż dla pozostałych. Ale jeszcze nie opłakiwali Amosa. Albo Jima.

– No dobrze – powiedziała Bobbie, odstawiając szklaneczkę. – Jak wygląda życie tajnej generał ruchu oporu?

– Wolę „tajnej dyplomatkę” – odparła Naomi. – I nie robi wielkiego wrażenia.

– Chwila, chwila – rzucił Aleks. – Nie możemy rozmawiać bez jedzenia. To nie rodzina, jeśli nie ma posiłku.

Restauracja oferowała dobre menu fusion Pasa i Marsa. Coś nazwanego „białe kibble” miało korzenie w oryginalnej potrawie, ale ze świeżymi warzywami i kiełkami fasoli. Porcje hodowanej w zbiornikach hybrydy wołowiny i wieprzowiny ugotowanej w kształt szalki Petriego, podane z odrobiną sosu ostro-słodkiego. Opierali się na stole tak, jak robili to na *Rosynancie* w swoich poprzednich wcieleniach.

Naomi nawet nie wiedziała, jak bardzo brakowało jej śmiechu Bobbie albo sposobu, w jaki Aleks podrzucał na jej talerz kolejną małą porcję czegoś, gdy już prawie skończyła jedzenie. Drobnie intymności życia z kimś w ciasnej przestrzeni przez dziesięciolecia. A potem już niemieszkanie tam dalej. Poczulaby smutek, gdyby nie przyjemność przeżywania chwili w ich towarzystwie.

– *Burza* jest całkiem dobrze obsadzona – mówiła Bobbie. – Przez jakiś czas martwiłam się, że będą to tylko Pasiarze. No wiecie, w tym dziale Saba ma największe zasoby. Ale dwójka Marsjan kierująca całą załogą ludzi, którzy wciąż nazywają nas wewnętrznymi?

– To mógłby być problem – zgodziła się Naomi.

– Saba wyciągnął cały zastęp weteranów FONZ i FMRK – uzupełnił Aleks. – I trochę młodych. Dziwnie jest przebywać z ludźmi w wieku, w którym byłem, gdy odszedłem ze służby. Wiesz, wyglądają jak dzieci. Same gładkie twarze i ciągle tacy poważni.

Naomi się roześmiała.

– Wiem. Teraz każdy poniżej czterdziestki wygląda dla mnie jak dziecko.

– Dobrzy są – wtrąciła Bobbie. – Prowadzę ćwiczenia i symulacje przez cały czas, od kiedy jesteśmy zaparkowani.

– Doszło do paru bójek – przypomniał Aleks.

– To tylko nerwy – odparła Bobbie. – Gdy wykonamy misję, te niesnaski się rozejdą.

Naomi wzięła kolejny kęs białego kibble, żeby nie zmarszczyć brwi. Ale nie zadziałało. Aleks odchrząknął i odezwał się swoim głosem używanym do zmiany tematu:

– Domyślam się, że wciąż nie ma żadnych wiadomości od wielkoluda?

Dwa lata temu Saba odkrył możliwość przemycenia na samą Lakonię agenta z kieszonkową bombą jądrową i nadajnikiem zaszyfrowanego sygnału przywołania. Misja niewielkiej szansy na odzyskanie Jima lub zniszczenie dowództwa Lakonii przez odcięcie jej głowy. Saba zapytał Naomi, komu mogłaby zaufać z czymś tak ważnym. Tak niebezpiecznym. Kiedy Amos o tym usłyszał, w ciągu godziny spakował torbę. Od tamtej pory Lakonia wzmocniła systemy obronne. Podziemie straciło większość swojej obecności w układzie Lakonii, a Amos zamilkł.

Naomi pokręciła głową.

– Jeszcze nie.

– No cóż – stwierdził Aleks. – Pewnie już niedługo.

– Pewnie tak. – Naomi zgodziła się, jak za każdym razem, gdy odbywali tę rozmowę.

– Napijesz się kawy, Bobbie? – zapytał Aleks. Bobbie pokręciła głową w tej samej chwili, gdy Naomi powiedziała „nie dla mnie”, a Aleks wstał z miejsca. – W takim razie pójdę zapłacić.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Naomi się pochyliła. Chciała zatrzymać tę chwilę, by pozostała tym, czym była – ponownym spotkaniem rodziny. Jasnym punktem w ciemności. Chciała, ale nie mogła.

– Misja z *Burzą* w układzie Sol to cholerne ryzyko – powiedziała.

– Ale ma realną szansę ściągnięcia na siebie uwagi – zgodziła się Bobbie, nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Mówiła lekkim tonem, ale brzmiało w nim ostrzeżenie. – Wiesz, nie robię tego tylko dla siebie.

– Saba.

– I inni.

– Wciąż wracam myślami do Avasarali – powiedziała Naomi. W butelce zostało jeszcze trochę whiskey, więc naląła sobie na palec.

– Była wielką wojowniczką. Nigdy nie cofnęła się przed niczym, nawet gdy już przegrała.

– Była jedyna w swoim rodzaju – zgodziła się Bobbie.

– Była wojowniczką, ale nie żołnierką. Zawsze prowadziła w zmaganiach, tylko że robiła to, znajdując inne sposoby na osiągnięcie celu. Sojusze, presja polityczna, handel, logistyka. Jej strategia zawsze zakładała, że przemoc jest ostatecznością.

– Miała przewagę – zauważyła Bobbie. – Rządziła planetą, podczas gdy my jesteśmy bandą szczurów szukających szczelin w betonie. Będziemy musieli działać inaczej.

– Mamy przewagę – odparła Naomi. – Co więcej, możemy ją sobie wyhodować.

Bobbie bardzo ostrożnie odłożyła widelec. Mrok w jej oczach wcale nie był gniewem. A w każdym razie nie tylko gniewem.

– Lakonia to dyktatura wojskowa. Jeśli chcesz, żeby ktoś sprzeciwił się Duartemu, musimy pokazać ludziom, że można mu się sprzeciwić. Działanie wojskowe pokaże, że jest nadzieja. Jesteś Pasiarką, Naomi, dobrze o tym wiesz.

– Wiem, że to nie działa – odcięła się Naomi. – Pas przez pokolenia walczył z planetami wewnętrznymi...

– I wygrał – rzuciła Bobbie.

– Rzecz w tym, że wcale nie. Nie wygraliśmy. Trzymaliśmy się do czasu, aż przyszło coś większego i wywróciło planszę. Naprawdę uważasz, że dostalibyśmy coś takiego jak Związek Transportowy, gdyby nie pojawiły się wrota? Udało się nam wygrać tylko dzięki temu, że coś całkowicie niespodziewanego zmieniło zasady gry. Tylko że teraz zachowujemy się, jakby to samo miało zadziałać po raz drugi.

– My się zachowujemy?

– Saba się tak zachowuje – uściśliła Naomi. – A ty go wspierasz.

Bobbie odchyliła się na oparcie, przeciągając się jak zwykle, gdy czuła irytację. Wyglądała przy tym na większą, niż była w rzeczywistości, ale Naomi nie dało się łatwo przestraszyć.

– Wiem, że nie zgadzasz się z tym podejściem, i rozumiem, że nie jesteś zadowolona z tego, że Saba nie wprowadził cię w szczegóły,

ale...

– Nie w tym rzecz – wtrąciła się Naomi, ale nieskutecznie.

– Nikt nie argumentuje przeciwko uzyskaniu przewagi. Nikt nie twierdzi, że nie powinniśmy szukać także rozwiązań politycznych, ale pacyfizm działa tylko wtedy, gdy twój wróg ma sumienie. Lakonia ma głęboką tradycję dyscypliny wymuszanej karami i wiem... nie, wysłuchaj mnie. Wiem o tym, bo to także marsjańska tradycja. Ty dorastałaś w Pasie, ale ja na Marsie. Chcesz mi powiedzieć, że moja droga nie prowadzi do zwycięstwa? Dobrze, wierzę ci. Ale ja z kolei usiłuję ci uświadomić, że twoje łagodne podejście nie zadziała z tymi ludźmi.

– To gdzie nas to prowadzi?

– Tam gdzie zawsze – powiedziała Bobbie. – Robimy wszystko, co możemy, najdłużej, jak możemy, z nadzieją, że zdarzy się coś nieoczekiwanego. Pozytywny jest fakt, że coś nieoczekiwanego zdarza się prawie zawsze.

– To wcale nie jest tak pocieszające, jak ci się zdaje – odpowiedziała ze śmiechem Naomi, próbując rozładować napięcie.

Bobbie jej na to nie pozwoliła.

– Bo czasem tym, czego się nie spodziewamy, jest strata Clarissy i Holdena. Albo strata Amosa. Lub mnie, Aleksa albo ciebie. Ale to się nie zdarzy. Wszyscy w końcu stracimy siebie nawzajem i było to prawdą, zanim staliśmy się załogą. To właśnie znaczy urodzić się, wszystko inne to tylko detale. A moje detale są takie, że wykonuję ściśle tajną misję wojskową w systemie Sol, używając przechwyconego okrętu wroga przeciw niemu, ponieważ nawet jeśli to zły plan, to innego nie mam. I może podejmowane przeze mnie ryzyko zapewni ci przewagę.

Ale ja nie chcę, żebyś ryzykowała, pomyślała Naomi. Straciłam już zbyt wiele. Nie zniosę kolejnej straty.

Wyraz twarzy Bobbie odrobinę złagodniał. Może więc rozumiała.

Znajomy rytm kroków przed drzwiami ogłaszał nadejście Aleksa równie wyraźnie, jak gdyby wypowiedział swoje imię. Naomi głęboko wciągnęła powietrze i zmusiła się do odprężenia.

Nie chciała zepsuć spotkania także dla niego.

Rozdział trzeci

Aleks

Bobbie i Naomi znowu się kłóciły.

Udawały luz, gdy wrócił do salki, ale widział, że pod jego nieobecność nastąpiło tu ostre starcie. Naomi opuściła głowę tak, by włosy opadły jej na oczy, jak zwykle, gdy była zezłoszczona. Twarz Bobbie była o stopień ciemniejsza, zaczerwieniona z podniecenia lub złości. Aleks mieszkał na jednym statku z Naomi przez dziesięciolecia, a Bobbie dołączyła do nich tylko trochę później, więc prawie niczego nie mogli przed sobą ukryć.

Bolało go trochę, że w ogóle próbowali ukrywać starcie, bo przez to on też musiał udawać, że niczego nie zauważył.

– Wszystko załatwione – oznajmił.

Bobbie kiwnęła głową i zastukała palcami o blat stołu. Naomi posłała mu lekki uśmiech zza kurtyny włosów.

Mógłby się założyć, że kłóciły się o to samo co zawsze, od kiedy tylko opuścili Freehold. Jedynym bezpiecznym działaniem było udawanie, że wszystko jest w porządku. Mądry człowiek nie próbuje wkraczać między dwójkę walczących zwierząt, ale nawet idiota nie próbuje się wtrącać w kłótnię między Naomi Nagatą a Bobbie Draper. Przynajmniej jeśli chce zachować wszystkie palce. Oczywiście w sensie metaforycznym.

– No dobrze... – zaczął Aleks, przeciągając słowo, aż zabrzmiało niezręcznie.

– No tak – odpowiedziała Naomi. – Mam dużo do zrobienia, zanim schowam się z powrotem w swojej skrzynce.

Bobbie przytaknęła, zaczęła coś mówić i urwała. W jednej chwili pokonała odległość dzielącą ją od Naomi i chwyciła ją w uścisk potężnych ramion. Choć obie były z grubsza tego samego wzrostu, Bobbie była cięższa od Naomi o przynajmniej czterdzieści kilogramów. Wyglądało to tak, jakby niedźwiedź polarny obejmował wieszak na ubrania. Jednakże nie był to początek walki, bo obie kobiety płakały i klepały się wzajemnie po plecach.

– Dobrze było cię zobaczyć – powiedziała Bobbie, tuląc Naomi trochę mocniej i unosząc ją z podłogi.

– Brakuje mi was – odpowiedziała Naomi – Obojga. Bardziej, niż potrafię powiedzieć.

„Obojga” zabrzmiało jak zaproszenie, więc Aleks podszedł i objął je obie. Chwilę później na jego policzkach też pojawiły się łzy. Po jakimś czasie, gdy nadeszła właściwa chwila, rozdzielili się. Bobbie wytarła oczy chusteczką, ale Naomi zignorowała mokre smugi na twarzy. Uśmiechała się. Aleks zrozumiał, że był to chyba pierwszy jej szczerzy uśmiech, od kiedy Holden został wywieziony na Lakonię. Zaczął się przez to zastanawiać, jak bardzo samotne prowadziła teraz życie, ukryta w kontenerze towarowym, przenoszona ze statku na statek i ze stacji na stację. Choć był to wybór, którego dokonali wspólnie, poczuł ukłucie poczucia winy za zostawienie jej samej w ten sposób. Jednakże Bobbie potrzebowała pilota, a Naomi w roli wędrującej polityczki nie. I nie chciała go.

– Kiedy znowu się zobaczymy? – zapytała Bobbie.

– Chciałabym wiedzieć – odparła Naomi. – Długo będziecie w Sol?

– To nie zależy ode mnie.

Odpowiedzi Bobbie towarzyszyło wzruszenie ramion. Tym razem była to prawda, ale nawet gdyby tak nie było, odpowiedź i tak brzmiałaby tak samo. Nigdy nie było wiadomo, kto słucha ich rozmów, a nawet tutaj, na stacji Związku Transportowego, w pokoju na tyłach baru sympatyzującego z SPZ, trudno było zrezygnować z przyzwyczajenia do zachowywania tajemnicy.

Jakby na sygnał, zabrzączał ręczny terminal Aleksa. Byli już gotowi do przeniesienia *Burzy* z bieżącego statku do nowego. Nie tylko Naomi prowadziła życie w formie gry w kubki o bardzo wysokiej stawce.

– Muszę iść dopilnować transferu, szefowo – zwrócił się do Bobbie.

– Pójdę z tobą – odpowiedziała, a potem ostatni raz mocno uścisnęła Naomi. – Trzymaj się bezpiecznie, pierwsza.

– Ostatnio to wszystko, co robię – odparła ze smutnym uśmiechem Naomi.

Zostawienie jej wydawało się niewłaściwe. Jak zawsze.

* * *

Aleks nigdy nie przyznałby się do tego na głos, ale *Zwiastun burzy* ciągle strasznie go przerażał. *Rosynant* wciąż był jego pierwszą miłością. Jak narzędzie, które dopasowało się do kształtu trzymającej je dłoni, *Ros* był wygodny, znajomy i bezpieczny. Choć był groźną jednostką bojową, był też jego domem. Wydawał się „odpowiedni”. Bardzo za nim tęsknił.

Burza kojarzyła mu się z mieszkaniem wewnątrz obcej istoty udającej przesadnie dopakowany statek wyścigowy, na którym ktoś zamocował jeszcze mnóstwo uzbrojenia. Podczas gdy latanie *Rosem* było jak współpraca ze statkiem będącym przedłużeniem jego woli, w przypadku *Burzy* było to bardziej negocjowanie z niebezpiecznym zwierzęciem. Za każdym razem, gdy siadał w fotelu pilota, martwił się, czy nie zostanie ugryziony.

Bobbie przeszła przez statek z technikami od dzioba do rufy i zapewniła go, że w specyfikacji nie ma nic, co czyniłoby *Burzę* groźną dla załogi, a przynajmniej nie bardziej, niż niebezpieczne dla swoich załóg były wszystkie statki kosmiczne. Aleks nie dał się przekonać. W korzystaniu ze sterowania było coś, przez co miał wrażenie, że statek nie reaguje na jego ruchy, a raczej, że je interpretuje i zgadza się z nimi, równocześnie podejmując swoje

własne, cholerne decyzje. Jedyłą osobą, której kiedyś to wyznał, był jego drugi pilot, Caspar Asoau.

– To znaczy... wiesz, owszem, dżojstiki wydają się trochę luźne, ale nie jestem pewien, czy to znaczy, że statek się opiera – odpowiedział Caspar, posyłając mu podejrzliwe spojrzenie z ukosa.

Aleks więcej nie poruszał tego tematu, ale sterował statkami już od bardzo wielu lat i wiedział swoje. *Burza* miała w sobie coś więcej niż tylko metal, węgiel i to, czymkolwiek był ten kryształowy syf. Nawet jeśli nikt inny tego nie dostrzegał.

A mimo wszystko był to cholernie piękny statek.

Aleks stał przy małym okienku obserwacyjnym i patrzył, jak jest ostrożnie wyprowadzany przez otwarte drzwi hangaru ich dotychczasowego transportowca do nowego. Dwa olbrzymie transportowce osłaniały przemieszczającą się *Burzę*, a wszystkie trzy jednostki kryły się w cieniu centralnej kuli stacji. Układ dobrano bardzo świadomie, tak, by zablokować widok wszystkim znanym rządowym stacjom teleskopowym i radarowym. Wedle najlepszej wiedzy imperium Lakonii dwa ciężkie transportowce zadokowały na krótko przy tej samej stacji transferowej, pozbywając się lub pobierając jakiś ładunek, a potem poleciały w różne strony. Fakt, że z jednego do drugiego przeniesiono skradziony lakoński okręt wojenny, nie zostanie odnotowany w żadnych oficjalnych rejestrach ani utrwalony na nagraniach. Dzięki czemu *Burza* i jej załoga będą mogły dalej żyć, by walczyć kolejnego dnia. Zakładając, że niczego nie przeoczyli.

Lśniące kryształowo-metalowe boki statku jarzyły się własnym światłem nawet w gęstym cieniu ścian tworzonych przez burty dwóch frachtowców i stacji transferowej. Jasne białe chmury przegrzanego gazu błyskały i znikały w rytmie odpalania silników manewrowych. Przy sterach siedział Caspar, ostrożnie wyprowadzając lakoński niszczyciel z otwartej ładowni ich dotychczasowego statku i wprowadzając do nowego z wyćwiczoną swobodą. Często bawili się w tę grę i obaj piloci stali się ekspertami w przemieszczaniu statku w bardzo ciasnych przestrzeniach.

Jako były wojskowy Aleks zawsze odczuwał zaskoczenie faktem, że byli w stanie utrzymać konspirację. Szmuglowali skradziony imperialny okręt bojowy przez sieć wrót, ukrywając go w trzewiach statków Związku Transportowego. W procederze uczestniczyły bezpośrednio dziesiątki, a może nawet setki ludzi, ale jakoś udawało im się zachować to w tajemnicy.

Dotyczący niemal wszystkich spisków argument o brzytwie Okhama głosił, że ludzie niezbyt dobrze potrafią zachowywać tajemnice, więc wraz ze wzrostem liczby wtajemniczonych ryzyko ujawnienia informacji rosło wykładniczo. Jednakże z pomocą przyjaciół z byłego SPZ w Związku Transportowym przemykali się i ostrożnie wystawiali nos przez wiele miesięcy, a jak dotąd nikt nie próbował ich łąpać. Co stanowiło doskonały dowód na to, jak głęboko ruch oporu wrósł w kulturę Pasiarzy przez ostatnie stulecie czy dwa. Ukrywanie podziemia przed przeciwnikiem o przemożnej przewadze militarnej było zakodowane w ich DNA. Podczas dwudziestoletniej służby w marsjańskiej flocie, a potem walki z Wolną Flotą, brał udział w polowaniu na ich bardziej radykalne frakcje i często do furii doprowadzała go zdolność Pasiarzy do wykorzystania podstępów i walki partyzanckiej. Teraz to właśnie utrzymywało go przy życiu.

Nie był pewien, czy powinien doszukiwać się w tym ironii. Może uznać to za zabawne?

Burza zakończyła ukrywanie się w nowym frachtowcu. Był to olbrzymi transportowiec o kształcie grubego pocisku, nazwany *Łuk wahadła*. Wrota ładowni zasunęły się i zablokowały, a Aleks poczuł towarzyszące temu lekkie drżenie pokładu. Drzwi większe od niszczyciela miały znaczącą masę.

Aleks wyciągnął terminal i otworzył kanał do Bobbie.

– Dziecko zapakowane. Jak tylko powiesz, możemy ruszać.

– Potwierdzam – rzuciła Bobbie i zamknęła połączenie.

Zajmowała się końcowymi przygotowaniem ze swoim oddziałem. Szeptany telefon Saby nie powiedział im, na czym będzie polegać ich zadanie w układzie Sol, ale Bobbie tak gruntownie szkoliła swoich ludzi z podstaw, że konkretne zadanie stawało się tylko listą

kontrolną zadań do wykonania. Aleks miał wątpliwości, gdy Bobbie przyjęła na pokład grupę starej gwardii SPZ, wcisnęła ich do pancerzy wspomaganych lakońskich marines i powiedziała, że zmieni ich w prawdziwy oddział uderzeniowy do tajnych misji. Ale, do cholery, dokładnie to zrobiła. Przeprowadzili trzy akcje ze stuprocentową skutecznością i zerowymi stratami własnymi. Okazało się, że choć i tak Gunny Draper jest niezwykłym przeciwnikiem, to robi się jeszcze groźniejsza, jeśli może sobie wyszkolić wsparcie.

Musiał nastąpić taki moment, kiedy stało się to nową normą: granie w obejmującą transportowce wersję przekrętu na trzy kubki z *Burzą*, podczas gdy Saba, Naomi i reszta podziemia wybierali dla nich cele misji. Nie potrafił stwierdzić, kiedy ta chwila minęła. Wiedział tylko, że znowu stał się kierowcą autobusu, jak w dawnych czasach służby w FMRK, całe subiektywne wieki temu. Każdy dzień niósł ryzyko odkrycia, schwytania i śmierci. Każda operacja wysyłała Bobbie z jej oddziałem w maszynkę do mięsa dominium lakońskiego. Pomimo wszystkich odnoszonych sukcesów cały czas tańczyli na ostrzu noża. Gdyby miał dwadzieścia lat i nie był świadom swojej śmiertelności, pewnie by to uwielbiał.

Odwrócił się od okna obserwacyjnego i dźwignął torbę ze sprzętem. W drodze zabrzączał jego terminal.

– Zablokowany i wyłączony – poinformował Caspar.

– Przyglądałem się. Gładka robota. Gunny będzie prowadzić ćwiczenia, a ja już do nich idę. Na razie statek jest twój.

– Potwierdzam.

Korytarze stacji transferowej były skromne i funkcjonalne. Gładkie ceramiczne ściany w odcieniu brązu i podłoga wyściełane tylko w takim stopniu, by mieszkańcom nie groziły połamane pizzczele przy jednej trzeciej g generowanej przez obroty pierścienia mieszkalnego stacji. Aleks przemaszerował jednym z korytarzy pół kilometra, a potem zapukał do drzwi opisanych MAGAZYN 348-001.

Otworzył je Pasiarz o pobrużdżonej twarzy, który zlustrował korytarz po obu stronach Aleksa. Miał siwe włosy przycięte w wojskowym stylu, a jego oczy miały niemal taki sam kolor jak

włosy. Aleks zauważył ciężki czarny pistolet trzymany przez niego przy biodrze podczas sprawdzania korytarza. Nazywał się Takeshi Oba i był jednym z zabójców Bobbie.

– Czysto – zapewnił z uśmiechem Aleks, a Oba wpuścił go z mruknięciem.

Wszedł do pokoju bez wyposażenia o wymiarach mniej więcej pięć na dziesięć metrów i takich samych brązowych ścianach, jak korytarz na zewnątrz. Oddział stał w luźnym dwuszeregu naprzeciw przemawiającej do nich Bobbie. Kiwnęła głową wchodzącemu Aleksowi, ale nie przerwała przemowy.

– Pamiętajcie o jednym – mówiła. – Układ Sol jest najniebezpieczniejszym obszarem ze wszystkich, w jakich dotąd działaliśmy. Poziom zagrożenia dla naszego stylu działań bojowych ustępuje tylko Lakonii. Prawie każda skała lub kawał lodu większy od transportowca ma na sobie jakąś stację, teleskop albo stanowisko radarowe. Tutaj oczy są wszędzie.

Przez grupę przeszedł pomruk, choć Aleks nie wiedział, czy oznaczał niezadowolenie, czy zgodę.

– Na dodatek – mówiła dalej Bobbie – flota Koalicji Ziemsko-Marsjańskiej jest pod pełną kontrolą Lakonii, co oznacza, że w niczym nie pomoże nam tutaj stosunkowo nieduża liczba okrętów lakońskich, co jak dotąd było decydującym czynnikiem umożliwiającym nam działanie. Co gorsza, Lakończycy zostawili na orbicie Ziemi swój pancernik *Serce nawałnicy*. Został tam głównie w charakterze groźby, do zapewnienia posłuszeństwa planet wewnętrznych, ale jeśli nas wykryje, będzie bolało. *Burza* nie zdoła przetrwać starcia z pancernikiem klasy *Magnetar*. Kropka.

– Jakież wieści na temat celu? – zapytała Jillian Houston, córka gubernatora Freehold, Payne’a Houstona, która jako jedna z pierwszych dołączyła na ochotnika do oddziału Bobbie.

Była wysoka i koścista, z bardzo jasnymi blond włosami, ze strukturą kostną i mięśniami urodzonej Ziemiorki oraz wieczną zmarszczką niezadowolenia między oczami. Z czasem stała się nieoficjalną zastępczynią Bobbie, co martwiło Aleksa. Jillian była wredna jak wąż. Kiedy powiedział to Bobbie, odpowiedziała

„Dopilnuję po prostu, żeby nigdy nie zabrakło jej myszy”. Wciąż nie do końca wiedział, co to miało znaczyć.

– Nie. Dzieciaki na górze rozgrywają to, trzymając karty bardzo blisko piersi – odparła Bobbie. – Zaczynam mieć wrażenie, że dowiemy się dopiero w trakcie akcji.

– Doskonale – rzuciła Jillian.

– *Burza* jest gotowa do akcji i za trzydzieści godzin polecimy na *Wahadle* w stronę Słońca – powiedziała Bobbie. – Korzystajcie z czasu w Alei ojcostwa, ale dopilnujcie, żebyście przytomni trafili na statek za dwadzieścia cztery godziny od teraz, albo odkryjecie, jak przyjemnie chodzi się z moim butem w tyłku.

To wywołało falę zyczliwego śmiechu zebranych.

– Rozejść się.

Po kilku chaotycznych chwilach w pomieszczeniu zostali tylko Bobbie, Jillian i Aleks. Bobbie wciąż miała na sobie niewyróżniający się kombinezon pokładowy, w którym spotkała się z Naomi, ale Jillian ubrała się w czarny kombinezon wybrany przez oddział uderzeniowy Bobbie na ich nieoficjalny mundur. W kaburze przy biodrze miała też duży pistolet. Aleks nigdy nie widział jej bez broni. Dla obywateli Freehold noszenie broni było jak noszenie spodni.

– Nie podoba mi się, że Saba tak bardzo niczego nam nie mówi – odezwała się Jillian. – Mam wrażenie, że po prostu improwizuje.

– Może być mnóstwo uzasadnionych powodów, dla których szczegóły misji wciąż nie zostały ustalone – odpowiedziała Bobbie łagodnym, lecz stanowczym głosem. Przebijało z niego: „rozumiem twój niepokój, ale i tak wykonuj polecenia”.

– To musi być Kalisto – kontynuowała Jillian, jakby nie usłyszała ostrzeżenia w głosie Bobbie. – To jedyne, co ma jakąkolwiek wartość i znajduje się dość daleko od tego pancernika, żeby stanowić realny cel.

Bobbie zrobiła pół kroku w jej stronę i wyprostowała się, podkreślając różnicę wzrostu obu kobiet. Jillian umilkła, ale wcale nie ustąpiła. Nie dość, że wredna jak wąż, to jeszcze ma wielkie, stalowe jaja, pomyślał Aleks.

– Tego rodzaju spekulacje do niczego nie prowadzą. I szczerze mówiąc, są niebezpieczne – powiedziała Bobbie. – Zatrzymaj je dla siebie. Idź wypij drinka albo pić, wdaj się w jakąś bójkę w barze, jeśli musisz, ale oczyść się z tego i wróć jutro na *Burzę*. Wtedy będziemy wiedzieć więcej. Możesz odejść.

Do Jillian chyba wreszcie dotarło. Posłała Bobbie na wpół ironiczny salut i wymaszerowała z sali.

Aleks otworzył usta, a Bobbie wycelowała w niego palcem.

– Żadnego pieprzonego słowa.

– Tak jest – odparł. – Dzień na stacji i nic do zrobienia. Szkoda, że Naomi nie mogła jeszcze zostać, moglibyśmy zrobić coś więcej niż tylko zjeść razem kiepskie kibble.

– Ona też ma swoje zadanie – odpowiedziała Bobbie. Zacisnęła wargi w wąską kreskę.

– No dobra – stwierdził Aleks. – To powiesz mi, co między wami zaszło, czy będę musiał cię pobić, żeby to z ciebie wyciągnąć?

Złapana zniecka Bobbie parsknęła śmiechem, dokładnie tak, jak się spodziewał. To było tak, jakby chihuahua groziła gorylowi, a Aleks wyszczerzył się przy tym, potwierdzając, że to żart.

Bobbie westchnęła.

– Ona wciąż uważa, że powinniśmy wynegocjować się z tej sytuacji. Nie zgadzamy się w tej sprawie. Czas płynie, stanowiska się nie zmieniają.

– Dużo straciła – skomentował Aleks. – Boi się stracić całą resztę.

Bobbie chwyciła ramię Aleksa i ścisnęła je przyjacielsko.

– Cały czas próbuję jej to uświadomić, przyjacielu. W walce takiej jak ta, jeśli nie jesteś gotów stracić wszystkiego w imię zwycięstwa, stracisz wszystko, przegrywając.

Rozdział czwarty

Teresa

– Nie wiemy, jak sami siebie nazywali – powiedział pułkownik Ilich, leżąc na plecach w trawie, z rękami podłożonymi pod głowę. – Właściwie to nawet nie wiemy, czy w ogóle jakoś się nazywali. Mogli wcale nie używać języka.

Teresa знаła pułkownika Ilicha całe swoje życie. Był elementem świata, jak gwiazdy czy woda. Stanowił spokojną, pełną namysłu obecność w życiu pełnym po brzegi spokojnych, przemyślanych ludzi. Wyróżniał się tym, że całkowicie skupiał się na niej. I w ogóle się jej nie bał.

Poruszył się, przeciągnął.

– Niektórzy nazywają ich „protomolekułą”, choć tak naprawdę było to tylko stworzone przez nich narzędzie. To tak, jakby nazywać ludzi „obcęgami”. „Inżynierowie protomolekuły” to bliższa nazwa, ale trochę mało wygodna. „Pierwotny organizm”, „społeczeństwo obcych” albo „architekci” – wszystko to w zasadzie z grubsza oznacza to samo.

– Jak pan ich nazywa? – zapytała Teresa.

Zaśmiał się.

– Mówię na nich „Rzymianie”. Wielkie imperium, którego wzlot i upadek nastąpił w antyku i które zostawiło po sobie drogi.

To była ciekawa myśl. Teresa analizowała ją przez kilka chwil, jakby próbowała jej posmakować. Analogia spodobała się jej nie dlatego, że była szczególnie dokładna, ale tylko dlatego, że niosła

dobrze skojarzenia. To właśnie czyniło analogie przydatnymi. Jej umysł na kilka oddechów podążył w głąb tej króliczej nory, oglądając jej zawartość, ciekawe elementy, i uznając, że będzie musiała zapytać Timothy'ego o opinię. Zawsze miał do powiedzenia coś, co ją zaskakiwało. To dlatego go lubiła. Nie bał się jej ani trochę bardziej niż pułkownik Ilich, choć szacunek Ilicha miał posmak szacunku dla jej ojca, przez co był... niezupełnie mniejszy. Po prostu inny. Timothy szanował tylko ją.

Poczuła, że cisza przeciąga się zbyt długo. Ilich będzie oczekiwał, że coś powie, a Timothy nie był tematem, który chciała poruszać. Znalazła coś innego.

– Czyli to oni to wszystko zbudowali?

– Nie wszystko. Wrota, platformy konstrukcyjne, drony naprawcze. Artefakty, owszem. Ale wcześniej na innych planetach istniało życie. Stabilne replikatory nie są wcale tak rzadkie, jak kiedyś sądziliśmy. Trochę wody, nieco węgla, stały dopływ energii ze światła słonecznego albo komina termicznego? Dodaj do tego kilka milionów lat i przeważnie coś się z tego wykluje.

– A jeśli nie, to Rzymianie nie będą mieli niczego, z czym mogliby pracować.

– Wiemy o tysiąc trzystu siedemdziesięciu trzech przypadkach – przypomniał Ilich. – To dużo. Skolonizowane światy – włącznie z układem Sol – znajdowały się w sieci wrót tylko dlatego, że zawierały życie, które mogli przejąć Rzymianie. Kilka setek układów w galaktyce zawierającej ich miliardy.

Ilich był dość stary, by dla niego cudem było cokolwiek powyżej jednego. Teresa nie dorastała w samotnym wszechświecie, jakiego zaznał pułkownik. Dorastała w swoim samotnym wszechświecie, a tych dwóch w żaden sposób nie dało się porównać.

Zamknęła oczy i obróciła twarz do słońca. Światło i ciepło przyjemnie oddziaływały na jej skórę. Blask przebijał się przez powieki, nadając wszystkiemu czerwoną barwę. Fuzja jądrowa przefiltrowana przez krew.

Uśmiechnęła się.

Teresa Angelica Maria Blanquita Li y Duarte wiedziała, że nie jest zwykłym dzieckiem, tak samo jak wiedziała, że światło odbijające się od gładkiej powierzchni ulega polaryzacji. Nieszczerólnie przydatny element wiedzy akademickiej. Była jedyną córką wysokiego konsula Winstona Duarte, co samo w sobie znaczyło, że jej dzieciństwo było dziwne.

Całe swoje życie przeżyła w pomieszczeniach – lub okazjonalnie i potajemnie tuż poza nimi – Budyńku Rządowego na Lakonii. Od czasów niemowlęstwa sprowadzano do niej inne dzieci, by zapewniały jej towarzystwo w zabawie i nauce. Zwykle pochodziły z najbardziej ustosunkowanych rodzin imperium, ale czasami nie, bo ojciec chciał, by poznała bardzo różnorodnych ludzi. Pragnął jej zapewnić życie możliwie zbliżone do normalnego, by stała się jak najbardziej podobna do zwykłej czternastolatki. I udawało mu się to w pewnym stopniu, ale ponieważ mogła się w ocenach opierać tylko na swoim życiu, nie potrafiła tak naprawdę stwierdzić, jak bardzo mu się udało.

Miała wrażenie, że rówieśnicy byli bardziej życzliwymi znajomymi niż prawdziwymi przyjaciółmi. W szczególności Muriel Cowper i Shan Ellison traktowały ją najlepiej, a przynajmniej w sposób najbardziej zbliżony do tego, jak traktowały innych uczniów w jej klasie.

Osobną kategorię stanowił Connor Weigel, uczęszczający do jej klasy niemal tak długo, jak ona. Zajmował w jej sercu szczególne miejsce, którego w dziwny sposób nie miała ochoty analizować.

Jeśli czuła się samotna – a zakładała, że tak jest – nie miała tego z czym porównać. Gdyby wszystko na świecie było czerwone, nikt by o tym nie wiedział. Bycie wszędzie było równie dobrym sposobem na stanie się niewidocznym, jak bycie nigdzie. To kontrast nadawał kształt rzeczom. Światło rodziło mrok, pełnia tworzyła pustkę. Samotność definiowała granice tego, czym była nie-samotność. Wszystko było względne.

Zaczęła się zastanawiać, czy tak samo jest z życiem i śmiercią. A przynajmniej z życiem i nie-życiem.

– Co ich zabiło? – zapytała, otwierając oczy. Wszystko wydawało się niebieskie. – To znaczy pańskich Rzymian.

– No cóż, to następny krok, prawda? – odpowiedział pułkownik Ilich. – Odkrycie odpowiedzi na to pytanie, a potem stworzenie strategii poradzenia sobie z tym. Wiemy, że cokolwiek to było, wciąż gdzieś tam jest. Widzieliśmy, że reaguje na nasze działania.

– To coś na *Nawałnicy* – stwierdziła Teresa.

Widziała raport na ten temat. Gdy admirał Trejo po raz pierwszy użył głównej broni okrętu klasy *Magnetar* w normalnej przestrzeni, zdarzyło się coś, co na kilka minut pozbawiło przytomności wszystkich ludzi w układzie Sol i zostawiło zniekształcenie wizualne na samym statku, zakotwiczone do jego współrzędnych odniesienia. Dlatego właśnie James Holden trafił do pałacu, co tak naprawdę było aspektem całej sprawy, który miał na nią największy wpływ.

– Dokładnie – potwierdził Ilich. Obrócił się na brzuch i oparł się na łokciach, by na nią popatrzeć. Nawiązanie kontaktu wzrokowego było jego sposobem na zasygnalizowanie, że powie coś ważnego. – To największe zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa. Rzymianie zginęli dlatego, że natknęli się na jakieś zjawisko naturalne, na które nie byli przygotowani, albo dlatego, że zabił ich wróg. Tego właśnie próbujemy dowiedzieć się w pierwszej kolejności.

– Jak? – zapytała.

– Nie wiemy, jak zabito Rzymian. Wciąż jesteśmy dopiero na granicy zrozumienia, czym byli w porównaniu do nas.

– Nie. Pytałam o to, jak próbujemy się dowiedzieć, czy był to wróg, czy zjawisko naturalne?

Pułkownik Ilich przytaknął, by dać jej znać, że to dobre pytanie. Wyciągnął swój terminal ręczny, stuknął w niego kilka razy i wywołał tabelę.

	Teresa współpracuje	Teresa zdradza
Jason współpracuje	T3, J3	T4, J0

Jason zdradza	T0, J4	T2, J2
------------------	--------	--------

– Dylemat więźnia – skomentowała Teresa.

– Pamiętasz, jak to działa?

– Oboje decydujemy, czy współpracować, czy zdradzić, nie rozmawiając ze sobą. Jeśli oboje współpracujemy, oboje dostajemy trzy punkty. Jeśli współpracuje tylko jedno z nas, nie dostaje żadnych punktów, a zdradzający dostaje cztery. Jeśli oboje zdradzimy, oboje dostajemy dwa. Problem polega na tym, że niezależnie od tego, co zrobię, lepszy wynik uzyskam, zdradzając. Dostanę cztery zamiast trzech, jeśli pan będzie współpracował, lub dwa zamiast niczego, jeśli to pan zdradzi. To znaczy, że zawsze powinnam zdradzić, ale ponieważ ta sama logika dotyczy pana, pan też zawsze powinien zdradzić, przez co oboje zdobędziemy mniej punktów, niż gdybyśmy oboje współpracowali.

– To jak można to naprawić?

– Nie da się. To jak powiedzenie „to stwierdzenie jest fałszywe”. Po prostu dziura logiczna – odpowiedziała Teresa. – To znaczy... chyba tak, prawda?

– Nie, jeśli zagrasz w to więcej niż raz – wyjaśnił Ilich. – Jeśli będziesz w to grać wielokrotnie przez bardzo długi czas. Za każdym razem, gdy drugi gracz zdradzi, następnym razem robisz to ty. A potem wracasz do współpracy. Nazywa się to „wet za wet”. Jeśli chcesz, mogę ci przesłać analizę tego problemu z punktu widzenia czystej teorii gier, ale nie potrzebujesz jej w tej chwili.

Teresa przytaknęła, ale powoli. Czowała się, jakby miała wate w głowie, co zwykle działo się, kiedy myślała o czymś intensywnie, nie do końca wiedząc świadomie, nad czym myśli. Zwykle krótko potem pojawiała się coś interesującego. Lubiła to uczucie.

– Pomyśl o tym jak o szkoleniu Piżmak, gdy była jeszcze szczeniakiem – zasugerował Ilich. – Szczeniak sika na dywan, więc go besztasz. Ale nie robisz tego w nieskończoność, tylko raz, zaraz po fackie, a potem wracasz do zabawy z nim, głaskania i traktowania

jak szczeniaka. On zdradza, ty zdradzasz, a potem wracasz do współpracy.

– Do czasu, aż odkryje, że istnieje lepsza strategia – zauważyła Teresa.

– A to zmienia jego zachowanie. To najbardziej elementarny, najprostszy sposób, w jaki możemy negocjować z czymś, z czym nie możemy rozmawiać. Ale co będzie, jeśli postąpisz tak samo z przyływem? Ukarzesz fale za zmożenie dywanu?

Teresa zmarszczyła czoło.

– Dokładnie – rzucił pułkownik Ilich, jakby powiedziała to na głos. – Jeśli zbesztasz przyływ, to nie będzie miało znaczenia. Nie przejmuję się tym. Nie uczy się. A co najważniejsze, nie zmieni się. Twój ojciec zamierza zagrać wet za wet z siłą, która zabiła Rzymian, i będziemy obserwować, czy to zmieni jej zachowanie. Jeśli nie, przyjmujemy hipotezę, że natrafili na prawo przyrody, jak wywołujące przyływy ciśnienie czy prędkość światła. Wtedy będziemy mogli je studiować i znaleźć sposoby na obejście go. Ale jeśli się zmieni...

– Wtedy będziemy wiedzieć, że to coś żywego.

– Na tym polega różnica między eksploracją a negocjowaniem – powiedział pułkownik Ilich, wskazując na nią.

Poczuła napływ przyjemności, jakiej zaznawała, gdy udało się jej znaleźć dobre rozwiązanie trudnego problemu, ale coś nie dawało jej spokoju.

– Ale to zabiło Rzymian.

– Wojna też jest rodzajem negocjacji – odpowiedział.

* * *

Pokoje Teresy mieściły się w północnym skrzydle Budynku Rządowego, podobnie jak ojca. To był jedyny znany jej dom. Sypialnia urządzone w wojskowym stylu, prywatna łazienka i pokój będący wcześniej bawialnią, a teraz biurem, choć różnice między nimi były głównie kosmetyczne. Kiedy była gotowa do pozbycia się

zdobiących pokój dinozaurów i szczeniaczków, powiedziała o tym, a następnego dnia przyszedł projektant, by pomóc jej wybrać nowe kolory i układ mebli. Jej kąt Budynku Rządowego nie był duży ani ostentacyjny, ale to ona decydowała o jego wyglądzie i urządzeniu. Jej mała bańka autonomii.

Zdecydowała się urządzić biuro tak, by wyglądało jak laboratorium naukowe. Biurko było dość wysokie, by przy nim stać, ale stały też przy nim wysokie stołki, gdyby zdecydowała się usiąść. Wschodnią ścianę wypełniał ekran ustawiony na wyświetlanie animacji prostych dowodów matematycznych i geometrycznych, gdy nie oglądała wiadomości ani kanału rozrywkowego. Nie chodziło o to, że rozumie całą prezentowaną matematykę, po prostu uważała, że są ładne. Dowody były bardzo eleganckie, a wyświetlanie ich tam przypominało jej o własnej inteligencji. Lubiała o niej pamiętać.

Miała tam też i kanapę dość długą, by mogła się na niej rozciągnąć i zmieścić Piżmak, sukę labradora, która zwijała się u jej stóp. Oraz okno z prawdziwego szkła, wychodzące na formalny ogród. Bywały dni, gdy – jeśli nie spędzała czasu z pułkownikiem Ilichem lub na zajęciach – układała się na kanapie z Piżmak i całymi godzinami czytała książki albo oglądała filmy. Miała dostęp do wszystkiego, co zostało zatwierdzone przez cenzora – jej ojciec bardzo liberalnie podchodził do udostępniania jej literatury i filmu – a ona gustowała w historiach o dziewczynach żyjących samotnie w zamkach, pałacach lub świątyniach. Jak na tak unikatowe wymagania okazało się, że jest w czym wybierać.

Jej obecnym faworytem był dziesięciogodzinny serial, którego akcja działa się na Marsie przed otwarciem wrót, pod tytułem *Piąty tunel*. W serialu dwunastoletnia bohaterka – teraz już młodsza od Teresy, ale była od niej starsza, gdy pierwszy raz to oglądała – odkryła tajny tunel pod miastem Innis Deep i dostała się nim do podziemnej społeczności z elfami i wrózkami, potrzebującymi pomocy w dotarciu z powrotem do swojego wymiaru.

Wszystko to wydawało się szalenie egzotyczne, a idea dziewczynki prowadzącej całe życie pod ziemią do tego stopnia

zawładnęła jej wyobraźnią, że zasłoniła okna kocami i udawała, że ciemność to efekt marsjańskiej ziemi. Zdumiało ją, gdy ojciec powiedział, że ta część historii była prawdziwa – że istnieje miasto Innis Deep, a marsjańskie dzieci faktycznie żyją w tunelach i podziemnych miastach – i że zmyślono tylko elfy i wróżki.

Oglądała to ponownie, gdy przyszedł ojciec. Właśnie dotarła do części, w której dziewczynka – jej imienia nigdy nie wspomniano – biegła przez ciemny korytarz, uciekając przed złą wróżką Pinsleep, kiedy rozległo się pukanie. Zbierała się do odpowiedzi, ale drzwi same się otworzyły. Tylko tata sam otwierał jej drzwi, wszyscy inni czekali, aż zrobi to ona.

Zabiegi zmieniły go przez ostatnie kilka lat, ale z drugiej strony ją zmieniało samo dorastanie, więc wcale nie wydawało się to dziwne. W białkach jego oczu pojawiły się tęczowe przebłyski jak w oleju rozlanym na wodzie, a paznokcie mu pociemniały, ale to był tylko wygląd. Został taki sam na wszystkie sposoby, które się liczyły.

– Nie przeszkadzam? – zapytał jak zwykle. Co było częściowo żartobliwe, bo nie miała niczego, w czym mógłby przeszkadzać, ale tylko częściowo. Gdyby kiedyś zaprotestowała, zostawiłby ją w spokoju.

Bezimienna dziewczynka krzyknęła, gdy Pinsleep rzuciła się w jej stronę. Teresa zatrzymała program, zamrażając w powietrzu ofiarę i napastniczkę. Ojciec podrapał szerokie uszy Piżmak, która sapnęła, uderzając radośnie ogonem o kanapę.

– Za dwie godziny będę miał odprawę – powiedział. – Chciałbym, żebyś wzięła w niej udział.

Teresa poczuła lekkie ukłucie irytacji. Chciała zaraz po zakończeniu filmu wyjść i odwiedzić Timothy'ego. Gdyby dowiedzieli się, że opuszcza teren budowli bez pozwolenia...

– Zrobiłam coś złego?

Ojciec zamrugnął, a potem się roześmiał. Piżmak wcisnęła głowę w jego dłoń, domagając się dalszych pieszczot. Wrócił do drapania jej po uszach.

– Ależ skąd. Spotkanie dotyczy raportu admirała Walthe na temat planu rozbudowy kompleksu Bara Gaon. Nikt nie oczekuje twoich

uwag, ale chciałbym, żebyś się przysłuchiwała. Później będziemy mogli o tym porozmawiać.

Teresa przytaknęła. Jeśli chciał tylko tyle, to oczywiście mogła, ale wydawało się to nudne. I dziwne. Spojrzenie ojca na chwilę straciło skupienie, jak czasem mu się zdarzało, a potem pokręcił głową, jakby próbował ją oczyścić. Oparł się o bok kanapy, nie do końca siedząc, ale też nie stojąc. Mocno dwa razy klepnął bok Piżmak, w sposób oznaczający, że to koniec pieszczot. Psica westchnęła i opuściła głowę na poduszkę.

– Coś cię martwi – zauważył.

– Coraz częściej prosisz mnie, żebym to robiła – odpowiedziała. – Robię to niewłaściwie?

Roześmiał się ciepło, dzięki czemu trochę się odprężyła.

– Kiedy byłem w twoim wieku, starałem się o wcześniejsze dopuszczenie do studiów. Jesteś jak ja: szybko się uczysz, a ja chcę za tobą nadążyć. Sprowadzam cię na odprawy coraz częściej, bo jesteś już dość duża, by zrozumieć rzeczy, których nie pojmowałaś jako dziecko. A pułkownik Ilich mówi, że jesteś na bieżąco z nauką. Nawet w zaawansowanych tematach.

Poczuła dumę, ale i zmieszanie. Ojciec westchnął.

– Zapewnienie ludziom bezpieczeństwa to ciężka praca – powiedział. – Część tego wynika z faktu, że zmagamy się z bardzo niebezpiecznymi i nieznanymi zagrożeniami. Wolałbym, żeby tak nie było, ale moje życzenia niczego nie zmieniają. A druga część to fakt, że pracujemy z ludźmi.

– A ludzie to straszne, straszne mały – odpowiedziała Teresa.

– Tak, to prawda – zgodził się ojciec. – Niemal cały czas mamy bardzo wąskie horyzonty. Włącznie ze mną. Ale próbuję być lepszy.

Sposób, w jaki to powiedział, zasugerował zmęczenie. Pochyliła się, a Piżmak uznała to za znak, że szuka kogoś do głaskania. Przesunęła się, dysząc ciepłym powietrzem w twarz Teresy, aż dziewczynka łagodnie odsunęła psa.

– Czy to znaczy, że rozbudowa kompleksu Bara Gaon jest naprawdę ważna? – zapytała Teresa.

– Wszystko jest ważne. Wszystko – zapewnił ojciec. – A w związku z tym każda część musi móc zawieść w taki sposób, żeby nie zniszczyć całego projektu. Włącznie ze mną. I dlatego właśnie coraz częściej proszę cię, żebyś przychodziła na odprawy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – obruszyła się.

– Nic mi nie jest – zapewnił ojciec. – Wszystko jest w porządku, nie ma żadnego problemu. Po prostu chodzi o to, że... gdyby kiedyś się pojawił, w przyszłości. Za dziesięciolecie. Ktoś musiałby znać i rozumieć kształt całego planu i móc go przejąć. A ludzie ufają temu, co już znają. Zmiana na stanowisku wysokiego konsula byłaby trudna w każdych okolicznościach, ale sytuację złagodziłaby towarzysząca jej ciągłość. Sukcesja. Chcę cię wyszkolić do tego, gdyby – niech Bóg broni – coś mi się stało.

– Ale czemu miałabym być w tym dobra tylko dlatego, że ty taki jesteś? – zapytała. – Nie ma powodu, żeby tak uważać. To głupie.

– Owszem – zgodził się ojciec. – Ale to błąd, jaki ludzie popełniali przez całą historię. A skoro to wiemy, oboje możemy użyć narzędzia, jakie mamy do dyspozycji. Przychodź uczestniczyć w odprawach i spotkaniach. Słuchaj. Obserwuj. Rozmawiaj ze mną później. To następny etap twojej edukacji. Na wypadek, gdybyś musiała przejąć moje obowiązki, żebyś faktycznie stała się przywódczynią, której będą potrzebować. – Potrzebowała paru chwil na zrozumienie, co tak naprawdę mówi. Najważniejsze chwile w życiu powinny nieść ze sobą więcej ceremonii i efektów specjalnych. Ważne słowa – te zmieniające życie – powinny pobrzmiwać echem. Ale tak nie było. Brzmiały tak, jak wszystkie inne.

– Chcesz mnie szkolić, bym została następną wysoką konsulką?

– Na wypadek, gdyby coś mi się stało – potwierdził Duarte.

– Ale tylko na wszelki wypadek – upewniła się. – Tylko na wszelki wypadek.

– Na wszelki wypadek, księżniczko – zapewnił.

Rozdział piąty

Elvi

Kilkadziesiąt lat wcześniej i około dwustu tysięcy trylionów kilometrów od miejsca, gdzie właśnie siedziała, maleńki zgęstek aktywnej protomolekuły w nośniku biologicznym wszedł na orbitę planety zwanej Ilus, lecąc jako pasażer na gapę okrętu *Rosynant*.

Próbując nawiązać kontakt z innymi węzłami dawno upadłego imperium budowniczych bram, półświadoma inteligencja protomolekuły obudziła mechanizmy uspione przez miliony – a może nawet miliardy – lat. Efektem tych działań było przywrócenie do życia starożytnej fabryki, atak olbrzymiego robota, stopienie sztucznego księżyca i wybuch elektrowni, który prawie rozerwał planetę na pół.

W sumie cholernie gówniane przeżycie.

Kiedy więc zespół Elvi wyprowadzał katalizator z izolacji w niezbadanych układach, by ten przeprowadził podobne, choć może odrobinę bardziej kontrolowane sięganie do artefaktów i pozostałości, pilnowała, by robili to ostrożnie. Obserwowali, co się działo, byli gotowi schować katalizator z powrotem do pudła i nie zbliżali się za bardzo do niczego.

– *Jastrząb* na pozycji – oznajmił pilot.

Gdyby coś poszło katastrofalnie źle, pilot, Sagale lub Elvi mogli wydać pojedynczy rozkaz – *ewakuacja ratunkowa* – podając swoje imię i nazwisko oraz kod autoryzacji delta-osiem, a statek zająłby się całą resztą. Biorąc pod uwagę przesadnie wielki silnik *Jastrzębia*

oraz jego potężne przyśpieszenie, każdy, kto nie znajdowałby się w jednej ze specjalnie zaprojektowanych prycz do wysokiego ciśnienia, zostałby ranny lub zabity, ale zebrane dane by przetrwały. Lakonia stosowała dużo tego rodzaju zabezpieczeń. Nie była to jej ulubiona część pracy.

– Dziękuję, poruczniku – odpowiedział admirał Sagale. On też siedział przypięty do pryczy przeciążeniowej na mostku, co było kolejną oznaką tego, jak poważnie traktował swoją część zadania. – Major Okoye, może pani kontynuować.

– Wyprowadźcie ją – powiedziała do interkomu Elvi. W tej sytuacji była tylko jedna „ona”.

Elvi siedziała w specjalnie zmodyfikowanej lakońskiej pryczy przeciążeniowej otoczona ekranami. Instrumenty mogły zostać pochowane w niecałą sekundę, a komorę pryczy mógł krótko potem wypełnić specjalny, pozwalający na oddychanie płyn do lotów z wysokim przeciążeniem. Była jedną z niewielu osób dostatecznie ważnych, by nie szczędzono żadnych nakładów na utrzymanie jej przy życiu. Czowała się, jakby siedziała wewnątrz torpedy. W zasadzie tego nie znosiła.

Na jednym z ekranów kamera śledziła ruch katalizatora wywożonego ze swojego sejfu na zaawansowanym wózku wyposażonym w mnóstwo czujników. Łączność protomolekularna działała w obie strony. To, co działo się z ich próbką, było równie ważne dla ich badań, jak aktywność w martwym układzie, której być może za chwilę doświadczą.

Wózek katalizatora sunął korytarzem na magnetycznych kołach do pomieszczenia tuż przy powłoce statku, z dala od wszystkich osłon radiacyjnych oraz zaawansowanej technologicznie magii stosowanej przez zespół Cortázara do odcięcia próbki od świata poza wrotami.

Nic się nie stało.

– Jeszcze nie mamy odpowiedzi – poinformował Travon.

– Jejku, serio? – odpowiedział Fayez z sarkazmem w głosie przeznaczonym dla wszystkich innych. Travon by go nie usłyszał.

Choć protomolekuła mogła prowadzić łączność w sposób wyglądający na szybszy od światła, to gdy już została nawiązana, nie zaczynała jej od razu. Ponieważ lokalność nie była dla protomolekuły czymś istotnym, w przeciwieństwie do prędkości światła, Elvi podejrzewała, że łączność obejmowała coś w rodzaju uzgadniania protokołu łączności nawiązywanej przez węzły. Było to coś pomiędzy domysłem a metaforą, ale ułatwiało jej myślenie o całym procesie.

Jej próbka pochodziła z zagród laboratoryjnych Cortázara. Jeszcze do niedawna wcale nie istniała. Wszystko, z czym próbowali tu nawiązać kontakt, czekało od czasów, gdy ludzkość była jeszcze wyuzdanym pomysłem, na jaki wpadły dwie ameby, więc gdy jej węzeł pierwszy raz osiągał bliskość fizyczną – co znaczyło znalezienie się gdzieś w tym samym Układzie Słonecznym – elementy nawiązywały ze sobą jakieś relacje na bieżąco. Co było fantastyczne, ale i dziwne. I nie tak miało działać splątanie kwantowe. Chyba że właśnie tak działało.

Prowadząc badania nad protomolekułą i cywilizacją, która ją stworzyła, Elvi często cieszyła się, że nie jest fizyczką. To, co protomolekuła robiła z systemami biologicznymi, choć jeszcze nie było całkowicie zrozumiałe, przynajmniej sprawiało wrażenie, jakby któregoś dnia mogło zostać pojęte. Mechanizmy używane przez nią do przechwytywania życia i wykorzystywania go do swoich celów były niezwykle zaawansowane, ale nie całkowicie odmienne od tego, co robiły wirusy i pasożytnicze grzyby. Nie rozumiała jeszcze wszystkich reguł, ale miała wrażenie, że jeśli poświęci temu dość czasu i badań, to może jej się to uda.

To, co protomolekuła robiła z fizyką, wyglądało nie tyle na wariacje na temat i rozwój standardowych modeli, ile na wywrócenie stołu do gry i rozrzucenie elementów po całej podłodze. Elvi zastanawiała się, czy nieustanne luźne żarty Jen Lively były jej sposobem na niepopadnięcie w szaleństwo za każdym razem, gdy jej rozumienie rzeczywistości co chwila było darte na strzępy.

– Mam reakcję – zgłosił Travon.

– Owszem – potwierdziła Jen. – Coś dzieje się w obiekcie.

– Jakie było opóźnienie? – zapytała Elvi.

– Osiemnaście minut.

Byli o dziewięć minut świetlnych od struktury, co raczej potwierdzało hipotezę nawiązywania połączenia rozchodzącego się z prędkością światła lub czymś podobnym. Powinna zapisać tę hipotezę i skonsultować ją z ludźmi od nanoinformatyki.

Ekrany Elvi oszalały od informacji z czujników zainstalowanych na katalizatorze. Danych było za dużo, by analizować je w czasie rzeczywistym, więc Elvi pozwoliła im się przelewać przez nią jak fala wykresów i liczb. Później będzie mnóstwo czasu na próby dojścia do tego, co to wszystko znaczy.

– Na razie wygląda stabilnie – poinformował Travon.

– Zawsze miło, gdy rzeczy nie zaczynają od razu wybuchać – skomentowała Elvi, ale nikt się nie zaśmiał.

– Wiecie, od czego diamenty robią się zielone? – Jen zapytała wszystkich i nikogo konkretnego. – Sprawdziłam.

– Promieniowanie – odpowiedział Fayez.

Oczywiście, że wiedział. On też był w zespole Ilusa, jako geolog. Podczas gdy otwarcie protomolekularnej sieci wrót dało Elvi ponad tysiąc trzysta biosfer do studiowania, Fayezowi zapewniło dziesięć razy tyle układów geologicznych do badań. Niektóre z nich tak egzotyczne, jak niesamowicie wielki kawał węglowego kryształu o naprawdę ładnym kolorze.

– Zielone mogą się zrobić diamenty powstające w obecności promieniowania. Niektórzy myślą je ze szmaragdami, ale to całkiem inny minerał. Szmaragdy to beryl, nie węgiel.

– Ukradłeś mi moją rewelację – zamarudziła Jen. – Ale założę się, że to oznacza dużo większą aktywność gwiazdy w okresie, gdy powstawał ten obiekt. Na podstawie danych o cyklu życia gwiazdy szacuję, że ten obiekt ma prawie pięć miliardów lat. To coś wisi tu przez mniej więcej jedną trzecią czasu, no wiecie, istnienia wszechświata.

– To czyniłoby z niego jeden z najstarszych znalezionych artefaktów – zauważył nagle zainteresowany Travon. – Może coś z czasów samych początków ich cywilizacji.

– Fascynujące – wtrącił się Sagale głosem sugerującym zniecierpliwienie. – Co to robi?

„Co to robi takiego, co pomoże nam walczyć z upiorami spoza czasu i przestrzeni?” – to było jego prawdziwym pytaniem. Przy całym ich nieograniczonym budżecie, przydzielonych jej najlepszych zespołach naukowych i specjalnie dla niej zbudowanym najnowocześniejszym statku, Dyrektoriat Naukowy i wysoki konsul interesowali się tylko jednym wynikiem. „Jak możemy powstrzymać to coś, co zjada statki przelatujące przez wrota?”

– Nie wiem – przyznała. – Proszę dać mi się przyjrzeć.

* * *

Po osiemnastu godzinach zbierania danych Elvi wycofała się do swojej kabiny. Dość wcześnie przekonała się, że wojskowa dyscyplina Lakończyków nie obejmowała zmuszania ludzi do pracy bez odpoczynku. Duarte chciał, by wszyscy pracowali z maksymalną wydajnością, z czym wiązało się założenie, że ludzie będą spędzać jedną trzecią doby, śpiąc. Gdy Elvi opuściła swoje stanowisko, mówiąc, że musi odpocząć przed rozpoczęciem analizy, Sagale nawet nie mrugnął.

Tak naprawdę była to sztuczka, której zaczęła używać do pozyskania czasu na nieprzerwaną pracę. Potrafiła przeżyć dwadzieścia cztery godziny bez przerwy już od czasów studiów. Trochę tabletek z kofeiną plus gorąca herbata i w razie potrzeby mogła przeciągnąć to do czterdziestu ośmiu godzin. Brak snu zapewnił jej dodatkowe osiem lub dziewięć godzin bez nieustannych pytań Sagale'a dotyczących wyników i harmonogramów.

Z drugiej strony sztuczka działała tylko, jeśli wszyscy udawali, że ona faktycznie śpi, więc wpadnięcie Fayeza do kabiny oznaczało, że miał coś dużego.

– Zrobiłem kopię.

Zanim Elvi zdążyła zapytać, czego kopię zrobił, podleciał do stołu na środku jej kabiny i rozłożył na nim swój terminal.

Elektromagnesy w stole uniemożliwiły urządzeniu odlecenie, ale energia ruchu posłała Fayeza w łagodny ruch wirowy w stronę ściany. Był Ziemianninem, urodzonym i wychowanym w studni grawitacyjnej, i niezależnie od tego, ile czasu spędził w przestrzeni, nigdy nie pozbył się tego odruchowego oczekiwania obecności ciężenia.

– Pokaż jej! – krzyknął w stronę stołu. – Pokaż jej... to coś! Wyświetl ostatni plik, obraz przestrzenny.

Pojawiła się holograficzna mapa czegoś wyglądającego jak ludzki mózg, unosząc się nad stołem. Mózg iskrzył się błyskającymi ścieżkami synaptycznymi, prawdopodobnie rejestrowanymi skanem fMRI lub fNIRS. Elvi widziała ten mózg dostatecznie często, by wiedzieć, że należał do katalizatora. Kiedyś była kobietą. Fayez dotarł do ściany i odepchnął się stopą, dołączając do niej z powrotem przy stole.

– Duża aktywność – skomentowała Elvi. – Ale wyprowadzenie jej z zagrody może wywoływać u niej stres lub dyskomfort fizyczny. Nic tutaj nie wygląda szczególnie nietypowo.

– To tylko ona – powiedział Fayez, kręcąc głową i stukając w terminal. – Popatrz na to.

Pojawił się drugi obraz. Elvi potrzebowała chwili na rozpoznanie, że to kopia aktywności mózgowej katalizatora, choć bez struktury fizycznej mózgu.

– Nie rozumiem. Skąd pochodzi drugi obraz?

– To pochodzi z obiektu – odpowiedział z szerokim uśmiechem Fayez.

– Co, cały obiekt powiela jej aktywność mózgową?

– Nie, to bardzo zlokalizowane. – Fayez znowu zaczął grzebać w przyciskach. Drugi obraz pomniejszał się przez dłuższą chwilę, aż wyświetlacz zaprezentował cały obiekt. Z małą białą kropką. – Oczywiście to nie jest w skali, z tej odległości byłoby to wielkości Grenlandii. Ale to przybliżona lokalizacja obrazu.

Znowu zajął się sterowaniem terminalem i obraz zastąpiły długie strumienie danych z czujników.

– Jen zaczęła rejestrować fluktuacje elektromagnetyczne na powierzchni obiektu. No wiesz, w kontekście to bardzo drobne, ale cały obiekt jest kompletnie nieaktywny, a czujniki tej łąjby są precyzyjne w stopniu, w jakim mogą być za pieniądze galaktycznego tyrana.

– W porządku – powiedziała Elvi. – Na co jej zdaniem patrzymy?

– Z początku wyglądało to po prostu jak odbijające się gdzieś w środku fotony, ale potem Jen złożyła z nich tę mapę. Nikt nie wiedział, na co patrzymy, do chwili gdy Travon skomentował „Hej, to wygląda jak fMRI”. Wywołałem monitor katalizatora i bum, mamy porównanie.

Elvi nie miała nic przeciwko nieważkości, ale brakowało jej w niej możliwości zapadnięcia się w fotel. Poczowała uderzenie adrenaliny, od której zamrowiły jej dłonie, a nogi zdrętwiały.

– Czyli są swoim echem?

– Jak patrzenie w lustro.

– Och – rzuciła. – No dobrze – dodała. – To coś wielkiego.

– Och, robi się jeszcze lepsze – skomentował Fayez. – W całym obiekcie pojawiły się teraz punkty z promieniowaniem – powiększył jeden z nich i przez obraz przemknęły nowe dane numeryczne – takie jak ten.

Patrzył na nią wyczekująco. Czekał, aż powiąże fakty. Nie sądziła, że jest aż tak zmęczona, ale cokolwiek miała skojarzyć z obrazem, nie przychodziło jej do głowy.

– Poddaję się.

– Nam też to chwilę zajęło – przyznał Fayez. Wywołał trzeci obraz. Elvi rozpoznała pierścień wrót. – To ten sam rodzaj promieniowania, który jest emitowany przez wrota podczas przejścia.

Elvi zrozumiała, zanim na ekranie pojawiły się liczby.

– To jest skorelowane z katalizatorem.

– Tak. Mózg katalizatora, kopia w tym czymś z zielonego diamentu i dziwne rozproszone promieniowanie typu wrót. Trzy elementy z identycznym wzorem – podsumował Fayez.

Elvi zmniejszała obraz olbrzymiego zielonego diamentu, aż mogła go zobaczyć w całości. Wydawało się, że migocze drobnymi gwiazdkami światła pojawiającymi się i znikającymi w miejscach, gdzie komputer oznaczał rozbłyśki promieniowania.

– Czy to coś jest wypełnione... wrotami? To znaczy w fizycznej strukturze samego obiektu?

– Mamy teorię – rzucił Fayez. Szczęrzył się, jak wtedy, gdy pierwszy raz zgodziła się pójść z nim do łóżka. Wyglądał jak przygłup, ale podobało jej się to, co czyniło go szczęśliwym: rozumienie świata i ona.

– Jeszcze za wcześnie na teorię – zaprotestowała.

– Wiem, ale i tak jedną stworzyliśmy. I mówiąc „my”, mam na myśli głównie Travona, ale wszyscy się zgadzamy. To coś nawiązuje kontakt z umysłem zakażonym przez protomolekułę, tworzy jego kopię, a potem w całym obiekcie pojawiają się sygnatury wrót. Travon zaczął mówić o tym, jak działa bezpieczne magazynowanie danych. Tworzysz fizyczny zapis zaszyfrowanych danych, a potem go rozprowadzasz. Umieszczasz go w odrębnych miejscach przechowywania z wbudowanymi znacznikami i kodem w taki sposób, że gdyby doszło do utraty części systemu zapisu, reszta mogłaby odbudować utraconą część na podstawie rozproszonych fragmentów.

Elvi, znająca się na systemach komputerowych dużo lepiej od Fayeza, zaczęła protestować.

– To niezupełnie...

– A wtedy wtrąciła się Jen i powiedziała, że diament to supergęsta i niezwykle regularnie uporządkowana masa atomów węgla. Gdyby był sposób na przesuwanie elementów bez zniszczenia całej struktury, stanowiłby doskonały materiał do przechowywania danych.

Elvi znieruchomiała, analizując implikacje.

– Coś w rodzaju maleńkich, bardzo maleńkich tuneli podprzestrzennych – skomentowała.

– Prawda? Wiemy, że twórcy protomolekuły mogli mieć umysł zbiorowy. Albo jeden mózg. Jakkolwiek chciałbyś to zinterpretować.

Natychmiastowa niezlokalizowana łączność wszystkich węzłów i istot w całym zajmowanym przez nich fragmencie galaktyki. Ale czasem dzieje się coś nieprzyjemnego, nawet im. W planety uderzają asteroidy, dochodzi do trzęsień ziemi, wybuchów wulkanów, wszystko jedno. Wszystko, co jest przechowywane w pojedynczym węźle, zostanie utracone na zawsze po zniszczeniu tego węzła, więc może właśnie patrzymy na kopię zapasową dla ich całej cywilizacji? Cała ich wiedza upakowana w strukturę węglową wielkości Jowisza?

– To – skomentowała Elvi – cholernie wielki skok logiczny.

– Owszem. – Pokiwał głową, ale nie przestał się szczerzyć. – Kompletnie nieuzasadniony, totalne zgadywanie. Będziemy potrzebować badań prowadzonych przez całe pokolenia do zweryfikowania, czym jest to coś, a potem kolejnych pokoleń do złamania mechanizmu odczytu danych, jeśli takie dane w ogóle istnieją. Ale, Els – powiedział prawie bez tchu. – No wiesz... Co, jeśli?

* * *

Admirał Sagale unosił się przy swoim biurku, patrząc na wykresy nawigacyjne na dużym ekranie ściennym. Elvi dostrzegła kurs wytyczony z ich bieżącej pozycji przez wrota Kalmy do huba, a potem przez wrota Tecomy do następnego martwego systemu na ich galaktycznej trasie.

– Proszę mi powiedzieć, że ten układ to najważniejsze odkrycie naukowe wszechczasów – rzucił Sagale, nawet na nią nie spoglądając, gdy wpłynęła do jego biura.

– To równie dobrze może być... – zaczęła Elvi.

– Ale przecież najważniejszym odkryciem był wielki kryształowy kwiat w układzie Naraka.

– To był zdumiewający artefakt – zgodziła się Elvi. – Ale w porównaniu z...

– Wcześniej był to system potrójny w Charonie i planeta, na której padał deszcz ze szkła.

– To było bardziej coś naprawdę fajnego. Musi pan przyznać, że wyglądało spektakularnie.

Obrócił się, by zwrócić na nią pełną uwagę.

– Słyszę, że ponownie mówi pani, że w tym układzie znajdują się artefakty kluczowe dla przyszłych badań – powiedział. Wydawał się zmęczony i jakby rozczarowany. – Tak jak ten duży kryształowy kwiat.

Elvi zrelacjonowała mu odkrycia i w miarę, jak o niej mówiła, teoria Fayeza z każdą chwilą wydawała się coraz bardziej prawdopodobna. Słuchając, Sagale przyglądał się jej spod półprzymkniętych powiek. Kiedy strzeliła w niego teorią, że diament na zewnątrz może zawierać wszystkie informacje zebrane kiedykolwiek przez budowniczych sieci wrót, na jego policzku zdrzął mięsień, ale była to jego jedyna oznaka zaskoczenia.

– To ciekawe. Proszę spisać tę teorię i dołączyć ją do danych, gdy będziemy wysyłać wszystko na Lakonię podczas przelotu. Przepraszam za wsadzenie tego do jednej kategorii z kwiatem i szklanym deszczem. To faktycznie wydaje się imponujące.

Jego niechętnie uznanie trochę zapiekło, ale odpuściła.

– Sir – powiedziała Elvi. – Met, to może być wszystko, po znalezieniu czego wysłał nas wysoki konsul. To może być to.

– Nie jest – odpowiedział Sagale, ale napierała dalej.

– Stanowczo sugeruję, żebyś przesłał wiadomość do admiralicji, prosząc o przydzielenie dodatkowego czasu. Są tysiące badań, które możemy przeprowadzić, czekając na przysłanie tu dodatkowego personelu i statków. Odlecenie teraz nic nam nie da.

– I uważa pani, że jeśli dam jej ten czas, będzie w stanie uzyskać dostęp do tych danych? – zapytał Sagale.

Elvi prawie skłamała, głodna szansy zostania tu nieco dłużej i dowiedzenia się trochę więcej, ale...

– Nie. Nie mogę tego powiedzieć. Właściwie prawie na pewno rozwiązanie tego problemu będzie zadaniem na dziesięciolecia, może nawet całe wieki. Jeśli w ogóle nam się to uda. Ale to nasza największa szansa. Nic, co znajdziemy w Tecomie, nie będzie równie ważne. Mogę prawie z całą pewnością to zagwarantować.

– W takim razie będziemy się trzymać harmonogramu i sprawdzimy, czy ma pani rację – odpowiedział Sagale i zaczął się odwracać. – Proszę się udać w bezpieczne miejsce, za osiemdziesiąt minut ruszamy do Tecomy.

Siedemdziesiąt osiem minut później Elvi leżała w pryczy przeciążeniowej, czekając na utonięcie.

Podstawowym problemem podróży kosmicznych zawsze – od samego początku – była kruchość ludzkich ciał. Pomimo tych ograniczeń ludzkość osiągnęła całkiem wiele nawet przed Lakonią, a teraz wprowadzali olbrzymie usprawnienia. *Jastrząb* mógł uczynić przelot między układami niemal trywialnym w porównaniu ze standardowymi statkami naukowymi i frachtowcami floty cywilnej. Podróż wymagającą wielu tygodni można było skrócić do dni. Nawet większość jednostek wojskowych Duartego miałyby problem z dogonieniem *Jastrzębia*, ale ceną za to przyśpieszenie były prycze przeciążeniowe wymagające pełnego zanurzenia. Było to diaboliczne urządzenie całkowicie otaczające ludzkie ciało żelem pochłaniającym wstrząsy i wypełniające płuca silnie natlenionym płynem, dzięki czemu stawały się one maksymalnie nieściśliwe. Na całe dnie.

– Nie rozumiem, czego on chce – powiedziała.

– To skomplikowany człowiek – odpowiedział z sąsiedniej pryczy Fayez.

– Wygląda to tak, jakby wcale nie chciał, żebyśmy znaleźli coś ciekawego. Za każdym razem, gdy coś odkrywamy, robi się marudny.

– Wzięłaś leki przed lotem?

– Tak – zapewniła, choć wcale nie była pewna, czy rzeczywiście o nich pamiętała. Nie były niezbędne. – Mam wrażenie, że ma jakieś inne rozkazy, o których nam nie mówi.

– To prawie pewnik, że ma inne rozkazy, o których nam nie mówi – potwierdził Fayez. – To nie może cię dziwić, Els.

– To nie może być nic ważniejszego od tego, co robimy – odparła. – Co mogłoby być ważniejsze?

– Dla niego? Nie wiem. Może po prostu nie znosi się uczyć. Doznał traumy podczas wystawy naukowej w młodości. Dziesięć sekund.

Kocham cię, Els.

– Ja ciebie też – odpowiedziała. – Pamiętam czasy, gdy koktajl był czymś, co wstrzykiwano do żył, a nie wciągało się go do płuc. I pamiętam, że wtedy też go nie lubiłem.

– Cena postępu.

Próbowała wymyślić coś błyskotliwego w odpowiedzi, ale wtedy płyn zaczął się łączyć w sposób, który zawsze ją uciszał.

Rozdział szósty

Aleks

Zwiastun burzy był absolutnym szczytem lakońskiej technologii wojennej. Jako pierwszy wprowadzony do służby okręt swojej klasy w zamierzeniu miał być prototypem dla całej floty niszczycieli, które mogłyby patrolować liczne systemy sieci wrót i demonstrować potęgę Lakonii w każdym zakątku imperium. Jednostkę wyposażono w stępkowe działo szynowe zdolne do wystrzeliwania co pięć sekund trzyipółkilowego pocisku z prędkością umożliwiającą wybicie dziury na wylot przez pomniejsze księżyce. Dwie odrębne baterie wyrzutni torped z czterema szynami w każdej i systemem szybkiego przeładowywania, dzięki któremu kolejne osiem pocisków mogło się znaleźć w rurach w niecałe siedemdziesiąt sekund po wysłaniu pierwszej salwy. Ze wszystkich stron burty były brnione przez system dwunastu szybkostrzelnych działek obrony punktowej, a każdy kąt podejścia do statku był kryty przez przynajmniej cztery z nich. Jak lubił to określać drugi pilot Aleksa, Caspar, okręt był paroma tysiącami ton wpierdolu w bardzo eleganckim opakowaniu.

Osadzony wewnątrz olbrzymiej ładowni *Wahadła* był też całkowicie bezbronny.

Siedzenie w fotelu pilota i czekanie na sygnał wylotu ze świadomością, że jeśli ktoś zauważy ich obecność i zacznie strzelać, to nawet nie zobaczy tego na radarze, sprawiało, że Aleksa swędziała skóra na głowie. *Wahadło* przesyłało im dane ze swoich

teleskopów, więc nie byli całkiem ślepi, ale był to jednak powolny ciężki frachtowiec, którego systemy wykrywania zagrożeń przewidziano z myślą o unikaniu zbłąkanych kawałków skał. Niskiej rozdzielczości obraz radarowy i ziarniste obrazy teleskopowe niezbyt pomagały w ukojeniu jego nerwów.

– To ty i szefowa macie wspólną historię, prawda? – odezwał się Caspar.

Siedział w drugiej pryczy *Burzy*, trochę z tyłu i na prawo od fotela Aleksa. Caspar Asoau był niskim, chudym dzieciakiem z ruchomym tatuażem biegnącego geparda na ramieniu i delikatnym cieniem koziej bródki. Mimo że wyglądał na zdecydowanie za młodego do tej roboty, był też cholernie dobrym pilotem. Sprawnie wykonywał polecenia i stanowił świetne towarzystwo. Aleks szybko odkrył, że nie łączyło ich nic poza miłością do latania, więc poza zwyczajowymi powitaniem rozmawiali ze sobą wyłącznie, gdy obaj siedzieli za sterami *Burzy*.

Aleks nie miał nic przeciwko chłopakowi, pamiętał, jak sam był młodym pilotem i ze wszystkich sił próbował ukryć własną nerwowość w rozmowach ze starszymi oficerami.

– Owszem. Znamy się z Gunny od bardzo dawna.

– Widzisz, zabawne. Ona jest tu kapitanem, ale ty nazywasz ją Gunny. To był jej stopień czy coś takiego, prawda? Jeszcze na Marsie?

– Coś w tym stylu – potwierdził Aleks. – Dla mnie zawsze będzie Gunny.

Rozmawiając, Caspar zaliczał kontrole przedstartowe. Uderzał przy tym delikatnie czubkami palców w ekrany. Na monitorze Aleksa przewijały się wyniki kontroli, każda zweryfikowana przez system i potwierdzona, zanim Caspar przeszedł do kolejnej, podczas gdy Aleks zatwierdzał ostatecznie jego pracę. Jego drugi pilot był staranny i sprawny. Poważnie traktował swoją pracę. Aleks żałował przez to trochę, że dzieciak nie jest o trzydzieści lat starszy, żeby mogli się zaprzyjaźnić.

– Dostałeś od niej jakieś wskazówki, czego dotyczy ta operacja? – zapytał Caspar, a potem przeczucił na ekran Aleksa wynik

inwentaryzacji zapasów amunicji do sprawdzenia.

– Widzę dwieście pocisków w magazynie działa szynowego, osiemdziesiąt rakiet do wyrzutni, a wszystkie działa obrony punktowej świecą na zielono i zgłaszają pełne magazynki – oświadczył Aleks, przesuając palcem po liście. – I nie, ona jest ze starej szkoły. Mocno wbijano im do głowy konieczność trzymania gęby na kłódkę.

– Potwierdzam, dwieście do działa szynowego, osiemdziesiąt torped, działa obrony punktowej pełne i zielone na wszystkich pozycjach, zweryfikowane – oznajmił Caspar. – Jasne, ale pomyślałem, że skoro się przyjaźnicie, to może coś ci powiedziała.

– Nie. A ja nie pytałem. Dowiemy się, gdy będzie to konieczne, i to mi w zupełności wystarczy – zapewnił Aleks, a po zakończeniu kontroli przedstartowych odwrócił fotel w stronę Caspara. – Bycie zdenerwowanym jest całkiem normalne.

Caspar kiwnął głową. Nie wyglądał na zawstydzonego rozmową o swoim strachu, co wzbudziło w Aleksie falę sympatii do niego. Był dobrym dzieciakiem. Miał nadzieję, że zdołają razem przedostać się na drugą stronę sprawy z Lakonią, choć dla nich wszystkich szanse na to nie były zbyt wysokie.

– Znałem gościa na Pallas – powiedział Caspar. – Nie to, że byliśmy blisko, nigdy się na poważnie nie spotykaliśmy, ani nic takiego. Ale umawialiśmy się, gdy trafiałem na stację podczas lotów towarowych. Ben Yi. Lubilem go. – W kąciку jego oka pojawiła się łza, a potem nie zdołała spłynąć po policzku w łagodnej jednej czwartej g ciągu silnika *Wahadła*.

– Nie zdołał się załapać na ewakuację?

– Nie – potwierdził Caspar, a potem wytarł oczy. – Powiedzieli, że *Nawałnica* zmieniła stację w gruz tak szybko, że nikt nawet nie miał szans zobaczyć nadchodzącego ataku. Pewnie jeśli masz zginąć, to taki sposób nie jest najgorszy.

– Przykro mi – powiedział Aleks. Wszyscy na *Burzy* mieli swoje powody, by nienawidzić Lakończyków. Każdy miał jakąś historię. Jedyłą odpowiedzią na większość z nich było „przykro mi”. Wydawało się to bardzo płaskie.

– Jeśli ta operacja nie wyjdzie – mówił dalej Caspar, zwracając uwagę z powrotem na ekrany i ponownie wywołując listę kontrolną – chcę, żebyś wiedział. Nie musisz się o mnie martwić. Jeśli ruszy za nami ten wielki drań *Nawałnica*, będę myślał tylko o tym, jak zrobić w nim dziurę.

– Wiem, stary – zapewnił Aleks, a potem poklepał chłopaka po kolanie i odwrócił się do swojej konsoli. – Nie wątpię.

– Kamal? – W jego uchu zabrzmiał głos Bobbie, prosto ze słuchawki. Bobbie zwracała się do niego w ten sposób tylko podczas działań bojowych i w sytuacjach, gdy słuchali inni. To znaczyło, że pora ruszać.

– Kamal potwierdza z kokpitu, kapitanie – odpowiedział, prostując się na fotelu. Po syku zawieszenia dochodzącym z tyłu wiedział, że Caspar robi to samo. Nawet prycze przeciążeniowe *Burzy* były bardziej eleganckie.

– Potrzebuję potwierdzenia lub odmowy do wejścia do akcji – powiedziała Bobbie. – *Wahadło* zwolni nas na pańskie słowo.

– Mamy tu wszystko zielone w kokpicie, wylot na rozkaz.

– Doskonale – rzuciła Bobbie. – Dobra, dzieciaki, dostałam rozkazy i tak wygląda nasza misja. Słuchajcie uważnie, bo nie mam czasu się powtarzać.

* * *

Aleks nie znosił lotów balistycznych. Brak silnika oznaczał, że w najlepszym razie mógł używać silników manewrowych. Brak aktywnych czujników wiązał się z tym, że pilotował jak z zamkniętymi oczami.

Burza miała bardzo mały profil radarowy jak na tak dużą jednostkę. Miało to jakiś związek z materiałami użytymi do budowy kadłuba, które po prostu pochłaniały albo odbijały pod kątem niemal każdą trafiającą w nie wiązkę radarową. Na dodatek jednostka mogła zrzucać wydzielane ciepło do wewnętrznych pochłaniaczy przez kilka godzin, a potem przepuścić przez powłokę

ciekły wodór, utrzymując jej temperaturę bardzo blisko zera. O ile ktoś nie szukał statku bardzo intensywnie, można go było zobaczyć tylko jako nieco cieplejszą plamę przestrzeni o profilu radarowym niewiele większym od zwykłej pryczy. Aleks pamiętał doskonale, jak okręt wyposażony w podobną technologię zniszczył jego stary statek, *Canterbury*. Jakie czuł przerażenie, gdy okręt zmaterializował się z pustej przestrzeni i zaczął wystrzeliwać torpedy. Najwyraźniej teraz było to już normą. Mimo wszystko czuł pewną empatię z tym, czego miały doświadczyć ich ofiary.

– Jedna minuta – odezwał się Caspar. Nie miał czasu na współczucie.

– Potwierdzam, jedna minuta – odpowiedział, a potem przełączył kanał na Bobbie. – Kapitanie, wchodzimy za sześćdziesiąt sekund. Twój oddział gotowy?

– Dzieciaki przypięte i gotowe na ostrą jazdę – potwierdziła.

– Potwierdzam – rzucił Aleks, a potem obserwował, jak zegar na ekranie odlicza do zera. – Trzy... dwa... jeden... już.

– Już – powtórzył Caspar i *Burza* wokół nich obudziła się do życia.

Ekran przełączyły się na czujniki aktywne i obrazy teleskopowe celu: tłustego frachtowca Związku Transportowego eskortowanego przez dwie lakońskie fregaty. Za frachtowcem widać było potężną masę Jowisza.

I to właśnie, według odprawy Bobbie przed misją, stanowiło powód wcześniejszej ścisłej tajemnicy. To, czy zdołają wyprowadzić swój atak, zależało od tego, czy członkowie ruchu oporu w załodze frachtowca zdołają przesłać informacje dotyczące kursu statku i daty jego wejścia do układu Sol tak, by nie dowiedział się o tym lakoński oficer polityczny, którego przydzielono im na pokład. Ponieważ, żeby atak się udał, musiał zostać przeprowadzony w chwili, gdy Jowisz blokował bezpośrednią łączność z Ziemią i zaparkowanym na jej orbicie pancernikiem klasy *Magnetar*.

W plan zaangażowanych było mnóstwo ruchomych elementów, z których każdy mógł zawieść w dowolnej chwili, a wyprowadzenie ataku oznaczało spalenie pewnych szpiegów w Związku. Gdyby nie udało się doprowadzić do odpowiedniej sytuacji, *Burza* po prostu

schowałyby się z powrotem do brzucha *Wahadła* i odleciała, nie informując o niczym załogi i pozostawiając niewykrytych szpiegów na frachtowcu.

Jednakże nagroda była warta ryzyka. Statek leciał wprost z Lakonii, z wrażliwym ładunkiem związanym z jakimś tajnym projektem lakońskim oraz częściami zamiennymi dla samej *Nawałnicy*. Mieli nadzieję, że w śród nich będą też dziwne peletki paliwowe używane przez lakońskie okręty, których nie dało się wyprodukować nigdzie indziej, a których zapas na *Burzy* robił się niebezpiecznie mały. Amunicja do broni *Burzy* oraz pancerzy wspomaganych noszonych przez oddział *Bobbie*. Zdobycie frachtowca oznaczało uzbrojenie i zapewnienie działania najlepszej broni podziemia, być może na kolejne lata.

A co najlepsze: oficer polityczny. Schwywanie jakiegoś żywcem byłoby olbrzymim zwycięstwem dla wywiadu.

Jeśli Aleks zdoła zająć się eskortowymi fregatami i dostarczyć na frachtowiec jednostkę desantową *Bobbie*.

– Zobaczyli nas – zgłosił Caspar. Nic dziwnego. Od chwili, gdy *Burza* włączyła aktywny radar, rozjarzyła się na ekranach celów jak bożonarodzeniowa choinka.

– Włączam zagłuszanie – poinformował Aleks i *Burza* załapała małą flotę szumem, odcinając ich od siebie i wszelkiej zewnętrznej pomocy. Trzy statki nie zmieniły kursu, najwyraźniej uznając, że najlepszym ruchem będzie próba wydostania się zza Jowisza. To była najlepsza strategia, Aleks postąpiłby tak samo.

I dlatego właśnie był na nią przygotowany.

– Kapitanie, wypuszczam was. Dopilnuj, żebyście wrócili – powiedział Aleks i wcisnął przycisk wyrzucający z dużą prędkością kapsułę abordażową w stronę frachtowca.

Bobbie i jej oddział szturmowy rzucili się na wrogą jednostkę jak piraci. W czasie, gdy kapsuła leciała w kierunku statku Związku Transportowego, Aleks wystrzelił dwa precyzyjnie odmierzone strzały tuż obok niej, celując w dyszę silnika frachtowca. Pociski przebyły tysiące kilometrów dzielące statki w parę sekund i silnik frachtowca zgasł.

– Szykuj się, teraz rzucą się na nas – zwrócił się do Caspara Aleks i, jakby czekając na to, *Burza* wyemitowała gniewne ostrzeżenie o namierzaniu.

– Działka obrony punktowej aktywne – rzucił Caspar.

Aleksa wcale nie zaskoczył spokój w jego głosie. Pomimo całego smutku i strachu wyrażanego przez chłopaka w chwilach przed walką, teraz, gdy już do niej doszło, zachowywał się prawie jak maszyna.

– Gotowi na pociski. Wyrzutnie dwa i cztery namierzyły.

– Powinniśmy się trochę zbliżyć, ograniczyć ich opcje – powiedział Aleks.

Dwie fregaty nie były trywialnym zagrożeniem, ale *Burza* miała nad nimi znaczną przewagę wyporności i siły ognia, dzięki czemu nie martwił się zbyt, lecąc prosto na nie z wysuniętymi szponami, próbując szybko skończyć walkę.

– Potwierdzam, jedynka i trójka załadowane i gotowe, jeśli będą potrzebne.

Przyśpieszenie wcisnęło Aleksa w pryczę. W oddali kapsuła Bobbie dotarła do unieruchomionego frachtowca i wystrzeliwała kotwy do połączenia obu jednostek. Fregaty nie mogły ze sobą rozmawiać, ale ich załogi musiały mieć przygotowane plany awaryjne, bo rozdzieliły się i poleciały, oddalając się od frachtowca w przeciwne strony, jakby skoordynowały manewr.

– Spróbują podejść do nas z obu stron – rzucił Aleks, ale Caspar już się tym zajmował.

Przydzielił połowę ich działek do jednego statku i połowę do drugiego. Nie miało znaczenia, jeśli spróbują zaatakować z obu stron równocześnie, ekran z pocisków *Burzy* zdoła sobie z tym poradzić.

Kapsuła Bobbie przy frachtowcu nagle rozbłysła do życia w potężnym ciągu hamowania. Aleks unieszkodliwił silnik statku, ale ten wciąż sunął z prędkością, jaką miał w chwili wyłączenia napędu. Kapsułę Bobbie zaprogramowano do oparcia się tej prędkości na wektorze, który utrzymałby frachtowiec bezpiecznie ukryty za Jowiszem. W części kapsuła abordażowa, w części

dotatkowy, niestandardowy silnik jednorazowego użytku wykorzystywany do hamowania.

– Weszliśmy na pokład – poinformowała Bobbie głosem przesuniętym fazowo w mechaniczny zgrzyt, przebijając się przez szum zagłuszenia.

– Mamy szybkie obiekty. – Caspar poinformował w tej samej chwili, gdy na konsoli zagrożeń Aleksa pojawił się ostrzeżenia.

Obie fregaty wypuściły rakiety z wyrzutni. Aleks je zignorował, czekając, aż pociski znajdą się w zasięgu działek obrony punktowej, żeby *Burza* mogła je zniszczyć.

– No to odpowiedzmy ogniem – rzucił Aleks, a chwilę później *Burza* zadrżała jak z rozkoszy, wyrzucając cztery własne torpedy.

Zanim szybko lecące pociski zdążyły się minąć, dwie z nadlatujących torped skrzyły szerokim łukiem.

– Martw się tymi dwiema, które wciąż lecą na nas – zwrócił się do Caspara Aleks, a potem przestał o nich myśleć. Pozostałe dwie lakońskie torpedy wciąż skręcały szerokim łukiem w stronę frachtowca. Fregaty też obróciły się i zaczęły ostry ciąg hamowania, kierując się z powrotem w stronę swego podopiecznego.

Nie zdołały odciągnąć *Burzy* ani jej zestrzelić, a wyglądało na to, że ich plan B polega na zniszczeniu frachtowca. Krwawe, ale nie całkiem nieoczekiwane. Aleks zwiększył przyśpieszenie, by jak najszybciej dogonić zwalniający frachtowiec, przechodząc z atakowania celu do bronięcia go. Przez chwilę wszystko spadało do centralnego punktu w przestrzeni wyznaczonego przez uszkodzony statek. *Burza*, osiem torped na szerokich zakrzywionych kursach, dwie fregaty z tyłu. Na konsoli zagrożeń wyglądało to tak, jakby frachtowiec zmienił się w czarną dziurę i jego ciężenie ściągało wszystko, duże i małe, do jego horyzontu zdarzeń. Na swój sposób było to piękne.

A potem wszyscy strzelali.

Kierowane przez Caspara działka obrony punktowej w jednej chwili zniszczyły wszystkie cztery lakońskie torpedy, a jedna z rakiet wstrzelonych przez *Burzę* trafiła w dziób wrogiej fregaty, zmieniając przednie pół okrętu w rozjarzony żużel. Druga fregata odwróciła się,

odskoczyła w bok i zestrzeliła ścigające ją torpedy, a potem, kontynuując obrót, posłała pełną burtową salwę z działek obrony punktowej we frachtowiec i zacumowaną do niego kapsułę Bobbie. Frachtowiec został podziurawiony i trysnęły z niego strugi uciekającego powietrza, wyglądające krwście różowo w czerwonym świetle Jowisza. A może naprawdę była w nich krew. Przy tylu dziurach zrobionych przez pociski trudno było uwierzyć, że nikt na pokładzie nie został trafiony.

– Rozwal go – rozkazał Aleks, ale Caspar już mówił:

– Załatwię skurwysyna.

Fregata zatrzymała obrót potężnym dmuchnięciem silników manewrowych, a potem włączyła główny napęd. Choć wcześniej tylko zwolniła, teraz niemal skoczyła prosto na zbliżającą się *Burzę*. Okręty minęły się z dużą prędkością, strzelając ze wszystkich działek.

Znacznie mniejsza fregata została trafiona równocześnie z sześciu stanowisk *Burzy* i wydawało się, że przelatując, po prostu rozpadła się na chmurę kawałków, jednak wystrzelone przez nią pociski uderzyły w burtę *Burzy*.

Okręt zmienił się nagle w kakofonię alarmów, syren i ostrzeżeń z panelu sterowania.

– Uszkodzenia! – krzyknął przez zgiełk Aleks.

Hałas robił się stopniowo coraz cichszy, co znaczyło, że przynajmniej w kokpicie dochodziło do utraty atmosfery. Chwycił hełm umieszczony pod pryczą i go założył, uszczelniając. Zobaczył, że Caspar robi to samo.

– Uszkodzenia! – krzyknął ponownie, ale w głośniczkach skafandra usłyszał tylko szum statyki. Z frustracji uderzył pięścią w bok hełmu, a potem się odwrócił.

Caspar wskazywał swoje usta i uszy sygnalizując, że jego radio też nie działało.

Aleks zaczął przełączać ekrany raportów wyświetlane na jego konsoli i znalazł winnego. Pocisk z działek obrony punktowej przebił węzeł kontrolujący całą łączność w ramach i na zewnątrz statku, a z nieznanego powodu element zapasowy nie podejmował

pracy. Może też był zniszczony. Wyglądało na to, że na panelu technicznym błyska bardzo dużo czerwonych kontrolerek.

Z drugiej strony wszystkie przebicia pancerza na *Burzy* zagoją się, tak jak zawsze, a zespoły naprawcze były już w drodze, by ponownie aktywować pozostałe systemy. Aleks nie miał wątpliwości, że *Burza* przeżyje.

Za to frachtowiec mający na pokładzie Bobbie i jej oddział uderzeniowy wirował w przestrzeni, niekontrolowany i bez atmosfery, a przy braku radia nie miał jak się dowiedzieć, czy ktoś na pokładzie jeszcze żył.

Rozdział siódmy

Bobbie

– Kapitanie, wypuszczam was. Dopilnuj, żebyście wrócili – powiedział Aleks.

Kapsuła abordażowa zadygotała w chwili wystrzelenia przez *Burzę*. Chwilę później włączył się silnik, wgniatając Bobbie w pryczę i nie pozwalając jej robić nic w czasie, gdy wkoło toczyła się bitwa.

Kapsuła abordażowa *Burzy* była nieco bardziej zaawansowana technicznie niż jej marsjańska wersja, w jakiej ćwiczyła Bobbie, ale z drugiej strony w czymś tak prostym nie było za wiele do usprawnienia. Podstawowe założenie sprowadzało się do małego transportera piechoty z silnikiem na jednym końcu i śluzą, która mogła wybijać dziury w statku wroga na drugim. Wnętrze było ciasnym metalowym pudłem zastawionym pryczami przeciążeniowymi. Żart o „latającej trumnie” powtarzany przez marines od stuleci byłby całkowicie zrozumiały nawet dla starożytnych żołnierzy wiezionych do walki w transporterach opancerzonych na kołach: jeśli zginiesz przed walką, od razu jesteś zapakowany na wieczny odpoczynek.

Ludzie zawsze twierdzili, że najtrudniejszym elementem walki było czekanie na nią. Gdy była młodsza, Bobbie sama to powtarzała. Kiedy walka się zbliżała, gdy była nieunikniona, po prostu bierzmy się do niej. Kiedy starcie się zaczynało, wszystko działo się zbyt szybko, by mieć czas na zmartwienia. Strach jest instynktowny, nie wyrozumiany. I w jakiś sposób czuła się z tym lepiej.

Czas wszystko zmienił. Bobbie nauczyła się widzieć błogosławieństwo w cichej chwili przed walką. Dar. Bardzo niewiele ludzi zmierzających ku śmierci zdawało sobie sprawę z jej nadchodzenia, a jeszcze mniej miało czas usiąść i pomyśleć nad swoim życiem. Czy zrobili coś, co miało znaczenie. Czy to będzie dobra śmierć.

Ojciec Bobbie był legendarnym marine korpusu marsjańskiego jeszcze zanim się urodziła. Gdy jego rodzina zaczęła się rozrastać, porzucił pierwsze szeregi i stał się jeszcze bardziej legendarnym sierżantem od szkoleń. Całe pokolenie dowiedziało się, co znaczy być marsjańskim marine pod skrzydłami sierżanta majora Drapera w bazie Hekate. Był mężczyzną mocno zbudowanym, masywnym i wysokim, z twarzą jak wyrzeźbiona z krzemienia, zawsze wydawał się niezwyciężony. Niezmienna siła natury, niczym awatar Olympus Mons, ożywiony i kroczący pośród śmiertelników.

Umierając, był drobną, skurczoną powłoką. Leżąc w łóżku przypięty do przewodów i monitorów odsuwających tylko nieuniknione, ujął jej dłoń i powiedział:

– Jestem gotowy. Robiłem to już dziesiątki razy.

Wtedy tego nie zrozumiała, ale teraz sądziła, że mówił właśnie o tym, czego doznawała teraz. Siedząc w transporterze, lecąc do bitwy, analizując swe życie w drodze do możliwego końca. Kim jestem? Czy to, co osiągnęłam, ma jakieś znaczenie? Czy zostawię świat lepszym miejscem, niż go zastałam? Jeśli nie wrócę, czego będę żałować? Jakie odniosłam zwycięstwa?

Możliwe, że mógł to tylko zrozumieć wojownik. Tylko ktoś, kto świadomie zdecydował się biec w stronę ognia, zamiast przed nim uciekać. Dla niej stawało się to świętością.

– Dotąd, i ani kroku dalej – wyszeptała. Jej litania do tyranów, despotów i zbirów. Dotąd, i ani trochę dalej. Jeśli moje życie będzie coś znaczyć po mojej śmierci, pomyślała, mam nadzieję, że właśnie to.

– Co mówiłaś, szefowo? – zapytała Jillian. Zastępczyni siedziała przypięta do pryczy przeciążeniowej dokładnie naprzeciw niej.

– Tylko mówię do siebie – odpowiedziała Bobbie. A potem zaczęła śpiewać. – Rób, co chcesz, ale wiesz, ja będę lepsza. W parę chwil mogę być lepsza niż ty.

– Tego nigdy nie słyszałam – stwierdziła Jillian, a potem zaśpiewała wraz z nią, próbując złapać melodię. – To coś nowego? Brzmi Pasiarsko.

Bobbie roześmiała się.

– Nie mam pojęcia. Moja mama to śpiewała. Miałam starszych braci i nie znosiłam z nimi w cokolwiek przegrywać. Płakałam za każdym razem, gdy wygrywali, a ona mi to śpiewała. Po prostu jedna z tych piosenek, które łapiesz jako dziecko i nigdy się ich nie pozbywasz.

– Podoba mi się – skomentowała Jillian, a potem zamknęła oczy i zaczęła mamrotać coś pod nosem.

Wyglądała, jakby się modliła, choć Bobbie wiedziała, że wcale tak nie jest. Powtarzała sobie w głowie wciąż na nowo plan misji. Dwa metry przez przebity kadłub do pierwszego skrzyżowania. Skręcić w lewo. Dwanaście metrów do wjazdu maszynowni. Przebić i oczyścić. Trzy metry do prawej głównej konsoli. Ta druga litania wojownika.

To ludzie, których kocham. To ludzie, którzy mnie kochają. Walczyłam o to, w co wierzyłam, chroniałam tych, których mogłam, i sprzeciwiałam się nadciągającej ciemności.

To wystarczy.

Kapsuła wrzasnęła krótkotrwałym alarmem kolizyjnym. *Burza* posłała dwa pociski z działka szynowego na tyle blisko kadłuba, że Bobbie mogłaby sięgnąć i złapać je, gdy przelatywały.

– Przygotować się do uderzenia – rzuciła głosem sierżant. Głośnym i znaczącym, ale nie do końca krzykiem. Tak teraz musiała tak postępować: sprawiać wrażenie niezmiennej siły natury. Awatar Olympus Mons, ożywiony i krocący przez pole bitwy. Teraz bogini wojny, później skurczona powłoka. Może. Jeśli będzie miała pecha.

Wokół niej sześćcioro osobiście dobranych przez nią członków grupy uderzeniowej zablokowało i nadmuchało prycze przeciążeniowe. Wszyscy mieli na sobie lakońskie pancerze

wspomagane, choć przemalowano je z granatowych na czarne. Jej ojciec powiedziałby, że to najlepsi z miotu. Jillian z Freehold i pięcioro Pasiarzy.

Pasiarze byli ze starej szkoły SPZ, pobrużdzeni weterani nieustannej wojny partyzanckiej z planetami wewnętrznymi, zanim przyszła Lakonia i sprawiła, że wszystko to straciło znaczenie. Stare kobiety i mężczyźni z dużym doświadczeniem w walce. Wszystkie jej siły na *Burzy* liczyły czterdzieści osób i obejmowały wojowników z prawie wszystkich starych frakcji, ale do szybkich akcji abordażowych nie było lepszych żołnierzy nad Pasiarzy.

– Tryb bojowy – rzuciła Bobbie i jej pancerz obudził się do życia, szumiąc niecierpliwością do walki.

Wyświetlacz przezierny błysnął stanem amunicji, a potem zminimalizował go do skraju pola widzenia. Pojawił się zarys schematu wnętrza frachtowca, do którego właśnie mieli wkroczyć, przesuając się do innego rogu. Z lewej strony obrazu przewinęła się lista sześciu nazwisk z zielonymi kropkami oznaczającymi, że pozostając tam, są żywi i bez obrażeń. Sprowadzenie do domu wszystkich z zieloną kropką zamiast czarnej zawsze było jednym z priorytetów misji, choć nigdy głównym.

Na środku pola widzenia pojawił się błyskający komunikat. AUTORYZACJA OGNIĄ BEZ ROZKAZU.

– Ogień bez rozkazu, zespół alfa, kapitan Roberta Draper – powiedziała.

W radiu pancerza usłyszała odległe kliknięcia broni aktywowanej przez sześć zestawów pancerzy. Nigdy nie musiała tego robić jako sierżant oddziału ogniowego w czasach służby w marsjańskim korpusie marines. Korpus wydawał ludziom broń z założeniem, że będą jej używać prawidłowo i zgodnie z przeszkoleniem. Lakończycy byli znacznie bardziej sformalizowani. Winston Duarte stworzył Lakonię, zdradzając Marsa i okradając flotę, nie było więc wielkim zaskoczeniem, że brak zaufania do ludzi w jego strukturze dowodzenia był zinstytucjonalizowany.

Wyświetlacz błysnął nowym schematem. Względne pozycje kapsuły abordażowej i frachtowca, wraz z gwałtownie malejącą

odległością do celu.

– Gotowi – warknęła do zespołu. – Wchodzimy za pięć!

Kapsuła zadygotała, wystrzeliwując kotwy i chwytając frachtowiec. Nastąpiło szybkie szarpnięcie w bok, gdy jednostki się zderzyły. Siła uderzenia była znacząca, ale ponieważ spoczywała w miękkim żelowym wnętrzu zaawansowanego technologicznie pancerza osłoniętego nadmuchaną wyściółką pryczy przeciążeniowej, odebrała ją jak nagły nacisk na klatkę piersiową, który ustąpił niemal natychmiast po utracie przyspieszenia przez kapsułę i przejściu w nieważkość. To był dobry znak. Oznaczał, że Aleks trafił w cel pociskami z działa szynowego i frachtowiec dryfuje.

– Szykować się do ciągu! – krzyknęła, a ostatnie słowo prawie utonęło w ryku potężnych silników kapsuły, pracujących, by utrzymać frachtowiec ukryty za Jowiszem. Prycza automatycznie odblokowała się i obróciła w przeciwną stronę, ustawiając ją plecami do ciągu. Poczowała w piersi nowy nacisk napierającego przyspieszenia.

Gdy ciąg zaczął słabnąć, poleciała oddziałowi ruszać, choć tak naprawdę wcale nie było to konieczne. Jej drużyna wypadła z prycz przeciążeniowych natychmiast, gdy tylko ustał ciąg. Jillian wdusiła panel ścienny obok śluzy i rozwinęła kołnierz przebijający. Kołnierz nadał się, tworząc szczelne spojenie z frachtowcem i wywołując wibracje pokładu od uderzenia. Dwie sekundy później ładunki kumulacyjne w kołnierzu wybiły dziurę przez oba kadłuby frachtowca Związku Transportowego i drzwi śluzy się rozsunęły.

Jillian pierwsza wpadła do środka, skacząc przez jarzącą się na czerwono dziurę do frachtowca. Uderzyła w ścianę pierwszego korytarza, do którego dotarła, i odbiła się w lewo, kierując się do maszynowni. Hernandez i Orm polecili za nią.

– Jesteśmy na pokładzie – odezwała się na kanale dowódczym Bobbie do Aleksa na *Burzy*.

Ich lakoński sprzęt modulował sygnał odpowiednio do zagłuszania, miała więc nadzieję, że jej radio się przez to przebije, ale Bobbie nie miała pełnego zaufania do tego systemu. W sumie nie

miało to jeszcze znaczenia. Aleks i tak będzie zajęty walką z dwiema fregatami, niezależnie od tego, co robił jej oddział. Wszelkie wiadomości przesyłane, nim *Burza* zabezpieczy przestrzeń wokół frachtowca, będą zdawkowe i symboliczne.

Ruszyła przez wybity otwór, mając pozostałych trzech członków oddziału uderzeniowego blisko za sobą. Po uderzeniu w ścianę korytarza skręciła w prawo, w stronę mostka. Korytarz tak naprawdę był centralną windą statku i każdy mijany pokład wyznaczały zamknięte włazy. Większość prowadziła do ładowni, kilka do kwater mieszkalnych załogi. Za jednymi znajdował się mostek i Bobbie zależało tylko na tych.

Jillian ze swoim zespołem przejmie kontrolę nad silnikiem i systemami podtrzymywania życia w maszynowni, a Bobbie zdobędzie mostek i odetnie łączność z zewnętrznym światem. Jeśli oficera politycznego nie zastanie na mostku, gdy tam dotrze, to nie będzie miało znaczenia. Będą kontrolować statek i przeszukają go w dowolnym tempie. Dla wartości „dowolnego” w zakresie od pięciu do może nawet dziesięciu minut.

– Uważajcie na te włazy – rzuciła do swoich ludzi, sunąc przy ścianie w stronę mostka.

Wydawało się to nieco nadmiarowe. Ich skafandry skanowały każdy centymetr kwadratowy wokół pod kątem ciepła, promieniowania, a nawet unikatowej charakterystyki elektromagnetycznej generowanej przez bijące ludzkie serce. Nie było łatwo zaskoczyć kogoś odzianego w lakoński pancerz bojowy. Z drugiej strony powiedzenie tego przypominało grupie o jej obecności, dowodzeniu i fakcie, że dbała o zapewnienie wszystkim bezpieczeństwa.

– Potwierdzam – odpowiedział Takeshi. – Większość nie jest ciepła, pewnie ładownia jest w próżni.

– Zachodzący nas od tyłu gość w skafandrze nie jest zbyt prawdopodobny – zgodziła się – ale to wciąż możliwe.

Wyświetlacz przezierny Bobbie błysnął nakładką na drzwiach pokład wyżej.

– To te – powiedziała, a jej ludzie rozproszyli się i zajęli pozycje wokół wejścia.

W nieważkości uszkodzonego frachtowca stanęli na ścianach dookoła wjazdu, trzymając broń w gotowości. Niezależnie od orientacji statku lecącego z ciągiem, na potrzeby ataku pokład z mostkiem znajdował się w dole.

– Pamiętajcie – przypomniała Bobbie – są tam potencjalni sojusznicy.

Kiedy to mówiła, na ich wyświetlaczach pojawiły się obrotowe, trójwymiarowe profile dwóch kobiet.

– Je chronicie w pierwszej kolejności, branie więźniów w drugiej. Zrozumiano?

Rozległ się pomruk potwierdzeń. Bobbie przyłożyła dłoń do panelu ściennego przy władze i jej pancerz uruchomił protokół przełamujący, który w ułamek sekundy przebił się przez zabezpieczenia elektroniczne. Władz się rozsunął i wszyscy zaczęli strzelać.

Specyficzną cechą ludzkiego mózgu w trakcie walki na małe dystanse jest fakt, że choć wszystko generalnie dzieje się jednocześnie, to przypominając to sobie później, umysł upiera się przy próbach złożenia wydarzeń w jakiś liniowy ciąg zdarzeń.

W jednej chwili Bobbie rzuciła się przez wjazd na mostek, mając oddział za plecami. Nadlatujące pociski rozjarzyły jej wyświetlacz jasnymi kreskami, więc wiedziała, skąd strzelają. Niektóre pociski trafiły w nią i jej ludzi. Pancerz uznał, że szansa doznania realnych uszkodzeń jest pomijalna, i je zignorował. Siedem osób w pomieszczeniu, w lekkich pancerzach ochronnych. Skafander oznaczył jedną jako sojusznika, jedną z dwóch członkiń podziemia. Strzelało do niej pięć uzbrojonych osób. Jedna robiła, co mogła, by ukryć się za pryczą przeciążeniową. Zapewne oficer polityczny.

Jej ręka ruszyła bez konieczności świadomego myślenia i lufy zamontowanego na nadgarstku karabinu zawirowały na krótko, przecinając na pół dwóch uzbrojonych członków załogi. Pozostała trójka zmieniała się w czerwone chmury i części ciała w ogniu reszty jej zespołu. Cała walka nie mogła trwać dłużej niż dwie

sekundy, choć gdy przypominała ją sobie później i mózg zmienił wszystko w narrację, wydawało się to znacznie dłuższe.

Niecałe trzydzieści sekund po otwarciu wjazdu dwóch jej ludzi bezpiecznie osłaniało partyzantkę, a Takeshi docisnął oficera politycznego do ściany i unieruchamiał mu ręce plastikowymi zaciskami. Bobbie skontrolowała pokład. Pancierz zapewnił ją, że nie doszło do przebić. Lakońskie pociski do niszczenia siły żywej na pokładach statków były bardzo dobre: zabójcze dla lekko opancerzonych przeciwników, ale po uderzeniu w ściany rozpadały się na proszek.

– Mostek jest nasz – oznajmiła Bobbie.

– Maszynownia nasza – natychmiast odpowiedziała Jillian. – Mamy jedną z dwóch agentek. Macie drugą?

– Potwierdzam. Nasi ludzie są bezpieczni i mamy przesyłkę.

– Dosko – rzuciła Jillian. – Nie mogę się doczekać widoku jego twarzy, gdy zrozumie, że jego życie właśnie trafiło do recyklera.

– Jillian, odeskortuj tu naszego człowieka – poleciała Bobbie. – Niech wszyscy włożą kombinezony ratunkowe i przygotują się do lotu na *Burzę*. Pozostali, rozproszyć się i przejrzeć ładownie. Kiedy przyleci *Burza*, będziemy chcieli zabrać ze sobą wszystko co najlepsze, a nie będzie na to dużo czasu. Do roboty.

– Potwierdzam – odparła Jillian.

– Chyba wygraliśmy – rzuciła Bobbie do Takeshiego.

Wyszczrzył się do niej.

– Łatwizn... – zaczął, a potem eksplodował.

Bobbie zdała sobie sprawę, że musieli trafić na serię z czyichś działek obrony punktowej, ale z wnętrza statku wyglądało to tak, jakby ściany po obu stronach mostka postanowiły wybuchnąć w kilkudziesięciu miejscach równocześnie. Pomieszczenie wypełniło się rozjarzonymi szrapnelami odbijającymi się od ścian i paneli oraz szarym dymem odparowanego metalu. Takeshi zmienił się w plątaninę owiniętych technologią części ciała unoszących się w chmurze kulek krwi.

Nie wyglądało na to, żeby ktoś jeszcze zaliczył bezpośrednie trafienie, ale zanim Bobbie w ogóle zdążyła zacząć wydawać rozkaz,

powietrze w pomieszczeniu po prostu zniknęło. Za wiele dziur po obu stronach. W jednej chwili znajdowali się w kabinie z powietrzem, w następnej w próżni. Przejście było tak szybkie, że uciekające powietrze ledwie poruszyło niebieską bluzą lakońskiego oficera politycznego.

– Wsadzić ich do skafandrów! – wrzasnęła, ale było już za późno.

Była Marsjanką, ćwiczenia próżniowe zaczęła wykonywać w przedszkolu. Piętnaście sekund i tracisz świadomość. Wszystko, co trzeba zrobić, musi zostać wykonane w ciągu tych pierwszych piętnastu sekund, albo w ogóle nie zostanie zrobione. Każdy skafander próżniowy odległy o więcej niż piętnaście sekund jest daleki jak życie.

Mogła tylko przyglądać się, jak partyzantka, która pomogła im zdobyć statek, wydycha chmurę mgły będącej jej ostatnim oddechem. Oficer polityczny, główny powód ataku, zginął chwilę później z wyrazem głębokiego zdumienia na twarzy. Tysiące faktów i tajemnic, które mogły oznaczać różnicę między sukcesem podziemia a śmiercią w gułagu, wyparowało w chwili, gdy poddały się jego komórki.

Każdy wciąż działający na mostku panel migał czerwienią. Statek też był martwy.

– *Burza*, tu oddział uderzeniowy – powiedziała Bobbie, otwierając kanał dowódczy. Usłyszała tylko ciszę i lekki syk promieniowania tła. – *Burza*, zgłoś się.

Nic.

– Szlag – rzuciła Jillian. Weszła na pokład, ciągnąc za sobą martwą sojuszniczkę z pokładu maszynowni. – Czy straciliśmy też *Burzę*?

– Chama – powiedziała Bobbie do jednej z kobiet z oddziału. – Wyjdź na zewnątrz i spróbuj zlokalizować *Burzę*. Może łączność w zasięgu wzroku wciąż działa. Dla pozostałych misja się nie zmieniła. Zrobić mi tę inwentaryzację i przygotować się do szybkiego przeniesienia po znalezieniu statku.

– Albo – wtrąciła się Jillian – przygotować się na spadnięcie i śmierć na Jowiszu, bo jesteśmy już mocno poniżej prędkości orbitalnej i nie mamy silnika.

– Albo to – zgodziła się Bobbie zaskoczona tym, jak bardzo miała ochotę skoczyć przez mostek i walnąć Jillian w twarz. – Ale dopóki to nie nastąpi, trzymamy się zadania. Wynosić się stąd i do roboty nad inwentaryzacją ładunku.

– Sporo tu rzeczy, szefowo – dobiegł z radia głos jednego z ludzi grupy Jillian. – Amunicja, paliwo, cały sezam. Główna misja spieprzona, ale z zaopatrzeniem wygraliśmy.

– Pewnie odnieśliśmy moralne zwycięstwo – skomentowała z westchnieniem Bobbie.

– Wiesz, kto mówi o moralnych zwycięstwach? – zapytała Jillian, szybując do wyjścia. – Przegrana drużyna.

Rozdział ósmy

Naomi

Łączność stanowiła problem.

Pierścienie wrót generowały interferencje, które bardzo utrudniały przekazywanie przez nie wiadomości i praktycznie uniemożliwiały korzystanie z wiązek kierunkowych między układami. Lakonia kontrolowała przekaźniki po obu stronach wrót i stację Medyna w centrum wszystkiego, strażnika wielkich rozstajnych dróg imperium. Mieli oczy i uszy w każdym układzie oraz algorytmy dopasowania wzorców przeszukujące każdą częstotliwość widma. Saba zdołał wykopać kilka dziur tu i tam – anteny wiązek kierunkowych z przestarzałym, złamanym kodem bezpieczeństwa, które mogły nie zapisywać w rejestrach określonych wiadomości, strumienie danych zmodyfikowane do przenoszenia wiadomości ukrytych w obrazie. Takie same stare sztuczki, jakich SPZ używało, zanim urodzili się Saba czy ona, zaktualizowane do nowych okoliczności. Niebezpieczeństwo było dwojakiego rodzaju: po pierwsze, że siły lakońskie mogły przechwycić i odszyfrować ich wiadomości, a po drugie, że mogły je wysledzić do miejsca pochodzenia.

Pierwszy problem nie był trywialny, ale zawsze istniały sposoby na utrudnienie go. Samoszyfrujące kodowanie, sygnatury zakłócające, zmieniające kontekst kodowanie lingwistyczne. Nic nie było doskonałe i nawet przy całej pracy śledczej wykonanej przez Bobbie i jej załogę na *Zwiastunie burzy* pełen zakres możliwości

przetwarzania sygnału przez lakońską flotę był dla podziemia w trzech czwartych zgadywaniem, a w jednej czwartej podszyty nadzieją. Jednakże Naomi miała do niego dość zaufania, by nie tracić przez to snu w nocy.

Drugi problem – niewyśledzenie źródła sygnału – był łatwiejszy do rozwiązania dzięki butelkom.

Naomi nigdy nie widziała oceanu na własne oczy, ale język na długo zachowywał zaszłości z zamierzchłych czasów. Wiązki kierunkowe wciąż miały „linie”, choć fizyczny kabel, do którego odnosiła się „linia”, od pokoleń zastępowało światło. Sol wciąż była „Słońcem”, choć nad ludzkimi głowami świeciło tysiąc trzysta gwiazd takich jak ono. Zwrot „wiadomość w butelce” niósł ze sobą dla Ziemiaków mnóstwo niuansów znaczeniowych i oczekiwań, których mogła się tylko domyślać na podstawie żartów, komiksów i kanałów rozrywkowych. Faktycznie używane przez nią butelki były torpedami przechowywanymi w jej kontenerze, z których każda niosła mały nadajnik i ładunek wybuchowy dostatecznie duży, by zmienić cały sprzęt w plazmę. Sama napisała kod do ich obsługi i wiedziała, że jest bezpieczny.

Aby dostać wiadomości od podziemia Saby, wystarczyło, że nasłuchiwała. Wszystko tam było, przenoszone przez próżnię i wzmacniane w sieci, ponieważ wiedziała, które kanały obserwować. Plotki, wiadomości i pusty, pulsujący szum, w którym ukryto bity informacji. Nawet w lakońskiej propagandzie. Zdarzało się nawet, że w retransmitowanych wiadomościach, które Duarte kazał Jimowi do niej wysłać.

Niezależnie od tego, na którym była statku, informacje do niej docierały, pasywne i nie do wyśledzenia. Ładowała je do lokalnego systemu swojej pryczy i ręcznego terminala – więcej surowych informacji, niż mogła przeczytać przez całe życie, na dodatek nieustannie aktualizowanych. System filtrował z tego raporty i dane, na podstawie których pracowała.

Przeprowadzała analizy, tworzyła rekomendacje, spisywała argumentację dotyczącą tego, co i w jaki sposób powinny robić siły opierające się wewnętrznym. A kiedy była gotowa – gdy miała mało

czasu, lub gdy uznawała, że dochodzi do naturalnego punktu przełomowego – zapisywała informacje w jednej z rakiet i przesyłała wiadomość swojemu kontaktowi na statku. Po wyrzuceniu pocisku przez służę aktywował się jej kod.

Losowy kierunek, losowa liczba zwrotów i aktywacji silnika, losowa siła i długość ciągu oraz dobrany losowo czas przed emisją. Czasami wyrzucała pocisk dzień lub dwa przed opuszczeniem układu bądź po odlocie statku, który dotąd ją przewoził, czasami nie. Wzory były wrogiem, nawet wzory, które miały ukryć jej ślady.

Kiedy nadchodził czas, butelka wywrzaskiwała wszystko, co jej kazano, w jednej, skondensowanej emisji. Gdzieś w układzie Saba miał antenę nasłuchującą dokładnie tak, jak robiła to ona. Cicho, pasywnie, nie do wykrycia. Był to akt kosmicznego brzuchomówstwa i tak właśnie podziemie przekazywało sobie informacje – powoli i niedoskonale – podczas gdy wróg mógł wysyłać swoje wiadomości gdzie tylko chciał z prędkością światła.

Takie były skutki bycia tym słabszym.

Najtrudniejsze były chwile między wysłaniem butelki a jej wybuchem. Godziny lub dni, czasem nawet tygodnie wątpliwości. Nerwowo niszczyło ją ponowne rozważanie własnych planów i sugestii z przekonaniem, że popełniła gdzieś błąd, którego nie mogła naprawić. Nasłuchiwanie docierających wszystkich nowych informacji, które zmieniłyby taki czy inny aspekt tego, co już powiedziała i czego nie mogła cofnąć.

To właśnie robiła w tej chwili.

Jej kontener został przeniesiony z *Mosley* na inny statek, niemal bliźniaczy, nazwany *Bhikaji Cama*. Lecieli z ciągiem ćwierć g na Auberon ze sprzętem górniczym kupionym tanio na Marsie. Brzęczenie silników było już na tyle znajome, że praktycznie go nie słyszała, jeśli nie robili jakichś zmian szybkości albo poprawek kursu, a poza tym tylko, gdy wibracje trafiły na jakąś częstotliwość harmoniczną i wzbudzały dzwonienie. Racje żywnościowe otrzymane jako prezent pożegnalny z *Mosley* wyprodukowano na Ziemi. Ryż z warzywami, białka i sos curry, który prawie mógł być żywnością Pasiarzy, gdyby nie dodatek rodzynek. Ustawiła swój

system na działanie lokalne, nie próbując łączyć się z komputerami *Camy*, chyba że było coś, co mogła dostać tylko tam. Miała muzykę – łagodne mambo cereseano, jak to, do którego tańczyła jako młoda dziewczyna – i tyle kanałów wiadomości, ile tylko mogła znieść. Urządziła swoją przestrzeń tak, by miała miejsce na rozprostowanie nóg i ćwiczenia, i zmusiła się do ścisłego przestrzegania harmonogramu, dwa razy dziennie wyciskając z siebie pot. Spała również zgodnie z planem, gasząc światła na osiem godzin, nie więcej i nie mniej, nigdy nie śpiąc dłużej. Nigdy nie robiąc sobie drzemek. Rutyna trzymała mrok na dystans, gdy nic innego nie działało.

A przez pozostały czas ponownie studiowała dane i czekała na rozbitcie swej najnowszej butelki.

Monitor wyświetlał schemat kompleksu Bara Gaon z istniejącymi osiedlami i nowo proponowaną rozbudową. Bara Gaon był jedną z najbardziej udanych ludzkich kolonii, z samowystarczalnymi miastami już na trzech planetach, niezależnymi spółdzielniami górniczymi badającymi wyjątkowo bogaty pas asteroid oraz bazami na dwóch księżycach jedyne gazowego olbrzyma układu. Mapa ludzkiej obecności w systemie wyglądała jak początkowy wzrost liścia: blady, elegancki, cienki i obiecujący większą siłę w przyszłości. Pierwsze fale osadnictwa były kierowane przez korporację rolniczą bazującą na Ganimesie i progresywną społeczność muzułmańską z ze strefy współpracy Większego Terai. Obie organizacje zdołały stworzyć sprawne partnerstwo, które w ciągu dwóch dziesięcioleci przyciągnęło pięć kolejnych fal osadnictwa.

Populacja wciąż była małym ułamkiem układu Sol, ale nie potrwa to długo. Plan rozbudowy utknął w fazie negocjacji na lata, zanim przyszła Lakonia, a teraz Duarte pchał go do przodu.

Zaproponowano pięć nowych miast, po dwa na każdej z planet bliżej Słońca i jedno na chłodniejszej zewnętrznej. Zaawansowaną sieć czujników, która umożliwiłaby dokładne zmapowanie układu w ciągu następnych sześciu lat. Osiemnaście nowych misji badawczych. Rozbudowa infrastruktury prowadzona w cyklu

dwuletnim, z naciskiem na wsparcie dla nauki i kultury. Jeśli to wszystko się uda, w ciągu stulecia Bara Gaon przyćmi układ Sol. Plan był bardzo ambitny i możliwe, że dało się go zrealizować.

Ta ambicja była też źródłem nadziei dla podziemia. Jej nadzieją.

Przewertowała listę proponowanych projektów. Studiowała je już ze sto razy. Każda faza wiązała się z określonymi potrzebami. Sama sieć czujników wymagała zatrudnienia stu trzydziestu inżynierów i specjalistów z tej dziedziny, a choć głównym zadaniem sieci było mapowanie układu, nie trzeba było geniusza, by dostrzec jej potencjał do prowadzenia nadzoru. Tajne działania podziemia w układzie Bara Gaon stałyby się dużo łatwiejsze, gdyby od dziesięciu do dwudziestu procent obsługujących sieć specjalistów i inżynierów współpracowało z Sabą.

Stworzyła własną mapę projektu. Nie szkodząc rozwojowi, ale przejmując nad nim kontrolę od środka. Jej pierwszym celem był dział personalny Bara Gaon. Opublikowali już mnóstwo ogłoszeń o pracę, rozbudowując biurokrację, która będzie oceniać kandydatów na nowe stanowiska. Naomi zidentyfikowała siedem kluczowych pozycji i stworzyła profile, których Saba mógł użyć do zapewnienia stanowisk swoimi kandydatami. Bardzo ważne było, by ci ludzie nie byli fałszywymi tożsamościami, a rzeczywistymi osobami z prawdziwymi historiami i kwalifikacjami. Jeśli zdołają obsadzić teraz dwa z siedmiu stanowisk, wystarczy to do zapewnienia im przewagi na dalszych etapach. Trzy, a zdołają ukrywać własne ślady dość dobrze, wykrycie ich będzie bardzo trudne, nawet jeśli Lakonia nabierze podejrzeń. Pięć, a Saba będzie w praktyce kontrolował rozwój kompleksu Bara Gaon.

Zidentyfikowała też potencjalne problemy. Główny administrator prowincji Zehanat Bara Gaon 6 – planety nazywanej przez nich Al-Halub – był bliskim przyjacielem Carrie Fisk i otwarcie popierał władzę Lakonii. Ważne było, by obniżyć priorytet tamtejszych projektów i osłabić jego osobiste wpływy. Związki pracownicze na księżycach gazowego olbrzyma miały powiązania ze starymi grupami rasistowskimi planet wewnętrznych i wciąż zwalczały wszystko, co robił Związek Transportowy, z gorliwością rzekomo

uciskanych. Saba będzie musiał znaleźć tam sobie innych sojuszników. Miejscowy rząd zawierał frakcję komunitarianistyczną, która coraz głośniej mówiła o zbrojnym oporze przeciwko Lakonii, co, jeśli nie zostanie zdławione, wiązałoby się z silniejszym nadzorem bez żadnych realnych korzyści.

„Nie możesz prowadzić wojny uzbrojona tylko w spinacze”, powiedziała w wyobraźni Naomi Bobbie.

– No to patrz – odpowiedziała Naomi.

Jej głos zabrzmiał echem wraz z muzyką w kontenerze. Poczowała lekką irytację. Zamknęła pliki i odsunęła monitor na bok. Od czasu opuszczenia układu Sol wciąż miała nadzieję, że ich ostatnia rozmowa straci choć część ze swojej mocy, ale jak drzazga pod skórą piekła za każdym razem, gdy jej dotykała.

„Gdy dwóch ludzi zaczną walczyć, a tylko jeden z nich ma pistolet i wolę użycia go? To będzie cholernie krótka walka”.

Tylko że tym razem Naomi nie usłyszała w głowie głosu Bobbie. Tym razem był to Amos. Kilkadziesiąt lat wspólnego latania na jednym statku doprowadziło do powstania małych wersji rodziny w jej głowie. Uczyniło jakieś ich części częścią jej, nawet gdy nieszczególnie chciała to osiągnąć. Nawet gdy te ich małe lusterka mówiły jej, że ich rozmowy nie zostały ukończone.

Wstała z pryczy przy akompaniamencie syku zawieszenia. Zmieniła muzykę na coś z wyraźniejszym, szybszym rytmem. Coś, co będzie ją poganiać. Było jeszcze wcześniej na ćwiczenia, ale potrzebowała ruchu. Jakby naciąganie mięśni rąk, nóg i pleców mogło złagodzić napięcie między nią i ludźmi, których tu nie było.

– To nigdy nie jest krótka walka – powiedziała, przypinając taśmy oporowe do sufitu kontenera. Kiedy pierwszy raz weszła do swojej skrzyni, zaczepy były pomalowane na szaro. Teraz lśniły czystą wypolerowaną stalą. – Kiedy ostatnio w niej walczyłam, toczyła się już od pokoleń, zanim w ogóle weszłam na ring. Nie możemy wystrzelać sobie pokoju.

„Pokój to nie jedyny warunek dobrego zwycięstwa. Co powiesz na po prostu wywalczenie sobie wolności lub sprawiedliwości?”.

Naomi zaczepiła się stopami o uchwyty na podłodze, zapała się, poprawiła chwyt na taśmach i pociągnęła. To była ciężka praca. Trochę bolało, ale ten ból był sednem. Tym razem w jej wyobraźni zabrzmiał głos nie Amosa, a Jima.

„Na tym właśnie polega problem z autokracją. Wygląda całkiem przyzwoicie, gdy wciąż jeszcze wygląda przyzwoicie. A w każdym razie do zniesienia. I wygląda tak do chwili, gdy przestaje być do zniesienia. Wtedy właśnie odkrywasz, że jest już za późno”.

– Walczę – powiedziała, a potem stęknęła i znowu mocno pociągnęła w dół. – Cicha praca to wciąż walka. Nawet lepsza. Taka, którą możemy wygrać.

„Nie za naszego życia”, skomentowała Bobbie. I tak naprawdę o to chodziło. To była ta głęboka, prawdziwa myśl, dla której wyrażenia Naomi prowadziła dyskusje z tymi wszystkimi kochanymi głosami w głowie.

Pot zbierał się jej na linii brzegu czoła przyciążeniu zbyt słabym, by ściągnąć go w dół twarzy. Ręce drżały jej przy każdym pociągnięciu. Zmusiła się do powolnej pracy i obserwacji własnej formy. Zmuszało ją to do większego wysiłku, co lubiła. I zmniejszało ryzyko urazu, co było niezwykle ważne. Powoli, ostrożnie, z uwagą. Unikając uszkodzeń.

„Mam wrażenie, że to powinno być metaforą czegoś”, usłyszał w głowie głos Jima i roześmiała się z jego żartu.

Starzenie się było odpadaniem wszystkiego, co nieistotne. I coraz głębszym docenianiem wszystkich części ważnych na tyle, by zostać.

Odpięła taśmy i zaczęła zawieszać je w nowych pozycjach do pracy nad mięśniami pleców, gdy rozległo się powiadomienie, świergocząc równocześnie z monitorem przy pryczy i ręcznego terminala. Zwinęła taśmy i schowała je na miejsce. Dokończy później. Na monitorze widniał jeden komunikat. *Cama* odebrał zaszyfrowaną wiadomość pasującą do jej podpisu potwierdzenia. Gdzieś w głębi poniżej ekliptyki Auberona butelka została rozbita i rozesłała wszystkie upakowane w niej dane. Wyciągnęła kopię z buforu statku i kazała swojemu systemowi dokonać porównania. Liczyła się z degradacją sygnału, zawsze występowała. Z drugiej

strony sygnał zawierał też powtórzenia i liczne sumy kontrolne. Potrzeba byłoby straszego pecha lub zdarzenia z dużą emisją promieniowania, by uczynić jej wiadomość całkowicie nieczytelną. Sprawdzała tylko dlatego, że tak było trzeba.

Wszystkie pliki i raporty otwarły się z kopii tak samo jak z oryginalnych plików. Ostateczny werdykt systemu został wyświetlony z dźwiękiem podobnym do pstrykania palcami. BRAK STRAT NIE DO ODZYSKANIA.

Czyli tutaj koniec. Kolejna runda analiz, nowy zestaw rozkazów i zaleceń wypuszczonych w świat. Oczywiście zaczęła już pracę nad następnym, ale spełnienie dało jej uczucie satysfakcji.

Przełączyła się na wiadomości, usuwając nieoznaczone kopie ze swojej pryczy i zastępując je ponownie, jakby zanurzała kubek w nigdy nie wysychającej fontannie. Stukając palcami w ekran przerzucała pozycje uznane przez system za najbardziej dla niej interesujące. Pomniejsze wybory na Sanaang nieoczekiwanie doprowadziły do zwycięstwa kandydata z drugiego miejsca, co zalecała w swojej przedostatniej butelce. Pracownia kodów z Marsa nawiązała współpracę z Medyną w celu stworzenia nowej infrastruktury zabezpieczeń, czego wcale nie chciała, ale znajdowało się to na jej liście dopuszczalnych wyników. W systemie Sol wyemitowano alarm bezpieczeństwa. Czerwony znacznik, ale bez szczegółów zdarzenia.

Tylko że niezależnie od tego, jakie będą szczegóły, wiedziała, o co chodzi. Wojna Bobbie. Ta z bronią.

Gdzieś tam, dostatecznie daleko, by szybkość światła oznaczała godziny, Bobbie i Aleks ryzykowali życie. Może je tracili. Nie mogła niczego zrobić. Ogarnęła ją frustracja. A może po prostu lepiej uświadomiła sobie jej nieustanną obecność.

Sama wybrała swoją rolę. Wybrała swoje miejsce, pomogła zaprojektować grę w trzy kubki, w której teraz prowadziła życie. Były dziesiątki innych sposobów, na które mogła współpracować z podziemiem. Tysiące innych, na jakie mogła prowadzić nowe życie bez nich. Była tutaj, ponieważ taki los wybrała. Kontener sprawiał wrażenie samotności, nie izolacji. Schronienie, w którym mogła

przeczekać, aż osiądzie zmacona zawartość jej serca i oczyści się umysł.

Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem. Można było odnieść wrażenie, że działa. Teraz, trzymając palce przy powiadomieniu, nie była pewna, czy wciąż się to sprawdza.

Wyłączyła wiadomości, uderzając w przycisk jak w owada. Wynik analizy danych wciąż jarzył się na ekranie, radośnie zgłaszając BRAK STRAT NIE DO ODZYSKANIA.

– Mam wrażenie, że to powinno być metaforą czegoś – powiedziała i wyobraziła sobie śmiech Jima obok. Powtarzając mu ten sam żart, jak robili to w dawnych czasach.

– Cholera, muszę się wydostać z tego pieprzonego pudła – rzuciła po chwili.

Rozdział dziewiąty

Teresa

Carrie Fisk była prezydent Stowarzyszenia Światów. Dziewczyna wiedziała, że pozwolenie jej na spotkanie z ojcem przy śniadaniu stanowiło miarę jej znaczenia. Teresa siedziała po prawej stronie ojca przy małym stoliku, a Fisk naprzeciw niego, więc słuchając ich rozmowy, Teresa czuła się, jakby oglądała mecz ping-ponga.

– Porozumienie handlowe między Auberonom i grupą pięciu światów oferuje pewne realne korzyści – powiedziała Fisk. – Dzięki wybraniu garści światów, na których poważnie się skupimy, możemy szybko osiągnąć postępy. Auberon lub Bara Gaon mogą doprowadzić kolejne trzy do pięciu układów do poziomu samowystarczalności w siedem do dziesięciu lat, a potem każdy z tych układów może przyjąć własnych klientów. Model wzrostu geometrycznego doprowadzi do rozwoju wszystkich układów znacznie szybciej, niż jeśli wszystkie poszczególne kolonie będą traktowane z równą uwagą.

Jej ojciec powoli kiwnął głową. Rozpoznawała już ten gest. Zerknął na nią i uniósł brew. Drobną oznaką współudziału. Teresa czuła, jak Fisk zaczyna się wic. Emanująca z niej chęć uzyskania aprobaty ojca była nieco zawstydzająca. Teresa wzruszyła ramionami. Drobną gest, uniesienie na kilka milimetrów, znaczące „Chcesz, żebym zapytała?”. Ojciec przytaknął.

– A co z korupcją? – zapytała.

Fisk się roześmiała.

– Reputacja Auberona sięga daleko. Gubernator Rittenaur zapewnia mnie, że sytuacja została opanowana. Pojawiło się kilka zepsutych jabłek, ale tego można było się spodziewać w tego typu kolonii. Teraz, gdy jest pod nadzorem Lakonii, zajęto się tym problemem.

Teresa przytaknęła, a potem odchyliła się, by zobaczyć, jak zareaguje ojciec. Nie śpieszył się. Wzięła kolejną porcję jajek z talerza. Żółtko było płynne, tak jak lubiła, więc zebrała je kawałkiem chleba. Kelly – osobisty pokojowy ojca – przyniósł Fisk kolejną kawę. Kiedy ojciec westchnął, w oczach Fisk pojawiło się wyraźne zrozumienie porażki. Tylko na moment, szybko ukryte, ale Teresa je zobaczyła.

– Architektura wygląda dobrze – powiedział. – Choć nie jestem pewien, czy ta piątka to właściwe światy do jej implementacji. Proszę mi dać czas na zapoznanie się z tym i wrócimy do tematu w przyszłym tygodniu.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Fisk. – Oczywiście.

Po zakończeniu spotkania przy śniadaniu Fisk wyszła, a Teresa została. Kiedy Kelly sprzątał naczynia, ojciec wstał, przeciągnął się i zapytał:

– Co zauważyłaś?

– Denerwowała się – stwierdziła Teresa.

– Zawsze to robi – przypomniał ojciec. – To jeden z powodów, dla których ją wybrałem. Gdy ludzie robią się zbyt pewni siebie, rozluźniają się. Robią się niedbali. Co jeszcze?

– Wiedziała, że pojawi się pytanie o korupcję. I sprowadziła je do Auberonu, zamiast poruszyć temat sposobu wybrania tych pięciu światów.

– Próbowwała coś ukryć?

– Nie sądzę – stwierdziła Teresa. – Dla mnie wyglądało to raczej tak, że zdawała sobie sprawę ze złej reputacji Auberonu i próbowała skontrolować oczywiste wątpliwości. Gdy skupiłeś się na wyborze światów, wydawało się... że poczuła ulgę?

– Zgadza się. No dobrze. To było ciekawe. Mam raport wojskowy od Trejo w układzie Sol. Jesteś zainteresowana zapoznaniem się

z nim?

Odpowiedź brzmiała „nie”. Był dzień zajęć z rówieśnikami, co oznaczało spotkanie z Connorem. Chciała iść na zajęcia bardziej niż wymknąć się na spotkanie z Timothyem, bardziej niż iść bawić się z Piżmakiem, nawet bardziej niż przebywać z ojcem. Ale też dręczyło ją poczucie winy z powodu jej pragnień. Nie chciała, by ojciec miał wrażenie, że nie jest dla niej ważny, zwłaszcza w sytuacji, gdy była to częściowo prawda...

– Jeśli chcesz – powiedziała głosem pełnym energii i bez troski.

Zaśmiał się i zmierzwił jej włosy.

– Nie jest mi to potrzebne. Możesz iść pracować z pułkownikiem Ilichem. Dam ci znać, jeśli Trejo przekaże coś o kluczowym znaczeniu.

– Dobrze – zgodziła się. A potem, bo zdawała sobie sprawę, że wie, o czym myślała: – Dziękuję.

– Zawsze – rzucił i odesłał ją gestem.

* * *

Gdy tylko weszła do klasy, zorientowała się, że coś jest nie tak. Zwykle pozostali siedzieli w grupkach na fotelach i kanapach wspólnej sali, tocząc równocześnie liczne rozmowy. Zauważali jej wejście do sali, ale nie starali się tak wyraźnie na nią nie gapić. Dzisiaj rozproszyli się do kątów pokoju, opierając się o ściany i kolumny jak małe zwierzątka świadome obecności drapieżnika. Connor stał sam, marszcząc brwi nad ekranem ręcznego terminala, jakby urządzenie go obraziło i próbował opanować temperament. Pozostali zerkali na nią i odwracali wzrok, ale Connor nie widział jej z energią i skupieniem, które wydawały się bardzo świadome.

– Zaraz wrócę – powiedział pułkownik Ilich, dotykając jej ramienia. – Muszę jeszcze coś przynieść, nim zaczniemy.

Kiwnęła głową, zwalnając go. Skupiła uwagę na Muriel Cowper. Była o rok starsza od Teresy, z mysimi włosami, lekko wyszczerbionym przednim zębem i talentem do rysowania, dzięki

któremu to ona zajmowała się malowaniem twarzy na większych imprezach. Podeszła teraz do Teresy i wyglądała, jakby trzęsa się w środku. Skojarzyła się dziewczynie z Carrie Fisk.

– Teresa – odezwała się druga dziewczyna. – Czy możemy... chwilę porozmawiać?

Teresa poczuła ukłucie niepokoju, ale przytaknęła. Muriel zrobiła kilka kroków w stronę drzwi na dziedziniec, a potem zatrzymała się i obejrzała dokładnie tak, jak czasem Piżmak, żeby się upewnić, że Teresa idzie za nią. Na dziedzińcu Muriel wysunęła dłonie przed brzuch, jak słuchające nagany dziecko. Teresa miała ochotę je chwycić i zepchnąć z powrotem do boków, zmusić, by zachowywała się normalnie. Niepokój bił z Muriel jak żar z ognia, przez co Teresa też robiła się nerwowa.

– Co się dzieje? – zapytała.

Muriel oblizwała wargi, głęboko wciągnęła powietrze i podniosła wzrok, wbijając spojrzenie w oczy Teresy.

– W zeszłym tygodniu pojechaliśmy na wycieczkę pod namioty, byliśmy tam wszyscy i w nocy, kiedy mieliśmy spać, część z nas wymknęła się nad wodę, a Connor mnie pocałował.

Teresa coś poczuła. Nie wiedziała, co to takiego, ale pojawiło się w jej brzuchu, tuż pod pępkiem i na tyle głęboko, że nie mogło być mięśniowe. Implikacje wpadły na miejsce z kliknięciem jak kostki domina. Connor pocałował Muriel. Co więcej, chciał ją pocałować. I jeszcze, Muriel wiedziała, że Teresa będzie się tym przejmować. Podobnie jak wszyscy inni.

O Boże, także Connor.

– Mogę z nim zerwać – cicho zaoferowała Muriel. – Jeśli chcesz.

– Nie obchodzi mnie, co robicie – odparła Teresa. – Jeśli chcecie sobie chodzić z Connorem do lasu się całować, to nic dla mnie nie znaczy.

– Dziękuję – powiedziała Muriel i prawie biegiem wróciła do środka.

Teresa poszła za nią, starając się, by jej twarz nie zdradzała nic z tego, co działo się w jej głowie. Pułkownik Ilich wrócił

równocześnie z nią, uśmiechając się ciepło. Pod pachą trzymał czarno-białą piłkę wielkości odciętej ludzkiej głowy.

– Dzisiaj – zwrócił się do wszystkich – będziemy się uczyć nowych zagrań piłki nożnej. Deszcz trochę za bardzo rozmoczył wschodni trawnik na takie zabawy, więc szanowne panie i panowie pójdą ze mną na salę gimnastyczną, gdzie będziecie mogli przebrać się w stosowniejsze stroje...

Środek dnia wypełniły odbijające się echem krzyki oraz piekący ból nóg i pleców. Kopała za mocno i pudłowała częściej, niż trafiała piłką do celu, przez cały czas czując na sobie uwagę klasy. Muriel. Connora. Nawet pułkownik Ilich zauważył, że nie miała głowy do gry, ale poza łagodnym pytaniem o jej samopoczucie nie próbował drążyć tematu. Kiedy przyszła pora na prysznic i przebranie się w normalny strój, nie poszła do szatni z pozostałymi. Miała swój apartament, nie musiała już z nimi przebywać. Z żadnym z nich.

Wchodząc, obejrzała się, by sprawdzić, czy Connor jest z Muriel. Czy trzymali się za ręce. Czy się całowali. Nie robili tego – Connor był przy stalowej fontannie z wodą do picia z Khalidem Marksem, a Muriel udawała, że nie żyje i musi zostać podniesiona z podłogi przez Anneke Douby i Michaela Li. Teresa sądziła, że powinna się z tym poczuć lepiej, ale wcale tak nie było.

W prywatności swojego pokoju pozwoliła sobie na łzy. Czowała się przez nie głupio. Connor nie był dla niej nikim poza chłopcem, o którym myślała trochę więcej niż o innych. Nigdy go nie pocałowała ani nie próbowała trzymać go za rękę. Aż do dzisiaj powiedziałyby, że nawet nie wie, czy traktuje go jakoś inaczej. Że nikt tego nie wiedział. Tylko że teraz pośrodku nocy wymykał się z namiotu z pieprzoną Muriel Cowper. Kto w ogóle odpowiadał za wycieczki terenowe i pozwalał, by działo się coś takiego? Ktoś mógł utonąć lub zostać upolowany przez jedno z miejscowych zwierząt. Byli niekompetentni. Na tym polegał problem. I dlatego właśnie – choć wydawało się to nieprawdopodobne – teraz płakała.

Piżmak wepchnęła jej pod łokieć szeroki, spiczasty nos i pchnęła do góry. Troska w oczach starej psicy była jednoznaczna. Gruby ogon zamachał niepewnie.

– Jestem głupia – powiedziała Teresa i nawet dla niej własny głos brzmiał na wyczerpany. – Jestem po prostu bardzo głupia.

Piżmak wykaszła coś nie do końca będącego szczeknięciem i skoczyła jej na stopy. Jednoznaczne zaproszenie. *Zapomnijmy o tym i chodźmy się bawić.* Teresa rzuciła się na łóżko w nadziei, że przyjdzie sen lub łóżko otworzy się jak na filmach i pozwoli jej uciec do innego wymiaru, gdzie nikt nigdy o niej nie słyszał. Piżmak znowu sapnęła. Potem szczeknęła.

– No dobrze – jęknęła Teresa. – Tylko daj mi włożyć coś, co nie śmierdzi potem. Głupi pies.

Piżmak pomachała ogonem. Tym razem z większą energią.

Poranne chmury rozeszły się, ale okolica wciąż była mokra od deszczu. Cykl wodny był czymś, co dzieliły wszystkie planety imperium. Każdy świat z życiem miał burze deszczowe i kałuże z błotem. Maszerowała ścieżkami obstawionymi kolumnami, oddalając się od bardziej uczęszczanych rejonów Budynku Rządowego. Nie chciała żadnego towarzystwa poza psem i użalaniem się nad sobą.

Zastanawiała się, co mogła zrobić inaczej. Gdyby odmówiła Muriel, gdyby kazała jej zerwać z Connorem. Mogła to zrobić. Właściwie nadal było to częściowo możliwe. Gdyby poszła do pułkownika Ilicha i powiedziała, że nie czuje się już dobrze w towarzystwie Muriel, mogłaby doprowadzić do wyrzucenia dziewczyny ze swojej klasy rówieśniczej. Mogła nawet poprosić, żeby Connor spędzał więcej czasu w Budynku Rządowym, gdyby tego zechciała, a jej życzenie zostałoby zrealizowane.

Tyle że wszyscy wiedzieliby, czemu to robi, więc nie mogła. Zamiast tego maszerowała przez szarozielony ogród na tyłach budynku, wychodzący na niskie, zielone wzniesienia góry za terenami Budynku Rządowego, i pragnęła odejść, zginąć lub odwrócić czas.

Piżmak gwałtownie uniosła głowę, z podnieceniem ruszając uszami. Szczeknęła raz energicznie, a potem pobiegła przed siebie szybciej, niż powinno być to możliwe w przypadku zwierzęcia ze

starymi, zużytymi stawami biodrowymi. Teresa roześmiała się wbrew sobie.

– Piżmak! – krzyknęła, ale suka na coś polowała i nie dała się odciągnąć.

Gruby, machający ogon zniknął za żywopłotem z importowanych z Ziemi bżów i Teresa potruchtała jego śladem.

Na wpół spodziewała się zastać Piżmak zaczepiającą popylacza, szarokota lub inne miejscowe zwierzę, które zapuściło się do ogrodu. Suka robiła czasem takie rzeczy, choć jeśli zjadła coś miejscowego, dostawała potem wymiotów. Teresa zawsze martwiła się, że któregoś dnia dostanie się tu jeden z większych miejscowych drapieżników. Kiedy jednak obesza żywopłot, jedynym, co zobaczyła oprócz Piżmak, była ludzka postać siedząca na trawie i patrząca w stronę horyzontu. Siwiejące, krótko ścięte włosy. Lakoński mundur bez dystynkcji. Łagodny, pusty uśmiech.

James Holden i Piżmak rozciągnięta na trawie przy nim, wijąca się, by podrapać się w plecy. Teresa stanęła. Holden wyciągnął rękę i w zamyśleniu pogłaskał sukę po brzuchu. Piżmak zerwała się na nogi i zaszczekała do Teresy. *Chodź!* Teresa niemal wbrew sobie zaczęła iść w stronę najsłynniejszego więźnia imperium.

Nie lubiła Holdena. Nie ufała mu. Choć za każdym razem, gdy rozmawiali, był uprzejmy i nie próbował jej grozić. Nawet nieco rozbawiony wszystkim w delikatny, nieco filozoficzny sposób, dzięki któremu łatwo było traktować go uprzejmie.

– Cześć – odezwał się, nie patrząc na nią.

– Dzień dobry.

– Wiesz, co jest dziwne? – zapytał. – Deszcz pachnie tak samo, ale mokra ziemia inaczej.

Teresa nie odpowiedziała. Piżmak przeniosła spojrzenie z więźnia na nią i z powrotem, jakby oczekiwała na coś, czego nie mogła się doczekać. Po chwili milczenia Holden mówił dalej.

– Dorastałem na Ziemi. Kiedy byłem w twoim wieku... masz czternaście lat, prawda? Kiedy byłem w twoim wieku, mieszkałem na ranczu w Montanie z ośmiorgiem rodziców i mnóstwem zwierząt. Deszcz pachniał właśnie tak. To chyba ozon. Wiesz,

z ładunków elektrycznych? Ale ziemia po deszczu miała taką głęboką woń. Pachniała jak... Sam nie wiem. Dobrze. Tutaj pachnie miętowo. To dziwne.

– Miałam już kontakt z mokrą glebą – powiedziała prawie obronnym tonem. – Ten zapach nazywa się petrichor. To zarodniki promieniowców.

– Nie wiedziałem – odpowiedział Holden. – Ale to dobry zapach. Brakuje mi go.

– To mój pies. – Implikowane tymi słowami „więc zostaw ją w spokoju” najwyraźniej do niego nie dotarło.

– Piżmak – powiedział Holden, a Piżmak zamachała ogonem zadowolona, że została włączona do rozmowy. – To ciekawe imię. Ty je wybrałaś?

– Tak – potwierdziła.

– Widziałaś kiedyś prawdziwego piżmaka?

– Oczywiście, że nie.

– To skąd to imię? – Sposób, w jaki zadał to pytanie, wydawał się dziwnie otwarty. Niemal niewinny. Jakby to ona była dorosła, a on był dzieckiem.

– Postać o takim imieniu występowała w komiksie, który kiedyś czytywał mi tata.

– A czy ta postać była piżmakiem?

– Chyba tak – odpowiedziała Teresa.

– No proszę – stwierdził Holden. – Zagadka rozwiązana. Wiesz, nie musisz się mnie bać. Ona się nie boi.

Teresa przesunęła ciężar ciała. Ziemia pod jej stopami wciąż była miękka od deszczu i miała rację – pachniała miętą. W jej głowie pojawiło się kilka możliwych reakcji, od odwrócenia się i odejścia, do powiedzenia mu, że się go nie boi, i jest głupi, jeśli sądzi inaczej. Pewnie zbyłaby to śmiechem, gdyby nie czuła się już poniżona i zła, ale okazało się, że szykowała się do walki, a on dał jej do niej okazję. Był jedną z nielicznych osób, na której mogła się bezpiecznie wyładować.

– Jesteś terrorystą – rzuciła. – Zabijałeś ludzi.

Przez jego twarz przemknął jakiś wyraz, niemal zbyt szybko, by go zauważyć, a potem znowu się uśmiechnął.

– Pewnie tak. Ale już nim nie jestem.

– Nie wiem, czemu ojciec nie trzyma cię w więzieniu – powiedziała.

– Och, na to pytanie znam odpowiedź. Jestem jego tańczącym niedźwiedziem – wyjaśnił Holden, a potem położył się na trawie i popatrzył w niebo.

Wysoko białe chmury na tle błękitu i migoczące światła platform konstrukcyjnych za nimi. Teresa zrozumiała grę. Wciągał ją w rozmowę. Ten tekst o deszczu i glebie, skąd wzięło się imię Piżmak. Teraz tajemniczy komentarz o tańczącym niedźwiedziu. Wszystko to były zaproszenia, ale to od niej zależało, czy zechce z nich skorzystać.

– Tańczący niedźwiedź? – zapytała.

– W dawnych czasach królowie trzymali na dworach groźne zwierzęta. Lwy, lamparty, niedźwiedzie. Uczyli je wykonywać sztuczki, a przynajmniej nie zjadać zbyt wielu gości. To był sposób na pokazanie swojej potęgi. Wszyscy wiedzą, że niedźwiedź jest zabójczy, ale król jest tak potężny, że niedźwiedź jest dla niego tylko zabawką. Gdyby Duarte trzymał mnie w celi, ludzie mogliby pomyśleć, że się mnie boi. Albo że mogę stanowić zagrożenie, jeśli się wydostanę. A skoro pozwala mi chodzić i pozornie jestem wolny, to jasno daje do zrozumienia wszystkim przychodzącym do pałacu, że obciął mi jaja. – Wcale nie wydawał się rozgniewany. Ani zrezygnowany. Jeśli już, to prawie rozbawiony całą sprawą.

– Od takiego leżenia zamokną ci plecy.

– Wiem.

Chwila się przeciągała i poczuła, że cisza zaczyna jej przeszkadzać.

– Ilu ludzi zabiłeś?

– To zależy, jak liczyć. Staralem się nikogo nie zabić, gdy mogłem tego uniknąć. Ale, wiesz... Jestem w więzieniu. Jestem przekonany, że w tej chwili przynajmniej dwóch bardzo dobrze wyszkolonych snajperów trzyma mnie na muszce i są gotowi rozwalić mi głowę,

gdybym spróbował cię skrzywdzić. Więc nie tylko nie mam najmniejszej ochoty ci niczego robić, dosłownie nie mógłbym nawet, gdybym uważał to za dobry pomysł. To właśnie cały sens tańczącego niedźwiedzia: jest najmniej niebezpiecznym elementem dworu, bo wszyscy są tego świadomi. Najniebezpieczniejsi są ci, którym ufasz. Dużo więcej królów i księżniczek zostało otrutych przez przyjaciół niż zjedzonych przez niedźwiedzie.

Zabrzączał jej ręczny terminal. Pułkownik Ilich chciał z nią rozmawiać. Wysłała potwierdzenie, ale nie otworzyła połączenia. Holden uśmiechnął się do niej szeroko.

– Obowiązki wzywają? – zapytał.

Teresa nie odpowiedziała, po prostu klepnęła się w udo. Piżmak dźwignęła się na nogi i podeszła, równie zadowolona z odejścia, co z zostania. Teresa odwróciła się w stronę Budynku Rządowego. Gdy Holden się odezwał, jego głos brzmiał emocjami. Jakby próbował zmieścić w słowach więcej znaczenia, niż mogły pomieścić sylaby.

– Jeśli się martwisz, powinnaś mieć na mnie oko.

Obejrzała się. Siedział. Zgodnie z jej ostrzeżeniem miał ciemną mokrą plamę na plecach, ale chyba się tym nie przejmował.

– Obserwuj mnie cały czas – powiedział. – Nawet gdy wydaje się, że tego nie robią. Powinnaś mieć na mnie oko.

Zmarszczyła czoło.

– Dobrze – rzuciła, a potem odeszła.

Idąc z powrotem do swoich pokoi i pułkownika z Piżmak, sapiącą radośnie przy jej boku, Teresa spróbowała dokonać inwentaryzacji swoich uczuć. Wciąż czuła cierpienie Connora i Muriel i wstyd z jego powodu, ale te uczucia nie były tak bezpośrednie jak wcześniej. Towarzyszył im też niepokój, którego nie potrafiła zdefiniować – wiedziała tylko, że ma jakiś związek z faktem, że Piżmak lubi spotykać się z Jamesem Holdenem, a ona nie.

Pułkownika Ilicha znalazła w ogólnodostępnym salonie. Kanapy i fotele wydawały się całkiem inne bez zajmujących je uczniów. Widok ścian wywoływał wrażenie, że zrobiły krok do tyłu i jest teraz trochę więcej miejsca na pustkę. Jej kroki odbijały się echem,

podobnie jak uderzenia pazurów Pizmak o kafelki podłogi. Ilich czytał coś na swoim terminalu, ale wstał, gdy tylko się zbliżyła.

– Dziękuję – powiedział. – Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem?

– W niczym ważnym – potwierdziła. – Spacerowałam.

– Doskonale. Twój ojciec poprosił mnie, bym sprawdził, czy jesteś dostępna.

– Coś się stało?

– Atak piracki w układzie Sol – wyjaśnił Ilich. – Atak związany z bardzo nieprzyjemnymi sugestiami dotyczącymi zabezpieczeń – dodał po chwili. – Może być konieczne zastosowanie zdecydowanej reakcji.

– Zginęło coś ważnego?

– Tak. Jednak zanim pójdziemy do twojego ojca... – Mina Ilicha złagodniała. Przez chwilę na jego twarzy rysowało się to samo, co Teresa widziała przed chwilą u Jamesa Holdena. Wyglądało to nieco upiornie. – Nie chcę być wścibski, ale odniosłem wrażenie, że dzisiaj podczas zajęć w klasie coś cię martwiło.

To była jej chwila. Wystarczyłoby, żeby powiedziała, że nie czuje się już dobrze w towarzystwie Muriel, i dziewczyna nigdy więcej nie przekroczyłaby progu Budynku Rządowego. Albo że chce wybrać się na następną wycieczkę pod namioty organizowaną przez szkołę. Wtedy mogłaby się wymknąć i pocałować chłopca nad brzegiem wody. Czuła te słowa w swoich ustach, realne i twarde jak cukierki. Ale wtedy Ilich by wiedział. I tak wiedział.

„Najniebezpieczniejsi są ci, którym ufasz”.

– Teresa? – zapytał Ilich. – Czy coś jest nie tak?

– Nie – odparła. – Wszystko w porządku.

Rozdział dziesiąty

Elvi

Coś było nie tak. Nie wiedziała, w czym tkwi problem, tylko że odbiera przemożne poczucie zagrożenia i dyslokacji. Kaszłała i wymiotowała płynem do oddychania, a Fayeza już nie było. Jego prycza wyglądała na pustą i suchą. Czyli opuścił ją jakiś czas temu. Umysł powoli budził się do życia. Znajdowała się na *Jastrzębiu*. Lecieli z dużym ciągiem do układu Tecoma. Leżała na pryczy przeciążeniowej do wysokiego ciągu. I coś poszło nie tak.

Spróbowała zapytać „co się stało?”, ale zdołała wypowiedzieć tylko coś w rodzaju „sstło”.

– Proszę jeszcze nie próbować mówić – odezwał się jej technik medyczny, sympatyczny młody chorąży imieniem Calvin, o ciemnej skórze i rysach nasuwających Elvi myśl, że jego przodkowie mogli pochodzić z tego samego rejonu Afryki Zachodniej, co jej. Nigdy nie zapytała, bo prawie na pewno tego nie wiedział. Lakończycy nie dzielili zainteresowania Ziemią swoim pochodzeniem etnicznym. Jego twarz zdawała się pływać, a jej umysł sprawiał wrażenie odłączonego od ciała.

– Co... – powiedziała, ignorując jego radę, a potem znowu zaczęła wymiotować.

– Nie mówić – powtórzył z większym naciskiem Calvin. – Kiedy była pani nieprzytomna, wystąpiła u pani reakcja na mieszanke usypiającą. Musieliśmy przeprowadzić trochę testów i wykonać

procedurę przed obudzeniem pani, żeby się upewnić, że pani nie zaszkodzimy.

Calvin ściągnął z jej ręki mankiet medyczny, z którego obecności nawet nie zdawała sobie dotąd sprawy. Z ciała wysunęły się igły i Elvi poczuła w tych miejscach pieczenie. Kilka wężyków biegło z mankietu do pobliskiego monitora dozującego leki. Elvi spróbowała odczytać ekran, żeby zobaczyć, co jej podawali, ale nie potrafiła skupić wzroku. Słowa zostały tajemniczym rozmazem.

– Co... – zdołała powiedzieć bez wymiotowania, ale zanim dokończyła, do pokoju wpadł Fayez.

– Obudziłeś ją? Czemu nikt mnie nie wezwał?! – krzyknął na Calvina. – Pokaż jej kartę!

Fayez chwycił jej dłoń i ścisnął odrobinę za mocno. Z bliska zobaczyła, że ma trochę spuchnięte i zaczerwienione oczy. Czyżby płakał?

– Sir – odpowiedział Calvin. – Obudziła się, bo procedura dobiegła końca. Wszystkie skany są czyste, nie ma uszkodzeń mózgu, nie powinno być żadnych niedoborów funkcjonalnych.

– Uszkodzenie mózgu? – wychrypiała Elvi. – Myśleliście o uszkodzeniu mózgu?

Miała obolałe gardło. Fayez chwycił plastikową butelkę z wodą z wystającą słomką i przystawił ją do jej warg. Napiła się łapczywie. Najwyraźniej była spragniona. Dobrze wiedzieć.

– Pojawiły się pewne obawy, że doszło do zahamowania czynności oddechowych – wyjaśnił Fayez, gdy przełykała wodę. – Po prostu chcieliśmy się upewnić.

– To było mało prawdopodobne – dodał Calvin – ale chcieliśmy podjąć wszelkie środki ostrożności.

– Co się stało? – zdołała w końcu powiedzieć Elvi po zaspokojeniu pragnienia.

– Nie powiedziałaś jej? – zapytał Calvina Fayez. – Els, skarbie, miałaś reakcję na...

– Nie – przerwała mu. – To już wiem. Dokąd lecimy? Czuję ciężenie. Lecimy przez wrota?

Kiedy mówiła, Calvin zaczął chować sprzęt medyczny. Wyglądało na to, że cokolwiek się jej stało, leczenie dobiegło końca.

– Tak – potwierdził Fayez. – Jesteśmy obecnie w układzie Tecomy. Kończymy hamowanie.

– Byłam nieprzytomna aż tak długo?

– Potwornie się bałam, Els. Zleciłem pełen zestaw testów, żeby dopilnować, by nic takiego więcej się nie wydarzyło.

– Harmonogram Sagale'a nie...

– Sagale się ze mną zgodził. Mnie to też zaskoczyło. Mam wrażenie, że perspektywa utraty ulubionej biolożki Duarte'go sprawiła, że zaczął sikać po nogach.

Calvin prychnął na te słowa.

– Już tu skończyłem. Potrzeba państwu jeszcze czegoś?

– Nie – odpowiedziała Elvi. – Tak. Kiedy będę mogła wrócić do pracy.

– Od razu, jeśli czuje się pani dość dobrze.

– Dziękuję, Calvin – odparła Elvi.

Calvin zasalutował jej z uśmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani major – odpowiedział i wyszedł.

– Może powinnaś odpocząć – zasugerował Fayez. Marszczył czoło.

Elvi się roześmiała. Prawie nigdy się nie marszczył, a jego dziecinna twarz nadawała mu wtedy wygląd obrażonego dziecka.

– Dobrze się czuję – zapewniła. – No dobrze, nie do końca – skorygowała po chwili. – Ale będzie dobrze. To tylko podróż.

– Nie podoba mi się to – skomentował Fayez.

Ujęła go za rękę. Miała lepką skórę, będzie potrzebować prawdziwego prysznicza.

– No dobrze, układ Tecoma – powiedziała. – Według sond mamy tu gwiazdę neutronową? – Spróbowała usiąść. Trochę zakręciło się jej w głowie, więc na tym poprzestała.

– Owszem – potwierdził Fayez, wyciągając rękę, by pomóc jej utrzymać pozycję. – Ale wiesz, jest nietypowa.

Zawroty głowy minęły i coraz lepiej udawało się jej skupiać wzrok. Tekst na ekranach z rozmazanych plam stał się literami

i cyframi.

– Pomóż mi wstać – poprosiła i opuściła stopy na podłogę.

Fayez objął ją w talii i spróbowała stanąć. Nogi wciąż miała osłabione, ale ciężenie wywoływało wrażenie, że lecą tylko z ćwiercią g czy coś koło tego, więc stanięcie nie było takie trudne. Fayez popatrzył na nią uważnie, a potem zabrał rękę, czekając w gotowości, by ją złapać, gdyby upadła. To nie nastąpiło.

– Będę potrzebowała jakiegoś ubrania – powiedziała.

Fayez kiwnął głową i otworzył pobliską szafkę.

– W jaki sposób nietypowa? – zapytała.

– Układ jest opróżniony – wyjaśnił Fayez, a potem rzucił na prycze jej mundur i czystą bieliznę. – Olbrzymia, szybko wirująca gwiazda neutronowa, bez żadnych planet, planetoid czy asteroid. Zupełnie nic.

Elvi ściągnęła cienką koszulę noszoną w pryczy zanurzeniowej i ruszyła pod prysznic. Fayez poszedł za nią, niosąc ręcznik. Uderzenie gorącej wody znowu wywołało zawroty głowy, ale parę głębokich oddechów i oparcie się dłonią o ścianę pozwoliło jej uporać się z nimi w kilka sekund. Fayez obserwował ją czujnie, ale gdy się upewnił, że nic jej nie będzie, rozluźnił się.

– Oczyszcili też wszystko tam, gdzie zrobili diamentowy kryształ na kopie zapasowe – skomentowała Elvi, zmywając z siebie resztki żelu.

– To coś więcej. Nie chodzi o to, że nie ma żadnych planet. Tam nie ma nic. Żadnych mikrometeorytów, pyłu, latających luzem protonów. Próżnia tam jest tak pusta, jak to tylko możliwe.

– To... No dobrze, dziwne. – Elvi wyłączyła wodę, a Fayez rzucił jej ręcznik. – No wiesz, czy to w ogóle możliwe?

– Nie, chyba że jest tam coś, co pilnuje czystości. Wciąż jesteśmy w Drodze Mlecznej, co jakiś czas powinny tam przylatywać różne śmieci. A to znaczy, że nie tylko układ został wysprzątnięty, ale też coś aktywnie utrzymuje go w tym stanie. I – posłuchaj – te wrota są pięć razy dalej od gwiazdy niż wszelkie inne. Na dodatek powyżej płaszczyzny ekliptyki. Dziewięćdziesiąt stopni. I w ogóle nie będę zaczynał o samej gwiazdzie.

– Co jest nie tak z gwiazdą?

– Jest olbrzymia. No wiesz, tak bardzo masywna, że w zasadzie wystarczyłoby na nią splunąć, żeby zmieniła się w czarną dziurę.

– W takim razie dobrze, że nikt w okolicy nie pluje.

– Prawda? Okazuje się, że gwiazdy neutronowe nie są ciekawe do oglądania. O ile nie potrafisz widzieć pól magnetycznych, są... zwyczajne. To znaczy... materia o największej możliwej gęstości, siły tak potężne, by zerwać czasoprzestrzeń? Jasne. I do tego świeci jak cholera, ale spodziewałem się jakichś pokazów świetlnych czy czegoś takiego, a to wygląda jak każde inne słońce, tylko mniejsze i jakby rozszoszczone. Wiruje do tego na tyle szybko, by wylądować w zakresie pulsarów. Jesteśmy dość daleko, by uniknąć najgorszych zaburzeń magnetycznych.

Odetchnęła głęboko. Słyszała niepokój w jego głosie i wiedziała, co znaczy.

– Nic mi nie jest – zapewniła.

– Nieprawda. Mogłaś umrzeć.

– Ale nie umarłam. A teraz już nic mi nie będzie.

– Dobrze.

Elvi skończyła się wycierać i wepchnęła ręcznik do recyklera. Fayeze wyciągnął z szafki słoiczek maści i zaczął ją wcierać czubkami palców w jej krótkie, gęste loki. Cudownie było czuć, jak masuje jej głowę. Elvi pomyślała, że jeśli znajdzie się mężczyznę, który czerpie przyjemność z pomagania w unikaniu wyschniętej skóry na głowie, należy go zatrzymać.

– Jeśli chcesz, możesz to robić cały dzień – rzuciła.

– Gdybyśmy mieli cały dzień, przesunąłbym uwagę trochę niżej – odpowiedział z uśmiechem. – Ale za jakieś dwie godziny wyłączymy ciąg, a nie wierzę, żebyś chciała czekać choćby chwilę przed rozpoczęciem pracy.

Zamknął słoiczek z maścią i odstawił go, a ona zaczęła się ubierać.

– To co sobie myśleli? – zapytała.

– Hm?

– Zrobienie gwiazdy neutronowej tak wielkiej, by trzymała się na samej granicy zapadnięcia, a potem usunięcie z układu wszystkiego,

by tego nie zrobiła. Ustawienie pierścienia poza płaszczyzną ekliptyki.

– Myślisz, że zrobili tę gwiazdę neutronową? Bardziej prawdopodobne wydaje się, że po prostu zbudowali wrota do takiego układu.

– Jak? Musiało tu istnieć życie, które mogli przejąć, albo nie powstałyby wrota. To był żywy układ, jak Sol, który został zmieniony w... – Machnęła ręką.

– Tak – zgodził się Fayez. – Nie wiem. Szczerze mówiąc te wszystkie cuda i dziwy chwilami sprawiają, że czuję się tak, jakbym pił z węża strażackiego.

Elvi skończyła wciąganie munduru, a potem wyszorowała zęby w towarzystwie czekającego i obserwującego ją Fayeza. Przyjrzała się sobie krytycznie w lustrze i rzuciła:

– Chodźmy porozmawiać z szefem.

Fayez objął ją i zepsuł tym staranne ułożenie munduru.

– Dziękuję, że nie umarłaś, Els.

* * *

Czterdzieści osiem godzin później zaliczyli procedurę. Systemy statku przeanalizowały dane teleskopowe. Elvi poszła odwiedzić katalizator, jak zawsze, a potem przeprowadzili eksperyment. Protomolekuła zaczęła sięgać, a oni zbierali dane. *Jastrząb* szukał jakiejś zmiany, jakiegoś skutku. Tym razem Elvi pozwoliła sobie faktycznie usnąć w przerwie. Otarcie się o śmierć najwyraźniej ją wyczerpało, nawet jeśli nie była przy tym świadoma. Zresztą na dodatek tym razem nie bardzo było co oglądać.

Kiedy skończyli analizę, Sagale przyszedł na mostek i zaparł się o jeden uchwyt na dłoń i jeden na stopę. Przenosił spojrzenie z ekranu na ekran, obserwując z aurą satysfakcji strumienie danych.

– Mehmet – zwróciła się do niego Elvi.

– Major Okoye – odpowiedział Sagale i kiwnął głową w stronę głównego monitora. Po powiększeniu do poziomu, przy którym

wypełniała ekran, mała, choć masywna gwiazda była jedynym obiektem w promieniu prawie dwóch lat świetlnych od wrót Tecomy. – Proszę mi powiedzieć, że ten układ to najważniejsze odkrycie naukowe wszech czasów.

– Nie – odpowiedziała Elvi. – Jestem przekonana, że ten zaszczyt wciąż przypada zielonemu diamentowi. Ale to fantastyczne.

Gwiazda neutronowa na ekranie była zbyt gorąca, by emitować wiele światła w paśmie widzialnym, ale ekran i tak musiał być przygaszony, by nie oślepić wszystkich w pomieszczeniu.

– Ponad trzy masy gwiazdne upchane w kulę wielkości wyspy Rhode – rzuciła Jen.

– Co to za wyspa? – zapytał Travon. Był Marsjaninem w czasach, zanim stali się Lakończykami.

– Major Okoye – powiedział Sagale, ignorując komentarze. – Czy mam rację, sądząc, że to coś jest dokładnie tym, czym się wydaje? Pojedynczą, nienadającą się do wykorzystania gwiazdą w układzie pozbawionym innych artefaktów lub kwalifikujących się do zbadania planet?

Coś w jego głosie zwróciło uwagę Elvi. Mówił to w dziwnie sztywny, formalny sposób. Jakby zadawał jej pytania pod przysięgą. Miała wrażenie, że biorą udział w jakiegoś typu rytuale rozumianym przez niego, ale nie przez nią.

– Na to wygląda – odpowiedziała ostrożnie. – Tak.

Sagale kiwnął swą wielką głową. Zaczął emanować satysfakcją.

– Proszę przyjść do mojego biura za pięć minut.

Odepchnął się i zniknął w korytarzu. Fayez spojrzał jej w oczy i uniósł brew.

– Ja też zrobiłam się nerwowa – skomentowała.

Ostatni raz skontrolowała dane, jakby sprawdzała notatki z zajęć przed egzaminem. Miała wrażenie, że zdarzyło się tu coś, czego nie zauważyła, i to uczucie wcale się jej nie podobało.

– Kawy? – zapytał Sagale, gdy do niego przysła. Unosił się obok wnęki z maszyną do napojów zamontowanej w jednej ze ścian jego biura. Obok niego dryfowały dwie bańki do picia. Był to pierwszy raz, gdy okazał jej jakiegokolwiek objawy gościnności.

Jej zdenerwowanie przybrało na sile.

– Jasne – zgodziła się, żeby nie zauważył.

Urządzenie zasyczało wstrzykując kolejno kawę do obu baniek.

– Słodzik? Śmietanka? – zapytał Sagale, wciąż grzebiąc przy ekspresie.

– Nie.

Admirał odwrócił się do niej i łagodnie pchnął w jej stronę jedną z baniek. Złapała ją, otworzyła zabezpieczenie ustnika i wypila łyk napoju. Kawa była w sam raz, gorąca, ale nie parzyła, gorzka, mocna i lekko orzechowa.

– Dziękuję – powiedziała, czekając na cios.

– Chciałbym wyrazić wdzięczność imperium lakońskiego za pani pracę nad tym projektem. Teraz, gdy zidentyfikowaliśmy układ, który do niczego się nie przyda, przejdziemy do wojskowej fazy tej operacji – wyjaśnił Sagale po krótkiej przerwie na napięcie się kawy.

– Co takiego?

– W tej chwili do układu wlatują dwa okręty – wyjaśnił. – Oba bezzałogowe, kontrolowane zdalnie z tego pojazdu. Oba są dużymi frachtowcami, z tym że jeden jest pusty, a drugi przewozi ładunek.

– Ładunek?

– Wysoki konsul zdołał wykorzystać platformy konstrukcyjne nad Lakonią do produkcji i gromadzenia antymaterii. Drugi ze statków przewozi jej nieco ponad dwadzieścia kilogramów w butelkach magnetycznych.

Elvi znowu poczuła zawroty głowy. Może ciągle jeszcze nie doszła do siebie po otarciu się o śmierć, a może to jej oficer dowodzący, który informował ją, że ma dość materiału wybuchowego, by zmienić w szkło powierzchnię planety. Pewnie obie te rzeczy. Poświęciła chwilę na uspokojenie oddechu.

– Czemu? – zapytała.

– Zalecenia wysokiego konsula dla tej ekspedycji były dwojakie – wyjaśnił Sagale. – Pierwszym zadaniem była misja, do której została pani wprowadzona. Wraz z zespołem zrobiła pani, co mogła w tej sprawie, i odzwierciedlają to raporty przesyłane przeze mnie do dowództwa floty.

– W porządku. Dziękuję. A na czym polega ta druga część? – zapytała Elvi.

– Drugi aspekt tej misji wykracza poza pani kompetencje i dlatego informacje o nim były ograniczone. Mamy znaleźć układ w systemie wrót o minimalnej wartości. Taki jak ten.

Puściła bańkę z kawą, która zaczęła powoli odlatywać.

– Wolno mi się dowiedzieć, na czym polega druga faza? Bo jeśli nie muszę wiedzieć, to ta rozmowa wydaje się trochę nieuprzejma.

– Faktycznie. Prawdę mówiąc, pani udział jest kluczowy w drugiej fazie i jestem przekonany, że będzie pani dalej świetnie sprawdzać się w zmienionej misji, choć nie będzie już nią pani dowodzić. – W jego oczach pojawiło się coś zbliżonego do współczucia. Elvi po raz pierwszy odniosła wrażenie, że Sagale ją lubi. A przynajmniej szanuje. – Najważniejszym priorytetem wysokiego konsula jest znalezienie sposobu na obronę ludzkości przed tym, co zniszczyło budowniczych wrót. – Urwał na chwilę, jakby nie do końca wierzył w to, co miał właśnie powiedzieć. Jakby bardzo długo czekał na okazję do powiedzenia tego. – Test, który za chwilę wykonamy, jest początkiem tego procesu.

Stuknął w biurko i pojawiła się nad nim mapa układu Tecomy. Gwiazda neutronowa w środku, odległe wrota, *Jastrząb* unoszący się w połowie drogi i dwa nowe frachtowce blisko punktu wejścia.

– Będziemy monitorować ten układ każdym przyrządem, jaki mamy dyspozycji, tak jak dotychczas – powiedział. – Ale tym razem w sieci wrót kontrola ruchu kieruje statki przez wrota tak, by ich obciążenie energetyczne osiągnęło stan krytyczny. Po jego osiągnięciu wypuścimy z tego układu pusty frachtowiec.

– Zamierza pan celowo doprowadzić do zniknięcia statku?

– Tak. Kiedy zniknie, w czasie, gdy obciążenie transferem energii wciąż będzie dostatecznie wysokie, by uniemożliwić przelot, zwolnię pole magnetyczne utrzymujące antymaterię i prześle drugi statek. On też powinien zniknąć, ale będzie miał ustawiony zegar tak, by wysadził ładunek.

Elvi poczuła, jak ściska się jej żołądek, niemal jakby uderzył ją w splot słoneczny. Miała trudności z oddychaniem.

– Czemu miałyby pan...

– Ponieważ prawdą jest jedna z dwóch możliwości – przerwał jej Sagale. – Albo za tymi wrotami kryje się inteligencja, która świadomie decyduje o niszczeniu naszych statków, albo robi to jakiś naturalny efekt samego systemu wrót. Tak właśnie stwierdzimy, która z nich jest prawdziwa.

Elvi sięgnęła do uchwyty na ścianie z tyłu i przyciągnęła się do ściany. Jej serce przyśpieszyło.

– Myśli pan, że zdoła ich zabić?

– Tu nie o to chodzi. Czy coś po drugiej stronie zginie, czy nie. Liczy się tylko to, że zostanie ukarane. Pewien czas po ukończeniu tego eksperymentu podniesiemy poziom energii w bramach do wartości zniknięcia i zobaczymy, czy kolejny statek znowu zostanie przejęty. Jeśli przeżyje przelot, będziemy wiedzieć, że bomba przekonała przeciwnika do zmiany podejścia do nas.

– To straszny plan.

– Jeśli nastąpi zmiana, będziemy wiedzieć, że wróg jest zdolny do zmian. Że działa celowo, prawdopodobnie kierując się inteligencją. Jeśli nie, będziemy powtarzać test do uzyskania rozsądnego marginesu pewności, że nie można się spodziewać żadnych zmian. Sądząc po pani wyrazie twarzy, ma pani jakieś uwagi dotyczące misji, którymi chciałaby pani się podzielić.

Nawet dla Elvi jej własny głos rozbrzmiewał oburzeniem.

– Kiedy ostatni raz ich rozniewaliśmy, wyłączyli świadomość wszystkich ludzi w układzie Sol i nastąpiło olbrzymie zwiększenie aktywności cząstek wirtualnych. Wystrzelili pocisk, który zerwał interakcje kwantowe w sposób, jakiego wciąż nie potrafimy zrozumieć. To wszystko przeczy naszemu rozumieniu tego, jak działa rzeczywistość, a teraz mamy rzucać w nich bombą?

Sagale kiwnął głową, równocześnie zgadzając się i odrzucając jej argumenty.

– Gdyby dało się im wysłać napisany w ostrym tonie list, zrobilibyśmy to. Ale tak negocjuje się z czymś, z czym nie potrafimy rozmawiać. Kiedy robi coś, co się nam nie podoba, skrzywdzimy to. I będziemy krzywdzić ponownie za każdym razem, gdy robi coś

niepożądanego. Tylko raz. Jeśli rozumie skutek i przyczynę, odbierze naszą wiadomość.

– Jezu.

– Nie jesteśmy tu agresorem, nikogo nie zaatakowaliśmy pierwsi. Po prostu aż dotąd nikogo nie uderzyliśmy w odpowiedzi.

W doborze słów jednoznacznie słyszała Winstona Duarte. Nawet w tonie, w jaki wypowiadał je Sagale. Elvi miała przez to ochotę rzucić mu w twarz bańką z kawą. Na szczęście ta oddryfowała już na parę metrów, ratując ją przed sądem wojennym.

– Dzięki pani znaleźliśmy przykładowy układ. To najbezpieczniejsze miejsce w imperium, w którym ludzkość może wykonać te testy.

– To bardzo, bardzo zły pomysł. Mam wrażenie, że nie dociera do pana to, co mówię.

– Gdy ludzie robili pierwsze testy bomb jądrowych – kontynuował Sagale, jakby w ogóle się nie odezwała – używali do tego pustych wysp. Proszę uznać to miejsce za nasz atol Bikini.

Elvi roześmiała się głośno, choć bez śladu humoru.

– Mój Boże, wy naprawdę jesteście tacy głupi – rzuciła. Na te słowa Sagale zmarszczył brwi, ale nie ustąpiła. – Po pierwsze, atol Bikini nie był pusty. Mieszkającym tam ludziom zabrano domy i przegnano ich z wyspy. A na wyspach było pełno roślin i zwierząt, które zostały zmiecione w wybuchach.

– Ustaliliśmy już, że w tym układzie nie ma nic, co...

Elvi nie dała mu skończyć.

– Odkładając to na moment, powiedziałam właśnie, że to, co żyje wewnątrz tych wrót, ma bardzo odmienne od nas zrozumienie fizyki. Czy jest ograniczone do zademonstrowania swojej złości wyłącznie w jednym Układzie Słonecznym? Nie wie pan tego. Nie może tego wiedzieć.

– Bierność nie ocaliła budowniczych wrót. Nie ocali też nas. Wysoki konsul rozważył ryzyko i zdecydował, że proaktywne, bezpośrednie działanie będzie najlepszą z dostępnych opcji.

Rozłożył ręce. „Co możemy zrobić?”. Jakby słowo Duarte było siłą natury, nieuniknioną i niekwestionowaną. To było jak rozmowa

z nagraniem.

– Zamierza pan właśnie przeprowadzić eksperyment z n równe jeden, gdzie jeden to wszechświat, który możemy zniszczyć, próbując zaspokoić ciekawość Duarte'go.

Rozdział jedenasty

Aleks

Stocznie na Kalisto stanowiły doskonały przykład starej koncepcji, że statki i budynki rozwijają się dalej nawet po ich zbudowaniu. Historia brała wszystko, co zastała, i używała do tego, co działo się obecnie, przekształcając przestrzeń w coś, co działało dość dobrze, by poradzić sobie w danej chwili. I tak sama historia stawała się czymś w rodzaju architekta.

Kalisto była kiedyś podzieloną bazą. Praktycznie tak samo jak średniowieczne wioski wzniesione tuż poza murami zamku stocznie cywilne wyrosły wokół starszej bazy FMRK, aż kompleksy wojskowy i cywilny osiągnęły prawie ten sam rozmiar. Wolna Flota dokonała rajdu na stronę marsjańską, zanim tak naprawdę powstała, zmieniając tę część bazy w pył i trupy. Wtedy, w czasach wielkiej zdrady, która zasiała ziarno Lakonii, odbudowa stoczni marsjańskich nie została przeprowadzona do końca. Porzucono je w latach głodu, ale przestrzeń i część infrastruktury wciąż tam były, więc kiedy ponownie pojawiła się potrzeba, dawne struktury wojskowe znowu zmieniły przeznaczenie. Nic nie ginęło, stając się fundamentem tego, co przychodziło po nim.

Siedzieli na Kalisto już osiem dni i nie wiedział, kiedy znowu opuszczą stocznię. W układzie Sol było kilka dużych transportowców, które mogłyby przemycić *Burzę*, jeśli na to właśnie zdecyduje się podziemie. A może zostaną w Sol. Pomimo wszystkich lakońskich ambicji to tutaj wciąż żyło najwięcej ludzi, tutaj

znajdowało się najwięcej stacji i statków. Choć powoli się to zmieniało. Kiedyś, jeszcze za życia Aleksa, przekroczył próg i Sol naprawdę stanie się tylko jednym z układów pośród wielu. Jasne, najstarszym i najbardziej ludzkim układem imperium, ale nie domem. Będzie tysiąc domów, a jeśli wierzyć historii, za pokolenie lub dwa wszyscy będą uważać, że najważniejsze jest właśnie to miejsce, w którym mieszkają.

Na przykład restauracja, do której zabrał go Caspar, mieściła się we wzmocnionej kopule, wyraźnie zdradzającej swoje korzenie sięgające marsjańskiej floty. Prawdopodobnie była jakimś magazynem. Teraz z wnętrza usunięto wszystkie zabezpieczenia, a wzmocnione ściany obwieszono zdobionymi tkaninami i tapetami produkowanymi na metry przez dekoratorów wewnątrz. Menu odwoływało się do kuchni marokańskiej, ale kuskus zrobiono z grzybów, a wołowina miała bardzo jednorodną fakturę, oznaczającą, że wyhodowano ją w kadzi. Przepisy mogły mieć ziemskie korzenie, ale Aleks potrafił rozpoznać smak pasiańskiego jedzenia.

Razem z Casparem i resztą załogi mieli na sobie kombinezony z wydrukowanym logo z trójkątem i krzywą, sugerujące, że pracują dla działającej na księżycach Jowisza spółdzielni wydobywającej gaz o nazwie Három Állam. *Zwiastun burzy* został ukryty w starej kopalni oznaczonej na mapach jako nieczynna z powodu zawalenia korytarzy piętnaście lat temu. Mieściła się tam baza przemytnicza SPZ, a plan zakładał, że zostaną tam na kilka tygodni w celu przeczekania podwyższonego stanu gotowości Lakończyków. A to znaczyło, że w tym czasie załoga mogła wziąć trochę wolnego czasu, pić, odwiedzać burdele oraz grać w golgo, piłkę ręczną i nożną na dwie bramki. Albo złożyć nogi na miękkich, tkanych poduszkach, słuchać dochodzącej z ukrytych głośników muzyki z fletem i bębenkiem, opychając się kawałkami grzyba udającego mąkę pszenną oraz kostkami pikantnej wołowiny, która nigdy nie widziała krowy.

Kolejną zaletą był fakt, że czas spędzony na Kalisto z cywilami dawał im możliwość ocenienia nastrojów. Przekonania się, jak

ludzie reagują na wiadomość o przeprowadzonym przez podziemie ataku. Okazało się, że reakcja zupełnie nie pasowała do oczekiwań Aleksa.

– Nic? – zapytał Caspar.

Aleks ponownie przeszedł przez kanały. Produkcja żywności na Ziemi i Ganimesie w tym kwartale wzrosła, zgodnie z przyjętymi założeniami. Grupa z Krasnojarsko-Sakackiej strefy współpracy złożyła petycję o autonomię handlową. Osada na Navnan Ghar zgłosiła odkrycie olbrzymiej sieci podziemnych krystalicznych jaskiń i zbierano specjalną komisję naukową w celu określenia, czy to kolejny artefakt obcych, czy też coś, co naturalnie powstało na planecie. Główny wokalista Tuva T.U.V.A. przesłał swoje nagie zdjęcia niepełnoletniemu fanowi i władze prowadziły śledztwo. Lakoński Dyrektoriat Naukowy informował o potencjalnie przełomowym odkryciu przy badaniu martwych układów: znaleziono olbrzymi zielony diament, który zdaniem ekspertów mógł zawierać nagrania, w razie odczytania których ludzkość poznałaby historię gatunku twórców wrót pierścieni.

Informacja o tym, że w układzie Sol zostały zniszczone dwie lakońskie fregaty i transportowiec przewożący ważnego oficera politycznego, nie pojawiła się absolutnie nigdzie.

A przynajmniej nigdzie tam, gdzie mógł sprawdzić bez przeszukiwania indeksów kanałów wiadomości. A ponieważ Saba dostał z dobrych źródeł informację, że Lakonia uważnie kontrolowała słowa kluczowe, Aleks musiał się ograniczyć do przeglądania w nadziei, że na coś trafi. Cokolwiek. Ale...

– Owszem – potwierdził. – Ani słowa.

Caspar oderwał kawałek chleba i zgarnął nim trochę tagine.

– Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

– Kiedy byłem w twoim wieku – odpowiedział Aleks – byłoby to na wszystkich kanałach. Ziemia i Mars wydałyby oficjalne komunikaty, a osiemnaście poważnych kanałów analizowałoby każde wypowiedziane przez nich słowo z różnych perspektyw. Pas miałby tysiąc pirackich stacji, z których ze dwadzieścia przyznałoby się do

zrobienia tego, a przynajmniej jedna twierdziłaby, że to spisek jezuitów.

Caspar wyszczerzył się w uśmiechu. Zzółkł mu jeden ząb, czego Aleks wcześniej nie zauważył.

– Mówisz to tak, jakbyś za tym tęsknił, dziadku.

Aleks pytająco podniósł wzrok. Caspar zmarszczył się komicznie i przybrał przesadny akcent z Marsa.

– Kiedy byłem w twoim wieku, musieliśmy każdego ranka robić własną wodę od zera, a w dolinie Marinera krążyły dinozaury.

Aleks poczuł ukłucie irytacji, ale odsunął je od siebie i zareagował śmiechem.

– Przynajmniej było trochę różnorodności. – Machnął w stronę stołowego ekranu wyświetlającego wiadomości. – Wszystko tutaj wygląda tak, jakby zostało skontrolowane przez jakiegoś urzędasę na Lunie. Wszystko brzmi tak samo.

– Pewnie było.

– Właśnie – zgodził się Aleks, wyłączając ekran. – Pewnie było.

Caspar przeciągnął się jak kot budzący się z drzemki i stuknął w monitor. Ekran znowu się obudził, tym razem wyświetlając interfejs restauracji.

– Możemy się podzielić – zasugerował Aleks.

– Ty zapłacisz następnym razem – odpowiedział Caspar. – Zresztą. Przecież to i tak nie są prawdziwe pieniądze, co nie?

Załoga *Burzy* miała na Kalisto fałszywe tożsamości wygenerowane przez podziemie i wprowadzone do systemu, włącznie z danymi biometrycznymi i kontami bankowymi. Życie ze świadomością, że wszystko może w każdej chwili się rozpaść, nie było szczególnie przyjemne. Fałszywe dane Aleksa mogły zostać w każdej chwili odkryte, gdyby lakoński system ochrony podniósł alarm. Dzisiejszy wieczór i resztę życia mógł spędzić w więziennej celi. Wszystko mogło się w każdej chwili rozpaść.

Choć w zasadzie było to prawdą przez cały czas, po prostu teraz trudniej było o tym zapomnieć.

– Spotykam się z kimś z załogi technicznej na trzecim poziomie. Mają tam bar z występami komediowymi i zniżką na whisky. Dość

karaoke, a taki śliczny chłopak jak ja może nawet znaleźć kogoś, kto zabierze go na noc do domu.

– Wypij jednego za mnie i nie popełnij żadnych błędów, których będziesz żałował jutro rano – odpowiedział Aleks, podnosząc się z poduszki. – Ja też mam trochę rzeczy do zrobienia.

– W porządku – rzucił Caspar. – Do zobaczenia następnym razem.

Rozstali się na korytarzu. Caspar skierował się do przejścia prowadzącego głębiej pod powierzchnię księżycy, a Aleks skręcił w lewo, w stronę doków i maleńkich pokoi dla ludzi schodzących ze statków. Takich jak on. Szedł z rękami wciśniętymi głęboko do kieszeni kombinezonu i wzrokiem spuszczonego na ziemię przed sobą, unikając kontaktu wzrokowego z ludźmi wędrującymi tymi samymi korytarzami. Dotarł do rozwidlenia z rzeźbą ze szcztokowanej stali, która wyglądała, jakby nie wiedziała, czy ma przedstawiać człowieka, czy prom transportowy. Powyżej na ekranie wypisano stanowiska wszystkich statków. Wszystkich oprócz jego.

Kiedy Aleks był jeszcze chłopcem na Marsie, jego dziadek stryjeczny Narendra przyjechał zamieszkać z rodziną przez tydzień, na czas remontu swojego domu w Innis Shallows. Aleks wciąż pamiętał dziadka stryjecznego wędrującego korytarzami Bunker Hill ze spokojnym, rozbawionym wyrazem twarzy, podczas gdy on i Johnny Zhou wyjaśniali mu szczegóły gry, którą się zajmowali. Czuł teraz na swojej twarzy ten sam wyraz.

Może było to coś, co powtarzało się w każdym pokoleniu, to poczucie oderwania. Mógł to być efekt tego, jak ludzkie umysły przyczepiają etykietkę „normalności” do tego, czego doświadczyli najpierw, a potem jeżyli się na wszystko późniejsze, co nie było dostatecznie podobne. A może zmiana wprowadzona przez lakoński podbój była faktycznie odmienna od wszystkiego, co było wcześniej. Tak czy tak, stocznie Kalisto nie sprawiały już wrażenia układu Sol, a przynajmniej nie takiego, jaki znał Aleks. Czuł się jak podczas pierwszych dni pod rządami Lakonii. Doskwierało mu poczucie kruchości i lęku, jak dzwonięcie w uszach, które nie chce ustąpić. Amos mawiał, że wszędzie jest Baltimore. To nie było już prawdą. Teraz wszędzie była Medyna.

Jego trumnowe mieszkanie mieściło się blisko portu. Był to jeden z większych modeli, mający nieco ponad metr wysokości, dzięki czemu mógł w nim siedzieć. Materac był stary, wypełniony żelazem z przyczyn przeciążeniowej z recyklingu, a ściany i sufit zrobiono z warstw szkła i siatki z zatopionym oświetleniem, tworząc złudzenie głębi sięgającej pod powierzchnię. Aleks wpełzł do środka, zamknął drzwi i ułożył się możliwie wygodnie. Miał kilka nowych programów rozrywkowych, które zamierzał sprawdzić. Przez lata stał się ekspertem w zakresie thrillerów kryminalnych w stylu neo-noir, a na Ceres jeszcze przed przybyciem Lakończyków kręcono programy, w których stosowano montaż Pilkeya, prowadzący do ciekawych efektów. Choć zastanawiał się, czy zalogowanie przez system trumny mogło naruszyć jego fałszywą tożsamość. Jeśli Lakonia wiedziała dość o Aleksie Kamalu, by powiązać lubiane przez niego filmy, rodzaj ulubionego jedzenia, sposób chodzenia i wszelkie inne pozostawione przez niego dane, czy zdoła zedrzyć maskę otrzymaną od Saby? Czy jeśli będzie za bardzo sobą, skieruje to pod jego drzwi siły bezpieczeństwa? Czy miało sens oglądanie czegoś popularnego i zwykłego, trzymając się środka stada?

Wywołał swój profil w systemie trumny. Czerwona ikona informowała o prywatnym połączeniu z *Burzy*. Była pewna ironia w fakcie, że bardziej martwił się możliwością schwytania przez Lakonię z powodu oglądania przez niego pewnego typu programów rozrywkowych niż tego, że zdradzi go szyfrowana łączność z podziemiem. Ale tak już było. Wchodząc w ten interes, podjął decyzję o zaufaniu kierowanym przez Sabę starym technikom SPZ. Teraz nie miało sensu rozważanie jej słuszności. Otworzył wiadomość i z ekranu popatrzył na niego syn.

– Cześć, tatusiu – powiedział Kit z uśmiechem kojarzącym się z Giselle. Chłopak był dużo bardziej podobny do matki niż do niego. Bogu dzięki. – Dziwnie jest usłyszeć coś od ciebie tak szybko. Jesteś w układzie? To znaczy nie mów. Wszyscy wiemy, że musimy zachować tajemnicę, ale wiesz. Sytuacja w tym semestrze wygląda świetnie. Dostaję najwyższe oceny na trzech z moich kursów i... – jego uśmiech zrobił się trochę smutniejszy – mam naprawdę

dobrego korepetytora z pozostałych dwóch. I... ach... tak. Więc spotykam się z tą dziewczyną i mam wrażenie, że zaczyna to wyglądać na coś poważnego. Ma na imię Rohani. Nie powiedziałem jej o... uch... o tobie. Ale może kiedyś miałbyś okazję przylecieć się z nią spotkać? Mama rozmawia z jej rodziną i mam wrażenie, że całkiem szybko może zostać twoją synową, więc byłoby fajnie, nie?

Wiadomość była dłuższa i Aleks wysłuchał jej, czując równocześnie ciepło w sercu i smutek. Nie spotka dziewczyny. Nie weźmie udziału w weselu, jeśli do niego dojdzie. Rohani trafi na tę samą listę, co Amos, Holden i Clarissa. Kolejna strata, po prostu kolejna strata. Będzie z tym żył. Będzie musiał.

Odezwał się jego ręczny terminal, wyświetlając ostrzeżenie od fałszywego kontaktu używanego przez Sabę do wysyłania wiadomości o wysokim priorytecie. Otworzył ją, czując gwałtowny niepokój.

UWAGA, NAWAŁNICA OPUŚCIŁA ORBITĘ ZIEMI I LECI W STRONĘ JOWISZA.

– No proszę – rzucił pod nosem Aleks. – Szlag.

* * *

– Mój mały chłopczyk się żeni? – zapytała Bobbie, nie odrywając przy tym wzroku od skrzyń z zaopatrzeniem. – Dziewczyna będzie miała szczęście, jeśli nie wpadnę tam i go nie porwę.

Magazyn znajdował się na skraju kompleksu. Nie używał zasilania z sieci stacji, a system podtrzymywania życia zaadaptowano ze starego statku. Na ścianach zbierały się przez to krople wilgoci, tworząc odbarwienia jak cętki pantery. Większy sprzęt, taki jak torpedy, pozostał na *Burzy*, ale mniejsze ładunki zabrane z lakońskiego frachtowca zostały umieszczone na czterech szerokich rzędach palet i przeniesione do magazynu. Bobbie je rozpakowywała, rozprowadzając skrzynie w całej przestrzeni podczas prywatnej inwentaryzacji. Niektóre skrzynie miały

wyraźnie osmalone boki i czuło się kredową woń ceramiki przygrzanej do rozwarstwienia.

– Bardzo spokojnie przyjęłaś wiadomość, że leci do nas największy pancernik imperium – odpowiedział Aleks.

Odetchnęła głęboko i zachowała spokój w głosie.

– Jillian wszystkich informuje. *Nawałnica* będzie tu leciała wiele dni, a to, tak czy inaczej, trzeba będzie zrobić. Mam nadzieję, że kiedy skończę, uda mi się wypracować jakiś plan.

– I jak ci idzie?

– Na razie nijak. Dam ci znać.

Aleks usiadł na jednej ze skrzyń. Czuł się cięższy, niż tłumaczyłoby to łagodne ciążenie księżyca.

– Co my tu właściwie robimy, Bobbie?

Znieruchomiała i obejrzała się na niego. Dysponowała sporym zestawem min i przez lata poznał większość z nich. Wiedział, kiedy rozmawia z przyjaciółką, a kiedy z kapitan. W tej chwili słuchała go jako kobieta, którą była wraz z nim na *Rosie* w dawnych czasach. Tą, która znała go jeszcze przed Io.

– Walczymy z wrogiem – odparła. – Zmniejszając jego zdolność do prowadzenia działań bojowych. Uniemożliwiając mu korzystanie z zasobów.

– Jasne – rzucił Aleks. – Ale w jakim celu? No wiesz, czy próbujemy doprowadzić do tego, żeby znowu wszystkim kierował Związek Transportowy? Czy chcemy zrobić tak, żeby każda planeta decydowała za siebie, a potem zobaczyć, czy to zadziała?

Bobbie złożyła ręce na piersi i oparła się o stertę skrzyń. Oświetlenie było ostre i Aleks widział wszystkie nierówności jej twarzy i rąk, powstałe przez dziesięciolecia ciężkiej pracy i promieniowania. Ładnie się starzała. Dobrze jej z tym było.

– Mam wrażenie, że słyszę pytanie, czy system autorytarny musi być zły – powiedziała. – Dobrze cię zrozumiałam? Bo owszem, jest.

– Nie o to mi chodziło. Po prostu... Nie wiem, o co chodzi. Czuję się przeciążony. I może trochę zdemoralizowany.

– Tak – potwierdziła Bobbie. – Tak, jesteśmy.

– Ty też?

– Straciliśmy cel. Oficer polityczny, który mógł dać nam coś, co pomogłoby złamać te gnidy i wysłać je z powrotem do epoki kamiennej. To znaczy, może wcale nie, ale teraz już się nie dowiem, więc tak, jestem marudna. Ale domyślam się, że niezupełnie to cię gryzie?

– Nie wiem, jak wygląda zwycięstwo.

– No cóż, dla mnie wygląda jak śmierć ze świadomością, że ludzkość ma się trochę lepiej, niż gdybym się w ogóle nie urodziła. Jest trochę bardziej wolna. Życzliwsza. Inteligentniejsza. Że dzięki mnie bandziory, dranie i sadyści zatopili kły w mniejszej liczbie ofiar. To powinno wystarczyć.

– No tak – rzucił Aleks, ale nie przestała.

– Nie jestem dziewczyną od wielkich strategii. To coś dla jajogłowych. Jestem piechociarą i zawsze nią będę. Ci ludzie chcą zmienić każdą planetę w więzienie, w którym to oni będą wybierać, kto jest strażnikiem, a kto więźniem.

– A temu jesteśmy przeciwni – skomentował Aleks. Usłyszał w swoim głosie zmęczenie i zgodę. – Myślałaś kiedyś, że Naomi ma rację? Że może lepiej jest spróbować dostać się do systemu i zmieniać go w ten sposób?

– Ma rację – odpowiedziała Bobbie, wracając do inwentaryzacji. – Tylko że ja też ją mam. Naomi chce, żeby był tylko jeden sposób naprawienia tego, i to taki, w którym nie dojdzie do rozlewu krwi.

– Ale są dwa sposoby – powiedział Aleks, sądząc, że się zgadza.

– Nie ma żadnego – rzuciła Bobbie. – Jest tylko opieranie się z całych sił z nadzieją, że zdołamy wytrzymać dłużej niż ci dranie.

– Wiesz, że mamy ograniczony czas – przypomniał Aleks. – Myślę o Takeshim.

– Wysłałam wiadomość do jego ludzi – odparła Bobbie. – Zawsze trudno jest kogoś stracić, a jak dotąd mieliśmy szczęście. To nie mogło trwać w nieskończoność.

– Myślałem o tym, że był jednym z twoich najlepszych ludzi, a miał prawie sześćdziesiątkę. Pomijając Jillian, Caspara i paru innych, większość naszego ruchu oporu składa się ze starych Pasiarzy. Starego SPZ.

– Owszem – zgodziła się Bobbie. – I Bogu niech będą za to dzięki. Większość ma jakieś pojęcie, co robi.

– Ale poza nimi jest całe nowe pokolenie, które nigdy nie było w SPZ. Nigdy nie walczyło z planetami wewnętrznymi o niepodległość. Które dorastało tłuste i bogate na frachtowcach Związku Transportowego, ciesząc się szacunkiem i wykonując ważną pracę. Dzieciaki takie jak Kit. Jak zamierzasz ich przekonać, żeby zrezygnowali, ze wszystkiego, co mają, i przyłączyli się do walki?

Bobbie przerwała pracę i obróciła się do niego.

– Skąd te pytania, Aleks?

– Mam wrażenie, że na razie mamy ruch oporu dzięki temu, że jest mnóstwo starych ludzi dorastających w czasach walki z przeciwnikiem zbyt silnym, by dało się go pokonać. Zostali zaszczepieni przeciwko lękowi przed porażką. Ale boję się, że kiedy ich zabraknie, to wszystko się skończy. Jako ruch, jako siła historii. Bo nie zdołamy przekonać nikogo urodzonego po powstaniu Związku Transportowego do prowadzenia walki bez szans na wygranę. I może, na dłuższą metę, plan Naomi walki politycznej to wszystko, co nam zostanie.

Zobaczył, że spojrzenie Bobbie twardnieje.

– Walka bez szans na wygranę? – zapytała.

– No cóż – rzucił Aleks. – A nie?

Rozdział dwunasty

Bobbie

Walka bez szans na wygraną.

Aleks wyszedł, wracając na *Burzę* w celu sprawdzenia, jak dokładnie wyglądały opcje możliwej ewakuacji. Jeśli jakieś mieli. Jego słowa z nią zostały.

Tymczasowy magazyn znaleziony dla nich przez przyjaciół z SPZ pachniał przypaloną ceramiką i starym lodem. Bobbie pracowała w nim już dość długo, by woń przestała wzbudzać odruch wymiotny, mogła więc uznać to za wygraną.

Odhaczyła wpis na liście towarów: dwanaście skrzynek lakońskich peletek paliwowych. Były przeznaczone dla *Nawałnicy*, ale będą działać również w reaktorze *Burzy*. A ponieważ lakońskie reaktory wymagały wyłącznie własnego rodzaju peletek, oznaczało to, że jej statek będzie mógł jeszcze trochę polatać. Chyba że *Nawałnica* rozbije ich wszystkich na atomy. Z drugiej strony *Burza* nie miała dużo przestrzeni ładunkowej. Wkrótce będą musieli podjąć jakieś decyzje dotyczące tego, ile skradzionych towarów zabrać ze sobą, a ile ukryć lub sprzedać. Paliwo, pociski lub jedzenie. Hierarchia potrzeb, wydanie wojenne. A teraz, gdy w ich stronę leciał pancernik klasy *Magnetar*, jeszcze bardziej wzrosła waga każdej decyzji.

Walka bez szans na wygraną.

Bobbie była na Medynie, gdy przez wrota Lakonii po raz pierwszy przeleciała *Nawałnica*. Widziała, jak użyła swojej głównej broni

przeciwko obronnemu stanowisku dział szynowych i jednym strzałem zmieniła je w chmurę atomów. I choć nie brała udziału w obronie układu Sol zaatakowanego przez pancernik klasy *Magnetar*, czytała raporty z tamtych walk. Połączone siły Koalicji Ziemsko-Marsjańskiej nie były w stanie nawet spowolnić *Nawałnicy*. Nie miała złudzeń, że jeden niszczyciel ma przeciw niemu jakieś szanse. Jedyną opcją była ucieczka i ukrycie się.

Aleks służył we flocie przez dwadzieścia lat, zanim został pilotem *Rosynanta*. Zawsze można było na nim polegać w trudnych sytuacjach, ale coś się stało, gdy ostatni raz spotkali się z Naomi. A może chodziło o to, że jego syn się żeni. Albo po prostu był mądrzejszy od niej, albo trochę mniej przepełniony złością lub odrobinę bardziej realistyczny. Może trochę szybciej od niej zobaczył, czemu tej walki nie dało się wygrać. Podziemie nawet w najlepszych czasach trzymało się razem na drucie i kleju do papieru. Saba robił, co mógł, by pomóc starym bojownikom SPZ pilnować, żeby Lakończykom nie było zbyt wygodnie, ale prawda była taka, że *Burza* stanowiła ich jedyny istotny atut. Okręt, a wraz z nim jej oddział uderzeniowy, stanowił jedyną realną broń ruchu oporu w walce przeciw Lakonii. Związek Transportowy nie miał okrętów bojowych, a miasta próżniowe rozbrojono w ramach warunków pokoju. Flota Koalicji Ziemsko-Marsjańskiej nie mogłaby pomóc, nawet gdyby chciała, bo na pokładach wszystkich jednostek znaleźli się oficerowie polityczni podlegli bezpośrednio admirałowi Trejo.

Jeśli Aleks tracił przekonanie do walki, to znaczyło, że nie jest w tym sam. Niepowodzenie próby schwytania oficera politycznego połączone z nadciągającym zagrożeniem ze strony pancernika mogło wystarczyć, by jej załoga zaczęła się zastanawiać, czemu jeszcze mają nadstawiać karku w walce z przeciwnikiem nie do pokonania.

I choć bardzo nie podobała się jej ta myśl, Aleks miał rację.

Podejście starej gwardii SPZ do oporu z powodu oporu zapewni im działanie tylko do czasu. Część jej zadania powinna polegać na szkoleniu następnego pokolenia bojowników, tylko że jak na razie

nie chcieli się ustawiać w kolejce. Duarte i jego ludzie działali inteligentnie. Nie dopuścili, by sytuacja zrobiła się nieprzyjemna zbyt szybko. Nieustannie zapewniali o szacunku i autonomii, pozwalając ludziom wierzyć, że rządy króla nigdy nie ulegną zepsuciu. A kiedy już do tego dojdzie i sytuacja zrobi się na tyle zła, by zainspirować młodszych do oporu, ona, Aleks i SPZ starej szkoły nie będą już dostępni. Kto wtedy będzie mógł walczyć? Czemu mieli uważać, że walka ma jakąś szansę powodzenia?

Rekrutacja nie była jej zadaniem, tym powinien zajmować się Saba, Naomi czy któryś z pozostałych tajnych przywódców ruchu oporu, ale nie mogła przestać o tym myśleć. Aleks poruszył problem, który teraz nie dawał jej spokoju.

Dokończyła kontrolę skrzyń z komórkami paliwowymi i przeszła do czegoś, co według manifestu było elementami czujników. Zostały zabrane z frachtowca, ponieważ wszelkie wymagane przez *Burzę* naprawy były prowadzone wewnątrz i na bieżąco. Zawsze mieli problem z częściami zamiennymi.

Wewnątrz skrzynki znalazła zamknięte szare ceramiczne pudełko mniej więcej wielkości tostera z siedmioma złączami wejściowymi z boku. Bobbie użyła terminala do wyszukania numeru seryjnego pudełka. Według opisu był to węzeł kontrolny zestawu aktywnych czujników – mała jednostka przetwarzająca, która koordynowała dane odbierane z radarów i lidarów, prowadziła wstępną analizę i wspomagała łączność między głównym komputerem a samymi czujnikami. Ekspercki system rozpoznawania wzorów o inteligencji gołębia. Skoro wysyłali nowy na *Nawałnicę*, mogło to znaczyć, że stracili coś takiego w walce o Sol. Przynajmniej była to przyjemna myśl. Wielki pancernik doznał jednak podczas walki jakichś uszkodzeń, których nie mógł sam uleczyć. I miało to sens. Dziwny kadłub, reaktory i silniki statków mogły się leczyć, jakby jednostka była żywą istotą, ale wykonano je w technologii protomolekuły. Czujniki i komputery lakońskich okrętów były ludzką technologią, a wszystko, co zostało zbudowane przez ludzi, trzeba było naprawiać lub wymieniać. Była to jedna ze słabości hybrydowych statków.

A skoro trzymała w ręku część zamienną, mogło to znaczyć, że w pokryciu czujników *Nawałnicy* jest dziura. Jeśli zdołają odkryć jej lokalizację, może uda im się zbliżyć do wielkiego statku przed wykryciem. Mogliby... wystrzelić jedną bezsensową torpedę, zanim wielki drań odwróciłby się i rozwalił ich na atomy. Wymalować coś obelżywego na kadłubie. Obsikać go. Przytyk Jillian o zwycięstwach moralnych był irytujący, ale mimo wszystko miała rację.

Bobbie odłożyła węzeł kontrolny z powrotem do skrzynki i oznaczyła ją jako coś do zatrzymania dla nich. Godzinę później skończyła inwentaryzację palety części zamiennych, wszystkie oznaczając do zatrzymania. Jej terminal bawił się w trójwymiarową grę „upchnij cały łup”. Za każdym razem, gdy oznaczała nową skrzynię, program przestawiał wszystko w ładowniach *Burzy*, szukając miejsca na zmieszczenie jej. Przyjdzie taki moment, że będzie musiała zacząć trzymać rzeczy w kajutach i na korytarzach, a wcale nie było do tego daleko.

Otworzyła skrzynię proteinowych dodatków smakowych do procesora żywności w kambuzie i oznaczyła ją NIE ZATRZYMYWAĆ. Zaczęła ją zamykać, westchnęła i zmieniła oznaczenie na ZATRZYMAĆ. Terminal na nowo rozpoczął szukanie miejsca. Zgodnie ze starożytnym powiedzeniem armia maszeruje na żołądku, a ludzie ryzykujący życie dla sprawy powinni zapewne móc przynajmniej dostać co jakiś czas smaczny posiłek.

Choć to ciekawe, że *Nawałnica* wyruszyła na nich zapolować. Miło było wiedzieć, że uderzyli przeciwnika dość mocno, by zaboląło. Może to tylko duma. Admirał Trejo rozzłościł się, że pirat odważył się działać w jego Układzie Słonecznym. A może oficer polityczny był dość blisko kogoś w dowództwie, by uczynić z jego śmierci zemstę z osobistych pobudek. Albo po prostu bardzo chcieli odzyskać swoje dodatki smakowe. Cokolwiek w rajdzie doprowadziło do takiej reakcji Lakonii, miała nadzieję, że czują się równie zaniepokojeni jak ona.

Dotarła do ostatniego rzędu palet, co znaczyło, że miała za sobą połowę pracy. Jeszcze kilka godzin grzebania w pudłach i będzie mogła wymknąć się do jednego z tych starych portowych barów

i utopić smutki w alkoholu. Albo przedestylować je do mdłości i kaca. I może dostanie stek. Uznała, że Saba i ruch oporu stać było na zafundowanie jej steku. Na tę myśl jej żołądek zaburczał. Może jednak odpuścić sobie na dzisiaj i wrócić do tego jutro?

Nieco na uboczu od głównych rzędów palet ustawiono mały stosik skrzynek odpornych na uderzenia. Oznaczono je różnorodnymi etykietami ostrzegawczymi, więc załoga ustawiła je z dala od pozostałych zapasów. No dobrze. Teraz zajmie się jeszcze tymi niebezpiecznymi rzeczami, a potem skończy na dziś.

Skrzynia na szczycie sterty miała ostrzeżenie przed żrącą substancją chemiczną i wypełniono ją puszkami środka do usuwania smarów w aerozolu. Raczej nie stanowiły zagrożenia dla życia. Przetawiła skrzynkę obok reszty. Poniżej stała skrzynia oznaczona MATERIAŁY WYBUCHOWE, zawierająca amunicję do wyrzutni raketowych montowanych na lakońskich pancierzach wspomaganych. Bez wahania oznaczyła ją do zachowania i odstawiła na bok.

Poniżej znalazła dużą metalową skrzynię. Na etykiecie napisano POLE MAGNETYCZNE, WYBUCHOWE, NIEBEZPIECZEŃSTWO. Dziwne. Żadne z tych haseł nie łączyło się z pozostałymi w sposób, który miałby dla niej jakiś sens. Sprawdziła numer seryjny z boku skrzyni w swoim terminalu, ale dostała informację o braku danych.

Coraz ciekawiej.

Nic na skrzyni nie sugerowało, że otwarcie zamków stwarza ryzyko, więc Bobbie je odblokowała i uniosła pokrywę. Była znacznie cięższa, niż na to wyglądała. Może z warstwą ołowiu. Wewnątrz, osadzone w warstwie pianki dość gęstej, by uchronić kurze jajko przed uszkodzeniem przy manewrach z wysokim ciągiem, zobaczyła cztery metalowe kule mniej więcej wielkości swoich dwóch złożonych pięści. Wszystkie cztery połączono przewodami z wielkim akumulatorem brzęczącym cicho wysokim napięciem. Wskaźnik naładowania wyświetlał informację o osiemdziesięciu trzech procentach. Każdą kulę wyposażono we własny wskaźnik w miejscu podłączenia zasilania i wszystkie wskazywały sto procent.

Bobbie ostrożnie odsunęła dłonie od skrzyni i cofnęła się o krok. Nic w skrzyni nie wyglądało szczególnie niebezpiecznie, po prostu cztery duże metalowe kule i akumulator o dużej pojemności, ale zjeżyły się jej wszystkie włosy. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymała się przed ucieczką.

Uklękła z powrotem obok skrzyni i bardzo delikatnie uniosła jedną z metalowych kul, pilnując, by nie odłączyć przewodu zasilającego. Po wyciągnięciu z piany dostrzegła napis ostrzegawczy. DOPILNOWAĆ STAŁEGO NAŁADOWANIA GENERATORA POLA MAGNETYCZNEGO – NIEBEZPIECZEŃSTWO WYBUCHU, głosił jeden. Poniżej umieszczono drugi, mniejszymi literami NIE POZOSTAWIAĆ NA WEWNĘTRZNYM ŹRÓDLE ZASILANIA DŁUŻEJ NIŻ DWADZIEŚCIA MINUT. Obie etykiety miały oznakowanie lakońskiego Dyrektoriatu Naukowego. Czyli nie ściśle wojskowe poza faktem, że wszystko w Lakonii było wojskowe. W każdym razie nie były to zwykłe materiały wybuchowe, nic znajomego.

Bobbie umieściła kulę z powrotem na miejscu w piankowej wyściółce. I usiadła. Coś w kulach wybuchało po wyłączeniu generowanego przez nie pola magnetycznego. Tak działały reaktory fuzyjne. Butelka magnetyczna utrzymywała reakcję fuzyjną w zawieszeniu, bo żaden materiał nie mógł wytrzymać temperatury rdzenia. Ale te kule nie były reaktorami, reaktory fuzyjne były wielkie. Wymagały dużych mechanizmów do wprowadzania peletek paliwowych, kompresowania ich do poziomu zapewniającego fuzję i zmiany reakcji fuzyjnej w elektryczność. Lakończycy byli zaawansowani technicznie, ale nie wydawało się możliwe, by rozwinęli się tak bardzo, by stworzyć reaktory fuzyjne niewiele większe od piłki. Zresztą kule zużywały energię, a nie ją generowały.

Wyciągnęła terminal ręczny i zadzwoniła do Rini Glaudin. Była starą Pasiarką z załogi *Burzy*. W dawnych czasach była doktor fizyki wysokich energii na politechnice Ceres, gdzie uległa radykalizacji i spędziła kilkadziesiąt lat w więzieniu ONZ po tym, jak zaczęła pomagać Kolektywowi Voltaire w budowaniu bomb. Teraz była główną inżynier i lokalną specjalistką od sprzętu na *Burzy*.

– Szefowo. – Rini odebrała po kilku chwilach. Sądząc po głosie, była rozespana lub nietrzeźwa.

– Czy to niedobry moment?

– Możesz już iść – powiedziała Rini stłumionym głosem, jakby zasłaniała mikrofon dłonią. – O co chodzi? – zapytała po chwili.

– Mam dziwne pytanie, ale jeśli masz towarzystwo... – Bobbie zawiesiła głos.

– Wyszedł. Był dość ładny, ale rozmowa po seksie nie była jego mocną stroną. Co się dzieje?

– Oglądam nasze łupy z frachtowca – wyjaśniła Bobbie – i znalazłam skrzynię czegoś, czego nie potrafię zidentyfikować. Pomyślałam, że mogłabyś pomóc.

– Jesteś w magazynie przy powierzchni? Wciągnę coś na siebie i zaraz tam przyjdę.

– Nie – odpowiedziała Bobbie. – Nie rób tego. Mam wrażenie, że to może być niebezpieczne i nie chcę, żeby ktoś tu przychodził, dopóki tego nie rozpracuję. Poczekaj, pokażę ci to.

Bobbie przesunęła swój terminal nad skrzynią, dając Rini szansę przyjrzeć się akumulatorowi i kulom. Potem oparła terminal o brzeg skrzyni, żeby mogła użyć obu rąk do podniesienia kuli i pokazania przed kamerą tekstu ostrzegawczego.

– Jakies pomysły? – zapytała, kiedy skończyła pokaz.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Bobbie poczuła nasilający się niepokój.

– Pieprz mnie – rzuciła w końcu Rini.

– Co to jest twoim zdaniem?

– Największe pytanie, jeśli chodzi o okręty klasy *Magnetar*, zawsze dotyczyło zasilania – odpowiedziała Rini. Jej słowom towarzyszyło sporo hałasu w tle, jakby otwieranie i zamykanie szuflad. Wciąganie ubrań. Wyraźnie ubierała się w pośpiechu. – Gwiazdy, od których nazwano te statki, mają wyjątkowo potężne pola magnetyczne, ale są szybko wirującymi gwiazdami neutronowymi, więc jak można uzyskać taką wiązkę jak te statki bez, no wiesz, wirującej gwiazdy neutronowej?

– Dobra – rzuciła Bobbie. Jej znajomość astrofizyki była dość powierzchowna. – Jak to robią?

– Nikt nie wie! – rzuciła Rini. – Ale wymagałoby to dużo więcej energii, niż generuje typowy reaktor fuzyjny. Wszyscy tak jakby założyli, że po prostu Lakończycy mają dużo lepsze reaktory niż my, ale mamy *Burzę*, której reaktor jest dobry, jednak w projekcie nie ma niczego przełomowego.

– Przez ten cały czas siedzę tuż obok tego czegoś – przypomniała Bobbie – więc może się streszczaj.

– Antymateria prowadzi do stuprocentowej zamiany materii w energię. Nic innego nawet się do tego nie zbliża. Jeśli Lakończycy zasilają swoją wiązkę antymaterią, to w sumie ma to sens.

Bobbie się roześmiała, choć nie było w tym wiele radości.

– Czy to znaczy, że siedzę obok czterech butelek z antymaterią, Rini?

– Może? No wiesz, pole magnetyczne to jedyny sposób na przechowywanie czegoś takiego, bo jeśli czegoś dotknie, to bum. Więc jasne? Może.

– Ile tego może tu być?

– Nie wiem. Kilogram? Gram wystarczyłby na bombę do zburzenia miasta. Sądząc na podstawie rozmiarów tych kul, możesz tam mieć dość antymaterii, żeby wybić dziurę w tym księżycu. To znaczy, jeśli to naprawdę to.

– W porządku – rzuciła Bobbie. – Dzięki. Będę w kontakcie.

– Pieprzę, już tam idę – oświadczyła Rini i zerwała połączenie.

Przynajmniej teraz Bobbie rozumiała, czemu *Nawałnica* traktowała tę sprawę z taką powagą. Od patrzenia na metalowe kule w skrzyni Bobbie przebiegały ciarki po plecach.

A potem przestały.

Obraz pola bitwy właśnie uległ zmianie. Wiedziała, jak wygrać.

Rozdział trzynasty

Naomi

– Pytanie brzmi – mówił Saba z monitora Naomi – czemu w ogóle mieli na pokładzie oficera politycznego, *que no?*

Bhikaji Cama leciał balistycznie i miało minąć jeszcze kilka dni, zanim włączy silnik do łagodnego hamowania z jedną czwartą g, dzięki któremu już za kilka tygodni dotrą do stacji transferowej na Auberonie. Z silnikami statku mogli całą drogę lecieć z pełnym g, ale szybkość i ekonomia nie zawsze szły w parze. Przewożenie masy odrzutowej do tak ostrego przyśpieszania i hamowania oznaczałoby zrezygnowanie z istotnej części przestrzeni ładunkowej. Może któregoś dnia lakońska technologia pokona ograniczenia inercji – protomolekuła robiła to od czasów Erosa – ale na razie tajemnica wciąż pozostawała tajemnicą, jak wiele innych. Co działo się ze statkami ginącymi we wrotach? Co przyciągnęłoby uwagę i gniew tego, co zniszczyło twórców protomolekuły?

Albo, na niższym poziomie, czemu na frachtowcu Związku Transportowego leciał lakoński oficer polityczny?

Wiadomość o porażce dotarła do niej bardzo późno. Pierwszy raport był bardzo krótki i pobieżny i nie dowiedziała się wiele ponad to, że rajd nie wypalił. Stracono oficera politycznego, agentów na frachtowcu i jednego członka oddziału uderzeniowego. Następne trzydzieści cztery godziny były istnym piekłem, w którym czekała na pełen raport z akcji całkowicie przekonana, że zginęła w niej Bobbie.

Jednak to nie ona. Zginął jeden z członków jej załogi, a cel misji wymknął się im z rąk, choć Bobbie, Aleks i *Zwiastun burzy* przetrwali, by walczyć znowu. Śmierć oficera politycznego była jedną z głupich, przypadkowych tragedii, które zdarzały się zawsze i wszędzie, jednak znacznie częściej podczas walki. Gdyby żył, wiedzieliby znacznie więcej o tym, co robił. W tej sytuacji wciąż mogli tylko zgadywać.

– Mamy potwierdzenie, że leciał na stację transferową Związku Transportowego przy Ziemi – powiedział Saba. – Ale czy miał tam zostać na stałe, czy był to tylko przystanek w dłuższej trasie... – Wymownie wzruszył ramionami.

Naomi się przeciągnęła. Lubiała swobodę, jaką dawała jej nieważkość, nawet pomimo podwójnego czasu przeznaczanego na ćwiczenia. A może właśnie z tego powodu. Więcej godzin z taśmami oporowymi oznaczało robienie czegoś fizycznego. Czucie swego ciała. Miała też wtedy poczucie bycia tam, gdzie jej miejsce. Na podstawie nagrania widziała, że Saba znajduje się gdzieś ze stałym ciężeniem. Tak samo wyglądały cztery ostatnie wiadomości od niego, więc albo był na stacji wirowej, albo gdzieś z masą dostateczną, by go przyciągnąć do podłogi. Nikt nie leciał tak długo z jednolitym ciągiem.

Tak naprawdę wcale nie było zaskoczeniem, że na Ziemi działo się coś na tyle ważnego, by zasłużyć na specjalnego przedstawiciela na stacji transferowej. Poza trwałą rolę Sol jako pierwotnego domu ludzkości wciąż było to największe centrum populacji w sieci wrót. Z kolei Ziemia miała największą populację pośród wszystkich planet. Nawet przy wzroście osiedli takich jak Auberon i kompleks Bara Gaon, nigdy nie będzie dość statków czy zdolności transportowej, by w istotny sposób zmniejszyć liczebność miliardów wciąż mieszkających na Ziemi. Jednak jakie dokładnie plany Winston Duarte miał wobec Ziemi, było ważnym pytaniem, na które mogli znaleźć odpowiedź, gdyby tylko mieli odrobinę więcej szczęścia.

Zastanowiła się, potarła oczy i dotknęła przycisku nagrywania. Przeredaguje jeszcze swoją odpowiedź, zanim zapisze ją w torpedzie, ale samo wypowiedzenie słów pomagało jej myśleć.

I mogła dzięki temu udawać, że nie jest aż tak izolowana i samotna, jak faktycznie była.

– Strata naszych informatorów na statku jest ważna – powiedziała. – Bez nich w ogóle nie dowiedzielibyśmy się, że ten oficer polityczny tam był. A gdyby się z nami nie skontaktowali, wciąż by żyli. To nie jest najlepszy argument za współpracą z nami. Musimy teraz zadbać o ich rodziny. My, nie ludzie Duartego. Inaczej w przyszłości będziemy dostawać mniej takich informacji.

„Wszystko zawsze sprowadza się do relacji międzyludzkich”, skomentował w wyobraźni Jim.

– Wszystko zawsze sprowadza się do relacji międzyludzkich – powiedziała. – I musimy dotrzymać naszej strony umowy. Zadbać o swoich ludzi. Druga sprawa to, jeśli mamy się dowiedzieć, co robi tam Duarte, musimy wprowadzić na stację transferową naszego człowieka. Albo znaleźć kogoś wśród personelu, kto będzie nam życzliwy na tyle, by przekazywać informacje. Ewentualnie zatrudnić w administracji kogoś od nas. Próba użycia *Burzy* do przechwycenia kolejnego frachtowca wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem.

Choć uważała, że ktoś z załogi *Burzy* mógłby przyjąć na siebie rolę agenta podziemia na TSL-5. Zastanawiała się, czy Bobbie by się na to zgodziła. Jakaś jej część uważała, że tak. W końcu było to niebezpieczne zadanie, ale z drugiej strony nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, by kobieta zrezygnowała z dowództwa *Burzy*, nawet dla czegoś tak ważnego.

Jednak sięgała myślami za daleko.

– Zanim podejmiemy jakieś bezpośrednie działania, powinniśmy ukończyć pełną inwentaryzację tego, co przewoził frachtowiec. Jeśli było tam coś niezwykłego, jakieś towary lub wyposażenie, to mogłoby...

Jej system wyświetlił ostrzeżenie i wbrew rozsądkowi serce Naomi zabiło gwałtowniej.

Nowa wiadomość od Jima.

Duarte robił to, niemal od kiedy tylko Jim został przewieziony na Lakonię. Nie były to do końca publiczne komunikaty, choć takie też się trafiały. Wiadomości wysyłane szerokopasmowo z użyciem

starego, nieaktualnego już szyfrowania. Ktoś niewątpliwie będzie chciał wiedzieć, co w nich było. Zabezpieczenia nie były tak ważne jak podpis. Adres. Wiadomości te Lakonia mogła rozpowszechniać we wszystkich układach sieci wrót, ale tylko ona mogła je obejrzeć. Albo tylko ona i *Ros*. Bądź ktoś jeszcze, kto zadał sobie trud złamania starych kodów *Rosa*.

Była to prywatna wiadomość między Jimem, nią i jakimś bardzo wysoko postawionym rządowym cenzorem na Lakonii. Miała wrażenie, że czytała coś kiedyś o ziemskiej arystokracji w dawnych czasach, która zapraszała świadków, by obserwowali, jak nowożeńcy uprawiają seks w noc ważnych zaślubin. W tym wypadku odczuwała podobne wrażenie odarcia z godności.

A jednak nie istniało nic pod słońcem, co powstrzymałoby ją przed wysłuchaniem tej wiadomości.

Zaczynała się od stylizowanych skrzydeł herbu imperium lakońskiego, tonu testowego, a potem pojawił się Jim. Patrzył do kamery z łagodnym rozbawieniem, w którym większość ludzi nie rozpoznałaby głębokiej furii. Miał na sobie koszulę bez kołnierza, a włosy przecesał na tyle, by widać było, że jego czoło zaczyna się trochę cofać. Leki przeciw starzeniu przedłużyły ludzkie życie z trzech-czterech dziesięcioleci do czterokrotności tego czasu, ale zmęczenie materiału wciąż robiło swoje. Jim miał za sobą zdecydowanie więcej niż przeciętną liczbę ciężkich życiowych doświadczeń. A potem fałszywy uśmiech zniknął, uśmiechnął się naprawdę i opadły z niego dziesięciolecia. Usłyszała go, zanim się odezwał. Mieszanka żalu i rozbawienia w jego oczach, jak u gościa na przyjęciu, które potoczyło się tak fatalnie, że jego karykaturalność zwinęła się na drugą stronę i znowu zrobiła się nieco zabawna.

Zatrzymała odtwarzanie w chwili, gdy otwierał usta, i dała sobie chwilę z nim. Nawet tylko z jego zdjęciem. A potem zebrała się w sobie i wznowiła odtwarzanie.

– Cześć, Kostki. Przepraszam, że minęło tyle czasu, ale trochę się tu działo. Domyślam się, że słyszałaś o Avasarali? Pogrzeb sprowadził do pałacu mnóstwo gości.

Użycie przydomka Kostki, którego nigdy nie używał, gdy byli razem, sygnalizowało, że zdawał sobie sprawę z wciąż trwającego polowania na nią. Usłyszała też cień sarkazmu w sposobie, w jaki powiedział „gości”, ale cenzor musiał to przegapić. Kontrolowanie komunikacji między dwiema osobami żyjącymi ze sobą blisko przez tak długo jak ona z Jimem wiązało się z prawdziwymi wyzwaniem. Biurokraci nie potrafili odczytać ich prywatnego języka, a czego nie dało się zobaczyć, nie można było zablokować. Ostatnio w sumie do tego sprowadzało się jej życie.

– Wciąż nie mogę powiedzieć zbyt wiele. Wiesz, jak to jest. Uch. Spotkałem gości, którzy przeglądają te wiadomości, zanim zostaną wysłane. Cześć, Mark, cześć Kahno. Mam nadzieję, że wy też macie miły dzień. Ale, tak, wszystko tu dobrze. Trochę deszczu po południu i Lakonia zbliża się do tego, co tu uchodzi za środek lata. Pozwalają mi sporo chodzić po ogrodach i nadrabiam zaległości w czytaniu. Mark i Kahno mówią, że nie mogę mówić, co konkretnie czytam, ale miło jest mieć dostęp. Oglądam też wiadomości i to, co Duarte... Chcą, żebym mówił o nim „wysoki konsul Duarte”, ale to naprawdę wydaje się pretensjonalne. W każdym razie to, co robi w sprawie rozpracowania wrót i tego, co stało się z inżynierami protomolekuły, w sumie jest dość imponujące. Nie zgadzamy się co do pewnych spraw, ale tutaj przykłada się do roboty. Która, no wiesz. Może kiedyś... W każdym razie mam nadzieję, że z tobą wszystko w porządku. Przekaż serdeczne pozdrowienia dzieciakom i wyślę ci kolejną wiadomość, gdy tylko Mark i Kahno będą mieli wolne miejsce w harmonogramie. To dobrzy faceci, polubiłabyś ich. Kocham cię.

Ekran rozjarzył się na niebiesko i Naomi wypuściła powietrze. Oglądanie go zawsze bolało. A „dzieciaki” oznaczało Aleksa, Bobbie i Amosa. Nie miał skąd wiedzieć, że stracili kontakt z Amosem, który pewnie zginął na tej samej planecie, na której Jima trzymano jako więźnia. Ani że Bobbie i Aleks prowadzili walkę na froncie jako piraci i rewolucjoniści. Ale nawet z tym wszystkim zobaczenie go i posłuchanie zawsze sprawiało, że czuła się trochę lepiej. To było

najbliższe dowodowi na to, że wciąż żyje. Nie wyglądał źle. Nie wydawał się przymuszany do mówienia...

Obraz znowu się zmienił i pojawiła się nowa twarz. Mężczyzna o ciemnych oczach, skórą ze śladami po opryszcze i wyrazie twarzy tak spokojnym, że wzbudzał dreszcze. Naomi stwierdziła, że odsuwa się od ekranu, zanim dotarło do niej, na kogo patrzy. Wysoki konsul Winston Duarte, imperator tysiąca trzystu światów, uśmiechnął się, jakby zobaczył jej reakcję i z nią sympatyzował.

– Naomi Nagata – odezwał się przyjemnym i nieco piskliwym głosem. – Wiem, że zwykle nie podłączam się do tych wiadomości, i mam nadzieję, że wybaczy mi pani tę nieuprzejmość. Nie chcę ingerować w wasze kontakty, ale uważam, że powinniśmy porozmawiać. Chciałbym przekazać pani zaproszenie. Proszę skontaktować się z moim personelem ochrony na dowolnej stacji, bazie lub w mieście, a bezpiecznie tu panią sprowadzą. Rozumiem, że pani i pozostali partyzanci nie zgadzacie się ze mną odnośnie do kształtu, jaki powinna w przyszłości przybrać ludzkość. Proszę ze mną porozmawiać. Przekonać mnie. Nie jestem nierozsądny i zdecydowanie nie okrutny. Prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich kilku lat odkryliśmy z kapitanem Holdenem, że wiele nas łączy.

Naomi zaśmiała się bezwiednie. Jasne.

– Widziała pani, jak traktowany jest Holden. Jeśli przyleci pani jako mój gość, będzie pani traktowana z równą uprzejmością i komfortem i otrzyma pani dostęp pozwalający działać na rzecz zmian, których pani pragnie, bez stosowania przemocy i śmierci. Wiem, że się nie spotkaliśmy, ale wszystko, co powiedział mi Holden, świadczy o tym, że jest pani kimś więcej niż tylko staromodną aktywistką antyrządową. Wierzy w panią i przekonał mnie, bym też w panią uwierzył. Proszę przyjąć moją ofertę, a zanim się pani obejrzy, będziecie z Holdenem razem jeść śniadania. Sam pani powie, że jestem przyzwoitym gospodarzem.

Uśmiechnął się skromnie. Koniec z marchewką, pomyślała Naomi. Teraz kij.

– Jeśli się na to pani nie zdecyduje, ma pani do tego prawo, ale jako wróg państwa zazna pani znacznie mniej przyjemnych

konsekwencji. Będzie lepiej dla pani i dla mnie, oraz – proszę wybaczyć, jeśli zabrzmie to górnolotnie – dla całej ludzkości, jeśli trafi tu pani jako gość. Proszę się nad tym zastanowić. Dziękuję.

Wiadomość zakończyła się. Naomi ostro przekręciła głowę w geście przeczenia i chwyciła się swojej złości, jakby była szczepionką przeciw czemuś gorszemu. Niezależnie od tego, czy Duarte to powiedział, oferta obejmowała zdradzenie wszystkiego, co wiedziała o Sabie i podziemiu. W zamian będzie się budzić przy boku Jima, żyjąc w więzieniu tysiąckrotnie większym niż to, które sama sobie narzuciła. To wszystko było oczywiste. Trucizną była cała reszta – dostęp, wpływy, ucho cesarza. Dokładnie za czymś takim argumentowała. Praca w ramach systemu, by doprowadzić do rewolucji bez głodu, nienawiści i martwych dzieci. Oferował jej to wszystko na tacy i było możliwe – tylko możliwe – że robił to nawet szczerze.

Wszystko, czego Saba dowiedział się przez swoje źródła, mówiło, że Jim naprawdę był dobrze traktowany. W równym stopniu gość co więzień. To był ser w pułapce. Postępował przebiegle niemal do poziomu mądrości. Gdyby w głębi serca wierzyła, że Duarte złamie słowo, odrzucenie propozycji byłoby tysiąc razy łatwiejsze, ale wszystkie opowieści o zawarciu paktu z diabłem i oszukaniu gubiły to, co najważniejsze. Prawdziwy koszmar polegał na tym, że po zawarciu umowy diabeł nie oszukiwał. Dawał dokładnie i jednoznacznie to, co obiecywał.

A ceną była dusza.

Pukanie ją przestraszyło. Było jak coś z innego świata. Przed chwilą była na Lakonii, w Edenie, włączając z wężem, a teraz znalazła się z powrotem w swoim kontenerze, unosząc się parę centymetrów nad żelazną pryczą z pasami dryfującymi wokół niej jak z wodorostami wokół topielicy. Przełączyła monitor na widok otoczenia kontenera, na pół bojąc się, na pół mając nadzieję, że zobaczy szefa ochrony *Bhikaji Cama* gotowego do jej aresztowania.

Kobieta na zewnątrz trzymała się uchwytu i patrzyła wprost do ukrytej kamery, przytrzymując pasek unoszącej się obok czarnej zapiętej torby. Była krępa, z przeplatany siwizną włosami

ściągniętymi w kucyk i ciemną skórą ciemniejącą jeszcze bardziej wokół oczu, jakby za długo płakała i zostały jej ślady na skórze. Naomi rozpoznała agentkę Saby na statku, choć nie znała jej imienia.

Odepchnęła się od pryczy i szybko poszybowała w stronę drugiego końca pomieszczenia. Wylądowała na stopach, pochłaniając kolanami energię uderzenia, i wstukała do zamka swój kod bezpieczeństwa. Trzasnęły magnetyczne blokady. W ciszy zabrzmiały jak wystrzały. Zanim Naomi zdążyła otworzyć drzwi, zrobiła to druga kobieta. Wsunęła się do środka, ciągnąc za sobą torbę, a potem zamknęła drzwi i rozejrzała się po kontenerze, jakby mogło w nim być coś niespodziewanego.

– Co się dzieje? – zapytała Naomi.

– W połowie poprzedniej zmiany kapitan dostał wiadomość – wyjaśniła kobieta z akcentem kojarzącym się Naomi z europejskim. – Zdobycie kopii zajęło mi dłużej, niż powinno. To moja wina.

Pchnęła torbę w stronę Naomi. Nawet bez jej otwierania zobaczyła przebijający ze środka kształt butów magnetycznych i usłyszała szelest kombinezonu. Nie czekała. Rozpięła zamek torby i zaczęła wciągać mundur na własne ubranie, słuchając informacji kobiety.

– Lakoński niszczyciel leci nam na spotkanie. Powinni tu być za osiemnaście godzin. Powiedzieli, że przeprowadzą pełną inspekcję, więc *alles la...* – Wskazała na rzeczy Naomi. Dom, który dla siebie stworzyła. – Trzeba będzie pokombinować, żeby kontener był zgodny z manifestem przewozowym.

– Inspekcja?

– Pełna – dodała kobieta. – Rzekomo chodzi o próbki bakterii, ale jeśli to zobaczą...

Jeśli zobaczą fałszywy kontener, dowiedzą się, jak podziemie pozostaje w ukryciu. I że bierze w tym udział jakaś część Związku Transportowego. Nie musi to oznaczać końca gry w trzy kubki, ale byłoby punktem danych zbyt wyraźnym, by Lakonia długo mogła go ignorować. I oznaczałoby dla niej koniec.

– Czy to tylko my? – zapytała Naomi.

– A trzeba czegoś więcej? Musimy się martwić sobą. Skup się na...

– Nie – rzuciła ostro Naomi. – Dostałam ofertę amnestii, jeśli się do nich zgłoszę. Coś takiego zaraz potem? Czy kontrolują też inne statki, czy wiedzą już, że tu jestem?

Twarz kobiety zszarzała.

– Nie wiem. Ale mogę się dowiedzieć.

– Zrób to szybko. I zdobądź mi mecha załadunkowego. Spróbuj znaleźć sposób na ukrycie tego.

– Jasne – rzuciła kobieta. – I lista załogi. Muszę cię jakoś na nią wciągnąć...

– To nie jest priorytetem – powiedziała Naomi.

– Ale... – zaczęła kobieta. – Racja – przyznała po chwili. – No dobrze.

Naomi rozejrzała się po kontenerze. Teraz, gdy musiała go opuścić, wydał się jej smutniejszy. Będzie musiała wymazać system, na wypadek gdyby został przejęty. I pozbyć się wszystkich swoich rzeczy. Znowu zacznie od zera.

Mogła też pójść do biura ochrony, zgłosić swoją obecność i resztę życia spędzić, budząc się obok Jima. Jeść prawdziwe jedzenie. Może nawet przekonać Duartego do lepszej, łagodniejszej, mniej autorytarnej przyszłości dla ludzkości. Jeśli była to pułapka, to bardzo dobra. Zaoferować jej wyjście, pomachać groźbą, a potem dokręcić śrubę. Gdyby była młodsza, mogłoby to wystarczyć, by wzbudzić w niej panikę. Przekonać ją do ujawnienia się. Podpisania cyrografu. To byłoby łatwe i mogłaby nawet powiedzieć sobie, że chroni podziemie i ludzi takich jak kobieta obok. Powiedziałyby Duartemu tylko to, co nie zaszkodziłoby Sabie i jego sieci. Co nie zagroziłoby Bobbie, Aleksowi i *Burzy*.

Potrafiła sobie wyobrazić wersję siebie, która mogłaby to zrobić. Nie tak bardzo różną od tego, kim była teraz. Młodsza, to wszystko.

– Emma – odezwała się kobieta. – Jeśli masz uchodzić za członka załogi, musisz znać ludzi. – Jestem Emma Zomorodi.

– Możesz mi mówić Naomi.

– Wiem, kim pani jest. Trudno znaleźć kogoś, kto nie wie.

Kobieta – Emma – znowu na nią popatrzyła, tym razem uważniej, a potem odwróciła się, kręcąc głową. Emanujący z niej strach był niemal namacalny. „Wszystko w porządku”, miała ochotę powiedzieć Naomi. „Wiem, co robić. Wszystko będzie dobrze”. To byłoby kłamstwo.

– Do roboty – powiedziała zamiast tego. – Nie mamy czasu.

Rozdział czternasty

Teresa

– Tak – rzuciła Teresa. – Wiem. W porządku, daj mi się przygotować.

Piżmak szczerknęła raz, jakby zrozumiała jej słowa. Pewnie zrozumiała. Doktor Cortázar niejednokrotnie podkreślał, że psy mogły dysponować rozległym słownictwem funkcjonalnym. Fakt, że ludzie nie są jedynymi zwierzętami obdarzonymi świadomością, był dla niego bardzo ważny. Dla niej zawsze wydawało się to oczywiste.

Teresa ustawiła swój pokój na wysoki poziom prywatności i sen, przyciemniając światła i blokując drzwi. Teraz nikt nie będzie jej przeszkadzał, chyba że doszłoby do ewakuacji Budynku Rządowego. Piżmak machała ogonem tak mocno, że aż chwiały się jej nogi, gdy Teresa przebierała się w prostą bluzę i spodnie, w których zwykle zajmowała się ogrodnictwem. Nie miały żadnej wbudowanej elektroniki, nie były więc połączone z siecią pałacu. Włączyła w systemie kanał rozrywkowy nastawiony na małą głośność, jakby drzemała i oglądała przygody starego Caz Pratihari.

W ramie jej okna znajdował się czujnik ostrzegający ochronę o jego otwarciu, więc Teresa otwierała je co jakiś czas przez wiele tygodni, próbując znaleźć sposób na oszukanie czujnika. Był elektroniczny? Spróbowała otwierać okno, zachowując kontakt z ramą przy użyciu miedzianego drutu. Ochrona otrzymała powiadomienie. Optyczny? Przeszukała wszystko pod kątem czegoś, co wyglądałoby jak kamera lub czujnik światła, ale niczego nie

znalazła. Reagował na ruch? Próbowwała otwierać bardzo powoli przez kilka dni, ale piątego dnia ochrona otrzymała powiadomienie. Czyli nie był aktywowany ruchem, za to włączał się dopiero przy jedenastu milimetrach szczeliny między oknem a framugą. Ciekawe.

Okazało się, że czujnik jest magnetyczny. Gdy niskiej mocy magnes w oknie za bardzo oddalił się od czujnika w ramie, aktywował alarm. Rozwiązała problem, używając plastikowej litery z maleńkim magnesem z przedszkolnego zestawu z alfabetem. Przesuwała go odrobinę przy każdym otwarciu okna, aż któregoś razu otworzyła je i nikt nie pojawił się na zewnątrz, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Teraz przesunęła magnes na właściwe miejsce, ręcznie otworzyła okno i ostrożnie wystawiła Piżmak na zewnątrz. Wyszła za nią, zamykając za sobą okno. Piżmak sapnęła i ruszyła ścieżką do skraju pałacu, mając Teresę blisko za sobą.

Minęło zbyt dużo czasu, przyszła pora na spotkanie z Timothyem.

Tajny tunel znalazła prawie rok wcześniej. Był ukryty przy skale w grupie ozdobnych drzew. Początkowo sądziła, że został wykopany przez jakieś miejscowe zwierzę. Na planecie żyły stworzenia podobne do podziemnych os, zostawiające po sobie otwory podobne do tego, gdy po śmierci zapadały się ich ule, okazało się jednak, że to element systemu odpływowego, który miał dawać gwarancję, że ogrody nie zostaną zalane przez ulewne deszcze. Tunel prowadził pod ścianami kompleksu Budynku Rządowego na małe pole poza nimi. Zdawała sobie sprawę, że zwykła dziewczynka mogłaby nie zapuścić się w głąb tunelu o miętowym zapachu rozkopanej ziemi i pokrytego cienką warstwą szlamu. Przepchnęła się przez niego łatwo, nawet z radością, a kilka ciemnych chwil później znalazła się po drugiej stronie systemu zabezpieczeń, po raz pierwszy w życiu wolna.

Poszła spacerować. Badać. Odkrywać. Angażować się w odpowiedni dla jej wieku bunt. I co najważniejsze, poznała pierwszego prawdziwego przyjaciela.

Ścieżka, którą przez las podążyla Piżmak, została wydeptana przez zwierzęta. Kościołose, świnię ziemne i jasne konie o pyskach

jak łopaty, z których żadne nie miało najmniejszego związku z łosiami, świniami i końmi z układu Sol. Pomaszerowała ścieżką z rękami w kieszeniach. Piżmak biegła przez cętkowany cień, szczekając na ptaki i szczerząc się z wystawionym językiem, gdy syczały w odpowiedzi. Minęło zbyt dużo czasu, od kiedy ostatnio odwiedzała Timothy'ego, a chciała z nim rozmawiać o tylu sprawach. Wszystko nie umiało się na raz zmieścić jej w głowie.

Las na skraju Budynku Rządowego z początku gęstniał, pogrążając ją w coraz większym mroku, a potem ziemia zaczynała się wznosić. Poczowała, że jej oddech robi się głębszy, i było jej z tym dobrze. Po niedługim czasie ścieżka wyprowadziła ją spośród drzew na polanę u podnóża góry. Z zajęć wiedziała, że góra nie była naturalna, a stanowiła artefakt jakiegoś dawno zapomnianego projektu obcych. Jak zamek z piasku, choć dość wysoka, by wywoływać wrażenie, że dotyka chmur. Nigdy nie próbowała wejść na szczyt, jaskinia Timothy'ego była dużo bliżej.

Wejście znajdowało się w małym kanionie niedaleko polany, na której pierwszy raz go zobaczyła. Piżmak znała drogę dużo lepiej od niej. Pomaszerowała po jasnym piasku wzdłuż ścieżki wykreślonej przez dawno już wyschniętą wodę. Drogę znaczyły szerokie, świeże odciski łap labradora. Zanim Teresa zostawiła za sobą ostatnie postrzępione drzewa, suka była już przy prowadzącym do środka zakręcie, szczekając i machając ogonem.

– Idę – rzuciła Teresa. – Strasznie jesteś upierdliwa.

Piżmak zrzuciła z siebie obelgę, odwróciła się i pognęła do przodu jak szczeniak. Teresa nie zobaczyła jej znowu aż do przejścia pod czymś, co wyglądało jak nawis półki z piaskowca, i wkroczenia w głąb jaskini. Naturalny kamień niemal od razu ustępował łagodnemu blaskowi wnętrza. Stalaktyty zwisały z sufitu jak jasne sople, a w ścianach kryły się kształty wyglądające jak połączenie spiral, muszli i dowodów euklidesowych. Teresa zawsze miała wrażenie, że ściany zmieniały się na jej powitanie, ale oczywiście była tam tylko wtedy, nie miała więc pewności.

Obok przeleciała chmara małych, świecących komarów. Jakby była pod wodą. Powietrze pachniało ostro i głęboko, a ze ścian

emanował chłód.

Z przodu dobiegały stłumione dźwięki klepania. Nie brzmiały na ludzkie ani na coś wydawanego przez Piżmak. Odgłosy kroków nie wydawały się nawet podobne do zwierzęcych. Drony naprawcze były trochę mniejsze od Piżmak, z ciemnymi, przepaszającymi oczami i nogami z mnóstwem stawów. Były całkowicie obce, ale też najbardziej zbliżone do psich przyjaciół Piżmak, więc prawdziwa psica biegała wokół nich, szczekając z podnieceniem i wachając ich odwłoki, jakby było tam coś psiego do powąchania. Teresa pokręciła głową i poszła dalej. Drony naprawcze emitowały pytające dźwięki, próbując dojść, czy Piżmak czegoś chciała. Były zaskakująco dobre w przynajmniej zgrubnym ocenianiu ludzkich intencji, ale prawdziwe psy wciąż zdawały się wykraczać poza ich pojmowanie.

Drony naprawcze, świetlne komary i powolne, pełzające robaki skalne mieściły się w dziwnej przestrzeni między życiem i niezyciem. Zaprojektowane przez inteligencję, którą siły ewolucji poniosły w stronę zupełnie inną niż ludzkość. Dla niej w ogóle nie były egzotyczne. Jeśli chodziło o Teresę, po prostu zawsze tu były.

– Halo! – zawołała. – Jesteś tu?

Słowa odbiły się dziwnym echem w głębi.

– Cześć, Tycia. Zastanawiałem się, kiedy znowu przyjdiesz.

Część jaskini zajmowana przez Timothy'ego była jak kolejne przejście fazowe. Z natury do obcości do czegoś ludzkiego, nawet jeśli nie do końca typu ludzkiego mieszkania, do jakiego była przyzwyczajona. O ścianę opierał się plecakowy reaktor, z grubymi żółtymi przewodami zasilania biegnącymi do drewnianego statywu z eleganckimi, dobrze utrzymanymi maszynami. Dzięki wycieczkom do wczesnych osad rozpoznawała w nich inkubator drożdży i awaryjny recykler. Innych nie znała. W sumie było tego dość, by Timothy mógł żyć jak mnich pustelnik w swojej górze dłużej niż zwykły człowiek. Spał na pryczy pod jedną ze ścian z kocem z tkanego poliwęglanu, który nigdy się nie niszczył. Nie miał poduszki.

Sam Timothy siedział obok większego kawałka drewna z nożem w dużej, pokrytej zgrubiałą skórą dłoni. Między jego stopami

zbierała się kupka cienkich, zwiniętych strużyn. Był łysy i blady, z gęstą krzaczastą siwą brodą, miał szerokie ramiona i ręce z mięśniami jak liny.

Spotkała go wiele miesięcy temu podczas jednej z pierwszych wycieczek. Próbowwała wejść dość wysoko na zbocze góry, by zobaczyć Budynek Rządowy, i trafiła na niego, jedzącego lunch i pijącego z poobijanego ceramicznego oczyszczacza wody. Wyglądał jak żywcem przeniesiony ze starego obrazka oświeconego guru medytującego na szczycie góry. Gdyby w jego uśmiechu zobaczyła choć ślad groźby, mogłaby się wystraszyć, ale nic takiego nie nastąpiło. Zresztą Piżmak natychmiast go polubiła.

– Przepraszam – powiedziała, siadając na brzeg jego pryczy. – Byłam zajęta. Mam teraz do studiowania nowe tematy. Nad czym pracujesz?

Timothy przyjrzał się częściowo ostruganemu kawałkowi drewna.

– Próbuję zrobić miarkę. Mam już jedną, ale jest za duża do precyzyjnych robót.

– A nie da się mieć zbyt wielu narzędzi – skomentowała Teresa. Ten zwrot był czymś w rodzaju ich wspólnego żartu, a Timothy uśmiechnął się szeroko.

– Cholerna racja. To co słychać?

Teresa się pochyliła. Timothy zmarszczył brwi i odłożył drewno i nóż. Nie wiedziała od czego zacząć, więc zaczęła od planu ojca dotyczącego jej dalszej edukacji.

Mężczyzna potrafił skupiać uwagę w taki sposób, że czuła, jak jej słucha, a nie tylko przygotowuje w głowie odpowiedź i czeka, aż ona przestanie mówić. Skupiał się na niej tak samo jak na rzeźbionym drewnie albo gotowanym jedzeniu. Nie oceniał jej. Nie odpytywał. Nigdy nie martwiła się, że będzie rozczarowany jej słowami.

Wyobrażała sobie, że tak właśnie słuchałby jej ojciec, gdyby nie był jej ojcem.

Przechodziła z tematu na temat, opowiadając Timothy'emu o Connorze i Muriel, odprawach i spotkaniach, które ojciec dodawał do jej harmonogramu, i wszystkich codziennych troskach i przemyśleniach, które nagromadziły się bez jej świadomości,

kończąc niepokojącą rozmową z Holdenem o tańczącym niedźwiedziu i dziwnym sposobie, w jaki powiedział „Powinnaś mieć na mnie oko”, jakby znaczyło to coś więcej, niż się zdawało...

Gdy skończyła, Timothy odchylił się nieco i podrapał się po brodzie. Piżmak zwinęła się na podłodze między nimi. Chrapała cicho i jedna noga drżała jej we śnie. Dwa drony naprawcze odpytały się wzajemnie głosami klikającymi muzycznie. Samo opowiadanie wszystkiego sprawiło, że lepiej się poczuła.

– Tak – odezwał się po chwili. – Cóż, na ile to warte, nie jesteś pierwszą osobą, która odnosi wrażenie, że kapitan jest drzazgą, której nie potrafią wydostać. Działa tak na ludzi. Ale jeśli powiedział, że powinnaś mieć na niego oko, to może właśnie to powinnaś robić.

Teresa oparła się o ścianę i podciągnęła kolana.

– Chciałabym wiedzieć, czemu tak bardzo mnie niepokoi.

– Nie traktuje cię, jakbyś była wyjątkowa.

– Ty też mnie tak nie traktujesz. Jesteśmy przyjaciółmi.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Może to dlatego, że uważa twojego tatę za dupka.

– Mój tata nie jest dupkiem. A Holden to morderca. Nie wolno mu oceniać innych ludzi.

– W zasadzie to twój tata jest dupkiem – powiedział Timothy z filozoficznym wyrazem twarzy i rzeczowym tonem. – I zabił znacznie więcej ludzi, niż zrobił to Holden.

– To coś innego. Była wojna. Musiał to zrobić, bo inaczej nikt nie byłby w stanie nikogo zorganizować. Wpadlibyśmy w następny konflikt bez żadnego przygotowania. Tata po prostu próbuje nas uratować.

Timothy uniósł palec, jakby dowiodła jego twierdzenia.

– Teraz mówisz mi, czemu to w porządku, że jest dupkiem.

– Ja nie... – zaczęła Teresa, a potem urwała. Komentarz Timothy'ego przywołał na myśl lekcje filozofii oraz Ilicha pytającego o konsekwencjalizm. „Zamiar nie ma znaczenia, liczą się tylko konsekwencje”.

– Ja nikomu nie mówię, jak ma żyć – powiedział Timothy. – Ale jeśli szukasz perfekcji moralnej w swojej rodzinie, to przygotuj się

na rozczarowanie.

Teresa się roześmiała. Gdyby coś takiego powiedział jej ktoś inny, zjeżyłaby się, ale to był Timothy. To wszystko zmieniało. Ucieszyła się, że znalazła czas, by się z nim spotkać.

– Czemu nazwałeś go kapitanem?

– Bo nim jest. Kapitan Holden.

– Ale to nie twój kapitan.

Przez Timothy'ego przebiegł błysk zaskoczenia, jakby ta myśl nigdy nie przyszła mu do głowy.

– Chyba nie jest – zgodził się, a chwilę później powtórzył: – Chyba nie jest.

– Tata mówi, że on się boi – powiedziała Teresa. – To znaczy Holden, nie tata.

– Obaj się boją – stwierdził Timothy, z powrotem podnosząc nóż. – Tacy faceci zawsze to robią. To ludzie tacy jak ty i ja nie boją się niczego.

– Nigdy się nie boisz?

– Nie bałem się od czasów, gdy byłem młodszy od ciebie, Tycia. Miałem trudne początki.

– Ja też. Moja mama umarła, gdy byłem bardzo mała. Wydaje mi się, że tata nie lubi kobiet wokół mnie, bo to wygląda, jakby ją zastępowały. Wszyscy moi nauczyciele byli mężczyznami.

– Ja mojej też nie znałem – przyznał Timothy. – Ale później zebrałem coś, z czym w zasadzie mogłem udawać, że to rodzina. Nie było źle jak na kogoś, kto dorastał na mojej ulicy. Przynajmniej póki trwało. Ale wiesz, powiem ci, że nawet przy tym, jak bardzo miałem skopane dzieciństwo, to nie ma porównania z twoim.

– Moje życie jest doskonałe – zaprotestowała Teresa. – Mogę mieć wszystko, czego zapragnę. Kiedy tylko zechcę. Wszyscy dobrze mnie traktują. Ojciec pilnuje, żebym miała edukację i przeszkolenie w rządzeniu miliardami ludzi na tysiącach planet. Nikt nigdy nie miał takich możliwości i przewag jak ja. – Urwała zaskoczona śladem goryczy, która wkradła się w jej głos.

– Mhm – rzucił Timothy. – Pewnie to dlatego właśnie zawsze oglądasz się przez ramię, gdy wymykasz się na spotkanie ze mną.

* * *

Tej nocy po powrocie do swojego pokoju nie mogła usnąć. Ciche nocne odgłosy Budynku Rządowego nabrały dziwnej mocy przyciągania jej uwagi i straszenia. Nawet łagodne stukanie ścian oddających ciepło dnia wywoływało wrażenie kogoś pukającego, by zwrócić jej uwagę. Spróbowała odwrócenia poduszki, by oprzeć policzek o chłodną stronę, i odtwarzania łagodnej, kojącej muzyki. Nie pomogło. Za każdym razem, gdy zamykała oczy i zmuszała się do snu, po pięciu minutach leżała z szeroko otwartymi oczami w połowie wyobrażonej debaty z Timothyem, Holdenem, Ilichem lub Connorem. Poddała się po północy.

Piżmak też wstała i poszła za nią z sypialni do biura, a gdy Teresa usiadła na jednym ze stołków przy blacie, zwinęła się u jej stóp i natychmiast zaczęła chrapać. Nic nie przeszkadzało jej psicy, a przynajmniej nie na długo. Wywołała stary film o rodzinie żyjącej w nawiedzonym mieszkaniu na Lunie, ale jej umysł uciekł od rozrywki równie szybko, jak od poduszki. Pomyślała o wyjściu i spacerowaniu się w ogrodach, ale to też ją zirytowało. Kiedy dotarło do niej, czego chce, zrozumiała, że wiedziała to już od dłuższej chwili. Przyznanie się do tego było jak poddanie się.

– Dostęp do rejestru bezpieczeństwa – powiedziała, a jej pokój przełączył ekran z nawiedzonych korytarzy Luny na rzeczowy interfejs użytkownika.

Choć była bardzo szanowana i ważna, nie miała dostępu do wszystkich rejestrów. Na przykład do nagrań ze Stodoły nie miał dostępu nikt, może poza ojcem i doktorem Cortázarem. To było oczywiste. I nie miało znaczenia dla tego, czego teraz szukała. Nikt nie martwił się o zapewnienie prywatności Holdena. Mogła oglądać, jak śpi, jeśli tylko miała ochotę.

Poleciała systemowi wygenerowanie pełnego raportu z zachowania Holdena przez ostatni tydzień, a potem go przejrzała. Wiedziała, że Budynek Rządowy obejmuje wbudowany dyskretny monitoring, ale ciekawe było przekonanie się, gdzie dokładnie

znajdują się mikrosoczewki i jak wiele mogły zarejestrować, pozostając niewidoczne. Przeglądając obrazy Holdena wędrującego przez budynki i ogrody, pomyślała o tym wszystkim, co jeszcze mogła obejrzeć, korzystając z nagrań. Na przykład Connora i Muriel.

Na jednym z ekranów Holden siedział na trawie, patrząc na tę samą górę, w której mieszkał Timothy. Przyśpieszone odtwarzanie sprawiło, że swobodne gesty i zmiany pozycji wydawały się spazmatyczne. Jakby wibrował. Potem pojawiła się przy nim Piżmak. I ona. Nie lubiła oglądać się na nagraniach, wcale nie wyglądała tak, jak o sobie myślała. Według niej miała gładse włosy i lepszą postawę. Bezwiednie przesunęła się na stołku i lekko wyprostowała. Holden położył się na trawie i usiadł z mokrymi plecami, a potem ona i Piżmak zniknęły z obrazu. Znowu zapomniała o plecach i nachyliła się do ekranu.

Holden wiercił się chwilę na obrazie, a potem wstał i odszedł. Nagranie było odtwarzane z dwudziestokrotnym przyśpieszeniem. W ciągu niecałej godziny mogła zobaczyć, jak spędził cały dzień. Holden przy kolacji czytający coś z terminala. Wędrujący tymi samymi korytarzami, z których wchodziło się do jej klasy, zatrzymujący się, by porozmawiać z gwardzistą. Holden w sali gimnastycznej, ćwiczący na urządzeniach starego typu, których używano na statkach. Siedzący przy stole na werandzie wychodzącej na miasto z doktorem Cortázarem i butelką wina...

Stuknęła w ekran, zwalniając do zwykłej prędkości, i odnalazła ścieżkę dźwiękową.

– ...a także meduzy – powiedział Cortázar. – Klasycznym przykładem jest *Turritopsis dohrnii*, ale jest też kilka innych. W warunkach stresu dorosły osobnik powraca do stadium polipa. To jakby starszy człowiek zmienił się w płód. Nie używamy tego modelu, ale to oznacza, że organizm nie ma maksymalnego zadanego czasu życia. – Pociągnął długi łyk z kieliszka z winem.

– A jakiego modelu używacie? – zapytał Holden.

– Pierwotną inspiracją do tej pracy były trupy, które zostały przechwycone przez drony naprawcze. Tak naprawdę wcale nie była to nieśmiertelność, ale nowe organizmy miały pewne

usprawnienia. I to właśnie jest źródłem przełomu. Na tym powinniśmy się naprawdę skupiać, niezależnie od wszelkich poświęceń. Zdrowy obiekt z dobrze udokumentowanym stanem wyjściowym zamiast tego... – jego głos rozbrzmiał pogardą – *eksperymentu polowego*. Jak osiągnąć bardziej solidną homeostazę. Fakt, że trudno to osiągnąć, nie oznacza, że zasadniczy problem jest nie do rozwiązania.

– Czyli to wcale nie jest nienaturalne – skomentował Holden, dolewając wina do kieliszka doktora.

– To termin bez znaczenia – rzucił Cortázar. – Ludzie powstali w ramach natury, jesteśmy naturalni. Naturalne jest wszystko, co robimy. Cała koncepcja, że stanowimy inną kategorię, to albo sentymentalizm, albo religia. Bez znaczenia z perspektywy naukowej.

– Czyli jeśli dotrzemy do poziomu, na którym wszyscy będziemy mogli żyć w nieskończoność, nie będzie to nienaturalne? – Holden wydawał się szczerze zaniepokojony.

Cortázar nachylił się w stronę więźnia, machając lewą ręką, prawą mieszając wino w kieliszku.

– Jedyne nasze ograniczenia sprowadzają się do tego, co potrafimy zrobić. Szukanie osobistych korzyści jest absolutnie naturalne. Całkowicie naturalne jest faworyzowanie własnego potomstwa kosztem innych. Całkowicie naturalne jest zabijanie wrogów. To nawet nie jest zachowanie skrajne. Wszystko to cały czas mieści się w samym środku krzywej dzwonowej.

Teresa oparła głowę na dłoniach. Była prawie pewna, że Cortázar się upił. Nigdy jeszcze sama tego nie doświadczyła, ale widywała dorosłych na przyjęciach państwowych, którzy wyglądali podobnie, jakby stracili trochę kontakt z rzeczywistością.

– Ale masz rację – rzucił Cortázar. – Masz całkowitą rację. Fundament musi być bardzo solidny. To prawda.

– Nieśmiertelność to gra o bardzo wysoką stawkę – powiedział Holden, jakby się zgadzał.

– Tak. Zbadanie głębi protomolekuły i wszystkich otwieranych przez nią artefaktów to praca na setki lat. Dopuszczenie, by badacze

umierali i byli zastępowani ludźmi o mniej zaawansowanym zrozumieniu tematu, jest w sposób oczywisty – ewidentny – złym pomysłem. Ale takie są zasady. Tak ma być, więc tak będzie.

– Ponieważ Duarte tak postanowił – podsunął Holden.

– Ponieważ jesteśmy naczelnymi, które zatrzymują cenne rzeczy dla własnego potomstwa kosztem wszystkich innych – odparł Cortázar. – Tylko jeden człowiek może być nieśmiertelny. Tak powiedział. A potem zmienił zasady. Ona też może, bo znalazł dla niej usprawiedliwienie. Że tak naprawdę jest tylko jego przedłużeniem. Wcale się z tego powodu nie złościę, po prostu takimi jesteśmy zwierzętami. Nie wściekam się. Ale to nie ma znaczenia.

– To dobrze – pochwalił Holden.

– Ważne jest, żebyśmy zebrali dobre dane. Jeden człowiek, mnóstwo ludzi. Wszystko jedno. Ale złe założenia projektu? Tym właśnie jest prawdziwy grzech – wybełkotał Cortázar. – I to też nie moja wina. Przyroda cały czas zjada dzieci.

Holden zmienił pozycję i popatrzył prosto do kamery monitoringu, jakby dokładnie wiedział, gdzie ukryto jej soczewkę. Jakby wiedział, że będzie to oglądać. „Powinnaś mieć na mnie oko”. Teresa poczuła dreszcz wędrujący po plecach i przekonanie, że nawet odwracając wzrok, zobaczył ją równie wyraźnie, jak ona jego.

Wyłączyła nagranie, zamknęła rejestry i wróciła do łóżka, ale wciąż nie mogła zasnąć.

Rozdział piętnasty

Naomi

„Spełnienie pragnień pieprzy ci w głowie”.

Naomi odsunęła od siebie tę myśl, jak robiła to wielokrotnie wcześniej.

Pierwsza część zniszczenia jej schronienia była najłatwiejsza. Spędziła lata w nieważkości, czasami samodzielnie przewożąc ładunki, czasami walcząc z przemytnikami w imieniu SPZ i Związku Transportowego. Znała wszystkie sztuczki. Rozmontowanie pryczy przeciążeniowej i systemu na części zajęło jej dwie godziny. Wszystko, co miała, było modułowe. Łatwe do rozebrania, łatwe do wprowadzenia do obiegu jako części zamienne. Cały jej dobytek mógł zniknąć w większym statku i nie wypłynąć jako nic więcej niż trochę błędów w zliczaniu stanu magazynowego.

Pusty kontener stanowił nieco większe wyzwanie, ale tylko trochę. Według manifestu kontener powinien zawierać taki sam ładunek pochodzących z Ziemi bakterii i innych drobnoustrojów oraz próbek gleby, jak siedemdziesiąt innych kontenerów przewożonych przez statek. Przeniesienie części zawartości z kilkunastu innych na nieco mniej gęstą konfigurację zapewniło mnóstwo towaru na wypełnienie należącej do niej wcześniej przestrzeni. Zanim towary dotrą co celu, ona będzie już gdzie indziej. A nawet jeśli Lakonia wykryje niezgodności, nie będzie tu niczego, co mogłoby zasugerować problem inny niż zwyczajna kradzież.

Prawdziwym problemem był czas. No, pierwszym prawdziwym problemem.

Lakoński okręt już hamował. Osiemnaście godzin do spotkania nie zostawiło jej wiele marginesu na wszystko, co musiała zrobić. Pomagała jej Emma. Kobieta miała za sobą więcej lat doświadczenia w transporcie niż Naomi i potrafiła kierować mechem załadunkowym, jakby był przedłużeniem jej ciała. Mimo wszystko margines był bardzo mały. A każda godzina syczenia i brzęczenia mecha, zapachu smaru przemysłowego i sięgającego kości bólu zmęczenia była kolejną okazją, by zwykła załoga zauważyła, że dzieje się coś dziwnego. Pod koniec Naomi odesłała Emmę, żeby sprawdziła, czy są jakieś informacje o ogólnej sytuacji. Czy zatrzymywano też inne statki. Czy to przypadek, czy też niszczyciel wiedział, że Naomi tu jest.

Dopóki się tego nie dowie, będzie musiała zakładać, że jest nadzieja. Co ostatnio było kolejnym mottem jej życia.

Naomi przeniosła ostatnie palety do stalowo-ceramicznej skrzyni, w której mieszkała przez wiele miesięcy, zamknęła drzwi, zablokowała je i przykleiła na spoinie plombę kontroli celnej. Musiała jeszcze schować mecha i umieścić plomby na wszystkich otwartych przez nią kontenerach, ale to nie zajmie więcej niż kolejne kilka minut. Miała prawie pół zmiany do inspekcji. Nieco ponad cztery godziny czasu na nową tożsamość i wtopienie się w załogę statku. To był drugi prawdziwy problem...

„Spełnienie pragnień pieprzy ci w głowie”.

Siedzieli w barze na Pallas-Tycho niedługo po połączeniu stacji w jeden obiekt. Clarissa cieszyła się wtedy stosunkowo dobrym zdrowiem. W każdym razie na tyle dobrym, by mogła pić. Naomi nie pamiętała, w którym dokładnie byli barze, po za tym, że było tam ciężenie, więc musiał to być stary pierścień mieszkalny Tycho. Pamiętała jednak, że był z nimi Jim. Rozmawiali o tym, jak zareagować na zbliżający się ślub Aleksa. Czy sprowadzi swoją nową żonę na statek, weźmie urlop, żeby z nią zostać, czy jeszcze coś innego. Każda opcja miała zalety, każda miała wady. Z perspektywy czasu Naomi sądziła, że na jakimś poziomie wszyscy wiedzieli, że

ten związek jest skazany na niepowodzenie. Clarissa odchyliła się na oparcie krzesła ze szklaneczką whiskey w dłoni. Mówiła w zamyśleniu.

– Spełnienie pragnień pieprzy ci w głowie – stwierdziła. – Kiedy siedziałam w więzieniu, niczego nie pragnęłam bardziej niż się z niego wydostać. A potem to zrobiłam.

– Prosto w apokalipsę – skomentowała Naomi.

– Ale nawet potem. Gdy dostaliśmy się na Lunę i na *Rosa*. Było trudno. Siedząc w więzieniu, wiedziałam, kim jestem. Potrzebowałam wielu lat, by do tego dojść na zewnątrz.

– Mówimy o małżeństwie, prawda?

– Spełnienie pragnień pieprzy ci w głowie – powtórzyła Clarissa.

Naomi położyła dłoń na kontenerze. Wsadziła się do więzienia, żeby być bezpieczna, a bezpieczeństwo zmieniło ją w więźniarkę. Chciała tylko znowu obudzić się przy boku Jima. Mieć coś przypominającego miłe, zwyczajne życie z nim. A teraz, gdy nie mogła go mieć, chciała tylko odzyskać swoją pustelnię.

Zadzwoił jej terminal. Mogła to być tylko jedna osoba.

– Na czym stoimy? – zapytała.

– Mam plan – powiedziała Emma. – Spotkaj się ze mną w trzecim ambulatorium.

– Nie wiem, gdzie to jest. Czy statek ma jakąś mapę w komputerze? Bo nie sądzę, żeby pytanie o kierunki było najlepszym pomysłem.

– Cholera. Dobra, poczekaj tam. Będę za dziesięć minut, zabiorę cię na miejsce.

– Potwierdzam – odpowiedziała Naomi i zamknęła połączenie. Dało jej to czas na zaplombowanie kontenerów.

* * *

Unosząca się obok niej Emma trzymała igłę podskórną między palcem wskazującym i kciukiem, jakby grała w rzutki. Jednakże pomijając jej technikę, plan wydawał się tak solidny, jak tylko było to

możliwe, gdy wzięło się pod uwagę dostępny czas. Uniosła podbródek, a Emma dźgnęła ponownie, nakłuwając szczękę z prawej tak samo jak już puchnącą lewą stronę.

– Jak się czujesz? – zapytała Emma.

– Swędzi.

– Gotowa na oczy?

– Tak.

Wpisanie jej na listę załogi nie było możliwe. Nawet gdyby zdołały antydatować wszystkie dokumenty do ostatniego portu *Bhikaji Cama*, Emma nie miała wymaganych do tego uprawnień. A grzebanie w systemie tuż przed inspekcją było proszeniem się o kłopoty. Wystarczyło nieudane wyłączenie jednego systemu monitorującego, a wprowadzona w ostatniej chwili zmiana stałaby się latarnią wskazującą to, co chciało się ukryć. Zatem, o ile włączenie Naomi do standardowej załogi nie było możliwe, to sprawienie, by nie pasowała do danych biometrycznych Naomi Nagaty, było w zasięgu ręki. Wystarczyło trochę dobrze umieszczonych wkłuć igły i trochę płynu wywołującego łagodny obrzęk. Jedyna trudność polegała na takiej zmianie kształtu jej twarzy, by wyglądała jak ktoś inny, a nie ona sama, tylko opuchnięta.

Ambulatorium było stare, ale dobrze wyposażone. Nic nie lśniło tu nowością, wszystko było spracowane. Ale tylko spracowane, nie zaniedbane. Naomi była dostatecznie doświadczona, by rozpoznać różnicę. Przyjrzała się swojej nowej twarzy na ekranie własnego terminala ręcznego. Emma zaczęła od zgolenia jej włosów w niezbyt korzystnie wyglądający wzór, przez który jej czoło wydawało się szersze, a oczy osadzone bliżej siebie. Obrzmienie brwi i szczęki dodały ciężaru jej rysom. Według systemu jej obecny wygląd był tylko w osiemdziesięciu procentach zgodny ze zwykłym wyglądem. To oznaczało, że nawet jeśli ją zidentyfikują, można było to przypisać błędowi systemu.

Chyba że wiedzieli już, że tu jest.

– Dołączę cię do załogi pracującej przy radiatorze – powiedziała Emma. – Główny mechanik kazał im wymienić przewody chłodziwa.

– Sama radość – rzuciła Naomi.

– Smród da ci powód do noszenia maski – wyjaśniła Emma. – A ekipa składa się z ludzi z różnych zmian. Przy odrobinie szczęścia wszyscy będą myśleć, że jesteś z którejś innej.

Emma wbiła igłę w skórę pod okiem Naomi. Bolało tylko trochę.

– Ile mamy czasu?

Emma spojrzała na swój terminal i zakłęła cicho.

– Musimy iść – powiedziała, ostatni raz wbijając igłę w ciało Naomi. – Ustawiają się już do transferu.

– Jeśli mnie zgarną – stwierdziła Naomi – spróbuję trzymać się tak długo, żebyś miała szansę ucieczki. Ale zmywaj się szybko i dopilnuj, żeby Saba dowiedział się, co się stało.

Emma nie spojrzała jej w oczy, ale przytaknęła. Ryzyko zawsze istniało, na to właśnie się zgodziła. Emma dała jej maskę i poprowadziła ją w dół na pokłady techniczne, a Naomi zaczęła się zastanawiać, jak Bobbie i Aleks mogli się dowiedzieć o jej schwytaniu. I czego dowie się Jim. Wciąż czuła pokusę. Gdyby to zrobiła – gdyby skoczyła, zamiast czekać na pchnięcie – mogłaby kontrolować upadek.

Linie chłodziwa *Bhikaji Cama* były starego typu, ale w znośnym stanie. Płukała podobne linie jeszcze w czasach pracy na lodowcowcu i nie była to skomplikowana praca. Ciężka i nieprzyjemna, ale nie skomplikowana. W zespole było jeszcze czworo ludzi. Pięć osób na łajbie z trzema zmianami. Nie było to najlepsze ukrycie.

Jeśli nic się nie zepsuje, cały proces zajmie około czterech godzin. Musiała mieć nadzieję, że to wystarczy, by Lakończycy przylecieli, przeprowadzili inspekcję i polecili dalej. Wszystko, co będzie musiała robić, to siedzieć cicho i się nie wychylać do minięcia niebezpieczeństwa. Pogrążyła się w pracy, przyjmując polecenia brygadzysty i wykonując zadania najsprawniej, jak potrafiła. Prawie zapomniała, że ma jakieś troski poza bezpośrednimi polegającymi na unikaniu zbyt dużej ilości chłodziwa w filtrach powietrza, gdy nastąpiła przerwa.

– Zabezpieczyć! Zabezpieczyć! Przerwać pracę, pieprzone dranie, i zabezpieczyć, dotarło?

Wszyscy pozostali pozamykali przewody, więc ona też. Nie miała wielkiego wyboru.

Mężczyzna, który przeciągnął się poza żółtą barierkę wyznaczającą teren prac, miał na sobie mundur głównego mechanika. Za nim trzech żołnierzy w niebieskich barwach Lakonii, w tym jeden z belkami kapitana. Naomi zaczepiła się stopą o uchwyt ścienny. Jej serce przyśpieszyło i poczuła mdłości, które nie miały nic wspólnego ze smrodem płynu chłodzącego. Główny inżynier polecił im gestem, by zdjęli maski. Inni zaczęli to robić. Jeśli teraz się zawaha, zwróci to tylko na nią zupełnie niepotrzebną uwagę.

Ściągnęła swoją.

– Czy zostało to omówione ze starszym personelem? – zapytał lakoński kapitan, najwyraźniej kontynuując rozmowę prowadzoną z inżynierem przed wejściem do pomieszczenia.

– Nie – odpowiedział główny inżynier. Był dość młody, ale z twardą, pobrużdżoną bliznami twarzą, z której trudno było odczytać wiek. – Czemu miałbym to robić? Kapitan mówi, my robimy. Tak to działa. To jakiś problem?

Jeden z pozostałych Lakończyków przystawił ręczny terminal do twarzy brygadzysty jej zespołu. Terminal zadźwięczał i Naomi poczuła, jak opada na nią chory rodzaj spokoju.

– To niestandardowe – stwierdził lakoński kapitan. – Oficer polityczny będzie chciał pełnego raportu, gdy dotrzecie do stacji transferowej.

– Oficer polityczny? – zapytał główny inżynier.

Naomi poczuła, jak wbrew wszystkiemu budzi się w niej ciekawość. Jeśli miało to jakiś związek z misją w układzie Sol – jeśli Lakonia wszystkim dociskała śrubę – może wcale nie szukali specjalnie właśnie jej. Niewielka nadzieja, ale zawsze coś.

– Nowe przepisy dotyczące kontroli – wyjaśnił lakoński kapitan, gdy terminal ręczny przesunął się przed twarzą Naomi.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Słyszysz o nich teraz – warknął kapitan.

Żołnierz zmarszczył brwi.

– Sir? Tej tutaj nie ma na liście załogi.

„Jestem Naomi Nagata. Chcę przyjąć zaproszenie wysokiego konsula Duarte. Proszę go poinformować”. Wystarczyło, że to powie. Poczwały ulgę, wiedząc, że wcześniej zrobiła wszystko, co mogła. Główny inżynier spojrział na nią i wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że jej nie ma. To praktykantka.

Lakoński kapitan popatrzył na nią niepewnie. Nie pozwoliła, by na jej twarzy pojawiło się zmieszanie. O jej obecności tutaj nie powinien wiedzieć nikt oprócz Emmy. Graj w to, pomyślała. Po prostu graj z nim.

– Jest za stara na praktykantkę – zauważył kapitan.

– Miałam problemy w domu – odezwała się. – Próbuję zacząć wszystko od nowa. – Kłamstwo przyszło łatwo.

– Musi być na liście załogi – oświadczył lakoński kapitan, odwracając się.

– Czemu? – zapytał inżynier. – Nie jest w załodze, to praktykantka.

– Praktykanci to członkowie załogi – rzucił kapitan z nutą irytacji w głosie.

– Pierwsze słyszę – odparł główny inżynier. – Jeśli wpiszę ją do załogi, będę musiał naliczać jej godziny do pakietu świadczeń, jakby była w załodze. To nie tak działa.

– Tę sprawę też możesz omówić z oficerem politycznym – stwierdził lakoński oficer. Ostatni członek jej zespołu został przeskanowany i zatwierdzony.

Kiedy odchodzili, główny inżynier obejrzał się. Spojrział w jej oczy. Zobaczyła w nich ukrywaną radość.

– Wracać do roboty, to wszystko samo się nie doprowadzi do porządku.

– Tak jest, inżynierze – odpowiedziała Naomi i z powrotem założyła maskę.

Wrócili do znajomego rytmu pracy, ale myśli Naomi zajmowały się już nie tylko przewodami chłodzenia. Pozostali w zespole najwyraźniej nie widzieli w rozmowie niczego dziwnego. Jeden z nich – mężczyzna o grubo ciosanej twarzy, imieniem Kip – zaczął ją traktować trochę gorzej, ale zapewne wynikało to z faktu, że uznał ją za kogoś o niższym statusie. Nie było w tym nic dziwnego. Kiedy

zamontowali nowy wymiennik i uszczelnili stary, a diagnostyka dała odczyty w zakresie optimum, Naomi chciała już tylko prysznic i posiłku. Nie miała jednak własnej kabiny, nie wiedziała, gdzie znajdują się wspólne prysznice, i nie miała tam swojej szafki. Nawet gdyby dotarła we właściwe miejsce, to po myciu musiałaby z powrotem włożyć kombinezon śmierdzący płynem chłodzącym, co wydawało się gorsze niż rezygnacja z mycia.

Poszła za pozostałymi wracającymi na pokłady załogowe. Trzymała się z tyłu. Chciała wrócić do swojego kontenera. Chęć sprawdzenia kanałów z wiadomościami śwędziała równie mocno jak szczeka, gdzie powoli zaczynała schodzić opuchlizna. Ale już go nie było. Miesiące przyzwyczajenia straciły rację bytu, a ona przeciągała się wzdłuż białawych ścian od uchwytu do uchwytu z poczuciem obudzenia się z długiego snu tylko po to, by znaleźć się w jakimś obcym miejscu, o którym nic nie wiedziała.

W mesie siedziało sześcioro ludzi, choć zaprojektowano ją dla trzydziestu. Podciągnęła się do dozownika, ale nie mogła dostać jedzenia – wymagał podania kodu dostępu lub identyfikatora, którego nie miała. Podleciała do kąta, zaczepiła się o uchwyt na stopę na ścianie i czekała, nie wiedząc, na co właściwie.

Jej myśli poruszały się w rytmie ciszy w rozmowach innych ludzi. Kiedy po jakiejś godzinie pojawiła się Emma, Naomi prawie się zdziwiła na jej widok. Kobieta pobrała podwójną porcję jedzenia i przyniosła je do kąta.

– Polecieli dalej – powiedziała cicho Emma. – Zadokowali, przebiegli przez cały statek od dzioba do rufy, powiedzieli kapitanowi, że będzie musiał porozmawiać z kimś na stacji transferowej, i się wynieśli.

– Oficer polityczny – potwierdziła Naomi. – Słyszałam. Dostaliśmy informację, że jeden leci również na stację transferową w układzie Sol. Ziemia.

– Cóż, wygląda na to, że mamy teraz oficerów politycznych – skomentowała kwaśno Emma.

Naomi potwierdziła ruchem pięści. Czyli kontrolą objęto wszystkich. Ścisłejsze nadzorowanie całego Związku

Transportowego. Co więcej, mógł to być znak, że Duarte i jego administracja zaczynają domyślać się roli Związku Transportowego w przemycaeniu członków podziemia między układami. Albo mieli inne plany, które wymagały lojalnych i zaufanych oczu poza gubernatorami i ich personelem.

Jeśli odkryją grę w trzy kubki, będzie to oznaczało w najlepszym razie poważną zmianę ich metod, w najgorszym koniec podziemia. Z Medyną kontrolującą powolną strefę, po ujawnieniu ich metody transportu stanęli by przed realną groźbą stania się tysiącem trzystoma podzielonymi, izolowanymi ruchami oporu, niezdolnymi do zapewnienia sobie wsparcia.

– Ale nikt cię nie sprawdził, prawda? – zapytała Emma.

– Och, sprawdzili ją – rozległ się głos z tyłu. Główny inżynier podleciał i zajął miejsce obok nich. – Złapali ją.

Emma zbladła, więc najwyraźniej nie miała z nim nic wspólnego.

– Dziękuję, że dał mi pan przykrywkę – odezwała się Naomi. – Może będzie lepiej, jeśli do tego się ograniczymy. Nie chcę, żeby miał pan przeze mnie jakieś problemy.

– Żartujesz? – zapytał główny inżynier. – To było najlepsze, co mi się przytrafiło, od kiedy zapisałem się na ten lot. Poważnie, cała przyjemność po mojej stronie.

– Doceniam pański entuzjazm, ale...

Podał jej kartę.

– Dostęp do prywatnej kabiny i konta kantyny – wyjaśnił. – Jest nieoficjalna, więc nawet w razie audytu pokaże się jako nieużywana i jako nadwyżka.

Naomi popatrzyła na kartę, potem na niego. Mówiono, żeby nie zaglądać darowanemu koniowi w zęby. Ale to była zła rada.

– Domyślam się, że chce pan czegoś w zamian? Bo mam wrażenie, że musimy bardzo, bardzo jasno sobie wyjaśnić wszystkie warunki.

– Nie – odpowiedział mężczyzna. – Niczego. Już mnie pani splotała, po prostu cieszę się z okazji, by częściowo odpłacić.

– Przepraszam za nieuprzejmość – powiedziała Naomi – ale nigdy tak naprawdę nie ufałam temu całemu „bądźcie mili dla obcych”.

– Nie jest pani obca – odpowiedział. – To dzięki pani zostałem inżynierem. Mój tata był jeszcze dzieciakiem na Ceres, gdy obrabowała ją Wolna Flota. Pani ze swoją załogą wyciągnęła rękę do pokoju pośrodku wojny domowej. Zbudowała Związek Transportowy. Jeśli o mnie chodzi, powinniśmy wykopać kapitana z jego kabiny i dać ją pani. Zdecydowanie pani na nią zasługuje.

Naomi sięgnęła do włosów, próbując ściągnąć je na twarz, ale fryzura Emmy nie zostawiła ich dość dużo.

– Czyli wie pan, kim jestem.

Główny inżynier parsknął śmiechem.

– Oczywiście, że wiem. Każdy w Pasie zna cholerną Naomi Nagatę. To tylko te lakońskie gnojki nie widzą tego, na co patrzą. I powtórzę, to prawdziwy zaszczyt.

– Chuck – rzuciła Emma tonem, który zrobił z tego słowa ostrzeżenie.

– Więcej tego nie powtórzę – powiedział główny inżynier – Chuck – unosząc dłoń. – Ale nie martwcie się. Gdy tylko zbliżymy się do portu, dam pani dostęp do promu. Ze mną jest pani bezpieczna.

Naomi kiwnęła głową w podziękowaniu, a Chuck się rozpromienił. Dotarło do niej, jak jest młody. Jego zachwyt nad sobą nieco ścisnął jej serce. Udało mu się coś zrobić i jego duma z tego powodu jarzyła się tak bardzo, że można by czytać przy jej świetle. Zobaczyła nawet przebłysk tego, jak musiała wyglądać w jego oczach – półbogini. Postać z mitów materializująca się w jego życiu. Celebrytka. Bóg wiedział, że widziała dość ludzi patrzących w ten sposób na Jima. Czyli tak musiał się z tym czuć przez cały ten czas.

Łatwo byłoby jej znienawidzić to uczucie.

Rozdział szesnasty

Elvi

Statki były starymi transportowcami przez pokolenia przewożącymi ludzi i towary w obrębie pasa asteroid w układzie Sol, jeszcze zanim otworzyły się pierwsze wrota. Elvi przyglądała się, jak są ustawiane blisko powierzchni pierścienia wrót Tecomy, a obrazy z najwyższej mocy optycznych teleskopów *Jastrzębia* i tak były nieostre. Obie jednostki miały po kilkadziesiąt metrów od dzioba do rufy, a znajdowały się miliard kilometrów od niej. Gdyby zestawy sensorów *Jastrzębia* nie były o rzędy wielkości czulsze od jej oczu, w ogóle niczego by nie widziała. Jednakże dostrzegała mechy i drony otaczające jednostki, prowadzące zautomatyzowane kontrole i ostatnie weryfikacje. Silniki manewrowe rozjarzały się i gasły, gdy maszyny przesuwaly się wzdłuż panczerzy i stożków dysz, sprawdzając wciąż na nowo, by się upewnić, że nic się nie zepsuje. Była w tym głęboka ironia, ale jeśli zbyt długo nad tym myślała, robiła się zła.

– Cześć, skarbie – odezwał się od drzwi Fayez. – Przynieść ci coś?

– Nadal nie. Tak jak trzy minuty temu – warknęła. Sapnęła i niemal natychmiast pożałowała ostrych słów. – Przepraszam. To było wredne.

– Nie, rozumiem, skąd się to bierze – odpowiedział jej mąż i towarzysz od kilkadziesiątu lat. – Wiszę nad tobą. Zobacz.

Puścił uchwyt i przez chwilę unosił się swobodnie ponad nią, szczerząc się z własnego, fizycznego żartu. Roześmiała się bardziej

z powodu jego uśmiechu niż żartu.

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Poważnie. Wszystko w porządku.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Bo wiesz, niektórzy ludzie, gdy prawie umrą z powodu prawie utonięcia w na wpół obcym żelu podczas lotu z bardzo wysokim ciężeniem, dostają wysypki. Albo bąbli. Otarcie się o śmierć naprawdę paskudnie wpływa na pryszcze.

– Przepraszam, że cię przestraszyłam – odpowiedziała. – Wcale nie chciałam. Serio. Ale teraz już nic mi nie jest.

Fayez wsunął się głębiej do pokoju i obrócił niezdarnie, by zaczepić kolana o uchwyty na ścianach i wytracić energię ruchu nogami. Stał na ścianie obok niej, patrząc na obrazy wyświetlane na ekranie.

– Przepraszam – powiedział – że moja głęboka egzystencjalna panika z powodu perspektywy utraty ciebie nie wygasła tak szybko, jak twoja.

– W porządku. Ja pewnie też nie byłabym tak spokojna, gdyby chodziło o ciebie. Kiedy się o tym dowiedziałam, już nie byłam martwa. To nie ma tego samego ciężaru gatunkowego, jeśli ominie cię to wszystko z „przeżyje czy nie”.

– Prawda – zgodził się Fayez. – Ta część wcale mi się nie podobała. Choć wiesz, szczerze mówiąc, to tę część też nie za bardzo lubię.

Wyciągnęła rękę, a on splótł palce z jej palcami. Tak zawsze to robili. Dziesięciolecia przyzwyczajęń ukrywały prawdziwe uczucia pod płaszczykiem humoru i żartów, ale wiedziała, że naprawdę się martwił. Oraz że jej irytacja tak naprawdę miała źródło w czystym idiotyzmie, który szykowano właśnie blisko pierścienia wrót. Głęboko wciągnęła powietrze i powoli wypuściła je przez zęby.

– Czuję się głupio – powiedziała. – Naprawdę sądziłam, że jesteśmy misją naukową.

– A nie jesteśmy?

Wskazała kciukiem w stronę monitora.

– To nie nauka. Podpalanie czegoś, żeby zobaczyć, co się stanie, to nie nauka. To wrzucanie dynamitu do stawu, żeby sprawdzić, czy wypłyną jakieś ryby.

– Czyli... filozofia przyrody?

– Wojskowe bzdury. Rozwiązywanie każdego problemu przez próbę wysadzenia go.

– No tak – rzucił Fayeze. – Człowiek prawie zaczyna żałować, że nie może tego rzucić, prawda?

Elvi odepchnęła się od monitora. W nieważkości był to jedynie gest oderwania. Spojrzenie ciemnych oczu Fayeza nie opuszczało jej oczu.

– Nie byłaby to pierwsza rzecz, która wzbudza we mnie takie myśli.

– Ale.

– Wiem. Gdybyśmy to nie byli my – powiedziała – byłby ktoś inny. Ktoś, kto nie wie tyle, ile my. Po prostu...

– Myślisz, że, cokolwiek jest po drugiej stronie, zareaguje?

– Tak. Może – rzuciła. – Nie wiem. Nie podobają mi się rzeczy, które mogą się zdarzyć tylko raz. Nie można porządnie zinterpretować czegoś, co nie ma wzoru. Jeden punkt danych jest wart tyle co zero.

– Poczulałabyś się lepiej, gdyby admirał postanowił zrobić to ponownie jeszcze kilkadziesiąt razy?

Około miliarda kilometrów stąd silnik obudził się na chwilę, zamigotał i zgasł.

– Wydaje mi się, że to zrobił.

* * *

Elvi nie była pewna, jaka faktycznie atmosfera panowała na pokładzie naukowym. Chciała myśleć, że wszyscy podchodzą do planu Sagale'a równie sceptycznie jak ona, nie komentując go na głos, ale tak naprawdę Jen i Travon wyglądali na podekscytowanych. Ich ekrany wyświetlały dane z dziesiątków sond i czujników rozmieszczonych w przestrzeni i trzy zegary. Pierwszy odliczał czas – już tylko minuty – do przelotu przez wrota pierwszego statku, co prawdopodobnie zakończy się jego zniknięciem. Drugi zegar, spóźniający tylko o kilka sekund, dotyczył drugiego statku, który

miał za nim polecieć, tego z bombą. A potem trzy pełne minuty później zegar wybuchu.

Byli zbyt daleko, by rozbroić bombę z antymaterią. Dopilnowanie bezpiecznej porażki eksperymentu, jeśli zakończy się porażką, będzie należało do Medyny. Jeśli statek z bombą jednak przeleci do sieci wrót, Medyna wyłączy go bez odpalania ładunku. Odległy o prawie godzinę świetlną *Jastrząb* przyglądał się dosłownej pustce, szukając oznak, że coś poza wrotami – coś wewnątrz wrót – w ogóle zauważy ich działania.

– Wiesz, co byłoby śmieszne? – odezwał się Fayez. – Gdyby cały ten plan wysadzania różnych rzeczy zepsuł wrota i wszyscy zostalibyśmy tu uwięzieni na statku na resztę życia, bez drogi powrotu do domu.

Sagale zmarszczył brwi i odchrząknął.

– Ma pan rację – przyznał Fayez. – Za wcześniej na to.

Pierwszy licznik dotarł do zera i zmienił kolor z niebieskiego odliczania czasu do przejścia na czerwony czas od przejścia. Za godzinę zobaczą to na ekranie i usłyszą raport statku. W olbrzymiej pustce mogli tylko zakładać, że plan faktycznie został wykonany.

– Wszyscy zapiąć pasy – polecił Sagale. – Jeśli wróg wystrzeli do układu kolejny z tych pocisków pustki, możemy na jakiś czas stracić przytomność.

Jen i Travon zapięli pasy, Elvi już była przypięta. Już dwukrotnie przeżyła przerywającą działanie świadomości reakcję na wkurzenie tego, co zniszczyło protomolekułę. Raz na Ilusie, z gotową do zabicia jej armią robotów w kształcie robali, raz siedząc na kanapie w poczekalni na Lunie, obserwując relacje z *Nawałnicy* szykującej się do zniszczenia stacji Pallas. Była już do tego prawie przyzwyczajona, a przynajmniej tak sobie powtarzała. Mimo wszystko wcale nie cieszyła się na ponowne takie doznanie. Drugi zegar dotarł do zera. Statek z bombą przeszedł przez wrota. I prawdopodobnie też zaginął.

Sekundy mijały coraz wolniej. Na ekranie oba statki czekały przed wrotami, przygotowując się do rozpoczęcia przelotu. To było jak patrzenie w przeszłość, czekanie na nastąpienie czegoś, co tak

naprawdę już się zdarzyło. Światło odbijające się od tych statków i pędzące w jej stronę pochodziło sprzed godziny, przynajmniej w jej układzie odniesienia.

Ostatni zegar dotarł do zera. Gdzieś dużo dalej niż zwykła godzina świetlna coś bardzo gwałtownego zdarzyło się w nie-przestrzeni, przez którą przechodziły wrota. Elvi wstrzymała oddech.

– Widzimy coś? – zapytał ściśniętym z napięcia głosem Sagale.

– Jeszcze nic – odparła Jen.

Elvi czekała na dziwne rozszerzenie percepcji. Wrażenie bycia w stanie dostrzegania pojedynczych atomów i fal, doświadczania siebie i otoczenia tak szczegółowo, że znikała granica między nimi, a jej ciało i wszechświat rozmazywały się razem jak akwarelowy obraz pod kranem. Jeden oddech, potem drugi. Dalej nic się nie działo.

– No dobrze – rzucił Sagale – Zgodnie z procedurą będziemy utrzymywać pozycję i zostaniemy z zapiętymi pasami do czasu...

– Kurwa mać – odezwał się Travon. – Widzicie to?

Na ekranach przestrzeń wokół nich wrzała. Na oczach Elvi ekrany zaczęły też wyświetlać potwierdzenia z wysuniętych sond. Jedna po drugiej, wszystkie zgłaszały to samo. Gwałtowny wzrost anihilacji cząstek kwantowych. Niesłyszalny szum próżni zwielokrotniony do krzyku.

– To jest piękne – powiedział cichym i natchnionym głosem Travon. – Tylko spójrzcie.

– Raport – zażądał Sagale.

– Dzieje się to, co widzieliśmy w układzie Sol, sir – odpowiedziała Jen. – Gwałtownie wzrosła aktywność cząstek wirtualnych. Powiedziałabym, że nas zauważyli.

– Sprawdzić zegar – polecił Sagale. – Straciliśmy przytomność? Cały czas byliśmy świadomi?

– Tak – odpowiedziała Elvi, zanim sprawdziła dane. – To znaczy to drugie. Nie straciliśmy przytomności, byliśmy świadomi.

– Tak, nasz eksperyment ze splątaniem też nie został zerwany – dodała Jen. – W układzie Sol wszystkie zawiodły, a nasz wygląda dobrze. Cokolwiek to jest, tym razem jest inaczej.

Sagale zaśmiał się i na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech. Elvi pomyślała, że to pierwszy raz, gdy widzi u niego oznaki prawdziwego zadowolenia.

– No proszę – powiedział. – To ciekawe.

– Cholera jasna – rzucił Travon. – Spójrzcie na to. To niesamowite.

Wskaźniki kreacji i anihilacji wirtualnych cząstek zalewały czujniki. Wszystkie wartości dotarły do „cholera wie, ale zdecydowanie za nimi nie nadążam”. Elvi przystawiła czubki palców do warg. Była przygotowana na dziwny skok w oderwanie świadomości, a fakt, że nie to nie nastąpiło, w jakiś sposób wydawał się gorszy.

– Kontynuować monitorowanie – polecił Sagale. – Wysoki konsul Duarte będzie z tego zadowolony.

– Czemu? – zapytała Elvi.

Sagale popatrzył na nią, jakby rzuciła żart, którego nie zrozumiał.

– Zachowanie uległo zmianie. To sugeruje, że z wrogiem można negocjować.

– To wcale nie wykazuje zmian. Wystrzeliliście z generatora pola magnetycznego w układzie Sol i cokolwiek to jest, zareagowało pociskiem na *Cyklonie*. Teraz przylecieliście tutaj i zrobiliście coś zupełnie innego, więc zareagowało inaczej. Tu nie ma dosłownie żadnych danych, które nam coś mówią.

– Wiemy teraz, że jeśli prześlemy przez wrota statek karny, wróg to poczuje – zauważył Sagale. – To wszystko? To nie dlatego, że zaginęło kilka statków. Ginęły od kiedy tylko zaczęliśmy używać wrót. To mówi nam, że zrobione przez nas narzędzie może ich skrzywdzić. To bardzo ważne. Nie dowiemy się, czy możemy ich uczyć, dopóki nie powtórzymy eksperymentu.

Proszę bardzo. Powtórzymy eksperyment.

– Jen? – odezwał się Travon. Nie słyszał nic z tego, co mówił Sagale, całą uwagę skupiał na ekranach. – Widzisz to? Pojawia się precypitat.

To przyciągnęło uwagę Sagale.

– Co takiego? Co pan tam widzi?

– Nie wszystkie cząstki wirtualne ulegają anihilacji. To generuje trochę... chyba jonów wodoru? Po prostu same protony.

– Czy to stwarza zagrożenie?

– Nie, to drobiazg. Nawet w zwykłej przestrzeni międzygwiazdnej ma pan atom albo dwa na centymetr sześcienny, a tu wciąż jest dużo mniej. Gdyby ten układ nie był tak dziwnie pusty, w ogóle bym tego nie zauważył. To znaczy, pewnie jeśli potrwa to przez kilkadziesiąt lat, to może stanie się problemem? Potencjalnie?

Sagale obejrzał się na Elvi. Jego płaska jak talerz twarz była bez wyrazu. Wydawał się zadowolony z siebie.

– Mimo wszystko – skomentowała Jen – jeśli dzieje się to w całej bańce słonecznej, to cholernie dużo energii. Oczywiście nie w ścisłych terminach, ale po prostu dużo.

– Energii? – zapytał Faye.

– Energii, materii – rzuciła Jen. – Wychodzi na jedno. Jeśli tworzą rzeczywistą materię, wkładają w to mnóstwo energii.

– Czy to jest równomiernie rozłożone? – pytał dalej Faye. Elvi usłyszała coś w jego głosie. Lekkie schrypnięcie świadczące o narastającym strachu.

– Och – westchnęła Jen. – O kurwa – dodała po chwili.

– Trochę za wcześnie, żeby to wiedzieć – powiedział Travon, wyraźnie nie nadążając. – Mamy tam tylko kilkadziesiąt sond. Czemu?

– No wiecie, jestem tu tylko gościem od geologii – odpowiedział Faye. – Ale czy nie jesteśmy nieco poniżej dwóch godzin świetlnych od gwiazdy neutronowej? Która bardzo zaimponowała nam tym, że ktoś zaprojektował ją tak, by była na granicy tuż przed zapadnięciem się? A teraz ktoś dokłada do układu mnóstwo energii i masy? Dla mnie wygląda to na potencjalny problem.

Elvi ścisnęło w żołądku.

– Chwileczkę – rzuciła Jen, uderzając szybko palcami w przyciski. Ekran zamigotał i wygenerował krzywe energii w zależności od czasu i masy. Kilka sekund później wydała dźwięk, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. – O cholera.

– Nie śpieszmy się tak – odezwał się Sagale. – Jeszcze nic się nie stało. Gwiazda wygląda na stabilną.

– Była stabilna dwie godziny temu – przypomniała Jen. – Ale gdy szybko wirująca gwiazda neutronowa zapada się w czarną dziurę, z biegunów emitowane są strumienie promieniowania gamma. W kilka sekund uwalnia się tyle energii, ile Sol emituje przez całe dziesięć miliardów lat istnienia. Są bardzo rzadkie.

Travonowi zszarzała twarz. Elvi poczuła coś dziwnego wzbierającego w trzewiach, gdzieś w pół drogi między strachem a zachwytem.

– Komandor Lively, czy czeka nas coś takiego? – zapytał Sagale, ale zanim to zrobił, Jen pogrzyżyła się po uszy w obliczeniach.

– Nie mogła się zapaść – powiedziała. – Jeszcze nie. Zakładając jednorodne tempo generowania precypitatu, choć tego właściwie nie wiem. Ale powinniśmy uciekać stąd najszybciej, jak możemy.

– Najszybciej, jak możemy, nie zabijając Elvi – skorygował Fayez. – Raz już prawie ją straciliśmy. Nie możemy lecieć z pełnym ciągiem.

– Jeśli wszyscy zginiemy, wcale nie będzie lepiej – zauważył Sagale.

Mimo to Elvi poczuła ponure rozbawienie tym, jak szybko admirał potrafił zmieniać opinię, jeśli przedstawiło mu się dowody.

Dowódca zacisnął wargi i skupił wzrok gdzieś w przestrzeni, wyraźnie myśląc.

– Komandor Lively, proszę przesłać swoją analizę na statek techniczny i do zespołu na Medynie. – Stuknął w panel sterowania i jego głos zabrzmiał echem w całym statku. – Wszyscy w gotowości. Należy się spodziewać przedłużonego lotu z wysokim ciężeniem.

– Nie możemy po prostu wpaść w pierścień wrót, sir – zaproponował Travon. – Mamy około miliarda kilometrów do pierścienia i milion na zwolnienie po drugiej stronie. Mniej, jeśli wlecimy pod kątem, a do tego musimy jeszcze nie trafić w Medynę i stację na środku, więc...

– Zdaję sobie sprawę z problemów – zapewnił Sagale. – Proszę się przygotować. Major Okoye, muszę panią poprosić o zgłoszenie się do ambulatorium. Rozumiem, że zwiększymy pani bezpieczeństwo,

jeśli zrezygnujemy ze znieczulenia w pryczy przeciążeniowej. To będzie nieprzyjemne.

– Nic nie szkodzi – skomentował Fayez. – Ona się zgadza. Oboje polecimy bez znieczulenia. Ja też. – Odwrócił się do niej. – Przepraszam, kochanie, ale naprawdę bardzo nie chcę, żebyś umarła.

– Rozumiem, admirale – odpowiedziała Elvi. – Pójdę od razu.

Sagale energicznie kiwnął głową. Elvi odpięła taśmy, łagodnie się odepchnęła i poszybowała przez powietrze. Fayez skierował się już w głąb korytarza w stronę prycz. Elvi złapała uchwyt, zatrzymując się. Nie wiedziała, czy uczucie, które wykwita w jej piersi, to wściekłość, strach czy gorzkie rozbawienie. W każdym razie było zimne.

– Admirale...

– Tak, major Okoye?

W powietrzu między nimi zawisło „a nie mówiłam?”. Nie musiała tego mówić, zobaczyła, że usłyszał.

Na ekranie przy nim obudził się do życia silnik pierwszego statku, pchając go w stronę pierścienia wrót. Złudzenie, że wciąż mogli to zatrzymać – że mogli cofnąć coś, co już się stało – było równie potężne jak nieprawdziwe. Chwilę później rozbłysła dysza silnika statku-bomby, szykującego się do przelotu.

W mniejszym oknie na tym samym ekranie spokojnie jarzyła się gwiazda neutronowa w sercu martwego układu.

Rozdział siedemnasty

Aleks

Ukrycie statku w przestrzeni nie różniło się tak bardzo od ukrycia się na szkolnym boisku. Wystarczy znaleźć coś większego od siebie i umieścić między sobą a szukającym. Nie było to niemożliwe nawet bez obiektu, za którym można by się ukryć. Kosmos był wielki, a to, co przez niego leciało, przeważnie było ciemne i zimne. Jeśli znajdzie sposób na uniknięcie emisji ciepła i światła, może zgubi się pośród innych.

Aleks przewinął mapę układu Jowisza w czasie do przodu, a potem z powrotem. Księżyce kręciły się wokół olbrzyma, a potem zakręciły do wyjściowych pozycji. Możliwe ścieżki przez wyobrażoną przestrzeń wyglądały jak miedziane druty, śledząc złożone interakcje ciągu, temperatury i wiecznie zmieniającego się oddziaływania grawitacyjnego wielu ciał. W miarę jak modyfikował zmienne – które trasy otwierały się, jeśli zdoła dodać do statku pół stopnia, które uległy zamknięciu, jeśli skróci czas lotu z ciągiem – ścieżki pojawiały się albo znikaly. Powoli zaczął się kształtować plan.

Znalezienie trasy ucieczki tak, by zabrać *Burzę* z Kalisto, zanim lakoński pancernik znajdzie się w zasięgu, oznaczało wykreślenie prowadzącego z księżycy kursu, który obejmował ciąg silnika tylko, gdy między nimi a wewnętrznym układem znajdowała się masa Jowisza, a potem lot na zimno i głucho, gdy znajdowali się na

widoku. To zdecydowanie ograniczało możliwości, ale problem był jeszcze bardziej skomplikowany.

Na Io, Europie i Ganimesie mieściły się stacje obserwacyjne, które mogły być pod kontrolą Lakonii, mogły zarejestrować ich start i oznaczyć go jako podejrzany. Musiał też zaplanować start na chwilę, gdy Kalisto zostanie zasłonięta przez Jowisza przed nimi, Słońcem i trzema innymi księżycami galileuszowymi. Znowu przewinął symulację orbitalną do przodu w czasie. Istniało rozwiązanie. Było takie okienko, podczas którego Kalisto znajdował się samotnie po stronie Jowisza przeciwnej do Słońca, ukryty w jego cieniu na dość długo, by *Burza* mogła wystartować. Choć czasu było mało. Może za mało.

Z drugiej strony mieli kilka atutów. Powłoka *Burzy* dawała niezwykle niskie echo radarowe w porównaniu z innymi statkami. Wewnętrzne pochłaniacze mogły przechować ciepło z całych dni. A gdy było to konieczne, kapilarne przewody w powłoce okrętu można było przepłukać ciekłym wodorem w celu zapewnienia jak najniższej temperatury zewnętrznej. Lecący po kryjomu statek był bardzo trudny do wykrycia. Jeśli Lakończycy szukali standardowego skoczka skalnego albo okrętu bojowego z odzysku, *Burza* mogła wyglądać na coś zbyt małego, by pasować do tego profilu. Sprawdził zapasy wodoru, dostosował zmienne temperatury w algorytmie i sprawdził ponownie. Okno otwarło się na trochę dłużej.

Mogli wystartować z Kalisto, gdy księżyc znajdował się za Jowiszem, a potem odpalić bardzo ostry ciąg z planetą blokującą widoczność z *Nawałnicy* i wszystkich stacji obserwacyjnych ze strony planet wewnętrznych. Nie powstrzyma to innych statków i pomniejszych placówek od wychwycenia smugi z dyszy – w układzie było zbyt wiele oczu, by dało się uniknąć wszystkich, niezależnie od złożoności trasy lotu, ale przy locie na zimno i blokowaniu głównych obserwatorów mógł uzyskać w kilka godzin przyzwoitą prędkość. Wtedy wystarczyło wyłączyć silnik i lecieć w trybie ukrycia, jak długo pochłaniacze ciepła dadzą radę pracować. Kiedy już oddał się nieco od układu Jowisza i wpadną w jedną z grawitacyjnych ścieżek wymagających najmniej paliwa,

używanych przez Pasiarzy i górników, będą mogli włączyć fałszywy transponder i ruszyć z łagodnym ciągiem w stronę pierścienia z nadzieją, że wyglądają jak jeden z dziesiątków kierujących się tam jednostek.

A kiedy znajdą się dostatecznie daleko, spróbować nawiązać łączność z Sabą i zobaczyć, czy któryś ze statków Związku miał miejsce na ukrycie ich i zabranie w diabły z układu Sol.

Jak na plan ucieczki, ten był dość wątki, ale żyli w ciężkich czasach.

Aleks wielokrotnie powtarzał symulacje modyfikując różne parametry, takie jak długość ciągu przy starcie i ucieczce, aż uzyskał plan, który według niego i komputera dawał im największą szansę powodzenia. Jeśli niczego nie przeoczył. Jeśli prawidłowo ocenił zmienne. Jeśli bogowie nie będą im tego dnia przeciwni.

Odchylił się na oparcie, czując ból głowy, jakby jego mózg wybierał się w jakieś inne miejsce. Ponaciągał szyję. Mięśnie sprawiały wrażenie, jakby je obito. Były czasy, gdy mógł spędzić całe godziny na dopracowywaniu planu lotu. I wciąż to potrafił, tylko cena była coraz wyższa. Machnął nad biurkiem, by wyłączyć mapę holograficzną. Aktywowały się światła pokoju, ukazując małą i obskurną przestrzeń roboczą zajmowaną przez niego podczas pobytu na Kalisto. Biurko podłączone bezpośrednio z systemami *Burzy*, dzięki czemu jego zapytania nie wyciekną do sieci lokalnej Kalisto. Ekran ścienny z dostępem do paru tysięcy kanałów informacyjnych i rozrywkowych. Kabina w rogu będąca połączeniem umywalki, ubikacji i prysznic, bez dodatkowej opłaty oferująca smrodek pleśni. Była tu nawet leżanka z małą poduszką i cienkim kocem, gdyby zdecydował się nie wracać do swojego trumnowego hotelu. Wszystkie niewygody pokoju dla kawalerów w bazie wojskowej. Wcale nie wzbudzało to w nim nostalgii.

Mieszał w szklance wody kredowy proszek przeciwbólowy, którego ziarna wirowały jak gwiazdy, gdy terminal zaczął odtwarzać pierwsze kilka nut jego ulubionej piosenki *Dust Runners*.

– Przyjmij połączenie – poleciał, a potem przełknął lekarstwo. Gorycz wspięła się po jego języku jak coś żywego i się otrząsnął. –

Hej, Bobbie. Co jest?

– Spotkajmy się w jadalni za dwadzieścia minut – rzuciła, a potem rozłączyła się, zanim mógł o coś zapytać.

„Jadalnia” była kodem na mały magazynek w rzadko używanym bocznym tunelu, jedno z kilku pomieszczeń przeznaczonych na potajemne spotkania. Co kilka dni sprawdzali je pod kątem podsłuchu, a członkowie oddziału uderzeniowego Bobbie ubrani jak cywile mieli je cały czas na oku, by wiedzieć, czy ktoś się przy nich kręcił.

Aleks całą służbę wojskową spędził na pokładzie statków lub w bazach floty, czekając na przydziały, nigdy nie był szpiegiem ani członkiem oddziałów specjalnych, jak Bobbie. Dla niego paranoja towarzysząca wykonywaniu tajnych misji była zdecydowanie męcząca.

– Pewnie powinienem zgarnąć jakieś jedzenie – powiedział do terminala.

Urządzenie pisnęło potwierdzeniem, a potem wysłało zamówienie do knajpki z makaronem na jednym z dolnych poziomów. Właścicielem lokalu był członek ruchu oporu, który wysłał powiadomienie o odbiorze do Caspara. Co oczywiście było kolejnym kodem. Nie był nawet trochę głodny, ale jeśli ktoś go usłyszał, albo dostanie kopię rozmowy, wszystko będzie wyglądało niewinnie. Nic już w jego życiu nie było tym, na co wyglądało.

Dziesięć minut później Aleks wszedł do pokoju na tyłach knajpki z makaronami i zastał tam czekającego Caspara. Gdy nie używali tego miejsca na tajne spotkania, mieściła się tam spiżarnia lokalu, a pod ścianami stały sterty skrzynek z zapasami. Zamknięto doprowadzenia ogrzewania stacji, więc było tu jakieś dziesięć stopni chłodniej niż w lokalu, przez co Aleks widział parę ze swojego oddechu.

– Ile czasu potrzebujesz? – zapytał bez żadnych wstępów chłopak.

– Nie wiem. Daj mi dwie godziny, a potem spotkajmy się w kasynie. Blackjack. Będę przy stole na pięciodolarówki.

– Potwierdzam – rzucił Caspar.

Ściągnął noszoną przez siebie bluzę z dużym kapturem i podał ją Aleksowi. Ten włożył ją i oddał chłopakowi swój terminal. Będzie z nim chodził po stacji przez parę godzin. Każdy, kto śledził położenie Aleksa na podstawie jego terminala, zostanie wysłany w krzaki. Choć było mało prawdopodobne, by ktoś ich śledził. Terminale były bardzo podstawowymi modelami, anonimowymi, na ile dało się to osiągnąć. Gdyby ich fałszywe tożsamości zostały złamane, zapewne zostaliby już aresztowani przez ochronę i byłiby przesłuchiwani przez lakońskich oficerów. Jednakże to Bobbie ustaliła zasady zachowania bezpieczeństwa i wszyscy przestrzegali ich co do joty.

Caspar wziął terminal, wsadził go do kieszeni kombinezonu, pomachał radośnie Aleksowi i ruszył do drzwi.

– Czekał – rzucił Aleks.

– Wszystko w porządku? – Coś w głosie Aleksa wywołało drobną zmarszczkę niepokoju na czole między oczami młodszego mężczyzny.

„Nic nie jest w porządku”, chciał odpowiedzieć Aleks, ale tego nie zrobił.

– Po prostu uważaj. Jeśli coś ci się stanie, będę miał dwa razy więcej roboty. – Próbował zrobić z tego żart, ale niezbyt mu się udało. Bruzda między oczami Caspara zrobiła się trochę głębsza.

– Nie musisz mnie niańczyć, Aleks. Znam swoją robotę.

– Jasne, przepraszam – rzucił Aleks, a potem oparł się o ścianę i potarł oczy.

Ból głowy sprawiał, że miał ochotę przycisnąć twarz do ściany. Od tunelu w księżycu oddzielała go tylko cienka warstwa kompozytów i izolacji. Może trochę lodu starego jak Układ Słoneczny byłoby dość zimne, by stłumić pulsowanie w jego skroniach.

– To nic wielkiego – zapewnił Caspar. – Ale ojciec zawracał mi tak głowę, gdy miałem siedem lat. Nie potrzebowałem tego wtedy, nie potrzebuję teraz.

– W porządku. Prawdę mówiąc...

Caspar czekał. Aleks westchnął ciężko.

– Prawdę mówiąc, cholernie się martwię o swojego dzieciaka i po prostu przenoszę to na ciebie. Nie traktuj tego jako coś innego, dobra?

Aleks czekał, aż Caspar wyjdzie, ale ten został. Zamiast tego usiadł na stosie skrzynek opisanych MAKARON SOJOWY i złożył ręce na piersi.

– Myślisz, że Lakończycy wiedzą, że to my?

– Co? Nie, wcale nie...

– Nie wygłupiaj się, Aleks. Ja też mam rodzinę.

– Nie o to chodzi – zapewnił Aleks. Zauważył mały worek liofilizowanych płatków cebuli i go podniósł. Wydawał się zimny w dłoni i zrobił mu doskonale po przyciśnięciu do skroni. Caspar siedział na skrzynkach i nerwowo poruszał kolanem.

– W takim razie o co?

– Poważnie się zaangażowałem – wyjaśnił Aleks. – Może nawet się ożeni. Pewnie to zrobi. A ja przez to zacząłem myśleć o tym, jak bardzo nie chcę dla niego wszystkiego zepsuć. Zawsze myślisz, że zostawisz swojemu dziecku sytuację lepszą, niż ją zastałeś. W moim przypadku się to nie sprawdza.

Przełożył worek z cebulą na drugą stronę głowy, ale zawartość zaczęła się już ogrzewać.

– Martwienie się wywołuje wrażenie, że przynajmniej coś robisz – skomentował Caspar. – Rozumiem. Kiedy zacząłem latać dla Związku, martwiłem się o mamę, żebym nie czuł się winny, że zostawiam ją samą.

– Jesteś za mądry na swój wiek – przyznał Aleks. – Ale pewnie masz rację. A przynajmniej jesteś blisko. Byłem głównianym ojcem, nim zostawiłem rodzinę, żeby bawić się w rewolucjonistę.

– Nie wiem – powiedział Caspar, wstając. – Mój ojciec uciekł, bo matka poprosiła go, żeby nie wydawał na magiczny pył pieniędzy przeznaczonych na czynsz. Gdyby konkurs obejmował was dwóch, wygrałbyś nagrodę ojca roku.

– Dzięki – rzucił Aleks i zaskoczył sam siebie wybuchem śmiechu. – Piekielnie dobry komplement.

Terminal Aleksa zabrzączał w kieszeni Caspara. Dzieciak wyciągnął go i spojrział na ekran.

- Kapitan chce wiedzieć, gdzie się do cholery podziewasz.
- Już idę.

* * *

Jadalnia była opuszczonym magazynkiem o powierzchni jakichś sześciu metrów kwadratowych, z natryskiwaną izolacją termiczną na ścianach i drzwiami z włókna węglowego, w których nawet nie zainstalowano zamka. Zaślepienie rury wchodzące do pomieszczenia sugerowały wcześniejsze użycie go jako minimaszynowi, choć rodzaj pracujących tu kiedyś urzędów przepadł w mrokach dziejów. W lewym dolnym rogu drzwi narysowano zieloną kredą mały znak X, niewyróżniający się na tle zdobiących je graffiti, obejmującego główne przechwałki seksualne i hasła gangów. Zielony X oznaczał, że pomieszczenie przeskanowano pod kątem podsłuchów mniej niż 30 godzin temu i niczego nie znaleziono. Czerwony znaczylby, że podziemie znalazło w nim pluskwy, zostawiło je na miejscu i porzuciło magazynek.

Kiedy przyszedł, Bobbie na niego czekała. Większość ludzi nie zauważała oznak niecierpliwości byłej marine. Nie chodziła nerwowo, nigdy nie ruszała kolaniem albo stopą. Strzelanie kostkami w jej wykonaniu słyszał jak dotąd jedynie przed sparringiem na sali gimnastycznej. Mimo wszystko Aleks wiedział, że coś się dzieje. Stała w całkowitym bezruchu, ale sztywno, jakby częściowo napinała wszystkie mięśnie.

- Spóźniłeś się – rzuciła.
- Zagadałem się z Casparem przy wymianie, ale teraz wyglądasz tak, że zaczynam się bać.
- Pancernik, który poradził sobie z połączonymi flotami Ziemi, Marsa i Związku Transportowego, leci na nas, bo zabiliśmy wysokiego stopniem lakońskiego oficera. Byłbyś cholernie głupi,

gdybyś się jeszcze nie bał, a wiem, że taki nie jesteś, Aleks – wyrzuciła z siebie Bobbie.

– Potwierdzam, Gunny. Słuszna uwaga – zgodził się Aleks i uniósł ręce w udawanym geście poddania. Zdecydowanie nie lubił spotkań w jadalni, głównie dlatego, że nie dało się tu na niczym usiąść. Zamiast tego znalazł kawałek ściany bez wystających rur i oparł się o piankę izolacji. – Może mnie wprowadzisz w sytuację?

– Przepraszam – odpowiedziała Bobbie. Zacisnęła dłonie w pięści i wcisnęła je do kieszeni. – W tej chwili wkurzam się na ciebie, choć to nie twoja wina.

– Co mam przestać nie robić, żeby nie była to już nie moja wina?

Bobbie roześmiała się i posłała mu krzywy uśmiech. Nie był to przesadnie zabawny żart, ale przynajmniej doceniła, że nie bierze jej złości do siebie.

– Coś nie dawało mi spokoju. Masz rację. I Naomi ma rację – wyznała. – Naszemu ruchowi oporu kończy się czas, a co udało się nam osiągnąć? Zirytowaliśmy imperium. Porwaliśmy kilka statków i trochę zapasów. Zabiliśmy paru Lakończyków. I może zdawało mi się, że plucie w oczy duszącego mnie przeciwnika wystarczy, ale myślałam o wyrażonej przez Jillian ocenie obiektywnej wartości zwycięstw moralnych i ona też w sumie miała rację.

Bobbie zamilkła, jakby słuchając swoich słów. Zapewne aż do tej pory nie wypowiedziała tych myśli na głos.

– Czy rozmawiamy o tym, o czym sądzę, że rozmawiamy?

– Nie wiem, o czym twoim zdaniem rozmawiamy, Aleks.

– Bo wiesz – powiedział Aleks – jeśli rozmawiamy o odpuszczeniu, to dużo łatwiej będzie się zmyć z Kalisto, jeśli nie spróbujemy zabrać ze sobą *Burzy*. No wiesz, mam plany na ucieczkę, ale...

– Nie – ucięła Bobbie – nie rozmawiamy o tym.

Jej głos zrobił się chrapliwy od gniewu. Miał ochotę się od niej odsunąć, wycofać się, choć znał ją dość długo by wiedzieć, że w jej przypadku nie było to właściwym postępowaniem. Cokolwiek myślała, potrzebowała kogoś, na kogo mogłaby to wszystko wyrzucić. Próby uspokajania jej teraz nie byłyby dobrym pomysłem.

Ani bezpiecznym. Nawet jeśli wzbudzała w nim lekki strach, wciąż była Bobbie Draper, jego starą przyjaciółką i rodaczką.

Z drugiej strony była też istotą przywykłą do przemocy, która jakoś musiała wyładować swoje frustracje.

– Potwierdzam, Gunny – Aleks powiedział to tak, by nie zabrzmiało jak w ustach kogoś prowadzącego negocjacje w sprawie uwolnienia zakładników.

– Nie poddam się – oświadczyła Bobbie. – Szukam sposobu na wygraną. Jak możemy w naszej obecnej sytuacji wykonać ruch w bok, atak z zaskoczenia, który zmieni porażkę w zwycięstwo. Jak możemy zrobić coś więcej niż tylko przeżyć?

– Przeżycie to całkiem niezły początek – skomentował Aleks. – Przygotowałem plan startu do wyprowadzenia *Burzy* z Kalisto, jeśli to w czymś pomoże.

– Tak, pomoże. Ale ucieczka nie rozwiąże naszego większego problemu.

– Kap... Bobbie – odpowiedział Aleks. – We wszechświecie są trzy okręty klasy *Magnetar*, a w naszą stronę leci właśnie ten, który skopał tyłek całej połączonej flocie. Próba walki z nim to tak, jakbym ja próbował walczyć z tobą. Żeby użyć twoich własnych słów, musiałbym być cholernie głupi, żeby się nie bać.

Bobbie nie odpowiedziała. Wyciągnęła z kieszeni terminal. Był to jeden z tych tanich, które można było dostać w automatach sklepowych za kilka dolarów. Bateria wystarczała na kilka godzin, a potem się je po prostu wyrzucało i kupowało nowe. Rzuciła mu go. Ekran wyświetlał zdjęcie niewielkiej metalowej kuli z naklejonym tekstem i jakimś kablem podłączonym od góry.

– Co to jest, do cholery? – rzucił Aleks.

– Masz tam raport.

Stuknął palcem w ekran, który przełączył się na artykuł o teoretycznym zastosowaniu antymaterii w reaktorach wysokoenergetycznych. Potrzebował minuty na zrozumienie, co chciała mu powiedzieć.

– Nie – rzucił.

– Och tak – zapewniła Bobbie. – Rini jest pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Oglądała je i szukała informacji. Już w mrocznych wiekach mogliśmy produkować śladowe ilości antymaterii, ale to nigdy nie było praktyczne. Teraz jest. Lakończycy wiedzą, jak ją wytwarzać i przechowywać. Założę się o tygodniową gażę, że robią to w tych samych platformach konstrukcyjnych, z których pochodzi *Burza* i *Nawałnica*, a te tutaj stanowią część zaopatrzenia dla pancernika. To ich wielkie działo musi palić jak szalone przy każdym strzale.

– Lakonia jest trudnym celem, ale jeśli masz rację i znajdziemy sposób na zniszczenie tych platform...

– Tak, pozbawienie ich zaopatrzenia byłoby świetne – zgodziła się Bobbie. – Ale to tylko zwycięstwo taktyczne. To jest mój rodzaj celu. Nie twój, nie Naomi.

– Mój rodzaj celu?

– Jeśli wysadzimy lakońskie platformy konstrukcyjne, Duarte i jego admirałowie będą wiedzieć, czemu to ważne, ale kumple Kita z uczelni? A to właśnie ich musimy zainspirować. Oni muszą zobaczyć coś ewidentnego. Musimy udowodnić, że Lakonia nie jest niezwyciężona, żeby nowe pokolenie miało szansę do nas dołączyć.

– Chcesz je zrzucić na Lakonię? – zapytał obruszony Aleks. Jasne, byli wrogami, ale przeraził go pomysł zniszczenia planety pełnej cywili. Nawet podczas wojny istniały granice nie do przekroczenia.

– Jeśli zaczniemy robić naloty dywanowe na cywili, będziemy gorsi od wroga.

Aleks poczuł falę ulgi. Wciąż walczył po właściwej stronie.

– No dobrze. Nie myślałem, że zechcesz...

– Chcę zniszczyć *Nawałnicę* – oznajmiła. – Pokażemy Ziemi, Marsowi oraz wszystkim w Pasie i na wszelkich pozostałych koloniach za wrotami, że lakońskie pancerniki nie są niezniszczalne. Pokażemy im, że możemy wygrać. Stworzymy całe nowe pokolenie ludzi gotowych do walki dzięki odpaleniu największej cholernej racy sygnałowej, jaką widziała ludzkość.

– Bobbie – odezwał się Aleks. Coś w jej oczach przeraziło go bardziej niż wcześniej zaciśnięte pięści. Ogień, jakiego jeszcze tam

nie widział. Cały strach i desperacja w jednej chwili zmieniły się w coś szalonego, ocierającego się o fanatyzm. – To szaleństwo.

– Mamy przesrane i do tej pory staraliśmy się tylko nie przegrać. Zamierzam zacząć walczyć o wygraną.

– Nie, wcale nie.

Bobbie wbiła w niego wzrok. Jej szczeka wysunęła się o pół centymetra. Każde włókno ciała przekonywało go, żeby się cofnął, poza jedną małą częścią mózgu wiedzącą, że okazanie teraz słabości było sposobem na katastrofę.

– Wcale nie – powtórzył. – Boli cię, bo prawie odnieśliśmy zwycięstwo, ale w ostatniej chwili przegraliśmy. A potem Jillian przekręciła nóż w ranie, bo ona też była sfrustrowana, a do tego jest dupkiem. Teraz znaleźliśmy to – uniósł terminal z informacjami o antimaterii – masz więc wrażenie, że świat podsunął ci sposób na odegranie się, ale to, co naprawdę próbujesz zrobić, to odzyskanie tego, co straciłaś, idąc na całość. To główniany pomysł w pokerze i jeszcze gorszy jako strategia w walce.

– Pieprz się, Aleks. Zarabiam tym na życie.

– I jesteś w tym naprawdę dobra. I bystra, a ja jestem tylko kierowcą autobusu, który zawozi cię tam, gdzie musisz być, żeby zabijać ludzi. Ale tym razem się mylisz i dobrze o tym wiesz.

– Nie o to mi chodziło.

– Chcesz dużego, symbolicznego zwycięstwa – nie ustępował Aleks. – Czy to kiedykolwiek było dobrym pomysłem?

Po raz pierwszy w oczach Bobbie pojawił się cień wątpliwości. Złożyła ręce na piersi, ale odwróciła wzrok. Nachylił się w jej stronę.

– Jesteś sfrustrowana i czujesz się zapędzona w pułapkę, a ostre uderzenie to coś, co robi się, gdy czujesz się sfrustrowana i zagnana do kąta. Ale pozwól mi nas stąd wydostać. Zawieziemy te piekielne kule do Saby. I tak, może wyśle nas z powrotem i będziemy mogli zniszczyć *Nawałnicę*. Albo zrobi coś innego. Ale pozwólmy się wypowiedzieć w tej sprawie innym, zanim polecimy ładować to do torped. Dobra?

– Myślisz, że tej walki nie da się wygrać. To właśnie powiedziałeś.

– Owszem – przyznał Aleks. – Ale już dwa razy się rozwodziłem, więc nie traktowałbym swojego słowa jak prawdy objawionej. Mogę się mylić w wielu sprawach. Owszem, twoi najlepsi żołnierze to staruszkowie, jak ty i ja, ale są tu też dzieciaki takie jak Caspar. Nie tyle, ile bym chciał, nie tyle, ile moim zdaniem będziemy potrzebować. Ale jacyś są. Po prostu nie uważam, że powinniśmy ich wyrzucać na śmietnik bez bardzo starannego namysłu. Wynieśmy się z układu Sol, niech mózgowcy przyjrzą się nowym informacjom i zobaczymy, jaka ich zdaniem będzie właściwa strategia.

Bobbie powoli wciągnęła powietrze i równie wolno wypuściła je przez zęby.

– Ile czasu do startu? Jeśli będziemy uciekać?

– Trochę czasu jest.

– Dobrze – powiedziała. – Pomyślę nad tym.

– Dobrze – rzucił i wyprostował się, gotowy ustąpić jej miejsca.

– Aleks?

– Tak, Gunny?

– Nie zrozum mnie źle.

– Tak?

– Jeśli naprawdę wierzysz, że nie możemy wygrać, powinienes się zastanowić, czy polecisz ze mną, jeśli się na to zdecyduję.

Rozdział osiemnasty

Naomi

Nie pierwszy raz była najnowszym członkiem załogi, co nawet w najlepszych okolicznościach potrafiło być uciążliwe. Każdy, kto trafiał w często zawile sieci ustalonych relacji, związków, wrogości i personalnych powiązań panujących wśród załogi, potrzebował czasu na znalezienie lub stworzenie własnego miejsca. Czasu izolacji pośród załogi.

W tym sensie jej pojawienie się na *Bhikaji Cama* nie różniło się od pozostałych. To, że pojawiła się na statku w połowie drogi bez zatrzymywania się przy żadnej stacji lub transferu z innej jednostki, czyniło sytuację trochę bardziej niezwykłą. I choć ukryła tożsamość przed Lakonią, dość liczna załoga statku nie sprzyjała zachowaniu tajemnic. Co prawda kadra dowódcza bardzo stanowczo nie zauważała jej istnienia, ale wszyscy i tak wiedzieli, kim naprawdę jest.

Jej obecność była w równym stopniu powodem wstydu Związku Transportowego, zagrożeniem dla załogi oraz najciekawszą rzeczą, jaka zdarzyła się podczas długich tygodni lotu. Przeciągając się przez korytarze lub pobierając posiłki ze stołówek, czuła na sobie uwagę w sposobie, w jaki ludzie unikali jej spojrzenia, i tym, jak swoją obecnością wygaszała rozmowy.

Po dotarciu na Auberon będzie musiała na chwilę zniknąć i mieć nadzieję, że jej tajemnicze pojawienie się zostanie przypisane pogłoskom i legendom. „W zeszłym roku służyłam na statku i kiedy

doszło do niespodziewanej inspekcji, w załodze nagle pojawiła się Naomi Nagata. Została z nami przez resztę lotu”. Było to na tyle niemożliwe, że mogło ująć. Albo mogło stworzyć problem. W każdym razie będzie musiała się skontaktować z Sabą i zobaczyć, jakie ma opcje. Zaletą ograniczonych kontaktów między komórkami podziemia był fakt, że żaden pojedynczy incydent nie mógł pograżyć wszystkiego. Z drugiej strony nigdy nie mogła poznać pełnego obrazu szerszej sytuacji. Nawet jako jedna z głównych osób odpowiedzialnych za strategię, wiedziała tylko tyle, ile powiedział jej Saba. Było przy tym całkiem możliwe – nawet prawdopodobne – że on sam nie wiedział o niektórych operacjach.

Kantyna była dość obszerna, by pomieścić pięćdziesiąt osób, ale próbowała przychodzić do niej poza godzinami szczytu, gdy wszystkie trzy zmiany były w środku cykli pracy lub snu. Stoły przynitowano do podłogi, ale w nieważkości i tak nikt z nich nie korzystał. Automaty z jedzeniem były starymi, szarymi maszynami wydającymi papkę odżywczą w ośmiu smakach wprost do baniek jednorazowego użytku. Nawet najgorszy skoczek skalny w Pasie oferował coś miłszego. Ktoś namalował na ścianach jasne kwiaty – stokrotki na żółto, różowo i pastelowo niebiesko – żeby trochę poprawić klimat pomieszczenia. Co dziwne, to nawet działało. Naomi zjadła pastę o smaku żółtego curry zaczepiona stopą o uchwyt na ścianie. Później wzięła sobie kawę, która okazała się tysiąc razy lepsza.

Trójka techników środowiskowych wleciała grupą do pomieszczenia, omawiając problem z systemem oczyszczania wody. Odczuła olbrzymią pokusę dołączenia do rozmowy, ale się powstrzymała. Słuchanie normalnej ludzkiej rozmowy i niemożność dołączenia do niej była jak wążanie jedzenia przez kogoś umierającego z głodu, bez możliwości włożenia go sobie do ust. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakuje jej ludzi, do chwili, gdy znowu znalazła się pośród nich, kiedy więc do kantyny dotarła Emma, poczuła ulgę na jej widok.

W ciągu swego wewnętrznego wygnania na pokładzie Naomi dowiedziała się, że Emma nazywała się Pankara, zanim przyjęła

nazwisko rodowe Zomorodi w ramach kontraktowego związku z czworgiem innych osób. Miała rodzeństwo na Europie w układzie Sol i na Saraswati, jednej z trzech planet układu Tridevi. Przed wstąpieniem do Związku Transportowego pracowała w prywatnej firmie ochroniarskiej. Miała też sziszę zaprojektowaną tak, by działała w dowolnym ciężeniu, od zera do pięciu g. A do tego wszystkiego chętnie rozmawiała bezpośrednio z Naomi, co czyniło jej towarzystwo cenniejszym od złota. Zatrzymała się teraz przy urządzeniach, pobrała bańkę czegoś i poleciała w stronę Naomi, ustawiając się zgodnie z jej orientacją.

– Wszystko w porządku? – zapytała Naomi.

Emma potrząsnęła płasko ułożoną dłońią w geście znaczącym „tak i nie”.

– Kapitan Burnham nie chce ze mną rozmawiać, a Chuck nie przestaje.

– Utrudniłam ci życie – skomentowała Naomi.

– Sama je sobie utrudniłam – odparła Emma, zrywając zamknięcie bańki z jedzeniem. – Przy tobie to wszystko po prostu wybuchło.

– No cóż – rzuciła Naomi. Zdumiewające było, jak dobrze się czuła, mogąc porozmawiać z kimś na żywo, bez opóźnienia światła. Nawet na banalny temat. A może zwłaszcza wtedy. – Chuck wydaje się przyzwoitym człowiekiem. Działa w podziemiu?

Emma się roześmiała.

– Nie nadaje się do tego. Za bardzo się martwi. W tej chwili nie spryduje się prochami tylko dlatego, że jego zdaniem nikt niczego nie powie temu oficerowi politycznemu na stacji transferowej. Połowa ludzi na tym statku ma coś, czego wolałaby nie wystawiać na szczegółową kontrolę, a druga połowa musi z nimi pracować.

– Wydaje się to niepewne.

– I tak jest – zgodziła się Emma. – Ale pracujemy z tym, co mamy. Zresztą o to właśnie chodzi w tej walce, prawda?

– Czemu tak myślisz? – zapytała Naomi.

Emma pociągnęła dużą porcję z bańki, a potem otrząsnęła się, przełykając.

– Na pierwszym statku, na którym służyłam po zwolnieniu się z Pinkwater, pierwsza oficer zakochała się w jednym z mechaników. Oboje byli bardzo młodzi, więcej hormonów niż krwi. W firmie obowiązywał zakaz związków, ale co można z tym zrobić? Pierwsza zaczęła coraz bardziej kręcić się przy mechaniku. Potem używać monitoringu statku do kontrolowania, gdzie znajdują się ludzie, podczas zmian i po nich. Mechanikowi się to nie podobało. Dotarli do punktu, w którym doszło do bardzo głośnej kłótni w ambulatorium. Pierwsza się popłakała i przez dwa dni nie wychodziła z kabiny. Poza tym była dobrą oficer, mechanik też znał się na swojej robocie. Ale oboje zostali wyrzuceni. Wiesz, przepisy.

– Tak właśnie widzisz podziemie? – zapytała z uśmiechem Naomi.
– Sposób na zapewnienie bezpieczeństwa romansów?

– Łatwo jest ustanawiać zasady – odpowiedziała Emma. – Łatwo tworzyć systemy z doskonałą logiką i rygorem. Wystarczy tylko nie zostawić miejsca na litość, nie? Wtedy, gdy wsadzisz w to dwoje ludzi i zostaną zmieleni na miazgę, to będzie ich wina, nie zasad. Jeśli tylko zrobimy coś mającego jakąś wartość, możemy sobie odpuścić ludzi. Ułomnych, głupich, kłamających i łamiących zasady ludzi. Lakończycy popełniają ten sam błąd, co zawsze. Nasze zasady są dobre i świetnie by się sprawdzały, gdybyśmy tylko byli innym gatunkiem.

– Mówisz jak ktoś, kogo znam – skomentowała Naomi.

– Mogę za to zginąć – zapewniła Emma. – Zginę za to, żeby ludzie mogli coś spieprzyć, ale i tak zaznać litości. Nie dlatego tu jesteś?

Naomi przyjrzała się kobiecie. Oceniała gniew widoczny w zaciśniętych szczękach i ból w głosie. Zaciekawilo ją, czy to Emma była tą pierwszą oficer, ale pewnie nie miało to znaczenia.

– Wszyscy jesteśmy tu z własnych powodów – powiedziała. – I te powody nie są tak ważne jak fakt, że tu trafiliśmy.

– Prawda – zgodziła się Emma.

Naomi roześmiała się, ale był to ostry, gorzki dźwięk.

– W każdym razie spędziłam już za dużo czasu z ludźmi groźącymi, że mnie zastrzelą, jeśli nie wykonam ich poleceń. Ten zbiornik jest już całkiem pusty.

– I niech nigdy nie zostanie wypełniony – dokończyła Emma.

Do kantyny wciągnął się mężczyzna z płaską twarzą i w mundurze oficerskim, zerknął na nie, odwrócił wzrok, a potem gwałtownie popatrzył uważniej. Technicy środowiskowi spojrzeli na niego, potem na Naomi, czym prędzej wcisnęli puste bańki do recyklera i uciekli. Oficer podleciał do automatu, zamówił z niego jakiś napój – kawę, herbatę lub maté – a potem opuścił kantynę, nie oglądając się. Jego dezaprobatą wyczuwalnie obniżyła temperaturę pomieszczenia.

– Masz wszystko, czego ci trzeba? – zapytała Emma, jakby w ogóle nie zauważyła mężczyzny.

Pytanie niosło większą wagę, niż sugerowały słowa.

– Mam wszystko – potwierdziła Naomi. – Choć gdy dotrzemy do portu...

– Wydostaniemy cię bezpiecznie – zapewniła Emma. – Później...

– Wiem – rzuciła Naomi. Później wciąż będzie ścigana przez prawo. Wciąż będzie uciekinierką. Myszą szukającą bezpiecznego schronienia. Na to przyjdzie czas. – Saba może coś dla mnie mieć.

– Zapalę dla ciebie świeczkę, a na razie, jeśli będziesz czegoś potrzebować, to może lepiej zgłoś się do mnie, nie do Chucka – stwierdziła Emma, a potem wyssała resztkę pasty z bańki, cmoknęła i odbiła się w stronę drzwi.

Naomi unosiła się samotnie w kantynie jeszcze przez pięć minut. Zabierając bańkę herbaty do kabiny, poczuła lekkie ukłucie poczucia winy, ale tylko lekkie.

Bhikaji Cama był wielkim statkiem. Miał trzy czwarte kilometra długości i był na tyle szeroki, by na schematach wyglądać na przysadzisty. Zbudowano go dziesięciolecia temu do przewożenia takiej liczby ludzi i zapasów na jeden z zewnętrznych światów, by mogła tam od razu powstać samowystarczalna kolonia. Włącznie z budynkami, recyklerami, glebą, reaktorami i paliwem. Wszystko, czego ludzkość potrzebowała do zdobycia przyczółka we wrogiej, obcej ekosferze, poza poczuciem stylu i wytycznymi dotyczącymi uwodzenia mechaników. Korytarze pomalowano na ponury zielony kolor, a uchwytów na stopy i dłonie nie szorowano od zbyt wielu

tygodni. Statek zazdrośnie oszczędzał wodę, używając pasywnych radiatorów do pozbywania się ciepła, zamiast stosować parowanie, przez co powietrze było cieplejsze od tego, jakie lubiła.

Kabinę miała maleńką. Nie tylko mniejszą od jej kontenera, ale i mniejszą niż niektóre magazynki na zapasy na *Rosie*. Prycza przeciążeniowa była tania, z lekko woniejącym żelazem i nie miała dość miejsca, by rozciągnąć na niej ręce. Taki projekt w Pasie nazywano *albuepartir*, ponieważ we śnie ręce unosiły się poza krawędzią i nagle przyśpieszenie mogło je złamać. Jakiś poprzedni lokator ozdobił tkaninę przeciwuderzeniową złożonymi i pełnymi przemocy rysunkami strzelaniny między dwoma zestawami kreskowych postaci, z których jedne miały zakolorowane głowy, a drugie puste. Naomi przypięła się do pryczy, wywołała system oraz fałszywe dane otrzymane od Chucka i zabrała się do pracy.

Ironia polegała na tym, że z dostępem, którym dysponowała teraz, mogła uzyskać więcej informacji niż tylko pasywne zbieranie kanałów, na którym polegała wcześniej. Próbowwała ostrożnie korzystać z nowych możliwości i nie nadużywać dostępu w sposób, który wywołałby więcej czerwonych flag, ale wysłała zapytania do lokalnej kopii bazy danych związku o oficerów politycznych i zmiany dotyczące lakońskich przepisów dla stacji transferowych. Było to coś, czym mógł się interesować każdy na statku takim jak *Cama*, i prawdopodobnie robiło to wiele osób. Różnica polegała wyłącznie na jej spojrzeniu na otrzymywane tą drogą informacje.

Jej błąd polegał na tym, że zobaczyła w oficerze politycznym wysyłanym na Sol coś unikatowego dla tego układu. Wszyscy go popełnili. Oficer polityczny był też na Auberonie, a to zmieniało obraz. Nie wiedziała jeszcze, jakiego wzoru się w tym dopatrywać, ale jakiś był. Frachtowce lecące na Medynę były przekierowywane lub wstrzymywano ich przejścia. Na statkach lecących w warunkach bliskich maksymalnego teoretycznego obciążenia prowadzono audyty środowiskowe.

To wciąż nie było potwierdzenie, nic tak oczywistego. Ale jeśli po cichu prowadzono akcję rozprowadzania na zasiedlonych światach lakońskich biurokratów, rozmieszczania nowego poziomu

infrastruktury bez rozgłosu lub ostrzeżenia, to właśnie na to wyglądało. Jeden oficer polityczny lecący na Ziemię stanowił okazję, dwóch oficerów wysyłanych na placówki w Sol i Auberonie stanowiło zagrożenie. Nowy lakoński mandaryn umieszczony potajemnie, by miał oko na punkt transferowy, stanowił eskalację. Jeśli Lakonia będzie kontynuować trend i rozmieści oficerów na samych statkach, będzie to oznaczało koniec gry w trzy kubki.

Przeglądała dane, szukając informacji sugerujących, że mogła się mylić. Gdzie jej interpretacja mogła być błędna lub do tych samych danych można było dopasować inną. Sięgała po nadzieję, tak samo jak pacjent trzymający rękę lekarza mógł pytać: „ale to może nie być śmiertelne, prawda?”.

Emma przyjęła jej połączenie niemal natychmiast po wybraniu.

– Muszę wysłać wiadomość – oznajmiła Naomi.

– Gdzie? – Emma zapytała przez szum głosów.

– Do góry. Mam powiedzieć imię?

Emma milczała przez chwilę.

– Trafisz na mostek? – zapytała w końcu.

– Spotkamy się na miejscu – rzuciła Naomi i się rozłączyła.

Przemieszczała się przez statek szybciej, gdy jej umysł pochłonięty był czymś innym. Jakby ciało uwolnione od myślenia o jej miejscu w rytmie statku znajdowało je automatycznie. Mijając pokłady, skomponowała w głowie wiadomość. Dobierała słowa tak, by jednoznacznie przekazać Sabie sytuację, równocześnie czyniąc przekaz niejasnym dla kogokolwiek, kto przejąłby więzkę kierunkową tutaj lub przy przekaźnikach umożliwiających łączność przez wrota pomimo interferencji.

Usłyszała głos Emmy, zanim dotarła na mostek. Mówiła wysokim, ostrym tonem. Naomi wciągnęła się na pokład i złapała uchwyt, żeby się zatrzymać. Emma unosiła się w powietrzu przy stanowisku łączności ze złożonymi rękami i wysuniętą szczęką. Mężczyzna z przeplataną siwizną brodą dłuższą od krótko ściętych włosów spojrział na Naomi tylko na tyle, by ją rozpoznać, a potem z niesmakiem skierował wzrok z powrotem na Emmę. Mundur jednoznacznie świadczył o tym, że to kapitan Burnham. Technik

łączności siedział między nimi skulony jak mysz między dwoma kotami.

– Wcześniej odpowiedź brzmiała: nie – powiedział Burnham, a potem ruchem głowy wskazał Naomi. – Teraz, gdy ona weszła na mój pokład, odpowiedź brzmi: pierdol się.

– To drobiazg – poprosiła Emma. – Pięć minut wiązki kierunkowej do Medyny? Nikt nawet nie mrugnie na to okiem. Drobnostka.

– To już za wiele. – Odwrócił się do Naomi. – Ty się nie odzywaj. Wiem, kim i czym jesteś, a mojej nieproszonej gościnności udzieliłem ci z pierdolonej babcinej dobroci serca.

– Ma pan do ukrycia tyle samo, co ona – rzuciła Emma. – Wszyscy wiedzą o zapieczętowanych kabinach.

Technik przy konsoli zapadł się głębiej w żel pryczy, jakby mógł się w nim całkiem zatopić. Naomi popatrzyła na kapitana *Bhikaji Camy* z całym spokojem i godnością, na jakie mogła się zdobyć.

– Rozumiem, że moja obecność naraża pana i pańskich ludzi na większe zagrożenie. Nie zdecydowałabym się na to, gdyby istniał lepszy sposób, ale go nie było. Gdyby wszystko poszło tak, jak planowałam, w ogóle nie wiedziałby pan o mojej obecności, ale stało się inaczej. A teraz potrzebuję pięciu minut z pańską wiązką kierunkową.

Burnham uniósł ręce wewnątrz dłoni w jej stronę. Stop.

– Proszę pani, nie jestem partyzantem, ale wiem, że do ruchu należy duża część mojej załogi. Jestem człowiekiem, który woli się nie odzywać i nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Nie zamierzam wydać pani oficerowi politycznemu, ale proszę tego nie mylić z lojalnością. Próbuję wydostać swój tyłek z dziury i z każdą chwilą jestem coraz bardziej przekonany, że zamknięcie pani w kabinie i zaspawanie drzwi mogłoby być rozwiązaniem znacznie lepszym od tego, na które się zdecydowałem.

– To ważne – nie ustępowała Naomi.

– To mój statek. Odpowiedź brzmi: nie.

Miał twarde spojrzenie, ale dostrzegła w nim więcej strachu niż złości. Naomi czekała jeszcze chwilę na to, co powie jej intuicja.

Napierać czy ustąpić? Emma westchnęła, a kapitańska broda poruszyła się, gdy mocniej zacisnął zęby.

– Rozumiem – powiedziała Naomi. Na ułamek sekundy spojrzała w oczy Emmie, a potem razem opuściły mostek.

Emma złościła się w ciszy, aż dotarły do szybu windy.

– Przepraszam – odezwała się Emma. – To dupek.

– Ja faktycznie ukryłam się na jego statku i naraziłam go na lakońską salę przesłuchań – przyznała Naomi. – Oczekiwanie, że do tego zechce słuchać moich rozkazów, mogło być przesadą. Znajdę inny sposób.

– Mogę pomóc odpakować jedną z tych torped łącznościowych – zaproponowała Emma. Jej ton uczynił z tych słów przeprosiny.

– Wolałabym raczej znaleźć inny sposób na skorzystanie z wiązki kierunkowej. Czas może mieć znaczenie. Ale musisz być ostrożniejsza, Emmo.

– On nie ustąpi – odpowiedziała kobieta. – Latam z nim dość długo, by wiedzieć, kiedy się zapiera. Jest takie coś, co robi z wargami. W sumie dzięki temu ogrywam go w pokera.

– Nie o to mi chodziło – stwierdziła Naomi. – Powiedziałaś, że chodzi o pięć minut rozmowy z Medyną.

– I tak dowiedzieliby się, gdzie poszła ta wiadomość – odparła Emma. – Musieliby.

– Nie wiedziałam, że Saba jest na Medynie, a teraz już wiem – powiedziała Naomi. – Jeśli teraz mnie złapią, to go narazi.

Emma mocno zacisnęła wargi.

– Przepraszam. Założyłam, że... Przepraszam.

– Powiemy mu. Z pewnością ma plany na zmianę miejsca, jeśli będzie to potrzebne.

Emma przytaknęła, a potem rzuciła pod nosem „kurwa”. Nawet myśląc o innych sposobach zdobycia dostępu do łączności, Naomi poświęciła chwilę na współczucie dla niej.

Terminal ręczny Emmy odezwał się w tej samej chwili co jej. Kolejny sygnał dobiegł z głębi korytarza. Komunikat przekazywany do całej załogi. Albo coś większego. Naomi stuknęła w okienko powiadomienia.

WSZYSTKIE STATKI ZWIĄZKU: NAJWYŻSZY PRIORYTET. CAŁY RUCH PRZEZ WSZYSTKIE WROTA ZOSTAJE ZAWIESZONY NA ROZKAZ DOWÓDZTWA FLOTY LAKONII. ŻADEN STATEK NIE MA PRAWA PRZELECIEĆ PRZEZ ŻADNE WROTA DO CZASU ODWOŁANIA ZAKAZU. WSTRZYMUJE SIĘ WSZYSTKIE PRZEJŚCIA. WSZYSTKIE JEDNOSTKI W KORYTARZACH WEJŚCIOWYCH MAJĄ NATYCHMIAST ZWOLNIĆ KORYTARZ NA ODLEGŁOŚĆ 0,8 JA.

Emma szybko przerzucała dane, przeskakując między interfejsami z takim skupieniem na terminalu, że nawet nie zauważyła, że zaczyna dryfować. Naomi złapała ją za łokieć i przyciągnęła do ściany.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie wiem – odpowiedziała Emma, kręcąc głową. – Coś dużego.

Rozdział dziewiętnasty

Elvi

Ucieczka z układu Tacomy z ostrym ciągiem był przedsmakiem piekła. Otaczająca ją prycza przeciążeniowa była ciasna jak trumna, płyn oddechowy gęstniał w gardle. Próbowwała przekonywać się, że to jak bycie we śnie, w którym nigdy nie mogła utonąć, ale co kilka minut doznawała w głębi głowy ataków zwierzęcej paniki. Przez większość ewolucyjnej historii ludzkości płyn w gardle, którego nie można się pozbyć, byłby ostatnim doznaniem człowieka przed śmiercią w cierpieniu. Trudno było przekonać mózdzek, że tym razem jest inaczej.

O dziwo, monitor dawał obraz ostrzejszy i łatwiejszy do oglądania niż zwykle. Musiało to mieć jakiś związek z brakiem rozpraszania światła przez płyn. Albo stanowiło to dowód na to, że powinna się zainteresować skorygowaniem wzroku, choć nie wiedziała, która z tych opcji jest prawdziwa. W każdym razie mogła śledzić postępy statku uciekającego szaleńczo do pierścienia oraz dane przesyłane przez sondy. W układzie nie ustawała generacja magicznych protonów, a wirowanie gwiazdy Tecomy i jej pola magnetyczne ściągały część nowej materii w jarzący się dysk akrecyjny. Było to prawie piękne, poza tą częścią, w której gwiazda zapadnie się w czarną dziurę i wygeneruje rozbłysk gamma, który zabije ich z szybkością strzału neutronowego.

Dzięki regulowanej pływalności w zbiorniku ciąg odczuwała nie tyle jako dociskanie do powierzchni, ile jako ściskanie w potężnej,

niewidzialnej pięści. Wyświetlane na czerwono dane lotu nieustannie przypominały jej o tym, w jak wyjątkowym stanie się znajduje. Przeżycie długotrwałego lotu z przyśpieszeniem trzydziestu g w konwencjonalnej pryczy przeciążeniowej było równie prawdopodobne, jak przeżycie swobodnego spadku z orbity na stertę noży.

Gdy dotarli do środkowego punktu lotu, *Jastrząb* wyłączył silnik, wykonał obrót i po niecałej minucie zaczął hamowanie. Elvi doświadczyła wtedy tylko chwilowego zawrotu głowy i rozkwitu czarnych plam przed oczami, które szybko się rozeszły. Znowu obudziła się w niej zwierzęca panika i zwalczyła ją z trudem.

WCALE NIE PODOBA MI SIĘ TO DOŚWIADCZENIE, napisała do Fayeza. Strasznie przeszkadzało jej, że nie może tego powiedzieć ani usłyszeć jego głosu.

Po chwili dostała od niego odpowiedź.

WIEM. NIE POTRAFIĘ SIĘ ZDECYDOWAĆ, CZY CZUJĘ PANIKĘ, CZY ZNUDZENIE. B. NIETYPOWE. CZYTAŁEM WYTYCZNE DOT. BEZPIECZEŃSTWA. OKAZUJE SIĘ, ŻE MĘŻCZYZKOM ZDECYDOWANIE ODRADZA SIĘ MASTURBACJĘ W ŻELU PODCZAS LOTU Z DUŻYM PRZYŚPIESZENIEM. CIEKAW JESTEM, JAK WYGLĄDAŁY TESTY.

Płyn bardzo utrudniał śmiech. Jej mąż mógł nie być dobrą partią dla nikogo oprócz niej, ale dla niej był doskonały.

Po wielu godzinach przelecieli przez pierścień wrót do tego, co wszyscy wciąż nazywali powolną strefą. *Jastrzębiem* szarpnęło, gdy silniki manewrowe odsunęły ich z geometrycznej linii zdefiniowanej przez wrota i gwiazdę. W idealnych warunkach prycza przeszłaby przez trzy zestawy coraz rzadszego płynu, zanim w końcu by go odsączyła, ale Elvi miała już dość. Wybrała z menu systemu NATYCHMIASTOWE ZWOLNIENIE, potwierdziła wybór i usłyszała głębokie dudnienie pompy odciągającej płyn i wtłaczającej na jego miejsce powietrze wzbogacone w tlen. Pewnie przez kilka godzin będzie się dławić, kaszleć i czuć tak, jakby miała zapalenie oskrzeli, ale miała już serdecznie dość.

Admirał Sagale najwyraźniej też, bo kiedy strzeliły zamki pryczy i pokrywa się uniosła, pierwszym usłyszonym przez nią dźwiękiem był jego głos.

– ...do natychmiastowej ewakuacji. Mamy dane, których osobiście domagał się wysoki konsul.

Elvi wypchnęła się z miejsca. Mięśnie bolały ją tak, jakby ktoś pobił ją młotem. Przeleciała na mostek. Zatrzymaniu się przy uchwycie towarzyszyło wrażenie, jakby wyginała stawy w ręce w niewłaściwą stronę. Prycza Sagale znajdowała się w otwartej konfiguracji, choć do jego włosów i ręki wciąż przywierała warstwa żelu. Woń była zbyt złożona, by potrafiła ją zinterpretować. Mózg wciąż sięgał po porównania, a potem wszystkie odrzucał – galaretka winogronowa, cynamon, ocet, gałka muszkatołowa – wciąż i wciąż na nowo. Z tyłu jęknął Fayez. Sagale spojrział na nich, marszcząc brwi.

– Nie powinna pani opuszczać pryczy, major Okoye – powiedział, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, zrobił to kanał łączności.

– Pańskie żądanie zostało przyjęte – rozległ się znajomy głos. Elvi wiedziała, że powinna go rozpoznać, ale przedłużone wysokie ciśnienie musiało na nią wpłynąć bardziej, niż sądziła. – Zrobię, co w mojej mocy.

– Gubernator Song – oświadczył Sagale. – *Jastrząb* wypełnia misję naukową o kluczowym znaczeniu dla imperium. Jeśli robiliśmy wszystko, co możliwe, żeby zginąć tu, czekając w kolejce...

Elvi wreszcie skojarzyła. Jae-Eun Song. Gubernator stacji Medyna. Często o niej słyszała, choć nigdy się nie spotkały.

– Admirale Sagale – odpowiedziała kobieta. Dziwne było znajdować się na tyle blisko innego statku, że opóźnienie światła pozwoliło jej na przerwanie mu. – Nie miałam żadnych ostrzeżeń w tej sprawie. Miałam w strefie sześćdziesiąt cztery statki, włącznie z Medyną i *Tajfunem*. Zdołałam zmniejszyć tę liczbę do dwudziestu ośmiu nawet pomimo tego, że wleciał pan w moje wrota na wariata i zepsuł mi kolejkę. Może pan dać moim ludziom dziesięć minut na ponowne przeliczenie wszystkiego.

Wyraz twarzy Sagale'a uplasował się gdzieś między irytacją a furją, ale odpowiedział profesjonalnym głosem.

– Zrozumiano, gubernator. Nie chciałem pani deptać po palcach. – Wyłączył mikrofon gestem podobnym do uderzenia.

– Co... – zaczęła Elvi, a potem zapała się i wykaszała spory zgęstek płynu oddechowego. Obok niej pojawił się Fayez z ręcznikiem. Splunęła na niego. – Co się dzieje?

Sagale przełączył główny monitor w tryb holograficzny. Stacja obcych wisiała dokładnie pośrodku tysiąca trzystu siedemdziesięciu trzech wrót rozmieszczonych równomiernie na powierzchni kuli, na zewnątrz której nie było nic. Ikony oznaczały dawny statek pokoleniowy, będący najstarszą stacją w przestrzeni między światami, oraz lakoński pancernik klasy *Magnetar*, będący tu najnowszym dodatkiem. Oprócz nich różnorodne statki w przestrzeni niewiele mniejszej od słońca Ziemi. Gdyby ikony miały właściwą skalę, byłyby mniejsze od pyłków kurzu. Mniej niż setka baniek powietrza w przestrzeni o objętości miliona Ziemi.

– Zgodnie z moimi zaleceniami gubernator Song próbuje ewakuować przestrzeń wrót – wyjaśnił Sagale. – Stara się też przesunąć Medynę dalej od wiązki na wypadek, gdyby promień gamma rzeczywiście przeleciał przez wrota Tecomy, ale przygotowanie stacji okazało się trudne, ponieważ wymaga zatrzymania wirującego cylindra i włączenia silników nieużywanych od dziesięcioleci. W tej sytuacji poprosiłem o priorytetowy przelot do Lakonii.

– I? – zapytał Fayez.

– Jej ludzie prowadzą obliczenia. – Sagale wypowiedział każde z tych słów osobno, z naciskiem. Bał się. Miał do tego prawo.

Ona też się bała.

– Gdzie jest Jen? – spytała. Poczowała ostry ból w piersi. Uwolniła się kolejna porcja płynu.

– Pozostali są uśpieni – wyjaśnił Sagale. – Nie było powodu ich budzić.

– Mogłaby monitorować dane docierające z Tecomy – zasugerował Fayez. – To znaczy mogę się im przyjrzeć, ale to Jen tak naprawdę je

rozumie.

– Wolę się raczej skupić na utrzymaniu jej przy życiu, żeby mogła je przeanalizować później.

– To trafi w stację, prawda? – zapytała Elvi. – Gwiazda, wrota i stacja obcych, która kieruje przestrzenią wrót. Wszystko jest w jednej linii.

– Tak – potwierdził Sagale.

Fayez uniósł rękę nad głowę, jak dziecko w szkolnej sali.

– Uch. Mogę prosić o wyjaśnienie? Czy naprawdę chcemy przelecieć tuż przed tym, jak do tego dojdzie? Bo jeśli dobrze pamiętam, to całym powodem trzymania tutaj okrętu klasy *Magnetar* jest fakt, że uderzenie tej małej kulki dużą dawką energii generuje wykładniczo silniejsze emisje promieniowania gamma ze wszystkich wrót.

– Owszem, mogliśmy używać tego efektu do bronięcia równocześnie wszystkich bram – zgodził się Sagale. – Strategia dział na urwisku.

– A czy nie chcemy być po tej stronie tych dział, kiedy wystrzelą? – Fayez mówił za szybko. Elvi ujęła jego dłoń i ścisnęła palce w nadziei, że go to uspokoi. – Pytam tylko, bo sytuacja, w której pędzimy w bezpieczne miejsce tylko po to, żeby chwilę potem dać się ugotować, wydaje się nieprzyjemna.

– To skalkulowane ryzyko – przyznał Sagale. – Nie jesteśmy pewni, czy stacja przeżyje uderzenie. Albo co się stanie, jeśli go nie przetrwa.

Przyglądała się, jak w oczach męża rozkwitają nowe scenariusze katastrof. Stacja może ulec zniszczeniu. Powolna strefa może się rozpaść. Aż do tej chwili było to nie do pomyślenia.

– Dobrze, w porządku – rzucił Fayez. – Słuszna uwaga.

Z konsoli łączności dobiegł głos gubernator Song.

– Admirale Sagale?

– Tak? – odpowiedział admirał, a potem przypomniał sobie o wyłączonym mikrofonie. Włączył go z powrotem. – Tak, pani gubernator. Jestem.

– Ustawiliśmy *Jastrzębia* do priorytetowego przelotu przez wrota Lakonii. Przesyłam panu dane kontroli ruchu. Proszę się trzymać wyznaczonych parametrów. Trzymamy się granicy najbliżej, jak to możliwe, nie chcę, żeby ktoś nam zaginął.

Sagale lekko obrócił głowę, jakby ta myśl go zaskoczyła. Odpowiedział czystym i wyraźnym głosem:

– Rozumiem. Dziękuję, Jae-Eun.

– Jeśli to przeżyjemy, będziesz mi winien drinka – odpowiedziała gubernator stacji Medyna. – Statek przed tobą to *Równina Jordan* lecący przez wrota Kastylia. Monitoruj go i dopasuj przelot do swojego planu. Powodzenia, Mehmet.

Sagale skupił uwagę na panelu sterowania i chwilę później rozległo się ostrzeżenie o ciężeniu. Choć nie mógł go usłyszeć nikt inny na statku. Elvi musiała stłumić ochotę wykrzyczenia rozkazu ratunkowej ewakuacji i pozwolić innym statkom znaleźć własny sposób na zapewnienie bezpieczeństwa.

– Ile mamy czasu? – zapytała, a potem się roześmiała. Zabrzmiało to tak, jakby pytała, ile jeszcze pożyją, a ponieważ częściowo faktycznie tak było, uznała to za zabawne. Sagale nie przyłączył się do śmiechu.

– Przez chwilę będziemy lecieć z jedną czwartą g, jeśli chcecie rozprostować nogi – powiedział. – Potem musicie wrócić do prycz. Po przelocie przez wrota wykonam ostry zwrot i polecę prostopadle do pierścienia, żeby nas od niego oddalić.

– Na wypadek emisji – skomentował Fayez.

– Z nadmiaru ostrożności – rzucił Sagale.

Przetarł oczy wierzchem dłoni, a do Elvi dotarło, że pomimo okazywanego przez niego stoickiego spokoju admirał płacze. Włączył się silnik i opadła na pokład. Fayez położył dłoń na jej ramieniu i pociągnął ją za sobą.

– To nie wygląda dobrze – skomentował cicho.

– Wiem.

Kiwnął głową.

– Po prostu czułem, że muszę to powiedzieć na głos.

Wzięła jego dłoń i pocałowała ją. Wciąż pachniała płynem do oddychania.

– Jeśli to wszystko, co dostaniemy... No cóż, to tyle.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, skarbie – powiedział i ją objął. – To wszystko naprawdę było koszmarem, prawda?

– Nie dało się tego przewidzieć – stwierdziła. – No wiesz, chyba że...

Coś obudziło się w głębi jej umysłu. Coś na temat okrętów klasy *Magnetar* i tego, jak *Serce nawałnicy* zniszczyło działa szynowe na stacji obcych podczas wtargnięcia Lakonii w tę przestrzeń. Jak zniszczył stację Pallas. Odmienna reakcja przeciwnika.

– Myślisz o czymś – skomentował Favez. – Słyszę, jak obracają się przekładnie.

– Jeszcze nie wiem o czym – powiedziała – ale tak, myślę.

Z mostka dobiegł nowy głos. Na panelu Sagale wciąż był aktywny kanał łączności. „Mówi *Równina Jordanu*, potwierdzam przejście za dwie minuty. Bez możliwości odwołania za dziesięć sekund”.

Odpowiedział inny głos. „Mówi kontrola ruchu Medyny. Masz zgodę na przejście”. Sagale mamrotał coś pod nosem. Mogły to być przekleństwa, mogła to być modlitwa. Ekran holograficzny wyświetlał pojedynczą czerwoną plamkę w przestrzeni sunącą w stronę maleńkich białych wrót.

– Lepiej wróćmy do naszych puszek – powiedział Favez.

– Tak – zgodziła się Elvi, ale się nie poruszyła. Jeszcze chwila. – To wszystko zostało zaprojektowane, prawda? Układ Tecomy zaprojektowano. Żeby... zrobił właśnie to?

Favez przesunął dłonią po jej włosach. Płyn wysechł już na tyle, by się kleić, ale i tak poczuła się przyjemnie z tym gestem.

– Elvi, jesteś światłem mojej duszy. Kobieta, którą kocham i znam lepiej niż kogokolwiek innego, nie mogę też przejść przez dzień, nie myśląc się gruntownie co do tego, co powiesz, albo czego będziesz chciała. Inżynierowie protomolekuły byli jakiegoś rodzaju wysokoenergetycznymi istotami korzystającymi ze splątania kwantowego do pracy swojego umysłu zbiorowego, więc nie wiem, o czym myśleli.

– Nie – zaprotestowała Elvi, ruszając z powrotem do swojej pryczy w łagodnej jednej czwartej standardowego ciążenia. – To zaprojektowano. Taki był *zamiar*.

– Czy to nam w czymś pomoże? – zapytał. – Bo byłoby świetnie, ale chwilowo nie widzę, jak miałyby nam to pomóc.

„Mówi *Równina Jordanu*, przesyłam nasz status. Podchodzimy do...”.

Ekran zamigotał i rzucił kod błędu. Światła zgasły i zniknęło ciążenie.

– Zaczepić się! – krzyknął z ciemności Sagale.

Elvi wyciągnęła rękę w mrok, próbując znaleźć ścianę i uchwyt.

– Co się stało?

Niepewnie włączyły się światła awaryjne.

– Przeciążenie czujników – wyjaśnił drżącym głosem Sagale. – Właśnie się resetują. Muszę nas zatrzymać, aż będziemy mogli...

Nie dokończył tej myśli. Uchwyt zabrzączał cicho wibracją silników manewrowych i *Jastrząb* okręcił się wokół niej, odrywając jej stopy od pokładu. Fayez pomógł jej odzyskać orientację, a chwilę później rozległo się ostrzeżenie o ciążeniu i powrócił dół. Ekran holograficzny zadziałał ponownie z wyświetlonym na brzegu ostrzeżeniem: BRAK DANYCH – WYŁĄCZNIK SZACUNKOWE POZYCJE. Sagale na kilka sekund zwiększył ciąg i wszyscy poczuli się tak, jakby znaleźli się w windzie startującej z impetem w górę. Potem wyłączył silniki i Elvi znowu podryfowała do góry.

Cała trójka przez dłuższą chwilę milczała, czekając na obudzenie się zapasowych zestawów czujników. Konsola łączności kliknęła, zatrzeszczała dziwną, pulsującą statyką i wypełniła się zgiełkiem spanikowanych ludzkich głosów. Sagale wyłączył kanał i otworzył prywatne połączenie.

– Stacja Medyna, mówi admirał Sagale z *Jastrzębia*. Proszę o raport.

Elvi podciągnęła się do stanowiska Travona. Nie wiedziała, czy statek faktycznie potrzebował sekundy dłużej niż zwykle na rozpoznanie jej i wyświetlenie danych na monitorze, czy po prostu adrenalina wpływała na jej postrzeganie czasu. Główne zestawy

czujników były zniszczone, wypalone w ułamku sekundy. Systemy zapasowe powoli budziły się do życia. Kamery i teleskopy na całym *Jastrzębiu* opuszczały skrytki osłonięte przed promieniowaniem i zajmowały pozycje na zewnątrz kadłuba. Uszkodzeniu uległo więcej, niż się spodziewała, ale nie wszystkie. Otworzyła okno i wyświetliła na swoim ekranie dane z powłoki *Jastrzębia*, a w ciemności pojawiło się światło.

– *Jastrząb*, mówi gubernator Song – rozległ się kobiecy głos drżący jak struna. – Doznaliśmy uszkodzeń statku i strat w załodze. Wciąż oceniamy zniszczenia.

Przestrzeń między pierścieniami wypełniała biel. Stacja w centrum – stacja kontrolna obcych, która niosła ze sobą pierścienie jak środek dmuchawca otoczony nasionami – była jaśniejsza od słońca. Jakaś chmura pyłu – lub rzadki jak mgławica gaz – chwytala to światło i migotała. Było wszędzie. Było piękne. I przerażające.

– Wszystko będzie dobrze, pani gubernator. – Sagale powiedział to tonem, przy którym prawie wydawało się to możliwe. – Muszę poznać status *Równiny Jordanu*. Dokonała przejścia?

– Mehmet, ja nie...

– To ważne. Czy statek przeleciał przez wrota?

Od kiedy zobaczyła ją pierwszy raz – od kiedy ktokolwiek ją zobaczył – granica przestrzeni wrót była ciemną i niewidoczną sferą, jak czarna bańka widziana od środka. Teraz było na niej widać powykręcaną tęczę energii lub materii, jak warstewkę oleju na wodzie. Jej czerń zawsze dotąd pozwalała Elvi wyobrażać sobie, że jest nieskończona. Bezkresne, bezgwiazdne niebo. Teraz wydawała się ciasna i skończona. Wszystko wydawało się przy tym bardziej kruche. Przez skraj jej świadomości przetoczyła się fala mdłości, jakby należała do cudzego ciała.

– Nie – odpowiedziała gubernator Song. – Byli za blisko wrót, żeby się cofnąć po dotarciu uderzenia. Energia z wrót *Tecomy*... Nie przelecieli.

– Proszę o potwierdzenie, Medyna. Mówisz, że *Równina Jordanu* zaginęła.

– Tak. Straciliśmy ich.

– Dziękuję, Medyna. Proszę poinformować kontrolę ruchu, że wszystkie przejścia zostają zawieszane do czasu wydania nowych rozkazów. Nikt nie wlatuje do tej przestrzeni, nikt nie wylatuje. Aż do odwołania.

Fayez, siedzący po lewej, przy stanowisku Jen, widział – jak sądziła – to samo, co ona. Odczuwał jakąś wersję zachwytu, przerażenia i zdumienia, podobnie jak ona.

– Zrozumiano – odpowiedziała gubernator Song. – Dopilnuję tego.

– Dziękuję, Jae-Eun. Mamy pracę do wykonania. Będziemy potrzebować raportów z innych układów. Zgaduję, że po drugiej stronie wrót też będą pewne zniszczenia. Może minąć trochę czasu, zanim...

– Wrota się przemieściły – powiedział Fayez takim samym tonem, jakim dzielił się błahostkami. Pranie wyszło. Kolacja gotowa. Wrota się przemieściły.

– Co? – zapytał Sagale.

– Tak – potwierdził Fayez. – Nie dużo, ale wyraźnie. I to wszystkie. Proszę spojrzeć.

Sagale przełączył główny ekran. Rozkwitła na nim powolna strefa, z korektami na wszystkich wrotach. Wszystkie statki były na miejscu, wszystkie pasujące do oczekiwanych wektorów i pozycji, ale przy wrotach wyświetlane były małe żółte kody błędów, pokazujące, gdzie powinny się znajdować i gdzie były zamiast tego. Twarz Sagale zrobiła się całkiem biała. Elvi zaczęła się zastanawiać, ile wstrząsów zdoła jeszcze przyjąć. Albo, skoro już o tym mowa, ile ona wytrzyma.

– No tak – rzucił Fayez. – Chyba już wiem, co się dzieje. Po prostu zmieniły ułożenie, bo teraz nie ma ich już tyle co wcześniej. Równe odległości między nimi zrobiły się trochę większe. Wrota Tecomy zniknęły. I... no właśnie. Spójrzcie na to. Wrota Thanjavur były praktycznie naprzeciw nich i one też przepadły. Właśnie straciliśmy dwoje wrót, admirały. A za jednym z nich był świat pełen ludzi.

Rozdział dwudziesty

Teresa

Wystawę naukową urządzono w jednej z ogólnodostępnych sal i otaczających ją korytarzach. Sklepiony sufit sprawiał, że sala wyglądała na coś raczej wyhodowanego niż zbudowanego, a kontrola akustyczna stłumiła to, co byłoby przemożnym zgiełkiem głosów i hałasu, do poziomu spokojnego i uspokajającego szmeru. Około tysiąca dzieci w wieku od pięciu do szesnastu lat biegało, rozmawiało i zbierało się w grupy, spotykając się głównie ze znajomymi chodzącymi do tych samych szkół, z których przybyli.

Wszystkie publiczne szkoły miały własne stanowiska w korytarzu i każda prezentowała tematykę, którą uczniowie zajmowali się przez ostatni rok, oraz jaki wkład wniesie to do ogólnego rozwoju imperium. Niektóre, jak demonstracja cyklu wodnego, były proste, przeznaczone dla najmłodszych dzieci, inne, jak las życia porównujący różne ekosystemy nowych światów i stacja programowanej materii prezentująca najnowsze osiągnięcia naukowe z Bara Gaon, były na tyle zaawansowane, by zainteresować nawet ją.

I był tam Connor.

W miarę jak mijały dni, stwierdziła, że wspomnienie o związku Connora i Muriel z wolna staje się coraz mniej drażniące. Nie bezbolesne. Obraz ich pocałunku – który oczyma duszy widziała wyjątkowo wyraźnie jak na coś, czego nie zobaczyła – wciąż nie dawał jej spokoju, kiedy więc Connor kiwnął jej głową przy

spotkaniu i spróbował się do niej uśmiechnąć, nie wiedziała, jak to potraktować. Czy wciąż ją lubił? Czy próbował jej powiedzieć, że związek z Muriel był błędem, czy też cieszył się, że wciąż są przyjaciółmi? Nie była pewna, na którą opcję miała nadzieję. Albo czy w ogóle miała nadzieję na którąś z nich. Connor był strasznie skomplikowany. Muriel i pozostali ze szkoły urządzili stanowisko na temat badania gleby oraz sposobów projektowania mikroobów, które mogły przekazywać substancje odżywcze między organizmami z różnych biomów, a Teresa, technicznie rzecz biorąc, powinna być z nimi. Ale nie chciała tam być i, prawdę mówiąc, mogła iść, gdzie tylko zapragnęła. Przecież nikt nie powie, że jej nie wolno.

Tak więc, zamiast siedzieć z nimi, poszła do stanowiska z zagadkami, gdzie młodsze dzieci używały klocków w próbach odtworzenia zadanych kształtów i kłóciły się na temat sposobu dopasowania kół do kwadratów albo budowania złożonych struktur trzymających się tylko dzięki ciężeni i tarciu. Kiedy była młodsza, rozwiązała te wszystkie zagadki po tysiąc razy. Chodziła między nimi, chwalać i podsuwając sugestie sfrustrowanym, zastanawiając się przy tym, czy Connor przyjdzie tu za nią.

Mała dziewczynka – mogła mieć sześć albo siedem lat – siedziała samotnie przy jednym ze stołów, marszcząc czoło. Teresa usiadła naprzeciw niej, bo z tego miejsca widziała okolicę, w której mógł się pojawić Connor.

Dziewczynka popatrzyła na Teresę i jakby zebrała się w sobie. Kiedy się odezwała, zrobiła to ze sztywną formalnością kogoś przeszkolonego w tym, co i w jaki sposób ma mówić.

- Dzień dobry. Nazywam się Elsa Singh. Miło mi cię poznać.
- Jestem Teresa Duarte – przedstawiła się Teresa.
- Jesteś nauczycielką? – zapytała Elsa.
- Nie, mieszkam tu.
- Nikt nie chce się ze mną bawić – wyznała Elsa, krzywiąc się.
- Mogę cię czegoś nauczyć, jeśli chcesz.
- Dobrze – zgodziła się Elsa i zdawało się, że głębiej zapadła się w swoje małe drewniane krzeselko.

Teresa zerknęła w stronę szkolnej ekspozycji. Muriel rozmawiała z Connorem, i to ona była aktywniejsza, szybko poruszała ustami, jakby walczyła o zachowanie jego uwagi. Ze zdziwieniem Teresa poczuła lekkie współczucie dla dziewczyny. Gdyby Connor przekonał Muriel do wyobcowania Teresy Duarte, córki wysokiego konsula i może któregoś dnia władczyni imperium Iakońskiego, a potem ją porzucił, byłoby to bardzo wredne. Ale i skuteczne, bo ból minąłby równie szybko, jak by się pojawił. Muriel mogła sama radzić sobie ze swoimi błędami.

– No dobrze, Elso – powiedziała, skupiając się na dziecku. Wyciągnęła swój terminal. – Nazywa się to dylematem więźnia. Zobacz...

Teresa narysowała tabelę taką jak ta przygotowana przez Ilicha, wyjaśniła zasady – każdy gracz może zdecydować się na współpracę lub zdradę, każdy odniesie większe korzyści, jeśli zdradzi, ale na dłuższą metę lepiej im będzie współpracować. Elsa uśmiechała się, tylko lekko zainteresowana, ale gotowa się zaangażować.

Connor zaczął odrywać się od grupy wraz z przybyciem nowych uczestników, przechodzących przez salę z zachwytem i jazgotem. Na chwilę zniknął w zalewie ludzi, ale zauważyła mignięcie jego brązowych włosów. Miała wrażenie, że idzie w jej stronę. Jej serce przyspieszyło. Nie była pewna, czy bardziej martwi się, że ją znajdzie, czy że mu się to nie uda.

Grała w grę z dziewczynką, udając, że angażuje się w to bardziej niż w obserwację strumienia ludzi nad ramieniem Elsy. Obie współpracowały przez kilka rund, a potem, gdy Teresa uznała, że czas na lekcję wet za wet, zdradziła. Elsa popatrzyła na ekran z wynikami, jakby nie miały żadnego sensu.

– Zobacz – powiedziała Teresa. – Rzecz w tym, że kiedy ktoś zdradzi w taki sposób, musisz zdecydować, co...

– Oszukałaś! – Głos dziewczynki był więcej niż głośny, był krzykiem furii. Jej twarz wykrzywiła się ze złości, ciemniejąc od krwi tuż pod skórą. – Powiedziałaś, że powinniśmy być miłe!

– Nie – odparła Teresa. – To część lekcji...

– Pieprzę twoją pieprzoną lekcję – rzuciła Elsa.

W ustach takiego dziecka bluzg był jak policzek. Elsa chwyciła terminal i rzuciła go w tłum. Wstała tak gwałtownie, że jej krzeselko się przewróciło, z hałasem padając na podłogę. Zanim Teresa zdążyła zareagować, Elsa rzuciła się na podłogę i zaczęła płakać.

Personel ochrony przedzierał się już przez tłum w ich stronę, ale Teresa odesłała ich gestem. Czowała się uwięziona między chęcią pocieszenia Elsy a pragnieniem odzyskania terminala lub odejściem w zawstydzeniu. Usta Elsy ułożyły się w kwadrat, a jej łkanie znowu zmieniło się w krzyki. Ktoś niedaleko krzyknął „Potworze!” i przez chwilę Teresa sądziła, że chodzi o nią. Potem znalazła się tam kobieta. Starsza, z oczami takiego samego kształtu jak Elsy, o tej samej barwie skóry. Matka zgarnęła dziewczynkę w ramiona, kołysząc ją.

– Wszystko w porządku, potworze – powiedziała matka i łagodnie uciszała dziewczynkę. – Wszystko dobrze. Mama tu jest. Jestem tu z tobą, wszystko będzie dobrze.

Elsa zasłoniła uszy dłońmi, zacisnęła powieki i schowała głowę w objęciach mamy. Matka kołysała ją łagodnie, wydając ciche dźwięki, by ją uspokoić. Teresa zrobiła krok w jej stronę.

– Bardzo przepraszam – odezwała się matka. – Elsa bywa nadpobudliwa. Więcej się to nie powtórzy.

– Nie – odparła Teresa. – To moja wina. Ona była w porządku, to ja zawiniłam. Nie wyjaśniłam jej dość dobrze zasad gry.

Matka uśmiechnęła się i zwróciła uwagę z powrotem na Elbę. Teresa czekała, by matka zaczęła zadawać pytania dziewczynce. „Co się stało, jaki popełniłaś błąd?” albo „Co zrobisz inaczej następnym razem?”. Wszystko to, o co zapytałby ojciec, by to zdarzenie nabrało jakiegoś znaczenia. Ale matka Elsy nie zrobiła niczego takiego, po prostu uspokajała swoją córkę, powtarzając, że wszystko będzie dobrze. Że jest kochana. Teresa przyglądała się temu z uczuciem, którego nie potrafiła rozpoznać.

Nie zauważyła, że pułkownik Ilich podchodzi do niej, aż do chwili, gdy dotknął jej ramienia.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział – ale ojciec chce cię zobaczyć. Teraz, jeśli możesz.

– Oczywiście – odpowiedziała i poszła za nim, zatrzymując się tylko na chwilę, by odebrać swój terminal.

Prywatne biuro ojca było małe. Niewielkie biurko z wbudowanym w powierzchnię monitorem, który mógł wyświetlać w trybie płaskim lub przestrzennym nad blatem. Kiedy weszła, pokazywał schemat powolnej strefy – wrota, stację obcych pośrodku, stację Medyna i kilkadziesiąt statków rozproszonych w siedmiuset pięćdziesięciu trylionach kilometrów sześciennych. W przestrzeni mniejszej od wnętrza gwiazdy. Ojciec siedział nieruchomo jak kamień, wpatrując się w obraz. Wyglądał, jakby w ogóle nie potrzebował oddychać.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Co pamiętasz na temat eksperymentu w układzie Tecoma?

Teresa usiadła na małej kanapie, podwijając nogi pod siebie. Spróbowała przypomnieć sobie wszystko, co mogła, z odpraw naukowych, w których uczestniczyła, ale wszystkie jej myśli przesłaniały płacząca dziewczynka i jej matka.

– To tam robimy pierwszy eksperyment z cyklu wet za wet – powiedziała w końcu. – Żeby sprawdzić, czy z wrogiem da się negocjować. – Nagle wydało się jej złowieszcze, że właśnie odtwarzała dylemat więźnia, co bardzo źle się skończyło.

– Tak. Żeby sprawdzić, czy możemy doprowadzić to coś do zmiany zachowania – potwierdził ojciec, a potem zaśmiał się smutno. – Mamy dobrą i złą wiadomość. – Wskazał monitor, przerzucając raport na jej terminal ręczny. – Przejrzyj to i powiedz, co o tym myślisz.

Teresa otworzyła raport, jakby to był test od pułkownika Ilicha. Ojciec przyglądał się jej, gdy go czytała, przeglądała zestawy danych i próbowała coś z tego zrozumieć. Starła się nie czytać zamieszczonego na końcu podsumowania admirała Sagale, bo było to jak oszukiwanie. Powinna móc wyciągnąć własne wnioski.

A potem dotarła do części raportu, którą musiała przeczytać trzy razy, by się upewnić, że ją zrozumiała. Poczowała, że z twarzy odpływa jej krew.

– Zapadła się... zapadła się w czarną dziurę? Doprowadzili do zapadnięcia się gwiazdy neutronowej w czarną dziurę?

– Tak sądzimy – potwierdził ojciec. – Była precyzyjnie zrównowazona i najwyraźniej utrzymywana w tym stanie w sposób, którego nie rozumiemy. Gdy do gwiazdy dodano więcej masy, wystarczyło to, by przepchnąć ją na drugą stronę. – Położył dłoń na raporcie i popatrzył jej w oczy. – Doktor Okoye i jej zespół dostrzegli wiążące się z tym niebezpieczeństwo. Wiesz, na czym polegało?

– Rozbłysk gamma – odpowiedziała Teresa. – To najbardziej energetyczne z możliwych zdarzeń. Obserwujemy rozbłyski gamma z innych galaktyk.

– Zgadza się – potwierdził, ale ona wciąż nie mogła tego pojąć. – A co pamiętasz o układzie Tecomy?

Nic nie przychodziło jej do głowy. Powinna wiedzieć. Powinna pamiętać.

– Obroty gwiazdy ustawiły bieguny w jednej linii z wrotami – wyjaśnił łagodnie. – Coś takiego nie występuje w żadnym innym zbadanym przez nas układzie.

– Co się stało? – zapytała.

Zabrał dłoń, pozwalając jej czytać dalej.

– Straciliśmy dwa pierścienie wrót?

– Owszem – potwierdził ojciec, jakby to było coś zwyczajnego. – I zarejestrowaliśmy emisję promieniowania gamma od strony Układów Słonecznych ze wszystkich pozostałych pierścieni, tak samo, jak kiedy *Nawałnica* uderzyła w stację obcych w przestrzeni wrót swoim generatorem pola magnetycznego. Oraz...

Wrażenie było takie, jakby usłyszała, że czasami po obudzeniu rano na świecie nie było barw. Że czerwień może zniknąć. Albo brakuje niektórych liczb. Dowiedzenie się, że wrota można zniszczyć, było jak dowiedzenie się, że naruszono jedną z reguł jej wszechświata tak podstawową, że nigdy nawet nie myślała o niej jak o regule. Gdyby powiedział „Tak naprawdę masz dwa ciała” albo „Czasami możesz przechodzić przez ściany” lub „Możesz też oddychać skałami”, uczucie nie byłoby dziwniejsze. Bardziej oszałamiające.

Uniósł brwi. Co jeszcze? Spojrzała na raport. Miała wrażenie, że się trzęsie, ale jej dłonie wyglądały spokojnie. Zajęło jej to tylko kilka sekund.

– Oraz *Równina Jordanu* zaginęła w przelocie – powiedziała. – Straciliśmy statek.

– Tak – potwierdził. – I okazuje się, że to jest kluczowy problem. Musimy teraz podjąć decyzję: co z tym zrobimy?

Teresa pokręciła głową nie w proteście, a próbując oczyścić myśli. Skala zniszczeń była przemożna. Ojciec odchylił się na oparcie fotela i splótł palce.

– To decyzja dotycząca strategii, a takie zawsze są trudne – powiedział – bo może nie być właściwej odpowiedzi. Postaw się na moim miejscu, pomyśl o szerszym obrazie. Nie tylko teraz, nie tylko tutaj, ale wszędzie, gdzie zadomowi się ludzkość. I na zawsze. Jaka byłaby teraz mądra reakcja z mojej strony?

– Nie wiem – odpowiedziała głosem, który nawet dla niej zabrzmiał cienko.

Kiwnął głową.

– W porządku. Pozwól, że zawęzę opcje. Zgodnie z zasadami teorii gier, gdy statek zaginie w przelocie, karzemy naszych przeciwników. To podstawowa przyjęta przeze mnie strategia. A więc w świetle tego, co się stało, trzymamy się tego, czy rezygnujemy?

– Rezygnujemy – odpowiedziała bez wahania Teresa.

Zobaczyła rozczarowanie w oczach ojca, ale go nie zrozumiała. To była oczywista odpowiedź. Odetchnął głęboko i przez chwilę stukał palcami w wargi, zanim się w końcu odezwał.

– Pozwól, że uzupełnię nieco kontekst. Gdy byłaś młoda, doszło do pewnego zdarzenia – powiedział. – Była jeszcze wtedy z nami twoja mama, więc byłaś bardzo mała. Dopiero uczyłaś się mówić. Miałaś swoją ulubioną zabawkę, konika wyrzeźbionego z drewna.

– Nie pamiętam go.

– Nic nie szkodzi. Był taki dzień, gdy potrzebowałaś snu. Byłaś bardzo, bardzo zmęczona i bardzo marudna. Matka próbowała cię nakarmić, jak zwykle przed snem, ale ty wsadziłaś sobie do buzi konika, więc miałaś pełne usta. Mama zabrała ci zabawkę, a ty

dostałaś napadu złości. W tamtym przypadku mieliśmy dwie opcje: nie oddawać ci zabawki, żebyś mogła zrobić to, co było konieczne, albo ją oddać i nauczyć się w ten sposób, że napady złości działają.

Obraz Elsy w ramionach matki pojawił się przed jej oczami, jakby został wyświetlony wprost w mózgu. Czy to wszystko było błędem? Czy matka Elsy, pocieszając córkę, uczyła ją, że nie ma nic złego w krzyczeniu i wywracaniu stołów? Wtedy wcale jej się tak nie wydawało.

– Uważasz, że powinniśmy... wysłać statek z bombą?

– Wet za wet – odpowiedział. – To oznacza zatrzymanie na jakiś czas ruchu przez przestrzeń pierścieni. Brak ewakuacji, żadnych więcej statków do czasu, aż przeprowadzimy eksperyment. Możemy pokazać wrogowi, że jesteśmy zdyscyplinowani, albo że wcale tak nie jest.

– Och – mruknęła Teresa. Nie wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć.

Ojciec przekrzywił głowę. Wciąż mówił łagodnym głosem, prawie perswadując.

– Dlatego właśnie chcę cię mieć ze sobą. Tego rodzaju decyzje muszą podejmować ludzie tacy jak ty i ja. Zwykli ludzie nie muszą. To logika i wizja, której musimy się trzymać. I musimy to robić bezwzględnie. Stawka jest zbyt wysoka na cokolwiek innego.

– Tylko w ten sposób możemy wygrać – skomentowała.

– Nie wiem, czy wygramy – wyznał. – Nigdy tego nie wiedziałem, ale zawsze miałem pewność, że będziemy walczyć. Od chwili, gdy otwarły się wrota, wiedziałem, że przez nie przelecimy. Oraz że mamy duże szanse napotkania tego, co zabiło cywilizację będącą tu przed nami.

– Duchy – powiedziała. – Duchy i kanalizacja z ołowianymi rurami.

Zaśmiał się.

– Ilich znowu opowiadał ci o starożytnym Rzymie. No cóż. Możemy ich nazywać Duchami, jeśli chcesz. Gdy tylko przekonaliśmy się, że coś faktycznie tam jest, wiedzieliśmy, że dojdzie między nami do konfliktu. Wojna jest nieuchronna od

chwili, gdy pojawia się przeciwnik. Nie wiem, czy zdołamy ich pokonać, ale wiem, że jeśli ich pokonamy, to właśnie w ten sposób. Dzięki inteligencji, bezwzględności i niezachwianej determinacji. To nasze jedyne narzędzia, które się liczą.

Teresa przytaknęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Udzieliłam złej odpowiedzi.

– Wiedziałem, że może tak się stać – zapewnił. – Dlatego właśnie cię tu poprosiłem. Z czasem nauczysz się myśleć tak jak ja. Jak być przywódcą, którym nauczyłem się być. Część tego będzie wymagać wysiłku, część przyjdzie naturalnie po prostu w miarę twojego dorastania. A część, jak sądzę, nastąpi, gdy się... przemienisz.

– Przemienisz?

– Przekształcisz. Staniesz się nieśmiertelna. Rozmawiałem z doktorem Cortázarem na temat rozpoczęcia procedury z tobą. Oczywiście będzie to wymagać czasu, ale od kiedy zacząłem zabiegi, tak wiele się nauczyłem. Rzeczy, których nie mogłem wiedzieć, kiedy byłem tylko... chyba tylko człowiekiem.

Ujął jej dłoń. Perłowy poblask w jego oczach i na skórze na chwilę się rozjaśnił. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała głębia, jakby w pokoju nagle pojawiło się echo.

– Widzę teraz tyle rzeczy, których nie dostrzegałem wcześniej. Ty też je zobaczysz.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Elvi

Widziała, jak Sagale szykuje się na jej reakcję. Dostrzegła to w sposobie napięcia szczęki i płaskim spojrzeniu oczu. Jedną stopą zaczepiła się o uchwyt ścienny, dłonią trzymała się innego. Czekwała na pojawienie się oburzenia, zawrotów głowy lub jakiegoś innego fizycznego objawu pasującego do oczekiwań, ale odkryła w sobie tylko ponure rozczarowanie. Spodziewała się złej wiadomości od chwili, gdy wezwał ją do swojego biura. Teraz, gdy reszta załogi została już obudzona i wprowadzona w sytuację, wszystko, co powiedział na mostku, niezależnie od tego jak cicho, rozchodziło się w ciągu kilku minut. Strach miał taki wpływ na ludzi, pobudzał ich do plotek i dzielenia się wiedzą.

– Co będzie, jeśli zaprotestuję przeciwko temu planowi? – zapytała. – Bo oboje wiemy, że jestem temu przeciwna.

– Przekażę to bezpośrednio wysokiemu konsulowi Duarte – wyjaśnił Sagale. – Dla niego jest równie ważne jak dla mnie, by rozumiała pani, jak poważnie traktujemy pani obawy.

– Czy to coś zmieni?

– Szczerze? – rzucił Sagale.

– No żeż kurwa mać. Kolejny statek z bombą? Po tym... – Machnęła wolną ręką w stronę mostka, mając na myśli przestrzeń pierścieni, zniszczone wrota i całą resztę. Miała prawie trzy dni na przyswojenie sobie tego wszystkiego, ale wciąż ją to przerastało. Było zbyt wielkie.

Trzy dni wystarczyły, by Sagale przesłał raport, a Duarte zastanowił się i odpowiedział. Zapewne nie było to dość czasu, by Sagale zaprotestował i został zignorowany. Nawet nie próbował. Poczula rozczarowanie tym faktem.

– Mamy procedurę. Jeśli statek zaginie w przelocie, wysyłamy jednostkę z bombą przez te same wrota. To jedyny sposób na jednoznaczne przekazanie naszej wiadomości.

– A potem zobaczymy, czy stracimy kolejny pierścień albo dwa?

– Odniesione przez nas straty są... znaczące – przyznał Sagale. – Ale zgodnie z przemyślaną opinią wysokiego konsula nie stanowią one oznak eskalacji ze strony przeciwnika.

– Jak w ogóle dotarłeś do takiego wniosku?

Sagale uniósł rękę dłonią na zewnątrz, ale jego złagodzone spojrzenie uczyniło z tego gestu prośbę o wysłuchanie, a nie rozkaz zamknięcia. Elvi złożyła ręce na piersiach i zachęciła go skinieniem.

– Ataki przeprowadzone na nas przez przeciwnika były nieskuteczne w tym, że doprowadziły do nieistotnych strat pierwotnych. Utrata świadomości, której doświadczyliśmy w układzie Sol w chwili zniszczenia Pallas, mogła być zabójcza dla twórców protomolekuły, ale przeciw nam jest w dużym stopniu nieskuteczna. Reakcja w układzie Tecomy byłaby zupełnie do zignorowania w każdym innym układzie. Efekt był... nieszczęśliwy tylko ze względu na warunki tego miejsca, że tak to ujmę, które nie występują w żadnym innym miejscu imperium.

– Czyli po prostu wybrałam zły atol Bikini? – zapytała Elvi.

– Nikt nie obciąża pani odpowiedzialnością za to, co się stało, pani doktor. Nie mogła pani wiedzieć ani trochę bardziej niż my. Jeśli już, to ja popełniłem strategiczny błąd. Zobaczyłem w nieprzyjaznej naturze układu zaletę i przeoczyłem możliwe konsekwencje.

Rozłożył ręce.

– Albo – wtrąciła się Elvi – to była pułapka.

– Nie widzę jak...

– Nie, czekaj. Teraz moja kolej. To, co zobaczyliśmy w układzie Tecomy, nie było ani trochę zbliżone do wcześniejszych interakcji.

Cały czas byliśmy przytomni. To nie zmieniło naszej percepcji ani niczego takiego. Czyli zaszła istotna różnica. A jeśli przyjrzesz się logice tego wszystkiego? Nawet nietrudno to dostrzec.

– Proszę mnie przez nią przeprowadzić.

– Ta gwiazda nie była naturalna, została utworzona. I to z układu, który wyglądał jak Sol. Została wyprodukowana i skierowana na pierścień wrót. Wycelowali ją, jakby powiązali spust strzelby z klamką drzwi. Nasza bomba zrobiła coś, co ją aktywowało. Może skłoniła coś, żeby przyszło i się nam przyjrzało, i to właśnie aktywowało pułapkę. Nie wiem. Ale zbudowano to właśnie jako pułapkę.

Sagale zrobił taką minę, jakby skosztował zepsutego daktyla.

– To bardzo ciekawa interpretacja – skomentował.

– To wystrzeliło największe działo, jakie da się stworzyć przy obowiązujących ograniczeniach fizyki. Co więcej, stację zbudowano tak, że mogła to wytrzymać. Oberwała rozbłyskiem gamma z kolapsującej gwiazdy neutronowej i nie została zniszczona.

– Pani zdaniem to istotne.

– Jest to dla mnie dość wyraźnym dowodem na to, że jesteśmy zdecydowanie powyżej naszej klasy wagowej i powinniśmy przestać wyprowadzać ciosy!

– Nie musi pani krzyczeć, pani doktor.

Elvi rozluźniła ściśnięte w pięści dłonie i spróbowała rozluźnić szczękę. Czowała gorąco krwi na twarzy i nie wiedziała, czy to efekt strachu, czy złości, ani czy jakiegokolwiek zwykłe emocje w ogóle pasowały do takiej sytuacji. System Sagale zabrzączał powiadomieniem, które wyciszył.

– Nie powiem, żebym się z panią nie zgadzał – przyznał. – Ale jak wygląda niewyprowadzanie ciosów?

– Dobrym początkiem byłoby niewysyłanie statków z bombami.

– Byłoby. Ale równie dobrze możemy całkowicie zrezygnować z wrót. Zalecałaby to pani? Są kolonie, które po czymś takim doznają zapaści i może są to dopuszczalne straty, ale gdy ostatnio zaczęły się problemy, zamknięcie sieci wrót nie ocaliło istot, które z niej korzystały. Nie żyli, gdy z powrotem włączyliśmy system.

- Argumentowałam za niewszczynaniem awantur.
- Awantura zaczęła się na długo przed powstaniem Lakonii. Statki znikwały od dziesięcioleci. Cokolwiek to jest, zaczęło się, nim zauważyliśmy jego istnienie. Najszybszym sposobem na podważenie strategicznego planu jest porzucenie go, zanim pojawią się dostateczne powody do tego. Wysoki konsul został wprowadzony w sytuację i wierzy, że plan wet za wet wciąż ma uzasadnienie.
- Czyli zamierza pan to zrobić.
- Zgodnie z rozkazami, pani doktor. Jestem oficerem lakońskiej armii – oświadczył Sagale. – Podobnie jak pani.

* * *

Nastrój panujący na *Jastrzębiu* manifestował się w drobiazgach. Zamiast wędrować do kantyny i z powrotem, zastanawiając się nad sytuacją, Jen siedziała murem przy swojej konsoli. Travon wędrował po statku, stukając środkowym palcem o kciuk w szybkim rytmie za każdym razem, gdy docierały nowe informacje z *Cyklonu* lub Medyny. Sagale przeważnie siedział w swoim biurze, unikając Elvi, Fayeza i reszty zespołu naukowego, jakby ich dezaprobata była dla niego ciężarem.

Spośród statków czekających przy Medynie krótką słomkę wylosował kapitan *Szaleństwa Myrona* i teraz jego jednostkę przerabiano na bombę. Główny ekran prezentował chmurę mechów towarowych i dronów wyciągających towary z jego ładowni. Drobne rozbłyśki silników kojarzyły się Elvi z rojami termitów.

Antymaterię przechowywano na Medynie właśnie na chwile takie jak ta. Inżynierowie gubernator Song mieli ustawić reaktor statku możliwie najbliżej reakcji krytycznej i wyłączyć zabezpieczenia, żeby po wybuchu bomby eksplozja reaktora wzbogaciła mieszankę o dodatkowy kop. Jednakże przy braku innego ruchu doprowadzenie do zniknięcia statku wcale nie było proste.

Krzywa bezpieczeństwa opierała się na ilości materii i energii przechodzących przez sieć wrót, co zwykle oznaczało ograniczenie

ruchu do bezpiecznego poziomu. Teraz wymagało nasilenie go poza wartość progową bez wysyłania przez wrota innego statku. Sagale nieustannie przypominał, że procedura wymagała, by następnym, co przeleci, był statek z bombą. Jeśli złączą przesyłać przez wrota dziesiątki innych jednostek, wróg może nie zrozumieć przekazu wysokiego konsula.

Do tego celu musieli wpompować we wrota olbrzymie ilości energii. Mógł to zrobić zamontowany na *Cyklonie* projektor ultrasilnego pola magnetycznego, ale chcieli dopilnować, by nic nie zostało zniszczone po drugiej stronie wrót. Połączenie ostrożności i lekkomyślności zapierało dech w piersi Elvi.

– Powinnam iść znowu z nim porozmawiać – stwierdziła.

– Z jeszcze większym naciskiem powiedzieć mu, że się myli? – zapytał Fayez. – Sprawdzić, czy zmieni zdanie, bo głośniej nie będziesz się z nim zgadzać?

– On nie jest taki zły – powiedziała. A potem, zdawszy sobie sprawę, że jest, dodała: – Musi być coś, co możemy zrobić.

– Nie ma, skarbie.

Jen podniosła wzrok znad monitora. Usta zaciskała w wąską kreskę i miała niespokojne spojrzenie.

– W układzie Thanjavur było osiemdziesiąt tysięcy ludzi – odezwała się. – Jedna zamieszkana planeta z trzema miastami i baza księżycowa na największym satelicie. A teraz... Nie potrafię się z tym pogodzić. Po prostu przepadli.

– Może nic im nie być – przypomniała Elvi. – Po prostu... straciliśmy kontakt. Przy tym, co się dzieje, mogą wyjść na tym lepiej od nas.

– Chyba że ich słońce wybuchło. Są opowieści o czymś takim, prawda? O budowniczych protomolekuły, którzy spalali całe układy?

Travon znowu zaczął szybko uderzać palcem wskazującym o kciuk, pracując przy swoim stanowisku.

– Thanjavur jest tylko osiem i pół roku świetlnego od Gedary. Jeśli za osiem i pół roku zobaczą duży błysk, będziemy wiedzieli, co się stało.

– Nie podoba mi się to – skomentowała Jen.

– Nikomu z nas się nie podoba – zapewnił Fayed. – Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że stary Sagale zrezygnowałby z tej części, gdyby mógł.

– Której? – zapytała Jen. – Nie, nie tak. To znaczy owszem, nie podoba mi się to. Ale to też.

Przerzuciła na główny monitor zestaw danych, których Elvi nie rozpoznała. *Szaleństwo Myrona* zniknęło, zastąpione serią krzywych rozkładu energii. Jen obróciła się i popatrzyła na nich, jakby przekaz był oczywisty.

– Jestem biologką – przypomniała Elvi.

– Rejestrujemy promieniowanie dochodzące spomiędzy wrót. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widzieliśmy. Nie było tam niczego, co mogłoby promieniować. Ten mały kieszonkowy wszechświat po prostu kończy się na pierścieniach i wszystko, co wychodziło poza nie, znikало, jakby przekroczyło horyzont zdarzeń. A teraz, od czasu... cóż, od nas? Coś stamtąd dociera.

– Coś rusza się na strychu – rzucił Fayed. – To mnie nie uspokaja. Wcale nie jestem spokojny.

– Co o tym myślisz? – zapytała Elvi.

– Nie wiem. Po prostu mam dane, według których dzieje się coś, co wcześniej nie miało miejsca. I wcale się nie uspokaja.

Głos w jej pamięci wypowiedział słowa tak wyraźnie i czysto, jakby właśnie je usłyszała: „Problemem jest rozłożona odpowiedzialność. Jeden człowiek wydaje rozkaz, inny go wykonuje. Pierwszy może powiedzieć, że nie nacisnął na spust, pozostali, że robili tylko to, co im kazano, i wszyscy czują się zwolnieni z odpowiedzialności”. Powoli wypuściła powietrze przez zęby.

Wysłała prośbę o połączenie z biurem Sagale. Musiała uznać za plus dla niego to, że odebrał natychmiast.

– Doktor Okoye.

– Czy mógłby pan do nas dołączyć na mostku, admirale? Zarejestrowaliśmy nowe dane, które powinien pan zobaczyć.

Usłyszała wahanie, gdy decydował, czy była to jakaś sztuczka mająca na celu zatrzymanie planu wysłania statku z bombą. Fakt, że

dane były prawdziwe, nie znaczyły, że to nie sztuczka.

– Już idę – odpowiedział i się rozłączył.

– Zawsze moglibyśmy się zbuntować – zasugerował radośnie Favez.

– Nie mielibyśmy szans – rzucił Travon. – Przeprowadziłem analizę floty. Nawet gdybyśmy przejęli kontrolę nad statkiem, *Cyklon* rozniósłby nas na pył, zanim dotarlibyśmy do wrót.

– *Jezu*, Travon – jęknął Favez. – Żartowałem.

– Och – zareagował Travon. – Przepraszam.

– Pamiętam czasy, gdy byłam tylko uczoną – rzuciła Elvi. – Podobało mi się. Było miło.

Sagale pojawił się na mostku pięć minut później, szybując w stronę swojego stanowiska, jakby w ogóle ich nie zauważał. Elvi przypomniało się, jak widziała go łkającego w tym samym miejscu, wciąż mokrego od żelu z pryczy przeciążeniowej. Teraz był innym człowiekiem. Przez chwilę nawet go podziwiała. Sagale w milczeniu przyjrzał się zawartości ekranu. Najgłośniejszymi dźwiękami były szmery wymienników powietrza i stukanie palca wskazującego o kciuk Travona.

Jen ponownie wyjaśniła znaczenie krzywych energii. Sagale słuchał jej bez słowa. Kiedy skończyła, unosił się cicho pod pasami swojej pryczy przeciążeniowej. Przeniósł wzrok na Elvi i odniosła wrażenie, że dostrzegła coś w jego spojrzeniu. Może wdzięczność.

Ruchem ręki otworzył kanał łączności.

– Admirale Sagale – rozległ się głos gubernator Song. – W czym mogę pomóc? – Miała w głosie ślad akcentu z doliny Marinera.

Elvi zaczęła się zastanawiać, czy to cecha charakterystyczna Marsjan pracujących dla Lakonii, czy Lakończyków, którzy przenieśli swój akcent na obce światy i z powrotem. Czy okazywane przez nią posłuszeństwo było cechą charakterystyczną ludzi Duarteego, czy cały czas stanowiło element marsjańskiego charakteru.

– Moi jajogłowi opracowali analizę i chciałbym, żeby przyjrzeni się jej pani jajogłowi, pani gubernator. To może być bez znaczenia, ale

sugeruję wstrzymanie akcji ze statkiem bombowym do czasu wyjaśnienia sytuacji.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Zaciekawiał mnie pan, admirale. Proszę przysłać dane.

– Dziękuję – odpowiedział Sagale, a gubernator zamknęła połączenie. – Proszę przesłać to na *Cyklona* i Medynę, doktor Lively. Zobaczymy, czy podzielią pani niepokój.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Jen i zaczęła pakować swoje dane, jakby otrzymała dodatkowe pięć minut na egzaminie końcowym.

Fayez dotknął ramienia Elvi i odezwał się prawie zbyt cicho, by słyszała jego słowa.

– Myślisz, że udało się nam...

Wszechświat eksplodował.

Gdyby to był dźwięk, byłby ogłuszający. Elvi i tak zasłoniła uszy dłońmi. Odruch. Przybliżenie. Jen krzyczała. Elvi próbowała spaść na pokład, ale zdołała tylko podciągnąć nogi tak, że unosiła się w pozycji płodowej. Krzywizna uchwyty na ścianie była wyszukana i piękna. Ciemna smuga w miejscu, gdzie wyczyszczono tłuszcz ze skóry członka załogi, była jak mapa olbrzymiego wybrzeża, fraktalna i złożona. Była świadoma znajdującego się obok Fayeza, przechodzących między nimi fal ciśnienia, dotykających się i odbijających z krzyków obojga. Powietrze było mgłą atomów. Sagale był chmurą atomów. Ona była chmurą.

Już tu byłaś, pomyślała. Już tego doświadczyłaś. Skup się, nie daj się sobie w tym zatracić.

Chmura będąca jej ręką, wibracjami w pustce, przesunęła się przez otchłań i grzmot do chmury będącej uchwytem. Pola energii między jej atomami a atomami ściany zmieniły się w taniec nacisku, wysyłając błyskawicę wzdłuż jej ramienia tak skomplikowaną, że trudno było ją śledzić. Była świadoma tego, że ją czuje, ale też działało się tak wiele, że trudno było utrzymać to wrażenie w głowie.

Elvi odkryła, że może patrzeć przez nagle przejrzysty statek, sięgając wzrokiem także przez chmury innych jednostek wkoło. Medyna była olbrzymią, ale rzadką chmurą burzową pośrodku tego wszystkiego.

Coś poruszało się w tych chmurach, ciemne i wijące się jak tancerz przemykający między kroplami deszczu. A potem następne. I więcej. Były wszędzie, przemykając przez gazy, ciecze i ciała stałe, swoim przejściem rozpraszając chmury. One były lite. Rzeczywiste w sposób, w jaki nie były chmury materii. Bardziej realne od wszystkiego, co dotąd widziała. Macki ciemności, która nigdy nie zaznała światła. Która nie mogła nigdy go zaznać.

Widziałaś już ten brak światła. Ciemność niczym oko gniewnego boga... Komuś to powiedziałaś.

Jedno z nich przemknęło i skręciło na lewo od niej, jeśli lewo cokolwiek jeszcze znaczyło. Zwinęło się jak znak zapytania, a wzór atomów i wibracji zawirował wokół i wniknął do środka. Jego piękno i wdzięk były tak wielkie, że trudno było jej oderwać wzrok. Po jego przelocie chmury mieszały się i wirowały razem, barwy tak czyste, że były tylko kolorem. Musiała włożyć sporo wysiłku w rozpoznanie, że to krew.

Już tego doświadczyła. Za pierwszym razem dała się porwać. Teraz też ją to porywało, ale przynajmniej wiedziała, z czym ma do czynienia. Dzięki temu mogła zachować rozsądek. Przynajmniej na chwilę.

„Świetnie ci idzie, dziecko. Doskonale. Dasz radę. Jeszcze tylko odrobinę, ale zrób to teraz”.

Spróbowała sobie przypomnieć, czym jest jej gardło. Spróbowała sobie wyobrazić, że te kropki materii i pustki wypowiedały kiedyś słowa. Że wciąż mogą to zrobić, że są jej ciałem, wdychanym przez nią powietrzem. Spróbowała zmusić to do działania na dość długo, by nie krzyczeć.

„Ratunkowa ewakuacja major Okoye, autoryzacja delta-osiem”. Macka ciemności ruszyła w jej stronę...

...i opadła. Wszystkie się odsunęły, opadając jak czarne płatki śniegu przez chmurę wibracji będącą pokładem. Wszystko wirowało, z formami składającymi się w inne. Jeśli nie próbowała skupiać wzroku, mogła je z trudem rozpoznać. Ciało Jen turlające się, gdy silniki manewrowe zmieniły pokład w strome zbocze. Czyjaś ręka od palców do łokcia, a nawet kilka centymetrów ciała nad nim.

Blask głównego ekranu, zbyt jasny, by sam w sobie niósł jakiś przekaz poza prostą elegancją fotonów schwytych w powietrzu. Była świadoma własnego bólu, jakby był dźwiękiem odległego wodospadu. Zapadła się przez niego w coś podobnego do snu.

A chwilę później wróciła. W dół ścigała ją przyspieszenie, które nie mogło wynosić więcej niż jedna trzecia g. Kiedy zmusiła się do zajęcia pozycji siedzącej, okazało się, że policzek ma przyklejony krwią do pokładu. Powietrze śmierdziało, choć zbyt wieloma woniami, by je rozróżnić. Dźwięczały alarmy, odbijając się echem w bezsensownej kakofonii. Wszystko popsuło się równocześnie. Dźwignęła się na nogi.

Mostek wyglądał jak scena z koszmaru. Zniknęły całe połączenia ścian, pokładu i sprzętu. Jakby jakiś artysta przyszedł z gumką i wymazał materię w losowych miejscach. Innych ludzi też.

Sagale wciąż znajdował się na swoim stanowisku, choć bez dużego kawałka głowy i prawego ramienia. Jen leżała bezładnie na styku podłogi ze ścianą pokrytą krwią, która mogła należeć do niej. Ręka Travona spoczywała obok jego konsoli, ale w miejscu pryczy przeciążeniowej znajdowała się dziura o zaokrąglonych brzegach, prowadząca dwa pokłady w dół. Wyglądało to jak rafa koralowa zrobiona ze statku, jej przyjaciół i...

– Fayez! – krzyknęła. – Fayez!

– Tutaj. – Jego głos dobiegł z tyłu. – Jestem. Nic mi nie jest.

Siedział w dwóch trzecich pryczy przeciążeniowej. Cały płyn ze zbiornika wypłynął i rozlał się po pokładzie.

– Nic mi nie jest – powtórzył.

– Nie masz stopy – zauważyła.

– Wiem. Ale poza tym jest dobrze – zapewnił i zamknął oczy.

Elvi chwiejnie podeszła do konsoli, która wydawała się prawie nienaruszona. Miała problemy z chodzeniem i nie wiedziała dlaczego, do chwili gdy spojrzała w dół i przekonała się, że brakuje jej kawałka uda wielkości piłki do tenisa. Gdy tylko to zobaczyła, poczuła ból.

Gorszy statek byłby już sto razy martwy, ale *Jastrząb* był odporny. Jego skórę przecięto setki razy, lecz odtworzył ją dość szybko, by

zatrzymać powietrze. Reaktor rzucał błędami i poprawkami awaryjnymi, przewijając dziennik tak szybko, że nie potrafiła za nim nadążyć. Wywołała obraz z czujników i na ekranie znowu pojawiły się gwiazdy. Statek opuścił powolną strefę. Wyleciał z pierścieni. System zidentyfikował niebo Lakonii. Skierowała uwagę statku z powrotem na zostający z tyłu pierścień wrót. Wyglądał spokojnie, jakby nic się nie stało. Poczula wzbierający w gardle śmiech i spróbowała go opanować niepewna, czy zdoła to zrobić, gdy raz się zaśmieje.

Otworzyła kanał transmisji szerokopasmowej, modląc się, by z *Jastrzębia* zostało dość, by wyemitować sygnał. Przez chwilę system nie odpowiadał i ścisnęło jej serce, ale potem nadajnik obudził się do życia.

– Dziękuję – zwróciła się do statku. – Och, dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Zebrała siły, zastanawiając się, ile straciła krwi. Ile jeszcze jej zostało.

– Do wszystkich statków w zasięgu. Mówi major Elvi Okoye z lakońskiego Dyrektoriatu Naukowego. Potrzebuję natychmiastowej pomocy. Mamy liczne ofiary...

Rozdział dwudziesty drugi

Teresa

– Nigdy jeszcze nie widziałam nikogo tak rozzłoszczonego – powiedziała. Opowiadała historię małego Potwora Singh i jej matki.
– No wiesz, pewnie też się złościłam, ale to było coś innego. Dziewczynka była...

– Poważnie? Jesteś jedną z najbardziej gniewnych osób, jakie znam, Tycia – przerwał jej Timothy.

Jego recyklar żywności leżał rozłożony na kocu, wszystko starannie na miejscu jak trójwymiarowa wersja rysunku. Tylko wbudowane źródło zasilania wciąż pozostawało wewnątrz obudowy. Timothy zajmował się teraz elementami, czyszcząc każdy i polerując. Szukając oznak zużycia. Teresa siedziała na jego pryczy, opierając się o ścianę, z nogami podciągniętymi przed sobą i Piżmak posapującą cicho u boku. Na skraju światła kręcił się dron naprawczy, z czarnymi wypukłymi oczami wyglądającymi na urażone faktem, że Timothy nie pozwalał mu zająć się sprzętem.

– Wcale nie jestem zła – odpowiedziała. – Nie wydaje mi się, żebym była zła – skorygowała po chwili.

Timothy rzucił jej parę ciemnych gogli i gestem poprosił, żeby je założyła. Zrobiła to i zasłoniła dłonią oczy Piżmak, żeby nie została oślepiona. Po kilku sekundach przez ciemne szkła przedarł się blask palnika spawalniczego, jak maleńkiej zielonej gwiazdy. Dym był gryzący i metaliczny. Spodobał się jej.

– Rzecz w tym – powiedział dość głośno Timothy, by usłyszała go przez ryk palnika – że jest tylko parę typów złości. Złóścisz się, bo się czegoś boisz, albo złóścisz się, bo czujesz frustrację. – Palnik zgasł z pyknięciem.

– Bezpiecznie? – zapytała Teresa.

– Jasne, możesz je zdjąć. – Zrobiła to, a jaskinia wydała się trochę jaśniejsza, niż kiedy je zakładała. Nawet pomimo intensywnego światła jej oczy nieco lepiej przyzwyczyły się do ciemności. Zajęła się drapaniem uszu Piżmak, a Timothy mówił dalej. – Jeśli jesteś... nie wiem. Jeśli się boisz, że może twój tata nie jest typem faceta, za jakiego go miałaś, możesz się zezłościć. Albo jeśli się boisz, że nikt ci nie pomoże. Jak ten gość bez jaj.

– Ma na imię Connor – poprawiła Teresa, ale z uśmiechem na ustach.

– Tak, właśnie on – zgodził się Timothy. – A może po prostu boisz się, że się zbłąznisz przed swoją ekipą. Wtedy się złóścisz. Co, gdyby nie obchodziło cię, czy twój staruszek będzie żył, czy umrze? Gdyby bezjajeczny i twoja ekipa nic dla ciebie nie znaczyli? Wtedy się nie złóścisz. Albo w drugą stronę. Próbujesz sprawić, żeby coś zadziało. Dopasować przewód. Zajmujesz się tym godzinami i kiedy już wszystko wygląda dobrze, metal się zgina i musisz zaczynać od początku. To też powód do złości, ale nie złości ze strachem. To ten drugi typ.

– Czyli patrzysz na mnie – podsumowała z drwiną w głosie Teresa – i uważasz, że jestem przestraszona i sfrustrowana?

– Tak.

Teresa straciła ochotę na drwiny i mocniej objęła kolana. Wcale nie pasowało to do jej obrazu samej siebie, ale coś w niej chwyciło się jego słów. Jakby kogoś rozpoznała, jakby zobaczyła się z perspektywy, której nigdy wcześniej nie widziała. Co było fascynujące.

– Jak sobie z tym poradzić?

– Cholera wie, Tycia. Ja tego nie robię.

– Nie złóścisz się?

– Przynajmniej nie ze strachu. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się czegoś bałem. Dla mnie to bardziej sprawa frustracji. Ale miałem przyjaciółkę i przyglądałem się, jak powoli umiera. Nic nie mogłem z tym zrobić. Co było frustrujące, więc zacząłem się złościć. Szukałem okazji do walki. Tylko że miałem też inną przyjaciółkę, która mnie naprostowała.

– Jak?

– Stłukła mnie na kwaśne jabłko – wyjaśnił Timothy. – To pomogło. I od tamtego czasu nic nie wydawało się warte przesadnego wychylania się.

Przeturlał na dłoni jasny, srebrny stożek wielkości kciuka i zmarszczył brwi.

– O co chodzi? – zapytała.

– Wstrzykiwacz zaczyna się trochę wyrabiać, to wszystko – wyjaśnił Timothy. – Mogę go trochę wygładzić, tyle że wtedy będę bardziej pił moje drożdżowe bułeczki, niż je jadł.

– Spędzasz nad tym dużo czasu.

– Jeśli będziesz dbać o swoje narzędzia, one zadbają o ciebie.

Teresa oparła się o ścianę. Skała pod jej plecami była chłodna. Temperatury głębokich jaskiń były miarą średnich wartości temperatur klimatu. Masa i głębokość wygładzały codzienne wahania, radząc sobie nawet ze zmiennością lata i zimy w cyklu rocznym. Wiedziała to, ale nie rozumiała do czasu, aż trafiła do jaskini Timothy’ego. Jak zawsze była chłodna w upały i ciepła w mrozy.

– Wiesz, mędrzec mieszkający samotnie na górze to naprawdę wyświechtany truizm – skomentowała z uśmiechem, żeby nie pomyślał, że chce mu dopiec. – W każdym razie nie mam czego się bać.

– Jednym z zagrożeń mogliby być zabójcy z kieszonkowymi bombami – rzucił Timothy, montując wstrzykiwacz z powrotem do obudowy.

Teresa wybuchnęła śmiechem, a po chwili Timothy też się uśmiechnął.

– Jeśli ktoś miałby mnie zabić, to pewnie byłby to doktor Cortázar – skomentowała.

– Tak? Czemu?

– To tylko żart. Oglądałam Holdena, tak jak rozmawialiśmy. Usłyszałam rozmowę, którą prowadził z doktorem Cortázarem.

– O czym rozmawiali? – zapytał Timothy.

Teresa wróciła do niej myślami. O czym dokładnie rozmawiali? Pamiętała głównie Cortázara mówiącego o tym, jak to natura zjada dzieci, i Holdena patrzącego do kamery. Ale była mowa także o jej ojcu.

Wciągnęła powietrze gotowa się odezwać, a ono zagrzechotało w głębi jej gardła i w głębi płuc jak miliard szklanych kulek wielkości cząsteczek uderzających o tkankę miękką. Jej układ oddechowy był jaskinią wewnątrz jaskini Timothy’ego, a ona stała się niezwykle ostro świadoma złożoności swego ciała oraz odpowiadającej mu złożoności otaczających ją jaskiń. Żyłki i odłamki w ścianie przed nią rozpadły się i wygładziły. Ciężenie próbujące wciągnąć ją do podłogi i zdumiewająco złożony taniec elektronów w kamieniu oraz opierającym mu się ciele. Zdołała zacząć się zastanawiać, czy podano jej jakieś narkotyki, zanim jej świadomość poległa przed bliskością i złożonością powietrza, jej ciała i coraz bardziej widocznej granicy, która tak naprawdę wcale nie oddzielała jej od świata...

Piżmak zaszczekała z przejęciem. Nieświadoma tego w którejś chwili zsunęła się na pryczę. Timothy stał z idealnie skupioną uwagą, całkowicie zapominając o swoim recyklerze. Dron naprawczy wydał dziwny, szczekający dźwięk i spróbował wstać, chwiejąc się jak pijany.

– To nie byłem tylko ja, prawda? – zapytał Timothy.

– Nie sądzę – potwierdziła Teresa.

– Tak, w porządku. Było miło, Tycia, ale musisz teraz wracać do domu.

– Co to było? Czy coś jest nie tak z powietrzem tutaj? To jakieś wyziewy?

– Nie – zapewnił Timothy, łapiąc ją za ramię i dźwigając na nogi. – Powietrzu nic nie dolega. To było coś innego i pewnie zdarzyło się mnóstwu ludzi, więc będą teraz przestraszeni i spróbują dowiedzieć się, gdzie są wszystkie ważne dla nich osoby, a to oznacza ciebie. To z kolei oznacza, że nie możesz tu zostać.

– Nie rozumiem – powiedziała, ale Timothy ciągnął ją uparcie w stronę wyjścia z jaskini.

Jego chwyt na ramieniu był mocny jak imadło. Twarz miał wypraną z emocji. Wyglądał przez to groźnie. Piżmak szła za nią, szczekając, jakby próbowała ich przed czymś ostrzec.

Na zewnątrz świat wyglądał normalnie. Dziwne doznania sprzed chwili już zaczynały się wydawać złym snem lub przypadkiem i tylko reakcja Timothy'ego czyniła z nich powód do strachu. Spojrzał do góry, skanując niebo, a potem kiwnął głową.

– Dobra, Tycia. Wracaj z kudłaczem do domu.

– Przyjdę znowu najszybciej, jak będę mogła – zapewniła. Nie wiedziała, czemu odczuwa potrzebę pocieszenia go.

– Dobrze.

Chodziło o sposób, w jaki to powiedział. Jakby myślami był zupełnie gdzie indziej. Dorośli traktowali ją tak już wcześniej – uprzejmie i zgodnie, ale tak naprawdę byli nieobecni. Choć jeszcze nigdy nie zrobił tak Timothy. Był inny. Powinien być inny.

– Będiesz tu, kiedy przyjdę?

– Chyba muszę. Jeszcze nie skończyłem, więc...

Objęła go. Równie dobrze mogłaby przytulić drzewo. Cofnął się, a kiedy na nią popatrzył, odniosła wrażenie, że w jego twarzy widzi coś przypominającego żal. To nie mogła być litość.

– Powodzenia, Tycia – powiedział, a potem zawrócił do swojej jaskini i zniknął. Piżmak szczeknęła i obejrzała się za nim równie zmartwiona jak Teresa.

– Chodź – rzuciła i ruszyła do tajnego przejścia prowadzącego z powrotem do Budynku Rządowego i domu.

Popołudnie było chłodne. Liście zaczynały się cofać do zimowych pochewek, przez co drzewa wyglądały jak pokryte szczeciną. Nektarnik zwisający z niskiej gałęzi rozłożył na nią skórzaste

skrzydła i zasyczał, ale go zignorowała. Na horyzoncie zbierały się szerokie pasma chmur, ciągnąc za sobą szare smugi deszczu. Jeśli przyjdzie tutaj, tunel odpływowy będzie niedostępny i utknie na zewnątrz ścian. Przyspieszyła kroku...

Dźwięki latającego pojazdu z początku były tylko odległym jękiem, ale szybko przybrały na sile. Po niecałej minucie odgłosy zmieniły się w ryk. Nad czubkami drzew pojawił się czarny korpus z laminatu z trzema dyszami i opadł na małą łączkę, będącą ledwie niewielką polanką między drzewami. Widząc otwierające się drzwi, spodziewała się zobaczyć błękitne mundury ochrony. Przygotowała się do przedstawienia się i wyjaśnienia, czemu zdecydowała się wybrać na spacer, co byłoby tylko częściowym kłamstwem, ale choć w środku zobaczyła dwóch uzbrojonych gwardzistów, jako pierwszy wysiadł pułkownik Ilich. Podbiegł do niej z ciemną twarzą. Silniki nie zostały całkowicie wyłączone, więc kiedy do niej dotarł, musiał krzyczeć.

– Wsiadaj do śmigacza!

– Co?!

– Musisz natychmiast wsiąść do śmigacza! Musisz wrócić do Budynku Rządowego!

– Nie rozumiem.

Ilich zacisnął zęby i wskazał otwarte drzwi.

– Ty. Tam. Już. To nie takie trudne.

Teresa cofnęła się, jakby uderzył ją w policzek. Przez te wszystkie lata, gdy Ilich był jej nauczycielem, nigdy nie był dla niej niemiły. Zawsze okazywał tylko cierpliwość, wsparcie i rozbawienie. Nawet gdy nie chciała odrabiać lekcji lub zrobiła coś niewłaściwego, karą była tylko długa rozmowa na temat tego, czemu dokonała właśnie takiego wyboru i jakie były cele jej edukacji. Teraz miała wrażenie, że zobaczyła innego człowieka w mundurze Ilicha. Poczowała, że w jej oczach zbierają się łzy. Zobaczyła na jego ustach słowa „no żeż kurwa mać”, ale ich nie usłyszała.

Uklonił się lekko i zaprosił ją gestem do przodu, jak służący wskazujący drogę panu, ale wyczuła kryjącą się za tym niecierpliwość. Pogardę. Gniew.

Och, pomyślała, idąc do latacza. On się boi.

Przy maszynie Piżmak zaczęła szczekać i zanim Teresa zdołała ją uspokoić, Ilich przydzielił jednego z gwardzistów do odprowadzenia psa dołem. Drzwi maszyny zamknęły się z trzaskiem i wystartowali nad drzewa. Choć korpus śmigacza wyglądał z zewnątrz na czarny, od środka nie był ciemniejszy od przyciemnianej szyby. Gdy tylko znaleźli się nad szczytami drzew, wyraźnie zobaczyła Budynek Rządowy.

– Skąd pan wiedział, gdzie jestem? – zapytała Teresa.

Ilich pokręcił głową i przez chwilę myślała, że nie odpowie. Kiedy to zrobił, jego głos brzmiał tak jak zwykle: był cierpliwy i łagodny. Różnica polegała na tym, że teraz już wiedziała, że to maska.

– Zaraz po urodzeniu w kości twojej czaszki wszczepiono lokalizator. Ochrona zawsze ma możliwość znalezienia cię, a zapewnienie ci bezpieczeństwa jest częścią mojej uświęconej powinności.

To było jak słyszenie języka, który prawie rozumiała. Docierało do niej znaczenie każdego słowa, ale nie do końca potrafiła zrozumieć całość. Idea była zbyt obca, zbyt niewłaściwa.

– Twój ojciec uznał, że doświadczenie buntu i autonomii będzie dla ciebie bardzo ważne, więc pozwolił na wycieczki pod warunkiem, że nie zapuszczałaś się zbyt daleko od Budynku Rządowego. Powiedział, że w twoim wieku wspinał się samotnie bez asekuracji na Marsie i dzięki temu dowiedział się o sobie paru rzeczy. Miał nadzieję, że dobrze wykorzystasz tę niezależność i samotność.

Samotność. Czyli nie wiedział o Timothy. I za żadne skarby nie ujawniłaby jego istnienia. Poczula w gardle narastające oburzenie.

– Czyli po prostu pozwolił mi pan myśleć...

Maszyna przeleciała nad zewnętrznym murem Budynku Rządowego i skręciła na wschód. Nie kierowali się na lądowisko na trawniku przed rezydencją. W ogrodzie stała samotna postać, przyglądając się ich przelotowi. Miała wrażenie, że to Holden.

– Szanuję twoją autonomię i prywatność do takiego stopnia, na jaki pozwalają procedury – odpowiedział Ilich. – Ale muszę być

w stanie odszukać cię w przypadku sytuacji nagłej.

– Mamy sytuację nagłą?

– Tak – potwierdził. – Mamy.

* * *

Ojciec uśmiechał się do niej, a zmarszczki w kącikach jego oczu wyglądały na głębsze, niż pamiętała. Perłowy blask tęczy był wyraźniejszy i coś jarzyło się pod jego skórą. Gabinet był sypialnią w czasach, gdy jeszcze sypiał. Od tego czasu minęły już lata. Teraz stało w nim biurko wyrzeźbione z lakońskiego drewna o ziarnie podobnym do skały osadowej, szeroki stół, półka z kilkoma podręcznikami fizyki i sofa, na której siedział. Gdzie siedział, kiedy nadeszła zmiana.

– Ojczy? – odezwała się Teresa. – Słyszysz mnie?

Jego usta ułożyły się w małe „o”, jakby był dzieckiem widzącym coś cudownego. Sięgnął i pogłaskał powietrze obok jej głowy. Ujęła jego dłoń, która okazała się gorąca.

– Powiedział coś? – zapytała.

Kelly, osobisty pokojowy ojca, pokręcił głową.

– Kilka słów, ale nic sensownego. Kiedy to się stało, przyszedłem do niego i zastałem go właśnie tak. Dokładnie w ten sposób. – Kiwnął głową w stronę Cortázara siedzącego na brzegu stołu. – Ściągnąłem doktora Cortázara najszybciej, jak mogłem.

– Pańska opinia? – zapytał Ilich. Mówił chłodnym głosem, na który ojciec w ogóle nie zareagował. – Co z nim jest?

Cortázar rozłożył ręce.

– Mogę tylko spekulować.

– Proszę to zrobić – polecił Ilich.

– To... zdarzenie. Utrata świadomości? Wydaje się zgodne z raportami admirała Trejo z układu Sol. Do tej pory wielokrotnie powtarzano teorię, że właśnie ta broń zabiła inżynierów protomolekuły. Jakkolwiek działały ich umysły, ten... efekt je zniszczył. Cóż, wysoki konsul już od lat w coraz większym stopniu

przekształcał się na ich podobieństwo. To mogło – mogło – uczynić go bardziej podatnym na ten atak niż pozostałych.

Teresa czuła ból w piersi, jakby ktoś uderzył ją w mostek. Opadła na kolana przy boku ojca, a on marszczył się na coś za jej plecami. Albo na nic.

– Ile potrwa, zanim jego stan się poprawi? – zapytał Kelly.

– Gdyby pozwolono mi mieć więcej niż jeden obiekt testowy, może mógłbym pozwolić sobie na zgadywanie – odparł Cortázar. Zrobił to tym samym tonem, którym powiedział: „Przyroda cały czas zjada dzieci”. Teresa poczuła, jak po jej skórze przebiegają ciarki. – W tej sytuacji? Może dojść do siebie lada chwila, ale może zostać w tym stanie przez resztę życia, co w jego wypadku oznacza naprawdę bardzo długo. Gdybym mógł go zabrać do laboratorium i przeprowadzić pewne badania, może zdołałbym powiedzieć coś więcej.

– Nie – odpowiedział Kelly i z jego tonu jasno wynikało, że robi to nie po raz pierwszy. – Wysoki konsul zostanie w tym pokoju aż...

– Aż co? – przerwał mu Cortázar.

– Aż opanujemy sytuację – odpowiedział stanowczo Ilich. – Czy ktoś poza tu obecnymi wie o jego stanie?

Odezwał się terminal wysokiego konsula, wyświetlając priorytetowe żądanie połączenia. Trzej mężczyźni popatrzyli na siebie z niepokojem. Jej ojciec zmarszczył brwi, a potem puścił głośnego bąka. Perwersja i poniżenie tego zachowania dopiekły Teresie do żywego. To był jej ojciec. Człowiek, który dzięki swojej wizji i śmiałości rządził całą ludzkością. Który wiedział, jak wszystko wygląda i powinno wyglądać. Siedzące przed nią ciało było tylko okaleczonym mężczyzną, zbyt złamanym, by czuć zawstydylenie. Znowu dzwonek, lecz tym razem Kelly przechwycił go swoim terminalem.

– Obawiam się, że wysokiemu konsulowi nie można teraz przeszkadzać – powiedział, wychodząc z pokoju. – Mogę przyjąć wiadomość dla niego.

Zamknęły się za nim drzwi.

– Mogę tu sprowadzić trochę sprzętu – zasugerował Cortázar. – Nie będzie to tak dobre, jak zabranie go do Stodoły, gdzie mam prawdziwe wyposażenie, ale będę mógł... przynajmniej coś zrobić.

Ilich przesunął dłonią po głowie, przenosząc spojrzenie z jej ojca na Cortázara, a potem na okno wychodzące na bambusowy ogród w innym wszechświecie, gdzie słońce wciąż świeciło, a życie nie uległo złamaniu. Teresa się przesunęła i Ilich spojrzał na nią. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.

Poczuła falę paniki.

– Czy teraz ja powinnam rządzić?

– Nie – odpowiedział Ilich, jakby jej strach o czymś przesądził. – Nie, wciąż rządzi wysoki konsul Winston Duarte. Prowadzi konsultacje z doktorem Cortázarem w sprawach mających kluczowe znaczenie dla stanu imperium i pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać. Łatwo zapamiętać, bo to prawda. Poleciał Kelly’emu nie wpuszczać nikogo oprócz swojego doktora i ciebie, bo jesteś jego córką, i ma tak pozostać aż do odwołania. Pamiętasz, jak to mówił?

– Nie... – zaczęła Teresa.

– Musisz pamiętać, jak to mówił. Siedział dokładnie tutaj, tuż po zdarzeniu. Wszyscy doszliśmy do siebie, a on przy tobie powiedział Kelly’emu, że potrzebuje doktora Cortázara i że nie wolno mu przeszkadzać. Pamiętasz?

Teresa wyobraziła sobie tę scenę. Głos ojca, spokojny i pewny jak kamień.

– Pamiętam – potwierdziła.

Kelly wrócił do gabinetu.

– Coś stało się przy pierścieniu. *Jastrząb* dokonał nieplanowanego przejścia, a teraz wysyła sygnał alarmowy. Statek z pomocą jest w drodze, ale dotarcie tam zajmie wiele godzin. Może nawet cały dzień.

– W porządku – rzucił Ilich. – Potrzebujemy bezpiecznego kanału do gubernator Song i admirała Trejo. Ktoś będzie musiał przejąć koordynację z wojskiem. Poza tymi osobami nikt nie może niczego wiedzieć.

– Do czasu, aż wysoki konsul dojdzie do siebie, imperium to my.

Rozdział dwudziesty trzeci

Naomi

Rozbłysk energii wyemitowanej z pierścienia wrót nie był widoczny gołym okiem. Teleskop optyczny zobaczyłby w najlepszym razie kilka jasnych błysków w miejscach, gdzie zostały nim trafione kawałki materii, jarząc się przez moment przy rozrywaniu na atomy. Pędząca z prędkością światła energia rozeszła się w przestrzeni, w której najłatwiej było zastać statki przylatujące do Auberona lub szykujące się do opuszczenia układu, mknąc jak fala, setki tysięcy kilometrów za setkami tysięcy kilometrów, poszerzając się w stożku. W miarę rozchodzenia się traciła na mocy, choć nie aż tak, by uratować *San Salvador*. Statek Związku Transportowego zbyt powoli opuszczał zakazaną strefę i został spalony niemal w jednej chwili, wraz ze wszystkimi na pokładzie.

Naomi siedziała w kantine i odtwarzała w pętli nagranie z jego zniszczenia, patrząc, jak statek rozbłyska i ginie tak szybko, że częstość odświeżania nie nadążała za zdarzeniem. Prawie całe życie spędziła na statkach i stacjach. Na sześciu jednostkach doświadczyła uderzeń mikrometeorytów, z czego dwa straciły przez nie atmosferę. Kiedyś musiała zrzucić rdzeń reaktora, żeby nie dopuścić do jego wybuchu w małym, krótkim rozbłysku słońca. Przeskoczyła między statkami bez skafandra i uczucie oddychania próżnią wciąż wracało do niej w koszmarach dziesięciolecia po tym zdarzeniu. Sądziła, że jest dobrze świadoma wszystkich zagrożeń, które wiązały się z życiem poza atmosferą.

To było coś nowego.

– Myślisz, że oni to zrobili? – zapytała Emma przygarbiona nad bańką porannej herbaty.

Bhikaji Cama leciał z ciągiem hamującym. Jedna trzecia g sprawiała dziwne wrażenie do chwili, gdy do Naomi dotarło, że nigdy jeszcze nie była w załogowych częściach tego przy ustalonych kierunkach góry i dołu. Później wciąż było to dziwne, ale przynajmniej znała powód.

– *Oni* Lakonia, czy *oni* ludzie Saby?

Emma uniosła brwi.

– Myślałam o tym pierwszym, ale wszystko jedno.

Kantyna była stosunkowo pełna dwu- i trzyosobowych, cichych grupek załogi, traktującej się wzajemnie z kruchą uprzejmością pogrzebu. Niektórzy z nich zapewne znali kogoś z załogi *San Salvador*, ale nawet jeśli nie, był to statek taki jak ich. Ich śmierć przypomniła im o własnej, jeszcze nie teraz, ale nieuchronnej.

– Nie wiem – przyznała Naomi. – Celem trzymania *Cyklonu* przy Medynie zawsze była możliwość obrony wszystkich wrót równocześnie. Wystarczy strzelić w stację z projektora pola magnetycznego, a wszystkie wrota upieką każdego, kto podleci za blisko, ale...

– Widziałam dane z pierwszego razu, gdy to zrobili. Emisja nie była tak wielka.

– Nawet nie ten rząd wielkości – zgodziła się Naomi.

Emma napiła się z bańki, przygarbiła nieco bardziej i ściszyła głos.

– Próbowaliśmy ataku? Próbowaliśmy przejść powolną strefę?

– Jeśli planowano jakiś atak, nic mi o nim nie wiadomo – odpowiedziała, czując kamień w żołądku.

Nie sądziła, by Saba zorganizował coś tak śmiałego bez niej, ale może mógł się na to porwać. Przekonywała do zachowania umiaru i stosowania strategii mniej nastawionych na przemoc, bardziej długoterminowych. Jeśli zdołała tym tylko wypchnąć się poza nawias... Wyobraziła sobie Bobbie i Aleksa na pokładzie *Zwiastuna burzy* pędzących w stronę wrót z improwizowaną flotą. Nie mogli

być aż tak głupi. Ale nawet gdyby byli, rozbłysk gamma z wrót był o tyle potężniejszy...

– Czy możesz się dowiedzieć, gdzie schowaliśmy mój system? – zapytała Naomi. – Jeśli go odbuduję, może zdołam odczytać sygnały od Saby. Odebrać raport.

– Może mogłabym go odnaleźć – przyznała Emma. – Ale za cztery godziny wsadzamy cię na prom na Duży Księżyc, żebyś zniknęła z pokładu, zanim znajdziemy się w zasięgu stacji transferowej. To nie zostawia wiele czasu.

– Czyli musimy się pośpieszyć.

Znalezienie wszystkich części jej byłej celi okazało się trudniejsze w ciągu, który zmienił architekturę przestrzeni, ale Naomi wcale nie potrzebowała wszystkiego. Jej sprzęt miał wbudowane zabezpieczenia, które ułatwiały wyszukanie ukrytych wiadomości, ale bez kluczy oraz informacji przechowywanych tylko w jej pamięci byłby bezużyteczny. Zapisy z długiego pobytu w kontenerze zostały wymazane, więc nawet gdyby Lakończycy znaleźli urządzenia, nie byłiby w stanie wyciągnąć z nich tajemnic podziemia. Ale nie mogła tego zrobić także Naomi.

Emma obsługiwała mecha załadunkowego, przesuwając ciężkie palety przestawiane przez nie wcześniej, i Naomi znalazła potrzebne jej elementy – procesor sygnału z jej pryczy przeciążeniowej, monitor inny od używanego, ale dostatecznie podobny, interfejs terminala ręcznego. Zmontowały sprzęt w warsztacie przy maszynowni. Żadna tego nie powiedziała, ale obie wiedziały, że wszystko będzie trzeba z powrotem rozebrać i ukryć po skończeniu pracy.

Warsztat był mały i brudny, z długimi plamami odbarwień na tkaninie ścian. Półek na narzędzia używano przez tyle lat, że miejscami ceramika się ścierała, odsłaniając błyszczące tytanowe ramy pod spodem. Pachniało olejem i potem, a Naomi podobało się tam bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu na *Camie*.

Sprawdziła wszystkie zwykłe miejsca, gdzie Saba ukrywał wiadomości dla podziemia, ale większości w ogóle nie znalazła. Nie tylko nie było ukrytych wiadomości, brakowało całych kanałów.

Kanał koordynacyjny Związku Transportowego – bieżące informacje o lokalizacji wszystkich statków – zawierał tylko powtarzaną wiadomość o wstrzymaniu transmisji. Kanał rozrywkowy z Medyny, na którym młody człowiek z przejęciem całymi godzinami opowiadał o trójczynniskowej filozofii projektowania, w ogóle nie nadawał. Kanały łączności Medyny zostały zamknięte dla tajnych i jawnych wiadomości.

- To dobrze czy źle? – zapytała Emma.
- Nie wiem, co to jest – przyznała Naomi.
- Wkrótce będziesz musiała znaleźć się na promie.
- Jeszcze tylko kilka minut.

Emma przestąpiła z nogi na nogę, próbując nie okazywać zniecierpliwienia. Nie chodziło tylko o czas potrzebny na dotarcie do promu, wszystko w tej sytuacji drapało po nerwach.

Naomi była już prawie gotowa się poddać, gdy wreszcie znalazła wiadomość. Ukryto ją w fałszywych fluktuacjach szumu nadajnika pozycyjnego przekaźników przenoszących sygnały przez interferencje wrót. Szyfrowanie opierało się na kluczu i potrzebowała sześciu prób do znalezienia właściwego. Kiedy wiadomość pojawiła się na ekranie, zawierała tylko tekst. Żadnego głosu ani obrazu. Nic, co świadczyłoby o pochodzeniu od Saby, poza samym faktem jej istnienia.

POWAŻNY WYPADEK W POWOLNEJ STREFIE. ZAWIESIĆ WSZYSTKIE OPERACJE I POCHOWAĆ SIĘ. BRAK BEZPOŚREDNIEGO ZAGROŻENIA DLA ORGANIZACJI, ALE PODWYŻSZONY NADZÓR PRZECIWNIA. Z ROZKAZU LAKONII ŻADNYCH PRZEJŚĆ DO I Z POWOLNEJ STREFY. STRACONO DWA PIERŚCIENIE WRÓT. AKTUALIZACJA W PÓŹNIEJSZYM TERMINIE.

– „Stracono dwa pierścienie wrót”? – zapytała Emma. – Co to w ogóle znaczy?

– Wygląda na „poczekaj, to się dowiesz” – skomentowała Naomi. Wyłączyła system, gasząc słowa na ekranie.

* * *

Prom był modelem na dwie prycze. Bez silnika Epsteina, ale z wydajnym czajniczkiem nadającym się do przelotów orbitalnych trwających do dwóch miesięcy. Nie miała w nim lecieć dłużej niż przez kilka dni. Był to rodzaj jednostki, którą mógł wynająć poszukiwacz minerałów do sprawdzenia nowej lokalizacji albo starsza para na długie wakacje z nutką ryzyka. Naomi mocno odczuwała nieobecność Jima, choć nigdy nie było go na pokładzie promu. Gdy *Bhikaji Cama* oddalał się z tyłu i odpaliła pierwszy dłuższy ciąg w stronę księżycowej placówki Auberona, sprawdziła sygnał transpondera. Jeszcze wczoraj prom był pojazdem technicznym i ratunkowym Związku Transportowego, dzisiaj przedstawiał się jako jednostka do wynajęcia zarejestrowana na firmę Kaprysy półtora roku temu. Statku nie obchodziła historia opowiadana na jego temat, pracował niezależnie od swej nazwy.

Przez jakiś czas słuchała lokalnych, cenzorowanych kanałów, używając szczupłego, radosnego mężczyzny prezentującego oficjalne stanowiska Lakonii jako swego rodzaju białego szumu w tle rozmyślań. W ciągu wielu godzin odtwarzania ani on, ani kwaśna i poważna kobieta, która go zastąpiła, nie wspomnieli o Medynie, *Cyklonie* ani emisji promieniowania. Lub o tym, jak można było stracić dwa pierścienie wrót. Próbowwała się pocieszać, że niezależnie od tego, co się działo, przynajmniej nie był to efekt śmiertelnej szarży Bobbie i Aleksa prosto w paszczę pancernika klasy *Magnetar*. Była nawet szansa, że kryzys – czymkolwiek faktycznie był – otworzy nowe możliwości dla podziemia. Bez butelek będzie musiała znaleźć inny sposób na przesyłanie wiadomości do Saby.

Auberon był jednym z sukcesów nowych układów. Rozległa, żyzna planeta z czystą wodą, setkami nadającymi się do wykorzystania mikroklimatów i drzewem życia współistniejącym z ziemską biochemią w czymś w rodzaju wzajemnego pobłażliwego ignorowania się. Podobno farmy na Auberonie mogły hodować miejscowe odpowiedniki roślin i ziemskie uprawy obok siebie, a obie działały jak nawóz dla drugiej strony. Wydawało się to przesadą, ale musiało się w tym kryć ziarno prawdy. Żywność i woda nie były na Auberonie problemem tak wielkim, jak na

niezliczonych innych planetach. Było tam dwanaście miast z ponad milionem mieszkańców i rozliczne mniejsze miejscowości, farmy oraz stacje badawcze. Stacja księżycowa zbierająca surowce i rozprowadzająca zaopatrzenie dla pobliskich asteroid i planet karłowatych dość dużych, by być zamieszkanymi. Żyła tam już niemal jedna dziesiąta procenta szczytowej populacji Ziemi i układ od dwóch dekad był samowystarczalny.

Naomi to miejsce przyprawiało o gęsią skórkę.

Doki, gdy do nich dotarła, były czystsze niż jakiegokolwiek widziane przez całe życie podróży w układzie Sol. Choć niechęć wzbudzała nie tylko nieco upiorna perfekcja. Miasta próżniowe stały się na jakiś czas ucieleśnionym marzeniem kultury Pasiarzy i były równie nowe, lśniące i optymistyczne jak baza księżycowa Auberona. Tylko że one były osadzone w historii. Wszystko w układzie Sol, od wielkiego portu Ceres do skoczków skalnych wydobywających rudy i wodę z asteroid składających się z luźno trzymającego się gruzu, miało wspólną przeszłość. Owszem, ekspansja w pustkę była krwawa, okrutna i pełna w równym stopniu współpracy, jak i przemocy, ale była rzeczywista. Autentyczna.

Na tej stacji nie było starych poziomów, bo ona sama nie była stara. Na Ceres znajdowały się okolice zbudowane w przestrzeniach po wielkich silnikach użytych do rozkręcenia asteroidy. Na Ganimesie były poziomy tuneli porzucone podczas wojny i nigdy nie odzyskane. Na Ziemi wzniesiono miasta na ruinach wcześniejszych miast, poziom za poziomem przez tysiąclecia. Auberon był pokazową wersją siebie samego. Prefabrykowaną kulturą, którą można było zmontować gdziekolwiek z równym optymizmem. Nie sprawiał wrażenia ludzkiego.

Biuro Kaprysów mieściło się za wąskimi drzwiami między sklepikiem z lodami a kancelarią adwokacką. Powietrze w środku pachniało zbiornikami hydroponicznymi i świeżym plastikiem. Kobieta w jej wieku z krótko ściętymi włosami stała przy blacie, z jakiego Naomi spodziewałaby się dostać jedzenie na wynos.

– Dzień dobry. – Kobieta przywitała ją z ledwie tłumionym uśmiechem.

– Mam statek do oddania – wyjaśniła Naomi.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – zapytała kobieta. – To nie twoja wina, to było dawno temu. Latałam na twoim statku.

– Moim statku?

– Na *Rosynancie*, z kapitanem Holdenem. W starych złych czasach, gdy spadały kamienie. Byłaś wtedy dość zajęta, *sa sa que*? Tym skurwielem Inarosem. Kiedy wyciągnęliśmy cię z tego ścigacza, wyglądałaś, jakbyś przeszła przez recykler.

Mózg Naomi odjął kobiecie lat, wypełnił jej policzki i zabarwił posiwiałe włosy. Była pilotką, pracowała dla Freda Johnsona na Tycho.

– Chava Lombaugh?

– Witamy na Auberonie – odpowiedziała Chava. – Tutaj możesz rozmawiać swobodnie. Co drugi dzień sprawdzam pod kątem pluskiew i zrobiłam to specjalnie jeszcze dzisiaj, kiedy tylko usłyszałam, że przylatujesz.

Naomi podeszła do blatu i oparła się o niego.

– Dziękuję. Wiesz, co się dzieje?

– Nie znam szczegółów – przyznała Chava – ale mogę powiedzieć, że od kiedy dotarł ten rozkaz o zatrzymaniu przelotów, lakońskie siły bezpieczeństwa srają w gacie. Nie udało nam się odszyfrować ich łączności, ale gwałtownie wzrosła ilość przesyłanych danych. Gubernator Song robiła, co mogła, żeby wydostać z powolnej strefy wszystkie statki przed rozbłyskami gamma, a teraz nikogo nie wpuszcza ani nie wypuszcza.

– Masz jakiś sposób na skontaktowanie się z Sabą? – zapytała Naomi.

– Lakończycy aktualizują zabezpieczenia w przekaźnikach sygnału – powiedziała Chava – ale wciąż mam kilka furtek.

– Jesteś pewna, że są bezpieczne? – zapytała Naomi, a jej głos zabrzmiał dziwnym echem, jakby słyszała go więcej niż zwykle.

Odcienie i nuty falowały, zderzając się ze sobą, w miarę jak wibracje dotykały twardych powierzchni biurka, podłogi i ścian,

odbijając się, by tworzyć jeszcze bardziej złożone wzory. Cofnęła się, a Chava szerzej otworzyła oczy. Zobaczyła w nich wilgoć, drobną czarną kropkę kanalika łzowego i rzeczny wzór krwi w białkach oczu, niczym mapę nieznanego świata.

– Kurwa – rzuciła Chava i zabrzmiało to jak symfonia. Wszechogarniająca i złożona.

Naomi poczuła, że zapada się w te dźwięki oraz rozległe, pełne, złożone powietrze...

Gdy doszła do siebie, przyciskała czoło do szorstkiej wykładziny podłogowej. Chava wciąż stała przy biurku z całkiem zbielałą twarzą. Rozglądała się po pokoju, próbując odnaleźć Naomi. Zajęło jej to kilka sekund.

– Co... – zaczęła mówić. – Co to...

– To samo, co zdarzyło się w Sol, gdy zniszczyli Pallas. Jak długo byliśmy nieprzytomne?

– Ja... nie...

– Masz rejestry? Nagrania monitoringu?

Chava przytaknęła, a potem coś, co zaczęło się jako lekkie drżenie, rozwinęło się w drgawki, ogarniając całe jej ciało. Opanowała się i wywołała okienko na ekranie biurka. Nic ze środka pomieszczenia, widok na frontowe drzwi z zewnątrz. Kiedy przewijała obraz do pojawienia się Naomi, w głośnikach stacji rozległ się sygnał ostrzegawczy tak głośny, że był słyszalny nawet w biurze. „Uwaga, komunikat ochrony. Proszę zostać na swoich miejscach. Jeśli potrzebna jest pomoc, należy użyć funkcji alarmowej terminala ręcznego, a zostaną wysłani ratownicy. Proszę nie szukać pomocy na własną rękę. Proszę nie opuszczać domów ani miejsc pracy”.

– Trzy minuty – zgłosiła Chava. – Tak jakby czas zupełnie przestał istnieć.

– Czy w układzie Auberona jest pancernik klasy *Magnetar*? To jedyna znana mi rzecz, która to robi... albo prawie jedyna.

– Nie, nie ma czegoś takiego.

– Musimy zaryzykować twoją furtkę do przekaźnika sygnału, musimy przesłać wiadomość do Saby. Coś się tu dzieje i jeśli ma

związek z tym, co tak zaniepokoiło Lakonię, może coś na ten temat wiedzieć.

Chava gestem zaprosiła Naomi, żeby podeszła z drugiej strony blatu.

– Chodź za mną – rzuciła.

Biuro Chavy było małe, z białymi, standardowymi meblami z ceramiki i stali, ale dobrze wyposażone. Naomi usiadła przy biurku kobiety i napisała krótką wiadomość, pisząc szybko i nie przejmując się błędami. Wrota Auberona znajdowały się pięćdziesiąt trzy minuty świetlne od planety. Nawet jeśli Saba odpisze natychmiast, miną godziny, zanim dostanie odpowiedź, a może to zająć więcej czasu.

Podczas długiego oczekiwania Chava zaparzyła im herbatę rumiankową. Jej słodycz wcale nie kusiła, ale Naomi i tak wypijała. Przynajmniej mogła się czymś zająć. Alarm bezpieczeństwa zakończył się godzinę i trzydzieści pięć minut po rozpoczęciu. „Stacja jest bezpieczna. Proszę wrócić do normalnej aktywności”. Wydawało się to optymistyczne do granicy naiwności.

System Chavy Lombough odezwał się dziesięć minut przed upływem dwóch godzin, a ona trzasnęła w okno wiadomości, jakby ją użądliła. Czytając, odsłoniła zęby.

– Co się dzieje?

– To nic – odparła i przesunęła monitor, by pokazać Naomi.

BŁĄD TRANSMISJI. PRZEKAŹNIK NIE ODPOWIADA. WIADOMOŚĆ ZAKOLEJKOWANA DO PÓŹNIEJSZEGO DOSTARCZENIA.

– Przekażnik nie działa? – zapytała Naomi.

– Ich tak – odparła Chava. – Ten wewnątrz pierścienia. Wiadomość została wygenerowana przez przekaznik po stronie Auberona, ale nie ma łączności z tym po drugiej stronie. Ale może zdołamy zrobić coś innego. Interferencje pierścienia są wredne, ale przebicie się przez nie jest wykonalne. Mam we flocie do wynajęcia statki z wiązką kierunkową i jeśli któryś podleci blisko...

Naomi pokręciła głową.

– Nie. Nic tak oczywistego. Chcę mu przekazać raport, ale nie kosztem ryzyka ujawnienia organizacji. Saba dostanie wiadomość,

kiedy do niego dotrze. A kiedy to nastąpi, będzie wiedział, jak nas znaleźć.

Chava wydała świadczący o frustracji dźwięk z głębi gardła i wypila resztkę herbaty.

– W takim razie chodźmy do kryjówki. Przynajmniej będziemy mogły gryźć paznokcie w jakimś wygodniejszym miejscu. Lakonia poważnie traktuje swoje przekąźniki, więc niezależnie od źródła problemu, przywrócenie łączności będzie wysoko na liście ich zadań do zrobienia.

– Dzięki Bogu za sprawność przeciwnika – rzuciła Naomi, czyniąc z tego żart. Chava nawet się zaśmiała.

Jednakże następnego dnia przekąźnik wciąż nie działał. I kolejnego. Minął prawie tydzień, zanim szybka sonda pokonała długą drogę do pierścienia wrót i przeleciała na drugą stronę, przesyłając obrazy, których nie zdołało ukryć nawet biuro cenzora.

Cały system Auberona – włącznie z Naomi, Chavą i załogą *Bhikaji Cama* – zobaczył wirujące smugi barw, które zastąpiły czerń między wrotami. Dowiedziały się, czemu przekąźnik po stronie powolnej strefy wrót nie odpowiada. Zniknął, podobnie jak wszystkie pozostałe. Oraz *Oko cyklonu*. I stacja Medyna ze wszystkimi statkami poddanymi kwarantannie wewnątrz przestrzeni wrót. Pozostała tylko stacja obcych w środku, jarząc się niczym maleńkie słońce.

Naomi patrzyła na to, aż znalazła się na skraju zawrotów głowy, wtedy odwróciła wzrok i musiała wrócić do obrazu, by sprawdzić, czy jest prawdziwy. A potem wciąż i wciąż na nowo, uwięziona w cyklu niedowierzania.

Cała ludzka obecność w małym sztucznym wszechświecie między wrotami została wymazana, jakby nigdy ich tam nie było, nie zostawiając żadnego śladu po tym, co ich zabiło.

Rozdział dwudziesty czwarty

Bobbie

Bar był gorszy niż gówniany. Gówniany miałyby jakiś charakter, to miejsce było sztampowe. Sztuczna skała miała udawać tunel na Ceres lub Pallas obsmarowany graffiti, by wyglądał zadziornie, co może by działało, gdyby wzór nie powtarzał się co parę metrów. Pozory kontrkultury wyprodukowane przez korporacyjnego projektanta. Przynajmniej jedzenie nie było złe. Żeberka z kadzi w ostrej marynacie i kibble warzywne, którego nie rozgotowano na papkę. Piwo też było przyzwoite, choć trochę zbyt chmielone na jej gust. Ekran w głębi zwykle wyświetlał najciekawsze sceny z meczów piłkarskich rozgrywanych w układzie, ale teraz pokazywał wiadomości. I choć przez większość czasu ekran stanowił tło dla rozmów i picia, dzisiaj wszyscy go oglądali.

– Zdarzenie jest identyczne jak to, do którego doszło, gdy *Nawałnica* została zmuszona do zastosowania swojego generatora pola magnetycznego przeciwko siłom separatystów na stacji Pallas – powiedziała kobieta na ekranie. Była jasnoskóra, z długimi ciemnymi włosami i poważnym wyrazem twarzy. Bobbie miała wrażenie, że audycja nadawana jest z Luny, ale równie dobrze mogły to być Ceres albo Mars. Ostatnio wszystkie wyglądały tak samo. – Jednak o ile poprzednie zdarzenie miało wyraźnie zdefiniowaną przyczynę i było ograniczone do układu Sol, nieliczne statki, które dotarły do układu, zgłosiły, że wydarzenie miało o wiele powszechniejszy charakter, być może występując we wszystkich

znanych układach. Utratę stacji Medyna i *Tajfunu* wraz ze wszystkimi jednostkami cywilnymi w przestrzeni wrót uznaje się za zdarzenie powiązane, ale jak na razie nie opublikowano żadnego oficjalnego raportu, który by to potwierdzał.

Caspar wydał cichy dźwięk, coś pomiędzy kaszlem a chichotem. Siedząca naprzeciw niego Jillian uniosła pytająco brew.

– Jest bardziej krytyczna, niż zwykle robią to ich kieszonkowi dziennikarze – wyjaśnił Caspar.

– I tak widać rękę cenzora wsadzoną tak głęboko do dupy, że porusza jej wargami – skomentowała Jillian. – Gdybyśmy mieli wolną prasę, wygryźliby tym dupkom osiem nowych odbytów, aż dostalibyśmy wyjaśnienie.

Na ekranie obok ciemnowłosej dziennikarki pojawił się starszy mężczyzna w koszuli bez kołnierza. Uśmiechał się tak nerwowo, jakby ekipa reporterska właśnie go okradała. Wyświetlono pasek informujący o jego nazwisku i stanowisku, ale ekran znajdował się za daleko, a litery były za małe, by Bobbie zdołała je odczytać. Odniosła tylko wrażenie, że ma na imię Robert. Wychyliła się w stronę ekranu, żeby lepiej słyszeć.

– Co może nam pan powiedzieć o tych zdarzeniach, profesorze? – zapytała dziennikarka.

– No cóż, tak. Tak. Oczywiście pierwsze, co się nasuwa, to czy błędem jest używanie liczby mnogiej? Zdarzenia. To, co widzimy, lepiej będzie zrozumieć jako jedno, nielocalne zdarzenie. Co pasuje do wszystkiego, czego dowiedzieliśmy się o... Nie chcę używać określenia „obcym życiu”. To zbyt wiele założeń. Może lepiej powiedzieć, że o poprzednich mieszkańcach oraz ich wrogach. – Uśmiech staruszka zrobił się trochę cieplejszy, wyraźnie rozbawił go własny żart. Bobbie podziękowała niebiosom, że nigdy nie musiała uczestniczyć w zajęciach z nim.

Jillian parsknęła.

– Właśnie stracili jeden ze swoich pancerników, centralną kontrolę ruchu dla pierścieni wrót, mnóstwo statków oraz dwoje pieprzonych wrót, a teraz chcą rozmawiać o ograniczeniach

lokalności? – Wskazała ekran jasną kością, która jeszcze przed chwilą otoczona była mięsem. – Ci ludzie do idioci.

Caspar wzruszył ramionami.

– Właśnie straciliśmy koordynację podziemia z Medyny, a pijemy piwo pod grilla.

– My też jesteśmy idiotami – rzuciła Jillian.

– Przynajmniej – odciął się Caspar, ale z uśmiechem na ustach.

* * *

Komunikat, że wrota Sol zostały zamknięte do odwołania, był bardzo zły. Nikt z załogi nie powiedział jej nic wprost, ale wcale nie musieli. Niemożność opuszczenia układu sprawiła, że nie mogli się bawić w trzy kubki. Wciąż mogliby uciec. Wymknąć się z Kalisto i znaleźć statek Związku Transportowego, który by ich ukrył. Ale nawet gdyby to zrobili, ten statek nigdzie by nie poleciał do czasu wycofania kwarantanny. Przepadły wszelkie nadzieje na wymknięcie się do innego układu, ukrycie na jakimś nierozwiniętym księżycu do czasu, aż wróg pogodzi się z atakiem na Sol. Zamiast tego próbowali ukryć się przed tygrysem, nie opuszczając jego klatki.

Wtedy zrobiło się jeszcze gorzej.

Bobbie spała, gdy do tego doszło. Coraz trudniej było jej odpoczywać. Kładła się na pryczy w pomieszczeniu służącym za biuro magazynu, gasiła światło, a jej umysł zaczynał analizować różne scenariusze ucieczki, schwytania lub przemocy, uwzględniając wszelkie kombinacje okoliczności, jakie tylko przychodziły jej do głowy. Czuła się zadowolona, jeśli udało się jej przespać pięć godzin w ciągu doby, kiedy więc obudziła się z zamulonym umysłem i zawrotami głowy, uznała, że to tylko efekt wyczerpania. Dopiero gdy jej ręczny terminal zabrzączał, informując, że wszyscy, od jej załogi po służby ratunkowe Kalisto i główne kanały informacyjne, próbowali ściągnąć jej uwagę, zrozumiała, że stało się coś poważniejszego.

* * *

– Ważne jest zrozumienie – mówił starszy mężczyzna, patrząc do kamery, jakby był lubianym wujkiem ich wszystkich – że choć te zdarzenia mogą być bardzo niepokojące i z pewnością spowodowały wypadki w sytuacjach, gdy ludzie byli pośrodku wrażliwych lub niebezpiecznych czynności, tak naprawdę same z siebie nie stanowią zagrożenia.

– Czy może pan to wyjaśnić? – zapytała dziennikarka.

– Nie wykazano, by te doznania miały jakiegokolwiek długotrwałego skutki. Naprawdę nic nie wskazuje na to, by były czymś więcej niż niewygodą. Oczywiście ważne jest pamiętać, że mogą się zdarzyć, przynajmniej do czasu, aż Dyrektoriat Naukowy zrozumie ich przyczynę i... ach... zdoła je opanować. Do tego czasu powinniśmy wszyscy dopilnować, by w naszych pojazdach i urządzeniach aktywne były zabezpieczenia. Ale to dobra rada na każdy czas, prawda?

Caspar zmienił głos, naśladując staruszkę.

– I nie przejmujcie się faktem, że to zniszczyło wrota i pancerniki. O rety, nie. Nie zaprzatajcie tym swoich małych ślicznych główek.

– Gdzie jest Aleks? – zapytała Bobbie.

– Kiedy ostatnio go widziałam, kierował się do domu – odpowiedziała Jillian.

Dom oznaczał *Zwiastuna burzy*. Okno ich ucieczki było coraz bliżej. Co zresztą mogło być powodem, dla którego poszedł na statek. Albo mógł jej unikać. Podczas ostatniej rozmowy natarła na niego bardziej niż zwykle, a wiedziała, że jeśli tylko mógł, unikał konfliktu. Nigdy nie powiedziała tego na głos, ale żałowała, że nie ma z nimi Amosa ani Naomi. A nawet Holdena. Przez to zawsze trochę się martwiła, że może niechcący złamać Aleksa.

– Wychodzę – oświadczyła, a potem opuściła fatalny bar, zostawiając za sobą lakoński kanał propagandowy. Wszyscy inni zostali, żeby dokończyć swoje piwo i plotki. Czuli, że nie była w nastroju na towarzystwo.

Wędrowała przez publiczne korytarze stacji z rękami głęboko w kieszeniach i wzrokiem wbitym w podłogę przed sobą. Dzięki jej rozmiarom i otrzymywanemu niemal od kołyski szkoleniu z kontrolowania zajmowanej przez siebie przestrzeni nie było jej łatwo skulić się i się nie wyróżniać, ale było to ważne. Przebywali na Kalisto dłużej, niż chciała, i widziała, że załoga zaczynała się do tego przyzwyczajać. Mieli już swoje ulubione kiepskie knajpy, ulubione burdele, fryzjerów i kawiarnie oraz lokale z pachinko. Dopasowanie się po jakimś czasie było normalne. Zwyczajne znajdowanie życia tam, gdzie się wylądowało. Tylko że dla nich było to niebezpieczne, bo tak stawało się znanym, a bycie zbyt dobrze znanym oznaczało dla nich wylądowanie w więzieniu, stodole lub grobie.

Na rozwidleniu użyła swojego ręcznego terminala do odblokowania korytarza serwisowego i zanurkowała w infrastrukturę stoczni. Dotarcie do starej przemytniczej kryjówki SPZ wymagało długiego marszu przez słabo ogrzewane korytarze. Jej kroki odbijały się echem wraz z nierównym kapaniem kondensatów i szumem wymienników powietrza. Graffiti na tutejszych ścianach było bardzo stare, większość napisana w pasiarskiej gwarze lub szyfrem. To, co zdołała odczytać, sprowadzało się głównie do obelg względem ONZ i MRK. Dawne nienawiści wydawały się teraz niemal urocze. Sama ich autentyczność czyniła je lepszymi od Lakonii.

Jakie odniosłam zwycięstwa? Czy zostawię świat lepszym miejscem, niż go zastałam?

Kiedy była dziewczyną, sądziła, że rozumie, jak będzie wyglądała jej przyszłość. Poprawa. Postęp. Spodziewała się służyć swojemu narodowi, chronić wysiłek terraformacji przed zazdrosną Ziemią i dzikim Pasem. Od kiedy tylko nauczyła się mówić, wiedziała, że nie dożyje czasów, gdy ludzie będą mogli swobodnie chodzić na powierzchni Marsa, lecz wierzyła, że umrze na planecie z rozrastającym się zielonym mchem i zorzą polarną w magnetosferze. To, co faktycznie przeżyła, zdecydowanie odbiegało od jej wizji. Było bardziej zdumiewające i bardziej rozczarowujące. Straciła też poczucie swojego miejsca w tym

wszystkim. Miała swoją rolę do odegrania, najpierw na *Rosynancie*, potem na *Burzy*. Miała swoich ludzi i obowiązki. To Mars zmienił się i zrobił mroczniejszy. Jak nowotwór dokonał przerzutów w imperium, tworząc wielki projekt, w którym nie chciała uczestniczyć.

Wciąż jeszcze mogła żyć przez dziesięciolecia, jeśli będzie przyjmować leki i dbać o ćwiczenia. Wszechświat, w którym zginie, może być miejscem lepszym od tego, w którym żyła teraz, ale trudno było jej uwierzyć, że będzie też lepszym od tego, w którym się urodziła. Stracono zbyt wiele, a to, czego nie utracono, zmieniło się bardziej, niż potrafiła zrozumieć.

Zadzwonił jej terminal. Wiadomość od Jillian, wciąż w barze. Bobbie spojrzała na nią nieufnie. Jillian była bystrą kobietą i dobrą wojowniczką, po kolejnych paru dekadach życia może nawet zdoła przekonać ją, by stworzyła własny zespół, zamiast go rozkładać. Przy tym, jak się teraz czuła, Bobbie nie była pewna, czy chce wysłuchać tego, co ma jej do powiedzenia Jillian. Ale była kapitanem, a Jillian jej pierwszą oficer. Kciukiem odebrała połączenie. Nagranie opisano tekstem: POMYŚLAŁAM, ŻE BĘDZIESZ CHCIAŁA TO ZOBACZYĆ. Włączyła odtwarzanie.

Ekran z baru obudził się do życia. Niezgodne częstotliwości odświeżania ekranu i nagrywania ręcznego terminala wywołały pasy wędrujące przez obraz, ale nie było tak źle, by nie mogła rozpoznać zawartości ekranu. Lub mężczyzny obok dziennikarki. Staruszek zniknął, zastąpiony znajomą twarzą. Admirał Anton Trejo z *Nawałnicy*, de facto gubernator układu Sol.

Bobbie stanęła.

– ...planowane od miesięcy – mówił Trejo.

– Czyli pański powrót na Lakonię nie ma związku ze zdarzeniami w przestrzeni wrót? – zapytała dziennikarka.

– Żadnego – zapewnił z uśmiechem Trejo. Był jakieś tysiąc razy lepszy w kłamaniu od niej. – Ale rozumiem, czemu ludzie mogą tak uważać. To, co stało się z Medyną, to tragedia i oplakuję stratę życia tych wszystkich ludzi tak samo, jak wszyscy inni, ale zostałem zapewniony przez Dyrektoriat Naukowy i samego wysokiego

konsula, że sytuacja została opanowana. Jestem tylko starym marynarzem udającym się na nowy przydział. Nie ma w tym nic bardziej dramatycznego. Wiceadmirał Hogan to dobry człowiek, gotowy do przejęcia dowództwa. Mam do niego całkowite zaufanie.

Na ekranie pojawiło się dodatkowe okno, przesuwając Trejo i gospodynię programu, robiąc ich nieco mniejszymi i mniej wyraźnymi. Wiceadmirał Hogan był młodym człowiekiem o poważnej twarzy w niebieskich barwach Lakonii. Mógłby być starszym bratem Caspara.

– No cóż, jeśli chodzi o obywateli układu Sol, chciałbym podziękować za...

Nagranie dobiegło końca. Bobbie kciukiem wystukała odpowiedź. CIEKAWY. Oparła się o ścianę. Trejo opuszczał układ Sol. Może już był w drodze. Dowództwo *Nawałnicy* przejmował nowy oficer – lakoński, nie weteran FMRK. Możliwe, że to w końcu ją przekona, jeśli jeszcze nie podjęła decyzji.

Burza spoczywała na mobilnej platformie lądowiska dość szerokiego, by pomieścić jeszcze trzy takie statki. Gąsienice platformy były wyższe od Bobbie i zaprojektowano je do przemieszczania platformy w olbrzymiej jaskini, w której się ukrywała. Pół kilometra dalej przez mrok korytarz skręcał w górę i wychodził do ukrytego hangaru na powierzchni księżyca. Obecnie statek stał na nim wysoki jak wieża, zaczepiony do rusztowania, ze stożkami dysz prawie spoczywającymi na platformie i dziobem ukrytym wysoko w cieniach.

Wspięła się przez kratownicę rusztowania podtrzymującego do śluzy, wchodząc szczebel za szczeblem, zamiast przywołać sobie windę. Kiedy śluza się otworzyła i weszła do środka, odłączyła swój terminal od sieci Kalisto, a potem zsynchronizowała go z *Burzą*. Co prawda, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że podwójne połączenie ją zdradzi, ale każde niepotrzebne ryzyko było niepotrzebne.

Statek powiedział jej, że Aleks jest w warsztacie, a oprócz niego w różnych miejscach statku znajduje się jeszcze czworo członków załogi. W tej chwili liczyło się dla niej tylko to, że Aleks jest sam. Nie

była to rozmowa, przy której chciała mieć świadków. Przynajmniej na razie.

Warsztat nie wyglądał jak warsztat mechaniczny na *Rosynancie*, a raczej jak salon pokazowy lub spa. Szafki osadzono w łagodnie zakrzywionych ścianach ze spojeniami zbyt wąskimi, by je zobaczyć gołym okiem. Światło dochodziło z samych ścian, jarzących się równomiernie i jednolicie, dzięki czemu przestrzeń wyglądała łagodnie i bezcieniowo. Aleks stał przy jednym z blatów z drukarką przemysłową wyglądającą, jakby raczej wyrosła z nasienia, niż została zbudowana. Był szczuplejszy w pasie niż w czasach małżeństwa. Resztką jego włosów zbielała, a na ciemnych policzkach wyraźnie rysowała się jasna szczecina. Kojarzył jej się z mężczyzną, który prowadził sklepik z lodami koło jej szkoły, gdy była dzieckiem. Podniósł wzrok, kiwnął jej głową i wspomnienie zgasło. Znowu był tylko Alekssem.

– Coś się zepsuło? – zapytała, wskazując ruchem głowy drukarkę.

– Środkowa kłamra mojej pryczy przeciążeniowej wykazuje trochę zużycia. Wymontowałem stary element i drukuję zamiennik – wyjaśnił. – Co sprowadza cię na statek?

– Szukałam cię – powiedziała. – Musimy porozmawiać.

– Tak właśnie myślałem.

– Te rzeczy, które wcześniej mówiłeś? O tym, czemu... próbowałam czegoś sięgnąć. Mogłeś mieć rację.

– Dziękuję.

– Ale teraz jej nie masz – oświadczyła. – Sytuacja się zmieniła. Rachunek zmienił się, gdy zamknęli wrota.

– Wciąż są statki Związku Transportowego, z którymi moglibyśmy się spotkać. Wrota kiedyś w końcu się otworzą. To znaczy... nie mogą ich trzymać zamkniętych w nieskończoność. Niezależnie od tego, co się tam stało.

– Ale do czasu ich otwarcia utknęliśmy w układzie Sol. Tylko że nawet nie w tym rzecz. Stracili *Cyklon*. Mieli tylko trzy te potwory. *Serce nawałnicy* kontroluje układ Sol, bo to miejsce o dużej władzy i zasobach. Populacji.

– I historii – dorzucił Aleks. – Ma historię czasu, kiedy Lakonia nie była u władzy.

– To też – zgodziła się Bobbie. – *Oko cyklonu* do kontrolowania wrót. *Głos zawieruchy* w Lakonii do ochrony rodzimego systemu. Teraz zostały im tylko dwa z powodu tej katastrofy, czymkolwiek była. I szamoczą się. Trejo został odwołany na Lakonię, nikt nie kontroluje przestrzeni wrót. Wszystko, co wcześniej mówiłam o pokazaniu ludziom, że tę walkę da się wygrać, wciąż jest prawdą i jeśli to się uda, ograniczymy ich flotę do jednego pancernika. Może zostawią go w układzie Lakonii, może zabiorą go do przestrzeni wrót, jeśli uznają, że cokolwiek to było, więcej się nie powtórzy, ale nie przylecą nim tutaj. Układ Sol stanie się znacznie bezpieczniejszym miejscem dla ruchu oporu. To wciąż najważniejszy układ i możemy wykonać bardzo duży krok na drodze do odzyskania go. To nie będzie już tylko symboliczne zwycięstwo, lecz także taktyczne i strategiczne. Nie mogę odpuścić takiej okazji.

– Słyszę, co mówisz – odpowiedział Aleks.

Drukarka tykała przez kilka sekund.

– Wiem, że masz wątpliwości – powiedziała Bobbie. – Szanuję to. Poważnie.

– Nie, nie o to chodzi – zaczął Aleks. – Ja tylko...

– Nie chcę, żebyś w tym uczestniczył, jeśli nie jesteś pewien. Nie, posłuchaj. To duże ryzyko. *Nawałnica* to najbardziej zabójcza maszyna zbudowana przez ludzi. Oboje wiemy, co wytrzymała podczas wojny. Nawet jeśli zdołamy dostarczyć do niego przesылkę, nie mam pewności, że antymateria wystarczy, żeby go zniszczyć. Masz syna, który pewnie niedługo będzie miał swoje dzieci. Holdena nie ma, tak samo jak Amosa, a Naomi zajmuje się tym swoim pustelnictwem. *Ros* został zakonserwowany. I... jeśli to się nie uda, *Burzy* też już nie będzie. Jeśli chcesz się wypisać, nie będzie w tym nic złego.

– Jeśli chcę się wypisać?

– Gdybyś chciał przejść na emeryturę. Możemy ci załatwić nowe nazwisko albo bogatsze tło dla obecnego. Zapewnić pracę na Ceres,

Ganimedesie albo tutaj. Wszystko jedno. Mógłbyś dla odmiany poznać Kita i jego żonę. Nikt nie będzie miał ci za złe, że tego pragniesz.

– Mógłbym – zgodził się Aleks.

– Potrzebuję cię na sto procent albo wcale.

Aleks podrapał się po brodzie. Drukarka zadzwieczała, informując o zakończeniu produkcji, ale nie otworzył jej, by wyjąć nową klamrę.

– Mówisz jako kapitan tego statku – stwierdził. – Trochę inaczej wymawiasz słowa, kiedy jesteś dowódcą. Wiedziałaś o tym? Różnica jest subtelna, ale jest. W każdym razie rozumiem, co mówisz jako kapitan. I wiem nawet, czemu to mówisz, ale potrzebuję przysługi od przyjaciółki.

Na jej usta pchały się słowa „żadnych przysług, żadnych kompromisów, albo wchodzisz, albo wypadasz”.

– Czego potrzebujesz? – zapytała.

– Zapytaj Naomi o zdanie. Jeśli powie, że to błąd, posłuchaj jej. Wysłuchaj.

Bobbie poczuła w sobie opór przeciwko temu pomysłowi. Stary spór był jak węzeł w żołądku, twardy jak kamień. Ale...

– A jeśli się zgodzi?

Aleks wyżej podniósł ramiona, opuścił nieco środek ciężkości i uśmiechnął się przyjaźnie. Nikt inny na statku nie rozpoznałby imitacji Amosa, ale ona nie miała wątpliwości.

– Wtedy polecimy na trwale spieprzyć jakichś skurwysynów – rzucił.

Interludium

Tańczący Niedźwiedź

Holden obudził się przy blasku świtu docierającego przez wysokie okna, rzucając cień na sufit. Uciekły ostatnie resztki snu o czymś związanym z krokodylami, które dostały się do recyklera wody, a on z Naomi próbowali wywabić je solniczką. Przeciągnął się, ziewnął i wstał z szerokiego łóżka z miękkimi poduszkami i pluszowym kocem. Poświęcił chwilę na rozejrzenie się po pokoju. Kwiaty w wazie przy oknie. Delikatny wzór tkaney pościeli. Poruszał palcami stóp na miękkim, ciepłym dywanie. I wyrecytował w duchu to co zawsze, każdego dnia od samego początku.

„To twoja cela. Jesteś w więzieniu. Nie zapomnij”.

Uśmiechnął się przyjemnie, bo ktoś patrzył.

Kabinę prysznicową wyłożono kamieniami rzeczonymi, gładkimi i pięknymi. Woda była ciepła, a mydło pachniało drewnem sandałowym i bzem. Ręczniki były miękkie, grube i białe jak świeżo spadły śnieg. Ogolił się przed ogrzewanym lustrem, co nie pozwalało na osiadanie na nim pary. Jego lakoński mundur – z prawdziwej tkaniny, nie recyklowanego papieru – czekał czysty i wyprasowany w szafie. Ubrał się, nucąc melodię pamiętaną z dzieciństwa, bo ktoś słuchał.

Na Lakonię przyleciał w znacznie mniej przyjemnej celi. Przesłuchiwano go w pudle. Bito. I we wczesnych dniach grożono dużo gorszymi rzeczami. Później kuszono obietnicą wolności. Nawet władzy. Mogło być dużo, dużo gorzej. W końcu uczestniczył w ataku,

który okaleczył stację Medyna i doprowadził do rozproszenia agentów podziemia pośród układów całego imperium. Ktoś zdołał nawet ukraść im jeden z wczesnych lakońskich niszczycieli. Holden wiedział całkiem sporo o sposobie funkcjonowania ruchu oporu na Medynie, kto brał w nim udział, i wiedział, gdzie można było ich znaleźć. Żył i wciąż miał wszystkie palce z całymi paznokciami tylko dlatego, że wiedział też o martwym punkcie, który pojawił się na *Nawałnicy* po użyciu przez okręt generatora pola magnetycznego w normalnej przestrzeni. Oraz o innych martwych punktach w układach poza Sol. Był jedynym człowiekiem spośród całej ludzkości, który – eskortowany przez zniewolone pozostałości detektywa Millera – odwiedził wnętrze stacji obcych i zobaczył na własne oczy los budowniczych protomolekuły. I od pierwszej chwili, gdy tylko zechcieli słuchać, przekazywał im wszystko, co tylko o nich wiedział. Stwierdzenie, że w tej sprawie idzie na współpracę, byłoby olbrzymim niedopowiedzeniem, a z każdym mijającym tygodniem jego wiadomości na temat podziemia stawały się coraz bardziej nieaktualne. Mniej użyteczne. Przestali już go nawet pytać o te tematy.

Duarte był myślącym, wykształconym, cywilizowanym człowiekiem i mordercą. Był czarującym, zabawny i nieco melancholijny oraz – na ile Holden potrafił stwierdzić – całkowicie nieświadomy swej potwornej ambicji. Niczym fanatyk religijny szczerze wierzył, że wszystko, co zrobił, było usprawiedliwione przez jego cel. Nawet gdy chodziło o osiągnięcie własnej nieśmiertelności – a potem oferowanie jej córce – Duarte potrafił przedstawić to jako konieczny ciężar dla dobra gatunku. Nade wszystko był czarującym skurwielem. W miarę jak Holden nauczył się go szanować, a nawet lubić, bardzo uważał, by nie zapomnieć o fakcie, że Duarte jest potworem.

W jego drzwiach był zamek, ale nie miał nad nim kontroli. Schował przydzielony mu terminal do kieszeni, wyszedł na dziedziniec i zamknął za sobą drzwi. Do środka mógł wejść każdy. Gdyby z jakiegoś powodu chcieli go zamknąć – na zewnątrz lub w środku – mogli to zrobić. Wcisnął ręce do kieszeni i ruszył

chodnikiem obstawionym kolumnami. Krzewy w donicy pochodziły z Ziemi. Może także gleba, z której wyrastały. Z drzwi przed nim wyszedł jakiś pomniejszy dygnitarz państwowy, skrzył i przeszedł obok niego, jakby był powietrzem. Jakby był krzewem. Elementem dekoracji.

Kantyna była większa od całego pokładu na *Rosynacie*. Jasny, sklepiiony sufit i otwarta kuchnia z trzema kucharzami o każdej porze dnia i nocy. Kilka stołów przy oknach, kilkanaście rozstawionych na kolejnym dziedzińcu z tyłu. Świeże owoce, świeże jajka. Świeże mięsa, sery i ryż. W wyważonych ilościach. Elegancja była wynikiem pracy i szacunku ludzi, nie bezsensownego marnotrawstwa. A lojalność była cenniejsza od bogactwa. Zdumiewające, jak wiele można było się dowiedzieć o kimś, siedząc cicho przez kilka miesięcy w jego dziele.

Postawił na rzeźbionej drewnianej tacy talerz ryżu z rybą, jak zwykle. Mniejszy talerzyk z melonem i jagodami. Delikatnie paloną kawę w białym ceramicznym kubku wielkości małej miski na zupeł. Cortázar siedział w pojedynkę w alkwie na tyłach, czytając coś na ręcznym terminalu. Trzymając się własnych zasad, Holden uśmiechnął się i poszedł zająć miejsce naprzeciw socjopatycznego zawodowego wiwisekcjonisty.

– Dzień dobry, doktorze – przywitał się. – Dawno się nie widzieliśmy. Świat dobrze pana traktuje?

Cortázar zamknął to, co czytał, choć Holden zdążył jeszcze zauważyć zwrot „nieograniczona homeostaza”. Nie wiedział, co to dokładnie znaczyło, a nie mógł wyszukać terminu tak, by ktoś się o tym nie dowiedział.

– Wszystko w porządku – rzucił Cortázar, a błysk w jego oczach oznaczał, że to prawda. Co prawdopodobnie było fatalnym znakiem dla kogoś, kto nie był Paolo Cortázarem. – Bardzo dobrze.

– Tak? – zainteresował się Holden. – To co ciekawego się dzieje?

Przez chwilę Cortázar był na skraju powiedzenia czegoś, ale się powstrzymał. Co stanowiło potwierdzenie jego dobrego nastroju. Doktor lubił wiedzieć więcej niż otaczający go ludzie. Dawało mu to poczucie władzy. Najłatwiej było mu utracić panowanie nad

odruchami w sytuacji, gdy był zły lub zirytowany. Albo pijany. Pijany i w nastroju do narzekania – to najlepsza wersja Cortázara.

– Nic, o czym mógłbym rozmawiać – stwierdził i wstał, choć tylko w połowie zjadł swoje śniadanie. – Przepraszam, ale nie mogę zostać. Harmonogram.

– Jeśli będziesz miał później czas, znajdź mnie, możemy sobie pograć w szachy – zasugerował Holden. Często przegrywał w nie z Cortázarem. Nawet nie musiał specjalnie się poddawać, facet był w nie dobry. – Zawsze znajdziesz mnie w domu.

Zostawiony samemu sobie Holden zjadł śniadanie w ciszy i uległ atmosferze pomieszczenia. Jedną z rzeczy, których nauczył się jako tańczący niedźwiedź, było nieszukanie wskazówek do niczego. Wysiłek szukania sprawiał, że przegapiał różne rzeczy. Lepiej było zachowywać się biernie i zauważać to, co dostępne. Na przykład sposób, w jaki rozmawiali ze sobą kucharze, marszcząc czoła. Szybkość, z jaką wyżsi urzędnicy wchodzili do kantyny i ją opuszczali, jak sztywno trzymali ramiona.

Od czasu ostatniego zdarzenia – dziwnej zmiany percepcji, utraty czasu i przytomności – atmosfera Budynku Rządowego wyglądała właśnie tak. Coś się działo, ale Holden nie wiedział, o co chodzi. Nikt mu w ogóle o niczym nie wspomniał, a on nie pytał, bo ktoś zawsze słuchał.

Kiedy skończył, zostawił talerz do sprzątnięcia, jak zwykle wzięł dwa kubki świeżej kawy na wynos i schował do kieszeni kawałek kiełbasy. Poszedł w stronę ogrodów. Było chłodnawo. Pory roku na Lakonii były dłuższe niż na Ziemi, ale jesień zdecydowanie zaczynała już zapuszczać korzenie. Wysoko w górze przez powietrze żeglowało jedno z dziwnych, chmurowatych stworzeń podobnych do meduz, z przeświecającym przez ciało błękitem nieba. Stanowisko strażnicze składało się z ławki i młodzieńca o kanciastej szczęce, wyglądającego, jakby mógł być jednym z kuzynów Aleksa.

– Dzień dobry, Fernand – przywitał się Holden. – Coś ci przyniosłem.

Gwardzista uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Wciąż nie mogę tego od pana przyjąć, sir.

– Rozumiem – przyznał Holden. – Ale wiesz, to straszna szkoda, bo kawa serwowana w kantynie dla VIP-ów jest naprawdę bardzo dobra. Świeże ziarna, których nie upalili tak, jakby chcieli ukryć dowody na coś. Woda z lekkim dodatkiem minerałów, ale nie aż tyle, żeby smakowała jak picie z kamieniołomu. Doskonała jakość, ale...

– Brzmi cudownie, proszę pana.

Holden postawił jeden z kubków na ławce.

– Zostawię to tutaj, żebyś mógł się tego bezpiecznie pozbyć. A pozbyciem się tego drugiego może się zająć porucznik Yao. Dodałem trochę cukru.

– Powiem jej, żeby się tym zajęła – odpowiedział z uśmiechem gwardzista.

Osiągnięcie tego poziomu zażyłości z chłopakiem zajęło mu wiele tygodni. Nie było to wiele, ale zawsze coś. Każda osoba w Budynku Rządowym, która dostrzegała w Holdenie człowieka, która była skłonna z nim żartować albo trzymała się jakiegoś wzoru, którego Holden mógł stać się częścią, sprawiała, że odrobinę trudniej było go zabić. Żadna z wykonywanych przez niego czynności sama w sobie nie robiła różnicy, ale wszystkie razem mogły zdecydować o wyborze łaski lub pocisku w tył głowy, kiedyś, nie tak daleko od dziś. Zaśmiał się więc, jakby gwardzista był dobrym znajomym, i powędrował do ogrodu.

Życie Budynku Rządowego toczyło się zgodnie z pewnymi wzorami. Wszyscy mieli swoje przyzwyczajenia, czy o tym wiedzieli, czy nie. Tu, w samym sercu imperium, z tysiącami ludzi wchodzących do budynków, wychodzących z nich i przechodzących przez nie w źródle władzy, mógłby spędzić nie jedno życie na ich śledzeniu. Przypominało to siedzenie i obserwowanie mrowiska tak długo, aż każdy owad przestał być sobą i stał się organem znacznie większej, starszej świadomości. Nawet gdyby żył tak długo, jak planował Duarte, i tak nie pojąłby wszystkich związanych z tym subtelności. Ale dla jego obecnych celów wystarczały drobniejsze wzory. Takie jak zadowolenie Cortázara z wygranej w szachach oraz preferowana przez porucznik gwardii kawa z cukrem oraz fakt, że

córka Duartego późnym rankiem często chodziła do ogrodu, zwłaszcza jeśli była niespokojna.

Choć ten wzór nie był taki utarty. Bywało tak, że Holden ustawiał się w miejscu, które powinno znaleźć się na jej ścieżce, i spędzał całe godziny, czytając stare powieści przygodowe lub oglądając zatwierdzone przez cenzorów kanały rozrywkowe. Nie wiadomości. Miał dostęp do kanałów z państwową propagandą, ale nie potrafił się zmusić do ich oglądania. Albo wzbudzały w nim złość, a nie mógł sobie na nią pozwolić, albo przez proste powtarzanie zaczynały się wydawać prawdziwe. Tego też nie mógł zaakceptować.

Dzisiaj wybrał małą pagodę wzniesioną przy sztucznym strumieniu. Rosły tu miejscowe rośliny, których podobne do liści struktury były ciemniejsze niż u roślin poznanych w młodości. Intensywnie granatowe, z analogiem chlorofilu wymyślonym przez lakońską ewolucję. Ale też szerokie, by łąpać energię słońca. Podobnie wysokie, by dostać się powyżej tego, z czym konkurowały. Podobne naciski prowadziły do podobnych rozwiązań, tak jak lot, który na Ziemi rozwinął się pięć razy. „Dobre ruchy w przestrzeni projektowej”. Tak nazywała to Elvi Okoye.

Wyciągnął terminal i prawie na dwie godziny pozwolił sobie pograć się w starej zagadce kryminalnej rozgrywającej się na lodowcowcu w Pasie przed otworzeniem wrót, napisanej przez kogoś, kto ewidentnie nigdy w życiu nie był na lodowcowcu. Pierwszym znakiem tego, że nie jest sam, było szczekanie. Odłożył lekturę w chwili, gdy stary labrador przybiegł galopem z za żywopłotu, szczerząc się tak, jak potrafiły to tylko psy. Wyjął z kieszeni kiełbasę i pozwolił psicy zjeść ją z jego dłoni, drugą drapiąc sukę za uszami. Nie było lepszego sposobu na wydanie się godnym zaufania niż bycie lubianym przez psa, a najlepszym sposobem na przekonanie psa do polubienia człowieka było przekupstwo.

– Kto jest dobrym psem? – zapytał.

Suka sapnęła, a zza krzewów wyłoniła się dziewczyna. Teresa, następczyni tronu. Księżniczka imperium. Miała czternaście lat i była w tej fazie dojrzewania, w której wszystkie emocje odbijały się

na twarzy. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by wiedzieć, że coś ją zdruzgotało.

– Cześć – rzucił jak zawsze. Za każdym razem tak samo, by wzór stał się znajomy. Żeby on stał się znajomy. Bo to, co znajome, nie stanowi zagrożenia.

Zwykle odpowiadała „dzień dobry”, ale dzisiaj zerwała wzór. W ogóle nie odpowiedziała, patrzyła tylko na psa i unikała spojrzenia Holdena. Miała zaczerwienione oczy, z ciemnymi smugami poniżej. Skórę też miała bledszą niż zwykle. Cokolwiek się działo, dotknęło jej osobiście. To zawężyło możliwe opcje.

– Wiesz, co jest dziwne? – zapytał. – Spotkałem przy śniadaniu doktora Cortázara, który bardzo się śpieszył. Zwykle zatrzymywał się i przez chwilę rozmawialiśmy, ale dzisiaj zwiął bardzo szybko. Nawet nie zawracał sobie głowy sklepaniem mi tyłka w szachy.

– Jest teraz zajęty – odparła Teresa. Jej głos był równie wymęczony jak jej wygląd. – Ma pacjentkę, doktor Okoye. Tę z Dyrektoriatu Naukowego. I jej męża. Jest ranna i przebywa tutaj, w Budynku Rządowym, żeby mogła rozmawiać z ojcem. Ale nie jest z nią bardzo źle. Wyzdrowieje, tylko doktor Cortázar pomaga w opiece nad nią.

Na zakończenie tej przemowy kiwnęła głową, jakby sprawdziła, co powiedziała, i to zatwierdziła. Gest był nieznaczny, w rodzaju tych, przez który straciłaby mnóstwo pieniędzy, gdyby kiedyś zaczęła grać w karty.

– Przykro mi to słyszeć – skomentował Holden. – Mam nadzieję, że wyzdrowieje.

Nie pytał, co się stało, nie próbował z niej wydobyć informacji. Powinien to zostawić. Z taktycznego punktu widzenia coś więcej byłoby błędem.

– Hej – odpowiedział. – Może nie jestem facetem, od którego chciałabyś to usłyszeć, ale cokolwiek to jest, będzie dobrze.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy, a potem jej spojrzenie stwardniało. Nie trwało to nawet sekundy.

– Nie wiem, o czym pan mówi – rzuciła, a potem odwróciła się i odeszła, uderzając dłonią o nogę, żeby przywołać psa.

Suka popatrzyła na Holdena z żalem w ciemnobrązowych oczach. Nadzieja na więcej kiełbasy walczyła z niepokojem o jej człowieka.

– Idź – rzucił Holden, kiwając głową w stronę oddalających się pleców Teresy.

Pies szczeknął raz radośnie, a potem pogalopował za panią.

Holden spróbował wrócić do książki, ale jego myśli wędrowały. Począł jeszcze prawie godzinę, a potem schował terminal i ruszył. Zrywał się chłodny wiatr. Pomyślał o powrocie do swojej celi i zabranii bluzy, ale zdecydował się tego nie robić. Coś w czuciu się niekomfortowo wydawało się właściwe dla tego dnia. Zamiast tego powędrował do mauzoleum.

Girlandy kwiatów spoczywały w rogu, w którym kamień spotykał się z ziemią. Czerwone, białe i intensywnie fioletowe. Niektóre były roślinami miejscowymi, inne pochodziły z hodowli hydroponicznych. Będą zmieniane do czasu, aż ktoś wyda rozkaz, by tego już nie robić. Jeśli decydenci zapomnieli, świeże kwiaty mogą być przynoszone na grób Avasarali przez wieczność.

Sama kobieta patrzyła na niego w dół z miejsca, w którym wyrzeźbiono ją w kamieniu. Zapewne była to tylko jego wyobraźnia, ale wyraz twarzy rzeźby wydawał się mu rozbawiony. Jakby teraz, gdy Avasarala była martwa i już nie odpowiadała za naprawianie rozległego i śmierdzącego łajna, w jakie zmieniła się ludzka historia, w końcu mogła sobie pozwolić na śmiech. Popatrzył na jej podobiznę, przypominając sobie głos i sposób, w jaki się ruszała. Jej oczy, jasne, inteligentne i bezlitosne jak u kruka.

– Co się tu dzieje? – zapytał cicho. – Z czym mam do czynienia?

Nie miało znaczenia, czy to usłyszeli. Bez kontekstu jego myśli te słowa nic nie znaczyły.

Widział zdruzgotaną Teresę, Budynek Rządowy wibrujący od tłumionego niepokojem. Cortázara – zadowolonego z siebie narcystycznego naukowca z obsesją na punkcie protomolekuły – pełnego ukrywanej satysfakcji. Kolejna sesja dziwnego stanu świadomości i utraty czasu, tym razem przynajmniej w układzie Lakonii, a może i poza nią. Powrót Elvi Okoye używany jako przykrywką dla obecności Cortázara w Budynku Rządowym.

Ponieważ musiał tu być, był z tego bardzo zadowolony i ktoś chciał ukryć prawdziwe powody jego pobytu.

Jeśli spojrzeć na to wszystko w ten sposób, to coś musiało się stać z Duarte.

A jeśli faktycznie, to Cortázar miał dużo więcej swobody. Co znaczyło, że jego plan dokonania wiwisekcji i zabicia córki Duartego musiał wskoczyć na wysokie obroty. A ponieważ Elvi wróciła z misji w innym układzie, plan Holdena także mógł ruszyć do przodu. Czyli teraz był to wyścig i zdecydowanie podejrzewał, że został daleko z tyłu. Niedobrze. Liczył na to, że będzie miał więcej czasu.

„Nie bądź pierdoloną marudą” – przemówiła w jego wyobraźni Avasarala. – „W jednej ręce nadzieja, w drugiej gówno. Zobacz, która napełni się pierwsza. Bierz się do roboty”.

Najpierw się zaśmiał, potem westchnął.

– Słusznie – powiedział do martwej kobiety.

Tym razem nie odpowiedziała.

Odwrócił się i poszedł z powrotem do budynków, gdy pierwszy rzetelnie zimny powiew wiatru poruszył roślinnością, która nie do końca była trawą. Był pewien, że przed nocą przyjdzie burza. Może nawet śnieg. Śnieg był wszędzie taki sam.

Musiał wymyślić, jaki powinien być jego następny krok. Może Elvi, może jej mąż, Fayez. Zawsze go lubił. A może Teresa. Może już czas odwiedzić Duarte, jeśli nie było jeszcze za późno. Gdyby tylko miał więcej czasu...

Na tym polegał problem z tysiącletnimi Rzeszami: rodziły się i gasły jak świetliki.

Rozdział dwudziesty piąty

Naomi

Naomi żyła dość długo, by już parokrotnie być świadkiem historycznych zmian. W rzeczywistości, w której się urodziła, Ziemia i Mars utrzymywały sojusz zawiązany do trwałego utrzymywania buta na karku Pasiarzy takich jak ona. Idea obcego życia była domeną spekulacji naukowych i programów sensacyjnych na kanałach rozrywkowych. Część zmian zachodziła tak wolno, że w zasadzie można było w ogóle nie zauważyć ich następowania. Zmiana tożsamości Pasiarzy z uciskanej klasy do faktycznej partii rządzącej w szczycie potęgi Związku Transportowego zajęła dziesięciolecia. Podobnie jak odbudowanie Ganimedesa po jego zapaści. Inne zachodziły gwałtownie, albo przynajmniej tak się zdawało. Poruszenie Erosa. Otwarcie wrót. Zrzucenie kamieni na Ziemię. Powrót Lakonii.

Wszystkie nagle zmiany, choć tak od siebie różne, zachodziły w ten sam sposób. Po ich nastąpieniu – czymkolwiek były – ludzkość pogrążała się w swoistym szoku. Nie tylko ona i ludzie wokół niej, ale cały liczny i różnorodny rodzaj ludzki. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby wszyscy wciąż byli naczelnymi na afrykańskich sawannach cichnącymi w obliczu ryku lwa. Wszystkie zasady, którymi się kierowali, nagle były kwestionowane. „Planety wewnętrzne zawsze były moim wrogiem, ale czy nadal nim są? Skraje Układu Słonecznego to najdalsze miejsca dostępne dla

ludzkości, ale czy możemy polecieć dalej? Ziemia przetrwa, prawda?”.

Naomi wcale nie podobało się to uczucie, ale je rozpoznała. Co więcej, dostrzegła kryjącą się w nim moc. Takie chwile były okazjami. Mogły rodzić nowe sojusze, nowe współczucia, nowe i szersze poczucie wspólnego bycia członkami szerszego plemienia ludzkości. Mogły też stać się trucizną wnikającą w ludzkie umysły na kolejne dziesięciolecia, sprowadzając stare wojny na nowe i jeszcze krwawsze pola bitew.

Auberon wstrzymał oddech i czekał, by zobaczyć, czy drapieżniki ruszają w jego stronę. Widziała to w kanałach wewnętrznych, które były teraz jedynymi dostępnymi. W szeroko otwartych oczach lakońskiego gubernatora. Musiała przyznać, że sama też to czuła.

Cyklon był absolutnym symbolem lakońskiej dominacji. Po nieubłaganym podbiciu układu Sol przez *Nawałnicę* lakońskie rządy stały się pewnikiem. Nie chodziło tylko o to, że Lakonia znalazła sposób na obronę przestrzeni wrót przed równoczesnym atakiem z dowolnych lub wszystkich wrót, choć to także miało znaczenie. Powszechną oczywistością był także fakt, że będąc w powolnej strefie, *Cyklon* był już w pół drogi do dowolnego domu. Że gdy raz ruszy, nie zdoła go powstrzymać nic poza kaprysem imperium.

A teraz przepadł.

Stacja Medyna była elementem przestrzeni wrót od samego początku. Była jednym z pierwszych statków, które przeleciały przez wrota Sol, i zajęła swoje miejsce tam jeszcze przed otwarciem pozostałych wrót. Medyna była najodleglejszą placówką handlową nowej gorączki osiedleńczej i policjantem drogówki pośrodku skolonizowanych światów. Jej historia jako religijnego statku pokoleniowego, a potem pancernika SPZ, czyniła sprawę równie bogatą i złożoną, jak zamieszkujący ją ludzie. Była trwałym elementem tego, jak ludzie przemieszczali się przez pierścienie, równie stałym i permanentnym jak same wrota.

Ona też przepadła.

Gdyby zniknął tylko statek lub stacja, może byłoby łatwiej, ale równocześnie usunięcie miecza wiszącego nad głowami wszystkich mieszkańców imperium i najdłużej istniejącego ludzkiego obiektu między wrotami rozrywało serce Naomi w dwóch kierunkach. Równocześnie cieszyła się i opłakiwała. I czuła głęboki niepokój, którego źródłem było nagłe przypomnienie, że znajomość czegoś to nie to samo, co zrozumienie.

– Jakie jadasz jajka? – zapytała Chava.

Siedząca przy stole Naomi potarła zaspane oczy.

– Zwykle odtworzone z dyszy.

– Czyli... jajecznicę?

– Byłoby świetnie.

Mieszkanie Chavy mieściło się w modnej części stacji, oczywiście zakładając, że była też jakaś niemodna. Auberon nie istniał dość długo, by mieć w kościach jakąś historię. Nic tutaj nie zostało jeszcze przerobione, wykorzystane ponownie lub zmodyfikowane. Ostre industrialne linie kuchni Chavy wyglądały dokładnie tak, jak wyobraził ją sobie projektant. Krzewy w wazach hydroponicznych odsłaniających biel ich korzeni i zieleń gałązek stały w tych miejscach, w których najlepiej wyglądały na fotografiach. Okna wychodziły na przestrzeń komunalną trzy poziomy niżej, jakby to było mieszkanie w bloku na Ziemi, tylko że czystszej, dawały zamierzony efekt. Za pokolenie lub cztery mieszkanie nabierze własnego stylu i charakteru, ale to dopiero przyjdzie.

A może po prostu Naomi potrzebowała kawy i trochę ćwiczeń? To też było możliwe.

– Dobrze spałaś? – zapytała Chava. Jej słowom towarzyszyło skwierczenie jajek smażonych na patelni. – W zasadzie nie miewam gości. Jesteś pierwszą osobą, która korzysta z pokoju gościnnego dłużej niż jedną noc.

– Jest uroczy – zapewniła Naomi. – Masz jakieś wiadomości?

Chava postawiła biały ceramiczny kubek z kawą na barowym blacie przy łokciu Naomi, a obok prasę francuską pełną czarnego, aromatycznego napoju.

– Oficer polityczny na stacji transferowej mówi, że cały ruch przez wrota jest zabroniony do czasu otrzymania instrukcji z Lakonii. Co nie będzie proste, bo nie ma przekaźników. Pewne napięcie otacza frachtowiec, który był już w drodze, gdy łajno trafiło w wentylator, i Związek Transportowy mówi, że jeśli nie dostarczy ładunku do układu Farhome, za rok będzie tam mnóstwo głodujących ludzi.

Naomi naląła sobie kawy do kubka. Czerń zalała przemożną biel, przymglona wzbijającą się parą. Zapach był delikatniejszy od tego, do którego się przyzwyczaiła. Zaciekawilo ją, czy smakowałyby Jimowi.

– Jakies wieści od gubernatora?

– Kompletna cisza – przyznała Chava. – Krążą plotki, że gubernator już od bardzo dawna bierze od nich pieniądze i nie wiadomo dokładnie, względem kogo jest lojalny.

– Co wydaje się dziwnie pocieszające – skomentowała Naomi. Kawa smakowała lepiej, niż pachniała. Opuściła ją kolejna, dotąd niezauważona, warstwa rozespania. Aromat jajek nagle zrobił się dużo bardziej interesujący.

Chava zauważyła to i się uśmiechnęła.

– Głodna?

– Chyba tak. Miejscowy ruch oporu. Jak wygląda, jakimi zasobami dysponuje?

Chava wzruszyła ramionami.

– Nie do końca wiem. Saba trzyma wszystko podzielone. Nie wiem nawet tak do końca, ile on wie, poza wiedzą, kogo pytać, czy coś da się zrobić. – Dotarł do niej błąd we własnych słowach i mocno zacisnęła wargi. – To znaczy wiedział. Nie potrafię uwierzyć, że...

– Wiem – rzuciła Naomi. – Bez koordynacji tak naprawdę nie będziemy już podziemiem, tylko zbiorem tysiąca trzystu różnych ruchów oporu, które nie mają jak się porozumiewać. – Pijąc kawę, pomyślała, że łączność zawsze stanowiła problem.

Chava zamieszała jajka na patelni i zepchnęła puszystą żółtą masę na biały talerz.

– Patrząc na to z drugiej strony, jest teraz tysiąc trzysta różnych Lakonii. A właściwie to mniej. Wiele mniejszych kolonii nie dostało

jeszcze gubernatorów, więc są w zasadzie wolne.

– Oraz grozi im katastrofa, jeśli nie otrzymają wsparcia. Nie jestem pewna, czy śmierć, będąc wolnym, pozostaje atrakcyjną opcją, gdy przestaje być retoryczna.

– Prawda – zgodziła się Chava.

Jajka dziwnie smakowały. Były gęstsze i bardziej wypełniały usta niż ich przybliżenie generowane przez *Rosa*, z nieco innym posmakiem. Naomi nie potrafiła się zdecydować, czy jej odpowiadał, czy nie. Z drugiej strony pełny żołądek zdecydowanie poprawiał samopoczucie. I jajka dobrze komponowały się z kawą.

Chava nie poruszyła tematu przyszłości Naomi. Obie wiedziały, że obecnie jest zbyt wiele niewiadomych, by miało sens opracowywanie jakiegoś planu. Nawet gdyby tu był jakiś statek mogący podjąć grę w trzy kubki, brakowało Saby, który przesyłałby jej informacje do analizy lub uwzględniał jej zalecenia. Rola Naomi w podziemiu, zdolność ruchu oporu do przetrwania – to wszystko były wielkie niewiadome. Zapchały te dziury gościnnością i uprzejmością. Naomi została gościem Chavy. Spała w wolnym pokoju, jadła jej jedzenie i piła kawę, jakby były siostrami.

Dziwnie było myśleć, że ludzie żyją w ten sposób. I to nie tylko obywatele, także członkowie ruchu oporu mają ładne mieszkania i okna ze starannie zaaranżowanym widokiem, świeże owoce i kawę. Było to tak przesadnie zwyczajne, że wydawało się przynętą w pułapce. Czy Chava będzie w stanie zostawić to wszystko tak samo, jak Naomi zostawiła *Rosa*, Aleksa i Bobbie? Czy komfort zatrzyma ją na zbyt długo, jeśli coś pójdzie nie tak? Jeśli już coś poszło nie tak?

– Jakiś problem? – zapytała Chava, a do Naomi dotarło, że marszczy brwi.

– Myślałam o... – sięgnęła po coś mniej obraźliwego niż „mojej instynktownej dezaprobaty do twojego stylu życia” – ...kontroli ruchu w przestrzeni wrót. Jeśli ten frachtowiec dokona przejścia, będzie to robił na ślepo. Wszyscy będą to robić. – Teraz, gdy powiedziała to na głos, faktycznie zaczęła się martwić. – A przecież będzie presja. Te wszystkie kolonie, które nie są jeszcze

samowystarczalne... Trochę poczekają, powstrzymają się, ale prędzej czy później ryzyko dokonania przejścia stanie się lepsze od pewności porażki całej kolonii.

– To prawda – zgodziła się Chava, rozbijając kolejne jajko nad patelnię. – Ale też nie bardzo sobie wyobrażam odbudowę przestrzeni wrót. Przynajmniej do czasu, aż dowiemy się, co się stało i czy jest jakiś sposób, by więcej do tego nie dopuścić. Ty sobie wyobrażasz? To znaczy... może Lakonia wyśle tam jeden z tych swoich pancerników i znowu go zaparkuje w środku, ale tylko jeśli nie będzie ryzyka, że znowu go straci.

– Zaczyna to wyglądać na pracę obarczoną wysokim ryzykiem. – Naomi spróbowała beztroski, ale nie brzmiała zbyt dobrze. Jeszcze nie.

– Jeden raz może znaczyć cokolwiek – stwierdziła Chava, obserwując jajka, które zaczęły pulsować i rozdymać się od gorąca. – Może to było coś jednorazowego, może coś, co zdarza się raz na tysiąc lat. Albo będzie tak teraz co trzeci czwartek. Nie wiemy, co tym razem do tego doprowadziło.

– Zanim zbierzemy dość punktów do zrobienia jakiegoś wykresu, będziemy mieć bardzo dużo zniszczonych statków.

– Jeśli w ogóle będzie sposób na stwierdzenie, czy statek zaginął. Nikt nie patrzy, więc kto miałby to śledzić? W tej chwili padła cała sieć łączności. Nawet jeśli ktoś będzie wiedział, musiałby mieć sposób na powiedzenie innym. Nikt teraz nie dowodzi. Jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Naomi, czując, jak jej myśli pędzą w nowym kierunku.

Nie tylko ona i Chava prowadziły taką rozmowę. Tysiące ludzi na Auberonie myślały o tym samym w restauracjach i barach oraz na statkach lecących przez wielką pustkę między lokalnym słońcem a wrotami. To była oznaka wychodzenia z szoku. Jak powstawała chwila za chwilą.

I przecież nie działo się to tylko na Auberonie. Każdy układ z pierścieniem wrót stał przed tymi samymi pytaniami, bojąc się

tych samych możliwych przyszłości. Każdy układ, włącznie z Lakonią.

Ta myśl miała sporą wagę. Żal z powodu straty Saby i Medyny oraz nieoczekiwana nadzieja wzbudzona zniszczeniem *Cyklonu*. Obawa przed tajemniczym przeciwnikiem i jego coraz liczniejszymi ofiarami. Wszystko prowadziło do jednego wniosku.

To było jak koszmar, w którym całą noc ucieka się przed czymś, a potem i tak ląduje w jego objęciach. Nikt teraz nie dowodzi.

– Słucham? – powiedziała Chava, zsuwając na talerz jajko ze złotym żółtkiem. – Mówiłaś coś?

– Będziemy musiały złamać trochę procedur – oświadczyła Naomi. – I będę potrzebować dostępu do warsztatu. Nie wiesz może, gdzie mogłabym zdobyć parę torped? Nie potrzebuję głowic bojowych, tylko silników i korpusów. Takich dalekiego zasięgu, jeśli da radę.

– Mogę się rozejrzeć – stwierdziła Chava. – Ile potrzebujesz?

– Najlepiej około tysiąca trzystu lub czterystu.

Chava roześmiała się, ale spoważniała, widząc wyraz twarzy Naomi.

– Jeśli nadal mogę – dodała Naomi – to jednak wezmę jeszcze tę dolewkę kawy.

* * *

Stocznia znaleziona przez Chavę w układzie Sol byłaby mała. W Pasie były takich tysiące. Improvizowane stocznie obsługujące skoczki skalne i niezależnych, których nie było stać na opłaty dokowe na Kalisto, Ceres ani w żadnym innym większym ośrodku. Poza faktem, że nie było tu niczego wyprodukowanego dawniej niż piętnaście lat temu, mogła być gdziekolwiek.

Kierował nią niejaki Zep z wyblakłym tatuażem rozerwanego kręgu na szyi. Mówił po angielsku, mandaryńsku, portugalsku i w dialekcie gwary belterskiej, która wiązała go z okolicami Trojan. Oprowadził ją po stoczni. Była to wysoka, jasna bańka ze stali

i ceramiki, z jaskrawymi białymi światłami roboczymi w górze i wypuszczaną każdego ranka mgiełką oleju, żeby wiązać księżycowe pyły. Wszystko tutaj było trochę lepkie w dotyku i pachniało prochem strzelniczym. Było to pierwsze miejsce w układzie Auberona, w którym poczuła się choć trochę jak w domu.

Nawet pomimo oleju pyły – drobinki skał, które nigdy nie zostały wygładzone przez erozję – były na tyle niebezpieczne, że miała na twarzy maskę oddechową i okulary ochronne. Przeszła między rzędami wycofanych z użycia statków przejętych za długi lub zniszczonych wskutek pecha bądź złej woli do tego stopnia, że najbardziej opłacało się sprzedać je na części. Większość stanowiły promy orbitalne i półautomatyczne jednostki poszukiwania minerałów. Promy były dla niej bezużyteczne, ale niektóre statki poszukiwawcze zawierały sondy. Co prawda nie miały zasięgu ani prędkości prawdziwych torped, jednak mogła od nich zacząć. Podczas długiego, pełnego potu poranka zebrała sześć, które wydawały się warte bliższego przyjrzenia się.

Idea nie różniła się znacząco od używanych przez nią wcześniej butelek, inna była tylko skala. I stawki. Mogła załadować do sond nadajniki i materiały wybuchowe, a potem wysłać je przez różne wrota. Nikt nie zostanie wystawiony na niebezpieczeństwo z nagłą nawiedzanej powolnej strefy, a źródła wiadomości nie da się wyśledzić. Każdy, kto nasłuchiwał jak ona, usłyszy je, podobnie jak butelki wyrzucane przez nią wcześniej. Musiała popracować nad właściwym brzmieniem komunikatu. To będzie pierwsza wiadomość od podziemia od czasu Medyny, więc odpowiednie dobranie słów było ważne. Choć ważniejsze było wysłanie ich szybko.

W oglądanych przez Aleksa filmach neo-noir był pewien moment występujący tak często, że stał się frazesem. Przez lata musiała go widzieć dziesiątki razy, a przecież nie oglądała ich świadomie. Strzelanina zaczynała się od operetkowej choreografii i niemożliwie pojemnych magazynków. Bohater i czarny charakter odtwarzali scenariusz z dowolnymi, w miarę unikatowymi elementami dołożonymi przez reżysera, by odróżnić tę scenę od wszystkich

wcześniejszych, a potem, w pełnej napięcia kulminacji, wrogowie stawali naprzeciw siebie i obu brakło amunicji. Rozwiązanie całej tej heroicznej przemocy sprowadzało się do tego, kto mógł szybciej przeładować.

I w tym punkcie właśnie znalazły się podziemie oraz imperium. Oba zostały zaburzone. Przeżyje ta strona, która pierwsza zdoła się zorganizować. Lakonia wciąż dysponowała siłą ognia, wciąż miała przewagę technologiczną, ale jeśli podziemie zdoła szybciej odtworzyć sieć łączności, będzie mogła zmienić narrację o jej nieuchronności. Przewaga Lakonii nie wystarczy, liczyła się szybkość. Gdyby Saba żył, gdyby Medyna przetrwała, byłby to właściwy moment na ujawnienie się, ogłoszenie światu i stanie się publiczną twarzą opozycji. Na połączenie tysiąca trzystu ruchów oporu istniejących teraz w odciętych od siebie układach z powrotem w jeden organizm i wykorzystanie zamieszania wroga, zanim Duarte z powrotem stanie na nogi. Przejęcie kryzysu i uczynienie z niego punktu zwrotnego, nawet jeśli miało to oznaczać jeszcze większą presję na Drummer i Związek. Naomi powiedziałyby mu, że trzeba to zrobić. Miałyby rację.

Zadzwonił jej terminal. Przesunęła gogle na czoło, opuściła maskę i odebrała połączenie. Mogła dzwonić tylko jedna osoba. Chava była w swoim biurze, z idealnie ułożonymi włosami, bluzą bez żadnej plamki i wyrazem twarzy tak uprzejmym i profesjonalnym, jakby pracowała tak przez cały dzień.

– Mam bezpieczne połączenie, o które prosiłaś – poinformowała. – Opóźnienie światła uniemożliwi rozmowę na żywo.

– Jak daleko? – zapytała Naomi.

– Około pięćdziesięciu minut w jedną stronę.

Naomi przypomniała sobie topografię układu Auberona. Trzy gazowe olbrzymy i mniejsze pasy asteroid. *Bhikaji Cama* wciąż znajdował się dość daleko od pierścienia. Miała czas.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Żaden problem – zapewniła Chava. – Wysyłam ci trasę i kodowanie. – Spotkamy się wieczorem na kolacji?

– Nie chcę się narzucać.

– Żaden problem – zapewniła Chava. – I tam jest bezpieczniej niż gdziekolwiek.

– W takim razie tak, dziękuję.

Chava uśmiechnęła się i zamknęła połączenie. Naomi wywołała przesłaną konfigurację pakietu danych i dołączyła do innych otrzymanych danych. Jeśli się uda, wiadomość przemknie niezauważona przez system Związku Transportowego i dotrze wyłącznie do Emmy Zomorodi.

Naomi przyjrzała się sobie na ekranie. Skóra brudna od kurzu i potu. Włosy mające więcej siwizny niż czerni. Zmarszczki w kącikach oczu i ust. Oto kobieta, która odrzuciła zaproszenie wysokiego konsula Winstona Duarte, by spędzić resztę życia w pałacu z ukochanym mężczyzną, by zamiast tego zająć się pracą, której nigdy nie chciała. Uśmiechnęła się i kobieta na ekranie zaczęła wyglądać na szczęśliwą. Owszem, wyczerpaną i solidnie poobijaną przez życie, ale szczęśliwą. Zaczęła nagrywanie.

– Emma, chcę cię poprosić o złamanie procedur. Wyślij mi wszystko, co wiesz na temat statusu i działania podziemia. Kontakty, nazwy statków, procedury. Powiedz mi wszystko, co wiesz. A jeśli możesz wysłać wiadomość do współpracowników, przekaz im, żeby oczekiwali w przyszłości podobnej wiadomości ode mnie. Wiem, że to dokładnie to, czego wcześniej zakazywałam, ale sytuacja się zmieniła. Medyna została zdjęta z planszy i straciliśmy Sabę. Musimy się przegrupować i zreorganizować. I ktoś musi przejąć inicjatywę.

Z jej czoła zaczęła powoli spływać strużka potu, zbliżając się do brwi. Starła ją i odsunęła włosy od oczu.

– Do czasu otrzymania ode mnie innych informacji to ja będę kierować podziemiem.

Rozdział dwudziesty szósty

Elvi

Obudziła się, próbując krzyczeć. Nie pamiętała snu, tylko poczucie przemożnego strachu i paraliżu. Wysięk wydobycia z siebie głosu najwyraźniej ciągnął przez całe godziny, choć zdołała wyemitować tylko cichy jęk, głośny na tyle, by przywrócić jej świadomość. Otworzyła oczy w mroku, pokryta potem i wdzięczna za jeszcze kilka godzin bez snu.

Apartament przydzieliła jej Lakonia. Dwa łóżka, oba z wbudowanym automatycznym lekarzem. Jedno dla niej, drugie dla Fayeza, który niestety wciąż oddychał miarowo i głęboko. Bez patrzenia wiedziała, że go nie obudziła. I za to też była wdzięczna. Nie zapaliła światła. Laska stała przy łóżku i znalazła ją bez trudu. Przesunęła się do brzegu materaca, przygotowała i opuściła nogi. Bolało jak diabli, ale tylko przez kilka sekund. Samo stanie było mniej bolesne i w coraz mniejszym stopniu opierała się na lasce.

Choć nocne koszmary ani trochę nie traciły swej mocy.

Bardzo uważając, by nie narobić hałasu, który obudziłby męża, przeszła przez ciemność do szafy. Służący zostawili im szlafroki z grubej, teksturowanej bawełny z podszewką z czegoś, co mogło być nawet jedwabiem. Włożyła swój, wciągając po jednym rękawie, zawiązała i wyszła na dziedziniec i kamienną ławkę ozdobioną złożonymi wzorami matematycznymi jak coś z meczetu.

Jej wspomnienia z akcji ratunkowej nie były zbyt spójne. Pamiętała wydanie rozkazu ratunkowej ewakuacji *Jastrzębia*.

Pamiętała odzyskanie przytomności w normalnej przestrzeni i wezwanie pomocy. Czołganie się przez krew i żel z przyczyn przeciążeniowej do Fayeza. Te wspomnienia były dość wyraźne. Potem kilka w miarę wyraźnych chwil wspomnień zaciskania paska na nodze męża. W którymś momencie dotarło do niej, że traci za dużo krwi, więc wsunęła dłoń do dziury w nodze i zacisnęła ją tam w pięść, by uciskać wszędzie wokół. To zapewne powinno być najgorsze wspomnienie – pięść znikająca pod skórą własnej nogi niczym błąd przetwarzania graficznego – ale tak naprawdę czuła wtedy dumę, że wpadła na tak eleganckie rozwiązanie. Opaska uciskowa byłaby trudna.

Powiedzieli jej, że była przytomna, gdy przyleciał statek z pomocą, ale nie pamiętała tego. Z przeczytanych raportów wiedziała, że Jen żyje i jest leczona gdzieś w mieście. Admirał Sagale zginął z oderwaną częścią głowy. Travon był formalnie wymieniony jako zaginiony, ponieważ teoretycznie istniała możliwość, że przeżył gdzieś bez ręki.

Wskaźnik ofiar wśród załogi był podobny. Przeżyła mniej więcej połowa, nie było nikogo, kto nie doznałby ran. *Jastrząb* także został ustabilizowany i sprowadzony do domu na leczenie. I analizę.

Jakieś miejscowe zwierzę wydawało odgłosy. Cztery wyraźnie różne tony, powtarzane wciąż i wciąż na nowo z różnymi prędkościami. Zew godowy. Ostrzeżenie. Informacja dla stada o źródle żywności. Nie miała pojęcia, choć brzmiało to ładnie. Nocne powietrze było chłodne prawie do poziomu dyskomfortu, ale nie chciała wracać do środka po płaszcz. Poczekaj po prostu, aż się zmęczy, i wróci do łóżka, albo znajdzie sobie jakiś hol w budynku, gdzie będzie mogła posiedzieć do świtu. Jeśli ktoś zainteresuje się, czemu po okolicy krąży starsza pani w szlafroku i z laską, powie mu, że to tajne.

Egzobiologia to nie medycyna. O modelach predykcyjnej ewolucji równoległej wiedziała więcej niż o gojeniu ran. Gdyby nie miała stanowiska w Dyrektoriacie Naukowym, nie byłaby w stanie zapoznać się ze swoimi aktami medycznymi, zapewne z całkiem dobrych powodów. Ktoś bez właściwej wiedzy fachowej, próbujący

interpretować dane z podobnego, ale różnego pola, mógł być niebezpieczny. Laicy nie rozumieli, jak duża część literatury naukowej dotyczyła niuansów i wspólnego zrozumienia. Nawet mając do pomocy systemy eksperckie, miała większą szansę uniknięcia błędów z jedną z fizycznych analiz Jen Lively niż przy własnej dokumentacji medycznej, choćby dla tego, że zdawała sobie sprawę z własnej ignorancji w zakresie fizyki.

Ale i tak zajrzała.

Zespół medyczny ciężko walczył o utrzymanie jej i Fayeza przy życiu. Wycięcia w ciele, gdzie brakowało mięśni, były dziwne. Na dodatek jakaś charakterystyka ran sprawiała, że krzepnięcie też przebiegało inaczej, co oczywiście natychmiast nasunęło jej na myśl nietoperze wampiry i pijawki. Organizmy żywiące się krwią i wytwarzające środki przeciwzakrzepowe. Nie było jednak powodu, żeby napastnicy dysponowali czymś takim. Wycięcia w statku również miały zbyt idealne granice.

Bardziej szczegółowy raport wciąż był dopiero szykowany, ale miała dostęp do jego wstępnej wersji. Sagale prawdopodobnie zginął w jednej chwili, inni członkowie załogi żyli dość długo, by zraniony *Jastrząb* wywiózł ich przez wrota poza niebezpieczeństwo, ale wykrwawili się lub nie uporali ze wstrząsem. Brakująca materia taką pozostała. Brakującą. Kawalek jej nogi, stopa Fayeza. Większość płata mózgu Sagale'a. Cały Travon, poza ręką. I to nie tak, że to wszystko zostało oderwane. Odcięto je i zabrano... w jakieś inne miejsce. W sumie *Jastrząb* stracił 12 procent swojej masy, najwyraźniej zupełnie losowo. Czarne rzeczy poruszające się między przestrzeniami nie próbowały atakować załogi, chciały zabrać wszystko. Usunięte przez nie części ciał ludzi były po prostu punktami na trasie. Co prawie czyniło je gorszymi. Mordercy przynajmniej mieli motyw.

Odsunęła szlafrok i popatrzyła na ranę. Wypełniający ubytek medyczny żel był jasny, ale powoli robił się różowy. Widziała już linie w miejscach, gdzie zaczynały się tworzyć naczynia krwionośne. Mięśnie i skóra podążą ich śladem przez następne kilka tygodni i miesięcy. W końcu zapewne zostanie jej lekko odbarwione miejsce

na nodze w miejscu, gdzie skóra będzie młodsza od niej. Z drugiej strony Sagale... Zadrżała. Wciąż trudno było jej zaakceptować jego śmierć.

Nie zauważyła, kiedy zaczął się świt. Dziedziniec nie wychodził na wschód, więc było to tylko powolne, subtelne szarzenie lakońskiego nieba. Ucieczka gwiazd i jarzących się platform konstrukcyjnych. Nawet wtedy zauważyła, że miejscowe organizmy zrobiły się głośniejsze, i dotarł do niej łagodny, nieco octowy zapach wydzielany przez jedne z miejscowych odpowiedników ptaków w okresie godowym. Była zmarznięta, zeszywniała i czuła dyskomfort, ale nie ruszyła się do chwili, gdy pojawił się Kelly, osobisty pokojowy Duarte'go.

– Major Okoye – przywitał ją. – Wcześniej pani wstała.

– Albo późno się położyłam – odpowiedziała, próbując uśmiechu. Nie bardzo pasował.

– Zeszłej nocy z układu Sol przybył admirał Trejo.

– Bardzo szybko.

– Rozumiem, że ciąg był bardzo uciążliwy. Mimo wszystko zapytał, czy mogłaby pani do nas dołączyć po śniadaniu.

– Mogę – zapewniła Elvi. – Ale tak naprawdę powinnam porozmawiać z wysokim konsulem.

Uśmiech Kelly'ego niczego nie zdradził.

– Warto to omówić z admirałem.

* * *

Jak dotąd Elvi widziała admirała Trejo tylko na ekranach. Na żywo był z początku trochę rozczarowujący, ale po kilku minutach zaczęła rozumieć, jak stał się najczęściej odznaczanym dowódcą w lakońskiej armii. Był krępy, a włosy miał ciemne i na tyle rzadkie, że widziała przez nie praktycznie całą skórę jego głowy. Oczy o jaskrawozielonej barwie. Kilka lat temu podbił całą ludzką cywilizację w niecały miesiąc. Zachowywał się ostrożnie, jakby

wszyscy wokół niego byli trochę delikatni, a on nie chciał ich niechętnie połamać.

Nie musiał tu niczego udowadniać.

Miejsce ich spotkania miało całkiem zwyczajny charakter: wyściełane kanapy i niski, długi stół z polerowanego kamienia. Wszyscy pozostali byli mężczyznami. Pułkownik Ilich, którego Elvi spotkała kilka razy po wprowadzeniu do lakońskiej armii, Kelly, który ją sprowadził, i jej bezpośredni przełożony, Paolo Cortázar, kierujący Dyrektoriatem Naukowym i koordynujący praktycznie wszystkie prowadzone przez Lakonię badania. Brakowało Winstona Duarteego.

– Dziękuję za dołączenie do nas, pani doktor – przywitał ją Trejo, gdy usiadła naprzeciw niego. – Czytałem raporty dotyczące zdarzenia w przestrzeni wrót. Piekielnie mało sympatyczne.

Uznała jego słowa za oznakę szacunku. Traktował ją jak równą sobie.

– To prawda – przyznała. – Mam nadzieję, że nie będę musiała tego powtarzać.

– Spróbujemy do tego nie dopuścić. Sam leciałem tamtędy z pewnym niepokojem. To znaczy nie byłem wtedy świadomy. Słyszałem, że pani leciała przytomna w jednej z tych nowych zanurzeniowych prycz przeciążeniowych. Nie sądzę, żebym chciał to robić. Nie lubię lecieć z ciągiem powyżej dwudziestu g, śpiąc, a jeszcze mniej podoba mi się pomysł oglądania tego.

– Cieszę się, że pan doleciał – skomentowała Elvi.

Cortázar wzruszył ramionami i popatrzył na swoje paznokcie. Okaz znudzenia. Nie cieszył się z udziału w tym spotkaniu. Czując lekki posmak złości, znalazła sposób na przedłużenie uprzejmości o kolejną chwilę.

– Mam nadzieję, że nie miał pan żadnych problemów?

– Ależ skąd – zapewnił Trejo. – Wszystko było w porządku. Choć faktycznie pojawiają się problemy. Ludzie zaczynają dokonywać przejść na własną rękę. Jakiś biedny drań z Bellerophonu próbował przelecieć na szybko, wejść w przestrzeń wrót i wylecieć na tym samym ciągu. Tylko że nie słyszał o zmianie pozycji wrót. Jego statek

uderzył o pierścień jakieś trzysta kilometrów w bok od miejsca, w które faktycznie mierzył.

– Auć – skomentowała Elvi.

– Ludzie robią się zdesperowani. Na każdy układ mogący się sam utrzymywać przypada ze trzydzieści, które nie mają jeszcze na to szans. Handel nie jest dla nich opcjonalny, to kwestia życia i śmierci. A bez kontroli ruchu śmierć będzie dużo częstsza.

– Przykro mi z powodu Medyny i *Cyklonu* – powiedziała Elvi.

– Admirał Song była dobrą oficer – rzucił Trejo. – Zginęła na stanowisku. Niewiele więcej możemy chcieć od życia. Ale później przyjdzie czas na wychwalanie poległych. Mam problem, pani doktor, i postanowiłem jego część zrzucić na pani barki.

Cortázar westchnął i odwrócił wzrok. Trejo wyjaśnił jej, co stało się z wysokim konsulem, a potem poprosił Kelly'ego o przyniesienie herbaty, by dać jej czas na uporanie się ze wstrząsem. Herbata była zielona, nalewana do czarnych ceramicznych czarek z kutego żelaznego czajniczka. Wypiła dwie porcje, zanim dostatecznie doszła do siebie.

– Czyli obecnie nikt nie kieruje imperium – powiedziała.

– My nim kierujemy w imieniu wysokiego konsula do czasu, aż dojdzie do siebie w dostatecznym stopniu, by osobiście przejąć obowiązki – odpowiedział Trejo. – Albo aż jego córka dorośnie na tyle, by zająć jego miejsce.

– Jest bardzo inteligentna – wtrącił pułkownik Ilich. – I można ją kontrolować. Wysoki konsul wierzył, a ja się z nim zgadzam, że narracja dotycząca sukcesji musi brzmieć znajomo i uspokajająco. Dziedziczenie przez pierwородnego potomka to powszechny model w rozlicznych kulturach. Oczywiście nikt nie będzie od niej oczekiwał podejmowania decyzji do czasu, aż wykaże chęć i zdolności do tego.

– Ile ona ma lat? – zapytała Elvi.

– Duarte miał nadzieję, że będzie mógł ją szkolić przez kilka stuleci – zauważył Trejo. – Szlag, miał nadzieję, że sam będzie rządził w nieskończoność. Ale tak wyglądają nasze karty i to nimi

będziemy grać. Nie będę niczego lukrował, mamy duży ciężar do udźwignięcia, a spora jego część spadnie na Dyrektoriat Naukowy.

– Jak mogę pomóc? – spytała Elvi. Brzmiało to dużo lepiej niż „czego, do cholery, oczekujecie ode mnie w tej sprawie?”.

– Pani zadaniem będzie sprowadzenie z powrotem wysokiego konsula – wyjaśnił Trejo. – Doktor Cortázar wprowadzi panią we wszystko, co dotąd zrobił. Mamy nadzieję, że świeże spojrzenie pozwoli znaleźć coś, co być może przeoczył.

Elvi spojrzała na Cortázara. Nie patrzył na nią. A więc to dlatego się dąsał. Trejo zakwestionował jego kompetencje. To będzie nieprzyjemne.

– Kiedy pani będzie się tym zajmować, ja zacznę z powrotem ogarniać sytuację. *Głos zawieruchy* wciąż jeszcze nie jest ukończony, ale nie zamierzamy umieszczać na trwałe żadnej jednostki załogowej w przestrzeni wrót i ograniczamy czasy przelotów. *Zawierucha* będzie chronić Lakonię, *Nawałnica* zostanie w układzie Sol. Sytuacja tam wymaga kontroli i to właśnie Sol jest najbardziej krnąbrnym układem, którym będziemy musieli się martwić.

– A kontrola ruchu? – zapytała Elvi.

– Nie możemy utrzymać wnętrza wrót – przyznał Trejo. – Będziemy więc musieli stacjonować po ich zewnętrznej stronie. Mamy dwieście osiemdziesiąt niszczycieli klasy *Pulsar* do kontrolowania tysiąca trzystu siedemdziesięciu jeden wrót.

Elvi dostrzegła, jak na Trejo odciskał się niezwykle ciężar stojącego przed nim zadania. Intensywnie zielone spojrzenie nie skupiało się na niczym, a radosna, pewna siebie twarz była po prostu zmęczona. Ale po chwili powrócił.

– Zamierzam je rozmieścić w układach, w których jest największe prawdopodobieństwo dużego ruchu. Odtworzymy sieć łączności. Po dokończeniu *Zawieruchy* przestawimy wszystkie platformy konstrukcyjne na generowanie większej ilości antymaterii, co sprowadza nas do priorytetu numer dwa. Chyba wszyscy możemy się zgodzić, że plan wet za wet, czyli „zobaczmy, czy możemy negocjować”, nie poszedł zbyt dobrze. Będziemy musieli się

przygotować do prowadzenia prawdziwej wojny. Cokolwiek zdoła pani znaleźć, co da nam...

Elvi poczuła zastrzyk adrenaliny do krwi. Serce zaczęło walić w żebra jak młot.

– Czy pana popierdoliło?

Ilich i Kelly popatrzyli na nią, jakby właśnie coś potwierdziła. Cortázar prychnął.

– Przepraszam – powiedziała Elvi. – Chwileczkę. Nie, właściwie to wcale nie. Czy pana popierdoliło? Nie widział pan, co się właśnie stało?

Trejo spuścił głowę. Jej skóra przeświecała przez rzadkie włosy.

– Rozumiem, że w tej chwili nie jest to łatwa rozmowa, pani doktor. Dużo pani przeszła. Ale jestem wojskowym i fakty są takie, że tocymy wojnę. Toczyliśmy ją od chwili, w której pierwszy statek zniknął w przejściu.

– Te rzeczy zabiły...

– Wiem, co zrobiły. – Głos Trejo był szorstki. Wcisnął ją z powrotem na miejsce. – I wiem, czemu to zrobiły. Bo zostały skrzywdzone. To znaczy, że można je skrzywdzić, i o ile nie znajdą jakiegoś sposobu na zaproponowanie pokoju, zamierzam przygotować nasze siły do ponownego ich skrzywdzenia. Mówiąc całkiem szczerze, nie podoba mi się to. Mierzymy się z czymś, czego nie rozumiemy, używając nieznanym sobie narzędzi na polu bitwy, którego zasady poznajemy na bieżąco. To głupia wojna, ale taką mamy. Jeśli da się ją wygrać, zamierzam to zrobić, a pani mi pomoże.

W jej głowie pojawiły się setki zastrzeżeń, ale wszystkie zgasły pod ciężarem jego spojrzenia.

– Tak jest, sir – odpowiedziała.

– Dobrze. Proszę zacząć przegląd z doktorem Cortázarem i informować mnie o wszelkich postępach.

„Będę”, odpowiedziała Elvi równocześnie z Cortázarem, który rzucił „będziemy”. Trejo przyjął odpowiedzi, jakby były tym samym. Jego następne słowa zostały skierowane do Elvi.

– Jeśli nie zgadza się pani z moim planem działań, może mnie pani łatwo powstrzymać. Proszę po prostu oddać mi szefa.

– Zamierzam spróbować – zapewniła Elvi.

* * *

Zanim opuściła Budynek Rządowy, by udać się do Dyrektoriatu Naukowego, Elvi wróciła do swojego mieszkania. Chciała oczyścić myśli, choć te wcale nie słuchały. Wszystko, co przychodziło jej do głowy, walczyło o wypłynięcie na wierzch, jakby próbowała iść przez gęsty żel. Noga bardziej ją teraz bolała i dawały o sobie znać godziny bez snu, ciągnęło ją do łóżka teraz, gdy miała obowiązki. A może po prostu właśnie do niej docierało, że skończył się czas gojenia po urazie, i wcale jej to nie odpowiadało.

Ogrody były piękne, lepsze niż w luksusowym ośrodku wypoczynkowym. Dziwne skórzaste latające stworzenia nazywane przez miejscowych nektarnikami machały skrzydłami wysoko nad budynkami, wyglądając bardziej jak nietoperze niż ptaki. Koło niej przemknęło coś podobnego do ważki, brzęcząc skrzydłami tak samo, choć zupełnie odmiennie od tego, jak zrobiłoby to na Ziemi.

Skala tego wszystkiego była zbyt wielka. Zbyt wiele miliardów ludzi żyło w zbyt wielu setkach Układów Słonecznych, by ktokolwiek mógł to naprawdę zrozumieć. Żeby jakiś człowiek do końca to zrozumiał. Może dlatego właśnie Winston Duarte postanowił przestać być człowiekiem. Podobnie jak jego córka. Zaczęła żałować, że zamiast biologii nie wybrała matematyki. Na Ilusa nie wysłano żadnych matematyków, a bez tej planety nie stałaby się najbliższym przybliżeniem eksperta w zakresie ran w rzeczywistości pozostawianych przez te czarne rzeczy. I nie zostałyby zatrudniona przez Lakonię. Nie wylądowałyby tutaj. Jedna drobna zmiana dawno temu mogłaby oznaczać zupełnie inne życie.

Pokonała ostatni zakręt przed swoim dziedzińcem i zobaczyła siedzącego w ogrodzie Fayeza. Jedna z jego nóg kończyła się jasnyniebieską kapsułą wielkości buta tam, gdzie zaczynała mu już

odrastać brakująca stopa. Drugą rozciągnął na ławce, o którą opierał się James Holden.

Jakby poczuł napór jej spojrzenia, Holden podniósł wzrok i pomachał. Wydawał się równocześnie starszy i zupełnie niezmienny. Ruszyła w stronę ławki, opierając się na lasce bardziej niż jeszcze chwilę wcześniej. Żel w jej nodze wywoływał pieczenie. Kolejne godziny stania i chodzenia po laboratorium Cortázar wydawały się fatalnym pomysłem.

Kiedy podchodziła, Holden wymienił parę słów z Fayezem, a potem odszedł energicznym krokiem. Zanim dotarła do boku męża, Holden zniknął za żywopłotem.

Fayez przesunął zdrową nogę, robiąc jej miejsce. Pod oczami miał ciemne worki, ale uśmiechał się równie sardonicznie i radośnie jak w dniu, kiedy się spotkali. Albo kiedy się pobierali. Albo kiedy prawie zginęli, po tym, jak terrorysta podłożył bombę pod lądowisko.

– Mam wrażenie, że źle przeżyłam swoje życie – powiedziała.

– Znam to uczucie. Ale kiedy cię widzę, dochodzę do przekonania, że musiałem też zrobić coś dobrze. Nawet jeśli wszystko inne traktuje mnie tak, jakbym w poprzednim życiu zabił kapłana.

Ujęła jego dłoń i splotła z nim palce. Przyszłość zaczęła wyglądać odrobinę mniej ponuro.

– Odbyłem właśnie bardzo ciekawą rozmowę – powiedział Fayez.

– Mogłabym powiedzieć to samo – odparła. – Ale moja jest tajna, więc ty pierwszy.

– No cóż, mówił bardzo wymijająco, ale mam wrażenie, że nasz stary znajomy Holden powiedział mi właśnie, że Cortázar planuje morderstwo.

Rozdział dwudziesty siódmy

Teresa

Nic już nie było takie samo. Próbowwała udawać, że nic się nie zmieniło. Że ojciec jest tylko chory, tak jak zdarzało się to zwykłym ojcom. Budziła się rano i była przy niej Piżmak. Wędrowała przez ogrody i Budynek Rządowy tak samo jak zawsze. Wszyscy, których widziała, traktowali ją tak samo, poza Ilichem, który znał prawdę.

Przyjmowała założenie, że zdaniem wszystkich innych ojciec jest pogrążony w głębokich konsultacjach z najlepszymi umysłami imperium z powodu tego, co stało się z *Cyklonem*. Wierzyli w niego. On był Lakonią. Miała wrażenie, że gdy przechodzi, gwardziści trochę bardziej się prostują, że kucharze w kantynie odkładają dla niej najlepsze dania. Nie dlatego, że na nie zasługiwała, tylko dlatego, że była najbliższa spotkaniu z nim, a chcieli mu złożyć swoje ofiary. Bali się tego, czego doświadczyli. Ona też. Ale oni mieli opowieść, w której wszystko będzie dobrze, a ona nie.

Najbliższym, co jej zostało, był Ilich, który jednak teraz częściej był nieobecny niż obecny. Kiedy przychodził, w kółko powtarzał nowe zasady. „Nie mów nikomu o wysokim konsulu”. „Nie zachowuj się jak przestraszona”. „Nie opuszczaj terenu Budynku Rządowego”.

Próbowwała oglądać ulubione filmy i kanały, ale nie przyciągały jej uwagi. Próbowwała czytać ulubione książki, ale słowa uciekały z jej umysłu. Próbowwała biegać wzdłuż muru najszybciej, jak mogła, najdłużej, jak zdołała, aż ból i wyczerpanie sprawiały, że nie

potrafiła już myśleć ani czuć niczego innego. To było najbliższe zaznania spokoju.

A popołudniami i wczesnymi wieczorami chodziła siedzieć z ojcem. Znosił Kelly'ego, który go kąpał i ubierał, więc kiedy przychodziła, wyglądał elegancko. Siadała obok niego przy jego biurku i używała ekranów do omawiania prostych dowodów matematycznych lub schematów dawnych bitew. Czasami kiwał głową na obrazy, jakby pogrążył się w głębokim namyśle. Czasami klepał powietrze wokół jej głowy, jakby coś tam widział.

Stwierdziła, że naprawdę na niego patrzy. Gapi się. Policzki miał pobrużdżone po starych bliznach opryszczkowych. Na skroniach przerzedzały mu się włosy. Skóra pod szczęką zmiękła z wiekiem. Były też inne rzeczy. Opalizacja, która czasami nadawała jego skórze blasku podobnego do masy perłowej, a kiedy indziej prawie znikiała. Ciemność w oczach, jak burzowe chmury.

Im bardziej się przyglądała, tym mniej przypominał jej ojca – wielkiego człowieka z pewnością siebie boga, kroczącego przez wszechświat i jej życie prywatne – a bardziej wydawał się... po prostu kimś. Najgorsze były chwile, gdy wyglądał na smutnego. Albo przestraszonego. W zasadzie nie zauważał, gdy płakała.

Ilich robił, co mógł.

– Przepraszam, że nie byłem tak dostępny od kiedy... Cóż. Od kiedy.

Siedzieli przy fontannie, przy której uczył ją o wyporności. Jak sprawić, by coś cięższego od wody pływało po niej przez uczynienie go pustym. Patrzyła na falującą powierzchnię wody i zastanawiała się, czy teraz by się po niej unosiła.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała. – Rozumiem.

Jego skóra wyglądała szaro, oczy miał wodniste od wyczerpania i stresu. Uśmiechał się dokładnie tak samo, jak zawsze. Wcześniej sądziła, że po prostu się jej nie boi, ale teraz uśmiech wydawał się po prostu wyćwiczony.

– To może nie pomóc – powiedział – ale część tego, co czujesz, jest całkowicie normalna. Każdy doświadcza takiej chwili, gdy uświadamia sobie, że jego rodzice są tylko ludźmi. Te mityczne istoty

będące podstawą ich życia także się z nim zmagają i zgadują. Robią, co mogą, nie wiedząc na pewno, co jest najlepsze.

Gniew w piersi Teresy był pierwszym ciepłym uczuciem, jakiego doznała od wielu dni.

– Mój ojciec jest przywódcą rasy ludzkiej – odpowiedziała.

Ilich się roześmiał. Czy zawsze robił to właśnie w ten sposób, czy dopiero teraz to zauważała?

– Tak, to zmienia pewne aspekty sprawy. Ale nie chcę, żebyś czuła się samotna.

Nie powiedziała: „Czy wziął pan pod uwagę nieosamotnienie mnie? Czy liczy się tylko uczucie?”.

– Wiem, że konieczność dochowania tajemnicy jest trudna – powiedział. – Jedynym powodem, dla którego to robimy, jest fakt, że ty i ojciec jesteście tacy ważni.

– Rozumiem – odpowiedziała i wyobraziła sobie, jak by wyglądał, gdyby utopiła go w fontannie. – Nic mi nie będzie.

Nie spała tej nocy. Zaraził ją gniew, który tak bardzo zaskoczył ją w Elsie Singh. Gdy tylko położyła głowę na poduszkę i zamknęła oczy, znalazła się w głośnej kłótni z Ilichem. Albo Cortázarem. Jamesem Holdenem. Ojcem. Connorem. Muriel. Albo z Bogiem. Nawet gdy trochę zdołała przysnąć, budziła się po paru minutach, czując ból szczęk od kurczowego zaciskania zębów. „Serio? Jesteś jedną z najbardziej gniewnych osób, jakie znam, Tycia”, powiedział w jej wspomnieniach Timothy. Teraz miała wrażenie, że to prawda.

Poddała się po północy. Piżmak dwa razy uderzyła ogonem o podłogę.

– Z czego się tak cholernie cieszysz? – warknęła Teresa.

Piżmak przestała machać ogonem a jej szare psie brwi powędrowały do góry w wyrazie troski. Teresa włączyła państwowe wiadomości i przyglądała się, jak jeden z profesjonalnych głosów Lakonii wydaje uspokajające dźwięki. „Jest już prowadzona naprawa sieci przekaźników we wrotach i sieć łączności powinna zostać odtworzona w ciągu najbliższych tygodni. Niedługo potem zostanie wznowiony normalny handel między światami. Do tego czasu wysoki konsul ustala, które łańcuchy dostaw są kluczowe dla

imperium, i zatwierdza przeloty, indywidualnie rozważając poszczególne przypadki. Według Dyrektoriatu Naukowego tragedia w przestrzeni wrót, która pochłonęła życie tak wielu wiernych lakońskiej wizji, nie wykazuje żadnych oznak powrotu”. Kłamstwa, półprawdy, fikcje i bzdury.

W jej sercu wściekłość walczyła z cierpieniem, a za nimi większe od nieba poczucie przemożnej zdrady, której nie potrafiła ubrać w słowa.

Piżmak sapnęła z niepokojem. Teresa wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Nie wolno mi powiedzieć prawdy. Nie wolno mi niczego czuć. Nie wolno mi opuszczać terenu – powiedziała. – Niczego nie mogę zrobić. A wiesz czemu? Bo jestem taka ważna.

Wstała, podeszła do okna i je otworzyła. Piżmak popatrzyła na nią nerwowo.

– No? – rzuciła Teresa. – Idziesz czy nie?

* * *

Nigdy nie wychodziła na pole za murami w nocy. W ciemności teren wydawał się większy. Chmary drobnych owadopodobnych zwierząt poruszających się po ziemi jarzyły się we wzorach ruchomych pasków, a jej kroki znaczyły ciemne plamy na gruncie. Wśród nagich drzew szeleściły zimne powiewy wiatru. W oddali coś się odezwało głosem jak flet. Odpowiedziały mu dwa inne, dalej. Wiatr niósł zapach pieprzu i wanilii. Ilich powiedział jej kiedyś, że biochemia Lakonii tak bardzo różniła się od tej, w której ewoluowali ludzie, że ci ostatni mieli problem ze zrozumieniem jej, wymyślając ze zmieszania zapachy, których tak naprawdę wcale tam nie było. Ona jednak tu dorastała i wszystko wydawało się jej całkowicie normalne.

Piżmak truchtiała przy jej boku, co parę kroków zerkając w górę, jakby pytała: „Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?”. Teresa знаła

drogę na górę jak własną kieszeń. Nie martwiła się, że zejdzie ze ścieżki.

W jej wyobraźni Ilich złościł się i obrażał. Mówił, że zasady zostały ustanowione nie bez powodu. Dla jej bezpieczeństwa. Że nie może tak po prostu wychodzić i robić, co tylko zechce i kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota. Będzie wiedział, że wyszła, że zignorowała zasady. Po części dlatego warto było to robić. Co zrobi? Zamknie ją w pokoju? Kiedy ojciec wróci do siebie, Ilich będzie musiał rozliczyć się ze wszystkiego, co robił w międzyczasie. Ojciec wiedział, że wychodziła poza teren budynku, nie zatrzymywał jej, więc Ilich też się nie odważy. Wymyślał tylko zasady, których nie mógł wymusić. Prawo bez konsekwencji nie jest prawem, jest niczym.

Pierwszą oznaką zbliżania się było poruszenie w krzakach i patrzące na nią przepraszająco wyłupiaste fałszywe oczy dronów naprawczych. Wyemitowały swoją serię trzech opadających kliknięć, będącą oczywistym pytaniem, na które nie miała czasu ani odpowiedzi. Piżmak zwykle szczełała i próbowała się z nimi bawić, ale dzisiaj zwracała uwagę tylko na Teresę.

Drony podążyły za nią do kanionu. W głębszej ciemności trudno było zobaczyć ścieżkę, ale i tak szła do przodu. Teraz, gdy dotarła już tak daleko, zaczęły ją ogarniać wątpliwości. A co, jeśli wybrała złą jaskinię i wystraszy jakieś śpiące miejscowe zwierzę? Co będzie, jeśli nie zastanie Timothy'ego? Wysoko w górze falowały i jarzyły się orbitalne platformy konstrukcyjne. Jeśli spojrzeła kątem oka, mogła nawet dostrzec zarys *Zawieruchy*, trzeciego okrętu klasy *Magnetar*. A właściwie to nie, teraz był tylko drugim. Znowu odezwało się stworzenie o głosie fletu, tym razem bliżej. Pożałowała, że nie zabrała ze sobą jakiegoś źródła światła. Nie sądziła, że światło gwiazd będzie takie słabe.

Znalazła głębszy cień, który powinien być półką z piaskowca. Zanurkowała pod nią z wyciągniętą do przodu ręką. Wystarczyło zrobić jeszcze tylko kilka kroków i wreszcie zobaczyła światła jaskini. Było tu jaśniej i cieplej niż na zewnątrz. Albo wędrujące za nią drony naprawcze też weszły, albo były tu już inne. Nie potrafiła ich rozróżnić.

Jej serce przyśpieszyło. Była już prawie pewna, że za ostatnim zakrętem odkryje, że Timothy odszedł, a jego obóz zniknął.

– Timothy? – zawołała drżącym głosem. – Jesteś tu?

Z prawej dobiegł ją metaliczny dźwięk i z cienia wyłonił się Timothy z pistoletem w dłoni. Pokręcił głową.

– Musisz bardziej uważać, Tycia – powiedział. – Nie mam już takiego wzroku jak kiedyś.

Wyraz jego twarzy i swobodny sposób, w jaki trzymał pistolet, wydały się jej tak komiczne, że musiała się roześmiać. A kiedy już zaczęła, nie umiała przestać. Śmiech żył własnym życiem, wybuchając w niej rozbawieniem w niepowstrzymanych i gwałtownych atakach. Zmieszany wyraz twarzy Timothy'ego czynił wszystko jeszcze zabawniejszym. Wyła, chwytając się za boki i w pewnym momencie dotarło do niej, że to już nie jest śmiech, że po prostu płacze.

Timothy przyglądał się jej, jakby rodziła, a on nie był lekarzem. Wyraźnie rozumiał, że prawdopodobnie powinien coś zrobić, żeby jej pomóc, ale nie miał pojęcia, co takiego. W końcu to Piżmak podeszła i oparła ciężką, futrzaną głowę o głowę Teresy. Zużywszy gwałtowność emocji, tarła uszy psa przy akompaniamencie chóru zapytań dronów, świadoma, że coś w niej się zepsuło, ale nie wiedziała, jak można by to naprawić.

– No dobrze – odezwał się po chwili Timothy. – Ciężka noc. Rozumiem. Chodź głębiej. Możesz... Właściwie nie wiem, co możesz zrobić, ale chcę usiąść, więc chodźmy tam.

W drodze jej kończyny zrobiły się znacznie cięższe, ale na sercu było lżej. Jakby przebyła całą tę drogę, żeby ktoś zobaczył, jak łamie się jej serce, i choć właściwie nic się nie zmieniło, jednak było lepiej.

Duży mężczyzna usiadł na swojej pryczy i potarł oczy kostkami palców wskazujących. Usiadła naprzeciw niego na metalowej skrzynce, kładąc dłonie na podołku.

– No dobrze – odezwał się. – Właściwie to wcale nie wiem, jak się to robi, ale chyba powinienem zapytać. Co ci leży na sercu?

– Tyle się wydarzyło.

– Tak?

Powiedziała mu. Wszystko. Od planu „wet za wet” ojca z rzeczami ukrytymi we wrotach, do zniszczenia *Cyklonu*, konspiracji ukrywającej chorobę ojca i łagodnie rozbawionej nieobecności, którą się stał. Im dłużej mówiła, tym lżej się jej robiło na sercu. Timothy prawie się nie odzywał, zadając pytania tylko od czasu do czasu. Po prostu poświęcił jej całą uwagę i nie prosił o nic w zamian.

W końcu wyczerpała słowa. Wciąż czuła smutek w piersi, wciąż był ciężki, bolesny i dotkliwy, ale teraz znośny w jakiś sposób, którego wcześniej nie zaznała. Timothy przesunął dłonią po głowie. Towarzyszył temu suchy dźwięk, jak szorowanie po oknie. Od wejścia do jaskini dobiegło radosne szczekanie Piżmak.

– No tak, to wszystko jest wredne – skomentował. – Życie czasem takie jest.

– Ale będzie lepiej, prawda?

– Czasami. A czasem brodzisz tylko z jednej kupy łajna do drugiej.

– Wzruszył ramionami. – I co z tym zrobisz? I tak nie ma nic innego.

– Chciałam tylko...

Timothy uniósł rękę, nakazując jej milczenie. Piżmak znowu zaszczekała, tak jak na widok przyjaciela. I rozległy się też głosy. Timothy chwycił pistolet, z napięciem patrząc na wejście.

– Wszystko w porządku – powiedziała Teresa. – Chyba po prostu przyszli za mną.

Timothy przytaknął, ale miała wrażenie, że jej nie usłyszał.

– Przyszli za tobą.

– Mam nadajnik. Wszczepili mi go, możesz to sobie wyobrazić?

Na krótką chwilę szerzej otworzył oczy.

– Och, Tycia. Nie spodziewałem się, że tak się to skończy. – Zobaczyła coś w jego twarzy, ale nie potrafiła stwierdzić, czy to żal, rozbawienie czy oba te uczucia. Może rezygnacja. – Powinnaś się położyć na podłodze. Tak płasko, jak tylko możesz. I zasłoń uszy dłońmi, dobra?

– Kto tam jest? – zapytał ktoś od wejścia twardym i ostrym głosem.

– Nie, wszystko w porządku. Nie będą się na ciebie złościć – zapewniła Teresa.

Z mroku wyłonił się pułkownik Ilich z karabinem w dłoni. Tuż za nim szło trzech gwardzistów z Budynku Rządowego.

Zrobiło się bardzo cicho. Teresa poczuła rozkwitający nagle w sercu niepokój. Dotarło do niej, że coś tutaj bardzo źle zrozumiała. Że popełniła błąd, którego nie da się cofnąć.

– Ty! – warknął Ilich. – Odłóż broń! Odsuń się od dziewczyny!

– Zamknij oczy, Tycia. Nie chcę, żebyś to oglądała.

– Przestańcie – powiedziała Teresa. – To mój przyjaciel.

Grzmot pistoletu Timothy'ego był głośniejszy od wszystkiego, co dotąd słyszała. Jakby została uderzona ze wszystkich stron naraz. Sam dźwięk był rodzajem przemocy. Padła na kolana, przyciskając dłonie do uszu. Całą przestrzeń wypełniły strzały. Ilich pobiegł w jej stronę ze strachem w oczach i przycisnął ją do ziemi, zasłaniając swoim ciałem.

Timothy krzyczał jak zwierzę – głęboko i z furją. Przecisnął się obok niej, obok Ilicha i pognął w stronę gwardzistów, jakby mógł ich odepchnąć. Jego szarża sprawiła, że najbliższy z nich chyba zapomniał o trzymanej broni. Spróbował złapać Timothy'ego, ale ten chwycił jego nadgarstek, jakby należał do niego i przesunął, aż coś trzasnęło. Ilich znowu pchnął ją w dół i musiała mu się opierać, żeby coś widzieć. Kolejny wystrzał. Ktoś krzyknął, nie Timothy. Teresa przekręciła się pod kolanem Ilicha, próbując wypatrzeć w mroku Timothy'ego. Udało jej się podnieść głowę na tyle, żeby zobaczyć go w chwili, kiedy na jego nodze wykwitła rana. Upadł, a jaskinię za nim spryskała czerwień. Timothy leżał, drgając, w szybko rosnącej kałuży swojej krwi. Próbował wstać, jakby nie wiedział, że jego noga została roztrzaskana. Wyszczерzył zęby z bólu i złości, kierując pistolet w stronę Ilicha.

– Nie! – krzyknęła. Poczowała drgania w gardle, ale nie usłyszała własnego głosu.

Ktoś wystrzelił dwa razy. Pierwszy pocisk zerwał czubek głowy Timothy'ego, drugi zrobił dziurę w jego piersi. Timothy padł bez ruchu. Cisza, jaka zapadła, dźwięczała jak dzwon.

– Co zrobiłeś? – powiedziała. Nie wiedziała, do kogo kieruje to pytanie.

Ilich dźwignął ją na nogi. Ścisnął w dłoni jej koszulę na plecach jakby była uchwytem i zaczął ją przepychać obok ciała Timothy'ego.

– Wycofać się – polecił Ilich. – Wycofać się do samochodu! Mamy dziewczynę.

Teresa skręciła, próbując wrócić do jaskini. Timothy był ranny, musiała mu pomóc. Ilich szarpnięciem ustawił ją z powrotem.

– Stevens jest ciężko ranny – odezwał się jeden z gwardzistów.

– Ponieście go, nie możemy tu czekać. Nie wiemy, czy cel był sam. Musimy wydostać stąd dziewczynę.

– To mój przyjaciel! – krzyknęła Teresa, ale Ilich jej nie usłyszał albo go to nie obchodziło.

Nocne powietrze było już zimne. Widziała swój oddech w blasku samochodu, którym przyjechali gwardziści. Ilich wcisnął ją na tylne siedzenie, a potem usiadł obok niej. Rannego gwardzistę położyli z tyłu dużego pojazdu. Jęknął, gdy samochód szarpnął się na wstecznym. Ilich oparł się o nią, mówiąc coś szybko cichym głosem. Nie słyszała za dobrze, więc dopiero, gdy przesunęła się na tyle, by zobaczyć jego wargi, zrozumiała, że mówi „kurwa kurwa kurwa kurwa...”. Zobaczyła krew na jego szyi, gęstą i ciemną.

– Sir! – odezwał się kierowca. – Dobrze się pan czuje? Został pan trafiony.

– Co? – odpowiedział Ilich, a potem zwrócił się do niej. – Jesteś cała, Teresa? Powiedz mi, że jesteś cała!

Półciężarówka podskoczyła na wyboju, a z niej opadł nagle związany z tym wszystkim szok. Zrozumiała, co się właśnie wydarzyło. Zacisnęła pięści i wrzasnęła.

* * *

W szpitalu było cicho. Trzęsła się. Byli tam Cortázar, Trejo i Kelly, stojąc w przedpokoju i rozmawiając przyciszonymi, pełnymi napięcia głosami. Ilich leżał podłączony do automatycznego lekarza na sąsiednim łóżku, z bandażem na ramieniu i szyi. Niedługo nadejdzie świt. Nie przejmowała się tak bardzo, jak się spodziewała.

Automatyczny lekarz podał jej do krwi coś chłodnego. Może kolejną porcję środka uspokajającego. Jej myśli przez to zmętniały, ale nie chciało jej się spać. W zasadzie podejrzewała, że już nigdy nie uśnie.

Kiedy otwarły się drzwi, do środka wszedł Trejo. Miał na sobie szarą flanelową piżamę o rozmiar za małą dla jego brzucha. Nie wyglądał jak potajemny władca ludzkości, raczej jak rozespany wujek. Przyciągnął sobie krzesło do jej łóżka, usiadł i westchnął.

– Teresa – odezwał się surowo. – Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o mężczyźnie w jaskini. Co ci powiedział, co ty jemu powiedziałaś. Wszystko.

– To mój przyjaciel – odpowiedziała Teresa.

– Nie był nim. Mamy dane z kamer Ilicha i jego ludzi. Dane rozpoznawania twarzy są zgodne z... z danymi z plam krwi. Wiemy, kim był, i gdy tylko zabezpieczymy perymetr i wyślemy ekipę sprzątającą do tej cholernej jaskini, może zyskamy jakieś pojęcie, co on tam robił. Ale muszę dowiedzieć się wszystkiego od ciebie. Teraz.

– Miał na imię Timothy. Był moim najlepszym przyjacielem.

Trejo mocno zacisnął zęby.

– Nazywał się Amos Burton. Był terrorystą, mordercą i mechanikiem na statku Jamesa Holdena, a oprócz tego najwyraźniej od wielu miesięcy pijał herbatkę z córką wysokiego konsula. Podziemie może wiedzieć wszystko, co mu powiedziałaś, więc zacznij od początku, mów powoli, niczego nie pomijaj i powiedz mi, co, do ciężkiego chuja, nam zrobiłaś.

Rozdział dwudziesty ósmy

Naomi

Najbardziej zaskoczyło ją, jak szybko się to stało. Jak niewiele wysiłku musiała włożyć w przekonywanie ludzi. Zakładała, że Emma i Chava zgodzą się, bo znają ją osobiście, bo łączy je wspólna historia. I może ich kontakty będą skłonne nawiązać kontakt i z nią, ponieważ zaręczały za nią znane, bezpieczne członkinie ruchu oporu. Spodziewała się, że dalej będzie trudno – a często wręcz będzie to niemożliwe – przekonać ludzi w sieci Saby, żeby się jej ujawnili. Wszystkim w podziemiu groziła śmierć, może nawet coś gorszego. Wszyscy będą równie ostrożni, jak ona byłaby na ich miejscu.

Nie uwzględniła faktu, że jest Naomi Nagatą, a strach skłania ludzi do szukania przywódców. Emma miała pięć kontaktów w podziemiu. Troje znajdowało się na statkach w innych układach, ale jedna była techniczką na planetarnej stacji transferowej Auberona, a drugi inżynierem na statku Związku Transportowego, obecnie przebywającym w układzie. Chava miała bardziej lokalne kontakty. Lekarka w jednym z większych szpitali na powierzchni planety. Agent podatkowy i księgowy śledczy na kontrakcie dla Lakonii. Kierowniczką modnego burdelu w centrum rządowym. Mąż specjalisty zajmującego się ochroną, zatrudnionego przez Lakonię do obsługi i ochrony systemów identyfikacji biometrycznej. Niektórzy z nich byli izolowanymi węzłami sieci, inni przywódcami komórek z czterema lub pięcioma kontaktami, z których niektórzy

znali jeszcze parę osób i tak dalej, aż zaczęła mieć wrażenie, że podziemie ma przynajmniej tylu oddanych mu ludzi, co gubernator.

Co było złudzeniem, ale potężnym.

– Problem w tym, że gnidy przyleciały jak powódź, nie? – powiedział siedzący naprzeciw niej mężczyzna. Był inżynierem łączności pracującym w niezależnej spółdzielni projektowej, której zlecono zbudowanie operującej na wiązkach kierunkowych sieci wzmacniaczy i przekaźników dla wciąż niezbadanego układu Auberona. Przedstawił się jako Bone, ale Naomi była przekonana, że to przydomek, który sam sobie nadał. – Przytłaczająca siła Lakonii. Niepowstrzymani. I tak, to prawda, ale rzekę też można bić do upadłego, a i tak nie zmieni się jej koryta.

– Nie wiem – odpowiedziała Naomi.

Jeśli ją usłyszał, nie przeszkodziło mu to. Niektórzy ludzie robili się gadatliwi, gdy zjadały ich nerwy.

– To tylko jeden układ, na dodatek wcale nie mają takiej dużej populacji. Nie mają innego wyboru jak poleganie na pomocy z naszej strony. A Lakonia... – Zaśmiał się. – Lakonia nie ma miejscowej tradycji radosnej korupcji. Nie spodziewają się jej i nie wiedzą, co z nią zrobić, gdy się z nią zetkną. Poza przykładowym karaniem ludzi w sposób, który cholernie wkurza ich rodziny.

– Daj im trochę czasu – skomentowała. – Nadrobią braki. Jeśli im pozwolimy.

Bone wyszczerzył się radośnie. Jego lewy górny kieł został ozdobiony tak, że wyglądał jak zrobiony z kamienia. Moda nigdy nie ustawała. Naomi cieszyła się, że to jedna z wielu rzeczy, którymi z wiekiem przestała się przejmować. Też się uśmiechnęła.

Publiczny park był kolejnym objawem sukcesu i bogactwa Auberona. Projektanci bazy księżycowej uwzględnili publiczne obszary i otwarte przestrzenie. Kopuła nad ich głowami znajdowała się pod powierzchnią księżycy, ale panele świetlne sprawiały, że wydawała się równie przestronna i otwarta jak resorty wypoczynkowe na Tytanie. Dzieci skakały w niskim ciężeniu, przeskakując od poprzeczki do poprzeczki w strukturze wspinaczkowej wznoszącej się prawie do połowy wysokości Rosa.

Przy pełnym ciężeniu upadek z tej wysokości byłby zabójczy, tutaj mógłby się skończyć najwyżej siniakami.

Fontanna obok wypełniała powietrze szumem kropel spadających spod sufitu i uderzających w skośną płytę, spływając potem do zbiornika z rybami. Było tu pięknie, ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że zupełnie tu nie pasuje.

– Przekażniki – powiedziała, sprowadzając rozmowę do zasadniczego tematu.

– Tak, tak, tak – rzucił Bone. – Mamy twój projekt. Sieć butelkowa jest w drodze. Wiesz, co mi się w niej podoba? Jest tania. Każdy statek blisko pierścienia wrót może wyrzucić coś takiego przez służbę.

– Bone wykonał gest pchnięcia tak wdzięczny, że wyglądał prawie jak taniec, a potem pstryknął palcami. – Zanim się zorientujesz, będziemy wymieniać świeże plotki.

– Priorytetem są Sol i Bara Gaon.

– Już przerzuciliśmy przez nie butelki. Wiedzą, że tu jesteśmy i co robimy. Teraz może się to już tylko rozszerzać.

– A Lakonia?

Bone wzruszył ramionami.

– Pewnie też rozmieszczają nowe przekażniki, ale jeszcze żadnego nie dostaliśmy, a Auberon ma pieniądze, więc...

Czyli powinni być priorytetem. I może nim byli, a inne komórki podziemia je niszczyły. Sieć butelkowa była powolna w porównaniu z transmisjami z prędkością światła, do których wszyscy tak się przyzwyczaili, ale też trudno było ją zatrzymać. Przekażniki przy wrotach były statycznymi, albo prawie statycznymi celami, łatwymi do identyfikacji i zniszczenia. To, co przez te wszystkie lata zapewniało im bezpieczeństwo i stabilność, to oczy Medyny w powolnej strefie oraz pewność, że wszelkie działania przeciwko nim zostaną zidentyfikowane i prześledzone do źródła. Bez oczu w powolnej strefie nagle praktyczne stało się coś, co wcześniej było niemożliwe.

– A nasza sieć lokalna? – spytała Naomi. – Nie do zniszczenia?

– Wszystko da się zniszczyć – odpowiedział Bone. – Na szczęście będą musieli się przy tym napracować, będzie wysiadać po kawałku,

więc wyłączymy ją, zanim wszyscy zostaną wystawieni.

To była właściwa odpowiedź. Gdyby powiedział, że są bezpieczni, ufałaby mu znacznie mniej.

– *Bien alles* – powiedziała i wstała.

Bone poszedł jej śladem, wyciągając rękę do uścisku z nerwowością podejrzanie przypominającą kult bohaterki. Uścisnęła jego dłoń. Cokolwiek przyniesie przyszłość, Bone będzie mógł przez nią iść, pamiętając, że ścisnął dłoń Naomi Nagaty. Nie podobało jej się poczucie, że nosi maskę założoną jej przez wszystkich innych, ale taką cenę musiała zapłacić za to, co wymagało zrobienia.

– Będę w kontakcie – rzuciła i rozeszli się w przeciwne strony publicznego parku.

Korytarze i przejścia bazy były szerokie i miały sufity dość niskie dla kogoś jej wzrostu. Identyczne białe płytki jarzyły się na ścianach i podłodze. Mogłoby tu iść obok siebie trzydzieści osób. Włożyła rękę do kieszeni i spuściła wzrok, starając się nie rzucać w oczy mijanym ludziom. Chodzenie pomagało jej myśleć.

Jej problem – podobnie jak przeciwnika – polegał na skali tego wszystkiego. Tysiąclecia ludzkiej historii rozgrywały się na powierzchni jednej planety. Załedwie kilka stuleci w pustce między światami. A wszystko to zdarzyło się przed jej narodzeniem. Znany jej wszechświat zawsze miał stacje wokół Saturna i Jowisza i skoczki skalne z załogami próbującymi zarobić na życie w Pasię. Prawie każda brama prowadziła do innego układu, równie rozległego i złożonego, ale bez ludzkości. Bez historii. Bez infrastruktury wszystkiego, co ludzie uznawali za oczywiste i na czym polegali.

Wszystko to wydawało się mniejsze, gdy w środku koła tkwiła oś, ale teraz każdy mógł przelecieć gdziekolwiek i nie było nikogo, kto mógłby to koordynować lub rejestrować. Im więcej o tym myślała, tym mniej realna wydawała się idea odbudowy infrastruktury w powolnej strefie. Medyna i *Cyklon* oraz flota unieruchomionych tam statków Związku Transportowego stanowiły dowód na to, że natura tej przestrzeni wcale nie jest łagodna. Umieszczanie tam stacji załogowej oznaczało ryzykowanie życia całej załogi. Z kolei

automatyczna byłaby wyznaniem wiary w bezpieczeństwo komputerów, które trudno było uzasadnić historycznie. Utrzymanie i obrona ponad tysiąca trzystu wrót od zewnętrznych stron stanowiły perspektywę radykalnie różną od utrzymywania jednej silnej pozycji w środku. Samo pilnowanie pierścieni wymagałoby największej floty zbudowanej przez ludzkość, a to w ogóle nie uwzględniało kontrolowania olbrzymiej przestrzeni ich Układów Słonecznych.

Duarte zdecydował się na strategię pozwolenia na autonomię lokalnych rządów pod warunkiem, że przestrzegały jego zasad. Wtedy wydawało się to przejawem wielkoduszności, teraz bardziej wyglądało na konieczność.

A do tego wszystkiego, upiorne słowa „stracono dwa pierścienie wrót”.

Musiał być taki moment, kiedy mogli odmówić. Kiedy ona, Jim i może garstka innych ludzi mogli spojrzeć na pierścienie wrót i czekający za nimi bezmiar, dostrzec niebezpieczeństwo i wycofać się po cichu. Były tam wszystkie znaki. Cywilizacja, która dysponowała całą tą potężną i niewyobrażalną mocą, została zmieciona jak liście na wietrze. Czemu oni uważali, że będą bezpieczni? Czy to wszystko było warte ryzyka?

Pojechała metrem do bloku Chavy, jakby miała pełne prawo tam być. Ludzie na stacji byli bardzo różni. Rozpromienieni, jadący do pracy na trzecią zmianę z kubkami herbaty w rękach. Wymęczeni po pracy na drugiej zmianie, wracający do domów na kolację. Garść młodych z pierwszej zmiany w ekstrawaganckich strojach po całonocnych imprezach. Naomi stała cicho na uboczu i doceniała urodę tego wszystkiego. Całą niewinność. Około stu osób, może mniej, czekających na metro na księżycu nad planetą krążącą wokół słońca, które ich nie zrodziło, i przepychających się, by jak najszybciej przejść przez drzwi i zdobyć dobre miejsce. Może było to najbardziej ludzkie zachowanie.

Młody człowiek w brązowej koszuli bez kołnierzyka popatrzył na nią gniewnie, jakby uznał, że się z niego naśmiewa. Przeprasząco kiwnęła głową i odwróciła wzrok.

* * *

Jej życie jako gościa Chavy było przyjemne. Budziła się w prawdziwym łóżku, brała prysznic wodą, która nie była w tym czasie dwukrotnie oczyszczana, jadła pokarmy o więcej niż jednym smaku. Długie miesiące spędzone przez Naomi w kontenerze z każdym dniem w coraz większym stopniu zaczynały nabierać charakteru duchowej pielgrzymki, podróży, która ją zmieniała. Wtedy wcale tak nie myślała.

Ich cykle powoli się rozeszły i nie spała jeszcze długo po tym, jak Chava szła do łóżka. Pracując, starała się zachować ciszę, ale pracowała. Ruch oporu na Auberonie był dobrze rozwinięty, ale do czasu, aż zdecyduje się obalić gubernatora i jego oficerów politycznych, miała ograniczone możliwości. Okopać się. Wybić więcej dziur w ich zabezpieczeniach. Jeszcze bardziej podkopać przeciwnika. Jednakże nie mogła się dowiedzieć niczego o szerszej strategii Lakonii. Byli odcięci w równym stopniu jak ona.

Ale wkrótce, zaledwie parę dni po tym, jak przez pierścienie przedostały się jej wiadomości, butelki zaczęły wracać. Docierały pojedynczo, tworząc strumyczek danych znajdujących drogę do układu. Raporty, prośby i wiadomości zaszyfrowane z użyciem najnowszych kluczy. Bara Gaon był zablokowany, ale ośrodki eksploracyjne wciąż działały autonomicznie. Nowy Albion skorzystał z okazji do przeprowadzenia akcji sabotażowej na lakońskiej stacji transferowej i teraz miejscowi byli celem polowania sił bezpieczeństwa. Statki Związku Transportowego zaczęły dokonywać awaryjnych przejść do układów takich jak Tabałta i Nadzieja, gdzie miejscowym groziła zapaść kolonii. Czuła się tak, jakby powoli zaczynała odzyskiwać wzrok po prawie całkowitym oślepieniu.

Wiadomość z układu Sol pochodziła z Kalisto, dane przesłano potajemnie do ośrodka danych na Ceres i przepakowano do butelki na statku Związku Transportowego w pobliżu wrót Sol. Była skierowana do niej.

Bobbie na ekranie wyglądała na ponurą i zmęczoną. Na jej twarz wkradła się szarość, a grube mięśnie szyi się uwypukliły. Artefakt deszyfracji zablokował róg obrazu, przez co część jej ramienia wyglądała jak zamrożona w czasie, gdy reszta mogła się swobodnie poruszać.

– Cześć. – Bobbie zwróciła się do kamery, a Naomi na chwilę ogarnęło poczucie samotności, z którego dotąd nie zdawała sobie sprawy. Poczowała wspomnienie ostatniego uścisku przed opuszczeniem Sol i było ono dla niej bardziej realne i żywe niż ostatnia rozmowa z Jimem. – Mam coś. Moim zdaniem to okazja, ale Aleks chciał, żebym to z tobą skonsultowała.

Naomi słuchała, jak Bobbie relacjonuje sytuację. *Burza* uwięziona w układzie Sol, najpierw przez katastrofę w powolnej strefie, teraz przez obecność *Nawałnicy*. Antymateria.

Poczowała, że zapada się w analityczny stan umysłu, który towarzyszył jej przez cały czas życia w kontenerze. Ledwie się z niego wydostała – kilka tygodni na *Bhikaji Cama* i teraz pobyt u Chavy – więc powrót do tamtego wydał się zimny i ograniczający. Jej umysł analizował implikacje planu Bobbie: narażenie *Burzy*, kontrola, która spadnie na bazy księżyców Jowisza, i praktyczne skutki utraty przez Duarte'go drugiego okrętu klasy *Magnetar*.

I kiedy to robiła, jakaś jej część opłakiwała.

Opłakiwała dzień, w którym weszła do kontenera i poświęciła się życiu kamyka w grze w trzy kubki, bo był też dzień, gdy zostawiła za sobą *Rosynanta*. Wtedy miała wrażenie, że czuje ulgę, jakby jej duszę zdarto do krwi, a kontener był jej bandażem. Przez całe życie przeżywała nieprzeżywalne przez chowanie się i kulenie. I za każdym razem wracała uleczona. Czasami z bliźniami, ale uleczona.

Wystarczyło kilka kontaktów z ludźmi, by dowieść jej, że Naomi, która uciekła do kontenera, nie była tą samą, która się z niego wyłoniła. Upłynął czas i znalazła cały spokój, jaki mogła znaleźć.

Przejmując rolę Saby, zrobiła to z konieczności, ale także dlatego, że była na to gotowa. Dopiero po fakcie zaczęła dostrzegać, czym byli przywódcy, jakiej ceny wymagało to stanowisko.

Zaczęła szumieć woda, a w pokoju Chavy otworzyły się i zamknęły drzwi. Obudziła się i brała poranny prysznic. Naomi wkrótce będzie musiała położyć się spać. Ale mogła też bezpiecznie odpowiedzieć na wiadomość Bobbie, nie będąc nieuprzejmym gościem. Zabawne, że takie rzeczy stały się istotne.

Ustawiła swój ręczny terminal kamerą na swoją twarz, a potem użyła filtra zabezpieczającego do usunięcia tła. Jeśli sygnał zostanie przechwycony, nie zostaną w nim ślady prowadzące do Chavy. Przez filtr Naomi wyglądała, jakby unosiła się w pustce. Włączyła nagrywanie.

– Cześć, Bobbie. Twój plan... wygląda dobrze. Wiem, że nie za tym argumentowałam podczas naszej ostatniej rozmowy, ale sytuacja się zmieniła. Właściwie to kilka sytuacji. Wciąż uważam, że kluczowe są działania polityczne do osiągnięcia pokojowego rozwiązania, ale jeśli istnieje szansa na zrobienie tego bez okrętu klasy *Magnetar* trzymającego but na gardle Sol, będzie dużo łatwiej. Gdyby to był tylko statek, chyba wciąż miałabym wątpliwości, ale masz rację, Duarte zrobił z *Nawałnicy* symbol. Nieczęsto mamy okazję zniszczyć przekaz opowiadany na swój temat przez wroga. Dobrych łowów. Kocham cię.

Zamknęła wiadomość, przesłała do lokalnego szyfrowania i wstawiła do kolejki wiadomości przesyłanych do Bone i jego sieci w układzie. Może minie parę dni, nim zostanie załadowana do butelki i przesłana przez wrota. Zaczęła stukać palcami w stół, pragnąc ją cofnąć. Wciąż miała możliwość ją zatrzymać. Już niedługo nie da się tego zrobić.

– Cześć – przywitała ją Chava, wychodząc z sypialni. Była już ubrana do pracy. Elegancki, profesjonalny strój, skromna fryzura. – Co porabiasz w ten piękny poranek?

– Głównie wątpię we własne decyzje – odparła Naomi. – I dla mnie to chyba wieczór, ale zrobiłam ci kawę.

– Jesteś miłą i bardzo czynną kobietą – odpowiedziała Chava, nalewając sobie kawę do kubka. Strumień lejącego się z dzbanka napoju przypominał powolną fontannę. – Ale będziesz miała problemy z analizą ruchu.

– Chodzi ci o to, że do i z Auberona dociera znacznie więcej butelek niż w przypadku każdego innego układu? – spytała Naomi. – Tak, to problem. Czy to sugestia? Wiem, że nie szukałaś współlokatorki.

– Możesz tu zostać tak długo, jak długo będzie to rozsądne, ale może nie dłużej? – Uśmiech Chavy zbladł. – Co się dzieje?

Naomi się zaśmiała.

– Poza tym, że może właśnie wysłałam dwoje bardzo bliskich mi ludzi prawie na śmierć? – Przetarła oczy. – Szlag.

Chava odstawiła kubek i wzięła dłoń Naomi w swoje ręce. Dotyk jej palców na skórze był czymś prawie zbyt silnym, by Naomi mogła to znieść, ale chwyciła się Chavy, jakby była liną.

– Całe życie spędziłam, próbując nie być pewnym typem osoby – powiedziała. – Próbując nie podejmować pewnych rodzajów decyzji. A jednak tym się właśnie teraz stałam.

Przez chwilę obie milczały. W końcu Chava odezwała się lekkim tonem, prawie konwersacyjnym.

– Kiedy jeszcze byłam praktykantką, w dawnych czasach, najtrudniejszym, co musiałam robić, było ręczne dokowanie. Za każdym razem, gdy nadchodził lot kwalifikacyjny, nie miało znaczenia, ile ćwiczyłam. Siadę za sterami, wyłączę automatykę i to ja będę wszystko kontrolować. Jedyne, co miałam w głowie, to „nie spieprz tego, nie spieprz, nie spieprz”. A potem wszystko pieprzyłam. Tak bardzo skupiałam się na tym, czego się bałam, że za każdym razem wpadałam prosto w objęcia tego.

– Czy ty próbujesz poprawić mi nastrój?

– Nie – zaprzeczyła Chava. – Jesteśmy na to za stare. Usiłuję cię przekonać, że nie jesteś z tym sama. To wszystko, co mam.

Coś poruszyło się w piersi Naomi. Uwolniło się jakieś wielkie uczucie. Przygotowała się na łkanie, ale z jej piersi wydobyło się tylko głębokie westchnienie. Marzenie wciąż tam było, tak naprawdę nigdy z niego nie zrezygnowała. Znajdzie sposób na zebranie rodziny z powrotem. Wszyscy przeżyją maszynkę do mięsa, jaką zgotowała im historia. W jakiś sposób wszystko będzie dobrze.

Był taki moment, nawet nie tak dawno temu. Wystarczyło tylko się ujawnić, przyjąć zaproszenie Duarte'go i zostawić walkę za sobą. Nie do końca pamiętała, jak zdecydowała się na tę ścieżkę, ale widziała teraz, że to zrobiła. Nie mogła winić nikogo poza sobą. Przywołała marzenie o budzeniu się przy boku Jima. Piciu z nim kawy. Słyszaniu, jak Aleks i Amos żartują przez szum otaczającego ich *Rosynanta*. Odpuściła je.

Ścisnęła dłoń Chavy i ją też puściła.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Elvi

Siedziała z tyłu samochodu. Kierowca był młodym mężczyzną z krótko przyciętymi, gęstymi, kręcącymi się włosami. W zasadzie widziała głównie jego kark. Budynek Rządowy zostawał za nimi, a wokół rozciągało się samo miasto. Wciąż pamiętała pierwszy raz, gdy je widziała, sprowadzona przez bardzo uprzejmych żołnierzy zachowujących się jak obsługa luksusowego hotelu, tylko z bronią. Ulice były szersze niż w którymkolwiek z odwiedzanych przez nią miejsc, z trawnikami po bokach. Piękne budynki sięgały wysoko, z oknami zbierającymi energię słoneczną i ogrodami na dachach, jakby Frank Lloyd Wright narodził się na nowo i projektował wieżowce. Skala miasta była olbrzymia i chełpliwa. Pamiętała, że za pierwszym razem czuła się przytłoczona.

Teraz wszystko to wydawało się dziwnie kruche. W stolicy mieszkały miliony ludzi, choć prawie nikt nie przebywał tu dłużej niż dziesięć lat. Dla jej kolumny zatrzymywano ruch i widziała, że zwykli ludzie – cywile, obywatele i wojskowi o statusie niższym od niej – wykręcali szyje, oglądając jej przejazd i próbując zgadnąć kim jest i czy powinni się cieszyć na jej widok. Nie było tu żadnych pomników, reklam ani starych dzielnic. W zasadzie tego nie znosiła.

– Chciałaby pani wody? – zapytał kierowca.

– Nie – odpowiedziała Elvi. – Dziękuję.

Kiwnął głową, nie oglądając się na nią. Zapadła się trochę głębiej w miękkie siedzenie i spróbowała rozprostować nogę. Nie pomogło

na ból.

Laboratoria były olbrzymie. Technicznie rzecz biorąc, były częścią Uniwersytetu Lakonii, ale zarządzano nimi jak obozem wojskowym. Warta przy bramie wpuściła ich do środka bez sprawdzania, a samochód pojechał krętą drogą przez kampus, kierując się do Stodoły. Zajęła palce laską. Po ostatnim zakręcie w polu widzenia pojawił się mężczyzna, wyraźnie na nią czekając. Charakterystyczna była ulga, którą poczuła, odkrywając, że to nie był Paolo Cortázar.

– Doktorze Ochida – przywitała go, wychodząc z samochodu.

– Doktor Okoye. Dobrze mieć panią z powrotem. Słyszałem o pani pracy polowej. Muszę powiedzieć, że nie przekonała mnie pani do porzucenia spokojnego laboratorium.

– Cóż, dane były ciekawe – skomentowała, ruszając chodnikiem prowadzącym do Stodoły.

Była to ciemna kostka bez okien, wzmocniona przeciwko atakowi nawet w samym sercu imperium, gdzie wydawał się on niemożliwy. Mówiono, że Bóg nie gra w kości, ale gdyby to robił, wyglądałyby jak Stodoła. Olbrzymie, kanciaste i enigmatyczne.

– Słyszałem, że wysyłają panią do najświętszego ze świątyni – powiedział Ochida. – Paolo bardzo osobiście traktuje swój projekt starzenia komórkowego.

– Nie ja o tym zdecydowałam.

– Wysoki konsul robi, co zechce – skomentował Ochida, gdy dotarli do wartowników.

Elvi podała im swoją plakietkę identyfikacyjną i poddała się weryfikacji. Skaner tylko dotknął jej nadgarstka, ale miała wrażenie, że naruszył ją w głębszym stopniu.

– Potężnym i bogatym zawsze brakuje cierpliwości – odpowiedziała. Wartownicy rozstąpili się i pozwolili im przejść. Z chwilą otwarcia drzwi rozległo się ciche pyknięcie i powietrze wdarło się do środka wraz z nimi. Wewnątrz kolejne procedury bezpieczeństwa przedmuchały ich powietrzem i zeskanowały każdy milimetr ciała, zanim otworzyły się wewnętrzne drzwi.

W środku Stodoła wyglądała prawie kojąco. Przypominała ten rodzaj laboratoriów, w których pracowała z przerwami przez

dziesięciolecia na różnych uniwersytetach i w placówkach badawczych. Procedury bezpieczeństwa rozwieszono na ścianach jaskrawymi czcionkami w sześciu językach. Powietrze pachniało mydłem fenolowym i płuczkami oczyszczającymi.

– Zapraszam – powiedział z uśmiechem Ochida. – Oprowadzę panią.

Nie przyzwyczajaj się zbyt, powiedziała sobie Elvi. To nie twoje podwórko. Nie jesteś tu bezpieczna.

* * *

– Odbyłem właśnie bardzo ciekawą rozmowę – powiedział Fayez w dniu, gdy przydzielono jej to zadanie.

– Mogłabym powiedzieć to samo – odparła. – Ale moja jest tajna, więc ty pierwszy.

– No cóż, mówił bardzo wymijająco, ale mam wrażenie, że nasz stary znajomy Holden powiedział mi właśnie, że Cortázar planuje morderstwo.

Elvi się roześmiała, bo stwierdzenie było zbyt straszne, by pasować do przyjemnych okoliczności, i człowiek czasem reagował w taki sposób.

– Nie jestem pewna, czy potrafię teraz sobie z tym poradzić – odpowiedziała. – Naprawdę to zrobił? – zapytała po chwili.

Fayez wzruszył ramionami.

– Właściwie to nie, nie powiedział. Bardzo starannie i *konkretnie* tego nie powiedział. Odbyliśmy bardzo miłą rozmowę na temat istotności uczenia dzieci o ujemnej przestrzeni jako narzędzia analizy politycznej. Potem rozmawialiśmy o wszystkich kierujących pracami badawczymi oprócz Cortázara, a on znacząco patrzył mi w oczy. A potem dokonał dziwnego przejścia do historii walk o władzę na starej Ziemi, skupiając się na Ryszardzie Trzecim.

– To... dość niejasne.

– Nie aż tak niejasne. Shakespeare napisał o nim sztukę.

– Jak się nazywała?

– *Ryszard Trzeci* – wyjaśnił usłużnie. – Dobrze się czujesz?

Oparła mu głowę na ramieniu. Był cieplejszy niż zwykle, ale podczas odrastania kończyny niewielka gorączka była czymś normalnym.

– Nie studiowałam teatrologii i miałam długi dzień. O co w tym chodziło?

– Richard był dupkiem i zabił mnóstwo ludzi, ale w szczególności parę dzieciaków. Dziedziców tronu, czy jakoś tak.

– Ty też nie studiowałaś teatrologii.

– Nie studiowałam.

Wysoko w górze cienka warstwa chmur przesunęła się przez gwiazdy, zasłaniając jedne i odkrywając inne. Elvi miała ochotę zamknąć oczy, usnąć tu na miejscu i obudzić się w ich kiepskim mieszkaniu na Ceres w czasach, nim pierwszy raz usłyszała o Lakonii czy Duartem. Wszystko, czego się dowiedziała, wszystkie pieniądze i cały status oraz odkrycia mogły zniknąć jak sen, a ona i tak byłaby szczęśliwa, gdyby tylko przepadła też cała reszta.

– Czyli ujemna przestrzeń, a potem wszyscy oprócz Cortázara i król, który zabił jakieś dzieci.

– Technicznie rzecz biorąc, księżę, który dochrapał się władzy, zabijając dzieci. Tak mi się wydaje.

– Świetnie – rzuciła.

– Czy Cortázar nie był jednym z ludzi, którzy pracowali dla Protogenu jeszcze przed Erosem?

– Podczas Erosa – skorygowała Elvi.

– Mówię tylko, że nie byłby to pierwszy raz.

– Stworzył katalizator – przypomniała Elvi. – Dla mnie. Ale to nie znaczy, że jestem morderczynią.

– Jasne – przyznał Fayeze, ale wiedział, że myśli „tylko że tak jakby jestem”. Do tego właśnie były potrzebne dziesięciolecia małżeństwa. Intymność i rozpoznawanie wzorców będące prawie odpowiednikiem telepatii.

Westchnął, przesunął się i objął ją jedną ręką.

– Może wyczytałem z tego więcej, niż faktycznie chciał powiedzieć. Po prostu wydawało się to dziwne i trochę nazbyt

oczywiste.

– Coś chciał przez to powiedzieć – zgodziła się Elvi. – Choć może nie dokładnie to, co wyczytałeś. Ale coś.

– Myślisz o odszukaniu go i zapytaniu?

– Owszem.

– Jeśli wyrażał się niejasno, bo Duarte ma na niego oko, nie będzie z tobą ani trochę bardziej otwarty niż ze mną.

Chyba że powiem mu, że Duarte w tej chwili niczego nie obserwuje, pomyślała Elvi. Ta idea zostawiła po sobie zimny ślad, który mógł być obawą, podnieceniem lub mieć w sobie coś z obu. Zaciekało ją, co pomyślałby Trejo, i czy Holden w ogóle był w kręgu zainteresowania nowego, tajnego cesarza.

– Może zdołam coś wymyślić – powiedziała.

I może by to zrobiła, gdyby tej nocy nie odkryli Amosa Burtona i jego kieszonkowej bomby, co jeszcze przed świtem doprowadziło do wtrącenia Holdena do więzienia.

* * *

Cortázar uśmiechnął się na jej widok, jakby to było coś, co zapamiętał, że ma zrobić. Elvi miała wrażenie, że jej ukłon w odpowiedzi był równie sztuczny, ale nie wiedziała, czy to zauważył, i nie przejmowała się tym.

– Mogę w czymś jeszcze pomóc, Paolo? – zapytał Ochida.

– Dziękuję, nie – odparł Cortázar. – Poradzimy sobie.

Ochida wyszedł. Wszystko w tej wymianie było całkowicie normalne i uprzejme, a jednak wyglądało jak groźba. Cortázar odwrócił się i ruszył w stronę metalowych drzwi. Musiała wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć.

– Przepraszam, że musieliśmy to przesunąć na po lunchu – powiedział. – Całe rano przesiedziałem w biurze ochrony, przeglądając wszystko, co zabrali szpiegowi.

– Amosowi Burtonowi – odparła Elvi. – Kelly mnie wprowadził. To trochę dziwne. Znałam go, oboje byliśmy na Ilusie w tym samym

czasie. Uratował życie mojemu mężowi.

– Cóż, miał ze sobą w tej jaskini kieszonkową atomówkę, więc... – Cortázar machnął ręką. – Rozmawiałem z zespołem analizującym rzeczy. Trejo dość uważnie przyjrzał się sprzętowi łącznościowemu i wygląda na to, że drań siedział tam już całkiem długo.

– Wiemy, czego chciał?

– Jeszcze nie, ale może jeszcze zdołamy go o to zapytać.

– Myślałam, że zginął.

– O rety, tak. Bardzo zdecydowanie.

– To jak?

Przystawił swoją plakietkę na smyczy do zamka i drzwi się otworzyły. Poszła za nim do ciemniejszego korytarza. Ściany tutaj były grubsze, wzmocnione. Otrzeźwiająca była myśl, że surowa protomolekuła w Stodole nie była najniebezpieczniejszą rzeczą w laboratorium.

– Ilich spieprzył to wszystko dość koncertowo – rzucił Cortázar. – W sumie to nie jego wina, nie wiedział, że nie wolno mu zostawić tam ciała.

Drzwi zamknęły się za nimi z głuchym dźwiękiem. Jak w więzieniu. Korytarz pełnił funkcję służby.

– Kiedy zastrzelili drania, Ilich zabrał wszystkich do ochrony małej księżniczki – wyjaśnił. Usłyszała pogardę w jego głosie i pomyślała o Ryszardzie III. – Powinien był zostawić kogoś, żeby pilnował ciała. Albo spalić je przed odejściem. Naprawdę nie jego wina. Zna zasady dotyczące dronów naprawczych, ale nie wie, skąd się wzięły.

Otworzyła się druga para drzwi, oświetlając korytarz.

– Nie rozumiem – przyznała Elvi.

– Zrozumie pani – rzucił Cortázar, wchodząc do swego prywatnego laboratorium. Drażnił się z nią.

Pomieszczenie było mniejsze. Rozpoznała część wyposażenia, takiego samego, jak w jej laboratorium egzobiologicznym – sekwensery macierzowe, analizator próbek proteomu, skanery podczerwieni i rezonansowe. Inny sprzęt był równie dziwny, jak dowolny z artefaktów obcych, z jakimi miała do czynienia. Cortázar

wszystko zignorował, podchodząc do przezroczystej polimerowej klatki o rozmiarach typowych dla używanych w badaniach nad małpami i dużymi zwierzętami.

– Trejo uważa, że dodanie do tego wszystkiego nowej pary oczu pomoże, ale tak naprawdę spędzi pani miesiące na nadrabianiu zaległości, zanim będzie pani wiedzieć dość, by zadawać rozsądne pytania. Ale tak na początek? To były oryginalne przypadki. Ziarenka piasku w naszej ostrydze.

W klatce siedziało dwoje dzieci: chłopiec mający może siedem lat i dziewczynka na granicy dojrzałości. Mieli całkowicie czarne oczy, jakby źrenice pożarły tęczę i białka. Dziewczynka wstała i podeszła do przodu klatki. Miała szarawą skórę i poruszała się prawie normalnie, ale gdy się zatrzymała, stała w upiornym bezruchu.

– Co... – zaczęła Elvi, ale nie wiedziała, jak zakończyć pytanie. Oczywiście słyszała o ciarkach przebiegających po ciele, ale dotąd zawsze sądziła, że to tylko taki zwrot.

– Za życia były Aleksandrem i Carą Bisset – wyjaśnił Cortázar. – Dzieci z pierwszej ekspedycji naukowej, która przybyła na Lakonię, zanim wysoki konsul sprowadził tu swoich lojalistów. Chłopak zginął w wypadku, dziewczynka zatrzymała się niedługo potem, próbując jeść miejscową florę. To właśnie się dzieje, gdy zostawi się martwe ciało w okolicy dronów naprawczych. No cóż, w każdym razie czasami. Nie zawsze zabierają się do naprawiania różnych rzeczy, ale kiedy już się wezmą... – Machnął ręką w stronę dzieci. „Wtedy dzieje się to”.

– Nie znam cię – odezwała się dziewczynka.

– Mam na imię Elvi.

– Jestem Cara. Ty też będziesz nas krzywdzić?

Och, pomyślał Elvi. Och, pieprzyć. Nie wiem, czego będzie potrzeba, ale gdy tylko stąd wyjdę, znajdę sposób, żeby absolutnie nigdy tu nie wrócić.

– Oryginalne ciała zginęły mniej więcej trzydzieści lat temu – powiedział. – Te artefakty, które zostały z nich zbudowane, są statyczne od chwili ich odkrycia.

– Czyli zawsze będą młode?

– No cóż. Zawsze będą wyglądać jak niedojrzałe istoty ludzkie – odpowiedział. – To niedokładnie to samo. W większości mają strukturę i biochemię podobną do oryginalnych ciał, tylko bardzo stabilną. Telomery nie ulegają skróceniu, mitozą może przebiegać w nieskończoność. Nie dochodzi do nagromadzenia starzejących się komórek ani płytek. Odpowiedź immunologiczna obejmuje kilka ciekawych, dodatkowych ścieżek i struktur. Naprawdę dobra robota.

– To fantastyczne – powiedziała Elvi. Jej słowa zabrzmiały jak ogłos kamieni wrzucanych do studni. Były głębokie i jakby puste.

– Właśnie z nich zrodziło się zainteresowanie wysokiego konsula nieśmiertelnością. Pomyślał, że gdybyśmy na podstawie tych próbek mogli poznać różnice w strukturach i funkcjonowaniu, a następnie za pomocą odwrotnej inżynierii dokonać tych zmian w żywym, a nie martwym ciele, tak jak koronka węglowo-krzemowa oparta jest na badaniach długotrwałych struktur architektonicznych... cóż, to byłoby ciekawe. Zacząłem od modeli zwierzęcych i dokonałem dostatecznych postępów, by odważyć się na badanie na ludziach.

Oparła się na lasce i zwalczyła zawroty głowy.

– Duarte się na to zgodził?

Cortázar odwrócił się i na nią popatrzył. Wyglądał na zmieszanego.

– Oczywiście, że tak, to była odpowiedź na jego największy problem. Jak utrzymać w całości imperium galaktyczne przez pokolenia? Powinien nim kierować ktoś, kto nie umiera. No i proszę. Rzeczy mające wszystkie cechy potrzebne, by się nie starzeć i nie umrzeć.

– Nie martwił się, że coś może... nie wiem. Nie udać się?

– Rozumiał, że wiąże się z tym pewne ryzyko, ale uznał, że jest uzasadnione możliwymi korzyściami. Zaczęliśmy bardzo ostrożnie, a wysoki konsul miał duże zaufanie do moich umiejętności.

– W porządku – stwierdziła Elvi. – Dobrze.

– I wszystko było w porządku, aż aktywowała pani to... – Wskazał ręką jej uszkodzoną nogę. – To działało. I wciąż może działać, przy odrobinie modyfikacji i nowym obiekcie.

– Ja niczego nie aktywowałam. To Sagale, wypełniając rozkazy – zaprotestowała, ale tak naprawdę pomyślała: „Nowy obiekt, taki jak Teresa”. Nie do końca pasowało.

Cortázar zwrócił uwagę z powrotem na dzieci w klatce.

„Nie, on chce tego dla siebie”.

– Oczywiście mam pełną dokumentację – zapewnił Cortázar. – Ma pani do niej dostęp w tutejszym systemie. Może ją pani analizować, jak długo zechce.

– Tutaj?

– Projekt nie wychodzi poza ten pokój. Wysoki konsul przekazał to bardzo jasno i nie wyobrażam sobie, żeby admirał Trejo chciał osłabić poziom zabezpieczeń.

Prywatne laboratorium było mniejsze niż jej biuro w Budynku Rządowym. Młodsze dziecko, chłopiec, podeszło i stanęło obok siostry. Elvi będzie przez nie obserwowana przez cały czas pobytu tutaj. Zainteresowała się, czy Cortázar urządził to w ten sposób, żeby czuła się niekomfortowo. Oraz czy informacje, które jej udostępnił, będą kompletne...

– Chwileczkę – rzuciła. – Ciało Amosa Burtona zaginęło.

– Szukają go teraz – przyznał Cortázar. – Dobrze będzie mieć dorosły obiekt do porównań. Oczywiście miałyby znacznie większą wartość, gdybym miał pełne skany i dokumentację medyczną z czasu przed modyfikacją trupa. Tak naprawdę tego nam potrzeba, żeby posunąć się do przodu, ale i tak dobrze będzie go mieć. Zaraz przy wejściu jest ubikacja, a jeśli będzie pani chciała coś zjeść, powinna to pani zrobić na zewnątrz. Jak dotąd mieliśmy tylko jeden przypadek niezamierzonego zakażenia protomolekułą, ale...

– Rozumiem – zapewniła i usiadła przy niskim monitorze. Krzesło zaskrzypiało.

– Zajrzę do pani później – rzucił Cortázar. Tym razem zapomniał o uśmiechu.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Elvi skupiła się na raportach i danych. Czuła się tak, jakby w głowie miała mnóstwo pszczoł. Tego wszystkiego było za dużo, przez co czuła się poruszona i nerwowa. Spodziewała się, że praca Cortázara odbije się od jej mózgu i zbierze

w kałużę na podłodze. Oczekiwanie, że się w nią zaangażuje, było proszeniem o zbyt wiele.

Kiedy jednak zaczęła się temu przyglądać, jej umysł się oczyścił i spłynął na nią znajomy spokój. Inni ludzie mogli szukać pocieszenia w objęciach ukochanej osoby lub kubku ziołowej herbaty – właściwie to ziółek, bo nie zawierała liści herbaty, choć ludzie i tak używali tego terminu, co Elvi zawsze uważała za interesujące. W jej głowie było tylko miejsce na naukę lub panikę. Nie potrafiła zajmować się oboma naraz, a nie lubiła panikować.

Pierwsze, co ją uderzyło, to fakt, jak naprawdę drobne były różnice. Cortázar nie był biologiem. Miał wykształcenie z nanoinformatyki, co z jednej strony w bardzo dużym stopniu się łączyło z zagadnieniami dotyczącymi genetyki, epigenetyki i dziedziczonych białek cytoplazmatycznych, ale brakowało mu podstaw w rodzaju anatomii. Tego, jak zmodyfikowano serca dzieci, dostosowując je do innej lepkości osocza, jak ich krew zmieniała się na bardziej wydajny, nieograniczony do krwinek analog hemoglobiny, i wszystkie inne usprawnienia oraz modyfikacje nie były w zasadzie zmianami rodzajowymi, tylko usprawnieniami.

Ewolucja była prowizorycznym procesem zapychania dziur i wiązania sznurkiem, wymyślającym głupie rozwiązania w rodzaju miesiączki czy przepychania zębów przez dziąsła dziecka. „Dobór naturalny” był terminem technicznym, obejmującym dużo więcej rozwiązań typu „od biedy wystarczy” niż jakiegokolwiek projektowania.

Kiedy się obejrzała i zobaczyła, że dzieci na nią patrzą, było pięć godzin później, noga bolała ją jak diabli, a strach zniknął. Szarość ich skóry była wynikiem zmian sposobu transportu krwi. Czerń oczu zasługą optycznej struktury dużo lepszej w zbieraniu światła. Cokolwiek działo się z nowymi typami neuronów w ich mózgach oraz w dodatkowej warstwie kory nowej ich mózgów, wciąż były tam stare, czysto ludzkie struktury.

Proces odtwarzania tych wszystkich zmian za pomocą narzędzi z arsenału protomolekuły był zapierającym dech w piersiach aktem pychy. Gdyby w tej rozmowie uczestniczył ktokolwiek poza Duartem

i Cortázarem, pojawiłby się akt oskarżenia. Dwóch ludzi, obu przeświadczonych o swej wyjątkowości, mogło przeskoczyć olbrzymią przepaść między „może to nie jest dobry pomysł” a „to całkowicie nielegalne”. Elvi nabrała przekonania, że Cortázar zazdrościł faktu, że Duarte zamierzał wrzucić do tego samego młynka własną córkę zamiast łańcuchowego naukowca.

Wstała, opierając się na lasce, i podeszła do przezroczytej klatki. Chłopiec się cofnął, jakby się jej bał, dziewczynka – Cara – została na miejscu.

Rozwój do postaci dojrzałej nie był tym samym co starzenie i śmierć, może drony po prostu tego nie rozumiały. A to niesło jakąś informację o tym, jak funkcjonowali projektanci protomolekuły, prawda? Fakt, że ich dzieła nie uwzględniały wzrostu i dojrzewania, sugerował, że pierwotni projektanci mieli tylko formy dojrzałe. Dorośli robiący dorosłych. Spróbowała sobie wyobrazić, jak mogłoby to wyglądać.

– Mogę cię o coś zapytać? – odezwała się Elvi.

Przez chwilę Cara stała nieruchomo jak kamień, a kiedy kiwnęła głową, było to jak ożywienie rzeźby.

– Czy ty i brat straciliście czas?

– Kiedy zdarzyło się to coś i widzieliśmy powietrze?

– Tak, wtedy.

– Nie wiem. Nie dał nam żadnego zegara.

– Czyli jesteście świadomi. Nie jesteście... Nie po prostu... Czy ty i brat jesteście istotami czującymi? Samoświadomymi?

Wielkie, czarne oczy zmieniły się. Zrobiły się błyszczące. Po policzku Cary spłynęła gęsta łza. Elvi położyła dłoń na ścianie klatki.

– Tak mi przykro – powiedziała. – Tak bardzo, bardzo przepraszam.

Rozdział trzydziesty

Bobbie

Nie mogła spać.

To było coś nowego, a przynajmniej nie pamiętała nic takiego z czasów młodości. Kiedy była w czynnej służbie w korpusie marines, potrafiła zamknąć oczy i stracić świadomość za każdym razem, gdy miała do tego okazję choćby na kilka minut. Idea leżenia na pryczy w przerobionym biurze i wpatrywania się w sufit przypięta luźnymi pasami, żeby w lekkim ciężeniu Kalisto nie wybić się z łóżka... Dla tamtej Bobbie Draper nie miałyby to sensu.

A jednak już trzy godziny od początku pory snu leżała, katalogując wszystkie mięśnie i zmuszając każdy napięty do rozluźnienia. Włączony monitor na powierzchni biurka rzucał w przestrzeń nad nią plamy światła i czerni. Zauważyła napięcie, które powróciło do barków, i zmusiła się do rozluźnienia ich po raz czwarty, piąty albo dwudziesty piąty. Zamknęła oczy i nakazała im tak zostać. Coś w korytarzu kapało. Kondensacja mogąca oznaczać usterkę w systemie ogrzewania lub wymiennikach powietrza. Spróbowała to zignorować.

Jej załoga rozproszyła się na stacji Kalisto i na *Burzy*, lub we własnych pryczach w złożonym kompleksie jaskiń przemytników. Nie czuła się dobrze, pozwalając na mieszanie się jej załogi z cywilami na stacji, ale też robiła się nerwowa, trzymając ich razem, gdzie stanowili jeden cel. Lakońskie siły ochrony

potrzebowały tylko jednego szczęśliwego przełomu, ona potrzebowała ich wszystkich.

Barki znowu się spięły.

– Kurwa.

Jedną ręką odpięła pasy i podniosła się z pryczy. Może godzina na siłowni *Burzy* pozwoli jej uporać się z bezsennością. Jednak po drodze do hangaru zatrzymała się przy biurku, ponownie sprawdzając, jak robiła to pięćdziesiąt razy dziennie. Mapę podzielono na dwa okienka. Mniejsze pokazywało względne położenia głównych elementów układu Sol, śledząc nieuchronne i przewidywalne zmiany kartografii. Większe zawierało szczegółową mapę układu Jowisza, z danymi kopiowanymi z rejestrów systemu kontroli ruchu. Na małym ekranie Jowisz i jego księżyce wyglądały łagodnie i spokojnie, sunąc przez bezmiar przestrzeni z zadumaną urodą nieuchronności. Z bliska bardziej przypominało to ul. Setki statków, od antycznych skoczków skalnych i szalup górniczych do *Nawałnicy* i wszystkiego pomiędzy.

Jej uwagę ściągała *Nawałnica*.

Trejo opuścił układ w jednym z szybkich lakońskich promów, lecąc do Lakonii z dużym ciągiem, by opanować kryzys w powolnej strefie. Z drugiej strony *Nawałnica* węszyła wokół księżyców Jowisza jak pies, szukając swojej antymaterii. Przez większość czasu znajdowała się na złożonej orbicie w okolicy Ganimedesa, choć raz zrobiła wycieczkę na Europę. W końcu przyleci na Kalisto i zmusi ją do działania. A do tego czasu najlepsze, co mogła zrobić, to pocieszać się wyobrażaniem sobie, że nowy lakoński wiceadmirał nie może spać na swojej pryczy, bo zaginął ładunek antymaterii wystarczający do rozbicia księżycy, a on miał ją znaleźć.

Dotknęła czerwonej kropki na mapie, oznaczającej *Nawałnicę*.

– Rób co chcesz, ale wiesz, ja będę lepsza.

Pojawiło się powiadomienie. Kanał wiadomości z Ceres z ważnym raportem. Otworzyła go i z ekranu popatrzył na nią z emocją młody mężczyzna z akcentem z Luny.

– Tu Davis Myles z *Rytmu Ceres*, a za moimi plecami widzą państwo, jak ochrona stacji we współpracy z lakońskim wywiadem

państwowym zabezpiecza przestępczych separatystów tutaj, w sercu Ceres, w ramach akcji nazywanej największym aresztowaniem od czasu, gdy koalicja przystąpiła do Lakońskiego Stowarzyszenia Światów.

Poczuła, jak znowu nasila się spięcie mięśni na plecach. Nie chodziło tylko o to, że każda strata dla podziemia oznaczała większe ryzyko dla niej i jej ludzi. Nienawidziła tego, jak na jej oczach przepisuje się historię. Stwierdzenie „Układ Sol przystąpił do Stowarzyszenia Światów” było cholernie wrednym sposobem, by powiedzieć: „Lakonia wysłała tu na wpół obcy okręt i zabijała tak długo, aż położyliśmy się brzuchami do góry”.

Nadchodził taki czas, gdy nawet przy braku wiadomości od Naomi będzie musiała znowu podjąć odwieczną ludzką decyzję: walka lub ucieczka. Strzeliła kostkami, słuchając, jak reporter relacjonuje liczbę aresztowanych osób i przejętej broni. Miała trzy opcje: zaatakować *Nawałnicę*, uciekać do wrót albo zniszczyć *Burzę* i rozpuścić załogę, wtapiając się w tłum cywilów. Każda z nich była sama w sobie zła.

– Komórka przestępcza została ujawniona dzięki odkryciu pakietu szyfrującego działającego w publicznym systemie – powiedział reporter i obraz przełączył się na kobietę o szerokiej twarzy z wzorem pieprzyków na policzkach, które wyglądały jak rozprysk farby.

– Aktywność oprogramowania deszyfrującego pokrywała się z rejestracją paczki danych wysłanych przez znane elementy separatystyczne – powiedziała, a Bobbie wyłączyła kanał.

Wywołała połączenie z Jillian. Jej zastępczyni odebrała je, jakby właśnie na nią czekała.

– Czy dotarła butelka? – zapytała Bobbie, nim Jillian zdążyła się odezwać.

– Tak – potwierdziła Jillian. – Mamy pełną kopię danych. Zamierzałam dać ci spać do czasu zakończenia odszyfrowywania.

– Robimy to w naszym własnym systemie, prawda?

– Widziałas ten program z Ceres – skomentowała pierwsza oficer.

– Durnie byli głupi i zginą. Bardzo dobrze. My nie jesteśmy głupi, my

nie zginiemy.

– Ile jeszcze, zanim dane będą czyste?

Jillian wzruszyła ramionami.

– Może z godzinę.

– Będę na siłowni – rzuciła. – Dasz znać, gdy tylko się odszyfrują. Zrozumiano?

– Tak, jasne – odparła Jillian, a Bobbie zamknęła połączenie.

Przepadła już wszelka nadzieja na sen. Jej nerwy jarzyły się jak gwiazdy. Znowu wywołała mapę taktyczną. Czerwona kropka *Nawałnicy* nadal znajdowała się w pobliżu Ganimedesa. Bobbie patrzyła na nią przez dłuższą chwilę, jakby jej dowódca mógł wyczuć jej uwagę i się jej przestraszyć. Wyłączyła ekran i poszła na *Burzę*.

Siłownia była jasna i czysta. Cały sprzęt został wykonany według marsjańskiego projektu dopracowanego przez lakońską technologię. Bobbie pogrążyła się w ćwiczeniach, jakby mogły pomóc jej zapomnieć, i przynajmniej w części się to udało. Siedziała w żelu oporowym od czterdziestu minut, gdy przyszła wiadomość od Jillian. Butelka pochodziła z Auberona, od Naomi. Zawierała odpowiedź, na którą czekała. Dysząca i mokra z wysiłku Bobbie otworzyła wiadomość.

Filtr tła sprawiał, że Naomi wyglądała, jakby znajdowała się w pustym białym pokoju. Jakby była aniołem wysyłającym wiadomość z jakiegoś abstrakcyjnego nieba. Zanim się odezwała, podświadomie przechyliła głowę do przodu, jak robiła zwykle, gdy przekazywała złe wieści.

– Cześć, Bobbie – zaczęła. – Twój plan... wygląda dobrze.

Bobbie wyszczerzyła się tak, że aż rozbolały ją policzki.

* * *

Podczas swoich ostatnich dni dziadek mówił czasami, jak dziwnie wyraźne stały się jego wczesne wspomnienia. Nie do końca potrafił zapamiętać imię swojego pielęgniarza ani kiedy ostatni raz go

odwiedzał, ale szczegóły dzieciństwa stały się bardzo żywe i dostępne. Jakby przeszłość nabierała sił w miarę, jak wyczerpywała się teraźniejszość i przyszłość. Opowiadał jej historię, jak pierwszy raz zobaczył żywego kota i jak dziwnie czuł się, trzymając go. Za każdym razem mówił o tym z takim samym zachwytem w głosie. Pamięć Bobbie tego nie robiła, przynajmniej jeszcze nie, ale może coś w tym było. Kiedy wezwała załogę z powrotem na *Burzę* na odprawę, potrafiła myśleć tylko o czasach, gdy służyła w marsjańskich marines.

Dowódcą jej pierwszego oddziału był sierżant Huk. Był o jakieś pół głowy niższy od niej, miał twarz wąską jak u teriera i rzadzące włosy. Nigdy wcześniej ani później nie poznała nikogo, kto tak potrafiłby wzbudzać w niej lojalność lub strach. Zaraz po podstawowym szkoleniu, gdy była jeszcze tak zielona, jak to tylko możliwe, zmienił ją w prawdziwą marine. Przed każdą odprawą dotyczącą misji znajdował sposób na potwierdzenie, że ją zauważył. Kiwnięcie głową, dotknięcie ręki lub ramienia. Coś znaczącego, że niezależnie od tego, co będzie dalej, nie ruszy w to sama. Nigdy nie upokorzył jej, mówiąc to na głos, i nigdy tego nie pominął. Kiedy przeszedł na emeryturę, dowiedziała się, że robił to samo dla wszystkich.

Teraz, gdy jej ludzie wracali na statek, zrobiła coś podobnego. Stała w śluzie, witając każdego wchodzącego na pokład. Timona Coula ze starym tatuażem rozerwanego kręgu SPZ rozmazanym przez czas tak, że stał się tylko plamą na wierzchu dłoni. Liese Chou o siwych włosach. Caspara Asoau wyglądającego jak nastolatek w otoczeniu dziadków. Denise Lu, Skaldi Austin-Beya. Iana Freemana. I prawie na końcu Aleksa Kamala. Aleks, jej najstarszy przyjaciel i mężczyzna, z którym podróżowała od tak dawna, jakby spędzili razem kilka żyć.

Wyglądał na zmęczonego, jakby obudziła go ze snu. Może tak było. Nie będzie narzekał. Stał na chwilę przed nią i na moment poczuła się tak, jakby znowu byli razem na *Rosynancie*. Jakby byli w domu. Dotknęła jego dłoni, a on kiwnął głową, jakby doskonale ją zrozumiał. I pewnie tak było.

Kiedy cała załoga zebrała się w kambuzie, wywołała swoją mapę układu. Zappełniła ścianę. Ktoś z tyłu odkaszlnął i dotarło do niej, że wpatrywała się w mapę przez kilka długich sekund. I że miała z tego frajdę.

– No dobra – powiedziała. – Dostaliśmy wiadomość z góry. Nowe zadanie. Wysokie ryzyko, duża nagroda. – Przełączyła obraz na zdjęcie *Nawałnicy*. Choć szczegóły *Burzy* były bardzo dziwne, jej zasadnicza architektura korzystała z tego samego języka projektowania, według którego przez dziesiątki lat budowano marsjańskie okręty przed latami głodu. *Nawałnica* była czymś zupełnie innym. Błada, asymetryczna, z wypukłościami i krzywiznami, które kojarzyły się z kręgiem jakiegoś potwora. – Zniszczymy to.

Odczekała chwilę, spodziewając się buntu. *Nawałnica* przygięła kark układu Sol i wydawało się, że nawet się przy tym nie spociła. Równie dobrze mogła powiedzieć „wywrócimy się wszyscy na lewą stronę i zmienimy w mewy” i brzmiałoby to równie realistycznie. Nikt nie zaprotestował, a patrząc na ich twarze, zobaczyła zainteresowanie. Oczekiwanie. Zobaczyła nadzieję i zrozumiała, że słusznie tego pragnęła.

– Mamy mały ładunek, który powinien to załatwić – oświadczyła, kiwając głową do Rini Glaudin na tyłach.

– Ładunek czego? – zapytał ktoś.

– *Magnetary* działają na antymaterię – wyjaśniła Bobbie. – Zaopatrzenie *Nawałnicy* znajdowało się na tamtym frachtowcu, który przejęliśmy.

– Jezu – rzucił Caspar.

– Dokładnie – zgodziła się Bobbie. – Ale dostarczenie ładunku będzie trudne, a mamy tylko jedną szansę. Podczas ostatniej misji oprócz antymaterii znaleźliśmy części do zestawów czujników bardzo podobne do tego, czego używa *Burza*. Analizowałam nagrania z bitwy i dobrze wiem, że według oficjalnej wersji *Nawałnica* zignorowała wszystko, co rzuciła w nią Koalicja Ziemsko-Marsjańska, ale...

Wyświetliła schemat. Z *Nawałnicy* wykwitły nakładające się pola, jak rozłożony przez pawia pióropusz. Zakresy zasięgu czujników. Dotknęła jednego i zniknął.

– Na podstawie trafień, które zaliczyła, i tego, jak od tamtego czasu się przemieszcza, uważam, że to ten węzeł, dla którego potrzebują części zamiennych. A jeśli nasze informacje są prawidłowe, to oznacza, że *Nawałnica* ma ślepe pole. Tutaj.

Przełączyła ekran, by pokazać wąski stożek czerni tam, gdzie nie sięgał wzrok okrętu przeciwnika.

– Dodatkowo, jeśli mamy rację odnośnie do ich zapotrzebowania na antimaterię, nie będą w stanie używać projektora pola. A to znaczy, że zostanie im tylko uzbrojenie konwencjonalne.

– Kapitanie? – odezwał się Caspar. Jillian skrzywiła się, jakby była gotowa go uderzyć, ale Bobbie kiwnęła głową, zachęcając go do mówienia. – Nie widzę... To znaczy... nawet jeśli to tylko torpedy i działa szynowe, nawet jeśli mają dziurę w danych...

– I tak mogą nas pokonać w otwartej walce i wciąż mogą zobaczyć, że nadlatujemy – dokończyła za niego Bobbie. – Więc pozwolimy im się zobaczyć. Weźmiemy prom z Kalisto. Prywatny, mały. Nawet nie musi mieć Epsteina. I ustawimy go... – Przełączyła się z powrotem na obraz Jowisza i jego księżyców. Pojawiła się tam jasnoniebieska kropka. – Tutaj. I na trajektorii orbitalnej wyglądającej, jakbyśmy lecieli na Amalteę. Na pokładzie dwie osoby z torpedą gazową. Owszem, są bardzo powolne, ale też lecą na zimno, praktycznie nie emitując żadnego ciepła.

– *Bist bien* – odezwał się Timon. – Puszczalem ich setki w dawnych czasach na Ceres, *sa sa?*

– Czy moglibyśmy nie przerywać kapitan? – Głos Jillian zabrzmiał bardzo ostro.

– Najtrudniejsze będzie skłonienie *Nawałnicy* do lotu w... taki sposób.

Pojawił się czerwony łuk zaczynający się przy Ganimesie. Linie opisywały czasy w poszczególnych punktach. Powiększyła, by pokazać, jak mały błękitny prom wpada w puste pole i długie sekundy, przez które tam zostaje.

– To nasze okno – oznajmiła Bobbie. – Nie wygląda na pułapkę, bo nie próbujemy się ukrywać. Znajdziemy się tam pierwsi i będziemy tylko częścią ruchu, więc potrzeba nam tylko przynęty. Czegoś tak ważnego, że *Nawałnica* poleci tam, dokąd będziemy chcieli. A tym czymś będzie *Burza*.

Dała im czas na przyswojenie informacji. Praktycznie widziała implikacje osiadające na każdej skierowanej w jej stronę twarzy. Podstępny cios. Jeden strzał, a jeśli zawiedzie, wszyscy tu obecni zginą. Podziemie straci swój jedyny okręt z lakońską technologią.

– Polecę promem z Rini jako techniczką. Jillian przejmie dowodzenie *Burzą*. – Te słowa sprawiły, że jej zastępczyni trochę bardziej się wyprostowała. Mocno zacisnęła zęby. Wyglądała jak pies myśliwski, który właśnie złapał trop. – Zadaniem *Burzy* będzie utrzymanie *Nawałnicy* na tym kursie, dzięki czemu prom pozostanie w ślepych polu wroga.

Siedzący z boku Aleks nachylił się. Trzymał ręce na kolanach, a wzrok spuścił na pokład. Nie wiedziała, o czym myśli.

– Jeśli ktoś nie chce brać w tym udziału – oznajmiła Bobbie – nie zamierzam go zmuszać. Mamy cztery dni do przygotowania promu i właściwego ustawienia orbit. Do tego czasu będę przyjmować rezygnacje. Żadnego lukrowania, to najniebezpieczniejsza rzecz, jaką robimy. Nawet jeśli wygramy, możemy ponieść straty. Potencjalnie bardzo ciężkie. Ale każdy z was ma moje słowo, że gdybym uważała to za beznadziejne, nie robilibyśmy tego. Wysłałam szczegółowe informacje dowódcom waszych zespołów. Zapoznajcie się z nimi, a jeśli będziecie mieć jakieś pytania, to, do cholery, pytajcie. Nie zepsujemy tego tylko dlatego, że ktoś skręci w lewo zamiast w prawo. Zrozumiano?

Rozległ się nierówny chór potwierdzeń.

– Zapytałam, czy zrozumiano!

Tym razem odpowiedź była głośna i chóralna. Wypełniła przestrzeń. Miała w sobie moc.

– Doskonale. Macie swoje rozkazy. Rozejść się.

Jillian natychmiast zerwała się z miejsca, zaganiając załogę jak owce. Podgryzając ich. Będzie musiała to sobie odpuścić, zanim

dostanie własne dowództwo. Jednakże tym razem Bobbie jej nie przeszkadzała. Statek miał w sobie energię, którą trzeba było jakoś skanalizować. Ona też to czuła.

Po powrocie do kabiny na *Burzy* zajęła się rutynowym czyszczeniem i porządkowaniem swoich rzeczy. Kabina tego nie potrzebowała, ale ona tak. Rytuał ją uspokajał. Zauważyła, że nuci pod nosem. Nie pamiętała, kiedy ostatnio to robiła. Będzie musiała wybrać się do swojej kryjówki na Ceres i usunąć z niej wszystkie ślady pobytu, ale i tak czekała. Prawie już uznała, że Aleks nie przyjdzie z nią porozmawiać, gdy zapukał do drzwi jej kabiny.

– Cześć – rzuciła.

– Naomi powiedziała, że to dobry pomysł?

– Aż tak daleko się nie posunęła. Może po prostu uznała, że to właściwy zły pomysł w obecnej sytuacji.

Aleks uśmiechnął się lekko. Jego melancholia prawie wzbudziła w niej wstyd za jej dobry nastrój i oczekiwanie.

– Jeśli chcesz się wycofać, nikt nie będzie źle o tobie myślał. Kit to twój syn, bycie częścią jego życia i to... Jeśli musisz wybrać, zrozumie.

– Nie wspomniałaś o części planu. Co się stanie po uderzeniu ładunku?

– Nigdy jeszcze tego nie robiliśmy, więc poza wybuchem, przy którym atomówka wygląda jak petarda, nie bardzo wiem, co mogę powiedzieć. Ale *Burza* to twardy statek. Nawet jeśli oberwie jakimiś odłamkami, wytrzyma to. Zapewne.

– Za to ty powinnaś ustawić za czymś ten prom – zauważył Aleks.

– Weź mnie na niego, zaprowadzę go do jakiegoś schronu.

– Potrzebuję cię na *Burzy*. Utrzymanie *Nawałnicy* tam, gdzie jej chcę, i wtedy, kiedy chcę? To będzie wymagać świetnego pilota. To ty. Rini i ja będziemy w pancierzach wspomaganych. Prom może zostać zmasakrowany, ale będziemy chronione lepiej niż on. A ty przylecisz, żeby nas potem zgarnąć.

Aleks zmienił lekko pozycję. Widziała, że szuka argumentów przeciwko temu tak, jak stare małżeństwa rozpoznawały, gdy partner chce poprosić o podanie soli.

– Mnie też nie podoba się umieszczanie nas na różnych statkach – powiedziała. – Ale to właściwy sposób na zrobienie tego.

– Tak jest, kapitanie. Dobrze. – Westchnął, a potem, ku jej zdziwieniu, uśmiechnął się. – To będzie piekielnie wielkie rodeo.

– Nie będą wiedzieć, co w nich trafiło – odparła Bobbie. – Żałuję tylko, że Trejo nie będzie na statku, gdy rozwalimy go na gorący, szybki pył.

– Jego możemy znaleźć później – rzucił Aleks. – Zajmę się obsesyjną diagnostyką systemów, o których wiem, że są sprawne, żebym miał poczucie, że nad czymś panuję.

– Brzmi nieźle – zgodziła się Bobbie. – Zostanę tutaj i zobaczę, ilu członków załogi będzie wolało zrezygnować niż na to pójść.

– Nikt nie przyjdzie. Ci ludzie pójdą za tobą, jeśli postanowisz szturmować wrota piekieł. Ufam ci. Ja ci ufam – dodał chwilę później.

Zamknęły się za nim drzwi, a Bobbie usiadła na swojej pryczy przeciążeniowej, jakby zanurzała się w ciepłej kąpieli. Kiedy zamknęła oczy, zasnęła.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Teresa

– Czy Timothy w ogóle był moim przyjacielem?

Holden siedział na pryczy oparty plecami o ścianę. Jego papierowa piżama była pognieciona i poplamiona zaschniętą krwią. Miał silnie przekrwione prawe oko i nabrzmiąle ciało wokół niego. Policzek spuchnięty i pociemniały. Co więcej, poruszał się z wystudiowaną ostrożnością świadcząca o tym, że wszystko go bolało. Cella była maleńka, najmniejsza garderoba w jej sypialni była prawie dwa razy większa. Jedyne światło dochodziło z wąziutkiego paska u góry ściany i było zbyt jasne, by patrzeć w nie bezpośrednio, ale pomieszczenie i tak było zbyt ciemne, by w nim czytać.

– Jeśli powiedział, że jest twoim przyjacielem, to nim był – odpowiedział Holden. – Amos nie był człowiekiem, który często odczuwał potrzebę kłamania.

– Czemu tam był? – usłyszała swoje pytanie, tak jak jej kazano.

Holden przełknął, jakby nie było to proste. Wydawał się smutny. Nie, to nie było dobre słowo. Współczujący, co było gorsze.

– Już mnie o to pytali. Przepraszam, że ciebie też do tego zmuszają.

Trejo kazał jej się trzymać scenariusza i mówić tylko to, co przećwiczyli, ale skorzystała z okazji.

– Może uznali, że trudniej będzie skłamać komuś, kogo pan skrzywdził.

– Może. Ale powiem ci to samo, co im. Nie wiedziałem, że tu jest. Nie skontaktował się ze mną. Nie wiem, jakie miał zadanie, kto mu je zlecił ani od jak dawna tu był. Jeśli miał jakiś sposób na skontaktowanie się z podziemiem, nie znam go. I nie wiem, czemu miał kieszonkową atomówkę poza zgadywaniem, że chciał mieć przynajmniej możliwość wysadzenia czegoś. Gdybym wiedział, że tu jest, powiedziałbym mu, żeby tego nie robił.

Teresa spojrzała do kamery. Holden odpowiedział na jej cztery kolejne pytania bez ich zadawania. Nie wiedziała, czy w związku z tym powinna pominąć tę część, czy kazać mu powiedzieć to samo.

– Jak się czuje twój ojciec? – zapytał w czasie jej wahania Holden.
– Nikt mi nic nie mówił, ale domyśliłem się, że coś się dzieje. A na dodatek nie przyszedł, żeby mnie przepytac. Mam wrażenie, że jesteśmy ze sobą dostatecznie związani, że zrobiliby to, gdyby mógł.

Ojcu nic nie jest, pomyślała. Ale nie mogła się zmusić, żeby to powiedzieć.

– O niego niech się pan nie martwi. Proszę się martwić o siebie.

– Och, bez dwóch zdań. Martwię się dość za nas oboje. Za wszystkich.

– Co się stało z jego ciałem? – zapytała, próbując wrócić do scenariusza.

– Twojego taty?

– Timothy’ego.

– Nie wiem.

Urwała. Miała kamień w żołądku i czuła supeł w głębi gardła. Ostatnio często się tak czuła.

– Nie żyje. Widziałam jak ginął.

– Już mi mówili. Był dobrym... No cóż, właściwie to nie był dobrym człowiekiem, ale przynajmniej próbował nim być. Ale był też piekielnie lojalny. – Umilkł na chwilę. – Był moim bratem, kochałem go.

– Co robi podziemie?

Holden wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że próbuje zrobić dość miejsca pod butem twojego ojca, żeby inne opinie też się liczyły. Ja bym tak robił.

Poczekaj. Moment... – Holden dźwignął się na pryczy i zwrócił się bezpośrednio do kamery. – Czy możemy odpuścić sobie tę część? Zmuszanie jej do tego jest dość wredne, a i tak niczego nie zmieni.

Z początku nie było żadnej reakcji, ale potem rozległ się trzask otwieranych magnetycznych blokad. Holden usiadł z powrotem. Teresa poczuła falę ulgi świadcząca o tym, jak bardzo była przerażona sam na sam z tym człowiekiem. Jak się cieszyła, że ta część męki dobiegła końca.

– Nie pozwoliliby mi cię skrzywdzić – zapewnił Holden. – Nawet gdybym chciał. No wiesz, wcale nie chcę, ale nawet gdyby.

Wykwitła w niej furia, nieprzewidziana i jadowita.

– Nie jesteś już tańczącym niedźwiedziem – rzuciła.

Holden oparł się o ścianę pozwalając jej się podtrzymać. Kiedy się uśmiechnął, zobaczyła, że brakuje mu zęba.

– Ale miło być poważnie traktowanym.

Drzwi w końcu się otworzyły i weszło dwóch gwardzistów z pułkownikiem Ilichem. Ich buty zaskrzypiały na kafelkowanej podłodze. Gwardziści trzymali ręce na pałkach, ale ich nie wyciągnęli. Jeszcze nie. Ilich położył dłoń na jej ramieniu i odwróciła się, żeby wyjść. „Jeśli powiedział, że jest twoim przyjacielem, to nim był”. Chciała w to wierzyć, ale nie potrafiła.

– Wszystko w porządku – powiedział Ilich, gdy zamknęły się za nimi drzwi. – Dobrze się spisałaś.

Znowu trzasnęły magnetyczne blokady. Holden był zamknięty. Zrobiła się trochę spokojniejsza. Poszli korytarzem, mijając jeszcze całkiem sporo podobnych drzwi. Jeśli siedzieli za nimi ludzie, Teresa nie wiedziała, kim są ani czemu się tam znaleźli. Wydawało się, że każdy dzień odkrywał jakiś kolejny wielki obszar, o którym dotąd nie wiedziała.

Od czasu tamtej złej nocy sama z każdą chwilą coraz bardziej czuła się jak więźniarka. Trejo kazał jej zrelacjonować wszystko, co wiedziała o Timothy – jak się spotkali, co mówił, co ona mu powiedziała, jakie miał stosunki z dronami naprawczymi i czemu nigdy nikomu o nim nie mówiła. Po paru godzinach Ilich próbował

przerwać, ale przesłuchanie ciągnęło się, aż zaczęła płakać, a potem jeszcze dłużej.

Nie wiedziała, ile faktycznie trwało. Odbyła więcej niż jedną sesję, ale nie potrafiła powiedzieć, czy w sumie były to godziny, czy dni. Wszystko teraz było beczasowe, jakby dopiero się zaczęło, ale też trwało w nieskończoność. Czuła się jak kukiełka kontrolowana przez kogoś innego. Czy była zasypywana pytaniami przez Trejo, czy siedziała z tym, co zostało z jej ojca, albo przy posiłkach, udając, że wszystko jest normalnie, czuła się, jakby prawdziwa ona została zepchnięta w jakieś małe, mroczne miejsce, gdzie powinno być jej serce. Ilich mówił do niej o traumie i przemocy, obiecując, że z czasem poczuje się lepiej. Jej opiekę medyczną przejął Cortázar, skanując mózg i pobierając krew, ale nie rozmawiał z nią za wiele. Nie przeszkadzało jej to, bo wcale nie chciała rozmawiać.

Podczas snu nawiedzały ją brutalne koszmary. Już nie zdarzało jej się spać bez nich.

Pokój obserwacyjny pomalowano na łagodną, neutralną zielen. Powietrze pachniało środkiem czyszczącym oraz pieprzem i wanilią lakońskich kwiatów. Trejo i Cortázar siedzieli przy wyświetlaczu holograficznym prezentującym złożony wzór danych, jakby oglądali fale lub formacje pogodowe. Gwardziści zajęli miejsca przed drzwiami, a Ilich podszedł i stanął z pozostałymi mężczyznami. Teresa pomyślała o podejściu do krzesła, ale uznała, że jest za daleko, więc usiadła na podłodze.

– Na co patrzę, doktorze? – zapytał Trejo.

Cortázar pokręcił głową.

– Jego wzory odpowiedzi zawsze są trochę zniekształcone. Cały ten szum mieści się w jego słupkach błędów. Zobaczysz pan coś podobnego u ludzi, którzy przyjmowali psychodeliki, ale zwykle u kobiet. Powiedziałbym jednak, że zmiana pytającego wcale nie zmieniła w istotny sposób odczytów. Biorąc pod uwagę wartości bazowe, sądzę, że mówi prawdę.

– Jest pan tego pewien?

– Nie – odparł Cortázar. – Ale przyjmuję osiemdziesięcioprocentową pewność. Powinniśmy jeszcze

spróbować z doktor Okoye, z nią jest związany znacznie dłużej. I są w przyjaznych stosunkach.

– O ile będzie chciał pan ją odciągnąć od bieżącej pracy – odezwał się Ilich.

Trejo wydał odgłos świadczący o niecierpliwości i przycisnął dłonie do policzków tak mocno, że zbieleły mu kostki. Pod oczami miał ciemne plamy świadczące o wyczerpaniu. Tylko on trzyma imperium w całości, pomyślała Teresa. Odniosła wrażenie, jakby powiedział to ktoś inny. Ktoś, kto mógł kłamać.

– Czy są jakieś wyniki poszukiwania... ciała? – zapytał Ilich.

– Nie – rzucił Trejo. – Rozkazałem strzelać w przypadku kontaktu, ale mam na głowie większe problemy niż obce zombie kręcące się po okolicy. Jeśli wróci do swojej kryjówki, nie będzie miał dostępu do swoich rzeczy. Może będziemy mieli szczęście i drony uznały go za lampę stołową.

Coś poruszyło się w głowie Teresy. Coś małego.

Cortázar sapnął.

– Uważam, że powinien pan zmienić zdanie. Posiadanie dodatkowego obiektu w znacznym stopniu ułatwiłoby moją pracę nad wysokim konsulem...

– Zanim coś tu zmienimy, poczekamy na raport doktor Okoye – odparł Trejo. – Najważniejsze teraz jest utrzymanie kontroli nad separatystami.

– Doprawdy? – rzucił Ilich. – Myślałem, że najważniejsze jest to coś, co zjadło nasze statki i zepsuło Duarte'go.

Miał na myśli jej ojca, ale nic nie szkodzi. I dotyczyło to również jej, przez co poczuła się nieco bardziej włączona do rozmowy. „Biorąc pod uwagę wartości bazowe...”.

– To nasz drugi problem – przyznał Trejo – i nim też się zajmiemy. Ale jeśli nie zdołam tego wszystkiego utrzymać w całości, to wysoki konsul nie będzie miał czego kontrolować, kiedy dojdzie do siebie.

Pustka w jego głosie zabrzmiała znajomo. Teresa przyjrzała mu się uważniej. Godziny przesłuchań zostawiły w niej uczucie poniżenia, ale nietrudno było zobaczyć jego zmęczenie i lęk. Ona

straciła ojca, on swojego przywódcę. Jego wyraźne cierpienie prawie sprawiło, że go polubiła.

A potem, jakby została przeniesiona z powrotem w czasie, zobaczyła, jak odpada czubek głowy Timothy'ego. Gwałtownie wciągnęła powietrze i wróciła do chwili obecnej. Traumatyczne wspomnienia. Ilich mówił jej o przebłyskach chwil, których jej mózg nie potrafił przyswoić. Chciał, żeby zgłaszała, jeśli coś takiego się zdarzy. Zdarzyło się, a ona nie zgłosiła. Trejo zerknął na nią, potem na Ilicha.

– Musi pan ją zabrać do Budynku Rządowego na czas na spotkania z rówieśnikami.

Ilich zeszywniał.

– Z całym szacunkiem, admirale? Nastąpiły dostateczne zaburzenia, żeby w wystarczającym stopniu wyjaśnić odstępstwa od zwykłego harmonogramu. Nikt nie zwróci najmniejszej uwagi, jeśli trochę spóźni się na lekcje.

– Właśnie w tym rzecz, pułkowniku – odpowiedział Trejo, akcentując stopień Ilicha, by podkreślić dzielącą ich różnicę. – Gdy wszyscy spodziewają się powodzi, workiem z piaskiem jest każda odrobina normalności. Może nie być tym elementem, który powstrzyma utratę kontroli nad całą sytuacją, ale może być jego częścią. I skończyła swoją część w testach prowadzonych na więźniu przez doktora. Niczego nie zyskamy, zatrzymując ją tutaj.

Tak naprawdę miał na myśli „niczego nie zyskamy, zatrzymując tu pana”. Ilich nie dał niczego po sobie poznać, a Teresa pozwoliła sobie na uśmiech.

Ich relacja zmieniła się od czasu koszmarnej nocy. Dostrzegając ją i nawet sądziła, że rozumie, co znaczy. Ilich był elementem konspiracji utrzymującej w tajemnicy stan jej ojca. Trejo mu ufał, a potem okazało się, że pozwalał jej wymykać się z terenu Budynku Rządowego i spędzać czas z zabójcą na usługach podziemia. Trejo obdarzył Ilicha zaufaniem, a potem odkrył, że nie było uzasadnione.

A może po prostu wszystko dla niej teraz w ten sposób wyglądało.

– Zrozumiano – odpowiedział Ilich. – Zabiorę cię na zajęcia – zwrócił się do niej. – Wszystko będzie dobrze.

Teresa miała ochotę zalać się łzami albo rzucić na podłogę i wrzeszczeć jak bachor. Chciała wywrócić stół i krzyczeć jak Elsa Singh. Powstrzymało ją zbyt wiele lat szkolenia i oczekiwań. Kiwnęła głową i wstała. Jednakże kiedy Ilich ruszył do drzwi, nie poszła jego śladem.

– Osiemdziesiąt procent – zwróciła się do Cortázar. – Jest pan pewien na osiemdziesiąt procent.

Oczy Trejo błysnęły irytacją, ale Cortázar wydawał się zadowolony z możliwości wyjaśnienia.

– Oczywiście to tylko wartość szacunkowa, ale przez ostatnie kilka lat funkcje autonomiczne stały się moją pasją, a przeprowadzono bardzo dużo dobrych badań dotyczących aktywności mózgu związanej z pamięcią, w przeciwieństwie do aktywności kojarzonej z wymyślaniem nowych informacji. Możliwe, że obiekt wymyślił i powtarzał zestaw kłamstw tak długo, że pamięta je jak prawdę, ale ponieważ nowi pytający i nowe pytania nie wykrywają żadnych obszarów różniących się od wspomnień i przechodzących w funkcje twórcze, szacuję to na osiemdziesiąt procent. Może trochę konserwatywnie. Przypuszczam, że Holden mówi prawdę taką, jaką zna.

„Jeśli powiedział, że jest twoim przyjacielem, to nim był”.

W jej wspomnieniach Timothy popatrzył na nią tak jak zawsze i powiedział: „Nie da się mieć zbyt wielu narzędzi”.

Nie wiedziała, którym była. Przyjacielem czy narzędziem.

Nie wiedziała, a musiała to wiedzieć.

* * *

Zajęcia odbywały się w muzeum Budynku Rządowego. Pomieszczenia w nim były przestronne, z jasnymi ścianami ze światłem ukazującym wszystkie kolory obrazów i rzeźb tak, by nie powodować ich blaknięcia. Powietrze było tu ściśle kontrolowane, ani ciepłe, ani zimne, ani wilgotne, ani suche. Pułkownik przeprowadził ich koło arcydzieł dawnych wieków tak, jakby

nieuprzejmie było je budzić. Zamordował Timothy'ego, walczył z Trejo i dźwigał na barkach ciężar imperium, a jego głos i uśmiech były dokładnie takie, jak zawsze. Zastanawiała się, co jeszcze ukrywał przed nią przez te lata.

Connor i Muriel stali obok siebie, patrząc na płótno z niemal naturalnej wielkości podobizną mężczyzny. Dłonie trzymał otwarte przy bokach, twarz uniesioną, jakby patrzył na coś na niebie. Zamiast ubrania okrywała go srebrzysta tkanina przylegająca do ciała, niczego nie zasłaniając. Teresa stała przed nim ze skrzyżowanymi rękami. Obraz był tak szczegółowy, że widziała poszczególne włoski na wierzchu jego dłoni. Był zbyt doskonały, by być fotografią.

– Nazywa się *Ikar w nocy* – wyjaśnił Ilich. – Jego twórcą jest Kingston Xu, jeden z pierwszych wielkich artystów Marsa. Kiedy ukończył to dzieło, prawie został deportowany z powrotem na Ziemię. Czy ktoś może mi powiedzieć, dlaczego?

Teresa zauważyła, że wszyscy zerkają po sobie i na nią. Nie wiedziała i nie obchodziło jej to. Czuła się tak, jakby jej umysł został zeszlifowany. Nie było w nim niczego.

– Ta tkanina? – niepewnie zapytała Shan Ellison.

– Tak – potwierdził Ilich. – Tak kiedyś wyglądał materiał do przeszczepów medycznych. Zapewne zauważyliście też, że mężczyzna jest ciemnoskóry. Na wczesnym etapie rozwoju Marsa dochodziło tam do intensywnych, pośrednich konfliktów między krajami, które założyły różne kolonie. Modelem użytym przez Xu był mężczyzna z kraju o nazwie Pakistan. Artysta pochodził z miejsca zwanego Chinami, które wtedy było wrogiem. Te dwa kraje toczyły wojnę. Pokazanie wroga w jednoznacznie leczącym i erotycznym kontekście było bardzo niebezpieczne w kontekście politycznym. Dzieło Xu mogło doprowadzić do wtrącenia go do więzienia. Albo pracy przymusowej.

Albo do Stodoły, pomyślała Teresa, ale nie miała racji. Przed protomolekułą nie było Stodoły.

– To czemu to zrobił? – Teresę prawie zaskoczył dźwięk własnego głosu.

– Uważał, że to ważne – odpowiedział Ilich. – Xu uważał, że wszyscy ludzie są częścią jednej rodziny i dzielące nas różnice są trywialne w porównaniu z czynnikami głęboko jednoczącymi, które nas łączą. To dlatego twój ojciec sprowadził tutaj ten obraz. Jedność ludzkości jest lakońskim ideałem.

To była dziwna myśl. Przecież właśnie teraz torturowali Holdena z powodu różnic politycznych. Zabili Timothy’ego, a on być może przybył na Lakonię, żeby zabić ich. A teraz stali tutaj, udając, że prawie nieosłonięty penis dawno nieżyjącego człowieka był symbolem tego, jak bardzo są wspólnotą. To było głupie.

Gorzej niż głupie, nieszczerze.

Być może wyczuwając jej mroczniejący nastrój, Ilich zaczął zmieniać temat na kolekcję abstrakcyjnych rzeźb, które dopiero niedawno dotarły z Bara Gaon. Teresa ruszyła w ich stronę, gdy zza rogu wyłonił się uśmiechnięty doktor Cortázar.

– Pułkowniku! – rzucił. – Tu pan jest. Zastanawiałem się, czy mógłbym na parę minut porwać panu Teresę. Rutynowy skan medyczny.

Ilich nie był na to przygotowany. Staranna kontrola emocji na chwilę zawiodła i zobaczyła w jego oczach błysk irytacji. Nawet złości. Nabrała przez to ochoty, by stanąć po stronie Cortázara.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – Mogę to potem sama obejrzeć.

Uśmiech Ilicha wrócił na miejsce.

– Nie wiem, czy...

Cortázar wziął ją za rękę.

– To nie potrwa długo, za chwilę wróci. Wszystko w porządku.

Pozwalając się odprowadzić, poczuła coś podobnego do satysfakcji lub złości. Mały węgielek buntu, wciąż czerwony i gorący w popiołach jej świata. Spróbowała się go trzymać. Cortázar nucił pod nosem. Wydawał się tak zadowolony, że prawie podskakiwał. Zanim się odezwała, poczekała, aż znajdą się poza zasięgiem słuchu.

– Wszystko w porządku?

– Doskonale. Uroczo. Mam pewien pomysł dotyczący tego, co się stało. Wiesz. Z wysokim konsulem. Chcę wykonać kilka testów.

– Wartości bazowe?

Uśmiech Cortázarą się poszerzył.

– Tak, coś w tym stylu.

Przeszli razem przez Budynek Rządowy do skrzydła medycznego. Wszyscy gwardziści ich znali, nie działa się nic, co wzbudziłoby u kogoś niepokój. Teresa musiała truchtać, by nadążyć za długimi krokami Cortázarą.

Nic nie wydawało się niewłaściwe aż do chwili, gdy weszli do skrzydła medycznego – tego samego, które odwiedzała, robiąc coroczne badania i w razie zdarzających się jej czasem dolegliwości – gdzie przy stanowisku lekarza siedziała Elvi Okoye. Nawet wtedy Teresa nie wiedziała, że coś jest nie tak, tylko że nastrój Cortázarą natychmiast się zepsuł.

– Doktor Okoye. Obawiam się, że to nie jest dobry moment.

– Znalazłam pewne notatki i chciałabym je z panem omówić – powiedziała.

– To nie jest dobry moment – powtórzył Cortázar, tym razem ostrzejszym tonem.

Poczucie buntu i ciepła w piersi Teresy zmieniło się w coś przypominającego niepokój. Nie rozumiała uczucia, ale ufała mu. „Powinnaś mieć na mnie oko”, powiedział do niej jakiś czas temu Holden. I miało to związek z głosem Cortázarą. „Przyroda cały czas zjada dzieci”.

– Jeśli z Teresą dzieje się coś ważnego – zauważyła Elvi Okoye – to może powinniśmy o tym powiedzieć admirałowi Trejo.

Chwila się przeciągała. Teresa na moment z powrotem znalazła się w jaskini. Timothy kazał jej zasłonić uszy dłońmi. Oddychała za szybko. Świat zaczął migotać na skraju pola widzenia tak jasno, że wyglądało to jak ciemność.

Cortázar obejrzał się na nią.

– Możesz iść – powiedział. – Zrobimy to kiedy indziej.

Teresa przytaknęła, odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę muzeum i klasy z poczuciem, że właśnie wydarzyło się coś ważnego. Coś groźnego. Ale nie była pewna, co to było.

Rozdział trzydziesty drugi

Bobbie

– Potwierdzam, *Biały kruk*. Trajektoria lotu skorygowana. Możesz lecieć, *sa sa*?

– Odebrałam i potwierdzam – odpowiedziała Bobbie. – Dziękuję, kontrola.

Wiązka kierunkowa do kontroli ruchu Kalisto zgasła i Bobbie przesunęła małą szalupę, czując łagodny nacisk w chwili odpalania silników. Nie było tego nawet tyle, by poruszyć jej pryczę przeciążeniową, ale w dostatecznym stopniu wykrzywiło kurs statku. Na ekranie miała nakładkę, która pozwalała jej nałożyć trasę całego planu bez obawy, że coś wycieknie. Pozycja *Nawałnicy*, gdzie pojawi się *Burza* i gdzie ona powinna się znaleźć.

Rozciągnęła ręce, a wraz z nią poruszyły się wspomagane rękawice lakońskiego pancerza. W szczelinach czarnego malowania przeświecał granatowy kolor. Granatowy i czarny były niewłaściwymi barwami i dla niej zawsze już tak będzie. Jej pancerz powinien być czerwony. Włączyła szyfrowaną wiązkę kierunkową i odczekała wymagane sekundy na potwierdzenie połączenia. Wszystko działo się tak blisko, że prawie nie było opóźnienia światła. To nie będzie akcja strategiczna ani w zwarciu, ale ta brzydka część między nimi.

– Kapitanie – zgłosiła się Jillian Houston.

– Mamy zgodę kontroli ruchu. Monitorujcie naszą pozycję i bądźcie gotowi do startu.

– Potwierdzam – odpowiedziała Jillian i zamknęła połączenie. Ograniczanie łączności do niezbędnego minimum było dobrą praktyką, choć teraz nie robi to już wielkiej różnicy. Zanim lakońskie siły zdołają prześledzić sygnał, będzie już po wszystkim. A przynajmniej posunie się to już zbyt daleko, by można to powstrzymać.

Biały kruk był okropnym stateczkiem. Bobbie wolałaby nim lecieć w skafandrze próżniowym, nawet gdyby nie zabierała go do walki. Tkanina osłaniająca ściany była wyblakła, ze śladami uszkodzeń w miejscach, gdzie dobrały się do niej wiek i promieniowanie. Grudkowate i sztywne prycze przeciążeniowe powoli reagowały na zmiany wektora statku, a uchwyty na ścianach zostały wypolerowane przez pokolenia dotykających ich dłoni tak, jak kamienne stopnie wycierały się w średniowiecznych katedrach na Ziemi. Ten statek wyszedł poza swoje czasy, ale silnik wciąż działał, a Bobbie nie wymagała od niego wiele więcej.

Czekała przez minuty, które albo ciągnęły się w nieskończoność, albo pędziły błyskawicznie. Rozciągająco-skracająca dylatacja czasu przed walką. Dobrze się z tym czuła.

– Jak wygląda tam na dole, Rini? – zapytała. Opóźnienie odpowiedzi ze śluzy nie było wiele mniejsze, niż kiedy rozmawiała z Kalisto.

– Czuję się, jakbym trzymała diabła za jaja – odpowiedziała Rini. – Ale... tak. Wszystko wygląda dobrze.

Bobbie obejrzała torpedę przed startem. Była najmniejsza i najszybsza, jaką znalazła, czarna, kanciasta i niewiele dłuższa od jej nogi. Rini przerobiła już skromną konstrukcję, ograniczając ją do absolutnego minimum, usuwając masę konwencjonalnego ładunku w celu zdobycia kilku dodatkowych milisekund po włączeniu silnika. Zamiast wysadzenia rdzenia fuzyjnego czujnik zbliżeniowy wyłączy zasilanie pola magnetycznego, które oddzielało antymaterię od jej przeciwieństwa, a resztą zajmie się fizyka. Bobbie musiała po prostu doprowadzić ją dość blisko.

Sprawdziła trasę lotu. *Biały kruk* był prawie dokładnie tam, gdzie chciała go mieć.

– Za chwilę wyciągnę zawleczkę – poinformowała Bobbie. – Jeśli potrzebujesz przerwy na siusiu, to właściwa chwila.

Śmiech Rini był krótki i nie było w nim rozbawienia.

– Szczam po nogach od kiedy przedstawiłaś mi plan, kapitanie. Na tym etapie dziwię się, że jeszcze nie wypada mi pęcherz.

– Już tylko trochę – odpowiedziała i przełączyła się z powrotem na wiązkę kierunkową. – Status?

– Na rozkaz – zgłosiła Jillian.

To była ta chwila. Ostatnia. Bobbie mogła się jeszcze wycofać. Poprowadzić *Białego kruka* przez planowaną trajektorię lotu, polecieć załozde, by się rozproszyła, zrzucić antymaterię w studnię grawitacyjną Jowisza i oglądać fajerwerki. W jej życiu nie było wielu kluczowych momentów, z których zdawała sobie wtedy sprawę. Zwykle wszystko stawało się oczywiste dopiero po fakcie.

– Startujcie, Burza – poleciła Bobbie.

– Zrobione – rzuciła Jillian.

Bobbie głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła. W jaskini na Kalisto *Zwiastun burzy* budził się do życia, wynurzając z ukrytego lądowiska i mknąc przez rzadką atmosferę księżycy wprost ku gwiazdom. Jej załoga była wgniatana w prycze, jakby sam Bóg przycisnął dłonią ich piersi. A wszystko, co mogła zrobić, to siedzieć, słuchając otwartego kanału, i czekać, aż ktoś zauważy smugę z dyszy tam, gdzie nie powinno jej być.

Przez rozmowy przedarł się alarm. Wojskowe rozkazy zwolnienia drogi. Silnie uczęszczany układ Jowisza, z licznymi księżycami i milionami ludzi zasiedlających przestrzeń mniejszą od powolnej strefy, właśnie stał się polem bitwy. Odpaliła silnik *Białego kruka*, jakby miały lecieć w poszukiwaniu schronienia. Jej ciało wydawało się ciepłe i sprawne. Na wyświetlaczu taktycznym *Nawałnica* poruszyła się tak, jak powinna, wybrała przewidziany przez nią wektor i zerwała się do ataku. Kiedy przełączyła się na obraz, wyglądała jak maleńka kostka, ciemna na tle blasku dyszy z silnika.

Ekran pokazywał szybkie obiekty – torpedy wystrzelone już przez *Burzę*. Dostrzegła też drobne rozbłyski światła w miejscach, gdzie strzelały działka obrony punktowej *Nawałnicy*, prowadząc ostrzał

przez dziury w pancerzu podobnym do skóry, próbując zniszczyć lecące rakiety. Przez ekran przesunął się wąski stożek ślepej plamki wroga. Niedługo się w nim znajdzie. Już wkrótce...

– Trzymaj się, Rini – rzuciła. – Zaraz będzie trzęsło.

– Dawaj.

Biały kruk znalazł się w cieniu i Bobbie ostro wykręciła statek, wyciskając, co się dało, z silnika. Prycza przeciążeniowa mocno walnęła ją w plecy. Pancerz rzucił ostrzeżeniem medycznym o skoku ciśnienia krwi, ale zgasił je, gdy się ustabilizowało. Ekran taktyczny wyświetlał więcej celów, niż mogła śledzić. Jillian Houston rzucała w *Nawałnicę* wszystko, co *Burza* miała do dyspozycji, a *Nawałnica* wysyłała własną salwę. Ale jak na razie ani śladu generatora pola magnetycznego, więc ich ryzykowna gra okazała się słuszna. Bobbie przesunęła *Białego kruka* bliżej, próbując zmniejszyć odstęp od przeciwnika. Ciąg był ostry. Pancerz falował wokół jej rąk i nóg w rytmie bicia serca, przepychając krew i nie dopuszczając do jej zbierania się. Mimo to na skraju pola widzenia zaczynała pojawiać się ciemność. Była świadoma głosów w radiu, brzmiących jak muzyka dochodząca z innego pokoju. Kryła się pośrodku ślepej plamki *Nawałnicy*. Było to najbezpieczniejsze miejsce pośrodku wymiany ognia, choć wciąż nieszczerólnie bezpieczne.

Przełączyła się na interkom i reszta wszechświata ucichła.

– Przygotuj się do startu.

Była prawie pewna, że usłyszała dobywające się zza zaciśniętych zębów potwierdzenie Rini. Sprawdziła silnik. Siedem g. Latała z dużo większym przyśpieszeniem. Starzenie się było do bani.

Nie tylko poczuła uderzenie, usłyszała je przeniesione przez konstrukcję statku do jej pancerza. Głębokie, głuche metaliczne dzwonienie, jakby ktoś uderzył w źle wykonany dzwon.

– Chyba oberwałyśmy – rzuciła. – Jak to wygląda u ciebie?

Rini nie odpowiedziała. Walcząc z ciężeniem ciągu, Bobbie przełączyła na status systemu. Pancerz wspomagany Rini wciąż był podłączony, ale wszystko w nim wyświetlało błędy. Morze czerwieni tam, gdzie powinna być zieleń. Bobbie jeszcze raz krzyknęła imię kobiety, ale wiedziała już, że nie usłyszy odpowiedzi.

Śluza znajdowała się pokład niżej i sześć metrów od szybu windy. Gdyby teraz wyłączyła silnik, *Biały kruk* wypadłby ze ślepej plamki i został rozniesiony przez działka obrony punktowej *Nawałnicy*. Jeśli torpeda została zniszczona...

Gdyby tak było, zmieniłaby się już w chmurę szybko rozszerzającej się plazmy. Przynajmniej antymateria wciąż była cała. To znaczyło, że wciąż jest nadzieja. A skoro jest nadzieja, nie ma odpoczynku. Przekierowała sterowanie statkiem do swojego pancerza, sprawdziła uszczelki i status – kilka parametrów medycznych na żółto, ale nic na czerwono – i odpięła się od pryczy. Pancierz wspomagany jęknął pod własnym ciężarem, gdy wstała, a ona poczuła, jak jej ramiona próbują wyskoczyć ze stawów barkowych. Krew w żyłach spłynęła do nóg, a pancierz ścisnął uda, wpychając ją z powrotem do góry. Mdłości prawie ją pokonały. Zrobiła pierwszy krok do windy. Da radę. Musi.

Z podłogi dobiegło głębokie warczenie. Odpalały silniki manewrowe. To nie mogło być nic dobrego. Dotarła do windy i minimalne zmniejszenie przyśpieszenia podczas jazdy w dół było jak kropla wody dla kogoś umierającego z pragnienia. Zatrzymało się wraz z windą.

W śluzie zobaczyła chaos. Otwarte były obie pary drzwi, prowadząc wprost w próżnię. Ściana była powyginana w miejscu, gdzie trafiły pociski z działek. Poszarpane dziury od energii kinetycznej wpychającej zewnętrzny kadłub do środka. Torpeda znajdowała się w dalszym kącie, gdzie ściana stykała się z podłogą, a ciało Rini tuż obok. Bobbie podeszła do jej boku i uklękła, czując wysiłek sztucznych mięśni napędzających jej pancierz.

Rini zginęła szybko, zapewne nawet nie wiedziała, że ginie. Pancierz był tak samo prawie cały czarny jak Bobbie i wciąż walczył o podtrzymanie życia, którego już nie było. Z pięciu dziur przez jej plecy i rękę krew leciała zbyt szybko, wyciskana z ciała przez siłę ciągu. Bobbie i tak przesunęła Rini. Później będzie czas na żałobę.

Rini ochroniła torpedę przed najgorszymi uszkodzeniami, ale ta nie pozostała nietknięta. Biały ślad wskazywał, gdzie jakiś odłamek roztrzaskał ceramikę przy stożku dyszy. Bobbie spróbowała

podnieść torpedę i zobaczyć zakres zniszczeń, ale nie zdołała. Nawet przy wspomaganiu pancerza ciąg był zbyt duży. Jej kręgosłup zaprotestował, a żebro, które wysunęło się kiedyś z miejsca przy przeciążeniu, znowu zrobiło to samo. Oddychanie bolało.

Biały kruk wyświetlił nowe ostrzeżenie. Silnikom manewrowym zostało poniżej jednej trzeciej masy odrzutowej i statek prosił o zgodę na rozpoczęcie pobierania z rezerwy. Znalezienie problemu zajęło jej tylko parę sekund. Pociski z działek obrony punktowej oderwały sekcję zewnętrznego pancerza. Na większym statku nie miałyoby to znaczenia, ale *Biały kruk* był na tyle mały, że zmieniło to jego środek ciężkości. Silniki włączały się, by nie dopuścić do zmiany kursu, i będą to robić, aż skończy im się paliwo.

Poleciała statkowi otworzyć wiązkę kierunkową do *Burzy*.

– Potrzebuję dobrych wieści, kapitanie – powiedziała Jillian głosem mokrym i zaflegmionym od naporu ciągu.

– Rini zginęła, statek i torpeda uszkodzone. Musicie sprawić, by *Nawałnica* stanęła. Wciąż mogę to zrobić, ale nie w tym ciągu.

Przez chwilę nie było odpowiedzi.

– Jak? – zapytała Jillian, ale na kanał wciąż się Aleks.

– Daj mi chwilę, Bobbie. Dam ci, czego potrzebujesz.

Zamknęła oczy. Nie była w stu procentach przytomna. Tylko dzięki sile woli zdołała obrócić się w stronę ładunku. Cztery niewielkie kule magnetyzmu, próżni i ognia piekielnego. Czujnik zbliżeniowy. Nic z tego nie wyglądało na uszkodzone. Sprawdziła ekran taktyczny. Wciąż trzymała się w ślepej plamce. Obróciła statek i zmniejszyła obciążenie silników manewrowych. Jeśli miała wypaść z kursu, mogła to przynajmniej zrobić we właściwą stronę. Za drzwiami śluzu przemknęła jak kometa smuga z silnika *Nawałnicy*.

– Aleks? – rzuciła. – Daj mi coś.

Jakby w odpowiedzi *Biały kruk* zgasił ciąg. Bobbie poleciała do góry, a potem zaczepiła się butami magnetycznymi o pokład. Smuga z dyszy *Nawałnicy* zgasła. Krew przepłynęła i znowu ogarnęła ją fala mdłości, gdy odczepiała głowicę i czujnik zbliżeniowy. *Biały kruk* do niczego się nie nadawał, torpeda była do wyrzucenia. Wszystko

przepadło. Wciąż był sposób. Wzięła głowicę, przyciskając ją do piersi, i wyszła przez śluzę. Nie zatrzymała się przed startem.

Odpaliła silniczki lakońskiego pancierza i poleciała w stronę *Nawałnicy*. To asteroida, dziwnie ukształtowana skała lecąca po złożonej orbicie wokół małego i odległego słońca. Była dość blisko, by widzieć ją bez powiększania. Znacznie bliżej, niż zamierzała. Może jakieś sto kilometrów, może mniej. Maszyna, która powaliła na kolana cały Układ Słoneczny. Niezniszczalny pancernik z Lakonii. A gdzieś za nim, trochę w lewo, *Burza*. Jej statek. Tak naprawdę wcale nie stały w miejscu, jak nie stało nic we wszechświecie. Po prostu chwilowo ich wektory były zgodne. Bezruch był złudzeniem.

Coś błysnęło i zniknęło. Torpeda zniszczona przez działka obrony punktowej *Nawałnicy*. Na tle stałych i nieruchomych gwiazd wyróżniał się błysk ruchu. Zobaczyła kolejną. Jeszcze parę. Zakrzywione po łuku światło torped wystrzeliwanych z *Nawałnicy*. Odległości były tak wielkie, że wydawało się, że lecą powoli.

– Czekaście – powiedziała, ale nie włączyła nadajnika. Nie była to wiadomość, raczej modlitwa.

Sprawdziła swój wyświetlacz taktyczny. Wciąż miał połączenie z *Białym krukiem*, ale sprzęt łączności małego statku nie był najlepszy. Upłynęła prawie sekunda, zanim dostała pełny obraz.

Lot balistyczny był trudny. Głowica w jej ramionach była strzałąką, którą chciała rzucić z kilometra i trafić do kubka na kawę. Sprawdziła skafander i silniczki były w dobrym stanie, nawet jeśli zdecydowanie za szybko zużywały paliwo. *Nawałnica* zrobiła się już trochę większa. Wyłączyła ciąg i odwróciła się, ustawiając ją sobie między nogami. Spadając na wroga z dużej wysokości. Przesunęła ładunek na brzuch i po raz ostatni sprawdziła połączenia i odczyty. Czy odcięcie zasilania było aktywne? Tak. Czy odłączono zapasową baterię? Tak. Czy czujnik zbliżeniowy był ustawiony tak, by aktywował go statek? Był.

Bobbie odetchnęła głęboko. Jeszcze raz. Jej żebro wskoczyło na miejsce z głębokim i bolesnym trzaśnięciem, a ona się wyszczerzyła w uśmiechu. *Nawałnica* była już wyraźnie większa. Leciała w jej stronę niebezpiecznie szybko, choć prawie tego nie czuła. Wzrokowo

skontrolowała trajektorię, skorygowała, a skafander dokonał kontroli. Wyświetlacz przezierny prezentował linię od jej opancerzonych stóp do *Nawałnicy*. Pewnie chwyciła głowicę bojową, równo z obu stron, a potem ostrożnie puściła. Przy tej odległości katastrofą mogło się skończyć nawet drobne odchylenie. Czekwała przez dłuższą chwilę, ale ładunek unosił się w miejscu, prawie jej dotykając. Bez dryfu. Doskonale.

Delikatnie dotknęła silniczków skafandra, oddalając się centymetr za centymetrem i uważając, by gazy z dysz nie dotknęły głowicy. Kiedy oddaliła się na cztery czy pięć metrów, zaczęła hamować, a głowica jakby gwałtownie skoczyła do przodu. Oddech brzmiał głośno w jej uszach. Bardzo blisko. Skafander zaczynał robić się ciepły pomimo radiatorów robiących, co w ich mocy, żeby pozbyć się resztkowego ciepła. Próżnia kosmosu była zimna dopiero po śmierci.

Dla niej było już za późno. Jakaś jej część wiedziała od chwili, gdy tylko zobaczyła uszkodzenie torpedy, ale teraz, gdy wreszcie zrobiła, co konieczne, mogła o tym pomyśleć. Gdyby wszystko poszło, jak należy, *Biały kruk* z nią i Rini na pokładzie leciałby całym ciągiem, uciekając od *Nawałnicy* już chwilę po wypuszczeniu pocisku, próbując oddalić się od miejsca eksplozji. I to przy założeniu, że *Burza* wciąż prowadziłaby przeciwnika coraz dalej, czego przecież nie robiła. Czyli to koniec.

Przeciągnęła się, prostując nogi. Gwiazdy dysku galaktyki rozciągały się na niebie bez horyzontu. Część z tego światła leciała tu przez wieki. Tysiąclecia. Jeszcze dłużej. Wiele z tych gwiazd zgasło, zanim się urodziła. Cóż za dziwny los spotkał fotony, które zostały wyplute z kuli jądrowego ognia, mknęły przez wielką pustkę między gwiazdami, a potem lądowały na siatkówce marsjańskiej marine, decydującej, czy wciąż bała się śmierci i czy była na nią gotowa. Robiła to już dziesiątki razy.

Nawałnica robiła się coraz większa. Nie wyhamowała jeszcze całej prędkości, z jaką ku niej leciała. Zastanawiała się, czy *Burza* przetrwa. W uczciwej walce nie miała szans. Jillian, Aleks i reszta podjęli się taktycznego odpowiednika rzucenia się statku klasy *Rosynanta* do walki z pancernikiem klasy *Donnagera*. Jednakże jeśli

tylko *Nawałnica* nie odpali silnika, wszystko będzie tego warte. Pyrrusowe zwycięstwa wciąż były zwycięstwami, a to będzie wroga kosztować dużo więcej niż ją.

Pomyślała o nawiązaniu połączenia z *Burzą*. Pożegnaniu się. Nie potrzebowali teraz zwracania głowy. Jeśli już, to powinna odwracać uwagę wroga, nie sojuszników. Wszystko inne byłoby tylko dogadzaniem sobie. Zrobiła, co mogła, ale to nie koniec.

Sprawdziła poziom amunicji pancernika. Miała pełny magazynek. W silniczkach wciąż było trochę paliwa, a powietrza wystarczy jej jeszcze na trzydzieści minut, nawet jeśli nie zacznie go racjonować. Aktywowała broń, przełączyła wyświetlacz przezierny na lokalny/taktyczny i uśmiechnęła się.

Kim jestem? Czy to, co osiągnęłam, ma jakieś znaczenie? Czy zostawię świat lepszym miejscem, niż go zastałam? Jeśli nie wrócę, czego będę żałować? Jakież odniosłam zwycięstwa?

– Dziękuję za wszystko – powiedziała do świata, jakby był gospodarzem właśnie dobiegającej końca, szczególnie udanej imprezy. Obróciła się ku *Nawałnicy*. Kolejny rozbłysk światła. Jeszcze jedna salwa torped lecących w ciemność. Następne zagrożenie dla jej statku i jej ludzi. – No dobra, skurwielu. Chcesz zatańczyć? Zatańczmy.

Ustawiła system celowniczy na lakoński pancernik, przestawiła skafander na aktywny ogień i włączyła silniczki. Pięćdziesiąt siedem sekund później wyleciała ze ślepej plamki *Nawałnicy*.

Rozdział trzydziesty trzeci

Aleks

– Status? – zapytała Bobbie.

Jej głos rozbrzmiewający na mostku sprawił, że Aleks jeszcze mocniej odczuł jej nieobecność. Wszystkie stanowiska wokół były obsadzone a na pokładzie wyczuwało się napięcie. Każde spojrzenie, oddech, nerwowy śmiech oznaczały to samo: „O cholera, my to naprawdę robimy”.

– Na rozkaz – zgłosiła Jillian, odrobinę szerzej rozchylając bluzę pod szyją.

Aleks pamiętał bycie tak młodym, że przejmował się jeszcze swoim wyglądem przed bitwą.

Caspar stukał w bok pryczy przeciążeniowej. Jillian siedziała na swojej wychylona do przodu, mocno napierając ramionami na pasy bezpieczeństwa. Aleks trochę żałował, że nie wstąpił do ubikacji. Wszyscy inaczej radzili sobie z oczekiwaniem i niepokojem.

Szykowali się wiele godzin, wyprowadzając *Burzę* z ukrytej kopalni, zabezpieczając kabiny i warsztaty, prowadząc diagnostykę wszystkich systemów. Teraz jedynym, co oddzielało *Zwiastuna burzy* od otwartej przestrzeni, były stare drzwi hangaru i rozkaz wydany przez Bobbie.

– Startujcie, *Burza*.

– Zrobione – odparła Jillian i zamknęła połączenie. – Kamal. Zabierz nas stąd.

Aleks wcisnął zwolnienie i obserwował na monitorze, jak otwierają się nad nimi drzwi. Silniki manewrowe łagodnie odepchnęły ich od powierzchni księżycy. Gdy tylko *Burza* opuściła dok, aktywował Epsteina. Mocno zapadł się w żel pryczy przeciążeniowej, czując chłód pełznący wokół żeber i szyi. Kalisto oddalała się za nimi z powierzchnią jarzącą się na pomarańczowo i złoto tam, gdzie rozgrzały ją gazy wylotowe z silnika.

– Wszystkie systemy w dopuszczalnych granicach – zgłosił Caspar, choć nikt o to nie pytał. Chłopak musiał coś zrobić. – Jesteśmy... Dobra, mam żądanie połączenia z kontroli ruchu Kalisto?

– Niech się zastanawiają – odparła Jillian. – Mamy *Nawałnicę*?

– Mam ją – potwierdził Aleks.

– Pokaż.

Aleks rzucił na główny ekran układ Jowisza. Pozycja ich statku, księżyców, zakrzywiony łuk gazowego olbrzyma w dole. Trajektorie lotów były złożone dla niewprawnego oka, ale on czytał je jak tekst. Ruch towarowy na szaro, lakońskie siły bezpieczeństwa na złoto. Bobbie i *Biały kruk* na zielono. A ich cel – *Nawałnica* – w czerwieni jaskrawej jak świeża krew.

Zmienny rozkład ciążenia układu generował trasy przelotu o najmniejszym zużyciu paliwa, więc ruch między księżycami trzymał się ich jak żelazne opiłki linii pola magnetycznego. Przy tych odległościach do ich zignorowania nie trzeba było nawet silnika Epsteina, przyzwoity statek lecący czajniczkiem mógł dolecieć wszędzie, gdzie chciał. Większość trzymała się tych tras tylko z powodu możliwości zaoszczędzenia paru groszy. To zawsze wystarczało.

– No dalej – rzuciła Jillian, nie zwracając się do nikogo na mostku.
– Pokaż, że masz jaja, i chodź mnie złapać, wielki draniu.

– Na otwartym kanale wysłano właśnie ostrzeżenie bezpieczeństwa – poinformował Caspar. – Wiedzą, że tu jesteśmy. *Nawałnica* ruszyła. Leci na nas.

– Wdepnij, Kamal – poleciła Jillian.

Jej zuchwałość brzmiała prawie przekonywająco. Aleks nie sądził, żeby Caspar ją przejrzał.

Wdepnął. Na jego monitorze zielona kropka *Białego kruka* znalazła się dokładnie tam, gdzie powinna. *Nawałnica* leciała dokładnie tak, jak się spodziewał. Szczeka rozboleła go od ciężenia, a koktajl płynący w żyłach sprawił, że poczuł się tak, jakby równocześnie wypił za dużo i za mało kawy. *Nawałnica* była masywnym statkiem, ale jej silnik był dość potężny, by inercja nie stanowiła dużego problemu. *Burza* była mniejsza, lżejsza i nie dysponowała taką mocą, a choć zapewne była też zwrotniejsza, tym razem jej to nie pomoże. Jeśli miał przeprowadzić Bobbie przez to konkretne ucho igielne, nie miał żadnej swobody ruchu.

Ale i tak mieli trochę atutów, z których największym był ten, że byli z przodu, a *Nawałnica* ich goniła. Smuga z dyszy silnika *Burzy* zapewniała im częściową osłonę. Wystrzelone przez *Nawałnicę* torpedy będą musiały skręcać w bok i ją omijać, żeby nie dać się spalić. Musiały też dogonić uciekającą *Burzę*. *Nawałnica* będzie lecieć wprost na wszystko, co wystrzeli *Burza*, co dawało działkom obrony punktowej *Burzy* trochę więcej czasu na reakcję, a tym z *Nawałnicy* nieco mniej. Plan lotu Bobbie zakładał wykorzystanie tej różnicy, która zwiększała zagrożenie dla pancernika i zmniejszała je dla niszczyciela. W teorii plan był świetny, lecz praktyka była bardziej skomplikowana, bo i tak mogli zostać pokonani.

Zostaną.

– Szybkie obiekty – rzucił Caspar. – Jest ich mnóstwo.

Jillian odkaszlnęła. Zabrzmiało to boleśnie. Aleks w zasadzie spodziewał się, że przerzuci się na wydawanie poleceń tekstem, ale zwalczyła to i powiedziała:

– Działka na auto. Strzelać bez rozkazu.

Hałas i drgania ucieczki wzbogaciły się o terkot działek obrony punktowej. Jak dzieciak próbujący umknąć przed policjantem, *Burza* przemknęła obok *Białego kruka*, a *Nawałnica* pędziła jego śladem. Aleks nie potrafił stwierdzić, czy wibracje są skutkiem częstotliwości harmonicznego pokładu, jego przeładowanej prochami krwi, czy obu. Mały stateczek Bobbie też włączył ciąg, wpadając w ślepią plamkę przeciwnika.

Wkrótce. Wkrótce będzie po wszystkim. Zmusił się do przełknięcia śliny. Bolało.

Burza się zatrzęsała.

– Nie zostaliśmy trafieni – poinformował Caspar. – Było blisko, ale zestrzeliliśmy.

– Większy dystans, Kamal – rzuciła Jillian.

Nie mógł tego zrobić bez skłaniania *Nawałnicy*, by poszła jego śladem. Bobbie potrzebowała, by pancernik utrzymywał bieżący kurs i przyśpieszenie. Za bardzo skupiał się na kontrolowaniu sytuacji, by tłumaczyć, czemu to był zły rozkaz, więc po prostu go zignorował. Jeśli *Burza* musiała zaliczyć kilka trafień, to po prostu trzeba będzie je przyjąć.

Nadlatujący ogień był jak wielki, otwierający się kwiat. Linie wykwiwały z *Nawałnicy*, zakrzywiały się w ich stronę i znikwały zestrzeliwane przez *Burzę*. Aleks zerknął na poziom amunicji. Nie było jej tak mało, jak się spodziewał. Wszystkie jego przyzwyczajenia wywodziły się ze starszej technologii. Lakoński system szybkiego drukowania nowych pocisków wciąż nie był dla niego intuicyjny.

Gdyby robili to, co wydawało się, że robią – uciekali ze wszystkich sił w nadziei, że dotrą do wrót i wymkną się z układu – byłby to desperacki ruch. Odległość między Jowiszem a pierścieniem wrót była olbrzymia, a *Burzę* ograniczała zarówno masa reakcyjna, jak i kruchość ludzkich ciał na jej pokładzie. Oraz ryzyko przemknięcia przez powolną strefę zbyt szybko, bez wiedzy na temat stanu rzeczy po drugiej stronie. Aleks musiałby wyhamować przed dotarciem do wrót, a wtedy *Nawałnica* by ich dogoniła. Jeśli plan Bobbie nie wypali, wciąż mogło się to tak potoczyć. Aleks uświadomił sobie, że już wymyśla inne plany – zanurkowanie w górne warstwy atmosfery Jowisza i pozbycia się *Nawałnicy* w ten sposób, wykręcając w stronę Słońca, i zmuszenie przeciwnika do przegrania i wycofania się, zanim będą musieli... – Powstrzymał się. Jeszcze nie dotarli tak daleko.

– Leci nowa salwa! – krzyknął Caspar. – Nie damy rady zatrzymać wszystkich.

– Uniki, Kamal – warknęła Jillian.

Aleks odchylił ich trasę, ale tylko trochę. *Nawałnica* nie mogła skręcić ani się przesunąć, nie odkrywając *Białego kruka*. Zresztą, gdzie do cholery jest Bobbie?

– Uwaga – rzucił Caspar i sekundę później prycza pod Alekssem szarpnęła, kopiając go jak muł. Nawet pomimo łagodzącego uderzenie żelu miał problem z odzyskaniem oddechu. Stracił kilka sekund przytomności. Nie mogli sobie drugi raz na coś takiego pozwolić.

– Jakie uszkodzenia? – wyskrzeczwała Jillian, ale nikt nie odpowiedział.

Obudziła się wiązka kierunkowa. Zgłaszała się Bobbie.

– Potrzebuję dobrych wieści, kapitanie – powiedziała Jillian. Twarz miała zalaną potem.

Aleks czekał ze strachem i nadzieją.

– Rini zginęła, statek i torpeda uszkodzone – odpowiedziała Bobbie. Jej głos świadczył o wysiłku, ale brzmiał w nim spokojny profesjonalizm kobiety w swoim środowisku naturalnym. Mówiłaby takim samym tonem, gdyby właśnie znalazła sposób na zniszczenie przeciwnika albo przy utracie obu nóg. – Musicie sprawić, żeby *Nawałnica* stanęła. Wciąż mogę to zrobić, ale nie w tym ciągu.

Przerwa trwała w nieskończoność. Aleks wykreślił zwrot i ciąg, czekając, aż Jillian wyda rozkaz.

– Jak? – zapytała zamiast tego.

– Daj mi chwilę, Bobbie. Dam ci, czego potrzebujesz.

Silnik zgasł, a napór przyśpieszenia zniknął w czasie potrzebnym na mrugnięcie. Aleks przejął od Caspar sterowanie łącznością i włączył nadajnik z sygnałem „nie zbliżać się”. Taktycznie nie miało to żadnego sensu i właśnie na to liczył.

– Co ty robisz, Kamal?! – krzyknęła Jillian. Jej ton sugerował, że jest gdzieś w połowie między oburzeniem a nadzieją, że może coś wie.

– Robię tak, żeby wyglądało to tak, jakby doszło do buntu – wyjaśnił. – Zobaczmy, czy spodoba im się pomysł odzyskania statku.

Zgodnie z jego oczekiwaniem *Nawałnica* wyłączyła silnik. Mknęli przez ciemność po zgodnych orbitach. Kalisto już dawno zniknęła z tyłu. Nawet Jowisz zrobił się widocznie mniejszy. Można było odnieść wrażenie, że są sami, choć patrzyli na nich wszyscy w układzie.

– *Leche bao* – sapnął Caspar. – Zabiją nas.

– Niech tylko zrobią to bez włączania silnika – odpowiedziała Jillian, a Aleks poczuł dumę z jej postawy. Była zielona, ale się uczyła.

Przez prawie minutę dwa statki leciały w ciszy, czekając w napięciu. Z *Nawałnicy* nadeszło żądanie połączenia. Jillian go nie przyjęła. Aleks zauważył, że wstrzymuje oddech.

– Szybkie obiekty – ostrzegł Caspar.

– Zestrzel, ile się da, i odpowiedz ogniem – poleciła Jillian – ale nie zmieniaj kursu i nie dawaj im żadnego powodu, żeby oni go zmienili.

Aleks mógł tylko patrzeć, jak załoga prowadzi ostrzał. Gdyby dowódca *Nawałnicy* tego chciał, byłoby już po wszystkim. Jedno potężne uderzenie i *Burza* zostałaby zniszczona. Zamiast tego, jak zapasnik powoli wykręcający staw przeciwnika, umiarkowanie zwiększali napór pocisków, strzelając coraz szybciej i szybciej, aż obrona *Burzy* zostanie przełamana. Chcieli unieruchomić statek i przesłuchać załogę. Ewidentnie nie spotkali Bobbie. Ani Jillian Houston. Gdyby miało do tego dojść, zniszczyłyby *Burzę*. Wiedział, że patrzy na własną śmierć.

No dalej, Bobbie, pomyślał. Ufam ci w tej sprawie.

– Chyba... czy to kapitan? – zapytał Caspar. – To chyba kapitan.

Rzucił na główny ekran obraz z zewnętrznych czujników. Obraz był trochę chwiejny, ze zbyt ostrymi krawędziami, ale niedaleko *Nawałnicy* zobaczyli postać w pancerzu wspomaganym spadającą w stronę okrętu. Jej ręce kończyły się rozbłyskami strzałów z karabinów szybkostrzelnych, śląc w masę lakońskiego pancernika dwa strumienie nieskutecznych pocisków. Widok pojedynczej ludzkiej postaci lecącej na tle okrętu nadał jego olbrzymiej sylwetce

dramatyczne poczucie skali. Bobbie wyglądała przy nim jak rozzłoszczony owad atakujący wieloryba.

– Uważaj na nadlatujące torpedy – poleciła Jillian. – Jeśli to Draper, ma powód, żeby to robić.

Drobna postać leciała po łamanej, nieprzewidywalnej trasie. Gonili ją strumienie lecących z dużą prędkością pocisków wysyłanych przez działka obrony punktowej *Nawałnicy*. Packa polująca na muchę. Niemożliwa była myśl, że coś tak małego może mieć jakąś szansę przeciwko wielkości i potędze statku, ale skoro to Bobbie, to niemożliwa była również myśl, że nie miała.

Aleks zaczął wyliczać kurs.

– Mogę do niej podlecieć – powiedział. – To będzie znaczyło podejście cholernie blisko do tego czegoś, ale...

Postacią szarpnęło. Coś wykwitło z jej pleców. Na ekranie wyglądało to na bardzo małe. Wyrzuciła do góry ręce, zgięła kolana. Z postaci wytrysnęła para. Powietrze. Krew.

– Oberwała pociskiem z działek – skomentowała Jillian. – Nie żyje.

Aleks jej nie usłyszał. A w zasadzie usłyszał, ale nie potrafił zrozumieć. Przez jego ciało przebiegło porażenie bólem, brzęczące, gwałtowne i niszczące.

– Mogę do niej podlecieć – powtórzył Aleks, wracając do pulpitu. Coś było nie tak z koktajlem w jego pryczy. Nie umiał złapać oddechu. – Lot będzie piekielny, ale możemy... możemy...

Jego pulpit zgasł zablokowany przez Jillian.

– Oddaj mi to pierdolone sterowanie! – krzyknął. – Musimy się do niej dostać!

– Aleks – powiedział Caspar, a jego łagodność była nie do zniesienia.

Pancerz wspomagany dryfował. Wciąż leciał w stronę *Nawałnicy*. Inercja niosła ją w stronę celu nawet gdy nie miało to już znaczenia. Nawet po jej śmierci. Dotknął pulpitu sterowania, jakby mógł w jakiś sposób odrobinę cofnąć czas.

– Kurwa. Kurwa! – wrzasnął. W głębi gardła poczuł kwaśny smak wymiocin. Gwałtownie przełknął, zmuszając je do cofnięcia się. Plan zawiódł.

Bobbie zginęła.

– Co robimy? – zapytał z paniką w głosie Caspar.

Jednak zanim Aleks odpowiedział, dane z czujników zgasły z wyraźnym kliknięciem i zaczęły wyc alarmy radiacyjne.

Serce nawałnicy stanęło samotnie przeciwko połączonym siłom Ziemi, Marsa i Pasa, wygrywając z nimi. Podało całą ludzkość pod władzę Lakonii. Było żywym symbolem tego, czemu wszelki opór przeciwko wysokiemu konsulowi Duarte musi zakończyć się porażką.

Kiedy czujniki skończyły się resetować, już nie istniało.

* * *

Bez ochrony zapewnianej przez dziwaczny pancerz *Burzy* rozbłysk promieniowania rentgenowskiego i gamma zabiłby ich wszystkich. W obecnej sytuacji załoga była tylko zbyt chora, by opuszczać prycze przeciążeniowe. Ambulatorium było pełne ludzi zwracających wyściółkę przewodów żołądkowo-jelitowych. Zapas leków antyradiacyjnych był już praktycznie na wyczerpaniu, a jeśli wskaźniki zachorowań na nowotwory będą zgodne z modelami, niedługo skończą się też środki przeciwnowotworowe.

Sam statek też ucierpiał. Nawet nie to, że został uszkodzony: był ranny. Regenerujący się pancerz pokrywający *Burzę* zaczął wytwarzać pęcherze i zgrubienia, jak w pierwszych stadiach raka skóry. Kanały próżniowe przenoszące energię czasami przestawały działać bez żadnego wyraźnego powodu, stając się tak zawodne, że ekipy naprawcze zaczęły rozciągać zapasowe obwody z przewodów miedzianych, przyklejając je do ścian korytarzy. Silnik wciąż pracował, nawet jeśli trochę mniej wydajnie.

Wygrali. Było to niemożliwe do momentu, w którym to zrobili. Wyjście z tego bez blizn byłoby proszeniem o zbyt wiele.

Aleks z regularnością zegara przełączał się między odrętwieniem a cierpieniem. Kiedy mógł to znieść, oglądał kanały informacyjne z całego układu odtwarzające wybuch, którego nie mógł zobaczyć,

bo był zbyt blisko. Najlepsze nagranie pochodziło z Ziemi. Ręczna kamera nagrywająca zawody dziecięcych latawców była skierowana we właściwą część nieba, gdy dotarło tam światło, i nawet z tej odległości blask na tle błękitu był jak małe, krótkotrwałe słońce.

Wszyscy w układzie śledzili *Burzę* lecącą w stronę pierścienia wrót. Nikt nie odważył się za nią lecieć. Kanały były pełne prób analiz. Atak był odwetem za aresztowania na Ceres. Był dziełem kogoś w środku i stanowił dowód na to, że sama lakońska flota jest pełna frakcji i buntowników. To pierwszy krok w stronę odbicia Sol przez podziemie lub dany konsulowi pretekst, by zniszczyć cały układ. Dziewięciu na dziesięciu prowadzących program celebrowało porażkę Lakonii. Były też inne wiadomości: spontaniczne demonstracje na Marsie i Rei, wzywające do wycofania się Lakonii. Oficjalny komunikat, że stanowisko lakońskiego oficera politycznego na TSL-5 pozostanie nieobsadzone do czasu przywrócenia regularnej komunikacji przez sieć wrót. Pojawiło się kilkanaście pirackich stacji nadawczych oskarżających Lakonię o podejmowanie ryzyka w martwych układach, które zagroziło całej rasie ludzkiej.

Nie był to chaos, a nawet jeśli, to nie większy niż zwykle. Było to raczej pączkowanie nadziei tam, gdzie wcześniej jej nie było. Było to wszystkim, na co liczyła Bobbie, z jednym wyjątkiem.

W jego przypadku choroba popromienna była dość ostra, ale przynajmniej jego myśli zajmowało fizyczne cierpienie. Kiedy czuł się dość dobrze, by pracować, dołączał do zespołów naprawczych. Nie zdziwił się, gdy Jillian Houston – kapitan Houston – wezwała go do swojego biura. Spodziewał się tego.

Kabina była mała i skromna. Lakońscy oficerowie nie próbowali się popisywać. Jeszcze jedno dziedzictwo Marsa. Aleks pamiętał swoich dowódców okazujących podobną skromność w czasach, gdy był jeszcze innym człowiekiem, a wszechświat miał sens. Na biurku leżały nieliczne ozdoby i rzeczy należące do Bobbie. Jillian wyglądała na chudsza i bledsza niż wcześniej. Choroba popromienna uderzyła w nią mocniej, ale jej nie zatrzymała.

– Aleks – przywitała go. Mówiła łagodniej niż zwykle, jakby teraz, gdy już zdobyła władzę, nie musiała być tak agresywna. – Chciałam,

żebyś... Pomyślałam, że będziesz chciał się zaopiekować jej rzeczami.

– Dziękuję – odpowiedział, sięgając po nie.

– Usiądź, proszę.

Usiadł. Jillian nachyliła się ku niemu ze splecionymi palcami.

– Potrzebujemy napraw. Musimy się przegrupować. I schować gdzieś, zanim Lakonia zdoła się ogarnąć i wyśle za nami okręty.

– Racja – zgodził się Aleks.

Nie umiał w to włożyć serca. Może dlatego, że był chory, może z powodu żalu. Rozróżnienie, gdzie kończyło się jedno, a zaczynało drugie, było bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe.

– Postanowiłam zabrać nas z powrotem na Freehold. Mamy tam wsparcie, a *Burza* będzie miała gdzie zadokować. Możemy ją doprowadzić z powrotem do pełnej sprawności. Uzupełnić zapasy z kolonii, zaplanować dalsze działania.

Popatrzyła na niego, jakby się spodziewała, że coś powie. Nie był pewien, co by to miało być. Przyjrzał się rzeczom na stole. Bluza. Mały puchar z ceramiki i szkła, który dostała od ONZ, podpisany przez Avasaralę. Zdziwił się, że nie ma tego więcej, choć z drugiej strony było dziwne, że jest aż tyle.

– To chyba dobry plan – powiedział w końcu. – Ryzykowne będzie przedostanie się przez wrota, ale bez Medyny nie musimy się przemykać w transportowcu. Tak będzie łatwiej.

Kiedy Jillian odezwała się ponownie, mówiła zdławionym głosem, jakby przyduszonym żalem. Albo wściekłością.

– Draper była dobrą kapitan i jeszcze lepszą przywódczynią. Uczyniła ten statek tym, czym jest, i nikt na *Burzy* nigdy nie zapomni ani jej, ani ofiary, którą dla nas uczyniła.

– Dziękuję – odpowiedział Aleks.

– Muszę ją teraz zrobić moim statkiem. W jej tradycji i na jej cześć, ale pod moimi rozkazami. Wolałabym, żeby to tak nie wyglądało, ale jest, jak jest. Rozumiesz.

– Tak.

– Dobrze. Bo chcę, żebyś został moim pierwszym oficerem.

Aleks popatrzył na nią. Znał odpowiedź i wiedział, co zamierza zrobić, równie jasno, jakby już wcześniej się nad tym zastanawiał.

Jakby wszystkie kolejne kroki same się narzucały.

– Dziękuję – odpowiedział. – Ale nie. To twój statek i tak powinno zostać. Ja mam własny.

Rozdział trzydziesty czwarty

Elvi

Obudziła się, gwałtownie wciągając powietrze.

– Hej, hej, hej – powiedział Fayez, przesuwał się przy niej na łóżku. Dotyk jego dłoni przywrócił ją do rzeczywistości, rozpraszając sen. Przytuliła się do niego. – Koszmar? – zapytał.

– Gorzej – odparła. – Znasz ten sen, w którym robisz tę bardzo ważną prezentację, o której zapomniałeś, a teraz musisz udawać, że pracowałeś osiem miesięcy nad czymś, o czym tak naprawdę nie masz pojęcia?

– To twój standardowy temat koszmarów.

– Właśnie, tylko że zwykle wystarczy, że się obudzę, a wszystko wygląda lepiej – powiedziała, przeczesując palcami włosy. – Oddałabym trzy palce i oko, żeby martwić się tylko zepsutym wykładem.

Poruszył się, a ona poczuła ruchy znajomego ciepła jego ciała.

– Jak brzuch? – zapytał. Nie odpowiedziała. – Musisz jeść, skarbie.

– Jem. Będę. Po prostu...

– Wiem.

Sięgnęła po laskę, ale kiedy wstała, oparła się mocniej na zranionej nodze. Ból był odpowiedni. Najpierw poszła do łazienki, potem zaczęła się ubierać. Za oknami wciąż było ciemno, poza światłami Budynku Rządowego, blaskiem miasta i platformami konstrukcyjnymi migoczącymi wśród gwiazd.

– Wróc do łóżka – poprosił Fayez. – Jest za wcześnie.

– I tak nie będę już spać. Pojadę na uniwersytet, nadrobię trochę przed początkiem dnia.

– Potrzebujesz trochę odpoczynku.

– Odpocznij za mnie – rzuciła, a potem pocałowała go w policzek i szyję. Przez chwilę trwali przy sobie.

Kiedy Fayez się odezwał, w jego głosie nie było zwykłej lekkości.

– Znajdę sposób na wydostanie nas z tego, jeśli tylko zdołam.

– Z tego?

– Z tej części, w której otaczają cię psychopaci i politycy. Ukradniemy mały statek, polecimy na jakąś skolonizowaną planetę na zadupiu i spędzimy resztę życia, próbując przekonać ogórki do rośnięcia w trującej glebie. Będzie świetnie.

– Byłoby bosko – zgodziła się. – Wracaj do łóżka, przyjdę, gdy będę mogła.

W nocy Budynek Rządowy był prawie przyjemny. Dzięki panującemu w nim spokojowi i ciszy czuła się prawie tak, jakby była wolna. Gwardzistów i dronów monitoringu było równie dużo, jak za dnia. Może po prostu był to efekt tysiącleci ewolucji skłaniającej jej mózg do wiary, że cokolwiek wydarzy się w ciemności, pozostanie ukryte, prywatne i specjalne. Włożyła wolną rękę do kieszeni i poszła do kantyny. Coś tam znajdzie – choćby kawę i ryż na słodko. I tak nie dałaby rady zjeść zbyt wiele.

Praca w laboratorium Cortázara była bardzo męcząca. Laboratorium wyposażono w kilka przyzwoitych wirtualnych tłumaczy kontekstowych, które pomagały, gdy jego notatki robiły się zbyt przesycone terminologią nanoinformatyczną – złożona wyobrażona utrata informacji, funkcje Derinera, domniemane mnożniki – dzięki nim mogła zrozumieć znaczenie w terminach egzobiologicznych, takich jak trwałość ośrodka regulacji funkcjonalnej przez pokolenia. Choć nie potrafiła sobie wyobrazić, jak któreś z nich zdoła jasno przedstawić problemy admirałowi Trejo. Ale przecież kiedyś potrafiła wyjaśniać studentom ewolucję zbieżną, więc może coś wymyśli.

W kantynie było jasno i spokojnie. Kelner uklonił się jej, gdy tylko weszła. A może to gwardzista. W sumie to samo. Elvi wzięła sobie

kubek herbaty – kawa zapachniała zbyt kwaśno i agresywnie, gdy do niej podeszła – i bajgła z masłem i dżemem. Nie chciała iść do Stodoły ani prywatnego laboratorium Cortázar. Nie chciała spędzać kolejnego dnia z Carą i Ksanem. Ale też nie chciała zostawać tutaj. Jednakże największym problemem był fakt, że nie chciała zrobić tego, co musiała. Powiedzieć Trejo o Cortázarze.

Chciała znaleźć dowód. Dymiący rewolwer ukryty gdzieś w jego notatkach. Przeczytała wszystko, co mogła znaleźć na temat jego przeistoczenia – jej termin, nie ich – w nadziei znalezienia czegoś dowodzącego, że Cortázar nie zamierzał pozwolić Teresie pójść w ślady ojca i że nigdy nie miał takich planów. Niczego nie znalazła. Albo nigdy tego nie zapisał, albo wymazał te informacje na tyle starannie, że nie mogła ich znaleźć.

Jej ręczny terminal miał funkcję przypominania. Miał informować, kiedy zaczynają się spotkania, a jedną z opcji było ostrzeganie, gdy inni uczestnicy już się zebrali. Stworzyła w nim fałszywe spotkanie z Cortázarem i Teresą bez określonej daty czy godziny, dzięki czemu otrzymywała powiadomienie za każdym razem, gdy ta dwójka znajdzie się razem, i będzie je dostawać tak długo, aż któreś z nich zauważy je w swoim planie i skasuje. Była prawie pewna, że jej nieoczekiwane pojawienie się w skrzydle medycznym było jedynym, co powstrzymało Cortázara przed rozpoczęciem pracy nad Teresą.

A przez pracę prawie na pewno rozumiał wiwisekcję.

Zjadła ostatni kęs bajgła i popiła go resztkami herbaty. Do świtu wciąż zostało jeszcze parę godzin. Jeśli będzie czekać, zawiedzie ją odwaga. Odstawiła talerz i kubek, przeciągnęła się, aż zabolęła ją noga, i podeszła do kelnera.

– Mogę w czymś pani pomóc?

– Muszę porozmawiać z admirałem Trejo.

* * *

Kiedy dotarła do jego biura, Trejo był ubrany. Jego intensywnie zielone oczy były wodniste z niewyspania, a koszulę miał wymiętą, jakby nosił ją przez kilka dni. Na jego biurku piętrzył się stos wyczerpanych ekranów jednorazowych, pozostałości po ściśle tajnych raportach z wnętrza układu oraz tego, czego zdołali dowiedzieć się o innych Układach Słonecznych. Jego uśmiech był ciepły, dobrze wyćwiczony i prawdopodobnie nieszczerzy.

Elvi bardzo ciężko pracowała obarczona problemami oszalałego imperatora, morderczego naukowca i potworów niszczących cywilizację, które zabiły jej załogę i zjadły kawałek ciała, więc poczuła się nieswojo na myśl, że Trejo pracuje pod jeszcze większą presją.

– Pani doktor – przywitał ją Trejo. – Wcześniej pani wstała.

– Pan też.

Gestem zaprosił ją, by usiadła.

– Jeszcze się nie kładłem. Koordynacja z innymi układami stanowi... wyzwanie. Deleguję, co mogę, ale wysoki konsul nie potrzebował snu, a bycie zarówno nim, jak i mną jest... wyczerpujące.

– Kiedy ostatnio pan spał?

– Całą noc? Szczerze mówiąc, musiałbym sięgnąć do kalendarza.

Elvi usiadła, składając dłonie na kolanach. Nerwy syczały i kłębiły się w jej piersi jak stado żmij. Sen wydawał się być czymś jak język, którym nie potrafiła się posługiwać. Żadne z nich nie znało już tego pojęcia.

– Czy mogę coś dla pani zrobić, doktor Okoye? – podsunął Trejo. Elvi zrozumiała, że na chwilę odpłynęła.

– Nie mam twardych dowodów – oświadczyła – ale wierzę, że doktor Cortázar chce skrzywdzić córkę wysokiego konsula. Może nawet ją zabić.

Trejo westchnął i spuścił wzrok. Elvi się spięła. Zdawała sobie sprawę, jak słabe ma dowody na poparcie swojej tezy. Nawet gdyby Holden zdecydował się na postawienie oskarżenia, nie miałoby wielkiej wagi. Jej zaufanie do niego bardziej zaszkodziłoby jej pozycji, niż uwiarygodniło jego raport. Tak naprawdę miała tylko

głębokie do kości przekonanie, że to prawda. Była przygotowana na wbicie sztandaru i obronę pozycji do czasu, aż Trejo potraktuje ją poważnie.

Spodziewała się pytania „Jakie ma pani na to dowody?” albo „Czemu pani tak uważa?” lub „Czemu miałyby to zrobić?”. Zamiast tego admirał odgiął głowę i rozciągnął szyję w bok, aż zatrzeszczały kręgi.

– Czy doszło do jakiejś zmiany w stanie wysokiego konsula?

– O niczym takim nie wiem. Ale...

– Jakie mamy opcje w zakresie przywrócenia go do normalnego stanu?

– Nie wiem. Szczerze, nie wiem, czy to w ogóle możliwe.

– My do tego doprowadziliśmy – stwierdził Trejo. W jego głosie pojawiło się drżenie. Frustracja, strach albo złość. – Czemu nie możemy tego cofnąć?

– Z tego samego powodu, dla którego nie możemy oddzielić mleka z kawy ani odtworzyć jajka z omletu. Fizyka jest pełna rzeczy, które działają tylko w jedną stronę. To jedna z nich.

– Czy możemy zregenerować jego ośrodkowy układ nerwowy tak, jak zrobilibyśmy to po urazie głowy?

Elvi poczuła zmieszanie. Wyobrażała sobie kilka możliwych wariantów tej rozmowy, ale żaden z nich nie obejmował zignorowania jej obaw i zmiany tematu. Nie była pewna, co powinna zrobić.

– No cóż, uch... to nie do końca tak działa. Komórki w jego mózgu są wciąż nienaruszone. Cortázar zmienił sposób ich funkcjonowania. Regeneracja tkanki oznacza znalezienie uszkodzonych obszarów i zachęcenie organizmu do wytworzenia tam nowych komórek.

– Gdybyśmy celowo uszkodzili jego mózg i wprowadzili linie prawidłowych komórek, czy odrosłyby?

– Przepraszam?

– Wypalili jego hipokamp, a potem go zregenerowali. Potem płat potyliczny, czy cokolwiek. Przejść przez niego kawałek po kawałku, zabijając to, co tam jest, i zastępując świeżą tkanką działającą jak

normalna ludzka tkanka, odtwarzając go w ten sposób. Czy to by zadziało?

– Ja... nie wiem – przyznała. – To pytanie na miarę statku Tezeusza. Czy jeśli wymieni się w czymś wszystkie elementy, wciąż ma się to samo? To filozofia. Ale nawet wtedy, odtwarzanie ośrodkowego układu nerwowego nie jest proste. Musielibyśmy rozmawiać z doktorami medycyny. Lekarzami. Ja jestem biologką.

– Cortázar to zrobił.

– Cortázar ma głębokie – bardzo głębokie – problemy etyczne – stwierdziła Elvi. – Jestem przekonana, że używał Duarte'go jako modelu zwierzęcego do usunięcia problemów dla przeprowadzenia procedury w przyszłości na sobie i sądzę, że zamierza też poświęcić Teresę. Właśnie to chciałam panu powiedzieć.

– A co z tymi rzeczami, które zaatakowały przestrzeń wrót? Czy możemy z całą pewnością stwierdzić, że stanowią bądź nie stanowią ciągłego zagrożenia? Jeśli zaparkuję kolejny statek tam, gdzie była Medyna, czy zostanie zjedzony? Czy będziemy bezpieczni pod warunkiem, że nie będziemy więcej wysadzać żadnych gwiazd neutronowych?

Elvi wcale nie chciała się roześmiać, to stało się samo. Profesjonalna maska Trejo na chwilę zniknęła i zobaczyła kryjące się pod nią furję i desperację.

– Skąd mogłabym to wiedzieć? – odpowiedziała. Mówiła głośniejszym głosem niż zamierzała, ale nie próbowała się pohamować. – Nie wiem, czym są ani w jaki sposób zjedli te wszystkie statki. Dostaliśmy jakieś raporty? Mamy dane? Bez tego nie mogę zrobić nic poza spekulacjami. I jaki to wszystko ma związek z Teresą Duarte?

Trejo pochylił się nad biurkiem, wywołał nowe okno i przerzucił je na jej ręczny terminal. Spojrzała na zamieszczone w nim zdjęcia. Rozpoznała *Serce nawałnicy*. Był to najbardziej charakterystyczny lakoński okręt. Obrazy miały przesadnie realistyczny wygląd nagrania teleskopowego, które zostało ustabilizowane i przeskalowane. Wokół statku pojawiło się kilka błyszczących iskieł.

– Doszło do jakiejś walki? – zapytała, a obraz zrobił się tak biały, że poraził jej oczy, nawet dochodząc z małego ekranu.

– W układzie Sol wszyscy już wiedzą, niedługo dowiedzą się wszyscy w całym imperium. *Nawałnica* została zniszczona. Komórka terrorystyczna separatystów skradła tajną lakońską technologię i użyła jej przeciw nam. Teraz mamy tylko jeden okręt klasy *Magnetar*, ponad tysiąc trzysta pierścieni wrót do kontrolowania, a jedyne miejsce, z którego dałoby się to zrobić, jest nawiedzone przez... – Wskazał na jej nogę. „Cokolwiek, do cholery, to zrobiło”.

– Rozumiem – rzuciła.

– Nie zdołaliśmy utrzymać aktywności przekaźników sygnałów. Za każdym razem, gdy je wysyłam, jakiś prymityw je niszczy. Terroryci przesyłają sobie wiadomości przez wrota, korzystając z technologicznego odpowiednika puszek po konserwach i gumy do żucia, a ja nie mogę ich powstrzymać. Gdybym mógł umieścić flotę w przestrzeni wrót, kontrolowałbym wszystko, bo to kluczowe miejsce. Najważniejsze miejsce w przestrzeni. Jeśli nie mogę tego zrobić bezpiecznie, nie mogę kontrolować imperium.

– Tylko że... – zaczęła, ale Trejo nie dało się zatrzymać. Słowa lały się z niego jak z przerwanej tamy. Kiedy już zaczął, nie potrafił się powstrzymać.

– Wszyscy – wszyscy! – na każdym statku, stacji i planecie będą czekać, żeby zobaczyć, co robi wysoki konsul. A on w tej chwili siedzi dwa korytarze dalej, machając rękami jak cholerny nastolatek po pierwszych halucynogenach. Rządy opierają się na zaufaniu. Nie na wolności, prawości ani sile. Istnieją, ponieważ ludzie wierzą w ich istnienie. Bo nie zadają pytań. A Lakonia stoi teraz przed mnóstwem pytań, na które nie potrafimy odpowiedzieć.

Z każdym słowem jego głos robił się głośniejszy. Ostrzejszy. Elvi dopadło nagle żywe wspomnienie z dzieciństwa w Karhula. Właściciel sklepiku spożywczego odwiedzanego przez nią z ojcem co tydzień dowiedział się, że wzrasta czynsz i będzie musiał się przeprowadzić albo zamknąć interes. Mówił wtedy tym samym tonem głosu, z takim samym poczuciem, że został przytłoczony przez zdarzenia, odczuwał taki sam gniew wobec nieprzejednanej rzeczywistości. Było coś dziwnie pocieszającego w idei, że skromny sklepikarz i najpotężniejszy człowiek w obejmującym galaktykę

imperium mogli mieć ze sobą coś wspólnego na tak fundamentalnym poziomie. Nie myśląc, sięgnęła i ujęła rękę Trejo. Wyrwał ją, jakby go oparzyła.

Potrzebował kilku długich, drżących oddechów, zanim się opanował. Kiedy znowu się odezwał, był znanym jej Trejo.

– Pani problem, doktor Okoye, polega na tym, że według pani najważniejszy jest ten problem, który ma pani tuż przed oczami. Wcale tak nie jest. Czymkolwiek jeszcze może być Paolo Cortázar – a nie mam co do niego złudzeń – jest też niezastąpiony.

Cisza między nimi przeciągała się w strefę dyskomfortu. Elvi czuła się tak, jakby wyglądała za krawędź przepaści, o której istnieniu do tej chwili nie miała pojęcia.

– Mówi pan, że się na to godzi.

– Przydzielę dziewczynie ochronę – oznajmił Trejo. – Zrobię, co będę mógł, by dopilnować, żeby nie zostali ze sobą sami.

– Ale jeśli przyjdzie tu z jej głową pod pachą, wzruszy pan ramionami i nic nie zrobi?

Trejo rozłożył ręce.

– Jeśli powie, że zdoła naprawić tę katastrofę, jeśli złoży ją w ofierze, sam znajdę mu nóż. Taki mam obowiązek. Jestem oficerem imperium lakońskiego – oświadczył. – Pani też – dodał po chwili.

Powietrze w pokoju znacznie się rozrzedziło, Elvi miała nagle problem ze złapaniem oddechu. Trejo albo nie zauważył jej stanu, albo świadomie go zignorował.

– Pani zadaniem, doktor Okoye, jest zapewnienie drugiej pary oczu i swojego doświadczenia do pomocy doktorowi Cortázarowi. Jesteście w tym partnerami. Nie ma między wami różnicy. Jeśli ma pani z tym problem lub uważa to za niesmaczne, nie obchodzi mnie to. Jesteśmy w kluczowym momencie historii i musi pani mu sprostać.

– To dziecko – zaprotestowała Elvi.

– Zgadza się, że lepiej by było, gdyby przeżyła. Zrobię, co będę mógł – zapewnił Trejo. – Jednak nie może pani mieć żadnej wątpliwości odnośnie do tego, jak wyglądają nasze priorytety. Im

szybciej znajdziecie sposób na oddzielenie śmietanki w tej kawie, tym szybciej dziewczyna będzie bezpieczna. Pani wrogiem jest wszystko, co przeszkadza w wysiłkach mających na celu uleczenie Winstona Duarte. Wszystko, co w tym pomaga, jest pani przyjacielem. Czy to jasne?

„Składam rezygnację” wisiało już na końcu jej języka. Czuła te słowa, jakby były czymś fizycznym. Znała ich kształt. Ale wiedziała też, że Trejo nie pozwoli jej odejść. Nie dało się wycofać z jej obecnego położenia.

– Perfekcyjnie – odpowiedziała. – Jasne jak dzień w południe.

– Dziękuję za poświęcony czas, pani doktor. Moje drzwi zawsze stoją dla pani otworem.

Pomyślała, że to wyjątkowo ironiczny sposób na powiedzenie, by sobie poszła.

Wstała i wyszła na korytarz, a potem przez rozległy hol i w ciemność ogrodów. Od wschodu pierwsza sugestia świtu gasiła najbłedsze gwiazdy. Powietrze pachniało przypalonym cynamonem. Był to sygnał godowy podobnego do pędraka ziemnego stworzenia pochodzącego z Lakonii. Na Ziemi rozbrzmiewałyby śpiewy ptaków. Stała przez dłuższą chwilę, wciągając go głęboko.

Przez dziesięciolecia prowadziła badania terenowe, podróżując na nowe światy z torbami na próbki i zestawami testowymi. Prawdopodobnie była jedyną żyjącą osobą, która widziała tyle różnych drzew życia. Wszystkie niezliczone, odmienne rozwiązania wymyślone przez ewolucję pod różnymi gwiazdami i wszystkie reagujące – z grubsza – na te same presje. Na każdej planecie oczy, bo to, co wyczuwało światło, miało większą szansę przeżycia. Usta w pobliżu narządów zmysłów, bo stworzenia z koordynacją spożywania radziły sobie lepiej niż te bez niej. W imię nauki zapewne zabiła i przeprowadziła analizę większej liczby przedstawicieli różnych gatunków niż ktokolwiek w dziejach. A mimo wszystko nie uważała się za morderczynię. Za współwinną morderstwa. Za potwora.

Na horyzoncie w niebo wzbiła się chmura wyglądająca prawie jak dym, choć tak naprawdę była milionami maleńkich robaczków

o zielonych ciałach w kształcie śrub. Migotały w narastającym świetle, chwając się bioluminescencją. Gdziekolwiek na nią trafiała, natura była piękna. I okrutna. Nie wiedziała, czemu wciąż spodziewa się po ludziach czegoś innego. Czemu udawała, że te same zasady, które obowiązywały górskie pумы i pasożytnicze osy, nie będą się stosować także do niej. Z krwawymi kłami i pazurami, na każdym poziomie. W Biblii nawet anioły mordowały ludzkie dzieci, gdy tylko nakazał im to Bóg.

Chmara na horyzoncie skończyła reklamować swoją sprawność seksualną, gasząc światła i zmieniając barwę ciał na szarą. Chmury przybrały pomarańczową i czerwoną barwę jak na każdej planecie z dostateczną ilością tlenu, by wybiórczo rozpraszać krótsze długości fal. Nasiliła się woń cynamonu.

– Powodzenia, robaczki – rzuciła. – Mam nadzieję, że wam się uda.

Wróciła do Budynku Rządowego, a potem przeszła na drugą stronę kompleksu, gdzie czekał na nią samochód. Wsiadła, nie witając się z kierowcą, i wyjechali do wielkiego miasta, gdzie wraz ze wschodem słońca gasły światła. Wieżowce, ulice, magazyny i teatry, a wszystko to najbardziej kojarzyło jej się z wielkim mrowiskiem.

Po dotarciu na uniwersytet przeszła z parkingu do Stodoły. Cortázar siedział na ławce przed kostką bez okien, z kubkiem kawy w rękę i muffinem na kolanie.

Uśmiechnął się, gdy do niego podeszła.

– Piękny poranek, prawda? – zapytał.

Miał ciemne oczy. Policzki brązowe, pokryte lekką bielą nieogolonej szczeciny. Wyglądał jak nauczyciel chemii, nie potwór.

– Powinniśmy zabrać się do pracy – odpowiedziała.

Rozdział trzydziesty piąty

Naomi

Przez całe jej życie problemem było zdecydowanie, w które informacje wierzyć. Kilka miliardów ludzi z dostępem do sieci i liczba kanałów większa od liczby nadajników sprawiały, że w każdym zakątku i zakamarku łatwo było znaleźć kogoś głośno wyrażającego każdą możliwą opinię. I gdy tylko ustawiono przekaźniki, informacje zaczęły docierać i wędrować do odległych światów za wrotami z opóźnieniem liczonym zaledwie w godzinach. Aby zrozumieć swoją nową rzeczywistość, musiała znaleźć modele w historii starożytnej, kiedy tylko głos lub znaki na fizycznym nośniku stanowiły sposób na przechowywanie i przesyłanie informacji. W starożytnej Ameryce Północnej istniało coś, co nazywano pocztą konną – Pony Express. Siatka wozów i zwierząt, które przewoziły zapisane na papierze informacje przez wtedy olbrzymie pustynie. A przynajmniej tak rozumiała cały proces, bo sama nigdy nie widziała ani konia, ani ręcznie napisanego listu na papierze. Teraz końmi były statki i torpedy, listami transmisje skompresowanych danych, a pustynie tworzyła twarda próżnia kosmosu oraz pustka skupiska wrót w samym środku. W praktyce sprowadzało się to do tego, że wiadomości z odległych światów docierały chaotycznie. Zdarzenia na Auberonie i w jego układzie nabrały przesadnego znaczenia, bo o nich dowiadywała się natychmiast. Wszystko, co działo się w Bara Gaon, Lakonii, Sol, Freehold, na Nowym Cyprze czy Gethen, stawało się egzotyczne

i obce przez swoją rzadkość. Odkrycie, że komunikat „stracono dwoje wrót” oznaczał zniszczenie wrót Thanjavuru i Tecomy, a układy po ich drugich stronach zostały odcięte, tylko wzmocniło wrażenie wielkich wydarzeń dziejących się gdzieś bardzo daleko. Wszechświat znowu zrobił się większy, a wszystko, co było bliskie, znowu zrobiło się dużo odleglejsze. Docierające raporty były cenne jak powietrze na ciekącym statku.

Kiedy więc pojawiła się wiadomość z Sol o zniszczeniu *Nawałnicy*, odebrała ją jak objawienie.

Nie pochodziła ze źródeł ruchu oporu. Bobbie nie wysłała raportu, a nawet jeśli to zrobiła, butelka przepadła po drodze lub zwolniła do tego stopnia, że wyprzedziły ją cywilne wiadomości. Naomi po raz pierwszy usłyszała o tym z lakońskiego kanału państwowego nadawanego przez gubernatora. Raport był sporządzony w pełnym oburzenia tonie i miał wzbudzać strach. Terrorysty zamordowali lakońskiego dyplomatę i skradli technologię wojskową, której następnie użyli do zamordowania obrońcy układu Sol. Jeśli wierzyć wiadomościom, groziło to apokaliptycznym chaosem i zamieszkami w Sol. Siły lakońskie szykowały się do ochrony niewinnych cywilów przed nadciągającymi falami odwetu i przemocy.

Być może dla lakońskich uszu brzmiało to przekonywająco. Sięgające głębi duszy założenie, że wszystko, co lakońskie, jest dobre, a cała opozycja zła, prowadziło do cholernie wielkiej ślepej plamki, gdy chodziło o pisanie propagandy. Dla Naomi i Chavy było to rozwiązanie dręczącej ich niepewności. W końcu dowiedziały się, że plan Bobbie zadziałał. Dla wszystkich innych ze środka tego zakresu – zwykłych mieszkańców Auberona – był to komunikat, że niepowstrzymaną machinę Lakonii jednak dało się powstrzymać. Zatrzymano ją. Na towarzyszącemu dotąd imperialnej władzy pancerzu pewności pojawiło się pęknięcie dość duże, by przeprowadzić przez nie statek. I jak wszystkie dobre wiadomości, tak i ta przysporzyła mnóstwa nowych problemów. Dobrych, takich, na jakie Bobbie i Naomi miały nadzieję, ale wciąż problemów.

– Skasowano pięć lat dokumentacji przewozowej – powiedziała Chava. – Wymazano.

– I to nie my?

– Nie zrobił tego nikt, o kim bym wiedziała – odparła, nalewając kubek kawy. – Znasz siatkę lepiej niż ja, ale...

– To tylko znaczy, że odtworzą je z kopii zapasowych – stwierdziła Naomi, przyjmując kubek. Przyzwyczaiła się do parzonej przez Chavę kawy z prasy francuskiej. Była mocna, gorzka i czasami zawierała drobinki ziarenek kawy. Odkryła, że zaczyna ją preferować w stosunku do tej przygotowywanej przez statek. – To wygląda tak, jakby ktoś zdołał zdobyć dostęp do kopii zapasowej. Umieścili tam swoją wersję historii, a teraz to oficjalne dane.

– Też tak właśnie myślałam. Może to niezależne działanie jednej z naszych komórek. Albo inicjatywa cywili lub przestępców. Cholera, nawet Lakończycy mogli skorzystać z okazji ukrycia czegoś, co zrobili, i zwaleni winy na nas. Choć niezależnie od tego, kto to zrobił, wcześniej nie mieli dość odwagi, by spróbować, a teraz już tak. A to, co się dzieje tutaj, będzie się też działo wszędzie indziej.

Pasiarze od samego początku swojego istnienia, pokolenia temu, stosowali rozproszoną władzę, gdy zdolność przesyłania rozkazów była znacznie większa od możliwości wymuszenia ich realizacji. Stara Rokku, w swych radykalnych czasach, mówiła, że wnętrze Układu jest jak miecz, uderzający w jedno miejsce dość mocno, by zniszczyć. Pas był jak woda, zdolna napierać ze wszystkich stron jednocześnie. Zniszczenie *Nawałnicy* tak naprawdę niczego nie zmieniło w układach poza Sol. Przecież Duarte nie był skłonny wysyłać swego zdolnego do niszczenia planet okrętu z powodu podejrzaney utraty danych. To, co faktycznie uległo zmianie, to zaufanie, jakim ludzie obdarzali system, a ta niepewność tworzyła nowe dziury, szczeliny i możliwości.

Lakonia była potężna dzięki jednej wizji, za którą stał jeden błyskotliwy umysł. Podziemie, jak wcześniej SPZ, miało zapewne tyle wizji, ile działało w nim ludzi, i nawet jako formalna przywódczyni Naomi była tylko jednym z głosów. Maszyna Duarte miała swoje ograniczenia. Jeśli będzie się działo za dużo równocześnie, jego uwagę można było wysycić. Na tym polegała jego słabość i ich potęga.

– Zgłaszają się też nowe kontakty – zauważyła Naomi. – Od czasu otrzymania pierwszego raportu mam informacje o ponad dziesięciu.

– To dobry znak, ludzie czują zmianę wiatru.

– Przynajmniej niektórzy – zgodziła się Naomi. – A inni kierują się czymś innym. Spędziłam całe miesiące, kombinując, jak doprowadzić do tego, żeby ich kierownicy zatrudniali naszych ludzi, oni mogą zrobić to samo z nami.

– Będę ostrożna – zapewniła Chava. – Wywiad środowiskowy, nadzór nowych rekrutów, zadania testowe. Cały cyrk. Nie pozwolę nikomu przemknąć się przez służę rufową.

– W końcu pozwolisz – rzuciła Naomi. – Sprawdzaj też ludzi, którym ufasz. Niech to będą losowe kontrole. I urządzaj wszystko tak, żeby ktoś mógł mieć oko także na ciebie. To jak sprawdzanie uszczelek skafandra. Normą powinno być, że wszyscy sprawdzają wszystkich. I bądź gotowa na ich odwet, bo w końcu nadejdzie.

Chava napiła się kawy i przytaknęła.

– Wolalabym, żebyś została. No wiesz, miło będzie znowu móc zaprosić do siebie gości, ale... dobrze było tu z tobą mieszkać.

– Mimo że narażałam cię na śmierć?

Chava była jedną z tych osób, które potrafiły zmarszczyć tylko czoło.

– Może właśnie dlatego. Chyba za bardzo uzależniłam się od adrenaliny, by przeżyć jako kierowniczką punktu wynajmu statków. Gdyby nie to, podczas urlopów robiłabym loty balistyczne z asystą grawitacyjną.

Naomi dopiła kawę, po raz ostatni odstawiła biały porcelanowy kubek i uścisnęła Chavę na pożegnanie. Cały jej dobytek znajdował się w leżącej przy drzwiach niedużej torbie, która bez trudu mieściła się jej pod pachą. Po raz ostatni rozejrzała się po mieszkaniu Chavy. Kuchnia, salon, przejście do sypialni zajmowanej przez nią wcale nie tak długo. Mimo wszystko dość, by w tym czasie wszystko zmieniło się przynajmniej dwukrotnie.

Ciężar odczuwany w piersi nie był żalem z powodu opuszczenia tego miejsca. Lubiła Chavę i miło się tu mieszkało, ale to nie był dom. Tęskniła za ideą jej własnego domu. Ludzi, których znała dłużej niż

kilka tygodni. Tak było gorzej, bo kiedyś miała swoje miejsce, a wraz z nim rodzinę. Nigdy nie przestanie za tym tęsknić.

Wagony w tunelach metra bazy księżycowej Auberona jeździły co siedem minut, a oznaczenia i kierunki były jasne i dobrze zaprojektowane. Nie miała problemu z dotarciem z mieszkania Chavy do doków, a tam do szalupy wynajętej pod fałszywym nazwiskiem powiązanym z nieistniejącą korporacją i ubezpieczoną na podstawie polisy, która nigdy nie zostanie użyta.

Auberon był celem nie tylko dlatego, że odniósł sukces jako kolonia. Każda lakońska analiza ruchu butelek używanych przez ruch oporu wykaże duży ruch przez wrota Auberona. Po zniszczeniu *Nawałnicy* będzie musiała nastąpić odpowiedź, a ani ona, ani Chava czy też jej kontakty wysokiego poziomu nie wątpiły, że część tej odpowiedzi pojawi się na Auberonie. Najlepszym sposobem na przeżycie uderzenia asteroidy było nie znajdować się na planecie.

Czekając na swoje miejsce w kolejce kontroli ruchu, otworzyła okienko i wywołała obraz teleskopowy planety w dole. Kolejna niebieska kulka w pustce. Część oceanu, którego nigdy nie widziała, pokrywała szeroka spirala huraganu. Rozrzucone kontynenty na widocznej w dole półkuli były jak kostki rzucone w grze. Rozległa, piękna kula zasiedlona przez tak niewielu ludzi. Miasta z uniwersytetami pełnymi studentów, którzy nigdy nie poznają innego nieba. Wątpiła, by jeszcze kiedyś je zobaczyła, więc patrzyła i kazała sobie zapamiętać. Było tyle ostatnich razów, które mijały nierozpoznane. Świadomość, że kończąca się chwila więcej nie wróci, była bardzo cenna.

Obudziła się konsola kontroli ruchu.

– Szalupa osiemnaście czterdzieści dwa, zatwierdzono twój przelot do Bara Gaon. Możesz startować.

– Potwierdzam, kontrola. Zwalniam zaciski.

Mały stateczek pusty jak puszka zadygotał, gdy rozwarły się zaciski dokowe, a Naomi przesunęła manetkę mocy silnika. Obraz Auberona robił się coraz mniejszy, mniejszy i mniejszy, aż zamknęła okno. Chwila dobiegła końca.

* * *

Szalupa była maleńka, zbyt mała i niewyróżniająca się, by zasłużyć na nazwę. Kod transpondera, numer i powierzchowna dokumentacja. Było w nim ciasno jak na statku wyścigowym, ale bez związanej z tym mocy i wysokiej klasy pryczy przeciążeniowej. Zaprojektowano ją do podróży wewnątrzukładowych, zwykle między planetami na podobnych orbitach. Zabranie go w głąbiny układu, przelot przez pierścień, a potem powrót do studni grawitacyjnej innej gwiazdy oznaczały lot zdecydowanie poza zamierzonym przeznaczeniem. Naomi wcale to nie przeszkadzało. W swoim życiu docierała dużo dalej w czymś dużo gorszym. Po kilku dniach ostrego ciągu przeszła na lot w nieważkości.

Spędziła parę godzin, prowadząc ponowną kontrolę systemów, których nie było wiele. Upewniając się, że mieszanka powietrzna miała właściwy skład, że ma dość wody i reaktor działa prawidłowo. Dobra znajomość jej małej bańki powietrza i życia zapewniała komfort psychiczny. Gdyby trafił ją meteor, byłoby za późno na naukę, więc robiła to teraz. Przygotowywała się na najgorsze, by zostać mile zaskoczona. Na stateczku nie było siłowni, ale wciąż miała swoje taśmy oporowe z czasów zabawy w trzy kubki. Mogła się dostosować, jak zawsze.

Zacząła też spędzać czas na wyobrażonych rozmowach z Sabą, Jimem, Bobbie i Aleksem. Będzie musiała podjąć decyzje o znaczeniu strategicznym. Zwycięstwo Bobbie zmusiło Duarte'go do cofnięcia się.

Skoro został już tylko jeden okręt klasy *Magnetar*, ruch oporu miał szansę zmusić Lakonię do przyjęcia postawy czysto defensywnej. Nawet ograniczyć ją do własnego układu. To wymagałoby realnego i wiarygodnego zagrożenia dla samej Lakonii, ale było do zrobienia. Choć nie wystarczało.

Był taki czas, gdy Związek Transportowy oraz rządy Marsa i Ziemi spodziewały się, że Lakonia będzie jak każdy inny skolonizowany świat walczyć o samo przetrwanie, celując w osiągnięcie

samowystarczalnego rolnictwa za pokolenie lub dwa. Jednakże Duarte zabrał ze sobą protomolekułę oraz wiedzę, jak jej używać, a na miejscu miał platformy konstrukcyjne mogące budować statki takie jak *Nawałnica* i *Burza*. Oraz, najwyraźniej, metodę tworzenia i butelkowania antymaterii. Sama groźba nie wystarczy, będzie musiała znaleźć sposób na zniszczenie tej zdolności produkcyjnej. Jeśli Lakonia ma upaść, musi to zrobić boleśnie. Musi wiedzieć, że jej marzenie dobiegło końca, że wcale nie jest wyjątkowa. Kiedy już zostanie sprowadzona do poziomu pozostałych światów, będzie można przyjąć ją z powrotem, ponownie zintegrować. Bo właśnie na tym polegała sztuczka, tego uczyła lekcja Pasiarzy i planet wewnętrznych. SPZ i Związku Transportowego.

To był najważniejszy argument, jaki wszechświat prezentował jej przez całe życie, choć dopiero teraz jasno go rozumiała: wojny nigdy nie kończyły się dlatego, że któraś strona została pokonana. Kończyły się, bo wrogowie się godzili. Wszystko inne było tylko odsunięciem w czasie kolejnej rundy przemocy. Tak teraz wyglądała jej strategia. Synteza argumentów jej i Bobbie. Odpowiedź, którą powinny były znaleźć razem, gdy oddychały tym samym powietrzem.

Po dotarciu do Bara Gaon – drugiej najbardziej udanej ludzkiej kolonii – będzie musiała się zorientować, jakie okręty uda się jej zebrać oraz jakie czasy przelotu wchodzi w grę. Gdyby był sposób na wywabienie sił Duartego z układu Lakonii, a potem wdarcie się do środka przy ograniczonych siłach w układzie, może by im się udało.

Wciąż o tym myślała, wyobrażając sobie, co mogliby na ten temat pomyśleć Saba, Bobbie lub Jim, gdy zaczęła ciąg hamowania. Butelka z układu Sol przeleciała przez wrota Auberona zaledwie kilka godzin później. Szalupa zarejestrowała zaszyfrowane dane tak samo, jak zrobiłby to system Chavy na księżycu planety. Rozpakowywanie zajęło pół dnia, więc minęło wiele godzin, nim znowu usłyszała głos Aleksa i dowiedziała się, ile kosztowało ich zwycięstwo.

Wyglądał... nie starzej. Nie wyglądał staro. Ani na zmęczonego. Widywała go już zmęczonego. Wydawał się „wybladły i wyblakły”. Jakby cierpienie zabrało część koloru z jego oczu.

– Wygląda więc na to, że już tu skończyłem – powiedział w prywatnej wiadomości do niej. – Mam tego młodego chłopaka, którego szkoliłem, powinien sobie poradzić z przejęciem obowiązków. Lecimy do... naszego małego suchego doku. Wiesz którego. – Nawet przy trzech warstwach szyfrowania Aleks nie chciał wypowiedzieć słowa *Freehold*. – Kiedy tam dotrzemy, odchodzę. Pomyślałem, że sprawdzę naszą starą kobyłę. Upewnię się, że nic sobie w niej nie uwiło gniazdka. A potem, sam nie wiem. Pewnie to będzie zależało od ciebie, skoro to ty teraz wszystkim kierujesz. Nie chcę jej wyciągać, chyba że się na to zgodzisz. Zostaliśmy już tylko ty i ja. Czyli. No tak. Przepraszam. Nie chciałem pozwolić odejść Bobbie.

– Nie przepraszaj mnie – odpowiedziała do ekranu Naomi. Łzy utworzyły jej dodatkowe soczewki na oczach. – Och, drogi przyjacielu, nie przepraszaj za to.

Ale wiadomość dobiegła końca, a ona prawie dotarła do przejścia przez pierścień wrót. Wleciała do powolnej strefy, czując ciężar, który nie miał nic wspólnego z szybkością zmiany prędkości statku.

Było to jej pierwsze przejście od czasu utraty Medyny. I Saby. Oraz rozumianego przez nią modelu ludzkiej cywilizacji. Stacja w środku pierścieni jarzyła się jasno jak mała gwiazda, wciąż wyzbywając się energii pochłoniętej z rozbłysku promieniowania gamma. Powierzchnia przestrzeni wrót, wcześniej będąca jednolitą czernią, tańczyła poskręcanyimi tęczkami dziwniejszymi i groźniejszymi niż wcześniejsza ciemność. Jednakże jeszcze bardziej przestraszyły ją statki.

Spodziewała się, że będzie tu pusto. Po wszystkim, co się stało, sądziła, że ruch między wrotami będzie przyzerowy. Myliła się. Jej mała szalupa odebrała sygnały transponderów około dwudziestu jednostek i sygnatury silników jeszcze większej liczby. Lakoński rozkaz unikania przestrzeni wrót był ignorowany na skalę, której nie rozumiała, a wiążące się z tym niebezpieczeństwo wręcz zaparło

jej dech. Bez Medyny kontrolującej przeloty ryzyko zniknięcia przy przejściu było dużo większe, niż powinno.

Dokonała przejścia rozproszona i nieświadoma, a mogła zniknąć, nie poznając powodu tego faktu. A to wszystko przy założeniu, że zdarzenie, które zniszczyło Medynę i *Cyklon* oraz dwa pierścienie wrót w sieci, nie zmieniło obowiązujących zasad. Jeśli próg zniknięcia uległ zmianie, nie będą tego wiedzieć. W każdym razie nie bez testów.

Może to potrzeba zaopatrzenia podatnych kolonii albo szansa na dostarczenie towarów bez opłacania Związku. Może po prostu ludzkość, odzyskawszy swobodę, zapomniała o perspektywie konsekwencji. Niezależnie od przyczyn zaparło jej dech. Szok był tak duży, że w pierwszej chwili nawet nie zauważyła, że dwie jednostki to lakońskie okręty tej klasy co *Zwiastun burzy* i że lecą w jej stronę. W masie ruchu i jej wewnętrznym chaosie nie dostrzegła tego do chwili, gdy szalupa wyświetliła żądanie połączenia z *Monsumu*.

Jej system wyposażono w oprogramowanie do modyfikowania głosu i wyglądu, więc zanim odebrała połączenie, pięć razy upewniała się, że program jest włączony.

– Mówi starszy bosman Norman z *Monsumu* – powiedział mężczyzna na ekranie. – Naruszasz kwarantannę. Natychmiast opuść przestrzeń wrót. – Jego głos pobrzmiwał drażniącymi tonami kogoś recytującego nie ulubiany tekst.

– Przepraszam – odpowiedziała. – Wcale nie chciałam. Po prostu mój brat jest chory. Miałam do niego wrócić wiele tygodni temu. Nie mam żadnej kontrabandy, przysięgam.

– Nie obchodzi mnie, dokąd lecisz – stwierdził Lakończyk. – Po prostu wynoś się stąd i nie wracaj. Wkrótce znajdzie się tu trwały garnizon i coś takiego spowoduje zestrzelenie. Niech cię tu nie będzie, kiedy do tego dojdzie.

– Tak jest, sir – odpowiedziała. – Natychmiast stąd odleczę.

Połączenie zgasło. Byli przeciążeni. Co więcej, mieli w powolnej strefie statki, które nie zostawały tam, żeby ją kontrolować. A to znaczyło, że albo rozumieli ryzyko i ograniczali do minimum narażenie na katastrofę taką jak ta, która zniszczyła Medynę

i *Cyklon*, albo mieli pilniejsze zadania. Lub obie te rzeczy naraz. A śledząc ich kursy, stwierdziła, że lakońskie niszczyciele kierują się do układu Auberona.

– Byliście blisko – rzuciła cicho – ale nic z tego.

Wrota Bara Gaon znajdowały się na siecznej skracającej drodze przez przestrzeń wrót do prawie połowy tego, ile wyniosłaby maksymalna odległość. Wrota nie znajdowały się dokładnie tam, gdzie spodziewał się ich system nawigacyjny. Utrata pierścieni wrót Thanjavur i Tecomy przesunęła wszystkie pozostałe – nie dużo, ale dostatecznie, by oprogramowanie to zauważyło. Pochyliła się nad konsolą, zamierzając ręcznie skorygować kurs i... znieruchomiła.

Mój brat jest chory, pomyślała. Ja też.

Skorygowała kurs szalupy, kierując ją na Freehold. I dom.

Rozdział trzydziesty szósty

Teresa

Dzień, w którym się złamała, zaczął się tak jak większość dni ostatnio: od koszmaru.

Nie spała prawie do przedświt, oglądając stare filmy i widziane już wcześniej programy rozrywkowe, próbując wyciągnąć z nich trochę komfortu, bo były znajome. Wiedza, co się stanie, zanim się wydarzyło, czyniła te historie bezpiecznymi. W przeciwieństwie do jej prawdziwego życia. Nie spała tak długo, jak pozwalało na to ciało. A kiedy już nie mogła zostać na jawie ani chwili dłużej, natychmiast dopadały ją sny, jakby na nią czekały. Jakby były głodne.

Miała ich trzy główne rodzaje. W pierwszym znajdowała się w dziwnej części Budyńku Rządowego, z ojcem – czasami też mamą – w pobliskim pokoju, gdzie ktoś go zabijał, a ona mogła to powstrzymać, jeśli tylko znajdzie właściwe drzwi. W innym planeta Lakonia łapała jakąś chorobę i części ziemi zaczynały się zapadać głęboko w płonące jądro. Nic nie było stabilne, nic nie było bezpieczne. Trzeci był bezpostaciowy i pełen przemocy, nawet nie tyle sen, ile wariacje na temat zamordowania Timothy’ego przez Ilicha.

Każda wersja pojawiała się z taką regularnością, że zaczęła je już rozpoznawać. Nawet sny zaczęły komentować ten temat. Gdy zaczynała rozpoznawać jakiś nowy przerażający obraz, myślała: to jak w moich snach, tylko teraz dzieje się naprawdę. A to czyniło koszmary jeszcze gorszymi, bo czuła, jakby były nieuniknione.

Zatruwały jej całe dni. Przemoc, strach i poczucie straty zabarwiały każdą chwilę, docierając ze wszystkich stron, i na niczym nie mogła polegać.

Co było straszne, bo prawdziwe.

Obudziła się po niedostatecznej ilości snu, słysząc łagodne pukanie służącego i podniecone szczekanie Piżmak. Śniadanie było ulubionym posiłkiem staruszki. A może jej ulubionym był każdy posiłek.

Służący przyniósł białą ceramiczną tacę z talerzem jajek i słodkiego ryżu, szklanką soku z arbuza i kielbaską z lubianą przez nią ciemną, ziarnistą musztardą. Kiedyś lubianą. Teraz nie była zbyt zainteresowana jedzeniem. Nie tak jak kiedyś. Przemieszała ryż i oglądała oficjalne kanały pełne informacji o lakońskich statkach oferujących pomoc miejscowym rządów w nieustannej walce przeciw przemocy separatystów. Zdjęcia kobiet i mężczyzn w granatowych mundurach galowych Lakonii rozmawiających poważnie z gubernatorami Ziemi i Marsa. Zastanawiała się, czy ktokolwiek w to wierzy. Czy ona sama w to wierzy.

Wiedziała, że jeśli nie zje, zostanie to zgłoszone Trejo. Już się to zdarzyło. Ugryzła kęs jajka, ale gumista tekstura białka wywołała w niej ściśnięcie gardła. Wystarczy ryż. Musiał wystarczyć. Poprzedniego wieczoru nie zdołała wcisnąć w siebie więcej niż połowy kolacji. Wiedziała, że głodzenie się nie będzie dla niej dobre i nie spodoba się Ilichowi ani Trejo. W części dlatego to robiła. Nabrała łyżkę ryżu, wyssała z niego gęsty, słodki sos i wypłuła ziarenka. Na ekranie admirał Gujarat mówił o ukończeniu *Zawieruchy*, najnowszej okrętu klasy *Magnetar*, jakby był jedynym. Jakby wcześniej dwa takie nie zostały już zniszczone.

Podniosła kielbaskę. Woń tłuszczu i soli była odrażająca. Nie potrafiła zobaczyć w niej niczego poza resztkami martwych zwierząt w cienkiej otoczce. Rzuciła ją Piżmak. Zamiast pożreć kielbaskę, psica popatrzyła najpierw na danie, potem na nią i zaskomlała.

– Możesz spokojnie – zapewniła Teresa. – I tak nie zamierzałam jej wcześniej zjadać, teraz tym bardziej tego nie zrobię.

Piżmak dwukrotnie machnęła szerokim ogonem, wyraźnie niepewna. A potem zjadła kielbasę, wyglądając przy tym, jakby się wstydziała. Teresę na chwilę opuściło odrętwienie i w jej oczach pojawiły się łzy. Budynek Rządowy był pełen ludzi ze wszystkich układów w imperium. Byli tu ludzie, których jedynym zadaniem było gotowanie jej posiłków, uczenie jej czy pilnowanie, by jej ubrania były czyszczone i składane. Nie zatrudniono tu nikogo, by się o nią faktycznie troszczył. Tak naprawdę zauważała ją tylko jej psica.

W głębi głowy Teresy rozległ się głos, tak wyraźny, jakby w pokoju z nią był ktoś jeszcze. Brzmiał jak jej własny, ale spokojniejszy. Bardziej ironiczny. W jakiś sposób bardziej dojrzały, niż o sobie myślała, niczym jakaś późniejsza Teresa przesyłająca luźną uwagę z przyszłości. „Piżmak lubi Holdena”.

Głos ucichł. Teresa spojrzała w skomplikowane, brązowe oczy Piżmak i smutek trochę złagodniał.

– Chyba fatalnie dobierasz przyjaciół – rzuciła. – Przykro mi, psie.

Rozległo się nowe stukanie do drzwi i nie musiała ich otwierać, by wiedzieć, że to Ilich. Przemieszała jedzenie na talerzu, by wyglądało, że zjadła więcej niż w rzeczywistości, i otworzyła drzwi. Gdy tylko ją zobaczył, zgasł uśmiech na jego ustach.

– Wiem – powiedziała, zanim zdążył się odezwać. – Bardzo ważne jest utrzymywanie pozorów, że wszystko odbywa się normalnie. Powtarza mi to pan każdego dnia. Wstała i rozłożyła ręce na boki. – To jest normalne. Jestem normalna!

– Oczywiście – odpowiedział z gładkim uśmiechem, znaczącym, że nie zamierza z nią walczyć. – Wkrótce zaczną się twoje zajęcia. Dzisiaj poprowadzi je doktor Okoye, więc będę mógł się spotkać z admirałem Trejo.

Tak naprawdę znaczyło to: „więc będę mógł robić coś ważniejszego”. Choć nie powiedział tych słów, Teresa i tak je usłyszała. Piżmak sapnęła i pomachała ogonem, przewidując przygodę opuszczenia mieszkania. Teresa wzruszyła ramionami i ruszyła do drzwi, wyzywając Ilicha, by jej nie ustąpił. Ustąpił.

Budynek Rządowy był taki sam jak zawsze. Łuki, kolumnady, ogrody. Nic się tutaj nie zmieniło. To był jej dom, jej królestwo. A jednak w jakiś sposób to wszystko stało się jej więzieniem, z Ilichem i pozostałymi jako strażnikami. Była honorowana i traktowana z całym możliwym szacunkiem, jeśli robiła to, co jej kazano, i wtedy, kiedy polecono. Jej opinii słuchano z całkowitą powagą, a potem kompletnie ją ignorowano. Szła do sali wykładowej, zastanawiając się, co by się stało, gdyby weszła do środka, stanęła za mikrofonem i wykrzyczała: „Mój ojciec ma martwicę mózgu i nic nie jest w porządku!”. Uśmiechnęła się.

Okazało się jednak, że z takiej próby nic by nie wyszło. Na dzisiaj zmieniono ustawienie stolików w sali – sześć stołów z blatem z kamienia ustawiono w dwóch rzędach po trzy. Byli tam już wszyscy pozostali uczniowie – rzekomo jej rówieśnicy. Najwyraźniej Ilich przyszedł po nią, bo się spóźniła, nawet tego nie zauważając.

Pokój śmierdział czymś ciężkim i żrącym. We wszystkich oknach włączono wymienniki powietrza, które pracowały teraz, usuwając odpowiedzialne za woń cząsteczki lotne i pompując do środka świeże powietrze. Na stołach rozstawiono małe tace, po dwie, a między nimi rozłożono skalpele, pęsety, szpilki i wąskie nożyczki. Elvi Okoye przechadzała się między uczniami, opierając się na lasce i rozmawiając. Teresa znowu poczuła uderzenie gniewu. Miała się zajmować naprawianiem jej ojca, a nie uczeniem bandy dzieciaków. Ale oczywiście nie wolno jej było tego powiedzieć. Bo to nie wyglądałoby normalnie.

– Dobrze cię widzieć, Tereso – odezwała się Elvi i dotknęła jej dłoni. – Cieszę się, że przyszłaś.

Teresa wzruszyła ramionami i odsunęła się, opierając się o jeden ze stołów. Teraz, gdy się zbliżyła, zobaczyła ciała rozciągnięte na tacach, unieruchomione szpilkami. Martwe zwierzęta. Martwe jak Timothy. Jak jej matka. Martwe jak wszyscy ludzie w przestrzeni wrót.

– Pułkownik Ilich chciał, żebym zrobiła wam, um, małe wprowadzenie do ewolucji równoległej. To, co tu mamy, do dwa gatunki z różnych drzew ewolucyjnych życia. Jedno pochodzi

z Lakonii, drugie z Ziemi. Oba nazywa się żabami, bo zajmują tę samą niszę ekologiczną i wykazują pewne podobieństwa anatomiczne. Zatem podzielcie się na grupy po trzy osoby. Przeprowadzę was przez preparowanie.

Teresa popatrzyła na żaby. Obie miały jasne brzuchy i ciemniejszą skórę, choć jedna miała wyraźnie intensywniejszy kolor. Ich tylne nogi składały się w odmienny sposób, a na dodatek jedna miała dwie kończyny przednie, podczas gdy druga cztery. Z jej punktu widzenia jedynym, co miały ze sobą wspólnego, był fakt, że obie są martwe. Wzięła skalpel w dłoń, przyjrzała się ostrzu i zaczęła się zastanawiać, czy zdoła rozciąć ciała bez wymiotowania. Przynajmniej nie miała w żołądku zbyt wiele do zwracania, więc nie było tak źle.

– Cześć – odezwał się Connor.

Nie widziała, jak podchodzi, ale stał tuż obok. Piaskowe włosy i łagodne oczy. Pamiętała, że kiedyś bardzo zależało jej na jego opiniach. Pamiętała, że chciała go pocałować, jakby to był oglądany przez nią film, a nie coś, co sama czuła.

Ścisnęła boki ostrza między palcami i podała mu skalpel uchwytem do przodu.

– Chcesz ciąć? – zapytała.

Przyjął narzędzie i niezręcznie odwrócił wzrok. Nie szkodzi. Trzecią w ich grupie była Shan Ellison. Kiedy wszyscy zebrali się w grupy, Elvi Okoye włączyła wyświetlacz przestrzenny z obrazem dwóch żab, zgodny z tym, co mieli na tacach.

– No dobrze – powiedziała Elvi. – A więc jedną z rzeczy, które spotykamy w biomie zarówno Lakonii, jak i Ziemi, jest woda. Są też zwierzęta, dla których korzystne jest prowadzenie części życia w wodzie, a części poza nią. Nazywamy je płazami. Obie wasze żaby są płazami. A ponieważ na obu planetach woda jest identyczna pod względem chemicznym i fizycznym, a dorosłe postacie, które tu mamy, wymagają do oddychania powietrza, ewoluując, oba gatunki musiały się zmierzyć z pewnymi problemami. Niektóre rozwiązania wyglądają bardzo podobnie, a część z ich strategii nie mogłaby się

bardziej różnić. Zaczniemy więc od przyjrzenia się płucom ziemskiej żaby. Każda grupa powinna wykonać pierwsze nacięcie tutaj...

Powoli, krok po kroku, zajęli się rozbieraniem żab. Wbrew sobie Teresa uznała ten proces za interesujący. Sposób, w jaki lakońska żaba pompowała wodę do klatki piersiowej i z powrotem, funkcjonalnie równoważąc to, co ziemska żaba robiła przeponą. Jak mechanizmy karmienia – paszcza i przełyk ziemskiej żaby, paszcza komorowa i żołądek lakońskiej – w różny sposób wykonywały te same funkcje. Miała wrażenie, że to coś dużo głębszego niż tylko biologia. Coś dotyczącego jej samej i otaczających ją ludzi. Coś o tym, czy kiedykolwiek będzie mogła znaleźć swoje miejsce.

Kiedy Connor znów się do niej odezwał, zrozumiała, że jej myśli odpłynęły. Mówił cicho i niepewnie.

– Moja mama.

Teresa zerknęła w stronę Elvi. Była z drugiej strony sali i rozmawiała z jedną z pozostałych grup.

– Co z nią? – zapytała Teresa.

– Właśnie mówiłem, że moja mama... No wiesz. Ogląda wiadomości. O tym wszystkim, co się dzieje.

Zerknął na nią, a potem odwrócił wzrok, jakby się wstydził. Jakby mówił coś wstydlivego. Shan Ellison się nie odzywała, ale przyglądała mu się z intensywnością kogoś spodziewającego się przemocy. Wydawało się to potajemne i dziwne, jakby powiedział pierwszą część jakiegoś hasła, a ona nie знаła odzewu.

A potem, uderzenie serca później, zrozumiała. Prosił ją, by powiedziała mu coś pocieszającego. Jego rodzice się bali. On się bał. A ponieważ byli razem w jednej klasie, a ona była córką swojego ojca, chciał, by powiedziała mu, że wszystko będzie dobrze. Że ona, wiedząc to, co wie, nie boi się i on też nie powinien.

Oblizła wargi i czekała, by się przekonać, co się z nich wydostanie.

– Nie powinna spędzać przy nich tyle czasu – powiedziała. – Wiem, że wszystko wygląda naprawdę groźne, ale to wcale nie jest taki duży problem. Dla taty pracują najlepsze umysły imperium

i każdego dnia dowiadują się coraz więcej. Wszyscy zawsze wiedzieli, że w końcu pojawią się utrudnienia.

– Właśnie – przytaknął Connor. – Wszyscy wiedzieli.

A więc skłamała. Ciekawe. Powiedziała mu to, co chciał usłyszeć, i wcale nie dlatego, że chciała go chronić albo zapewnić mu bezpieczeństwo. Po prostu tak było łatwiej. Teraz zrozumiała, czemu dorośli okłamywali dzieci. To nie była miłość, tylko wyczerpanie. A ona była teraz taka sama. Pożarli ją.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Shan, a jej głos dochodził z bardzo bliska. Jakby dziewczyna nie mówiła z drugiej strony stołu, tylko szeptała wprost do ucha Teresy. Zabrzmiało to cicho i dziwnie intymnie. „Nic mi nie jest”, odparła Teresa. Tylko że nie wypowiedziała tych słów.

Dopadło ją poczucie, że musi natychmiast wyjść. Że jeśli tylko zdoła się napić wody i na chwilę położyć, jej własny oddech nie będzie brzmiał w uszach tak głośno. Poczula, że idzie. Przy drzwiach obok niej pojawiła się czyjaś ręka i ten widok ją przestraszył. Należała do niej. Poruszyła dłonią zafascynowana kontrolą nad nią połączoną z całkowitą emocjonalną pewnością, że nie należy do niej.

Elvi Okoye też tam była, jak coś ze snu. Coś powiedziała, o coś zapytała, ale zanim Teresa jej odpowiedziała, zdążyła zapomnieć pytanie.

Ciekawe, czy umieram, pomyślała Teresa i ta myśl wcale nie była nieprzyjemna.

* * *

Na chwilę się zatraciła. Nawał wrażeń zmysłowych – głosy, ruch. Ktoś dotykał jej dłoni i szyi. W oczy zaświeciło jasne światło. Oprzytomniała na leżaco. Pomieszczenie wyglądało znajomo, ale nie potrafiła go przyporządkować do chwili usłyszenia znajomych głosów.

– Nie wyciągam żadnych wniosków – powiedział lekarz. To nie był doktor Cortázar, tylko jej stary pediatra, doktor Klein. I rozmawiał

z Elvi Okoye. – Mówię tylko, że jest odwodniona i niedożywiona. Może stało się tak, bo pojawił się jakiś problem z przyswajaniem, może dostała reakcji alergicznej na coś. Albo doznaje tak wysokiego poziomu stresu, że objawia się to somatycznie. Albo – mówię tylko o potencjalnej możliwości – sama się głodzi.

Leżała na noszach na kółkach w skrzydle medycznym Budynku Rządowego. W żyłę na rękę miała wkłuty wężyk, który łączył ją z automatycznym lekarzem. Kiedy się poruszyła, poczuła igłę pod skórą i chłód w ramieniu, gdzie wpływał podawany płyn.

– Nie zjadłam śniadania – krzyknęła, a jej głos znowu brzmiał normalnie. – To moja wina. Byłam głupia. Po prostu się zagapiłam.

Znaleźli się przy niej, zanim skończyła mówić. Doktor Klein był wciąż jeszcze młodym mężczyzną o pofalowanych brązowych włosach i zielonych oczach przypominających jej Trejo. Lubiła go, bo dawał jej słodczyce po badaniach, kiedy była mała, i nigdy nie traktował jej protekcyjnie. Teraz patrzył na odczyty systemu automatycznego lekarza i próbował nie spojrzeć jej w oczy. Opierająca się na lasce Elvi miała poszarzałą twarz. Popatrzyła wprost w oczy Teresy, a ta nie uciekła spojrzeniem.

– To przez żaby – skłamała Teresa. Łatwo jej to przyszło. – Przez to, że nie jadłam, a potem przez ich krojenie zakręciło mi się w głowie.

– Może – rzucił Klein. – Ale jeśli podłożem jest jakiś problem żołądkowo-jelitowy, powinniśmy się nim szybko zająć. Na Lakonii są pewne mikroorganizmy, dla których zaobserwowano interakcje podobne do grzybów. Nie można tego zignorować.

– Nic takiego się nie dzieje, daję słowo – powiedziała Teresa. – Czy mogłabym chwilę porozmawiać z doktor Okoye?

Nastąpiła chwila wahania, którą nie do końca potrafiła zinterpretować, jakby Klein mógł odmówić. Ale...

– Oczywiście. – Skinął głową w stronę Elvi. – Majorze – powiedział i wyszedł.

Kiedy znalazł się poza zasięgiem słuchu, zapytała ostrym tonem:

– Co pani robi, wprowadzając go w to wszystko? Nie powinniśmy się stykać z innymi ludźmi. Moim lekarzem jest doktor Cortázar.

– On nie jest lekarzem – zaprotestowała Elvi. – Ma doktorat z nanoinformatyki. Nie powinien się zajmować medycyną ani trochę bardziej niż ja.

– Ale on wie, co się dzieje. Czy chce pani, żeby doktor Klein zaczął dopytywać, czemu jestem w takim stresie? Chce pani, żeby się tego domyślił?

Czuła satysfakcję z rzucania w nich tym wszystkim, co mówili do niej. Zachwyty na widok kurczącej się w sobie Elvi. Patrzyła, jak kobieta się z czymś zмага, a potem podejmuje decyzję. Elvi usiadła na brzegu jej noszy z westchnieniem ulgi odciążenia gojącej się nogi. Potarła czoło dłońmi.

– Posłuchaj – powiedziała. – Nie powinnam ci tego mówić, ale nie możesz ufać doktorowi Cortázarowi. Jestem prawie pewna, że chce ci zaszkodzić. Może nawet zabić. Prawdopodobnie zabić – poprawiła się po chwili.

Poczuła falę zawrotów głowy, a automatyczny lekarz wyświetlił ostrzeżenie. Po prostu była głodna. Potrzebowała tylko wody, to wszystko. Pokręciła głową.

– Czemu?

Elvi odetchnęła głęboko i odpowiedziała cicho.

– Myślę, że chce oddać dobrze znany obiekt dronom naprawczym i zobaczyć, co zrobią. Ma dwoje innych, ale nie ma dla nich takich skanów i badań przygotowawczych, jak w twoim przypadku. To, oraz... chce tego, co mieliście mieć ty i twój ojciec. On też chce żyć wiecznie.

Jak żaby, pomyślała Teresa i stłumiła okrutny, desperacki śmiech. Chce mnie potraktować jak żaby. Przyroda cały czas zjada dzieci.

Holden też to wiedział. Próbował jej powiedzieć. To już dwie osoby, które ją ostrzegły. Dwie różne osoby, które odkryły to samo. Elvi trzymała ją za rękę, tę bez whitej igły.

– Próbuję go trzymać z dala od ciebie – wyznała Elvi. – Ale Cortázar jest bardzo ważny. Bez niego... odzyskanie twojego ojca będzie dużo trudniejsze. Wszystko zrobi się dużo trudniejsze.

– Musimy powiedzieć Trejo – rzuciła Teresa.

– On wie – ponuro oświadczyła Elvi. – Powiedziałam mu. Robimy, co możemy, ale ty też powinnaś wiedzieć. Powinnaś się chronić.

– Jak?

Elvi zaczęła coś mówić, urwała, zaczęła znowu. W jej oczach pojawiły się łzy, ale głos miała pewny.

– Nie wiem. To mnie zdecydowanie przerasta.

– Tak – zgodziła się Teresa. – Mnie też.

Rozdział trzydziesty siódmy

Aleks

– Powinieneś odpocząć – zasugerował Caspar. – Ile masz za sobą podwójnych zmian?

– Nie wiem – przyznał Aleks opierając się o ścianę kambuza. – Ale czuję, że jeszcze jedna mnie nie zabije.

– Aż to robi – rzucił Caspar. – Ale tu nawet nie o to chodzi. Przy tym, jak ciężko pracujesz, w końcu zaczniesz popełniać błędy.

Aleks skrzywił się. Wiedział, że Caspar nie chce go obrazić, i tylko ta wiedza powstrzymała go przed rozzłoszczeniem się. A przynajmniej przed okazaniem złości.

– Kiedy złapiesz mnie na pomyłce, przestanę tyle siedzieć – powiedział. – Do tego czasu...

Caspar uniósł ręce w geście poddania się, a Aleks z powrotem zajął się jedzeniem. Miał teksturowaną pastę drożdżową i bańkę wody. To był jego lunch, jeśli był na drugiej zmianie, i śniadanie, jeśli na trzeciej. W sumie więc połączenie obu.

Burza leciała z dużym ciągiem, by uciec przed lakońskimi siłami, ale nikt jej nie gonił. Nikt się nie odważył. Sądząc z kanałów informacyjnych, większość ludzi nie była pewna, w jaki sposób udało im się zniszczyć *Nawałnicę*, i nikt nie chciał ryzykować, że to powtórzą. I bardzo dobrze, bo im dalej lecieli, tym wyraźniej było widać, ile kosztowało ich to zwycięstwo.

Podczas każdej zmiany odkrywali nowe, niespodziewane usterki *Burzy*. Kanały próżniowe, które nie przewodziły mocy,

regeneracyjny pancerz, który przestał się regenerować, wycieki atmosfery tak nieznacznie, że nie dało się ich zlokalizować – po prostu obserwowali powolny i stały spadek ciśnienia. Aleks nie był inżynierem, ale latał na *Burzy* równie długo jak wszyscy, a w kosmosie zaczął, nim spora część załogi w ogóle się urodziła. Kiedy nie spał, pracował nad utrzymaniem statku w całości. Przerywał, gdy wyczerpanie obiecywało szybki, głęboki sen bez snów.

Nie był to pierwszy raz, gdy używał pracy do utrzymania emocji na dystans. Przez całe jego życie zdarzały się okresy takie jak ten, gdy groźba odczuwania prawdziwych emocji była zbyt poważna, by stawić jej czoło. Niektórzy w takich sytuacjach upijali się, wdawali w bójki lub ćwiczyli na siłowni, dopóki nie opadli bez sił. On też robił to wszystko, ale przy *Burzy* w tak opłakanym stanie i załodze z obrażeniami i chorobami popromiennymi praca była dobrym lekarstwem. Dawała mu zajęcie, a on utrzymywał statek przy życiu.

Mimo wszystko nie było to doskonałe rozwiązanie. Wiedział, że nie jest uleczony, i podejrzewał, że nawet nie zaczął tego procesu. Ból przychodził w dziwnych chwilach. Kiedy właśnie się budził lub zasypiał, a jego myśli wędrowały. Wtedy, oczywiście. Ale także gdy czołgał się przez wąskie tunele techniczne, szukając uszkodzonego przewodu lub przyjmując codzienną dawkę leków w ambulatorium, by powstrzymać wyściółkę jelit przed ponownym wycieknięciem. Atakowały go zniecka i na parę sekund gubił się w swoich myślach, tonąc w oceanie żalu.

Oczywiście chodziło o Bobbie, ale rozlewało się też na inne sprawy. W najgorszych chwilach myślał też o nadchodzącym ślubie Kita. O Holdenie i tej koszmarnej ostatniej akcji, którą przeprowadzili razem na Medynie, kiedy został złapany. O Talissie, swojej pierwszej żonie, i Giselle, drugiej. Amosie, jego najgorszej stracie, bo po prostu zniknął bez żadnego śladu za liniami przeciwnika. Może nigdy się nie dowie, co się z nim stało. Wszystkie jego rodziny i wszystkie sposoby, na które je stracił. Wydawało się tego zbyt wiele, by to znieść, ale znosił. A po kilku minutach najgorsze mijało i mógł się z powrotem zabierać do pracy.

Przelot przez pierścienie wrót do układu Freehold poszedł tak gładko, jak tylko mogli mieć nadzieję. Aleks pozwolił Casparowi zająć się pilotażem. I tak niedługo przejmie stery, więc lepiej, żeby nabrał wprawy. Wlecieli szybko, ostro wykręcili w stronę wrót Freehold i wystrzelili z powrotem do normalnej przestrzeni. Teoretycznie było możliwe wejście we wrota pod odpowiednim kątem z normalnej przestrzeni i polecenie tak, by przemknąć między wrotami po linii prostej, ale w praktyce zwykle stosowało się pewne zakrzywienie. Caspar dobrze sobie z tym poradził. Równie dobrze, jak zrobiłby to Aleks. Posłali szybką torpedę w jedyną rzecz, która wyglądała na lakoński zestaw czujników, rozwalając ją na pył przed ostatnią korektą kursu. Było to najbliższe anonimowości, na co mogli liczyć bez zabawy w trzy kubki.

Samo Freehold było nieskomplikowanym, niewielkim układem. Jedyna nadająca się do zamieszkania planeta była trochę mniejsza od Marsa. Potem jedna trochę większa, dalej od słońca, z nienadającą się do życia atmosferą, i seria trzech gazowych olbrzymów chroniących wewnątrz układu. Macierzysty port *Burzy* mieścił się właśnie tam, w cieniu olbrzyma nazwanego Wielkim Bratem, gdy byli uprzejmi, i Wielkim Skurwielem, gdy nie byli. Planeta była odrobinę większa od Jowisza w układzie Sol, z niebiesko-zieloną atmosferą w paski i nieustannymi burzami elektrycznymi tworzącymi wyładowania dłuższe od średnicy Ziemi. Aleks przyglądał się, jak rośnie na ekranach *Burzy*, i zobaczył czarną kropkę na tle jej tarczy, będącą skalistym księżycem, na którym się ukrywali. Dawno wygasłe procesy wulkaniczne zostawiły po sobie tunele lawowe dość duże, by wylądować w nich *Burzą* i jeszcze niewielką flotą podobnych jednostek. Tam właśnie się kierowali, do stałej bazy obsadzonej przez inżynierów z Pasa i agentów podziemia, którą Bobbie nazywała „warsztatem”.

Ktoś uprzejmie zapukał do drzwi jego kabiny. Właściwie to nawet z wahaniem. Caspar został na korytarzu, trzymając się uchwytu.

– Hej – powiedział chłopak. – Idziesz?

– Dokąd? – zapytał Aleks.

– Mostek. Musisz nas wprowadzić, nie? Tradycja. Pilot, który odchodzi, sam wprowadza statek do ostatniego portu.

– Co to za tradycja? – zapytał ze śmiechem Aleks. – Nigdy jeszcze o niej nie słyszałem.

– Sam ją wymyśliłem przed chwilą – przyznał Caspar. – Nie możesz zrezygnować z rozpoczęcia własnej tradycji.

– Ty możesz nas wprowadzić – stwierdził Aleks. – I tak potrzebujesz praktyki.

– Nie – zaprotestował Caspar. – Albo wylądujesz, albo wbiję to cholerstwo w księżyc i powiem, że załatwione.

– Kiepski z ciebie kłamca – odpowiedział Aleks, ale i tak odpiął się od pryczy. – Powinieneś nad tym popracować.

– Jak nad wszystkim innym – odparł chłopak. – Ty naprawdę odchodzisz – rzucił po chwili.

– Owszem – potwierdził Aleks. – Naprawdę.

– Byłeś dobry.

– Ty też będziesz. Nie potrzebujesz mnie tutaj.

Wyleciał powoli ze swojej kabiny przy małym ciągu hamowania czyniącym z dołu raczej sugestią, niż prawdziwą wagę. Skierował się do centralnej windy i w górę, na mostek. Kiedy wleciał tam po raz ostatni, reszta załogi stanęła na baczność, zaczepiona o pokład magnetycznymi butami. Caspar zaczął klaskać, inni się przyłączyli. Aleks dotarł na fotel pilota z tak zażawionymi oczami, że nie widział ekranu.

– Na rozkaz, kapitan – powiedział.

– Proszę nas wprowadzić, panie Kamal – poleciała Jillian.

Samo lądowanie było łatwe, przynajmniej od strony technicznej. Nawet przy wszystkich obrażeniach *Burza* wiedziała, gdzie znajdują się wszystkie ściany wokół i gdzie oczekiwać narosła ludzkich struktur. Aleks poczuł, jak z serca spada mu wielki ciężar. Indywidualnie dopasowane klamry dokowe zrobione w czasach, gdy *Burza* była świeżo przejętą zdobyczą, wsunęły się na miejsce z odgłosem zbyt niskim, by go usłyszeć, i lekkim drżeniem.

– Witajcie z powrotem, *reisjad* – dobiegł z głośnika głos z pasiarskim akcentem. – Wygląda na to, że solidnie spieprzyliście

swój statek, co?

– Da wam to jakieś zajęcie, leniwe gnoje. – Jillian odpowiedziała tak, jak zrobiłaby to Bobbie. Z tym samym akcentem i wymową. Fakt, że dziewczyna bardzo zwracała uwagę na sposób postępowania Bobbie, wydał mu się tak właściwy, że nie potrafiłby tego wyrazić słowami. Nawet gdy już ich nie będzie, następne pokolenie zachowa ich echo.

Prom na Freehold był jednokadłubowym transportowcem nazwanym *Drybeck*. Życie zaczął jako rudowiec i został przerobiony około dwudziestu lat temu. Jego wcześniejsza firma stosowała schemat barwny oparty na zieleni i żółci, a na ścianach mostka wciąż straszył ślad po logo. Silnik był mały i kapryśny, podatny na dławienie się przy zmianach ciągu, ograniczony małym zbiornikiem masy odrzutowej. Ładownię zastawiono pryzmami przeciążeniowymi, a sześcioro członków załogi, którzy najbardziej ucierpieli w wybuchu *Nawałnicy*, i tak bardziej zaliczano jako ładunek niż towarzyszy lotu.

Długi spadek z gazowych olbrzymów przecinał rejon, który w układzie Sol byłby najbardziej ruchliwy. Między Jowiszem, Saturnem i planetami wewnętrznymi leciałyby setki statków. Na Freehold było ich może sześć. Aleks wykreślił kurs z rosnącym poczuciem pustki układu, którego nie mogło wypełnić kilka dziesiątek lat. Był za duży. To wszystko było za duże. Uczestniczył w tym od samego początku, brał udział w parciu ludzkości do gwiazd, ale wciąż nie potrafił ogarnąć umysłem rozległości przestrzeni.

Zdziwił się, gdy kilka minut przed startem na mały mostek weszła Jillian i usiadła w pryzcy obok niego, nie przypinając się.

– Lecisz z nami? – zapytał.

Jillian patrzyła na niego dłuższą chwilę bez słowa. Wyglądała starzej, niż o niej myślał, jakby przejęcie dowodzenia nawet na tak krótki okres już zdążyło ją postarzyć.

– Nie – odpowiedziała. – Rodzina chciałaby mnie zobaczyć, ja ich też, ale na to będzie czas, gdy skończy się wojna.

„Podziwiam twój optymizm”, chciał powiedzieć Aleks, ale mrok był i tak zbyt duży. Nie chciał jej ściągać w objęcia własnego sceptycyzmu. Zamiast tego przytaknął i wydał wieloznaczny dźwięk z głębi gardła.

– W porcie czeka na ciebie szybka gąsienicówka – powiedziała. – Ma dość wody, paliwa i kultur drożdżowych, żeby cię ustawić na początek.

– Miło z twojej strony, doceniam to.

– To nie altruizm – zastrzegła. – Twój statek jest stary, ale to jednostka bojowa. Wciąż lepsza od większości tego, czym dysponuje podziemie.

– Może – przyznał Aleks. – A może też jest gniazdem dla całego stada pustynnych ptaków. Po części tego spróbuję się dowiedzieć.

– Kiedy już to zrobisz, skontaktuj się ze mną. Solo latają tylko szaleńcy i dupki. Musisz mieć kogoś do pomocy.

Konsola łączności wyświetliła komunikat, statek miał zgodę na start. Wystarczyło, że Aleks potwierdzi. Wstrzymał wiadomość.

– Co chcesz powiedzieć? – zapytał.

– Jeszcze nie skończyliśmy – oświadczyła Jillian. – Co więcej, wygrywamy. Podziemie będzie potrzebować każdego statku, jaki zdoła zebrać, a twój byłby bardzo dobrym dodatkiem do tych sił. Jeśli będziesz potrzebować dla niego załogi, tylko mi powiedz. Dostaniesz ją.

Aleks nie wiedział, co powiedzieć. Tak naprawdę nie miał żadnych planów poza powrotem na *Rosynanta*. Ale miała rację. To nie koniec świata. Będzie coś po Bobbie. Po Amosie. Holdenie. Cokolwiek robił, nie pojedzie tam, żeby umrzeć w samotności, musi po prostu dojść do siebie.

– Dam ci znać, jak tam wygląda – odpowiedział. – Zrobimy jakiś plan.

Jillian wstała i wyciągnęła rękę. Uścisnął ją, nie odpinając się.

– Było dobrze – rzuciła Jillian. – Zrobiliśmy kawał dobrej roboty.

– To prawda, co nie? – zgodził się Aleks.

Kiedy wyszła, przeprowadził ostatnią kontrolę systemów. Latanie jednokadłubowymi statkami było rodzajem ruletki, której zwykle

unikał, ale nawet jeśli zostaną trafieni przez mikrometeoryt, prawdopodobnie to przeżyją. Zresztą. Życie to ryzyko.

Z powrotem aktywował konsolę łączności.

– Mówi *Drybeck* – powiedział. – Potwierdzam zgodę na start.

– Wciąż masz zgodę, *Drybeck* – zabrzmiał głos z drugiej strony. – Nic nie wybucha i nie masz tam na kogo wlecieć. *Ge con Gott*, nie? Stacja Draper się rozłącza.

Stacja Draper, pomyślał Aleks, wyprowadzając statek z kanału lawowego na silnikach manewrowych. Pierwszy raz usłyszał, żeby tak nazywali to miejsce. Brzmiało dobrze.

* * *

Freehold, podobnie jak większość planet w ekostrefie gwiazd, oferowała dużą różnorodność warunków. Jej solne pustynie znajdowały się na tym samym kontynencie, co gęsto porośnięte góry, w których ukryli się, kiedy pierwszy raz tu przylecieli, i gdzie znajdowało się osiedle, które rozrosło się do skromnego miasta. Wszędzie aż po horyzont rozciągały się białe wydmy i połacie czerwonych skał. Miejscami z ziemi wyrastały skalne iglice i wąskie jak nóż granie, które mogły być artefaktami obcej cywilizacji albo po prostu dziełem geologii. Świty miały ciepłą różową barwę, a zachody były zielone i złote. Aleks nie wiedział dlaczego. W nocy pustynia śpiewała. Wysokie wibrujące tony, gdy zmiany temperatury sprawiały, że sam piasek dźwięczał jak kieliszek do wina.

Pojazd gąsienicowy był prawie całkowicie autonomiczny i prowadził nawigację na podstawie godziny oraz pozycji słońca, jak antyczni kapitanowie na Ziemi. Nie nadawał żadnych sygnałów, które mogłyby zdradzić jego pozycję. Szerokie gąsienice z tytanu i gumy czyniły pokonywanie rozległej pustyni bez śladów łatwiejszym niż prosty lot statkiem. Samotność była bezmierna i pocieszająca. Spodziewał się czuć w tej podróży osamotniony, jednak wcale tak nie było. Okazało się, że wyczerpał go wysiłek normalnego zachowywania się w obecności załogi *Burzy*. Nawet nie

wiedział, że wkłada w to energię, do chwili, gdy nie było to już dłużej konieczne. Sypiał na małej pryczy w trzewiach maszyny i spędzał dnie, siedząc na jej grzbiecie, obserwując słońce, niebo i gwiazdy, nawet nie słuchając zabranej ze sobą muzyki.

Dwukrotnie przez chwilę szły obok niego olbrzymie chwiejne zwierzęta o nogach jak wysokie drzewa pokryte czymś wyglądającym na żółty mech. Drugie towarzyszyło mu przez prawie pół dnia, zanim zawołało trzy razy i skręciło. O ile wiedział, był jedynym człowiekiem, który je widział.

Nieraz zastanawiał się, czemu Naomi wybrała życie w ukrytym kontenerze towarowym, ale tu i teraz miał wrażenie, że to rozumie. Przyjemność bycia kompletnie samemu zmieniła jego poranki w coś kompletnie innego, dziwnego i ludzkiego.

Jaskinia, w której ukryli *Rosa*, znajdowała się w zachodniej części pustyni. Wybrał ją, bo mieściła się blisko złóż radioaktywnej rudy, co zapewniało dodatkowy kamuflaż, na wypadek gdyby przeciwnik go szukał, a dodatkowo zapewniała punkt charakterystyczny ułatwiający znalezienie miejsca.

Teraz najbardziej bał się tego, że *Ros* nie będzie na niego czekał, że nawis, pod którym go ukrył, zawalił się pod jego nieobecność. Albo że materiały uszczelniające, które nałożyli do ochrony pancerza, uległy rozłożeniu lub zostały naruszone przez jakieś pustynne zwierzęta, wystawiając statek zbudowany do próżni na erozję przez wiatr, piasek i sól. W miarę upływu godzin jego niepokój zaczął narastać. Spokój pustyni toczył się w dal, aż pojazd dotarł do końca automatycznego kursu i zatrzymał się z drzeniem przed skalnym wzgórzem.

Aleks zabrał butelkę z wodą, osłonił usta kawałkiem materiału i zeskoczył na mocno zasolony piach. W cieniu pod nawisem było chłodno. Poszedł za śladem szkła z piasku stopionego przez silniki *Rosa* subiektywnie bardzo dawno temu.

I zza skały wyłoniła się stara marsjańska korweta, ciemna, cicha i całkowicie nienaruszona. Coś podrapało powłokę – może zwierzęta, może piach niesiony pustynnym wiatrem – ale nic się

przez nią nie przedarło. Tylko jego wyobraźnia sprawiła, że statek jakby go witał. Wiedział o tym, ale to nie miało znaczenia.

Potrzebował ponad pół dnia na przebicie się przez powłokę uszczelnienia i skłonienie śluzy do odpowiedzi, ale po tym wszystko potoczyło się szybciej. Przed odejściem spuścili wodę ze zbiorników, ale zapasy w jego pojeździe wystarczą, by zapełnić je prawie do połowy. Ponowne aktywowanie systemu recyklingu było dużo trudniejsze. Spędził pół dnia, sprawdzając przewody, zanim znalazł jeden, który się rozszczelnił. A potem kolejne pół dnia poświęcił na jego wymianę. Naomi, Amosowi lub Clarissie zajęłoby to pół godziny.

Przestał już spać w pojeździe gąsienicowym, zwłaszcza od kiedy kambuz *Rosa* zaczął produkować jedzenie. Przy ograniczonych zasobach żywność była bardzo skromna, a wybór napojów ograniczał się do wody i zielonej herbaty. Statek leżał na brzuchu na ziemi, więc wszystko było obrócone o dziewięćdziesiąt stopni w stosunku do tego, gdzie oczekiwał, i musiał się wspinać, żeby dostać się do swojej kabiny i pryczy przeciążeniowej.

Pogrążony w pracy przywracania starego statku do stanu używalności mógł prawie udawać, że czeka na starą załogę. Że będą w warsztacie i na mostku, śmiejąc się, spierając i robiąc miny, jak robili to zawsze. Po tygodniu pracy był tak wyczerpany, że padł na pryczę, nie jedząc kolacji. Zaczął przechodzić między snami i jawą, słysząc ich głosy w korytarzach. Suchy szept Clarissy i szczerą troskę Holdena, jakby naprawdę tam byli, i gdyby się dostatecznie skupił, usłyszałby słowa. Ostrzeżenie o otwarciu śluzy i znajome kroki w korytarzu.

Kiedy w jego drzwiach pojawiła się schylona postać, sądził, że wciąż śni. Do rzeczywistości sprowadził go dźwięk żywego głosu, pierwszy od opuszczenia Freehold.

– Cześć – powiedziała Naomi.

Rozdział trzydziesty ósmy

Naomi

– Cześć – powiedziała.

Aleks poruszył się na pryczy przeciążeniowej, a syk zawieszenia był jak coś zrobionego ze wspomnień. Zamrugał zmieszany i rozespany.

– Poważnie? – zapytał.

– Poważnie – potwierdziła.

– Nie, nie... ja tylko... Nie wiedziałem, że się tu zjawisz. – Takie proste słowa. Zwyczajne. Niosły wielki ciężar.

Czas i tragedia wyszczupliły twarz Aleksa i zaciemniły mu skórę pod oczami. Uśmiechał się radośnie, choć był to poobijany rodzaj radości. Przyjemność i zachwyt, które mogły się pojawić tylko u kogoś, kto zrozumiał, jak są cenne i jak łatwo je stracić. Pomyślała, że ona wygląda tak samo.

– Dostałam twoją wiadomość o powrocie tutaj i... no cóż, miałam inne plany, ale im więcej o tym myślałam, tym więcej sensu nabierał powrót na *Rosa*.

– Dużo o tym myślałaś, co?

– Dziesięć, może piętnaście sekund – przyznała.

Aleks parsknął śmiechem i usiadł. Weszła do kabiny i się objęli. Ostatni raz dotykali się na głębokiej stacji transferowej w układzie Sol. Wtedy było ich troje.

Po chwili odsunęli się od siebie. Zdziwiło ją, jak dobrze się poczuła, widząc Aleksa w znajomym otoczeniu *Rosynanta*, nawet

jeśli statek był obrócony o dziewięćdziesiąt stopni względem normalnej orientacji.

– Jak tu dotarłaś? – zapytał wciąż z uśmiechem.

– Mam prom z Epsteinem – wyjaśniła. – Przyleciałam nim z Auberona. Ale nie nadaje się do atmosfery, więc zaparkowałam go na stacji transferowej i załapałam się na prom.

– Znowu na planecie.

– A moje kolana już narzekają. Ale jestem na statku, więc nie jest aż tak dziwnie – powiedziała. – Nigdy mnie nie przekonasz, że to całe „niebo” nie jest cholernie dziwne. Wolę, kiedy moje powietrze jest trzymane przez coś, co widzę.

– Napijesz się czegoś? Staruszek nie jest jeszcze na pełnych obrotach, ale mogę ci zrobić herbatę. Teraz może już nawet maté, jeśli wymienniki dostatecznie się rozkręciły.

– Nie odmówię – odparła Naomi, a potem, bo czuła się dziwnie bez powiedzenia tego: – Tak mi przykro z powodu Bobbie. Płakałam przez cały dzień.

Aleks spuścił wzrok. Jego uśmiech zmienił się w maskę.

– Ja czasem wciąż to robię. Dopada mnie z zaskoczenia i czuję się, jakby to działało się znowu, po raz pierwszy – wyznał.

– Na mnie tak działa myślenie o Jimie.

– Powinnaś była ją widzieć, pierwsza – powiedział Aleks i wydał z siebie coś pomiędzy śmiechem a łkaniem. – Jak pierdolona Walkiria, wiesz? Walczyła z tym kurewsko wielkim statkiem, jakby mogła go sama pokonać.

– I zrobiła to. Sama go pokonała.

Aleks kiwnął głową.

– To masz jakieś plany, skoro już tu dotarłaś?

Nie mógł o tym mówić, rozumiała go. Zostawiła temat.

– Przyleciałam za tobą – przyznała, odwracając się, by wyjść z pokładu do szybu windy, obecnie korytarza. – Teraz, gdy nie ma Medyny i *Cyklonu*, moglibyśmy znowu przemieszczać się między wrotami.

– To faktycznie otwiera pewne możliwości – zgodził się Aleks. – Moja lista zadań ma dwie pozycje. Pierwsza to przywrócić *Rosa* do

stanu używalności, a druga to wymyślić, co robić dalej.

– Brzmi doskonale – pochwaliła Naomi. Dotarli do kambuza. Stoły sterczały ze ściany, ale były też rozkładane siedzenia właśnie na takie okazje. Wyciągnęła dwa. – Zróbmy to.

Okazało się, że pierwsza pozycja na liście Aleksa zapewniła jej wiele dni pracy. Włożył już całkiem sporo wysiłku w rozpoczęcie, ale *Rosynant* był pusty przez bardzo długi czas. Zapewne najdłużej, od kiedy został zbudowany przez nieistniejącą już marsjańską flotę. Wiele systemów było starych, a nowe były zamiennikami, które nie do końca pasowały tak, jak oryginały. Pojawiła się lekka korozja w osłonie reaktora. Nic, czego nie uzasadniały czas i zużycie, ale trzeba będzie mieć na to oko. Poczwała, jak pogrąża się w rytmie, o którego istnieniu nie wiedziała, a jednak doskonale go rozpoznała. Normalność. Życie właśnie takie było, a wszystko inne, co robiła, niezależnie od tego, jak dobrze się z tym czuła, było odstępstwem.

* * *

Dzień za dniem wraz z Alekssem przechodziła przez statek, rozwiązując problemy z kolejnymi systemami. Pełna załoga poradziłaby sobie z tym w dziesięć godzin, ale byli tylko we dwoje. Mimo to wszystko zrobili: reaktor, łączność, system zasilania, silniki, uzbrojenie. Niektóre procedury konserwacyjne zakładały wykonanie ich przez czteroosobowe zespoły, ale znaleźli obejścia. *Rosynant* wracał do życia kawałek po kawałku.

Podczas pracy dostrzegła niektóre sposoby, na jakie zmienił Aleksa czas spędzony na *Burzy*. Czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie, rozumiał układy elektryczne dużo lepiej niż wcześniej. I poznał trochę sztuczek dotyczących sprawdzania stabilności pancerzy z koronki węglowo-krzemowej, które skróciły wymagany na to czas o pół dnia.

W nocy spali w swoich starych kabinach. Nie wiedziała, czy Aleks sprawdził zawartość swoich szafek, ale ona przejrzała swoje. Nigdy nie miała wiele należących do niej rzeczy, jednak to, co znalazła,

wywołało z pamięci jakąś inną, dawną Naomi. Czuła się tak, jakby znalazła swoją ulubioną zabawkę z dzieciństwa, która przypomniała jej o prawie zapomnianych, wiążących się z nią doświadczeniach. Lubiana przez Jima, noszona przez nią koszulka. Buty magnetyczne z dodatkową taśmą na łydce, pomagającą stabilizować jej kolano. Zepsuty terminal ręczny, który zamierzała naprawić przed udaniem się na wygnanie, ale nigdy się do tego nie zabrała.

Na statku były też inne kabiny, z osobistymi rzeczami pozostałych. Należącymi do Amosa i Bobbie. Może nawet do Clarissy. I Jima. Drobne pozostałości życia. Kusiło ją, żeby je też przejrzeć, ale się powstrzymała. Nie była pewna, czy robiłaby to z właściwych powodów, a odkryła, że to ma dla niej największe znaczenie.

Gdy tylko włączyli sprzęt łączności, Ros zaczął zbierać zaszyfrowane wiadomości od ruchu oporu. Od chwili opuszczenia przez nią promu przez wrota Freehold przeleciały trzy butelki: z Sol, Asylum i Pátrii. Będzie ich więcej. Kiedy nie pracowała, przeglądała informacje i słuchała raportów od przywódców podziemia. Jej podziemia.

Minęło półtora tygodnia od jej przybycia, a Naomi siedziała na zewnątrz, na piasku pustyni, oglądając zachód słońca. Tak naprawdę, choć bardzo lubiła narzekać na siedzenie na planecie, odczuwała swoisty dreszczyk emocji z przebywania pod olbrzymią kopułą powietrza. Po jakiejś godzinie musiała wracać do środka, inaczej robiła się nerwowa, ale przez pierwsze trzydzieści minut było pięknie. Światło słońca tonęło w piasku, rozświetlając go od środka, a potem nad jej głową pojawiały się znajome gwiazdy, nawet jeśli gruba warstwa powietrza sprawiała, że ich niezmienny blask migotał.

Bardzo dziwnie się czuła, siedząc w tak cichym, spokojnym i pustym miejscu, będąc równocześnie pośrodku wojny.

Usłyszała jego kroki na piasku, ciche i miarowe jak łagodnie pracujący wlot powietrza. Wyprostowała się, otrzepując łokcie z piasku. Aleks miał na sobie kombinezon statku, który trochę na nim zwisał. Nawet ze swoim zwykłym promiennym uśmiechem wydawał się trochę skurczony. Stęknął, siadając obok niej na piasku.

– Dobrze się trzymasz? – zapytał.

– Radzę sobie – zapewniła Naomi.

– Pytam, bo spędzasz dużo czasu, pracując ze mną przy *Rosie*, a potem od razu zabierasz się do raportów i wiadomości. Nie miałaś wiele odpoczynku.

Naomi poczuła starą, znajomą irytację, która dziwnie ją zachwycała. Skoro Aleks wracał do swoich starych zwyczajów okrętowej mamuśki, to znaczyło, że czuje się lepiej. Nie całkiem dobrze, to może nigdy nie nastąpić, ale lepiej.

– Odpoczywam przy odprawach.

– Koordynowanie olbrzymiego ruchu oporu przeciwko autorytarnemu imperium obejmującemu pół galaktyki to twoje hobby?

– Nie miałam innej możliwości. Nie mamy stołu do golgo, zresztą... nie obraż się, ale nawet gdybyśmy go mieli, grałbyś jak Marsjanin.

Zaśmiał się, by pokazać, że nie poczuł się dotknięty.

– Masz dla nich jakąś wiadomość? Butelkę do wysłania do innych układów?

To było trudne pytanie. Nawet zajmując się panelami i okablowaniem *Rosynanta*, część mocy obliczeniowych poświęcała na myślenie o strategii podziemia. O ograniczeniach lakońskiej władzy i możliwości, o wykorzystaniu okazji tworzonych przez błędy przeciwnika.

Oraz ostatecznym celu. Na tym polegał problem z wielką strategią: wiedzieć, gdzie miała się zakończyć podróż, choć wymyślało się na bieżąco poszczególne kroki prowadzące do celu.

Praca przy *Rosie* dała jej okazję na dojrzewanie pomysłów, które przyszły jej do głowy podczas przelotu z Auberona. To, co było wizją możliwej przyszłości, podczas wykonywania manualnych zajęć z głową skupioną na czymś innym zmieniło się w absolutną pewność. Lakonia nie wyjdzie poza bycie ciemną, jak długo będzie miała zdolność produkowania kolejnych statków w rodzaju *Nawałnicy* i *Cyklonu*. Marzenie o imperium mogło umrzeć tylko, jeśli spocznie w grobie dawny marsjański sen o niezależności dzięki przewadze technologicznej.

Atak na Lakonię wiązał się z co najmniej sześcioma problemami, a Naomi sądziła, że ma rozwiązanie przynajmniej czterech...

– Mam parę rzeczy, które powinnam wysłać. Mogę odbić transmisję przez wzmacniacze na Freehold i przesłać ją do *Burzy*. Nawet jeśli nie ma żadnych statków bliżej wrót niż oni, będą mogli posłać jedną ze swoich torped. A jeśli zrobili to, co powinni, to będą mieli jakieś butelki unoszące się w oczekiwaniu blisko wrót.

– Prędkość światła bije najlepszy napęd – zgodził się Aleks, energicznie kiwając głową. – Wysłanie butelki stąd zajęłoby bardzo dużo czasu. Ale wiesz, jest sposób na skrócenie o parę sekund czasu wysłania twojej wiadomości.

Obróciła się, żeby na niego spojrzeć. Słońce już zaszło, a różowoszary zmierzch trochę go odmłodził. Uniosła brew, zapraszając go, by mówił dalej. Popatrzył na nią z udawaną niewinnością.

– Wystarczy tylko, że znajdziemy się parę sekund świetlnych bliżej, prawda?

Znaczenie dotarło do niej z ulgą, której się nie spodziewała. Spojrzała w górę, na niebo Freehold i poza nie, do gwiazd.

– Racja – zgodziła się. – Zróbmy to. Mam już dość chodzenia po ścianach.

Godzinę później siedzieli przypięci do swoich prycz na mostku i w kokpicie. Praca z ekranami *Rosynanta* była jak śpiewanie ze starym przyjacielem. Sprawdziła profile mocy silników manewrowych. Reaktor pracował stabilnie. Ciąg wyglądał dobrze. Nawet po tak długim odpoczynku sieć energetyczna *Rosa* działała prawidłowo.

– Jesteśmy gotowi – powiedziała. – Zabieraj go.

– Och tak.

Statkiem szarpnęło i prycze przeciążeniowe się przesunęły. Naomi doznała znajomego uczucia ruchu podczas przyśpieszania i wysuwania się z jaskini na samych silnikach manewrowych. Pokład obracał się powoli, aż znalazł się pod nią i zaczęła zatapiać się w żelu, w miarę jak Aleks zabierał ich coraz wyżej.

Kiedy włączył główny silnik, cały statek skoczył i zadygotał, a Naomi poczuła ukłucie igły i chłód koktajlu w żyłach, pozwalający

lepiej znieść największe przeciążenia. Aleks uśmiechał się jak chłopiec w urodziny, gdy stara korweta unosiła się ponownie w wielką pustkę. Podczas wznoszenia Naomi obserwowała temperaturę zewnętrzną – atmosfera robiła się coraz zimniejsza, ale też coraz rzadsza, aż nie było tam już nic, co mogłoby przewodzić ciepło. Dygotanie ustało i jedynymi dźwiękami stały się tykanie wymienników powietrza i okazjonalne dzwonienia harmoniczne silnika przechodzącego przez częstotliwość rezonansową. Planeta na wyświetlaczu taktycznym została z tyłu, a statek przekroczył prędkość ucieczki. Nie byli już nawet na długiej orbicie wokół Freehold, byli zdani na siebie. Wolni.

Naomi krzyknęła głośno i radośnie. Aleks odpowiedział tym samym. Rozparła się na pryczy i pozwoliła sobie być w domu. Tylko na chwilę.

Ros był starym statkiem, nigdy już nie będzie najnowocześniejszy. Ale jak stare narzędzia, dobrze używane i zadbane, stał się czymś więcej niż tylko pancierz i kable, przewody, schowki i zestawy czujników. Stara Rokku mówiła, że po pięćdziesięciu latach służby statek zyskiwał duszę. Kiedy była młoda, wydawało się to uroczym przesądem, teraz było oczywiste.

– Boże, brakowało mi tego – rzucił Aleks.

– Wiem, co nie?

Godzinę później Aleks wyłączył ciąg i Naomi rozpięła pasy. Układ Freehold był tak pusty, że nie było tu centralnej kontroli ruchu. Żadnych planów lotu ani patroli wypatrujących smug z silników bez powiązanych z nimi transponderów. Uruchomiła diagnostykę, ale po dźwięku silnika i smaku powietrza wiedziała już, że wszystkie wyniki będą w normie. Przechodziła od stanowiska do stanowiska, sprawdzając wyświetlacze i pulpity sterowania, jakby byli inni członkowie załogi, którzy mogli ich używać.

Nie zauważyła zmiany nastroju Aleksa do chwili, gdy się odezwał.

– Próbowałem utrzymać ją przy życiu. Naprawdę próbowałem. Na samym końcu była tam, strzelając z karabinków w tego wielkiego drania, i chciałem polecieć jej na pomoc. Odpalić pełny ciąg *Burzy*, żeby tylko spróbować wziąć ją z powrotem na pokład. Ale nie było

czasu. – Westchnął. Drżał mu głos. – Zresztą gdybym to zrobił, wszystko by się tylko bardziej popsuło.

Naomi złapała dłonią uchwyt na stopę i się zaparła. Odwróciła się, by na niego popatrzeć, i tym razem spojrział jej w oczy.

– Była cholernie wielką kobietą – powiedziała. – Mieliśmy szczęście, mogąc ją poznać.

– W głowie cały czas kręciło mi się w kółko pytanie: „Jak powiem Kitowi, że jego ciocia Bobbie odeszła?”.

– I jak to zrobiłeś?

– Jeszcze nie powiedziałem. Nie mogłem tego znieść, gdy byliśmy w Sol, a teraz... Wciąż nie wiem, czy potrafię. Tęsknię za nią. Tęsknię za wszystkimi, ale... ale widziałem, jak ginie, i... Szlag.

– Wiem – powiedziała Naomi. – Dużo o niej myślałam. To ja zatwierdziłam tę misję.

– Och, Naomi. Nie. To nie jest twoja wina.

– Wiem. Nie zawsze to czuję, ale wiem. I to dziwne, ale wiesz, jak się pocieszam? Myślę o tych wszystkich innych sposobach, w jakie mogła umrzeć. Na przykład na raka opornego na leczenie. W awarii butelki reaktora. Albo po prostu starzejąc się, aż leki nie dałyby już rady dłużej jej pomagać.

– To trochę makabryczne – skomentował Aleks. – Ale tak, dobrze wiem, o czym mówisz.

– To była Bobbie – stwierdziła Naomi. – Wiedziała, że nie będzie żyć wiecznie. I gdyby miała możliwość wybrania sposobu śmierci, ten byłby w pierwszej piątce.

Aleks milczał przez chwilę, potem pociągnął nosem.

– Brakuje mi jej każdej minuty każdego dnia, ale niech to szlag, to było tak cholernie właściwe.

– Rzucić się samotnie na statek, którego nie potrafiły pokonać połączone siły Ziemi, Marsa i Związku Transportowego, i wygrać?

– Tak. Jeśli mamy zginąć, to chyba całkiem dobry sposób. Mimo wszystko żałuję, że umrzemy.

– Bycie śmiertelnikiem ma swoje wady – skomentowała Naomi.

– Jak ty byś chciała odejść?

– Nie wiem. Nie zastanawiam się nad takimi rzeczami – odpowiedziała zaskoczona faktem, że wie, jaki aspekt jej śmierci jest dla niej naprawdę ważny. – Nie obchodzi mnie, jak zginę, ale jest parę rzeczy, które chciałabym najpierw zrobić.

– Jakich?

– Chciałabym jeszcze raz zobaczyć Jima. I Amosa. Chciałabym, żeby ta wojna się skończyła i nastał prawdziwy pokój. Taki, w którym ludzie mogą się na siebie złościć, mogą się nienawidzić, ale nikt nie musi przez to ginąć. To by wystarczyło.

– Tak – zgodził się Aleks. – Wystarczyłoby. Dużo myślę o Amosie. Myślisz, że...

Zdarzyło się coś w rodzaju potężnego, bezdźwięcznego pyknięcia – wybuch, który właściwie nie był wybuchem – i Naomi spadła. A w każdym razie spadłaby, gdyby istniały kierunki. Wszystko przybrało elektryczny brak koloru powiek zbyt mocno zaciśniętych w ciemności. Nicość brzęczała wokół niej jak atak. Gdzieś w pobliżu ktoś krzyczał. To mógł być Aleks, ale też jej własny głos.

Jasna pustka, w którą spadała – spadała we wszystkie strony równocześnie – kryła kształty wewnątrz światła, ostre i ruchome jak migrenowe halo. Poczwała, że czegoś jej w sobie brakuje, ale nie potrafiła określić, co to jest. To przeraziło ją bardziej niż nagłość i niezwykłość przejścia. Wrażenie braku bez obiektu, straty bez świadomości tego, co straciła. Spróbowała zamknąć oczy, ale nic się nie zmieniło. Próbowowała sięgnąć, ale nie miała do czego. Ani czym. Nie potrafiła stwierdzić, czy właśnie wpadła w światło, czy wpada w nie już godzinami.

Poczwała, że zapada się w coś innego, coś podobnego do snu, ale nie snu, i odruchowo się temu oparła. Wokół niej owinął się głęboki strach i chwyciła się go, jakby mógł ją uratować.

A potem, również bez ostrzeżenia, tak jak wcześniej się zaczęło, wrażenie dobiegło końca. Była na mostku *Rosynanta*. Oddryfowała od swojej pryczy przeciążeniowej. Z tyłu dławił się Aleks. Złapała uchwyt i zaparła się. Jej ciało czuło się wyczerpane, wyżęte. Jakby nie spała od zbyt wielu dni, aż zmęczenie wsączyło się do mięśni.

– Czy my... – zapytała, a własny głos zabrzmiał jej dziwnie w uszach. Przełknęła ślinę i spróbowała ponownie. – Czy straciliśmy czas?

Ciche stukanie palców Aleksa o panel sterowania. Zamknęła oczy niewypowiedzianie wdzięczna za ciemność, która powitała ją po opuszczeniu powiek. Poczowała falę mdłości, które odeszły.

– Owszem – potwierdził Aleks. – Straciliśmy... prawie dwadzieścia minut.

Odepchnęła się, kierując się do swojej pryczy bardziej dzięki instynktowi niż myślom. Przypięła się z uczuciem głębokiej wdzięczności. Aleks poszarzał na twarzy, jakby zobaczył coś przerażającego.

– To nie było... to nie wyglądało jak wcześniejsze – powiedział. – To było inne.

– Owszem – potwierdziła Naomi.

Aleks sprawdzał status *Rosynanta* i wyglądało na to, że przynosi mu to pewne ukojenie. Naomi czuła się rozdygotana, jakby z mrowieniem podrażnionego nerwu, ale bez fizycznej lokalizacji w ciele. Jakby powoli odzyskiwała swój umysł. Uczucie było głęboko niepokojące.

– Pieprzony Duarte – rzuciła. – Pieprzona Lakonia i ich pieprzone testy.

– Jak myślisz, co zrobili tym razem?

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Elvi

Terminal ręczny Elvi znowu zadzwonił. Już dawno powinna była iść, ale nie potrafiła się oderwać. Na dodatek dziewczyna w szklanej klatce nie miała krzesła, więc Elvi zdecydowała się usiąść na podłodze obok niej. Perspektywa wstawania z bolącą nogą wcale nie była przyjemna.

– Czyli – powiedziała – to nie była zmiana percepcji?

Nastąpił moment upiornego bezruchu, niepokojąca przerwa, a potem Cara pokręciła głową.

– No wie pani, trudno powiedzieć na pewno, jakie to było, ale nie miałam wrażenia, że coś jest inaczej. Wie pani, poza biblioteką.

Biblioteką Cara i Aleksander – do którego w rodzinie wołano Ksan – nazywali informacje noszone w sobie od czasu odtworzenia ich przez drony naprawcze. Według nich było to coś takiego jak posiadanie wiedzy o czymś bez konieczności uczenia się tego wcześniej. Czasami informacje były bardzo proste, jak szczegóły na temat miejscowego środowiska, czasem były enigmatyczne, jak fakt, że jednostki na poziomie substratów miały trudności z refrakcją przez bogatoświatło. Co było najciekawszym przykładem, bo Cara rozumiała, czym są substraty i na czym polega w tym kontekście refrakcja, oraz naturę bogatoświatła, ale cała ta wiedza nie miała przełożenia na nic. Nie miała wspólnego kontekstu z niczym w rodzaju żywności, drzew lub wody. Żadną ludzką wiedzą. Elvi uważała, że to jak znalezienie morskiego żółwia, który doskonale

rozumie twierdzenie Gödla o niezupełności, ale nie miał do tego żadnego żółwiowego zastosowania.

Tego rodzaju artefakty poznawcze w dużym stopniu przyczyniły się do wyciągnięcia przez Cortázara wniosku, że Cara i Ksan tak naprawdę nie są już dziećmi, którymi były przed „naprawą”, a obcą technologią stworzoną z użyciem ludzkich trupów. Pytanie to było bardzo głębokie i Elvi sama miała z nim problem. Dzieci wyraźnie zostały przekształcone. Wystarczającym dowodem na to był fakt, że się nie starzały ani nie rozwijały. Czerń ich oczu oraz szarość skóry nadawała im jednoznacznie obcy wygląd, od którego coś w mózdzku Elvi wciąż otrząsało się z przerażeniem.

Jednakże kiedy nikt ich nie obserwował, Ksan czasem kładł głowę na kolanach Cary, żeby głaskała go po włosach. Było to coś, co naczelnie dzieliły od czasów plejstocenu, coś głębszego i bardziej rozpoznawalnego niż zwykła ludzkość. Albo Cara rzucała jakiś żart na temat pytania Elvi i uśmiechała się wstydliwie, gdy Elvi faktycznie się roześmiała. Zdanie Elvi na ich temat ciągle się zmieniało. Czasami była pewna, że są marionetkami jakiejś niezrozumiałej obcej technologii, czasami było dla niej oczywiste, że Cortázar uznał, że nie są już ludźmi, tylko po to, żeby mógł przez dziesiątki lat trzymać je w klatce i robić na nich badania. Nie była pewna, czy bardziej je lubi, czy bardziej ją przerażają. Czy zaliczały test Turinga, czy ona w nim zawodziła.

Ciekawy był fakt, że nic z dzieł Cortázara nie zapewniło Duarteemu dostępu do biblioteki, a dziwne wyłączenie świadomości nie zepsuło Cary i Ksana tak, jak Duarteego. Gdzieś tu kryła się wskazówka. Miała dane, potrzebowała tylko właściwej siatki do ich umieszczenia tak, żeby wzór nabrał sensu. Czowała to.

Jej ręczny terminal znów się odezwał, tym razem z wiadomością. Przyjechał jej samochód, spóźniła się na odprawę. Mruknęła pod nosem coś obelżywego i zaczęła się podnosić do pionu.

– Muszę iść.

– Będziemy tu, kiedy pani wróci – odpowiedziała Cara, a po krótkiej chwili Ksan zareagował śmiechem. Elvi też się uśmiechnęła. W zasadzie trochę głupio było je traktować, jakby jadła drugie

śniadanie ze znajomymi i właśnie musiała iść, ale tak właśnie robiła. Czasami nie zachowywała się zbyt mądrze.

Opierała się na lasce, idąc przez laboratoria i wychodząc na otwarte powietrze. Bolała ją noga. Choć odrastanie tkanki było prostym procesem, szło powoli. Opornie. Nowa stopa Fayeza była już na miejscu, ze skórą trochę jaśniejszą i bardziej miękką, a nowe mięśnie były podatne na skurcze, jeśli za dużo chodził, ale zdołał zregenerować kości, ścięgna i nerwy, a ona wciąż opierała się na lasce.

Wiedziała, że różnica była wynikiem stresu. W jej obecnym życiu Fayez stanowił niemal wyłącznie ozdobę. Długo spał, jadał w Budynku Rządowym, rozmawiał z ludźmi spotkanymi w ogrodach albo czytał książki i oglądał stare programy rozrywkowe. Dochodził do siebie. Elvi natomiast przegryzała się przez dane Cortázara w czasie, gdy nie badała stanu Duarte'go i próbowała nie dopuścić do zamordowania Teresy w imię ciekawości. Analizowała też własne dane z *Jastrzębia*. Bardzo niewiele spała, a gdy już to robiła, w zasadzie sen sprowadzał się do rzucania kością, by zobaczyć, który z koszmarów nawiedzi ją tej nocy.

Przyjdzie taka chwila, gdy to wszystko ją pokona, kiedy dręcząca ją wizja Sagale'a z brakującym kawałkiem głowy nie pozwoli się już po raz kolejny odsunąć na później. Kiedy się załamie. Ale jeszcze do tego nie doszło, nie musiała więc sobie z tym radzić. Była bardzo świadoma faktu, że funkcjonowała w ramach procedury nazywanej przez Fayeza „pieprzyć, jeśli to nie dzieje się już”.

Co gorsza, docierała do stanu, w którym ten natłok zaczynał jej sprawiać przyjemność. Nigdy w życiu nie doświadczyła tak silnego stresu, może poza jednym przypadkiem, na Ilusie. Wszyscy wtedy ślepli, a z ziemi wpełzały pokryte neurotoksyną ślimaki, budziły się artefakty obcych, a na dodatek ludzie zabijali się wzajemnie z powodów politycznych i osobistych. Wszystko zależało od jej talentu i przytomności umysłu. Teraz to wróciło, a jakaś jej część kochała to jak cukier. Zapewne niezbyt zdrowa część.

Czekający na nią kierowca miał rozłożoną parasolkę, by ochronić ją przed lekką mżawką. Nie odezwał się. Kiedy wsiadła do

samochodu, nachyliła się w jego stronę.

– Daj znać Trejo, że już jadę.

– Już to zrobiłem, pani doktor – odpowiedział kierowca.

Elvi pomyślała, że kierowcy to dziwna forma pretensjonalności. Znacznie łatwiej byłoby, gdyby po prostu odebrał ją automatyczny pojazd, bez angażowania innego człowieka. Przydzielenie kogoś, kto po prostu miał okazywać jej szacunek, tylko spowalniało sprawy. Dodawało kolejną warstwę przetwarzania. Jak przy przerwach, które pojawiały się u dzieci. Zastanawiała się, czy to coś w rodzaju jąkania się. Będzie musiała o tym poczytać, może znajdzie coś przydatnego.

Budynek Rządowy oplatała mgła. Grzejniki samochodu nie do końca radziły sobie z zimnem promieniującym od okien. Wczesna zima na Lakonii – a przynajmniej w tej jej części – obejmowała mnóstwo zimnych dni i ponurych nocy. Zaraz po zachodzie słońca cała mgła zmieniała się w pokrywającą wszystko warstwę lodu. Lokalne drzewa już dawno pochowały liście, tym importowanym wymarły chloroplasty i właśnie były w trakcie zrzucania czerwonych, żółtych i brązowych pozostałości.

Wewnątrz było ciepło i sucho, z atmosferą kontrolowaną prawie jak na statku, ale światło z okien było przygaszone i szare. Pachniało deszczem. Inny służący odebrał jej kurtkę i zapytał, czy chciałaby dostać coś do jedzenia lub filiżankę herbaty. Odruchowo potwierdziła. Uwagę miała już podzieloną między przeszłością – siedzeniem z dziećmi lub marionetkami obcych na bazie trupów – a przyszłością: swoim raportem i analizą ostatniego incydentu z utratą świadomości. W jej głowie dosłownie nie było miejsca na chwilę obecną.

Sala odpraw była piękna. Ściany z polerowanego drzewa różanego delikatnie inkrustowanego złotem, a zamieszczone za matowym szkłem oświetlenie eliminowało cienie. Trejo, Cortázar i Ilich już tam byli, siedzieli wokół stołu o malachitowym blacie. Trejo wyglądał tak źle, jak ona się czuła, a Ilich może nawet nieco gorzej. Cortázar był tu jedynym, który dobrze sobie radził ze

stresem. Nie miała wątpliwości, że dzieje się tak, ponieważ po prostu nie obchodziło go, czy ktokolwiek z pozostałych przeżyje.

– Przepraszam za spóźnienie – odezwała się. – Z pewnością panowie rozumieją.

– Wszyscy jesteśmy zajęci – rzucił Trejo i albo krył się w tym lekki przytyk, albo nie. Nie potrafiła stwierdzić. – W każdym razie jesteśmy już wszyscy. I musimy wydać oświadczenie na temat tego... ostatniego zdarzenia. Co wysoki konsul może o tym powiedzieć? Co wiemy? Pułkownikowi Ilich? Zechce pan zacząć?

Ilich odchrząknął.

– No cóż, doświadczyliśmy kolejnego zdarzenia, które, jak się wydaje, dotknęło równocześnie wszystkich w układzie. A przez „równocześnie” mam na myśli to, że wydaje się to być pojedynczym, niezlokalizowanym zdarzeniem, które zdarzyło się... wszędzie. Mamy raporty, według których to samo dotyczyło przynajmniej dwóch innych układów.

Cortázar uniósł rękę jak dziecko w szkole podstawowej, a Trejo kiwnął mu głową.

– Co się stało w przestrzeni wrót? – zapytał Cortázar. – Czy tam było tak samo jak w innych układach?

– Nie wiemy – przyznał Ilich. – Nie mieliśmy tam wtedy żadnych statków. Pewne oznaki wskazują, że statki znajdujące się w przestrzeni wrót mogły zostać, uch... zjedzone, jeśli to właściwy termin. Tak samo jak *Cyklon* i *Medyna*. Ale nie mam potwierdzenia. Zdarzenie nie wydaje się skorelowane z niczym, co robiliśmy, ale obecnie mamy aktywną obecność personelu floty tylko w jakichś stu dwudziestu układach. Jeśli coś zdarzyło się w innych, możemy o tym nie wiedzieć.

– Poważnie? – rzucił Trejo.

– Nie potrafię słowami oddać tego, jak bolesna była utrata stacji *Medyna*, sir. Kontrolowanie tego kluczowego punktu było smyczą pozwalającą panować nad imperium. Bez niego...

Trejo ze zmarszczonym czołem opadł na oparcie krzesła. Rozłożył dłonie, wskazując Elvi i Cortázara, oddając im głos. Cortázar nie

wyglądał na zainteresowanego, ale Elvi wyprostowała się, gotowa mówić, jakby była coś winna admirałowi.

– Czy mogę spróbować przedstawić to wszystko w szerszym kontekście?

– Proszę – odpowiedział Trejo.

– Tu chodzi o naturę świadomości.

– To może być kontekst trochę szerszy, niż chciałem, pani major.

– Proszę poczekać – poprosiła Elvi. – O ile nie próbujemy sięgać po wyjaśnienia religijne, do czego nie czuję się uprawniona, to świadomość jest właściwością materii. To oczywiste. Jesteśmy stworzeni z materii i jesteśmy świadomi. Umysły to funkcja mózgów. Bierze w tym udział element obejmujący energię. Wiemy, że aktywność elektryczna neuronów jest oznaką, że zachodzi określony rodzaj świadomego doświadczenia. Na przykład, jeśli będę obserwować pański mózg, gdy będzie pan sobie coś wyobrażał, mogę zgadnąć, czy myśli pan o piosence, czy o obrazie, tylko na podstawie tego, czy aktywuje się kora słuchowa, czy wzrokowa.

– Zgadza się – rzucił Trejo.

– Nie ma powodu uważać, że mózg jest jedyną strukturą zdolną do osiągnięcia takiej kombinacji struktury i energii. W zasadzie mamy całkiem sporo dowodów na to, że budowniczy wrót mieli strukturę świadomości – odpowiednik mózgu – w którym składnik materialny zupełnie nie przypominał tego, czego my używamy. A na dodatek znaleźliśmy przynajmniej jedną strukturę podobną do mózgu, która jest diamentem wielkości Jowisza.

– Nie wiem, co to znaczy – przyznał admirał.

– Wie pan, to tak jak fakt, że w reaktorach fuzyjnych nie używamy ścian ze stali, tylko butelek magnetycznych. Pola magnetyczne pełnią tę samą zasadniczą funkcję, co materia. Wydaje się, że starsza cywilizacja rozwinęła swoją świadomość w postaci, która bardziej polegała na polach energii i może strukturach niepoddającej się naszym obserwacjom materii niż na tym, z czego zrobione są nasze mózgi. Pojawiają się też pewne implikacje sugerujące, że w naszej świadomości biorą udział efekty kwantowe. Jeśli to prawda dla nas, zapewne była nią też dla nich.

– Moje badania – nad którymi pracowałam, zanim przybyłam tutaj – obejmowały koncepcję, że nasze mózgi stanowią coś w rodzaju polowej wersji świadomości. Nie są zbyt złożone, nie mają wielu zaawansowanych funkcji, ale potrafią przyjąć spory łomot i dalej działać. Mogą też obejmować funkcję automatycznego rozruchu, więc kiedy dochodzi do zerwania interakcji kwantowych, które determinują świadomość, mogą ją łatwiej przywrócić. Czy to ma sens?

Trejo odpowiedział „Ledwie” równocześnie z „Oczywiście” Cortázara. Mężczyźni popatrzyli na siebie. Elvi poczuła irytację na obu, ale kontynuowała.

– Scenariusz, który James Holden przywiózł ze stacji obcych, w przestrzeni wrót wyglądał tak, że coś systematycznie niszczyło świadomość starszej cywilizacji. Zabijało ją. Poprzednia cywilizacja próbowała niszczyć układy, włącznie ze stosowaniem wybuchów supernowych. To nie pomogło. W końcu zamknęli wszystkie wrota, ale to też nie rozwiązało problemu, bo cokolwiek to było, i tak ich pozabijało. I tutaj pojawiajemy się my. Znaleźliśmy – a ja zaobserwowałam bezpośrednio – coś, co nazwaliśmy pociskami, bliznami albo trwałymi efektami pola nielokalnego. W zasadzie miejscami, gdzie – cokolwiek nienawidzi pierścieni wrót – zrobiło coś, co spowodowało zapaść świadomości na planecie albo w układzie. Albo we wszystkich układach równocześnie. Podejrzewam – choć nie mam żadnych danych na poparcie tej tezy – że wróg wymyślił sposób na wygaszenie wszystkich układów równocześnie, niezależnie od tego, czy wrota były aktywne, czy nie. Wierzę, że nasze przeloty przez wrota drażnią te istoty. Może w jakiś sposób im szkodzą. Gdy te uszkodzenia stają się dostatecznie duże, reagują.

– Czyli kiedy zniszczyłem stację Pallas w Sol... – zaczął Trejo.

– Uderzył pan też jakiegoś dziwnego, afizycznego mrocznego boga w to, co uchodzi za jego nos – dokończyła Elvi. – A on zrobił to, czego można było się spodziewać. Jeśli po zachorowaniu weźmie pan zastrzyk penicyliny i poczuje się po nim lepiej, to następnym razem też spróbuje pan zastrzyku. Tylko że okazuje się, że nie jesteśmy

systemem świadomości tego samego typu, co twórcy wrót. Nie psujemy się tak łatwo i lepiej dochodzimy do siebie. To, co zniszczyło tamtą cywilizację, nas pozbawia tylko kilku minut.

– Mroczni bogowie muszą być bardzo rozczarowani – skomentował Trejo.

– Prawda? Ale jeszcze nie skończyli. Zwłaszcza, i nie chcę nikogo obrażać, gdy zaczęliśmy wrzucać statki z bombami tam, gdzie są. Bawić się w wet za wet. A to jak tym razem wydawało się inne? Światło i kształty zamiast wcześniejszej superświadomości?

– Owszem, zauważyłem to – rzucił cierpko Trejo.

– Wierzę, że wróg, czymkolwiek jest, eksperymentuje z nowymi sposobami zniszczenia systemów świadomości. Mózgów. Mam wrażenie, że jesteśmy dla nich odpowiednikiem infekcji odpornej na penicylinę, a ostatnie zdarzenie było próbą użycia tetracykliny.

– A co je aktywowało? – zapytał Trejo.

– Nie musi być żadnego pojedynczego zdarzenia – odpowiedziała Elvi – jeśli wróg przestał tylko reagować. Może właśnie udało nam się ich przekonać, żeby potraktowali nas poważnie.

Trejo skurczył się w sobie nieco, pojmując implikacje.

– Czy to nowe informacje? – zapytał Cortázar. – Mam wrażenie, że już o tym wszystkim rozmawialiśmy. To znaczy, nic z tego nie jest tak naprawdę nowe, prawda?

Trejo wymienił spojrzenie z Ilichem.

– Przydaje mi się – oświadczył Trejo – wysłuchać podsumowania doktor Okoye. Więc tak. Czy mamy jakieś postępy w zakresie leczenia wysokiego konsula?

– Byłoby pomocne – odpowiedział Cortázar – gdybym mógł przebadać zbiega Ilicha. Nie ma żadnych postępów w szukaniu go?

Trejo z widocznym wysiłkiem musiał się opanować.

– Zanim przejdziemy do tego tematu, czy możemy poruszyć kwestię wysokiego konsula?

– Jest stabilny – rzucił Cortázar. – Bardzo stabilny. W doskonałym stanie.

– Czy jego stan się poprawia?

– Nie.

– Nie ma żadnego sposobu na odzyskanie go? – wtrącił się Ilich. Mówił napiętym głosem.

Elvi nie zamierzała pozwolić, by Cortázar znowu wciskał wszystkim kit. Albo miał plan, z którego realizacją powstrzymywał się z własnych powodów, albo go nie miał. Przesunęła się do przodu, kładąc dłonie na stół wewnątrz do góry, jakby odsłaniała karty w pokerze.

– Nie widzę żadnej realistycznej drogi do przywrócenia go do wcześniejszego stanu.

Trejo kiwnął głową i przeniósł wzrok na Cortázara.

– Ma pan inne zdanie?

Cortázar poruszył się nerwowo.

– Jego wcześniejszego stanu? Zapewne nie. Ale dużo bardziej realne jest pchnięcie go dalej, do nowego stanu. Powinno to być wręcz łatwe. Co więcej, pouczające.

Trejo całkowicie znieruchomiał. Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do środka wszedł służący z herbatą i ciastkami dla Elvi. Zupełnie o nich zapomniała. Kiedy drzwi się ponownie zamknęły i odzyskali prywatność, Trejo wciąż się nie ruszał. Jego spojrzenie nie skupiało się na niczym w pokoju i miał bardzo bladą skórę. Elvi potrzebowała chwili na zrozumienie tego, co widzi.

Przez cały ten czas Trejo miał nadzieję. Wierzył, że jego przywódca powróci, że prawy król obudzi się i ponownie zajmie tron. Pomimo wszystkiego, co mówiła Elvi, admirał wierzył, że Cortázar zdoła odegrać rolę Merlina i wyciągnąć Artura z szaleństwa. Patrzyła na Trejo uświadamiającego sobie, że pozwalał komuś bawić się trupem. Była gdzieś w pół drogi między przerażeniem jego stanem a ulgą, że w końcu dotarło do niego to, co cały czas mówiła.

– No dobrze – powiedział Trejo. – No dobrze – powtórzył wolniej. – Wysoki konsul i tak będzie musiał opublikować oświadczenie. Coś przygotujemy.

– Możemy powiedzieć, że to zdarzenie było testem – zasugerował Ilich. – Elitarny zespół wysokiego konsula dokonał przełomu, mamy nową broń przeciwko wrogowi.

– Albo moglibyśmy im powiedzieć prawdę – rzuciła Elvi.

Trejo wstał i zacisnął dłonie za plecami. Gniew i irracjonalność w wyrazie jego twarzy były cierpieniem. Cierpienie doprowadzało ludzi do szaleństwa. Kiedy się odezwał, jego głos pobrzmiwał ledwie kontrolowaną furią. I to nie na Cortázara. Na nią.

– Chyba nie do końca pani rozumie, w jak niebezpiecznej sytuacji się znajdujemy, doktor Okoye. Mam do czynienia z wojną na dwa fronty bez frontów. To nie jest właściwa chwila na podkopywanie i obniżanie zaufania naszych oddziałów ani ośmielanie separatystycznych terrorystów. Właśnie zarysowała pani wojnę na kosmiczną skalę. Nie mogę prowadzić wojny z pani mrocznymi bogami, gdy partyzanci podkopują nasze siły. Musimy do tego zjednoczyć ludzkość, musimy uderzyć jedną wolą. Nie możemy sobie już sobie pozwolić na wzajemne niszczenie przekaźników łączności. To doprowadzi do śmierci nas wszystkich. Słyszysz pani, co mówię?

– Tak – zapewniła Elvi i zaskoczyła ją stalowa nuta we własnym głosie. Trejo też ją usłyszał. – Słyszę, że nie potrafi pan sobie z tym poradzić. Chce pan zakończyć wojnę z podziemiem? To bardzo proste, wystarczy się poddać.

– Pani żarty nie są śmieszne – rzucił.

– Owszem, bo to nie żarty.

Rozdział czterdziesty

Teresa

Każdego wieczoru, idąc spać, Teresa myślała, że może następny dzień przywróci jej ojca. Jak z historią o skrzynce Pandory, wszystkie inne strachy i koszmary robiły się bardziej znośne dzięki tej jednej nadziei. Każdego ranka po obudzeniu się ogarniało ją poczucie możliwości utrzymujące się jasno, jak długo zdołała się powstrzymać przed sprawdzeniem. A potem Kelly, osobisty pokojowy ojca, mówił jej, że nic się nie zmieniło, bo przecież czemu by miało. Znowu czuła się zawiedziona, ale wciąż, idiotycznie, głupio, jak postać z kreskówki z pustym uśmiechem, myśl powracała. Może jutro. Zawsze może jutro.

Jego pokoje nie raziły przepychem, nigdy takie nie były. Rama łóżka z naturalnego drewna z cienkim materacem, na którym odpoczywał nawet po tym, gdy już nie potrzebował snu. Biurko z metalowymi szufladami na zamek i wbudowanym w blat ekranem. Jedynymi ozdobami było jej zdjęcie z dzieciństwa, zdjęcie mamy i prosty szklany wazon na jeden kwiatek, codziennie wymieniany przez Kelly'ego. Winston Duarte, wysoki konsul i twórca Imperium Lakońskiego, czerpał dumę z faktu prostego mieszkania. Wielkość Lakonii nie polegała na jej przepychu, tylko na funkcjonowaniu. Ogrom ambicji imperium i tak z każdego człowieka uczyniłby karzełka. Nawet z niego. Przynajmniej tak o tym myślała, w to wierzyła.

Teraz siedział przy biurku, przekrzywiając głowę, jakby próbował obserwować lot owadów widocznych tylko dla niego. Czasami unosił ręce, a potem opuszczał je powoli, jakby zaczynał po coś sięgać, ale zapominał, co właściwie zamierzał zrobić. Kelly przyniósł jej wiklinowe krzesło i ustawił je obok niego. Teresa usiadła na nim, zaciskając dłonie na kolanach i wypatrując jakichś oznak poprawy. Jakiejś nadziei, że może dzisiaj będzie jutrem, dla którego wciąż trzymała się życia.

– Tatusiu? – odezwała się, a on zareagował.

Obrócił się nieco w jej stronę i choć nie spojrzał jej w oczy, na jego wargach pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Kelly starannie cesał włosy ojca, choć wydawały się rzadsze, niż pamiętała. Bardziej siwe, tłustsze. Blizny po dawnym trądziku na policzkach nadawały mu bardziej surowy wygląd, człowieka zużytego w większym stopniu, niż był w rzeczywistości. Na jego twarzy rysował się wyraz zdumienia, jakby nieustannie odkrywał cuda przyciągające jego uwagę bardziej niż ona.

– Tatusiu – odezwała się ponownie – on mnie zabije. Doktor Cortázar. On mnie zabije.

Obrócił się bardziej w jej stronę, łagodnie marszcząc brwi. Może ją usłyszał, może był to tylko przypadek. Sięgnął i wyciągnął rękę, by poklepać powietrze koło jej głowy, jak robił to czasem, tylko tym razem splotła palce z jego palcami, ściągając jego dłoń w dół, przysuwając twarz do niego.

– Jesteś tam? Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? On chce mnie zabić. Chce mnie przypiąć do stołu i pokroić jak żabę. I nikt mi nie pomaga, nikogo to w ogóle nie obchodzi.

Zaczęła płakać i nienawidziła się za to.

– Wróć – wyszeptała. – Tatusiu, wróć do mnie.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wydał tylko mlaszczący dźwięk. Jak kawałki mięsa przesuwane przez rzeźnika. Na chwilę zmarszczył brwi, a potem odwrócił wzrok w stronę okna.

– Tatusiu – powtórzyła. – Tato!

Drgnął na ten dźwięk.

Z tyłu otworzyły się drzwi i usłyszała łagodne odkaszlnięcie Kelly'ego. Puściła dłoń ojca i wytarła łzy z policzków. Choć i tak nie potrafiła ukryć faktu, że płakała. W najlepszym razie mogła udowodnić, że przestała.

– Mogę coś panience podać? – zapytał Kelly.

Miał na sobie swój zwykły czerwony strój pokojowca. Znała go od zawsze, od kiedy była dzieckiem hasającym po korytarzach ze szczeniakiem, który wyrósł na Piżmak. Przynosił jej herbatę i podawał posiłki. Traktowała go tak samo jak drzwi i dzieła sztuki. Jak rzecz. Funkcję. Obiekt. Teraz, gdy byli razem w tym pokoju, zobaczyła w nim człowieka. Starszego mężczyznę tak poświęconego ojcu, jak to tylko możliwe. Równie jak ona uczestniczącego w ukrywaniu tego, czym się stał.

– Zmienia się? – zapytała. – Czy on się w ogóle zmienia?

Kelly uniósł brwi, szukając jakichś słów. Westchnął cicho i przepraszająco.

– Trudno powiedzieć, panienko. Zdarzają się chwile, kiedy wydaje się, że wie, gdzie jest. Kim jestem. Ale to mogą być tylko moje pobożne życzenia.

Ojciec wrócił do śledzenia swoich niewidocznych robaczków latających w powietrzu. Jego czoło się wygładziło. Jeśli w ogóle ją usłyszał, jeśli ją zrozumiał, zdążył już o wszystkim zapomnieć. Poprawiła się na krześle, które pod nią zatrzeszczało.

– Wrócę – powiedziała. – Jeśli coś się zmieni. Jeśli jego stan się poprawi...

– Dopilnuję, by natychmiast ci powiedziano – zapewnił Kelly.

Wstała, czując się oderwana od tego ruchu. Jakby obserwowała balon w kształcie Teresy, któremu odcięto sznurek. Kelly podszedł, by zabrać krzesło, kiedy tylko ruszyła do drzwi.

– Cieszyłby się, wiedząc, że panienka przyszła – powiedział. – Nie potrafię stwierdzić, czy wie o twojej obecności, ale gdyby wiedział, cieszyłby się. Wierzę w to.

Jego słowa miały ją pocieszyć, ale Teresa nie potrafiła się nimi przejąć. Wyszła, nie dziękując mu ani nie przeklinając za robienie

czegokolwiek, a po prostu stawiając nogę przed nogą, aż znalazła się poza prywatnym mieszkaniem ojca.

Publiczne części Budynku Rządowego, gdzie pracowały mechanizmy władzy, były równie pełne życia i sprawne jak zawsze. Jak ul albo mrowisko nieświadome śmierci królowej. Nikt jej nie zatrzymywał i nie próbował nawiązywać kontaktu wzrokowego. Przeszła do swoich pokojów jak duch. Chciała tylko zamknąć drzwi, schować się do łóżka i modlić o sen bez koszmarów, który przeniósłby ją do jutra. Albo trochę później. A przynajmniej poza teraz.

Jednakże kiedy tam dotarła, zastała otwarte drzwi. Na jej kanapie siedział pułkownik Ilich. Nie podniósł wzroku, kiedy weszła.

– Gdzie jest Piżmak? – zapytała Teresa.

– W sypialni. Dziś rano nie przyszłaś na lekcję – powiedział głosem uprzejmym, nieoceniającym i fałszywym jak maska.

Teresa zaplotła ręce na piersiach.

– Byłam z ojcem.

– Szanuję to, ale ojciec chciałby, żebyś wykonywała swoje obowiązki. Wszystkie. A to obejmuje edukację. – Ilich wstał, prostując się na całą wysokość, jakby to mogło zwiększyć jego autorytet. – Oraz śniadanie.

– Nie byłam głodna.

– Tu nie o to chodzi. To...

– ...niebezpieczny czas – dokończyła Teresa. – I wyjątkowa sytuacja. Musimy dbać o pozory. Wiem. Wszyscy ciągle mi to powtarzają.

– W takim razie przestań się zachowywać jak zepsuta gówniara i rób, co do ciebie należy – rzucił Ilich.

Fascynujące było obserwowanie jego twarzy chwilę po wypowiedzeniu tych słów. Teresa była przyzwyczajona do tego, że nad sobą panuje, jest profesjonalny, przyjazny i otwarty. Szok rozchodzący się na jego twarzy i rozczarowanie z zaciśniętymi wargami. A potem przyjemność. Wręcz duma. Wszystko nie trwało dłużej niż parę sekund, ale opowiedziało własną historię.

– Jesteś – powiedział, zanim znalazła słowa, którymi mogłaby go obrzucić – córką wysokiego konsula. Jesteś twarzą swojej rodziny. A to czyni cię podstawą stabilności imperium.

– Z pieprzonego imperium odpadają koła! – krzyknęła Teresa. – Wszystko się rozpada. Co mam niby z tym zrobić?

Odpowiedział napiętym i kontrolowanym głosem.

– Chcę, żebyś jadła swoje posiłki. Przychodziła na lekcje. Chcę, żebyś emanowała normalnością, stabilnością i spokojem dla wszystkich, którzy cię zobaczą. Bo taki masz obowiązek względem ojca i imperium.

Miała wrażenie, że wściekłość unosi jej ciało. Nie wiedziała, co zamierza powiedzieć. Nie miała żadnego argumentu ani pozycji, tylko siłę pochodzącą z rozsierdzenia poza zdolność kontroli.

– Ale pan może spędzać dni, ganiając za Timothyem? Może pan kazać doktor Okoye prowadzić lekcje, bo nic, co robi, nie jest tak ważne jak dopilnowanie, żeby mógł pan dokończyć zabijanie moich przyjaciół? Pan też nie wykonuje swojej pracy, więc niech mi pan nie mówi, żebym robiła swoją. To hipokryzja!

Ilich popatrzył na nią, spojrzał jej głęboko w oczy, a potem się zaśmiał. Wyciągnął rękę i zmierzwił jej włosy, jakby była Pizmakiem, a on podrapał ją po uszach. Gest był łagodny i upokarzający. Teresa poczuła, że złość w niej zacina się i gaśnie, a jej miejsce zalewa fala wstydu. Chciała odzyskać złość.

– Biedne dziecko. A więc o to chodzi? O szpiega? Złóścisz się na mnie przez niego?

– Złószczę się na wszystko – powiedziała, ale teraz jej słowa nie miały już mocy.

– Nie był twoim przyjacielem, tylko szpiegiem i zabójcą. Przyleciał tu, żeby nas zabić. Ta jego jaskinia? Wybrał ją na schronienie przed odpaleniem swojej kieszonkowej bomby. A góra była punktem rozpoznawczym dla jego zespołu ewakuacyjnego.

– To nieprawda.

Chwycił ją za rękę tuż poniżej barku, ściskając dość mocno, by zabolęło.

– Nie przyszłaś dziś rano na zajęcia. Nadrobimy to teraz. Musisz się czegoś dowiedzieć.

Znała biura ochrony Budynku Rządowego. Wyglądały jak wszystkie inne biura, z wyjątkiem rozmieszczonych tu i tam wzmocnionych drzwi i zamków. Mieściły się tam cele dla więźniów politycznych, choć nie widziała, żeby siedział w nich ktoś poza Jamesem Holdenem. Jednakże laboratorium śledcze było dla niej nowością. Było to rozległe, wysokie pomieszczenie z ruchomymi ściankami działowymi, które mogły odciąć jego część i zatrzymać wymianę atmosfery. Pod jedną ze ścian rozmieszczono dygestoria z pancernymi szybami i mechanicznymi manipulatorami. Stoły zajmujące środek pomieszczenia rozdzielały przejścia dość szerokie na wprowadzenie tam w razie potrzeby specjalistycznych wózków ze sprzętem chemicznym, biologicznym, elektronicznym czy obliczeniowym. Przy stanowiskach kręciło się kilka osób, a wszystkie zajmowały się rzeczami Timothy’ego. Rzeźbionymi narzędziami z drewna. Pryczą. Należącymi do niego pudłami i skrzynkami. Nawet jednym z dronów naprawczych, najwyraźniej uszkodzonym podczas wymiany ognia, rozłożonym na stole jak martwe zwierze.

Ilich polecił wszystkim wyjść, żeby zostali sami. Technicy wyszli, starając się nie gapić przy tym zbyt otwarcie na Teresę. Zobaczyła w ich twarzach ciekawość. Co tu robi córka wysokiego konsula? Co to znaczy? Ciężar ich zainteresowania był jak cisnąca w dół ręka na jej barkach.

Kiedy zostali sami, Ilich posadził ją na stołku technika i przyniósł rdzeń danych. Rozpoznała go z jaskini Timothy’ego, choć podczas odwiedzin nie zwracała na niego szczególnej uwagi. Ilich zsynchronizował monitor, wywołał strukturę plików i cofnął się z gestem, jakby powiedział: „Proszę bardzo. Zobacz”.

Odkryła, że wcale tego nie chce.

– Zaczynaj od plików z notatkami – rzucił Ilich. – Zobacz, jak bardzo Timothy był twoim przyjacielem.

Nazwy plików zawierały daty i godziny. Z początku nie dostrzegła w nich żadnego wzoru, ale do notatek dołączono uwagi technika

śledczego. Kiedy je wywołała, wpisy Timothy'ego zgodziły się z zapisami rejestrów bezpieczeństwa dla tych dat. Obserwował strażników Budynku Rządowego. Rozpracowywał ich zwyczaje i postępowanie. Szukał dziury. I śledził Jamesa Holdena. Te zapisy były bardziej rozproszone, bo Holden nie był tak przewidywalny. Wędrował przez budynki i ogrody, gdy miał na to ochotę, a Timothy – Amos, nazywał się Amos – zapisywał każdy przypadek, gdy Holden pojawiał się na widoku z jego stanowiska obserwacyjnego na górze.

Gdy raz zaczęła grzebać w notatkach, nie mogła przestać. Otworzyła plik map taktycznych i rozpoznała architekturę miasta i Budynku Rządowego. Seria wykresów ilustrowała zasięg wybuchu małej bomby jądrowej. Gdyby zamocować ją na ścianie. Odpalić gdzieś w mieście. Gdyby przemycić do Budynku Rządowego. Do każdego dołączono notatkę z szacowaną liczbą ofiar i zniszczeniami infrastruktury. Otworzyła plik podpisany „procedura ewakuacji”. Mapy topograficzne pokazywały główny punkt ekstrakcji blisko miejsca, gdzie pierwszy raz go spotkała, i zapasowy, oddalony o dzień drogi, z zapiskami Timothy'ego – Amosa – o tym, które części widocznej sieci obrony musiałyby zostać zniszczone, by dało się skorzystać z tych punktów.

Tak właśnie chciał nas zabić. Tak by uciekł. Oto człowiek, którego przybył uratować, a to ludzie, których chciał zniszczyć. Czekwała na powrót wściekłości. Spodziewała się jej. Zamiast tego pomyślała o Jamesie Holdenie. „Jeśli powiedział, że jest twoim przyjacielem, to nim był”.

– Rozumiesz teraz? – zapytał Ilich. – Rozumiesz, kim był?

Wszystkie te plany zabicia jej i ojca. Wymordowania ich wszystkich. „Powinnaś się położyć na podłodze. Tak płasko, jak tylko możesz. I zasłoń uszy dłońmi, dobra?”. Czy coś takiego mówiło się człowiekowi, którego chciało się zabić?

– Rozumiem – skłamała. – Tak.

Ilich wyłączył monitor.

– W takim razie skończyliśmy.

Znowu chwycił ją za rękę i wyprowadził. Nie widziała, by zamawiał jedzenie, ale kiedy wrócili do jej pokoju, już na nią

czekało. Gęsta, biała pasta proteinowa, jaką karmili chorych. Stek z mięsa hodowanego w zbiorniku przypalony na powierzchni i ciepłoróżowy w środku. Jajka. Ser i owoce. Ryż na słodko z płatkami suszonej ryby. Wszystko na metalowej tacy z widelcem i tępym nożem. Piżmak podeszła, ale wyraźnie wyczuła, że coś jest nie tak. Kiedy Ilich wyciągnął rękę, żeby podrapać ją po uszach, zignorowała go i podeszła wprost do Teresy.

– Teraz – odezwał się Ilich. – Zjedz obiad. Odpocznij wieczorem. Jutro punktualnie przyjdiesz na lekcje. Będziemy we wschodnim ogrodzie, gdzie będzie nas widział każdy przechodzący, i będziesz się zachowywać, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku. Rozumiesz?

– Nie chcę tego jeść. Nie jestem głodna.

– Nie interesuje mnie to. Teraz zjesz.

Popatrzyła na jedzenie przed sobą. Z ociąganiem wzięła w dłoń widelec. Przypomniała sobie coś z oglądanego kiedyś starego filmu o dziewczynce w układzie Sol. Na Ziemi.

– Nie muszę tego robić. Prywatność ciała zapisano w konstytucji.

– Nas to nie dotyczy – odpowiedział Ilich. – Zjesz to teraz, a ja będę siedział i patrzył. A potem zostanę kolejną godzinę, gdy będziesz trawić. Albo wezwę doktora Cortázara z lejkiem i rurą, żeby nakarmić cię na siłę. Zrozumiałaś?

Teresa ukroiła porcję steku i włożyła ją sobie do ust. Zdawała sobie sprawę, że powinien dobrze smakować. Kiedy przełknęła, Ilich kiwnął głową.

– Jeszcze raz – powiedział.

Kiedy wyszedł, Teresa się nie poruszyła. Po prostu siedziała na kanapie, czując ciężar w żołądku. Nie zjadła tak wielkiego posiłku od tygodni i czuła się teraz rozdęta i ociężała. Piżmak wyczuła, że coś jest nie tak, i położyła głowę na kolanach Teresy, patrząc w górę brązowymi oczami.

Włączyła program. Jeden z tych, które oglądała jako dziecko. O bezimiennej dziewczynce z Marsa i wróżce Pinsleep. Zalały ją znajome obrazy, przynosząc coś bliskiego pocieszeniu. A przynajmniej poczucie przewidywalności. Wiedziała, że w końcu

bezimienna dziewczynka ucieknie z krainy wrózek. Że wróci do Innis Deep i swojej rodziny, że w ostatniej scenie spakuje wszystkie swoje dziewczęce zabawki i wyjedzie na uniwersytet, do dorosłego życia. To będzie oznaka jej zwycięstwa. Będzie mogła żyć, jak zechce, a nie być więźniem elfów.

Położyła się na kanapie, opierając głowę na poduszce. Dziewczynka znowu została porwana przez Pinsleep i walczyła, by uciec. I uciekła. Teresa włączyła znowu od początku.

Więźniowie i ich dylematy. Pozwoliła obrazom się odtwarzać i wyciągnęła swój terminal. W notatkach znalazła stary diagram Ilicha.

	Teresa współpracuje	Teresa zdradza
Jason współpracuje	T3, J3	T4, J0
Jason zdradza	T0, J4	T2, J2

Przesunęła po nim palcami. Zapomniała, że Ilich miał na imię Jason. Zapomniała mnóstwo rzeczy.

Łamigłówka – jej nierozwiązywalna część – polegała na tym, że niezależnie od tego, co zrobi, drugiej stronie lepiej było zdradzić. Jeśli będzie dobra, wykorzystają ją, a jeśli będzie zła, wciąż mogą to zrobić. Do niej odnosiła się ta sama logika, tylko że ona z tego nie skorzystała. Wszyscy inni zdradzili, a kiedy nie współpracowała, zmuszali ją do tego. Choć tak naprawdę zdrada miała sens.

Pinsleep odkryła, że dziewczynki nie ma w piwnicy, i wrzasnęła. Cienkie palce wrózeki zacisnęły się w stylizowane pięści. Piżmak chrapała przytulona do Teresy. Opuściła dłoń i podrapała starą sukę. Czarno-szarą na nosie i czubkach uszu. Jej gardło dławiała niechciana wiedza, wzbierając jak bańka wznosząca się z głębi oceanu. Miała wrażenie, że może obserwować jej unoszenie się, i wiedziała, że

kiedy dotrze do powierzchni, nic już nie będzie takie samo. Wszystko będzie musiało się zmienić, bo ona się zmieni.

A potem to nastąpiło, nie z krzykiem, a z westchnieniem. Schyliła się, przysuwając usta prawie do oklapłego ucha Piżmak. Odezwała się szeptem:

– To już nie jest mój dom. Nie mogę tu zostać. Muszę odejść.

Piżmak spojrzała do góry i liznęła policzek Teresy.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Naomi

Wrota Freehold były, jak wszystkie inne, nieruchome względem lokalnego słońca. Fakt, że nie spadały ku swej odległej gwiazdzie, był tylko jedną z ich licznych zagadek, ale ponieważ nie mogli zaczepić o nie łańcucha i zawiesić na nim *Rosa*, nie mogli korzystać z ich przeczących ciężeni właściwości. Zamiast tego Aleks zaparkował statek blisko konstrukcji, używając małego ciągu silnika Epsteina do zrównoważenia przyciągania słońca.

Lot do pierścienia wrót był dziwny. *Rosynant* był jej domem dłużej niż jakiegokolwiek inne miejsce: to w tych pryzmach przeciążeniowych przespaała najwięcej nocy i w tym kambuzie zjadła najwięcej posiłków. Oddychała powietrzem, które przechodziło przez przewody i filtry więcej razy, niż zdołałaby policzyć. Będąc teraz na pokładzie statku, czuła obecność pozostałych. Swoje wspomnienia o nich. Najbardziej zaskoczyło ją, że to nie bolało.

Opuściła *Rosa* niedługo po tym, jak Amos przyjął tajną misję na Lakonii. Aleks zamierzał dołączyć do Bobbie na *Burzy*. Wszyscy sądzili, że Naomi zatrudni tymczasową załogę do *Rosynanta* i będzie nim dalej latać. Jednak tego nie zrobiła. Nie bardzo to wtedy potrafiła wyjaśnić. Wciąż pamiętała niektóre racjonalizacje, których używała: „okręt bojowy dużo trudniej ukryć niż jedną osobę”, „*Rosynant* ma wartość symboliczną jako zdobycz, która za bardzo go naraża”, a także „podziemie na Freehold będzie mogło w razie potrzeby go użyć, gdyby wymagali ochrony”.

Wszystkie były prawdziwe i żadna taka nie była. Patrząc na to teraz z perspektywy czasu, rozumiała, że odeszła, bo zostanie byłoby gorsze. Pozwoliła sobie zbyt głęboko odczuć utratę Jima. Amosa. Clarissy. Bobbie zaprosiła ją do dołączenia do załogi *Burzy*, ale Naomi nie przyjęła oferty, a Bobbie nie naciskała.

Teraz, przyczepiona do pajęczego rusztowania mecha ratowniczego, lecąc do pierścienia z dwoma nadajnikami i bębniem kabla, obejrzała się na statek – jej statek – i znowu poczuła ból. Ale był do zniesienia. Zabrała swoje cierpienie i zamknęła się z nim, bo odarła się ze skóry. To był najlepszy sposób, jaki wtedy przyszedł jej do głowy, by każdy nowy dzień nie wywoływał wrażenia wcierania w rany świeżej porcji soli. Ale to była jej inna wersja. Opłakiwała, jednak też się zmieniła. Kobieta, którą teraz się stała, nie była do końca tą samą, którą była w dniu odejścia Jima. Ani nawet tą z dnia, kiedy zdecydowała się nie przyjmować zaproszenia Duartego. Między stratą Saby i pokonaniem *Nawałnicy* przez Bobbie Naomi odrodziła się tak cicho, że sama prawie tego nie zauważyła. Jedynym realnym dowodem przemiany był fakt, że mogła znowu przebywać na *Rosynancie*. Mogła wrócić do domu.

– Jesteś prawie na miejscu – odezwał się Aleks. – Jak to wygląda?

– Jest wielkie – odparła Naomi.

Wrota miały tylko tysiąc kilometrów średnicy. Tak blisko ich powierzchni równie dobrze mogłyby zajmować pół wszechświata. W tej odległości od słońca wyświetlacz przezierny mecha musiał dodawać wspomaganie sztucznymi kolorami, dzięki czemu trochę wyraźniej widziała, z czym ma do czynienia. Wyhamowała. Miała bardzo niewiele czasu, zanim ucieknie jej orbita, ale nadajniki były już ze sobą połączone. Wstukała kody aktywacyjne, a resztą zajęły się silniczki ze sprężonym azotem. Główny nadajnik przeleciał przez wrota, a pomocniczy zajął stacjonarną pozycję względem pierścienia wrót, wykazując tylko lekki dryf, który z czasem spowoduje jego dociśnięcie do fizycznej powierzchni pierścienia. Jeśli chodzi o przekąźnik, była to najprostsza możliwa wersja, raptem krok wyżej od użycia dwóch puszek i sznurka. Ale nie musiał wytrzymać zbyt długo.

– Jak to wygląda?

– Sprawdzam – odpowiedział Aleks. – Mam synchronizację z tej strony, czekam na odpowiedź z... dobra, w porządku. Wygląda nieźle. Wracaj.

– Potwierdzam. Lecę z powrotem – zgłosiła Naomi. – Czyli prosta część za nami.

– Biorę, co dają.

Naomi zawróciła do *Rosynanta* i włączyła ciąg. Mech miał dość mocy w silniczkach, by zapewnić jej kilka godzin pracy bez żadnego ryzyka, ale wolała nie korzystać z tej możliwości. Chłodzenie jednostki nie działało tak dobrze jak kiedyś albo ona zrobiła się mniej odporna na przegrzewanie.

Zanim dotarła z powrotem do statku, przeszła przez służę, bezpiecznie spakowała mecha i poszybowała na mostek, nadajnik działał już od prawie trzech godzin. Pierwszy cykl był pasywny, szukając sygnałów docierających ze statków w przestrzeni wrót i identyfikując, ile tylko się dało. Wyglądało na to, że jest ich tam teraz kilkanaście, ale wszystkie dało się rozpoznać jako należące do Związku Transportowego lub przemytników. Nic nie miało sygnału nadajników ani sygnatury silnika niszczyciela klasy *Burzy*, nic nie było też *Zawieruchą*. Lepiej byłoby, gdyby nie zastali tam w ogóle żadnych statków, ale na to w sumie nie można było mieć nadziei.

Pierwszym poważnym podejmowanym przez nią ryzykiem był sygnał z prośbą o nawiązanie połączenia. Jeśli w przestrzeni wrót znajdowały się jakieś lakońskie czujniki, zdradzi to, za którymi wrotami kryły się aktywne komórki ruchu oporu. Z drugiej strony, jeśli wszystko potoczy się zgodnie z jej planami, ta informacja nie będzie miała wielkiego znaczenia. To było skalkulowane ryzyko.

Przez prawie minutę nie było odpowiedzi. Najdalsze wrota znajdowały się w odległości niecałego miliona kilometrów, opóźnienie światła powinno być prawie pomijalne. Naomi zaczęła czuć niepokój i zastanawiać się, czy przypadkiem nie zostali tylko oni, czy plan już nie rozpadł się na części, gdy nagle zaczęli odbierać połączenia. Najpierw jedno, potem kilka, w końcu zalew. W sumie pięćdziesiąt trzy odpowiedzi. Pięćdziesiąt trzy układy z zestawami

gotowych do walki okrętów, przywróconych z ukrycia i czekających na jej rozkazy. Przynajmniej setka jednostek.

– Nieźle – skomentował ze swojej pryczy Aleks.

– Brzmi świetnie do czasu, aż wszystko policzysz – odpowiedziała Naomi. – Wtedy wychodzi, że dziewięćdziesiąt sześć procent nie odpowiedziało. – Uśmiechała się przy tych słowach.

Jej plan, rozesłany dawno temu przez butelki i przekazywany z układu do układu, obejmował dużo więcej niż tylko Lakonię. Więcej niż pięćdziesiąt trzy układy, które wysłały statki do walki. Już w chwili, gdy dopiero mocowała swój prowizoryczny przekaźnik, aktywował się alarm na stacji transferowej Nyingchi Xin. Pirat włamywał się do lakońskich magazynów na największym księżycu najmniejszego gazowego olbrzyma w układzie Sanctuary. W nowych stoczniach układu Yasamal zgłaszano potężne włamanie do systemu danych. I miała nadzieję na dziesiątki innych drobnych akcji i problemów wszędzie, gdzie w układzie znajdował się niszczyciel klasy *Burzy*. Po zniszczeniu *Nawałnicy* lakońskie siły i frakcje, które na nich postawiły, musiały zrobić się nerwowe. To był jej sposób na nich, mogła to wykorzystać, pozwalając swoim ludziom odwrócić ich uwagę i rozproszyć. Musieli teraz w każdym zakątku imperium robić wszystko, by wyglądać na silnych, bo już wyglądali na osłabionych.

Następna faza traciła anonimowość i bezpieczeństwo butelek. Z uczuciem, jakby schodziła ze statku pod nieznany niebem, Naomi wybrała pierwsze połączenie i je odebrała. Rozległ się szum statyki i dźwięk pozostawiony przez liczne warstwy szyfrowania.

– Mówi Nagata – odezwała się.

– Z tej strony Zomorodi – usłyszała po kilku sekundach znajomy głos Emmy. – Mamy *Camę*, garść skoczków skalnych z zamontowanymi działami szynowymi i dziesięć okrętów do zwalczania piratów uwolnionych ostatnio ze stoczni Rady w Newbaker.

– Amunicja? – Opóźnienie wciąż było odczuwalne, choć nie tak duże, by musiały wymieniać nagrane wiadomości. Natychmiastowość wydawała się prawie intymna.

– O, cholera, wiedziałam, że o czymś zapominam – rzuciła Emma, ale Naomi usłyszała rozbawienie w jej głosie. – Oczywiście, że mamy pełne magazynki. *Cama* też ma pełną ładownię. Jeśli ktoś będzie potrzebował uzupełnień, jesteśmy pod ręką. Chyba że nas wszystkich pozabijają, wtedy nie bardzo.

– W porządku. Wyślij mi specyfikacje i kody transponderów. A co się stało z kapitanem Burnhamem?

– Wcześniejsza emerytura – wyjaśniła Emma. – Sprzedał udziały i kupił część szpitala.

– Pewnie zrobił mądrzej, niż my wszyscy razem.

– Myślę raczej o tchórzostwie.

– Miło cię znowu słyszeć, Emmo. Trzymaj rozgrzane silniki, wyślę plan lotu, jak tylko zbiorę wszystkich.

– W takim razie czekamy w gotowości, admirał.

Naomi zamknęła połączenie i odebrała kolejne. Osiem statków z kompozytami maskującymi starego typu i wewnętrznymi pochłaniaczami ciepła. Kilka generacji temu musiały być królami przestworzy, ale nawet teraz nie były złe. Następna grupa miała wyciągnięty z ukrycia pancernik klasy *Donnagera*. Cwierć miliona ton części przemyconych na pustą księżyc i zespawanych z powrotem jak dziecięcy model montowany w skali jeden do jednego. Jeśli będzie miała szczęście, zbierze jeszcze trzy albo cztery takie. Ich zbudowanie było ulubionym projektem Saby.

Saby, który zaczął to wszystko i nie dożył tej chwili. Ludzie, z którymi teraz rozmawiała, których życie mogła teraz ryzykować lub je zmarnować, byli siecią Saby. Byli podniesionym przez nią mieczem, który on upuścił na polu bitwy.

Pięćdziesiąt trzy układy. Czteryście osiemnaście statków, w tym pięć jednostek zaopatrzeniowych Związku Transportowego i trzy pancerniki klasy *Donnagera* oraz *Burza* – wciąż nie w pełni sprawna, ale zdolna do lotu, już w drodze. Najlepszy młot, jaki mogło zebrać podziemie.

A wciąż była to połowa sił, które *Nawałnica* rozgromiła w Sol. Miała nadzieję, że jeśli dobrze to rozegra, tyle wystarczy. Jeśli sama

się oszukiwała, wszyscy zapłacą tego cenę. Była jednak dość pewna, że ma rację.

Gdy tylko zebrała wszystkie parametry, zaczęła je sortować na podstawie modelu silnika, masy statku i całkowitego profilu energetycznego. Pojawił się Aleks z tubką przyprawionej soczewicy i bańką mrożonej herbaty. Nie wiedziała, że jest głodna, do chwili, gdy zaczęła jeść, kiedy to obudził się w niej wilczy apetyt. Odsunęła monitor, zwijając tubkę i wyciskając, by wydobyć z niej całą pikantną, bogatą papkę. Kiedy zostało po niej już tylko pieczenie w ustach i przyjemne uczucie sytości, westchnęła.

– Jak za dawnych czasów – rzucił Aleks. – Nigdy nie pamiętałaś o jedzeniu, gdy trafił ci się dobry problem do rozwiązania.

– Nigdy nie miewałam takich problemów. Bardziej polegały na dopilnowaniu bezpiecznego powrotu do portu.

– A nie to właśnie robimy? – zapytał z uśmiechem Aleks.

– Nic tutaj nie ma żadnego związku z bezpieczeństwem. To coś, czego nigdy nie chciałam robić. Walka? Zabijanie ludzi? Nigdy nawet nie nosiłam pistoletu.

– Wiem – przyznał Aleks, a jego uśmiech zmienił się w coś łagodniejszego. – Wciąż jest czas. Możesz to wszystko odwołać, wrócić do portu. Zająć się pilnowaniem, by to nasi ludzie zostali wybrani do Stowarzyszenia Światów.

Naomi zamilkła, czując zmagania umysłu i serca, co zdarzało się całkiem często. Aleks źle ją zrozumiał.

– Tylko częściowo żartuję – zapewnił. – Wciąż jest czas, żeby się wycofać. Jeszcze do niczego tych ludzi nie zobowiązaliśmy. Jeszcze.

– Nie, musimy to zrobić. Gdyby był czas... sama nie wiem. Może. Może dalej bym szukała, aż znalazłabym lepszy sposób. Taki, który nie byłby tym.

Konsola łączności wyświetliła ostrzeżenie, mrugając pomarańczową kontrolką nadchodzącej wiadomości. Ale to tylko *Burza*, aktualizująca przewidywany czas przybycia. Naomi schowała pustą tubkę po paście do kieszeni, wyrzuci ją do recyklera, kiedy skończy z pracą. Bańka z herbatą chłodziła jej palce i zbierała z powietrza cieniutką warstewkę kondensacji.

– Masz wrażenie, że jesteś im to winna? – zapytał łagodnie Aleks. – Bobbie, Sabie i Amosowi?

– Nie – odpowiedziała Naomi. – I nawet nie Jimowi. Tu nie chodzi o winę. To... okazja? Nie chcę walczyć, nie chcę, żeby komuś stała się krzywda albo żeby zginął. Nie po naszej stronie, nie po ich. Chcę pogodzenia. Dlatego Bobbie zawsze się tak na mnie złościła. Ona chciała zwycięstwa.

– Wygląda na to, że teraz ty też.

– Problem polega na tym, że trudno jest doprowadzić do pogodzenia, gdy się przegrało – odparła Naomi. – Ktoś zgarnia całą władzę, a ty próbujesz ich ściągnąć z powrotem do poziomu pozostałych? To kapitulacja. Nie sądzę, żeby przemoc coś rozwiązała, nawet to, nawet teraz. Ale może wygranie postawi nas w sytuacji, w której będziemy mogli okazać łaskawość.

– Spotkać Duarte'go w połowie drogi? – zapytał Aleks.

Słyszała w jego głosie, że nie jest przekonany. Jeśli nie przekona nawet jego, to może nie było już nadziei. Ale spróbuje.

– Zrobić dla niego miejsce. Może z niego skorzysta, może nie. Może jego admirałowie dostrzegą coś, czego on nie widzi. Celem tej walki nie jest zniszczenie Lakonii, tylko zdobycie wystarczającej siły, żebyśmy mogli zniwelować dystans, jaki stworzyli między sobą a wszystkimi innymi. To może oznaczać ukaranie niektórych ludzi, osądzenie za stare zbrodnie. Ale to musi oznaczać znalezienie sposobu na pójście dalej.

– Jesteś pewna, że niczego nie jesteś winna Holdenowi? – zapytał Aleks. – Bo to cholernie przypomina coś, co on mógłby powiedzieć. A potem wszyscy się na to krzywią.

– Nie wiem – przyznała. – Może. Teraz potrzebujemy Saby, więc mogę być nim, skoro muszę, ale później będziemy potrzebować Jamesa Holdena. A jeśli sam nie zdoła za siebie przemówić, to i za niego będę musiała.

– A co z Naomi Nagatą?

– Pewnie powinna dokończyć rozwiązywać swoje problemy kontroli ruchu. Nie chcę, żeby ktoś nam zaginął. Albo doświadczył kolejnego incydentu utraty czasu. O ile tylko da się tego uniknąć –

powiedziała Naomi. Konsola łączności znowu wyświetliła powiadomienie i tym razem otworzyła połączenie. – Tu *Rosynant*.

– Tu niszczyciel *Zwiastun* burzy – zabrzmiał kobiecy głos. Prawie dało się w nim usłyszeć dumę i oczekiwanie przemocy. – Proszę o pozwolenie na dokowanie i transfer załogi.

Aleks podniósł rękę.

– Ja się tym zajmę, pani admirał.

Naomi przesłała sterowanie Aleksowi.

– Cześć, tu Aleks. Możecie dokować, ale dopilnuj, by Caspar wiedział, żeby podejść od burty. Może na to nie wygląda, ale nasz silnik działa. Nie chcę tego dowodzić przez ugotowanie was.

– Jakby twój silnik mógł nam zaszkodzić – rzuciła Jillian.

– Po prostu źle bym się z tym czuł. Wysyłam kody.

– Dobrze będzie znowu cię zobaczyć, staruszkule – powiedziała kobieta z *Burzy* i zamknęła połączenie.

– Jillian Houston – skomentował Aleks. – To dobry dzieciak, będzie z niej dobra kapitan.

– Pamiętam, że jej ojciec był dupkiem.

– Ona też trochę taka jest.

* * *

Minęły trzy godziny, zanim *Burza* podeszła do burty *Rosynanta* i wysunęła kołnierz dokowy. Dziwnie było widzieć lakoński statek z technologią obcych, choć równocześnie wyraźnie zdradzający wspólny język projektowania z samym *Rosynantem*. Naomi czasami zapominała, że Lakonia była na tak wiele sposobów dziedzicem Marsa.

Wciąż dopracowywała ostatnie szczegóły rozkazów przelotów, gdy na pokład weszła nowa załoga i Aleks musiał ją kilka razy szturchać, by zeszła ich przywitać przy śluzie. Oczywiście miał rację, ale trudno było jej się oderwać od tak złożonego i tak bliskiego końca projektu.

Rosynant latał przez wiele lat z jedynie bazową załogą składającą się z czterech osób, rozszerzoną później do sześciu. Zaprojektowano go dla dwudziestu dwóch ludzi. Ci, którzy weszli na pokład, dryfując w nieznacznym ciężeniu, byli mieszkanką różnych typów. Pasiarze i mieszkańcy Freehold, a do tego działonowy z Brazil Nowa, który dołączył do nich na Ganimesesie. Witła każdego wchodzącego na pokład, mając nadzieję, że zdoła zapamiętać wszystkie imiona i powiązać je z właściwymi twarzami. Belinda Ross. Acacia Kindermann. Ian Kefilwe. Jona Lee.

Czuła się trochę dziwnie, widząc szacunek i formalność, z jaką ją traktowali. Dla nich była Naomi Nagatą, a to oznaczało nie tylko ich kapitan, ale też admirał floty i przywódczynię całego ruchu oporu. Znali ją również jako towarzyszkę kapitan Draper, a to wiązało się z szacunkiem, co do słuszności którego nie do końca była przekonana.

Jeszcze dziwniej było widzieć Aleksa wśród nich. Jeden z chłopaków – Caspar – wszedł na ich pokład nie po to, żeby dołączyć do załogi *Rosa*, tylko żeby zobaczyć się z Alekssem. Nie sposób było nie dostrzec podziwu na jego twarzy. Obserwowanie ich przypominało oglądanie większej rodziny, która spotkała się z okazji ślubu. Albo pogrzebu. Aleks zabrał wszystkich na oprowadzenie po statku, prezentując im *Rosa*. Nazwał to orientacją, choć bardziej wyglądało to tak, jakby popisował się swoim skarbem. Albo nie, nie tak. Pokazywał im część swojego życia, o której dotąd mógł tylko opowiadać.

Kiedy prowadził ich w dół do maszynowni, wróciła na mostek, do prawie ukończonej pracy. Oderwanie do przywitania nowej załogi na kilka minut utrudniło jej ponowne pogrążenie się w zadaniu i odszukanie właściwego ciągu myślowego. Zostało jej do zrobienia mniej, niż sądziła.

Przygotowała ostateczne rozkazy. „Wciąż jest czas, żeby się wycofać”, powiedział w głębi głowy Aleks, tak jak zrobił to ten prawdziwy, obecnie kilka pokładów niżej, pokazujący towarzyssom broni i przyjacielom zasady, przeładowywania działek obrony

punktowej *Rosynanta*, przekierowanie sieci zasilania do stępkowego działu szynowego czy jakiś inny aspekt statku.

Gdzieś daleko w dole rozległ się nieznany śmiech.

To właśnie zrobił. Kiedy Naomi zamknęła się w samotni, Aleks udał się z Bobbie i stworzył sobie nową załogę, nową rodzinę. Zdumiało ją, że zrobił to tak naturalnie, że nawet tego nie zauważył. Jedynym powodem, dla którego nie został z nimi, był fakt, że tak postanowił. Nawet krótki kontakt jasno jej pokazał, że przyjęliby go z otwartymi ramionami. Zbudował sobie nowe miejsce we wszechświecie.

Miała nadzieję, że mu go nie odbierze. Zszyfrowała rozkazy, otworzyła kanał i je wysłała.

Rozdział czterdziesty drugi

Aleks

Zbieranie sił było ważne, ale Aleks i tak tego nie znosił. Nie wiedzieli, co czekało na nich po drugiej stronie wrót Lakonii. Równie dobrze *Zawierucha* mogła siedzieć tuż przy wrotach, gotowa rozwalać ich pojedynczo zaraz po przejściu na drugą stronę. Jasne, według ich informacji statek był trzymany blisko głównej planety, ale nikt im tego nie mógł zagwarantować. Im szybciej przelecą przez wrota, tym lepiej dla nich.

Co brzmiało świetnie, ale w praktyce oznaczało powolne przekierowanie sił zebranych w pięćdziesięciu trzech układach do powolnej strefy, zebranie ich razem, zanim pierwszy przeleci do Lakonii, a potem przesyłanie ich przez wrota najszybciej, jak się dało, bez znikania statków. W takiej sytuacji wszystko wzbudzało nerwowość.

– Zawsze to tak wyglądało? – zapytał Ian, nowy technik łączności, urodzony i wychowany na Freehold. Stacja Draper była jak dotąd najdalszym punktem, jaki odwiedził. – Caspar mówi, że kiedyś było inaczej.

– Zgadza się – potwierdził Aleks. – Kiedyś było inaczej.

Stacja w centrum powolnej strefy jarzyła się coraz słabiej w miarę upływu dni i tygodni. Ostygła już z jasności bliskiej słonecznej bieli do groźnego odcienia pomarańcza. Z drugiej strony niegdyś czarna i niewidoczna powierzchnia powolnej strefy wciąż pobłyskiwała dziwnymi tęczkami. I jeśli już, to wydawało się, że robi się jaśniejsza.

– Tu *Wybawienie* – powiedział głos na ogólnym kanale. – Ukończyliśmy przejście z Hamshalim.

– Potwierdzam, *Wybawienie* – odpowiedział Ian. – *Benedict*, masz zgodę na transfer.

Kilka sekund.

– Tu *Benedict*. Potwierdzam. Włączamy silniki.

Przez pierścienie przeleciało już dwieście statków. Jak *Ros*, wszystkie zbierały się przy wrotach Lakonii. Pozostałe wciąż czekały przed swoimi wrotami na rozkaz przelotu od Naomi. Bez kontroli ruchu na Medynie pilnującej, by nikt nie zaginął w przejściu, musieli polegać na niej i jej obliczeniach. Które będą się sprawdzać pod warunkiem, że w tym czasie nie spróbuje przelecieć za dużo innych jednostek. O ile nie zmieni się zachowanie wrót.

Choć nie było to jedyne ryzyko związane z powolną strefą. Aleks wciąż pamiętał pierwszy przelot przez wrota Sol. Wtedy powolna strefa była miejscem pełnym grozy i tajemnic, obcych artefaktów i śmierci. Przed Medyną powiedziałaby, że upływające dziesięciolecia ją oswoiły, uczyniły czymś znanym i zrozumiałym. Fakt, że była zdolna do niezrozumiałych zmian, zrywał strup z tamtej rany za każdym razem, gdy o tym myślał. Co chwila sięgał do drążka sterowania, pragnąc odrobinę szybciej przeprowadzić statek przez wrota. Udawał się na walkę z o wiele potężniejszym wrogiem, ale przynajmniej takim, którego znał. Przypomnienie o tym, że budowali drogi przez paszczę smoka, wzbudzało w nim nieprzyjemną nerwowość.

Na tym polegał problem z pychą: stawała się oczywista dopiero z perspektywy czasu.

– Tu *Benedict*. Ukończyliśmy przejście z Hamshalim.

– Potwierdzam, *Benedict* – rzucił Ian. – *Chet Lam*, masz zgodę na przejście.

Aleks wyciągnął ręce do pulpitu i zaraz je cofnął.

– Wszystko w porządku? – zapytał Ian, gdy Aleks odpiął się od pryczy.

– Idę po herbatę. Chcesz też?

– Dzięki, nie trzeba – odparł Ian, a Aleks odepchnął się do windy. Żałował, że nie lecą z ciągiem, nie tylko dlatego że chciał się stąd wynieść, ale też w nieważkości zdecydowanie za łatwo przemieszczało się przez statek. Gdyby czuł wysiłek, może pomogłoby mu to zwalczyć niepokój. W tej sytuacji było to jak swędzenie, którego nie można podrapać.

W kambuzie wyciągnął swój ręczny terminal. W kolejce do wysłania czekała jedna wiadomość, oznaczona jako wstrzymana. Zaparł się prawą dłonią i stopą, a potem powoli zawirował terminalem w powietrzu jak wiatraczkiem, myśląc o niej. Odczytując pozycję jego twarzy, ekran przełączał orientację i starał się nadążyć za obrotami. Po kilku sekundach zaczęło go to irytować. Złapał urządzenie i otworzył wiadomość. Na ekranie pojawiła się jego twarz, w głośniczku zabrzmiał własny głos.

– Kit. Wezmę w czymś udział i jest ryzyko, że mogę z tego nie wrócić. Bardzo duże ryzyko. Kiedy ostatni raz robiłem coś podobnego, po wszystkim dużo o tobie myślałem. Wiem, że pod koniec nie bardzo dogadywałem się z twoją mamą i może nie byłem dla ciebie tak dobrym ojcem, jak mógłbym być...

Zatrzymał odtwarzanie, dłuższą chwilę przyglądał się obrazowi, a potem skasował wiadomość bez wysyłania. Była taka koncepcja, że jedna wiadomość może odmienić całe życie podejmowanych wcześniej decyzji, ale tak naprawdę nie powiedział tam niczego, czego Kit i tak już nie wiedział. Jeśli plan Naomi zadziała, będzie mógł wrócić i osobiście powiedzieć wszystko, co jeszcze wymagało powiedzenia, a jeśli nie, to pewnie dla Kita będzie lepiej, jeśli nie otrzyma żadnych wiadomości od ojca będącego pilotem buntowników.

Belinda i Jona wleciały razem z przygaszoną aurą osób, które cieszyły się intymnością swojego towarzystwa. Cóż, przynajmniej miło spędziły czas przed akcją. Aleks wciąż pamiętał czasy, gdy sam się w ten sposób pocieszał. Kiwnęły mu głowami, a on odpowiedział tym samym, jakby niczego się nie domyślał. Tak naprawdę, jak długo nie wpływało to na funkcjonowanie statku, odrobina ciepłych uczuć powinna być czymś dobrym. Związek Holdena i Naomi bardzo długo

stanowił niewypowiedziane jądro załogi *Rosa*. Co było jednym z powodów, dla którego utrata Holdena wszystko zepsuła.

A teraz znalazł się z powrotem na statku razem z Naomi, robiąc coś niebezpiecznego. Czuł się prawie jak za dawnych czasów.

Zadzwonił jego ręczny terminal. Naomi.

– Admirał? – powiedział, odbierając.

– Wystarczy kapitan.

– W porządku. I tak dziwnie się czułem, mówiąc to.

– Więc tak. Zamierzam zaraz coś zrobić.

– Coś?

– Jedno z tych porywających załogi przemówień, takich w stylu admirałów.

– Ironicznie – odpowiedział ze śmiechem Aleks.

– Całkiem poważnie – odparła Naomi, choć nie usłyszał w jej głosie besztania. – Zostały trzy przejścia do zebrania tu całej floty. Rozesłałam do statków przydziały do grup i pomyślałam, że powinnam coś wygłosić. Coś do załóg. Czy Bobbie robiła coś takiego?

Aleks musiał się zastanowić.

– Tak jakby?

– Liczyłam na zaprzeczenie.

– Zdenerwowana?

– Chyba wolę, gdy do mnie strzelają.

– Cóż, jeśli wszystko dobrze pójdzie, to będziesz mogła to sprawdzić. To chyba dobrze?

– Może.

– Dobra, idę na górę.

Aleks wypił ostatni duży łyk z bańki z herbatą i wrzucił resztę do recyklera, a potem wyleciał do środkowego szybu i poszybował w stronę kokpitu. Czuł, że jego niepokój się zmienia, choć jeszcze nie wiedział w co. Może w podniecenie, może w strach.

Gdy dotarł do swojej pryczy, Ian nie miał już otwartej konsoli łączności. Chłopak wyglądał ponuro, z mocno zaciśniętymi wargami i czubkami palców tańczącymi po brzegu monitora sterowania, jakby szukały czegoś do zrobienia w tym miejscu. Aleks przypiął się

i posłał mu gest wysuniętego w górę kciuka. Nie do końca wiedział, co miałyby to znaczyć poza wsparciem emocjonalnym.

Na pokład wleciała Naomi. Miała na sobie formalny czarny strój wyglądający jak mundur, choć właściwie nim nie był. Jej siwe włosy nie wyglądały przy nim wcale staro. Miała poważną i stanowczą twarz, poruszała się płynnie i zdecydowanie. Zajęła miejsce w pryczy przeciążeniowej, przerzuciła do swojego stanowiska odczyt taktyczny i przyjrzała się wyświetlonym danym. Jej statki. Jej flota. Skupiły się na niej wszystkie spojrzenia. Zerknęła na Iana.

– Otwórz interkom – poleciała.

– Tak jest, pani kapitan.

Naomi odchrząknęła. Odgłos rozszedł się echem po statku.

– Mówi Naomi Nagata – zaczęła. – Za chwilę dokonamy przejścia do Lakonii. Wkroczymy w samo serce terytorium wroga. Wszyscy widzieliśmy, co *Nawałnica* zrobiła z połączoną flotą planet wewnętrznych. Wiem, że teraz o tym myślicie, bo ja też to robię.

– Jednak to, co tu robimy, jest inne. Nie zdołaliśmy powstrzymać *Nawałnicy*, gdy wkroczyła do Sol...

„Sklepaliśmy ją na atomy później”, krzyknął ktoś pokład albo dwa niżej. Rozległy się okrzyki i gwizdy, lecz Naomi je zignorowała.

– Nie będziemy próbować powstrzymać *Zawieruchy*. Usiłujemy zmusić ją do ruchu. Jak dokładnie się to rozegra, zależy od tego, co znajdziemy po drugiej stronie wrót. Szczegóły taktyki będziemy opracowywać na bieżąco. Z drugiej strony strategia naszych działań jest ustalona. Zniszczymy lakońskie platformy konstrukcyjne, narzędzie używane przez Duartego do budowy okrętów *Magnetar*. Niszczycieli klasy *Burzy*. Do produkcji antimaterii. To wszystko się skończy, a wraz z nim lakońska próba budowy imperium. To my tego dokonamy.

– Każdy statek w tej flocie ma swoją rolę do odegrania. Najniebezpieczniejszy będzie atak na platformy. Jeśli się uda, zrobimy to my. Nasza grupa uderzeniowa będzie obejmować *Burzę* z Freehold, *Kasjusza* z układu Sigurtá oraz *Quinna* i *Księcia Twarzy* z Hazy. Pięć okrętów, ale nie będziemy sami. Będą nas wspierać wszystkie statki, każda grupa bojowa, każdy członek ich załóg.

– To będzie długa walka. Trudna. Ale zostanie wygrana. Jeśli więc jesteście głodni, jedzcie teraz. Jeśli musicie do łazienki, macie pięć minut. Potem przechodzimy.

Zamknęła połączenie przy akompaniamencie wiwatów. W nieważkości nie dało się zapaść w pryczę, ale gdyby mogła, z pewnością by to zrobiła. Wywołał panel sterowania, wybrał przygotowany już kurs i wystukał wiadomość do niej.

TO BYŁO DOBRE. ZROBIŁO WSZYSTKO, CO POWINNO.

Tekst pojawił się na jej monitorze. Uśmiechnęła się lekko. Po chwili dostał jej odpowiedź.

NIE ZNOSZĘ PRZEMAWIANIA. NIENAWIDZĘ. NASTĘPNYM RAZEM TY TO ZROBISZ.

DAJ MI NASTĘPNY RAZ, wystukał. TO ZROBIĘ.

Jej śmiech był ledwie chichotem, ale doprowadzenie jej do choćby takiego rozluźnienia i tak było zwycięstwem. Dziwne było widzieć ją w roli Bobbie. Jeszcze dziwniej zrozumieć, że w jego głowie to była rola Bobbie. Już nie Holdena. Zaczął się zastanawiać, co jeszcze się zmieniło, gdy nie uważał.

– W porządku. – Naomi odezwała się dość głośno, by usłyszeli ją wszyscy na mostku. – Już czas. Aleks?

– Tak jest, pani kapitan – odpowiedział.

Włączył alarm przyśpieszeniowy na statku, odczekał dwadzieścia sekund, by spóźnialscy mogli dostać się do pryczy, a potem *Ros* skoczył, chętny jak on. Na plecy naparł chłodny żel pryczy przeciążeniowej, a Aleks poczuł, że się uśmiecha. Jego ekran wyznaczał trasę do wrót, a on zaczął się zastanawiać, jak jest po drugiej stronie. W miarę jak wygasał lęk przed przebywaniem w powolnej strefie, narastała obawa przed opuszczaniem jej dla Lakonii.

Z tyłu rozkwitły silniki innych jednostek. *Burza*, potem *Quinn* i *Kasjusz*. Wszystko dopracowane z sekundową precyzją. Poczuł igłę, a potem zalew koktajlu. Jeśli ciąg był ostry dla niego, musiał być piekielnie trudny dla Pasiarzy. Dla Naomi.

Nie spuszczał wzroku ze stanu silnika i silników manewrowych. Dokonywali przejścia szybciej niż zwykle, a przypadkowe włączenie

silnika manewrowego w niewłaściwej chwili mogło zepchnąć ich z kursu w wirującą nicość na granicy powolnej strefy. Nie wiedział, czy byłaby to dobra śmierć, czy nie, ale wolał tego nie sprawdzać.

Bez obrazów teleskopowych mający tysiąc kilometrów średnicy pierścien wrót byłyby tylko kropką na monitorze, zanim przez niego przelecieli. Niemal zanim zdążył zarejestrować przelot, włączyły się silniki manewrowe *Rosa*. Prycze przeciążeniowe nie tyle zasyczały, ile kliknęły, przeskakując w prawo, a potem ostro z powrotem. Na chwilę zamgliło mu wzrok, z krwią w mózgu poruszoną przez inercję.

Najważniejsi byli wrogowie. Radar *Rosa* przemiatiał już układ, jego teleskopy szukały smug z silników, a anteny radiowe nasłuchiwały sygnałów transponderów lakońskich jednostek. Ekran wyświetlił już pięć statków, choć zidentyfikował je jako należące do Związku Transportowego, zajmującego się przewozem towarów. W układzie Lakonii nie było wiele ciekawych miejsc. Był wciąż zbyt nowy, by mieścić liczne stacje w przestrzeni, jak w Sol. Jednakże kilka tam było. Na lodowym księżycu jedyne olbrzyma gazowego znajdowała się placówka naukowa. Na jednej z wewnętrznych skalistych planet od kilku lat wydobywano tytan. Według plotek Duarte przeznaczył jedną z planet karłowatych wielkości Ceres na jakiś wielki, tajny projekt. Pierwszy prawdziwy przeciwnik znaleziony przez *Rosa* znajdował się prawie w pół drogi do serca imperium. Dwa niszczyciele klasy *Burza* lecące w stronę wrót. A za nimi, blisko planety, charakterystyczna sygnatura ciepła i energetyczna pancernika klasy *Magnetar*.

Aleks opuścił palce na panel na poręczy fotela i wystukał wiadomość.

ŻADNEJ STRAŻY PRZY WROTACH. NIE SPODZIEWALI SIĘ NAS.

Po kilku chwilach otrzymał odpowiedź Naomi.

ALBO NIE POTRAFILI SOBIE WYOBRAZIĆ, ŻE KTOŚ MOŻE BYĆ TAK GŁUPI.

Roześmiałyby się, gdyby zdołał wciągnąć tyle powietrza. Od przejścia przez wrota lecieli z przyśpieszeniem ośmiu g. Bywało gorzej, ale wtedy był młodszy. *Burza*, *Quinn*, *Kasjusz* i *Książę Twarzy*

leciały za nimi, rozbiegając się w wachlarz. Przy wrotach do normalnej przestrzeni z wrót wyłoniły się pancerniki klasy *Donnagera*, skręcając na wektorze różnym od tego, z którym leciała grupa *Rosa*. Na jego ekranie powoli opadała wartość progowa modelu Naomi, mierząc masę i energię do określenia poziomu bezpieczeństwa. Gdy tylko schodziła dość nisko, przechodził kolejny okręt. Opóźnienie światła z Lakonii wynosiło prawie trzy godziny, więc wszystko, co widzieli w układzie, pochodziło z przeszłości. Oznaczało to jednak także, że najbliższy lakoński okręt nie dowie się o przybyciu przeciwnika jeszcze przez nieco ponad półtorej godziny, a sama Lakonia dwukrotnie dłużej. Aleks nie zmniejszał ciągu. Do czasu, gdy pojawi się odpowiedź, ich flota musi rozproszyć się w układzie najbardziej, jak tylko zdoła.

Gdyby to była piłka nożna, Lakonia miałaby światowej klasy napastnika i kilku profesjonalnych pomocników przeciwko prowadzonej przez Naomi drużynie z czwartej ligi i trzem chuliganom stadionowym klasy *Donnagera*. Każde otwarte starcie skończy się zwycięstwem Duarte'go, lepiej więc, żeby do żadnego nie doszło. Przynajmniej do czasu, aż Naomi będzie mogła dyktować warunki.

Aleks przełączył się na obraz z teleskopów i popatrzył na oddalające się wrota. Już były maleńkie, ale dostrzegał smugi z dysz wylatujących z niej statków, jak rozbłyski rodzących się gwiazd. A dalej prawdziwe gwiazdy i rozległy, piękny mazaj płaszczyzny galaktyki. Mniej więcej taki sam, jak zawsze.

Trzy godziny później niszczyciele wroga wyłączyły silniki. Opóźnienie światła oznaczało, że dostrzegli wtargnięcie w ich przestrzeń i zareagowali, a oni dopiero teraz zobaczyli tego dowód. Aleksa ciekawiło, czy wyłączyli silniki po zauważeniu *Rosa*, czy zrobili się nerwowi dopiero, gdy za jego rufą pojawiło się kilka dodatkowych rozbłysków. Gdyby się tym dostatecznie przejmował, mógłby wszystko przeliczyć i znaleźć odpowiedź. Zrobił dość, by wiedzieć, że wiadomość o ich pojawieniu się nie dotarła jeszcze do Duarte'go i lakońskiej stolicy, ale dotrze bardzo niedługo.

Ian stęknął na swojej pryczy. Aleks przez chwilę bał się, że to jakiś problem medyczny. Niektórzy nie reagowali zbyt dobrze na pierwszy długi lot z wysokim przeciążeniem. Ale to Naomi przesłała mu komunikat.

ZMNIJSZ CIĄG, MAMY WIADOMOŚĆ.

Ruchem kciuka zmniejszył ciąg do połowy standardowegociążenia. Wszędzie wokół usłyszał westchnienia ulgi. Sam też zareagował podobnie.

– Kefilwe – rzuciła Naomi. – Wysłuchajmy wiadomości.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział Ian. – Do pani stanowiska?

– Chyba wszyscy będziemy zainteresowani.

Na monitorach pojawiła się kobieta niewiele starsza od Iana. Miała ostre rysy twarzy, granatowy mundur Lakonii i zmarszczone czoło. Wyraz twarzy świadczący o zmieszaniu, nie niepokoju.

– Mówi kapitan Kennedy Wu z lakońskiego niszczyciela *Wzbierający Szamal* do niezidentyfikowanego niszczyciela z eskortą. Dokonałiście nieautoryzowanego i nieplanowanego przejścia w przestrzeń Lakonii. Proszę natychmiast wyłączyć silniki. Jeśli potrzebujecie pomocy...

Ktoś za plecami Kennedy krzyknął ostrzegawczo. Aleks pomyślał, że usłyszał „*To Burza*” albo coś podobnego. Rozpoznali jednostkę. Troska na twarzy lakońskiej kapitan w jednej chwili zmieniła się w złość. Aleks spróbował postawić się na jej miejscu. Skradziony okręt, który zniszczył dumę ich floty, zabił nieśmiertelnego, pokazał się teraz gdzieś, gdzie nie powinno go być. On i Naomi wiedzieli, że ich zapas antymaterii skończył się wraz z *Nawałnicą*, ale obserwował, jak kapitan Kennedy się zastanawia.

– Uwaga, *Zwiastun burzy*. Masz natychmiast wyłączyć silniki i przekazać mi sterowanie. Wszelkie próby zbliżania się do Lakonii zostaną potraktowane jak wrogie działania i potraktowane z natychmiastową i...

Z tyłu dobiegł inny głos. Tym razem Aleks wyraźnie usłyszał słowa. „Kolejne kontakty. Jeden duży”. Co zapewne oznaczało przejście jednego z pancerników klasy *Donnagera*. Kapitan Kennedy

oderwała wzrok od kamery, sprawdzając coś na innym monitorze, i wiadomość dobiegła końca.

– No cóż – rzucił Aleks. – Chyba nas zauważyli.

– Mam wrażenie, że wysoki konsul Duarte będzie miał dzisiaj nerwowy dzień, co nie? – rzucił Ian.

Naomi wywołała ekran taktyczny. Bezmiar układu Lakonii uproszczony do tego stopnia, że wszystkie ich statki przechodzące przez wrota stanowiły jedną maleńką żółtą kropkę.

– Rozkazy? – zapytał.

– Rzucą się na *Burzę* – odpowiedziała. – Skieruj nas mniejszym ciągiem w stronę gazowego olbrzyma. I daj mi wiązkę kierunkową do kapitan Sellers na *Garcia y Vasquez*. Będziemy udawać, że jesteśmy tam otwarci na walkę, a *Neve Avivim* może lecieć pełnym ciągiem dookoła, jakby chcieli ich wziąć w kleszcze. Gdy tylko niszczyicie się na to nabiorą, zmienimy kurs.

– Potwierdzam – rzucił Ian.

Z tyłu przez wrota przeszedł kolejny statek. W łagodnych łukach jarzyły się setki smug z silników, rozbiegając się jak pył na wietrze.

Zaczęło się oblężenie Lakonii.

Rozdział czterdziesty trzeci

Elvi

Gdyby tylko mogła, Elvi przeniosłaby się z pracą gdzie indziej. Najlepsze byłoby własne laboratorium, ale przydzielone jej i Fayezowi mieszkanie było na bardzo bliskim drugim miejscu. Jednakże dane były dostępne tylko na uniwersytecie, w Stodole, więc tam musiała chodzić. Z początku bardzo tego żałowała. Przełom nastąpił, gdy w końcu mogła odstawić na bok prace Cortázara dotyczące przemiany Duarte'go i wrócić do własnych danych.

Jej raporty z martwych systemów były jak listy z poprzedniego życia. Przejęcie, jakie odczuwała, uświadamiając sobie, że na częściowo nadającej się do zamieszkania planecie w układzie Charona padają szklane deszcze, wydawało jej się teraz niemal dziecinne. W retrospektywie widziała własne głębokie zdumienie i nawet odczuła jego echo. Olbrzymi kryształowy kwiat z biegnącymi przez płatki włóknami jak kanały próżniowe, zbierające energię wysoce zmiennych pól promieniowania i magnetycznych w układzie Charona, jak stokrotki zbierają światło słońca, gdyby stokrotki miały tysiące kilometrów. Wciąż uważała, że kryształowe kwiaty mogły być jakiegoś rodzaju naturalnie występującym życiem międzygwiazdowym. I olbrzymi zielony diament...

Bardzo długo mu się przyglądała, zanim zrozumiała, o czym naprawdę myśli. Wtedy zabrała tablet z odczytami i danymi do prywatnego laboratorium Cortázara. Nie znosiła przebywania z nim

w jednym pokoju, nie znosiła, gdy stawał jej za plecami, ale nie miała wyboru.

– Tak – potwierdziła Cara, patrząc na nią czarnymi oczami bez wyrazu. – Wiem o tym.

Ksan spał. Albo odpoczywał z zamkniętymi oczami, co z perspektywy Elvi sprowadzało się do tego samego. Siedzący przy swoim biurku Cortázar posłał im krzywe spojrzenie – Cara i Elvi, stojące po dwóch stronach klatki z przejrzystego plastiku jak dziewczyny porównujące swoje lunchy na uniwersytecie. Z aurą dezaprobaty wrócił do jedzenia swojej kanapki.

– Czy możesz mi coś o nim powiedzieć?

Cara zmarszczyła czoło. Nawet to wymagało chwili dodatkowego przetwarzania. Jakby dziewczyna – albo to, co było dziewczyną – musiała sobie najpierw przypomnieć, jak wykonać ten ruch. A może po prostu był to jakiś rodzaj motorycznego jąkania. Elvi naprawdę będzie musiała w końcu zająć się tym aspektem sprawy.

– To... nagrywa? – powiedziała Cara. – To nie jest dobre słowo. To nie do końca działa jak pamięć, bardziej jakby było wszystkim naraz? Tak jak film składa się ze wszystkich zdjęć, które opowiadają historię i są tam, nawet gdy widzisz tylko jedno? Nie wyjaśniam tego dobrze.

– Gestalt – skomentowała Elvi.

– Nie znam tego słowa – odpowiedziała dziewczynka.

Jej ręczny terminal zadzwonił w tej samej chwili, w której system Cortázara wyświetlił alarm na monitorze. Trejo informował ich o pilnym zebraniu w jego biurze za pół godziny.

– Jakiś problem? – zapytała Cara.

– Za dużo panów, nie dość czasu – odpowiedziała Elvi. – Wrócę, gdy będę mogła.

Cortázar zdążył już ruszyć w stronę drzwi, musiała wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć. Na zewnątrz czekał na nich kierowca, któremu udało się wyglądać równocześnie służalczo i niecierpliwie. Od wschodu wiał zimny wiatr, mroząc uszy Elvi. To była jej pierwsza zima na Lakonii, a z tego, co czytała, robi się jeszcze zimniej na bardzo długo, nim zaczną wracać ciepło.

Na tylnym siedzeniu samochodu Cortázar złożył ręce na piersi i wyglądał ponuro przez okno. Miasto migotało, a miejscami rozwieszono plakaty z okazji jakiegoś święta. Elvi nie wiedziała, co to było. Mijane ulice były pełne ludzi chodzących po nich w grubych płaszczach. Dwóch młodzieńców biegło przez chwilę obok ich samochodu, śmiejąc się i trzymając za ręce, ale przegonił ich policjant w granatowym mundurze.

Trudno było jej pamiętać, że cała populacja – miliony ludzi – rozproszyła się na powierzchni planety, prowadząc życie w nowych środowiskach w czasie, gdy ona próbowała brnąć przez strumienie danych. Pod tym względem czuła się jak w każdym innym mieście, w którym dotąd przebywała.

– Słyszałem, jak rozmawia pani ze starszym obiektem – odezwał się Cortázar.

– Prawda? – potwierdziła Elvi. – To fantastyczne. – Obniżyła głos, wzbogaciła go o lekkie chrypienie i udawany marsjański akcent. – Myśleliśmy, że to dwie sprawy, ale to od początku była jedna i ta sama. – Cortázar nie zareagował. – Jak w Inspektorze Bilguunie? Jak on i Dorothy zawsze prowadzą osobne śledztwa i okazuje się, że są powiązane?

– Nigdy tego nie oglądałem – przyznał Cortázar. – Niepokoi mnie sposób, w jaki traktuje pani obiekty.

– Careę i Ksana?

– Traktuje ich pani, jakby byli ludźmi – wyjaśnił Cortázar. – Nie są nimi.

– Szczurami też nie. Pracowałam z gryzoniami, wyglądają zupełnie inaczej. – Znowu nie zrozumiał żartu. Albo nie uznał go za zabawny.

– To maszyny utworzone z trupów dzieci. Robią pewne rzeczy typowe dla dzieci, bo z takimi częściami miały do czynienia drony. Różnica między nimi a Erosem polega tylko na skali. Istota protomolekuły i całej powiązanej z nią technologii kieruje się tą samą logiką. Na Erosie, gdy chciała pompy, przejmowała serce. Gdy potrzebowała narzędzi do manipulowania, modyfikowała dłonie. Tutaj jest tak samo. Cara i Aleksander zginęli, a drony zrobiły coś

z martwego ciała. Kiedy rozmawia pani z tą dziewczyną, jej tam nie ma. Może coś jest na jej miejscu, zrobione z ludzkich części, tak jak ja mógłbym zmontować model katapulty z kości kurczaka. Pani je antropomorfizuje.

– Czy to problem?

– To nieprecyzyjne – wyjaśnił Cortázar. – To wszystko.

W Budynku Rządowym eskorta zaprowadziła ich do pokoju, w którym siedzieli już Trejo i Ilich. Ilich wyglądał gorzej niż zwykle, a w obecnej sytuacji to było coś. Z drugiej strony Trejo wydawał się prawie rozluźniony. Wskazał im krzesła, a Elvi i Cortázar usiedli. Ekran ścienny wyświetlał mapę układu – słońce, planety, księżycy i statki – jak wirtualny model mechaniczny. Odniosła wrażenie, że widzi dużo statków.

– Badania? – zapytał uprzejmie Trejo. – Na czym stoimy?

– Robimy postępy. Stałe postępy – odpowiedział Cortázar.

– Zgadza się pani, major Okoye?

– Znajdujemy nowe powiązania – przyznała. – Tak naprawdę, co jest kluczowe, a co tylko ciekawe, okazuje się dopiero po fakcie, ale tak. Postępy.

– Mamy nową sytuację – poinformował Trejo.

– Co się dzieje? – zainteresowała się Elvi.

Tak właśnie dowiedziała się, że podziemie rozpoczęło inwazję w pełnej skali. Trejo wprowadził ich w sytuację najszybciej, jak mógł, a potem otworzył dyskusję.

– Tym, co naprawdę mnie interesuje – odezwał się Ilich – jest to, co takiego wiedzą, czego my nie wiemy. To dlatego ich atak stanowi problem.

– Rozumiem pański niepokój – odpowiedział Trejo, unosząc dłoń, jakby mówił „proszę przestać marudzić”.

– Po pierwsze, wszyscy widzieliśmy, że *Nawałnica* rozniosła ich flotę. Wiedzą, do czego była zdolna. A potem zobaczyliśmy, jak niszczą ten niezniszczalny statek. Nie wiemy, do czego jeszcze są zdolni.

– Odczyty z Sol są spójne z wybuchem pełnego ładunku antimaterii, który został wysłany w ramach uzupełnień –

przypomniał Cortázar.

– A nic więcej nam nie ukradziono – potwierdził Trejo. – Cała wciąż istniejąca jest przechowywana na platformach konstrukcyjnych lub została wysłana do statków bombowych w innych układach. Istnieje możliwość, że coś z tego zostało przejęte przez wroga od czasu utraty *Cyklonu*, ale nie słyszeliśmy o stracie żadnej z tych jednostek.

– Zatem jeśli to nie to – rzucił Ilich – to co takiego mają w rękawie, że są gotowi rzucić trzysta...

– Czterysta – skorygował Trejo. – Przeleciały kolejne.

– Rzucić na nas czterysta statków? Bo o ile wszyscy nagle nie dorobili się myśli samobójczych, musimy założyć, że coś wiedzą.

Elvi doszła do wniosku, że zgadza się z tezą Ilicha, choć nie z jego tonem. Rozumiała także, czemu Trejo wydaje się bardziej odprężony. Po wszystkich dziwnościach obcych i intrygach politycznych miła i prosta konwencjonalna wojna była powrotem do czegoś, w czym czuł się dobrze. Ale nie ona.

– Tym ja się będę martwił – rzucił Trejo. – Skontaktowałem się już z admirał Gujarat. *Zawierucha* wciąż nie jest gotowa w stu procentach, ale nie ma oporów przed zabranie jej do walki, o ile tylko nie będzie opuszczać układu. A ja i tak nie zamierzam wyprowadzać naszego ostatniego statku klasy *Magnetar* poza wrota. Jesteśmy na to gotowi. Natomiast nie jesteśmy przygotowani na milczenie wysokiego konsula.

– Wyglądałoby dziwnie – zgodził się Cortázar.

– Prowadzenie tajnej grupy badawczej skupionej na tym, co zniszczyło Medynę, brzmi wiarygodnie – powiedział Trejo. – Nawet uspokajająco. Ale zachowanie milczenia wobec inwazji już takie nie jest. Potrzebujemy do tego jego twarzy. Nie ma innej opcji.

– Nie wiem, jak możemy to zrobić – wyznała Elvi. – Tak naprawdę nie miał żadnej chwili przytomności od czasu...

– Sfabrykujemy to – oświadczył Trejo. – Rozumiem, że to trochę poniżej waszego poziomu, ale nie zamierzam wprowadzać w tajemnicę zespołu dziennikarskiego. Zeskanujemy wysokiego konsula, wyciągniemy nagrania jego głosu i wygenerujemy

wiadomość do wroga i do imperium. Ma pani jakieś doświadczenie z obrazowaniem, prawda?

– Wpakowałam trochę zwierząt do worków próbkujących – odpowiedziała Elvi. – To nie do końca to samo.

– Możemy to zrobić – zapewnił Ilich.

– Dobrze – rzucił Trejo i wstał. Przez chwilę Elvi sądziła, że spotkanie dobiegło końca, i zebrała się, by ruszyć do drzwi. – Doktor Okoye. Nie będziemy z tym czekać. Zrobimy to od razu.

Skaner nie był szczególnie duży, ale pokoju Duartego nie projektowano z myślą o czymś takim. Kelly ubrał wysokiego konsula w jego formalny mundur i zajmował się układaniem mu włosów. Na ile Elvi to rozumiała, uważali, że jeśli zeskanują mundur z noszącym go człowiekiem, utworzenie fałszywej wersji będzie łatwiejsze.

– Zostaną ślady, które da się wykryć – zauważył Cortázar. – Zawsze coś takiego jest.

– Mamy bardzo dobre programy do obrazowania – zapewnił Trejo, próbując zamocować statyw z oświetleniem do podstawy.

– Inni też – odpowiedział Cortázar. – Nie kontestuję planu, po prostu proszę być przygotowanym na dyskredytowanie ludzi mówiących, że to podróbka.

– Już się tym zająłem – zapewnił Trejo, wstając.

Lampa przeszła przez całe widmo światła, szykując się do wychwycenia odcieni skóry i włosów Winstona Duartego. Od czasu załamania zrobił się chudszy. W jego oczach wciąż widać było inteligencję, choć nie skupienie, ale kości policzkowe zrobiły się wyraźniejsze. Elvi miała wrażenie, że dostrzega czaszkę pod skórą, a nie pamiętała, żeby wcześniej coś takiego ją nachodziło. Kelly uczesał włosy, próbując ułożyć je zapewne tak, jak robił to przed innymi oficjalnymi przemówieniami i oświadczeniami. Tylko że Duarte nie chciał siedzieć nieruchomo. Ręce miał szczuplejsze, szare i jakby przykurzone, nieustannie też nimi ruszał. Jego oczy też ciągle zmieniały położenie, jakby śledził lot motyli, których nie widział nikt inny.

– Czy można coś zrobić, żeby przez minutę siedział nieruchomo? – zapytał Trejo.

– Czasami tak robi – powiedział Kelly. – Kiedy są przy nim ludzie, robi się pobudzony. Proszę dać mu trochę czasu na uspokojenie.

Trejo mruknął coś pod nosem, ale nie zaprotestował. Elvi czekała z pozostałymi, obserwując człowieka, który choć na krótko stał się bogiem-królem galaktycznego imperium. Widziała teraz tylko zagubionego człowieka. Pamiętała bijącą z niego podczas ich pierwszego spotkania siłę osobowości. Wrażenie przebywania w obecności czegoś witalnego i nieodpartego. W kącie ułożenia jego szczęki względem szyi dostrzegła coś, co przypomniało jej o Teresie. Łatwo było zapomnieć, że byli też ludźmi. Ojcem i córką. Łączył ich taki sam kruchy związek, z jakim istoty ludzkie radziły sobie od czasu stworzenia języka. A pewnie i wcześniej.

Nie wiedząc, czemu właściwie to robi, Elvi podeszła i ujęła dłoń Duartego. Popatrzył na nią, jakby doświadczył miłej niespodzianki. Uklęknęła, uśmiechając się łagodnie, a jego spojrzenie wypłynęło spod ciemnych wód, w których krążyło do chwili, gdy ją zobaczył.

– Musimy pana tylko zeskanować – powiedziała. – To nie będzie bolało.

Jego uśmiech był łagodny i przepełniony niewypowiedzianą miłością. Łagodnie ścisnął jej palce i zabrał dłoń. Wstała i cofnęła się, zwalniając miejsce na światło i skanowanie. Duarte rozejrzał się po pokoju jak łagodny monarcha w ostatnich godzinach życia, a potem skupił uwagę na Cortázarze.

– No dobrze – powiedział Trejo. – Zróbmy to, zanim...

Duarte wstał z głową przekrzywioną na bok, jakby przypominał sobie coś na wpół zapomnianego. Zrobił krok, odchodząc od krzesła. Ilich syknął sfrustrowany.

– No dobrze – powtórzył Trejo. – Wszystko w porządku. Po prostu posadźmy go znowu i spróbujmy jeszcze raz.

Duarte podszedł i stanął przed Cortázarem. Jego uwaga wydawała się skupiona tak, jak Elvi nie widziała jeszcze od czasu upadku. Cortázar uśmiechnął się i kiwnął głową, jakby wiedział, że powinien tak postąpić. Duarte zaczął ruszać szczęką, otwierając i zamykając usta, ale jedynym dźwiękiem, jaki temu towarzyszył, było ciche „och”. Poruszył ręką w łagodnym ruchu, jakby rozwiewał dym,

a pierś Cortázara wykwitła przez plecy. Ruch był tak powolny, tak łagodny, że Elvi nie rozumiała, co widzi. Nie od razu.

Tak jakby Cortázar był obrazem wyświetlanym na mgle, którą właśnie rozwiewał wiatr. Nicość wirowała przez jego klatkę piersiową i twarz. A za nim, unosząc się w powietrzu, spirale czerwieni, różu, szarości i bieli, wyszukane i piękne jak krople tuszu wpuszczone do wody. Powietrze wypełniła woń żelaza. Krwi. Cortázar usiadł na podłodze na uginających się nogach, a potem zwalił na bok z długim, mokrym wydechem. Brakowało mu lewej połowy głowy, od szczytu do szczęki. Jego serce wciąż próbowało bić w otwartej przestrzeni żeber, ale już nie żył.

Stanęli w całkowitym bezruchu. Duarte spojrział do góry, jakby jego uwagę zwróciło coś, co wywołało uśmiech na jego ustach jak u dziecka na widok ważki, i niedbale uniósł rękę. Trejo odłożył skaner na łóżko, odwrócił się i cicho wyszedł z pokoju, ciągnąc za sobą Elvi. Ilich wyszedł za nimi, a potem Kelly, zamykając za sobą drzwi. Wszyscy zbledli. Budynek Rządowy trząsł się pod ich nogami w rytmie zgodnym z uderzeniami serca Elvi. Musiała walczyć o oddech.

– No dobrze – odezwał się Ilich. – W porządku. To się stało. To się właśnie wydarzyło.

– Major Okoye? – zwrócił się do niej Trejo. Jego zwykle ciemna twarz była jasnoszara.

– Nigdy nie widziałam niczego podobnego. Nigdy – powiedziała. – Ożeż kurwa mać.

– Zgadza się – zareagował Trejo.

– Wiedział – stwierdziła Elvi. – O to tu chodziło. Wiedział o Teresie. Powiedzieliście mu?

– O co chodzi z Teresą? – zapytał Ilich. – Co wiedział o Teresie? I jaki to ma związek z tym, co się właśnie stało?

– Nie rozpraszajmy się – rzucił oparty o ścianę Trejo. – Panie Kelly, czy może pan odprowadzić wysokiego konsula do innego pokoju do czasu, aż tam posprzątam?

Kelly popatrzył tak, jakby Trejo poprosił go właśnie o włożenie ręki do maszynki do mięsa w celu sprawdzenia, czy pracuje. Elvi

przez chwilę myślała, że odmówi, ale Lakończyków szkolono do posłuszeństwa. Kiwnął głową i odszedł sztywno.

– Możemy nagrać oświadczenie bez niego – zasugerował Trejo. – Mogę to zrobić. Jako jego... pełniący obowiązki dowódcy wojskowego. Z radością przyjmę stanowisko, dziękuję za pokładane we mnie zaufanie. Coś w tym stylu.

– Musimy go zastrzelić – oświadczył Ilich. – Czymkolwiek jest to coś? To nie jest wysoki konsul. Nie wiem, czym, u diabła, jest, ale jedyna rozsądna rzecz, jaką możemy teraz zrobić, to posłać mu kulę w mózg.

Trejo wyciągnął z kabury swój pistolet, wziął go za lufę i podsunął Ilichowi.

– Jeśli jest pan pewien, że to go zabije, to proszę bardzo.

Ilich zawahał się, a potem odwrócił wzrok. Trejo schował pistolet.

– Major Okoye.

– Wiem – powiedziała. – Kolejny najwyższy priorytet. Zaraz się tym zajmę. Ale...

– Ale?

– Wiem, że powiedziałam panu, że Cortázar dał mi pełen dostęp, ale tak naprawdę nigdy nie byłam pewna, czy to prawda.

Trejo chwilę się zastanawiał. Z drugiej strony drzwi dobiegły jakieś odgłosy, uderzenie, jakby ktoś wpadł na jakiś sprzęt i go wywrócił. Byłoby chyba nawet lepiej, gdyby to były odgłosy przemocy. Trejo wyciągnął swój ręczny terminal, wstukał kod i wybrał jakieś ustawienia, których nie widziała.

– Major Okoye, od tej chwili jest pani Paolo Cortázarem. Jeśli chce pani iść do jego mieszkania i przejrzeć bieliznę, proszę bardzo. Sprawdzić, co jadał, skontrolować dokumentację medyczną pod kątem chorób wenerycznych. Nawet przeczytać listy do choleryjnej matki, nie obchodzi mnie to. Jego życie stało się dla pani otwartą księgą. Proszę znaleźć w niej coś przydatnego.

– Zrobię, co będę mogła – zapewniła Elvi.

– Pani major? Wiem, że wcześniej była pani cywilem. Nie została pani wychowana jak pozostali, więc zamierzam to pani jednoznacznie wyjaśnić. Jeśli powie pani jeszcze jedno słowo

o poddawaniu imperium, postawię panią przed sądem wojennym, a potem rozstrzelam. Mamy wojnę, zasady się zmieniły.

– Rozumiem to – zapewniła Elvi. – Ostatnio często się to zdarza.

– Cholerna prawda – zgodził się Trejo. – Pułkownikowi Ilich, pan ze mną. Przygotujmy to oświadczenie.

Elvi wyszła z Budynku Rządowego, czując się jak w koszmarze. Nawet ostry wiatr nie wydawał się tak realny. Pomyślała, że to szok. Jest w emocjonalnym szoku. Takie coś może się zdarzyć, gdy na twoich oczach ktoś ginie.

W laboratorium doktor Ochida machnął do niej na powitanie, gdy przechodziła, i wydawał się zaniepokojony, gdy nie zareagowała. Wiedziała, że powinna się zatrzymać i z nim porozmawiać, ale nie miała pojęcia, co mogłaby powiedzieć. W prywatnym laboratorium – w jej prywatnym laboratorium – Ksan i Cara siedzieli w klatce, grając w słowną grę, którą umilali sobie czas. Urwali, gdy weszła, ale nie zapytali jej, co się stało. Co jest nie tak.

Na biurku Cortázara wciąż leżała zawinięta w brązowy papier niedojedzona połowa kanapki. Elvi wyrzuciła ją do recyklera i wywołała swoje środowisko robocze. Wszystkie raporty i strumienie danych, nad którymi przesiadywała od tygodni. Podzieliła ekran i dzięki nowym uprawnieniom wywołała pliki Cortázara. Spakowała oba zestawy do indeksów.

Jego był dłuższy o sto osiemnaście pozycji. Elvi poczuła coś w rodzaju gniewu, niepokój, ponurą przyjemność wynikającą z dowiedzenia swojej racji na temat czegoś nieprzyjemnego.

– Co za dupek – rzuciła.

Rozdział czterdziesty czwarty

Naomi

Lot był długi i bardzo męczący. Nawet przy pryczy przeciążeniowej rozkładającej nacisk równomiernie na każdy centymetr kwadratowy ciała, Naomi i tak cierpiała godzinami. Jedynym pocieszeniem były przerwy na jedzenie i ubikację, ale pilnowała, by były krótkie.

Lakonia miała nieco mniejszą heliosferę niż Sol, z dziewięcioma planetami, z których tylko jedna nadawała się do zamieszkania. Pojedynczy gazowy olbrzym otoczony przez od osiemdziesięciu do stu księżyców w zależności od tego, gdzie postawiło się granicę. Dwie duże planety w zewnętrznych rejonach i przechwycona skalista niewiele większa od Luny, na wstecznej orbicie wychodzącej wysoko powyżej i głęboko poniżej płaszczyzny ekliptyki. Pięć planet bliżej słońca, z których druga była jej celem i sercem imperium. Do tego stacja transferowa przy gazowym olbrzymie i platformy konstrukcyjne obcych na orbicie wokół zamieszkaney planety. Oto jej pole bitwy, na którym chciała rozproszyć swoje siły. Po stronie przeciwnika *Głos zawieruchy* przy samej Lakonii, *Wzbierający Szamal* z bliźniaczym okrętem oraz jeszcze cztery niszczyciele klasy *Burzy*.

Jej prycza była podczas lotu z ciągiem prawie tak izolowana, jak jej stary kontener towarowy. Czas, choć pełen bólu, miała tylko dla siebie. Studiowała mapy tak długo, aż widziała je nawet z zamkniętymi oczami.

A w głębi jej umysłu czekała Bobbie. Wspomnienia i zwyczaje dziesięcioleci spędzonych razem, na oddychaniu tym samym powietrzem, piciu tej samej wody, byciu częścią tego samego organizmu, uczyniły tę kobietę jej częścią. Siedząca w jej głowie Bobbie miała dużo do powiedzenia.

Kampania taka jak ta jest sporem. Próbujesz przekonać do czegoś przeciwnika, namówić go na coś. I tym razem, tutaj? Musisz ich nauczyć, że niebezpieczeństwo pozostawania w jednym miejscu jest większe od ryzyka rzucenia się za tobą. Żeby to zadziało, każda lekcja musi wzmacniać jedną myśl.

* * *

Niszczyciel Mammatus klasy Burzy zakończył przydział w układzie Arkadii i skierował się z powrotem do Lakonii celem pobrania uzupełnień. Przejście z Arkadii do przestrzeni wrót przebiegł standardowo, poza zwykłą już irytacją z faktu, że znowu zniszczono kolejny zestaw przekaźników.

Przejście Mammatusa do Lakonii było zupełnie inne. Gdy tylko niszczyciel wyłonił się w normalnej przestrzeni, jego czujniki zostały zalane potężną falą zagłuszania z wielu źródeł. Kilka jednostek umieszczonych tuż za wrotami uniemożliwiło im działanie pod powodzią światła i fal radiowych. Statek zresetował je w niecałe trzy sekundy, ale wtedy uderzało już w niego pięć torped, wystrzelonych z wyprzedzeniem i czekających na cel. Wycelowane na podstawie miesięcy analiz przechwyconej Burzy torpedy były skuteczne. Mammatus stracił silniki manewrowe na sterburcie wraz z sześcioma stanowiskami działek obrony punktowej. Co gorsza, zaczął tracić atmosferę.

Kontruderzenie było spóźnione i osłabione. Obrona punktowa przeciwnika zestrzeliła torpedy natychmiast po ich wystrzeleniu, a przy ograniczonej manewrowości i podatnym boku niszczyciel zdecydował się na ucieczkę. Jego lot w stronę Lakonii i perspektywy bezpieczeństwa był oczywistą, łatwą do przewidzenia strategią. Nie

będąc całkiem sprawny, nie zdołał zarejestrować pola odłamków pokrytych kompozytem maskującym do chwili, gdy uranowe mikrometeority uderzyły w jego już osłabiony kadłub i zdarły część pancerza. Silnik manewrowy odpalił w niewłaściwej chwili, gdy sieć zasilania próbowała skompensować, co wywołało niekontrolowane obroty niszczyciela. I pomimo tego wszystkiego potrzeba było jeszcze pięciu torped i ciągłego strumienia ognia z działek, żeby go zniszczyć. Mammatus dobrze walczył i zginął brzydko, ale zginął. Wszyscy w układzie widzieli jego ostatnią godzinę, nawet jeśli opóźnienie światła oznaczało, że nie byli w stanie nic z tym zrobić.

Lekcja pierwsza: nie możecie liczyć na posiłki.

* * *

Dni lotu z dużym ciężeniem ciągnęły się w nieskończoność. Naomi spała, gdy mogła, a gdy było to niemożliwe, studiowała ruchy przeciwnika i raporty swojej floty. Kolana bolały ją od lekkiego odginania do tyłu przez przyśpieszenie. Nie cały czas lecieli w tę samą stronę. Aleks dwukrotnie zmieniał kurs. Nie były to pełne zwroty i ciągi, ale zmiany wektorów, które sprowadzały ich bliżej gazowego olbrzyma. Lakońskie niszczyciele w układzie zaczęły lecieć ze zbieżnym kursem, a trzy pancerniki klasy *Donnagera* pod rozkazami Naomi – *Carcassonne*, *Armstrong* i *Bellerofon* – zmieniły pozycje, jakby szykowały się do starcia tuż przy tamtejszej stacji transferowej. A potem wszyscy się rozproszyli, zmieniając kurs, gdy kilkanaście mniejszych jednostek zanurkowało ku słońcu, w stronę planet wewnętrznych. Zdolna do zniszczenia ich wszystkich *Zawierucha* pozostała na miejscu, zostawiając pościg niszczycielom.

Spodziewała się, że okręty ściągną na siebie lakońskie siły, ale tak się nie stało. Niszczyciele dalej podążały za jej grupą bojową, zmuszając ich do długiej ucieczki powyżej ekliptyki. Wtedy niszczyciele szybko zawróciły, nie wykraczając poza orbitę gazowego olbrzyma. Nie takiego rozłożenia sił chciała, ale też mogło być. Będzie musiało wystarczyć.

Kiedy ciąg osłabł, poczekała dłuższą chwilę, zanim się odpięła, po prostu żeby nacieszyć się fizyczną ulgą łagodnego pół g. Kiedy szła korytarzem do kambuza, jej nogi drżały i bolała ją szyja.

Pozostali – jej załoga – już tam byli, pochłaniając miski z makaronem i grzybami, rozmawiając i śmiejąc się. Spowaźnieli, gdy weszła. Była dorosłym, dowódczynią. Jej stanowisko było ważniejsze od niej.

Nie miała nic przeciw temu.

Aleksa znalazła w ładowni, gdzie otwierał panel dostępu. Wyglądał, jakby nie brał prysznicza od wielu dni. I pewnie tak było.

– Jakiś problem? – zapytała.

– Nie, wszystko w porządku. Po prostu na wejściu do tego silnika manewrowego dostaję trochę mniejsze ciśnienie wody, niżbym chciał. Pomyślałem, że spróbuję to obejrzeć, jeśli będę miał okazję.

– Dobre myślenie.

– Miałem nadzieję, że do tego czasu będziemy już w pobliżu planet wewnętrznych.

– To wczesne dni – odpowiedziała. – Wciąż jest czas.

* * *

Bhikaji Cama leciał wolno przez pustkę, wyraźnie z tyłu za innymi statkami. Ładownię miał otwartą na próżnię.

Dwie grupy statków, jedna składająca się z ośmiu jednostek, druga z czternastu, wystrzeliły torpedy dalekiego zasięgu w stację transferową. Pociski leciały z dużym ciągiem, a potem przeszły na lot balistyczny. Przez mrok mknęło nieco mniej niż trzysta głowic bojowych, wszystkie wymierzone w stację transferową z czasami dobranymi tak, by dotrzeć w odstępie paru sekund.

I oczywiście wszystkie przechwycono. Większość została zniszczona przez działka obrony punktowej stacji, ale kilka padło celem przeciwrakiet dalekiego zasięgu wystrzelonych przez Zawieruchę. Statek nie użył swojego projektora pola i nie mógł tego zrobić. Pomimo mocy broni jej zasięg był ograniczony, a kiedy ostatnio

odpalono ją w zwykłej przestrzeni, cały układ Sol utracił świadomość na trzy minuty. Lakończycy nie chcieli ryzykować obrony na ślepo.

Kiedy zniszczono ostatnie salwy torped, grupy uderzeniowe, z których je wysłano, zawróciły, lecąc do Camy. Tam załogi włożyły mechaniczne skafandry i mechy, skierowały się do przestronnych trzewi statku i wyleciały z nowymi torpedami, wodą i pociskami do działek.

Półtora tygodnia po rozpoczęciu kampanii, w terminie określonym przez Naomi, przez wrota przeleciał Verity Close – jednostka bliźniacza do Bhikaji Cama – kierując się ku przeciwległej stronie układu, gdzie też otworzył ładownie.

Lekcja numer dwa: mamy tysiąc trzysta układów, które zapewnią nam zaopatrzenie. Wy macie jeden.

* * *

– Lecą za *Burzą* – oświadczyła Naomi. – Musicie się oddzielić.

Jillian Houston skrzywiła się na ekranie.

– Kiedy przyjdzie czas i odciągniesz tego cholernego drania od Lakonii, wciąż będziesz miała do czynienia z systemem obrony planety, który będzie próbował cię zestrzelić. Przynajmniej. Potrzebujesz mnie do osłony.

– Jeśli będziesz z grupą uderzeniową, *Zawierucha* się nie ruszy. Nie drgnie. Nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż tobie, ale twój statek kiedyś należał do nich. Wiedzą, że jest najlepszy w naszej flocie. Nie spuszczą go z oka. Uważają cię za największe zagrożenie i mają rację.

Młodsza kobieta uśmiechnęła się wbrew sobie.

– Co do tego się nie mylą.

– Zmieniam twoje rozkazy. Będziesz towarzyszyć *Armstrongowi*. Kiedy przyjdzie czas...

– Będę elementem przynęty – dokończyła Jillian. – Nie podoba mi się to.

– To ryzyko, ale warto spróbować.

– Zrozumiano – rzuciła Jillian i zakończyła połączenie.

Naomi przeciągnęła się i sprawdziła swój system. Jeszcze osiem minut do następnego ciągu. Spróbowała zdecydować, czy chciała iść się umyć, czy napić herbaty. Jeśli szybko się nie zdecyduje, nie będzie miała czasu ani na jedno, ani na drugie.

A może uda się jej zrobić oba.

– Aleks. Opóźnij ciąg o pół godziny. Muszę coś zrobić.

– Jasne – rzucił.

Naomi skierowała się do swojej kabiny z prywatnym prysznicem, mając przed oczami mapę układu. Po zwolnieniu *Burzy* mogła przekierować *Carcassonne* i koło pięćdziesięciu mniejszych statków w stronę stacji transferowej. *Ros*, *Quinn*, *Kasjusz* oraz *Księżę Twarzy* będą stanowić pomniejsze zagrożenie i mogą udać się w stronę słońca, używając najbardziej wewnętrznej planety do asysty grawitacyjnej.

Na swój sposób cały proces przypominał grę w golgo. Ocena rzutu, sposób, w jaki kula odbije się i wykręci po zetknięciu z innymi kulami, jak zareaguje na to kolejny gracz. W jaki sposób każda decyzja zmieni stan stołu. Odezwała się Bobbie żyjąca w głębi jej głowy. „Wyzwanie dla intelektu, techniki i umiejętności”.

Naomi dostrzegała, jak łatwo zapomnieć, że stawką było ludzkie życie.

* * *

Kiedy stolica Lakonii została otoczona – przez statki podległe podziemi i Związkowi Transportowemu rozproszone w całym układzie – zaczęło się bombardowanie. Stacja transferowa została zapomniana. Już nie tylko pociski dalekiego zasięgu, ale i kamienie. Tanie i zabójcze. Każdy statek wysyłał rakiety, przyspieszone pręty tytanowe i ładownie pełne żwiru na przecinające się orbity. Niektóre leciały szybko, innym dotarcie na Lakonię zajmie miesiące, co samo w sobie było wiadomością, na jak długą walkę przygotowany jest ruch oporu. Nic nie było wycelowane w główne ośrodki ludności, ale

Lakonia nie mogła tego wiedzieć z całą pewnością. Żeby czuć się bezpiecznie, musieli się bronić przed wszystkim.

Ostrzał był kontynuowany, dzień za dniem. Przechwycenia wymagał każdy kamień, zestrzelenia każda torpeda. Nieustanny deszcz zagrożeń, męczących ich godzina za godziną za niekończącą się godziną. To była trzecia lekcja: postawa defensywna oznaczała nieustanne przygniatanie. Któregoś dnia coś się przedostanie.

Zawierucha pozostała na miejscu, broniąc studni grawitacyjnej nad Lakonią, ale niszczyciele oddalały się coraz bardziej. Gdy wróg za bardzo się zbliżał, flota Naomi rozpraszała się jak dzieci uciekające przed policją. Nie wszystkim udawało się zbiec. Tucumcari, skoczek skalny przerobiony do walki z piratami w Arkadii, oberwał torpedą w dyszę silnika i zginął w kuli ognia. Nang Kwak, należący do prywatnej firmy ochroniarskiej niewykrywalny statek sprzed dwóch generacji, nie zdążył zejść z linii ognia działek obrony punktowej. Uszkodzony próbował się poddać, ale Lakończycy woleli go zniszczyć. Były też inne. Niewiele, ale każdy z nich to jeden za dużo. Naomi zaś nie korzystała z żadnej okazji uderzenia na przeciwnika, wywabiania ich pojedynczo lub po dwóch. Była to podstawowa zasada, którą wpoila wszystkim statkom w całym układzie. Każdy lakoński okręt wojskowy oddalający się na polowanie za nimi wracał do domu nieuszkodzony.

Ponieważ to właśnie była ostatnia lekcja, której uczyła wroga: możesz nas bezpiecznie gonić. Tak właśnie wygrasz.

Co było kłamstwem.

* * *

Pierwszym znakiem świeżego sera w pułapce na myszy była zmiana sygnatury silnika *Bellerofona*. Pancernik klasy *Donnagera* oddalał się od Lakonii, kierując się z grubsza w stronę *Verity Close*. Nawet z odległości połowy układu jego smuga z dyszy powinna być widoczna dla nieuzbrojonego oka jako słaba, ale ruchoma gwiazda.

A potem na moment zgasła.

Ros i jego trzy jednostki eskorty leciały balistycznie, przemykając po drugiej stronie słońca względem Lakonii. Poprowadziła ich na tyle blisko korony, że nawet pompowanie wody na powłokę statków, by jej parowanie obniżało temperaturę, w środku robiło się prawie nie do zniesienia. Nawet kiedy temperatura mieściła się w granicach słupków błędów dla normalnego stosowania, i tak spiekała żywice i ceramikę. Powietrze pachniało inaczej, a Naomi i reszta załogi czuli się z tym nerwowo i niepewnie. Jednakże z lakońskimi okrętami walczącymi blisko planety byli niewidoczni. Schowani.

Kiedy silnik *Bellerofona* znowu się rozjarzył, świecił brudno. Pół minuty później znowu zgasł. *Bellerofon* zawołał o pomoc, jak drapieźnik na szczycie piramidy wabi pomniejszych myśliwych, wydając dźwięk zranionej zdobyczy. I flota Naomi odpowiedziała. *Burza*, *Armstrong*, *Carcassonne* i prawie jedna czwarta pozostałych okrętów zaczęły lecieć kursami prowadzącymi do *Bellerofona*. *Bellerofon* nie był nawet w połowie drogi do *Verity Close*, ale opóźnienie światła od niego do Lakonii wynosiło już ponad siedemdziesiąt minut.

Niesprawny okręt mógł zainteresować Duarte'go i jego admirałów. Idąca mu na pomoc flota eskortowa wyglądała na coś więcej. Wyglądała na błąd. I okazję.

- No dalej – rzuciła Naomi.
- Mam ruszać? – zapytał Aleks.
- Daj nam pół g – poleciała.

Nawet jeśli to się nie uda, będą musieli wkrótce stąd uciekać. Obsługujący łączność Ian przekazał wiadomość do pozostałych statków i *Ros* łagodnie wgniół ją w fotel.

Dwie godziny później *Zawierucha* ruszyła, startując z dużym ciągiem w stronę *Bellerofona* i zbierającej się eskorty. Dla każdego, kto widział, jak *Nawałnica* niszczyła połączone floty w układzie Sol, obraz nieodparcie kojarzył się z rekinem sunącym w stronę plaży pełnej dzieci.

Trzy godziny później kilka grup bojowych po drugiej stronie heliosfery zaczęło lecieć z dużym ciągiem w stronę Lakonii,

a niszczyciele ustawiły się na kursach przechwytyjących, gotowe do zdobycia swojego kawałka sławy.

Na długo przed każdą bitwą przychodziła chwila, która była jej oknem. Nie chodziło tylko o czas, jakiego *Zawierucha* będzie potrzebować na powrót, ale ile czasu będzie musiała hamować, nim w ogóle zacznie znowu zmniejszać odległość od Lakonii. To samo dotyczyło niszczycieli. Przedział czasu definiowany masą, inercją, ciągiem i kruchością ludzkich ciał. Czas, którego potrzebowałyby nawet torpedy dalekiego zasięgu na dotarcie do nich. Naomi wszystko przeliczyła i dowiedziała się, kiedy zobaczą jej małą grupę nurkującą od strony słońca. I że będzie już za późno.

– Aleks?

– Gotowy na rozkaz – odpowiedział.

– Lećmy.

Ciąg był bolesny i trwał godzinami. Odległość od słońca do Lakonii wynosiła nieco poniżej jednostki astronomicznej. Gdyby całą drogę przyspieszali, przemknęliby koło planety za szybko, by ją zobaczyć. Zwrot nastąpił w połowie drogi i ciąg hamowania był równie nieprzyjemny. Nawet gorszy, bo teraz zobaczyły ich planetarne systemy obronne. W ich stronę pomknęły torpedy, ginąc w skoordynowanym ostrzale działek obrony punktowej czterech statków.

Sama planeta była piękna. Niebieska i biała jak Ziemia, z zielonkawym, prawie perłowym odcieniem na brzegach. Naomi widziała chmury. Cyklon zbierający się na południowej półkuli. Poszarpane, czarno-zielone zarysy linii brzegu zarośniętego lasami. Walczyła, by utrzymać ostrość obrazu. Siła ciągu zniekształcała jej oczy.

ZAWIERUCHA ZAWRÓCIŁA. ZACZEŁA HAMOWANIE. WYPUSZCZA DALEKI ZASIĘG.

Wiadomość wysłał technik obsługujący czujniki, jeden z nowych. I tak sprawdziła dane i wszystko się zgadzało. Jeśli nie uda im się teraz, drugiej szansy nie będzie. Mieli tylko jeden strzał. Bolącymi palcami wystukała wiadomość do cierpiącego na sąsiedniej pryczy Iana. **WYŚLIJ ROZKAZ EWAKUACJI. WSZYSCY UCIEKAJĄ DO WRÓT.**

Usłyszała jego stęknienie i uznała je za potwierdzenie.

Aleks krzyknął głosem zdławionym przez wysiłek i miażdżące ich ciężenie.

– Ogień z dział szynowych. Przygotować się. Na. Uniki.

Ros szarpnął, skoczył. Z tej odległości wciąż dało się zejść z linii strzału dział szynowych. Im bliżej się znajdą, tym będzie to trudniejsze. Wywołała systemy celownicze i wokół pięknej niebiesko-zielonej kuli pojawiło się pięć czerwonych kresek, powyginanych jak gałęzie drzewa. Platformy. Cele.

SKUPIĆ CAŁY OGIENŃ NA PLATFORMACH, napisała. STRZELAĆ BEZ ROZKAZU.

Było jeszcze za wcześnie, ale tylko trochę. I zawsze mógł się przydarzyć szczęśliwy strzał. Każda sekunda spędzana przez nich w łuku ognia Lakonii była kolejną szansą na śmierć. Co gorsza, kolejną szansą na porażkę.

LECA TORPEDY Z ZAWIERUCHY. DOTRĄ ZA 140 MINUT. Naomi skasowała wiadomość. Do tego czasu będzie po wszystkim.

– Wyłącz hamowanie! – krzyknęła. – Już.

Ros zawisł w nieważkości i błyskawicznie obrócił się o 180 stopni, gotowy znowu przyspieszać. Gotowy uciekać natychmiast po zniszczeniu przeciwnika. Będą mieli tylko jedno podejście do planety, jeśli nie trafią, przegrają.

Statkiem szarpnęło, gdy Aleks zabrał ich z trasy kolejnego pocisku z dział szynowego. Przez konstrukcję *Rosa* przebiegało drżenie działek obrony punktowej, jakby statek pomrukiwał do siebie gniewnie. Naomi bolała szczęką zaciskana z napięcia, lęku i radości. Małe, powyginane czerwone linie zrobiły się trochę większe.

– Kapitanie? – odezwał się Ian. – Mam coś.

– To wcale nie brzmi pomocnie – ostro rzuciła Naomi. – Co tam masz?

– Nie jestem pewien – odpowiedział chłopak i przesłał sterowanie łącznością na jej monitor.

Zobaczyła wiadomość nadawaną z powierzchni Lakonii, szyfrowaną nieaktualnym kodem podziemia. Prośba o ewakuację.

Podpisana przez Amosa.

– Aleks? – powiedziała, a statek skoczył znowu, rzucając ją najpierw w lewo, a potem w prawo, z pryczą przeciążeniową skrzypiącą jak fotelik w kolejce w parku rozrywki. – Aleks?

– Widzę! – odkrzyknął. Brakowało mu tchu. – Co robimy?

Rozdział czterdziesty piąty

Teresa

Mammatus zginął po przelocie przez wrota Lakonii, rozstrzelany przez wrogie jednostki dwa dni przed jej urodzinami. Obchody urządzono w jednej z mniejszych sal balowych, z takimi samymi gustownymi i nienarzucającymi się dekoracjami, jak zawsze. Jedwabne chorągwie z promiennymi zdobieniami, szklane świece ulubione przez nią, gdy miała osiem lat, i używane zawsze od tamtej pory, kwiaty hodowane w uprawach hydroponicznych miasta.

Z ukrytych głośników dolatywała cicha muzyka, wyłącznie skomponowana i wykonywana przez artystów mieszkających na Lakonii. Połowę gości stanowili politycy i osoby ze świata kultury – dorośli, którzy przyszli, by móc się pochwalić, że tam byli, i przekonać się, kto jest dobrze widziany. Drugą połowę stanowili uczniowie z jej klasy oraz ich rodziny. Wszyscy ubrani w sztywne formalne granaty, tak jak ona. Nikt nie wyglądał na zadowolonego z bycia tutaj. I dobrze. Dla nich było to jak przyjście do szkoły na dodatkową lekcję. Byli dla niej mili, musieli.

Poczucie wymuszonej przyjemności prawie ją uszczęśliwiało. Wszyscy dorośli przybrali maski z uśmiechami. Gratulowali jej wylewnie, jakby fakt, że nie umarła przez piętnaście lat z rzędu, był osiągnięciem, z którego powinna być dumna. Jednakże choć udawali, że robi na nich wrażenie jej dojrzałość i opanowanie, ciągle nerwowo rozglądali się po sali, próbując znaleźć jej ojca. Musiała odgrywać swoją rolę, ale przynajmniej oni też. Nikt nie rozmawiał

o inwazji, nawet Carrie Fisk ubrana w kremową suknię i z przyklejonym na twarzy uśmiechem, choć wyglądała, jakby chciała stąd uciec. Nie było Caminy Drummer i Teresa zastanawiała się, co się z nią stało. Albo straciła kontrolę nad Związkiem Transportowym i nie była już nikim, albo brała udział w planowaniu inwazji, a w takim wypadku miałyby szczęście, gdyby nie znajdowała się jeszcze w Stodole.

Teresy to nie obchodziło, miała własne problemy.

Do podania kolacji zostało jeszcze trzydzieści minut, gdy Ilich zaprowadził ją do podwyższenia w głębi sali. Zebrani ucichli bez potrzeby anonsowania. Jakby zostali przeszkoleni. Ona też została, wiedziała, co ma robić.

– Chciałabym podziękować wam wszystkim za przyście tu dzisiaj – skłamała. – Jestem zaszczycona, mogąc przebywać w waszym towarzystwie, i dziękuję za wszystkie lata przeżyte z wami. Jak wiecie, moja mama zmarła, gdy byłam bardzo mała, a mój ojciec dźwiga własne ciężary. Nie może dziś do nas dołączyć, ponieważ obowiązki nie pozwalają mu nawet na tak proste i szczerze rozrywki jak to spotkanie.

A na dodatek oszalał. Odleciał w inny świat i już go nie zobaczycie, ale tylko ja o tym wiem, biedne sukinsyny, dodała w myślach.

Uśmiechnęła się szeroko w odpowiedzi na umiarkowane oklaski, a potem odczuła głęboką satysfakcję z perwersyjności tej sytuacji.

Zauważyła stojącą w głębi sali Elvi Okoye. Żółta sukienka, z mężem przy boku. W zaciśniętej dłoni trzymała kieliszek wina, jakby próbowała mu urwać nóżkę. Ona też wiedziała.

– Kiedy dorastałam, wszyscy byliście dla mnie rodziną – powiedziała Teresa. Słowa Ilicha nie brzmiały jak coś, co sama by powiedziała, ale nikt nie znał jej na tyle dobrze, by to zauważyć. – Jestem zaszczycona. I wdzięczna. – Kolejna runda braw, a Teresa skłoniła głowę, jakby faktycznie była wdzięczna. Jakby naprawdę ją obchodziło, czy wrogie okręty lecące od strony skraju układu zmienią wszystkich w proch.

„Jesteś jedną z najbardziej gniewnych osób, jakie znam”. Owinęła się tymi słowami jak szalem, uśmiechnęła i kilka razy skłoniła głowę, jakby wcale nie był to wyraz pogardy.

– Proszę, bawcie się tego wieczoru jako goście moi i ojca – dokończyła i zeszła z podium.

Goście zwrócili się z powrotem do siebie, przytłoczeni, nerwowi i myślący nie tyle o niej, ile o powrocie *Zwiastuna burzy* i jego pirackiej floty. Wspominając nie tyle dzieciństwo Teresy Duarte, ile gwałtowną śmierć *Serca nawałnicy*.

Teresa przeszła przez salę balową, unikając Ilicha, Connora i Muriel. Odnalazła Elvi i jej męża niedaleko miejsca, gdzie widziała ich z podium. Z oddali Elvi wyglądała na zestresowaną, ale z bliska na złą.

– Wszystko w porządku? – zapytała Teresa.

Elvi się otrząsnęła, głosem Teresy wyrwana z miejsca, w którym pograżyły się jej myśli. Przez chwilę się nie odzywała, a kiedy to zrobiła, nie brzmiała przekonywająco.

– Tak, dobrze. Wszystko w porządku.

– Cóż – rzuciła Teresa. – Z wyjątkiem.

Elvi kiwnęła głową, poruszając przy tym klatką piersiową, przez co ruch wyglądał nie tyle na potwierdzenie, ile na przygotowanie do przemocy.

– Tak. Z wyjątkiem – zgodziła się.

Zabrział gong, wzywając ich do jadalni, jak najbardziej uprzywilejowane by było w kosmosie. Kiedy ruszyli, Teresa została przy boku Elvi. Jej mąż korzystał z laski i krzywił się, idąc. Nie szkodzi. Teresa wolała iść powoli.

– Zastanawiałam się, doktor Okoye – odezwała się. – *Jastrząb*.

Elvi znowu zareagowała dopiero po chwili.

– Co z nim?

– Zastanawiałam się, jak przebiegają naprawy. Przy tym wszystkim, co się dzieje... No wie pani, zbudowano go z myślą o długich lotach z wysokim ciągiem. Ma prycze przeciążeniowe z płynem oddechowym.

Elvi zadygotała.

– Są bardzo nieprzyjemne – rzucił jej mąż.

– Mimo wszystko. Gdyby walkę prowadzono bliżej? Czy mogłaby go pani użyć, żeby się stąd wydostać?

Elvi wymieniła z mężem spojrzenie, którego Teresa nie była w stanie zinterpretować. Jakby odbywała się tu jeszcze jedna rozmowa, której nie słyszała.

– Niestety – odpowiedziała Elvi – *Jastrząb* został bardzo, bardzo mocno uszkodzony.

– Ja mam nową stopę, włącznie z paznokciami – wtrącił się jej mąż – ale statek wciąż jest w kawałkach.

– Naprawdę nie sędzę, żeby miało dojść do ewakuacji – dodała Elvi. – Żaden z tych statków nawet się nie zbliżył do planety. Admirał Trejo użyje wszystkiego, czym dysponuje, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo.

– Może w takim razie powinna pani przyśpieszyć naprawy – zasugerowała Teresa. Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzała, ale Elvi się roześmiała. Ciekawe.

– Może powinnam – zgodziła się, a potem znaleźli się w jadalni i Teresa została odprowadzona do wydzielonego stołu z Ilichem i kilkoma gośćmi o statusie dużo wyższym od Elvi Okoye.

Posiłek minął szybko. Świeży makaron. Ogony homarów pochodzące z prawdziwych homarów. Delikatnie marmurkowy stek wyhodowany z najlepszych próbek. Stoły przystrojono lakońskimi kwiatami pachnącymi mięta, żelazem i żywicą. Nikt nie pytał o doktora Cortázara. Teresa przyjęła już do wiadomości, że to jedna z niepisanych zasad. Gdy ktoś znika, nie pytasz o powody. Zastanawiała się, czy ktoś o niej wspomni, kiedy odejdzie. Zakładając, że znajdzie jakiś sposób.

Spojrzała na stół, przy którym siedziała Elvi Okoye. Jej mąż opowiadał jakąś historię, przesadnie ruszając rękami ku uciesze towarzystwa. Doktor pogrzyła się w myślach. Teresa była ciekawa, czy kłamali na temat *Jastrzębia*. Nie była pewna, ale też nie bardzo wiedziała, jak to sprawdzić.

Z żalem zrezygnowała z planu skłonienia ich do ucieczki i zabrania jej ze sobą. Będzie musiała wymyślić coś innego.

* * *

Mijały dni. Tygodnie. Inwazja okazała się trudniejsza do powstrzymania, niż się spodziewano. Wiadomości państwowe nieustannie prezentowały zdarzenia w przesadnie optymistycznym świetle, traktując zagrożenie bardziej jako niewygodę ze strony niezadowolonych durniów niż faktyczną groźbę dla imperium. Wciąż miała udzielony jej przez ojca dostęp do tajnych raportów wysokiego poziomu i odpraw, ale nawet gdyby nie to, i tak wiedziała, że wciska im się kit.

Ignorowała teraz całą naukę poza zajęciami grupowymi. Ilicha widywała tylko podczas posiłków. Nie powtórzył groźby karmienia jej siłą, ale też nie musiał. Teraz rozumiała warunki ich relacji. Ponieważ stracił kontrolę nad tyloma sprawami, kompensował sobie to, kontrolując ją. Nie mogła z tym nic zrobić.

– Tym razem popełnili błąd – powiedział Ilich. – Spanikowali. Ten ich wielki statek stracił część butelki magnetycznej i wszyscy poleciecieli, żeby go bronić.

– To nie wydaje się złym pomysłem – skomentowała Teresa, zmuszając się do przełknięcia kolejnej łyżki zupy kukurydzianej. Powinna dobrze smakować, ale wydawała się trochę oślizła, a na dodatek była za słodka. Przełknęła.

Siedzieli na zadaszonym dziedzińcu otoczonym ścianami porośniętymi bluszczem i ze sztucznym światłem udającym słońce. Tak naprawdę na zewnątrz szalała burza śnieżna, a ogrody były zasypane śniegiem do kostek. Piżmak ganiała w nim z szerokim psim uśmiechem, zbierając na futrze małe kulki lodu. Ilich nie pozwolił jej wejść z nimi, bo śmierdziała mokrym psem.

– Nie byłoby, gdyby mogli faktycznie zorganizować skuteczną obronę. Przetrwali tak długo tylko dlatego, że ciągle uciekali. W każdej chwili mogliśmy ich zniszczyć, ale Trejo czekał.

– Na co?

– Właśnie na coś takiego – rzucił Ilich. Naprawdę lubił brzmienie swojego głosu. Spokojny, cierpliwy instruktor objaśniający małej

głupiej dziewczynce, jak naprawdę działa świat. Przez tyle lat wydawało jej się to dobrocią, teraz pachniało pogardą. – Marsjańskie pancerniki stanowią rdzeń ich prowizorycznej floty, którego nie mają czym zastąpić. A kiedy ma się coś tak ważnego, naturalnym odruchem jest próba ochrony tego. Jednakże to reakcja emocjonalna, nie taktyczna, i dlatego za nią zapłacą.

Mówił dokładnie to samo przy śniadaniu – jajka, słodki ryż z rybą, szpinak z migdałami – a teraz pozwalała mu się powtarzać. Żadne jego słowa nie miały już dla niej znaczenia.

– *Zawierucha* przeleci przez nich, jakby w ogóle ich tam nie było. Potem dojdzie jeszcze sprzątanie, nie zniszczymy wszystkich. Ale ich główne jednostki? Odciągają do tego nawet *Burzę*. To będzie rzeź, a...

Zabrzączał jego ręczny terminal. Ilich skrzywił się, ale odebrał połączenie. Teresa odłożyła łyżkę i napiła się wody. Wyraźnie usłyszała pełen napięcia głos Trejo.

– Chciałbym zamówić z panem dwa słowa w centrum taktycznym, pułkowniku.

Ilich nic nie powiedział, tylko kiwnął głową, wstał i wyszedł. Zupełnie zapomniał o Teresie, co jej odpowiadało. Kiedy zniknął za rogiem, wstała i otworzyła drzwi dla Piżmak. Suka wbiegła do środka, posapując. Teresa wyciągnęła swój terminal ręczny i wywołała raporty taktyczne.

Na chwilę ogarnął ją smutek. Czasami nachodziły ją takie chwile. Wspomnienie ojca mówiącego, że może zostać przywódczynią, której będą potrzebować, że chce ją przeszkolić we wszystkim, co wie, tak na wszelki wypadek. Była wtedy inną dziewczyną, on był innym człowiekiem. Brakowało jej obojga. Na szczęście ból szybko minął i niczego nie straciła, odpuszczając go. Zawsze wracał.

Raporty taktyczne były dziwne i potrzebowała chwili na zrozumienie, z czym ma do czynienia. Uszkodzony pancernik został cudownie naprawiony, a flota wrogich okrętów uciekała, choć nie na drugi koniec układu. Lecieli do wrót. A przynajmniej większość. Prawie wszystkie, oprócz czterech. A te leciały prosto na Lakonię. Co było samobójstwem. Cztery statki naprzeciw *Zawieruchy*. Chyba że mają jakąś tajną broń, jak w układzie Sol...

Ale nie, *Zawierucha* nie mogła ich powstrzymać. Poleciała już za daleko i nawet z ciągiem hamującym jej wektor był wciąż zbyt odległy od planety. Walczyła z własną masą i pędem jak pływak zmagający się z falą odpływu. Niszczyciele były w podobnej sytuacji. Zostali wyprowadzeni w pole, odciągnięci, zostawiając do ochrony tylko planetarną siatkę obrony.

Która zapewne mogła sobie poradzić, bo cztery statki to niezbyt wiele. Choć mogły narobić trochę szkód. A cel był tylko jeden. Siedziała w nim.

Poczuła, że powinna się bać, ale nie czuła strachu. Odłożyła terminal, podrapała Piżmak za uchem i zamyśliła się. Nie miała nawet wrazenia, że rozwiązuje problem, bardziej, że próbuje sobie przypomnieć coś, co już wiedziała. Wywołała mapę układu i zamieściła na niej wrogie statki z czasami przelotu. Dużo będzie zależało od tego, jak będą hamować, ale Ilich nauczył jej dość o taktyce bitew, by mogła zgadywać na bazie faktów. Przygotować plan. Gdyby ściągnęła wroga na dół, zabiliby ją lub wzięli jako zakładniczkę. Potrzebowała czegoś, czym mogłaby zapłacić za przelot. Nie wiedziała, co by to miało być.

A potem zrozumiała.

Piżmak popatrzyła na nią w górę, gdy się roześmiała. Uderzenia psiego ogona o ziemię brzmiały kojąco. Nie zastanawiając się, Teresa nabrała kolejną łyżkę zupy, wsadzając ją sobie do ust, potem skrzywiła się i posoliła zupę.

Następna porcja była smaczniejsza.

* * *

Dostępny czas nie był dobry, ale mogło być gorzej. Wyszła przez okno, jakby znowu wymykała się na spotkanie z Timothyem. Uczucie było znajome, komfortowe. Wiedziała, że to ostatni raz, gdy widzi swój pokój i swoje rzeczy. Ostatni raz, gdy spała w łóżku należącym do niej od dzieciństwa. Jednakże ojciec nie żył od miesięcy i okazało się, że ukończyła już swoją żałobę.

Piżmak zaskomlała, gdy Teresa wychodziła przez okno, przestępując z łapy na łapę.

– Tym razem nie możesz lecieć – oświadczyła Teresa. – Przykro mi.

Psica zaskomlała, unosząc siwe brwi, i z nadzieją zamachała ogonem. Teresa wychyliła się z powrotem i ostatni raz uścisnęła towarzyszkę. A potem wyskoczyła przez okno, zanim straci determinację.

Pierwszym krokiem – właściwie najtrudniejszym – było dostanie się do celi. Była noc. Wciąż padał śnieg, niezbyt mocno, ale jego warstwa sięgała jej powyżej łydek. Wydostanie się nie będzie problemem.

Cel pilnowało dwoje gwardzistów. Stanęli na baczność, gdy weszła do pokoju.

– Chcę rozmawiać z więźniem – oświadczyła.

Popatrzyli po sobie.

– Nie jestem pewien... – zaczął mężczyzna.

Teresa sapnęła niecierpliwie.

– Trejo już wcześniej kazał mi z nim rozmawiać. To dotyczy ataku, nie mamy czasu.

Strach załatwił sprawę. Poczucie wroga prawie u bram i ulga z faktu, że ktoś pewny siebie i z władzą zajmował się tą sprawą. Nawet jeśli głos autorytetu miał ledwie piętnaście lat. Zaprowadzili ją do celi. Czowała się rozdygotana z podniecenia. Jakby była jedną z tych kobiet z filmów przygodowych, tylko tym razem wszystko działało się na prawdę. Robiła to.

Holden usiadł, mrugając w nagłym świetle. Jego włosy sterczały pod dziwnymi kątami, a na twarzy rysowały się różowe odgniecenia od poduszki. Teresa zwróciła się do gwardzisty.

– Zostań tu – poleciła. – Masz coś do kontrolowania go? – zapytała. – Pałkę elektryczną?

– Tak – potwierdziła kobieta.

Teresa wyciągnęła rękę, a kobieta wyjęła czarną, lśniącą broń z paskiem rzepowym na całej długości. Wyglądała jak kolba

przypalonej kukurydzy. Gwardzistka pokazała Teresie, gdzie znajduje się bezpiecznik, i jak aktywować broń.

– To naprawdę nie będzie potrzebne – odezwał się Holden. – Cokolwiek się dzieje? Nie będę walczył, to nie będzie potrzebne.

– Ja o tym zdecyduję – rzuciła Teresa. Gestem wyprosiła gwardzistkę. Zostali we troje: Teresa, Holden i gwardzista. To była ostatnia chwila na wycofanie się. Wciąż mogła zmienić zdanie.

Odblokowała bezpiecznik.

Holden drgnął, szykując się na ból i wstrząs, a dziewczyna przycisnęła broń do brzucha gwardzisty i nacisnęła spust. Padł gwałtownie, nawet nie próbując wyhamować impetu.

– No dobrze – powiedział Holden po długiej chwili oszołomienia. – To było dziwne.

– Nie mamy dużo czasu. Chodź ze mną.

– Uch... nie? To znaczy... chyba będę potrzebował trochę więcej wyjaśnień na temat tego, co... ach...

Teresa poczuła wybuch złości, ale nie miała na nią czasu. Zaczęła ściągać mundur z gwardzisty, rozpinając suwaki i guziki, ciągnąc za rękawy.

– Twoi ludzie tu lecą. Twój stary statek. Cała inwazja była podstępem, żeby pozwolić im tu przylecieć.

– Jest jakaś inwazja? – zapytał Holden. – Niewiele mi mówią – wyjaśnił po chwili. – Ty mnie ratujesz?

– Wykorzystuję cię. Muszę stąd odejść, a ty jesteś moim biletem na te statki. A teraz się pośpiesz, nie mamy czasu.

Holden włożył mundur na swój więzienny kombinezon. Więzienie wychudziło go na tyle, że dodatkowy materiał prawie uzupełniał różnicę. Teresa wyjęła paralizator z pasa powalonego mężczyzny wraz z jego kartą dostępową i otworzyła drzwi. Wyszli razem. Kobieta przy biurku miała akurat dość czasu, by przybrać zdziwiony wyraz twarzy, zanim Teresa ją powaliła.

– To naprawdę się dzieje, prawda? – skomentował Holden, gdy prowadziła go korytarzem do laboratorium śledczego. – Bo jeśli nie, to mam bardzo realistyczny sen.

– Dzieje się – zapewniła Teresa. Tak naprawdę znaczyło to „Naprawdę to robię”. – Mam wszczepiony lokalizator. Będą mnie ścigać, gdy tylko uciekniemy.

– Rozumiem – powiedział Holden.

– Tutaj – rzuciła.

Drzwi były zamknięte, ale karta strażnika je odblokowała. Weszła do ciemnego pomieszczenia. Rzeczy Timothy’ego zmieniły miejsce w ciągu paru tygodni, które minęły od jej wizyty, ale nie wyniesiono ich. Chodziła od stołu do stołu, przesuując czubkami palców po każdym mijanym pojemniku. Wciąż tu był, gdzieś tutaj. Właśnie tu.

– Hej – odezwał się Holden. – Czy to... kieszonkowa bomba? Ta Amosa?

– Tak – potwierdziła Teresa.

– I stoję tuż obok niej.

– Stoisz.

– A tobie to nie przeszkadza – skomentował. – To naprawdę dziwna noc.

Znalazła to, czego szukała. Ekran rozjarzył się po włączeniu zasilania. Czowała uciekające sekundy. Gdzieś wysoko nad planetą zbliżały się statki buntowników. Walczyły z obroną planetarną. Wyświetliły się pliki, blokady i zabezpieczenia złamane tygodnie temu. Poszukała pliku z procedurą ewakuacji i bez chwili wahania aktywowała transmisję.

– Co to było? – zapytał Holden.

– Wysłałam wezwanie o ekstrakcję – wyjaśniła, smakując dorosłe słowa na języku. Nie ewakuację. Ekstrakcję. – Musimy teraz już tylko dotrzeć we właściwe miejsce.

– Jasne – potwierdził Holden. – Łatwizna.

Rozdział czterdziesty szósty

Elvi

Zapoznanie się z ukrytymi plikami Cortázara wymagało wielu dni. I było przerażające. Winston Duarte wierzył w zdolności Cortázara, ale też zakładał, że dysponuje jego lojalnością. I że wszystko, co mówił mu uczony, jest prawdą. Eksperyment mający na celu modyfikację ciała Duarte'go z użyciem oswojonej protomolekuły był najgorszym rodzajem nauki – niekontrolowanym, nieetycznym, spekulatywnym i ryzykownym. W raportach dla Duarte'go przesadzał swoją pewnością, bagatelizował ryzyko, prowadził terapię na podstawie własnych domysłów dotyczących rozumienia Cary i Ksana, a do tego obsesyjnie zbierał dane. Czytała jego notatki i zapisy jak horror.

Gdy pojawiły się nieoczekiwane zmiany – brak potrzeby snu Duarte'go, rozwinięcie nowych zmysłów – komentarze Cortázara uległy zmianie. Elvi nie była pewna, czy on sam by to dostrzegł, ale pojawił się w nich płaczliwy ton. Poczucie zazdrości wobec tego, czego mógł doświadczać tylko z drugiej ręki. W umyśle Cortázara narastał głód, z którego chyba nawet nie zdawał sobie sprawy.

Elvi próbowała czytać to wszystko z grubsza w porządku chronologicznym, ale było to trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Przede wszystkim na jej skupienie uwagi bardzo negatywnie wpływała wroga flota w układzie Lakonii. Trejo ją uspokajał. Nie brakowało żadnej więcej antymaterii, a zwykle głowice nuklearne spadające na planetę stanowiły trywialne zagrożenie, z którym

łatwo można było się uporać. Elvi zaczęła mieć dotyczące ich koszmary, na czym ucierpiał jej sen.

Na dodatek Cortázar nie porządkował swoich zapisków chronologicznie. Notatki i wyniki dotyczące zmodyfikowanych przez protomolekułę telomeraz, będących jednym z pierwszych kroków, znajdowały się w tym samym pliku, co wstępne skany i dane dotyczące Teresy Duarte. Dane obrazowania w bliskiej podczerwieni i magnetyczne Cary i Ksana z wstępnych badań zawierały notatki o strukturach białek we krwi Duarte, z których ostatnia pochodziła z dnia przed śmiercią Cortázara.

Miało to pewne zalety. Skacząc w obie strony w czasie, Elvi zaczęła wyczuwać kształt nie tylko obsesji Cortázara, ale i drogę, którą przebył. Zmianę. Jego najwcześniejsze notatki dotyczące Teresy były bardzo podobne do planu dla Duarte, z pewnymi modyfikacjami. Decyzję o zabiciu jej i oddaniu dronom naprawczym tak naprawdę podjął bardzo niedawno.

I prawie do niego nie pasowała. Wszystko, czego dowiadywała się o Cortázarze, sugerowało pragnienie parcia na przód, próbowania nieustannie czegoś nowego. W głębi serca był odkrywca, a decyzja o cofnięciu się i głębszym zbadaniu czegoś podstawowego nie była w jego stylu.

Minęło sporo czasu, zanim odkryła, co przekonało go do zmiany zwykłej strategii.

A kiedy wreszcie wiedziała, powiedziała tylko Fayezowi.

– Holden? – zapytał z niedowierzaniem jej mąż. – James Holden namówił Cortázara do zabicia Teresy?

– Nie wiem – przyznała. – Tak sędzę. Chyba.

Szykowali się do przyjęcia urodzinowego Teresy. Zamówiona przez Elvi sukienka była koloru żółtego, który dobrze wyglądał na ekranie, ale teraz nie była do niej przekonana. Widziała Fayeza po raz pierwszy od paru dni. Zaczęła bardzo wcześnie wychodzić do laboratorium i późno wracać. I zrobiłaby tak i dzisiaj, gdyby Trejo nie nalegał na zachowanie pozorów. Przy podejrzanym braku Duarte i ujawnionej właśnie informacji, że przeciwnik

wypatroszył niszczyciel *Mammatus*, zadanie to było coraz trudniejsze.

– To nie ma sensu – powiedział, ale w sposób znaczący, że jej wierzy. – Czemu? Czemu miały to zrobić?

Notatki nie ukryto. Była w skanach medycznych i wynikach badań krwi Teresy, prosta i otwarta jak przypomnienie o zabraniu czystych skarpet. „Argument Holdena słuszny? Rozważyć rozpoczęcie procedury od nowa z nowym obiektem”. I każda późniejsza notatka, niezależnie od tego, kiedy została dodana, zakładała, że Teresa Duarte rozpocznie proces już martwa. Kolejna uwaga wydawała się listą argumentów przy przekazywaniu wiadomości wysokiemu konsulowi.

„Przy pańskiej długości życia i tak zmarłaby przed panem.

Ważne jest, żebyśmy mogli jak najwięcej dowiedzieć się z jej ofiary.

W przyrodzie dzieci ciągle giną. Tak już jest”.

Ale ciągle wracała do „Argument Holdena słuszny?”.

– Była... jest dziedziczką imperium – stwierdziła Elvi. – Gdyby Cortázar zmienił ją w szczura laboratoryjnego, to mogłoby zdestabilizować Lakonię. Usunąć jasną linię sukcesji?

– To granie w cholernie długiej perspektywie – skomentował Fayez, wkładając buty. – Ale to tłumaczy, skąd Holden wiedział. Tylko w takim razie czemu nas ostrzegł?

– Nie potrafił się z tym pogodzić? – zasugerowała Elvi. – Holden jest przyzwoitym człowiekiem. Przyzwoici ludzie mają problem z mordowaniem dzieci. Rozmyślił się. Naszły go wątpliwości. Nie wiem. Niczego już nie rozumiem.

– Na tym polega problem z obcymi biologiami i pozawymiarowymi potworami. – Fayez westchnął. – Przynajmniej w ich wypadku nikt nie spodziewa się ich zrozumieć.

Elvi westchnęła zgodnie i przyjrzała się sobie w lustrze. Jej noga zagoiła się na tyle, że już nie bolała, ale wciąż widać było miejsce po brakującej tkance. Jaśniejsza skóra z wyraźnym czerwonym brzegiem.

– Podasz mi laskę? – poprosił Fayez. – Powiesz o tym Trejo?

– Nie wiem. Nie zamierzam tego przed nim ukrywać, ale... Cortázar nie żyje, a Holden jest pod strażą. Trejo nic z tym nie może zrobić, a i tak ma już dość problemów na głowie. Jak wyglądam? Czy nie kojarzę się z cukierkiem w folii? Czuję się tak, jakbym przebrała się za karmelek czekoladowy.

– Wyglądasz pięknie – zapewnił Fayez, wstając. – Jak zawsze. A poza tym fakt, że przejmujesz się tym, co pomyślą o tobie ci ludzie, jest niewypowiedzianie uroczy.

– Czemu uważasz, że przejmuję się ich opinią? – rzuciła. – Pytałam ciebie.

Roześmiał się i podszedł bliżej. Objęła go, oparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy.

– Nienawidzę tego – wyszeptała. – Tak bardzo tego nienawidzę. Mam już dość bycia przerażoną i przytłoczoną.

– Wiem. Sam też mam trochę dość adrenaliny. Może powinniśmy odlecieć.

Zaśmiała się.

– Złożyć rezygnację? Powiedzieć, że zaoferowano mi pracę gdzie indziej? Może wrócić do uczenia.

– Mówię poważnie – stwierdził Fayez. – Wciąż masz kody dowodzenia *Jastrzębia*, prawda?

Odsunęła się, by spojrzeć mu w oczy. Nie żartował. Znała wszystkie jego uśmiechy i ten był poważny.

– Tam są dwie floty gotowe, by nas zestrzelić – przypomniała.

– Może. A może moglibyśmy przejść na ich stronę. Albo po prostu uciec, ryzykując. Nie może być gorzej. To miejsce w równym stopniu jak z betonu, jest zbudowane z pałacowych intryg i strachu. A było tak, jeszcze zanim stało się celem powstania, które zamierza zmienić je w szkło. Powiedz, że musisz tam poszukać resztkowych śladów pozawymiarowej ektoplazmy promieniotwórczej czy czegoś takiego. Nie zorientują się. A przy całej tej strzelaninie nikt nie będzie nas ścigał. Moglibyśmy stąd zwiać.

Pomysł był szalony, ale co gorsza, kuszący. Elvi wyobraziła sobie chodzenie pod jakimś innym słońcem. Mieszkanie w szałasie na bezimiennej planecie.

– Chciałaś stąd uciec, od kiedy tu przylecieliśmy – przypomniał Fayeze. – Przybrałaś maskę odwagi, więc ja też to zrobiłem, ale to cię zabija kawałek po kawałku.

– Daj mi się zastanowić – poprosiła. – Pomyślę nad tym.

Razem poszli do sali balowej. Jak na quinceañera nie było tam wielu nastolatków. Choć sala była duża, Elvi miała wrażenie, że powietrze jest duszne, stęchłe, odwiedzało już wiele płuc. Wzięła kieliszek wina, nie do końca zdając sobie sprawę od kogo. Pochłonięta przez wyczerpanie, próby zrozumienia Holdena, strach przed walką z systemem i piękne marzenie o zostawieniu za sobą Lakonii czuła się jak we mgle.

– Wszystko w porządku? – Przy jej boku stała Teresa Duarte.

Elvi zrozumiała, że dziewczyna coś mówiła, ale jej nie słuchała.

– Tak, dobrze. Wszystko w porządku.

Teresa uśmiechnęła się ironicznie.

– No cóż. Poza...

– Tak. Poza.

Zabrział gong na kolację i Elvi próbowała się oddalić, ale Teresa została przy jej boku. Dziewczyna zbierała się, by coś powiedzieć. W końcu odezwała się ze sztuczną swobodą.

– Zastanawiałam się, doktor Okoye. *Jastrząb*.

Elvi poczuła chłód strachu.

– Co z nim?

– Zastanawiałam się, jak przebiegają naprawy. Przy tym wszystkim, co się dzieje... – Dziewczyna uśmiechnęła się w sposób, który miał być uspokajający. Niewinny. – No wie pani, zbudowano go z myślą o długich lotach z wysokim ciągiem. Ma prycze przeciążeniowe z płynem oddechowym.

– Są bardzo nieprzyjemne – wtrącił się Fayeze, próbując zmienić temat.

Teresa nie dała się zbić z tropu.

– Mimo wszystko. Gdyby walki się zbliżyły? Czy mogłaby go pani użyć, żeby się stąd wydostać?

Elvi zerknęła na Fayeza. Przybrał pusty wyraz twarzy. Też zaczęła się zastanawiać. Byli w swoich prywatnych pokojach, ale to nie

znaczyło, że ktoś nie mógł ich tam podsłuchiwać. Czy Trejo ich obserwował? A może był to test?

– Niestety – odpowiedziała Elvi, bardzo ostrożnie dobierając słowa – *Jastrząb* został bardzo, bardzo mocno uszkodzony.

Fayez poszedł w jej ślady.

– Ja mam nową stopę, włącznie z paznokciami, ale statek wciąż jest w kawałkach.

Wyraz twarzy Teresy uległ zmianie, ale Elvi nie była pewna, w co właściwie. Elvi kontynuowała, mówiąc rzeczy typowe dla człowieka, któremu nigdy nie przyszłoby do głowy ucieczka.

– Naprawdę nie sędzę, żeby miało dojść do ewakuacji. Żaden z tych statków nawet się nie zbliżył do planety. Admirał Trejo użyje wszystkiego, czym dysponuje, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo.

– Może w takim razie powinna pani przyspieszyć naprawy – ostro zasugerowała Teresa.

Jakby było coś innego, co wolałabym robić, pomyślała Elvi i roześmiała się

– Może powinnam – zgodziła się, gdy w końcu weszli do jadalni. Teresa w końcu musiała się oddalić. Czuła się tak, jakby przed czymś uciekła. Fayez objął ją w talii i pozwoliła mu się zaprowadzić do ich stołu.

– To było nieprzyjemne – skomentował.

– Nie doszukuj się w tym niczego głębszego – odpowiedziała Elvi, gdy odnaleźli właściwe miejsca. – Ale też o tym nie zapominaj.

Kolacja przebiegała normalnie, z rozmowami prowadzonymi na bezpieczne tematy. Elvi wyrzuciła z głowy Holdena i jego rolę w Cortázarowym planie morderstwa. Nie myślała o nim potem przez tygodnie, aż do chwili gdy sytuacja wymknęła się spod kontroli.

* * *

– Holden uciekł! – krzyknął Ilich. Głośniczek ręcznego terminala został nieco przeciążony, spłaszczając jego głos. Spróbowała

oprzytomnieć. Trudno było uwierzyć, że zdołała usnąć, ale jej umysł wciąż nie do końca umiał wyrwać się ze szponów snu.

– Atak – powiedziała. – Przylecieli tutaj. Walczą i uwolnili Holdena.

Usiadła na łóżku. Wciąż miała na sobie mundur, choć wygniótł się od snu. Potarła kark otwartą dłonią. Holden uwolnił się z celi właśnie wtedy, gdy grupa uderzeniowa podziemia walczyła z siecią obronną planety. To nie mógł być przypadek. W jakiś sposób dowiedział się, że to nadciąga. I uciekał.

Ścisnęło ją w żołądku. Strach narastający od czasu manewru przeciwnika zmienił się w coś namacalnego. Zginę. Fayez zginie. Nie doczekamy świtu.

– Powiedz Trejo – rzuciła. – Musisz powiedzieć Trejo.

– Jest zajęty kierowaniem obroną. Holden ogłuszył strażników, wciąż są nieprzytomni.

– Jezu Chryste – rzuciła. – Co mam z tym zrobić?

Ilich zaciął się na kilka sekund.

– Nie wiem, co robić.

– Niech pan zabezpieczy tę kieszonkową bombę w tym samym skrzydle, a potem proszę wysłać oddziały gwardii, żeby go szukały.

– Tak – potwierdził Ilich. – Właśnie.

Rozłączył się. Fayez siedział na brzegu łóżka z szeroko otwartymi ze strachu oczami.

– Ten człowiek – skomentowała Elvi – nie radzi sobie w sytuacjach kryzysowych. Zaczynam dochodzić do wniosku, że wybrał złą pracę.

– Elvi – powiedział Fayez. – Holden. Teresa.

Wystarczyła chwila.

– Szlag.

Ruszyła do drzwi, mając Fayeza tuż za sobą. Powietrze było zimne, mokre i piekące. Natychmiast znieczuliło jej twarz. Płatki śniegu spadały z nieba jak popioły wielkiego pożaru. Odległe, naziemne działa szynowe emitowały nieustanny toczący się grzmot, a chmury od północy błyskały na czerwono i pomarańczowo przy każdym wystrzale. Wysoko nad warstwą chmur toczyła się bitwa.

Elvi spuściła głowę i pobiegła. Fayez trzymał się tuż za nią, uderzając stopami w innym rytmie, chwilami zbieżnym z jej.

Zabrzmiał alarm, rycząc w całym Budynku Rządowym i na przyległych terenach. Nie wiedziała, czy to z powodu wojny, czy zbiegłego więźnia.

Po dotarciu do pokoi Teresy zaczęła walić pięścią w drzwi i krzyzczyć jej imię, ale odpowiedziało jej tylko gorączkowe szczekanie. Grzmot obrony planetarnej robił się coraz głośniejszy, prawie ogłuszający. Coś strasznie jasnego zdarzyło się gdzieś nad chmurami, na trzy długie sekundy zmieniając zaśnieżony nocny krajobraz w południe.

– Musimy się gdzieś schować – rzucił Fayez, a Elvi kopnęła drzwi Teresy. Fayez też. Wydawało się, że to nie wystarczy. Będą w nie walić w nieskończoność, ale i tak się nie przedostaną. A jednak framuga ustąpiła i drzwi wpadły do środka, wypuszczając szczekającego szaleńczo psa Teresy.

– Chodź do środka! – krzyknął Fayez, ale Elvi już podążała za psem. Suka pędziła przez śnieżny kobierzec, rozrzucając lód jak kurz. Cały czas głośno szczekała, pozwalając Elvi trzymać kierunek. Nie czuła za dobrze stóp, a zraniona noga piekła i bolała, ale jakoś udawało jej się stawiać jedną stopę przed drugą.

Śnieg i bitewne światła zmieniły ogrody w krajobraz rodem z piekieł. Nie wiedziała, gdzie jest, nie wiedziała, gdzie znajduje się Budynek Rządowy, i nie potrafiła stwierdzić, gdzie biegnie poza tym, że podąża śladem psich łap i rozrzuconego śniegu.

Powinna była zabrać broń. Była majorem. Ktoś by jej dał pistolet, gdyby o niego poprosiła. Jeszcze lepsze byłoby wezwanie Ilicha i oddziału gwardii. Choć na to było już za późno. Nie mogła zawrócić i musiała wierzyć, że znany jej James Holden zechce jej posłuchać. Wysłucha ją. Zatrzyma realizację swojego planu, zanim dziewczynie stanie się krzywda.

Pies zniknął w mroku, wciąż szczekając i ujadając. Była głupia. Przepracowana. Duarte, Cortázar, wojna i rzeczy spoza czasu i przestrzeni. Przytłoczyły ją i straciła z oczu dziewczynę, która była tuż przed nią, oraz człowieka planującego ją zabić.

Na tą chwilę złożyły się cała panika i strach oraz narastająca potrzeba ucieczki, prowadząc do tego szalonego biegu przez śnieg oraz skowytu psa.

I głosów.

– Stój! – krzyknęła ochryplym głosem Elvi. – Holden, stój!

Ślad prowadził prawie do muru. Wysoko w ciemności wznosiła się góra za Budynkiem Rządowym, przekształcona przez śnieg i mrok w potężną szarą falę. A w zasypanym śniegiem zagłębieniu stał James Holden w czarnym mundurze gwardzisty. Miał zmierzwione włosy i bladą skórę, z wyjątkiem dwóch czerwonych plam na policzkach, gdzie dobrał się do niego mróz.

Pies szczekał i skakał przy jego boku, a Holden uniósł rękę, jakby dostrzegł niespodziewanego przyjaciela na przyjęciu. Ale usłyszała też inny głos, Teresy, karcący psa i nakazujący mu się uciszyć.

– Holden – wydyszała Elvi. Teraz, gdy zwolniła, jej bok zaczął boleć, jakby ktoś ją tam dźgnął. – Holden, stój. Nie rób tego. Nie musisz tego robić.

– Czego robić? – zapytał. – Dobrze się czujesz? – dorzucił po chwili.

– Puść ją. Skrzywdzenie jej niczego nie naprawi.

Na czole Holdena pojawiły się głębokie zmarszczki i na chwilę zobaczyła w nim młodego człowieka, jakim był, gdy pierwszy raz się spotkali, dziesiątki lat temu na innej planecie. Chwyciła się szansy, że gdzieś głęboko w środku wciąż mógł być tym samym człowiekiem.

– Kogo skrzywdzić? – zapytał i wskazał Teresę? – Ją?

– Wiem, co zrobiłeś – powiedziała, próbując złapać oddech. – Wiem, że namówiłeś do tego Cortázara.

– Musimy iść – rzuciła Teresa.

Elvi dopiero teraz dostrzegła, że dziewczyna robi coś w zagłębieniu. Kopie w zaspie miękkiego śniegu. Holden miał oblodzone rękawy od robienia tego samego.

– To tylko dziecko, Holden. Nie wiem, jak wygląda twój plan, ale ona nie musi być jego częścią.

– Na tym etapie to raczej ja jestem częścią jej planu – odpowiedział.

– Musimy iść! – krzyknęła Teresa. – Nie mamy na to czasu. Piżmak! Zamknij się!

Psica zamachała ogonem, radośnie ignorując rozkaz. Za plecami Elvi rozległy się kroki. Brnący przez śnieg Fayez. Od północy dobiegł głęboki toczący się dźwięk. Ziemia się zatrzęsała i ustały błyski dział szynowych. Bez ich grzmotów noc wydawała się dziwnie cicha.

– Co się tu dzieje? – zapytał Fayez.

– Odchodzę – rzuciła Teresa. – Wymieniam ich więźnia wojennego na bilet i odchodzę. Jego statek po nas przyleci, ale musimy dotrzeć do ustalonego punktu.

– Próbował doprowadzić do twojej śmierci – powiedziała Elvi. – Nie możesz mu ufać.

– Nikomu nie mogę ufać – odpowiedziała Teresa, a zmęczenie i gorycz w jej głosie pasowały do kogoś dużo starszego.

– Nie – zaprzeczył Holden. – Tam nie chodziło o Teresę, chodziło mi o ciebie. Cześć, Fayez.

– Cześć Holden – odpowiedział Fayez i padł na kolana obok Elvi. Płatki śniegu spadały na jego włosy i zostawały na nich, nie topiąc się.

– Nie rozumiem.

– Tu cały czas chodziło o ciebie – wyjaśnił Holden. – Dosłownie od chwili, gdy dowiedziałem się o tym obcym rozerwaniu przestrzeni, które pojawiło się na *Nawałnicy*, próbowałem doprowadzić do wyrzucenia Cortázara i posadzenia ciebie na jego miejscu. To wszystko? – Wskazał na niebo. – O tym niczego nie wiem. Z nikim się nie kontaktowałem, nie przyłożyłem do tego ręki.

Elvi pokręciła głową.

– Nie rozumiem.

– Załatwiłem ci robotę – powiedział Holden. – To ja powiedziałem Duarte, że studiowałaś to, co zabiło budowniczych protomolekuły. I owszem, namówiłem Cortázara, żeby wpakował się w kłopoty. A potem próbowałem go wykurzyć. Uznałem, że tylko to Duarte będzie cenił dostatecznie, by pozbyć się swojego łańcuchowego szalonego naukowca. A ponieważ ty jesteś ekspertką, dostaniesz awans.

Uderzenie w pierś było zdradą. Poczowała się zdradzona. Widziała, jak Sagale i Travon giną z powodu Holdena. Prawie straciła nogę, prawie straciła męża i wycierpiała to wszystko przez niego.

– Czemu mi to zrobiłeś?

– Chciałem kogoś przytomnego i zdrowego na umyśle przy władzy, zanim Duarte zrobi coś głupiego, czego nie da się cofnąć. – Uniósł ręce, a potem je opuścił w geście bezradności. – Nie jestem pewien, czy mi się udało, ale to było wszystko, co mogłem zrobić.

Teresa wstała. Jej czarny sweter zrobił się biały od lodu.

– Możemy się przedostać, przestrzeń jest dość duża. Ale gdy tylko wyjdę poza teren budynku, ochrona się o tym dowie. Gdy zaczniemy, nie możemy przestać biec.

Holden przytaknął, ale nie spuszczał spojrzenia z Elvi.

– Przykro mi – powiedział.

„Odpłać mi za to. Jesteśmy tutaj, zabierz nas ze sobą”. A w drugiej części jej głowy laboratoria. Stodoła. *Jastrzęb* i zebrane przez nią dane, wciąż czekające na analizę. Czy po jej odejściu kontrolę przejmie Ochida? Czy będzie lepszy od Cortázara?

Czy gdziekolwiek był jakiś człowiek, któremu mogła z tym zaufać bardziej niż sobie? A wróg – ten głęboki wróg – już próbował ich skrzywdzić. Szukał na to sposobu. Jej noga pulsowała, jakby przypominała o czarnych rzeczach między przestrzeniami. Czy ktoś inny zdoła je powstrzymać?

Spojrzała Holdenowi w twarz. Był jednym z tych mężczyzn, którzy aż do samej śmierci będą wyglądać chłopięco. Niech cię diabli za postawienie mnie w tym miejscu, pomyślała. Niech cię diabli za sprawienie, że to jest właściwą decyzją.

Nie to powiedziała na głos.

– Idźcie.

Rozdział czterdziesty siódmy

Naomi

– Aleks?

– Widzę! – odkrzyknął. – Co robimy?

Przelała się przez nią fala dezorientacji, jakby znowu zaczęła się unosić, bez konieczności wyłączenia silnika. Statek skoczył i zadygotał, kiedy wywoływała dane o misji Aleksa i sprawdziła zgodność kodu. Wyglądał prawdziwie. Jeśli go sfalszowano, to przekonywająco.

Według planu mieli zaatakować platformy, a potem uciekać ze wszystkich sił, zanim zdążą wrócić siły przeciwnika. Dała im na to solidne okno czasowe. Dodanie do tego lądowania na powierzchni i ekstrakcji...

Ale jeśli tego nie zrobi, a Amos naprawdę tam czeka? Albo Jim?

– Naomi? – znowu zapytał Aleks. – Co robimy?

– Niszczymy platformy – odpowiedziała. – Najpierw – dodała. – Najpierw niszczymy platformy.

– Jeśli mamy wylądować, musimy zwolnić – zauważył Aleks.

Potrzebowała czasu, którego nie miała. Ros przesunął się gwałtownie, a potem opadł, rzucając ją na pasy fotela wystrzałem z działa szynowego.

– Daj mi opcje – rzuciła.

– Już się robi – odpowiedział Aleks i rozległo się ostrzeżenie o przyspieszeniu. Wlatywali w ostrzał przeciwnika, a ona ich

zwalniała. – Ian! Powiedz reszcie, żeby dostosowali się do naszego kursu. Włączamy hamulce.

Wywołała ekran taktyczny, a wtedy włączył się silnik, wgniatając ją z powrotem w pryczę i chłód żelu. Nie wiedziała, czy jej mdłości to wynik uników przed ostrzałem, zmian przyśpieszenia, czy ogarniającego ją poczucia zagłady, ale to nie miało znaczenia. Na ekranie taktycznym przebiegła przez systemy *Rosa*, modląc się do niczego konkretnego, by istniało jakieś rozwiązanie.

Ich informacje dotyczące sieci obronnej zostały zebrane przez statki Związku Transportowego, które latały w tym układzie. Pięć platform obronnych, matowoczarnych, z małym profilem radarowym. Znajdowały się na orbitach powyżej platform konstrukcyjnych obcych, rozmieszczone wokół planety tak, że każdy zbliżający się statek znajdował się w polu widzenia przynajmniej dwóch, a zwykle trzech. Strzelały już do grupy uderzeniowej Naomi, a stosowana przez nie technologia kompensacji odrzutu wystrzeliwanych pocisków nie emitowała światła ani ciepła, które można by wykorzystać do namierzania.

Platformy konstrukcyjne orbitowały bliżej planety, długie i rozgałęzione, ze sterzącymi z nich włóknami, wyglądając jak coś na preparacie mikroskopowym zanieczyszczonej wody. Mieniły się światłem. Ich też było pięć, wszystkie na prawie równikowej orbicie.

Plan polegał na zbliżeniu się grupą na tyle ściśłą, by wszystkie jednostki były objęte ogniem tych samych platform obronnych, i rozproszeniu ich ognia między nich. Potem, po podejściu, *Kasjusz* i *Księżę Twarzy* miały się oderwać, oblatując planetę zgodnie z kierunkiem obrotu, a *Ros* i *Quinn* w przeciwną stronę. Później wszyscy mieli odlecieć z maksymalnym ciągiem w stronę pierścienia wrót i setek układów po drugiej stronie, gdzie mogliby się ukryć.

Przynajmniej takie były założenia. Teraz plan wyglądał tak samo, ale wolniej. Dłużej pozostaną na celownikach wroga, z mniejszą szansą na ucieczkę w całości.

Ian krzyknął przez dudnienie działek obrony punktowej, rezonanse silnika i odgłosy silników manewrowych.

– *Kasjusz* prosi o zgodę na odejście. Są gotowi do ataku.

– Potwierdzam! – odkrzyknęła Naomi. – Zróbmy to.

– Bez nich bandyci będą mieli więcej dział dla nas – zauważył Aleks. – Będzie szarpało.

– A do tej pory co było? – zapytał Ian.

– Spacerok, młody – odpowiedział Aleks.

Na ekranie taktycznym *Kasjusz* skręcił, ze smugą z dyszy zwróconą ku trzem pozostałym, sunąc ku drugiej stronie zbliżającej się planety. Kilka sekund później to samo zrobił *Książę Twarzy*. Po chwili z lakońskich platform wykwitły nowe grupy szybkich obiektów.

– Ile zestrzelimy tych rakiet?! – krzyknęła Naomi, na co odkrzyknął jakiś nieznany głos: „Działka mają sześćdziesiąt procent!”, jakby to była odpowiedź na jej pytanie.

– Za osiemdziesiąt sekund będziemy mogli odpowiedzieć ogniem – poinformował Aleks. – Siedemdziesiąt dziewięć.

– Strzelać w platformy konstrukcyjne – poleciła Naomi. Jej nogi były na skraju silnych skurczów. Monitor wyświetlał niskiego poziomu alarmy medyczne. Zignorowała je.

Statek uskokzył ostro w prawo, starając się zejść z linii strzału dział szynowego. Byli już na tyle blisko, że unikanie tych pocisków robiło się naprawdę trudne.

– Zgoda na zniszczenie ich broni, kapitanie?

– Nie – odpowiedziała. – Najpierw platformy konstrukcyjne.

Może zginąć, wszyscy mogą zginąć, ale to nie musi oznaczać przegranej. Zwalczyła pokusę, by osobiście przejąć sterowanie bronią. Strach i napięcie wywołały drżenie mięśni, a uniki robiły się coraz częstsze i ostrzejsze. Chciała mieć poczucie kontroli, że jest w stanie nagiąć kilka następnych minut do swojej woli. Ufanie z czymś takim ledwie poznanej załodze było jak lot na ślepo.

– *Książę Twarzy* zgłasza, że *Kasjusz* oberwał z dział szynowego! – krzyknął Ian.

– Jak źle? – zapytała Naomi, wywołując dane z czujników, by sprawdzić osobiście. Wiedziała, zanim Ian odpowiedział.

– *Kasjusza* już nie ma.

Szanse znowu się zmieniły. Jeśli *Książę Twarzy* też zostanie zniszczony, to będzie oznaczało konieczność oblecenia całej Lakonii, by dostać ocalałe platformy. Ledwie zwiększyła ryzyko przez zwolnienie, a już płaciła za to cenę.

Przejęła sterowanie łącznością i otworzyła kanał do *Księcia Twarzy*. Zaczęła mówić natychmiast po potwierdzeniu odbioru.

– Mówi Naomi Nagata z *Rosynanta*. Wyłączcie hamowanie, wróćcie do początkowego planu. Szybkie podejście, zniszczenie platform konstrukcyjnych i uciezka do wrót. Więcej nie hamujcie. Nie czekajcie na nas.

– Reconegut, *Rocinante* – odpowiedział głos z tamtej strony. Akcent jednoznacznie wskazywał Ceres. – Geh cahn Allah, *sa sa*?

Na ekranie zgasła smuga z dyszy *Księcia Twarzy* i statek skoczył naprzód, gnając w stronę celu już bez hamowania.

– Jesteśmy prawie w zasięgu – zgłosił Aleks.

– Nie obchodzi mnie, ile musisz tańczyć – rzuciła Naomi. – Dowieź nas tam.

– Kolejne dziesięć szybkich obiektów z platform obronnych – poinformował Ian. – Działka obrony punktowej na pięćdziesiąt.

– Aleks?

– Robię, co mogę – odpowiedział. – Daj mi jeszcze trzydzieści sekund.

Otworzyła połączenie z *Quinnem*.

– Raport.

– Oberwaliśmy kilkoma pociskami w maszynownię i warsztat – odpowiedział młody męski głos. – Na razie się trzymamy.

– *Rosynant* ustawia się do strzału. Osłaniaj nas.

– Potwierdzam – odpowiedział *Quinn*.

Ros szarpnął w bok, potem znowu. Prycza przeciążeniowa Naomi zawirowała, pilnując, by niezależnie od wszystkiego uderzenia szły w plecy.

– Naprawdę. Chciałbym. Żeby mieli mniej dział szynowych – powiedział Aleks przez zaciśnięte zęby.

– Przynajmniej możemy uskakiwać – odpowiedziała Naomi.

– Możemy, póki się da – skomentował Aleks, a *Ros* zachwiał się jak przy potknięciu, gdy wystrzeliło ich działo szynowe. Wywołała obraz platformy obcych, wciąż zbyt odległej, by zobaczyć ją gołym okiem. Obraz skakał i wibrował nawet pomimo stosowanej przez *Rosa* stabilizacji. Naomi wbijała wzrok w ekran, siłą woli pchając pocisk do trafienia. Przy tej odległości drobny błąd w chwili wystrzału albo drobna nieprzewidziana wibracja mogły oznaczać pudło.

Obraz pokrył się na chwilę bielą, gdy wroga rakietą wybuchła dość blisko linii widzenia, by zagłuszyć czujniki. Odzyskała go akurat na czas, by zobaczyć, jak platforma drży i się przesuwają. Cała złożona struktura ściągała się, jakby zwijała się wokół rany. Przebiegł przez nią gwałtowny dreszcz. Wzdłuż kręgosłupa struktury przemknęły migotliwe światła, rozchodząc się w ramiona, a potem zaczęła się rozwijać. Rozluźniła się i rozłożyła jak ciasno zwinięta nitka wrzucona do wody. Sztywny kształt złagodniał i zapadł się w sobie, rozpraszając się w pustce nad wielkim lakońskim oceanem. Wzdłuż elementów przebiegły jasne linie energii niczym impulsy umierających nerwów. *Ros* trząsł się i dygotał w czasie, gdy struktura obcych umierała łagodnie i wdzięcznie.

Aleks westchnął, częściowo z ulgi, częściowo z podziwu. Naomi doskonale go rozumiała. Spróbowała nawiązać połączenie z *Księciem Twarzy*, żeby poinformować o zniszczeniu i sprawdzić ich status, ale planeta zablokowała sygnał, a nie było tu żadnych przekaźników, których mogłaby użyć. Od tej pory będzie musiała polegać na wierze.

Aleks wyłączył silnik. Wyhamowali. Gdyby go nie zgasił, *Ros* zacząłby się znowu oddalać od planety. Znaleźli się na orbicie. Nieważkość powinna przynieść ulgę, ale wydawała się zagrożeniem.

– Gdzie jest następna? – zapytała Naomi.

– Za chwilę – odpowiedział Aleks. – Jeszcze jest poniżej horyzontu. Zobaczymy ją za osiem i pół minuty.

– To zacznijmy zdejmować te platformy obronne. Zobaczymy, czy zrobi się trochę spokojniej.

Ros znowu kopnął i do grzechotu działek obrony punktowej dołączyło głębsze dudnienie wystrzeliwania torped. Pomimo bólu Naomi zaczęła się uśmiechać.

– Co to? – spytała.

Na powierzchni planety, w pobliżu środka jednego z kontynentów gęste chmury były oświetlone od dołu. Światła miasta. Stolica. Lakonia. A tuż na północ od niej jasne i płonące światło wznoszące się przez atmosferę w idealnie prostej linii ognia i dymu.

– Huh – rzucił Aleks. – To naziemne działa szynowe.

– Spodziewaliśmy się ich?

– Pierwsze słyszę.

– To trochę utrudni lądowanie.

– Owszem – zgodził się Aleks i odsunął *Rosa* z linii nadlatującego ognia. – Człowiek zaczyna żałować, że punkt kontaktowy nie znajduje się trochę dalej od najlepiej bronionej części planety.

– Mieliśmy to zrobić dawno temu – przypomniała Naomi. – Wygląda na to, że w międzyczasie trochę się rozbudowali.

Sprawdziła mapy. Miasto było prawie pod nimi. Znalazła się najbliżej Jima od lat. Jeśli *Książę Twarży* zdołał wykonać swoje zadanie zgodnie z planem, została już tylko jedna platforma. Na monitorze jedna z lakońskich platform bojowych poniżej została zdjęta przez połączenie ognia z działa szynowego *Quinna* i dwóch torped *Rosa*.

Tak łatwo byłoby rozkazać zejście. Spadek przez lakońskie powietrze, dokonanie podjęcia i zniszczenie ostatniej platformy po starcie.

Gdyby była pewna, że dadzą radę. Gdyby była na tyle przekonana, że to przeżyją, by mogła zaryzykować zmarnowanie wszystkiego, co zrobili do tej pory. Nie była.

– Trzymaj na kursie, Aleks – poleciła.

Statkiem wstrząsnęło nagle uderzenie głośnie jak wybuch, ogłuszając ją. Czekala na syk uciekającego powietrza i ciszę próżni, która nie nadeszła.

– Co to było?! – krzyknęła.

– Uderzenie odłamkiem – wyjaśnił Ian. – Mamy dziurę w pancerzu zewnętrznym.

– Pilnuj ciśnienia i powiedz mi, jeśli zaczniemy przeciekać.

– Tak jest.

– Mam ostatnią – zgłosił Aleks.

„Szybkie obiekty od tyłu. Działka obrony punktowej na trzydziestu procentach”. Naomi wywołała śledzenie wizualne. Byli już tak blisko, że widziała na obrazach teleskopowych krzywiznę Lakonii, rozmazanie górnych warstw atmosfery.

Nadeszło połączenie. *Książę Twarzy* wyłonił się z za planety, dzięki czemu mógł wysłać wiązkę kierunkową. Odebrała.

– Dobre wiadomości proszę – powiedziała.

– *Clar y muerte* – odparł *Książę Twarzy*. – Reszta twoja, szefowo.

– Dziękuję.

– Kolejne działko szynowe z powierzchni.

– Co kolejne? – zapytał *Książę Twarzy*.

– Ostrzeliwują nas z powierzchni – wyjaśniła Naomi. – Wszystko w porządku, trzymajcie się planu. Wynoście się stąd, i to już.

– Może *etwas can can* zrobić – odpowiedział *Książę Twarzy*, ale zanim zdążyła zapytać, co to miało znaczyć, wtrącił się Aleks.

– Mam zamiar.

– Strzelaj – poleciała.

Rosynant znowu szarpnął. Pocisk z działka szynowego zostawił po sobie lekko jarzący się ślad, rozgrzewając prawie nieobecne powietrze, przez które przechodził. Naomi wstrzymała oddech. Pocisk dotknął odległej platformy i jej czujniki oślepyły. Wywołała status statku. Wszystkie czujniki automatycznie się wyłączyły. Przeciążone.

– Co... – zaczęła, a statek wrzasnął.

Chwyciła brzeg szaleńczo wirującej pryczy przeciążeniowej. Statek kręcił się jak kostka rzucona na stół. Fala uderzeniowa przemknęła przez bardzo rzadki gaz poza granicą homopauzy i mimo wszystko miała dość siły, by odepchnąć ich jak kopniętą dziecięcą zabawkę. Światła zamigotały, zgasły i włączyły się z powrotem. Cała konstrukcja statku zatrzeszczała, a potem jej uszy

wypełnił ryk silników manewrowych, którymi Aleks próbował przywrócić im stabilność. Czujniki wciąż się resetowały, a Naomi czuła pociski z dział szynowych, nadlatujące niewidocznie z dołu. Czekala na przebicie statku. Dziurę w reaktorze. Koniec.

Kiedy czujniki wróciły do życia, platformy konstrukcyjnej już nie było. W jej miejscu tańczyła chmura przegrzanego powietrza, zielona, złota i czerwona.

– Chyba produkowali nową antymaterię – skomentował cierpko Aleks. – Nie jestem pewien, czy to był dobry pomysł.

Naomi nie odpowiedziała. Coś działo się na powierzchni planety. Stanowiska obrony, z których słały pociski działa szynowe, świeciły jaskrawo w podczerwieni. Nic do nich nie strzelało. Spróbowała połączyć to ze zniszczeniem platformy, ale elementy nie chciały do siebie pasować. Stało się coś innego.

Nadeszło połączenie. Znowu *Książę Twarży*. Odebrała.

– Zrobiliście coś? Co zrobiliście?

– Miałem jeszcze pół wyrzutni torped plazmowych, nie? – odpowiedział drugi statek. – Nie miało sensu trzymanie ich, więc posłałem je na twoją bazę dział szynowych, *que?* Oczyszcilem ci drogę. Prawdziwe pytanie, to: co ty zrobiłaś? To była atomówka?

– Nic tak prostego – odpowiedziała Naomi. – Dziękuję, *Książę*. Damy sobie radę. A teraz uciekaj.

– Już mnie tu nie ma – usłyszała w odpowiedzi i połączenie zgasło. Wysłała wiązkę kierunkową do *Quinna*. Odpowiedział natychmiast.

– Wszystkie stanowiska uzbrojenia przeciwnika na tej półkuli zostały wyłączone – zgłosił młody mężczyzna. – Mamy pół godziny, zanim po tej stronie planety coś obudzi się do życia.

– Leć – poleciła Naomi. – My podejmiemy kogoś z powierzchni.

Milczeli na tyle długo, że Naomi pomyślała o utracie połączenia.

– Jesteśmy twoją eskortą, *Rosynant*. Rób, co musisz, będziemy tu czekać. Gdybyśmy mogli wchodzić w atmosferę, polecilibyśmy z tobą.

– Odmawiam, *Quinn* – oświadczyła Naomi. – Lećcie do wrót. To rozkaz.

Chwilę później wykwitła jasna i długa smuga z dyszy silnika *Quinna*, a *Rosynant* został sam na szerokim niebie nad Lakonią. Naomi rozejrzała się dookoła. W powietrzu czuła dym, ale nie rozbrzmiewały żadne alarmy. Jej prycza przeciążeniowa ściągnęła jeden z alarmów medycznych z powrotem do normy, ale pozostałe dwa wskazywały podwyższony poziom kortyzolu i ciśnienia krwi. Nikt do niej nie strzelał i dziwnie się z tym czuła.

– Aleks? – odezwała się. – Jesteśmy gotowi do zejścia?

– Sprawdzam – odpowiedział. – To uderzenie odłamkiem spieprzyło naszą aerodynamikę, ale... dam radę. Tylko będzie cholernie rzucało.

– Już mnie to nie przestraszy – zapewniła Naomi. – Zabierz nas na dół najszybciej, jak możesz.

Na Lakonii pod nimi panowała noc. Było w tym coś pięknego. Poza lekką bioluminescencją chmur na styku lądu z odległym morzem wszędzie było ciemno. Jedyne światła znajdowały się pod chmurami. Zapewne tak mniej więcej wyglądała Ziemia w czasach przed odkryciem elektryczności. Przed pierwszym satelitą, pierwszym promem orbitalnym. Przed Marsem, Ceres i Pasem. Oto serce galaktycznego imperium, a jednak jest równie nagie jak dzicz. Auberon i Bara Gaon miały więcej miast, Ziemia dłuższą historię. Każde miejsce miało swoje marzenie o tym, czym może się stać.

Marzenia były kruchą podstawą budowania. Tytan i ceramika wytrzymywały dużo dłużej.

– Kapitanie?

Obejrzała się na Iana. Był jeszcze chłopcem. Zapewne był starszy od niej, gdy doszło do zniszczenia *Canterbury* i pierwszy raz weszła na pokład *Rosynanta*, a wciąż był jeszcze chłopcem.

– Kefilwe – odpowiedziała.

– Zastanawiałem się, czy mógłbym dostać z powrotem kontrolę łączności – wyjaśnił. – Ja... to moje obowiązki. Jeśli pani...

– Przepraszam – rzuciła Naomi, przesyłając je z powrotem do jego stanowiska. – Stare przyzwyczajenia. Zachowałam się nieuprzejmie.

– Staram się tylko być przydatny – powiedział z ostrożnym uśmiechem.

– No dobra – odezwał się Aleks. – Lepiej nie będzie, więcej czasu w niczym nie pomoże.

– Zabierz nas na dół – poleciła Naomi.

Włączyły się silniki manewrowe, zwalniając statek i pozwalając mu spaść. Aleks zwrócił ich w stronę osłoniętego chmurami miasta odsuniętego już kilkaset kilometrów przez obrót planety, przechylił dziób statku i wcisnął manetkę. Znowu zagrzmiały silniki manewrowe.

Niecałą minutę później *Rosynant* wbił się w atmosferę.

Rozdział czterdziesty ósmy

Teresa

Brnęła schylona przez zimno i ciemność kanału odpływowego. Warstwa prawie zamrożonej wody i szlamu przemoczyła jej buty i dół nogawek. Oczyszczanie wejścia doprowadziło do zdrętwienia dłoni, więc teraz zaczynały ją boleć palce. Niezabranie rękawiczek wydawało się tylko najnowszym z długiego ciągu fatalnych życiowych wyborów.

Idąca za nią Piżmak zaskomlała.

– Mówiłam ci, żebyś została – rzuciła Teresa, ale suka ją zignorowała. Jeśli już, to przysunęła się bliżej. A za Piżmak ciężkie kroki i chrapliwy oddech Jamesa Holdena.

Śnieżna breja robiła się gęstsza, bardziej lita. Po kilku kolejnych krokach stanęła na lodzie.

– Prawie doszliśmy – powiedziała.

– Gdzie?

– Do drugiego końca kanału odpływowego.

– To miejsce odbioru?

– Nie, musimy wejść na górę.

– No tak, góra – rzucił Holden. – W porządku.

Z ciemności przed nią wyłonił się wąski, szary owal wielkości jej poduszki. Drogę blokowała zaspą śniegu, ale nie był na tyle gęsty, by uniemożliwić przejście. Teresa napała do przodu, udeptując i ubijając śnieg, a potem powtórzyła to znowu. Gdzieś w Budynku Rządowym włączył się alarm. Siły bezpieczeństwa były

informowane o jej ucieczce. Miała nadzieję, że bitwa odwróci ich uwagę na tyle, by dać jej czas.

– Cała przemokniesz – rzucił Holden.

– Wydostanę się.

Potem już się nie odzywał.

Wygrzebała się na zewnątrz. Za plecami miała mur Budynku Rządowego, przed sobą dziki teren. Holden wydostał się z otworu trochę wolniej, a Piżmak wraz z nim. Drzewa wciągnęły wszystkie liście i śnieg przywierał do ich pni jak milion masek bez wyrazu. Wszystko się zmieniło. Takie samo, lecz inne. Po raz pierwszy poczuła ukłucie niepewności. To było jej miejsce, знаła je i wiedziała, jak się tu poruszać. A przynajmniej aż do tej pory.

Ruszyła pierwszą ścieżką. Jej oddech przy każdym wydechu zmieniał się w gęstą chmurkę białej pary, a ruch pomagał poradzić sobie z zimnem. Pożałowała, że nie ma już rozbłysków i ryku bitwy, które przynajmniej oświetlałyby im drogę. Powiedziała sobie, że ich brak oznacza, że statek z ratunkiem jest już prawie na miejscu. I że musi się pośpieszyć.

Ścieżka przez las wydawała się jaśniejsza niż niebo w górze. Śnieg był tu grubszy, sięgając prawie do kolan. Piżmak sapała i parła, zostawiając za sobą ścieżkę obok jej śladów, a Holden szedł tyłem przetartym szlakiem. Śnieg wciąż padał. Małe, twarde płatki uderzające w policzki i topiące się jak lzy.

Dostrzegła w śniegu ślady zwierząt, a na jednym z drzew zobaczyła świeżą, długą bruzdę w korze, gdzie coś szukającego jedzenia grzebało głęboko w uśpionym pniu. Zaciekawilo ją, czy na innych planetach zwierzęta robiły to samo, czy było to coś tylko lokalnego. Na chwilę implikacje jej działań wezbrały i groziły przytłoczeniem jej, ale odsunęła od siebie te myśli. Teraz już nie wróci, nawet gdyby mogła.

Coś poruszyło się między drzewami po lewej i na chwilę ogarnęła ją panika. Przez ścieżkę przeskoczył kościół, grzechocząc zewnętrznym szkieletem nóg jak kamienie toczące się po zboczu. Nic takiego.

Skręciła w miejscu, które wydawało się jej właściwe, i ścieżka zrobiła się bardziej stroma. Góra wznosiła się w ciemności. Właściwie to nie góra, artefakt tak stary, że pokryły go skały. Albo zrobiono go od razu w taki sposób. Historia tak dawna, że porósł ją las, a pory roku mijały jak dni.

Przedarła się na polanę, na której powinien wylądować statek ewakuacyjny. Była rozległa i płaska, ze zboczem wznoszącym się ku odległemu szczytowi z jednej strony i widokiem na Budynek Rządowy z drugiej. W padającym śniegu budynki z łagodnie rozświetlonymi oknami wydawały się odleglejsze niż w rzeczywistości. Jak coś z krainy bajek. Bez rozbłysków i ryku bitwy wyglądały bardzo spokojnie. Wcale takie nie były, ale tak wyglądały.

Zza jej pleców na polanę wyszedł Holden. Żeby się trochę ogrzać, schował ręce pod koszulę, której rękawy powiewały teraz puste przy bokach. Przykucnął w śniegu.

– Dobrze się pan czuje?

– Nie jestem w formie – przyznał. – Następnym razem będę więcej ćwiczył. Zmienię kąt celi w siłownię czy coś takiego.

Rozmawiała z nim dość razy, by wiedzieć, kiedy żartuje bez sygnalizowania tego tonem głosu. Nie robił tak nikt inny w jej otoczeniu i uważała to za niezwykle irytujące. Przez to każda rozmowa z nim zmieniała się w łamigłówkę wymagającą rozwiązania, by odkryć, czy mówi szczerze, czy nie. Odsunęła od siebie irytację. Ludzie robili mnóstwo rzeczy, co do których nigdy nie musiała wykazywać cierpliwości. Trzeba będzie się tego nauczyć.

– Tutaj go spotkałam – wyjaśniła.

– Spotkałaś?

– Timothy’ego. Amosa.

– Och – westchnął Holden i rozejrzał się wokół. Przez chwilę milczał. – Pięknie tu. Oczywiście dziwnie, ale i pięknie. Żałuję, że nie widziałem więcej Lakonii, czegoś poza ogrodami.

– Ja też – zgodziła się Teresa i wbiła wzrok w niskie, szare chmury.

– Gdzie oni są?

Bez drzew osłaniających ich od wiatru i wysiłku przedzierania się przez śnieg zimno zrobiło się dotkliwsze. Holden zapadał się w sobie, ciasno obejmując się rękami. Oparł głowę na kolanach. Piżmak usiadła obok niego, z pełnymi troski dużymi, psimi oczami.

Teresa wiedziała o istnieniu hipotermii. Sama nie czuła się źle, ale Holden był starszy i mnóstwo czasu spędził w więzieniu. To go osłabiło. Pomyślała, czy nie podejść i nie usiąść obok niego. Przypomniała sobie historie o ludziach na pustkowiu budujących struktury ze śniegu, by zatrzymać i dzielić ciepło ciała, ale nie wiedziała, jak miałyby wyglądać. Zaczęła się zastanawiać, czy jeśli Holden umrze, zanim przyleci statek ewakuacyjny, co wtedy z nią zrobią...

Od szczytu góry dotarł podmuch lodowatego powietrza, porywając górne warstwy śniegu w krótkotrwałe wiry. Zrobiła krok w stronę Holdena. Może powinna go zabrać do jaskini Timothy'ego. Tylko do czasu przybycia statku. Zabierze go tam, a potem wróci tutaj i zaprowadzi do niego ludzi z pomocą. Jeśli jacyś przylecą. Jeśli to się uda.

Zaczęła odczuwać rozpacz. To musi się udać.

– Przykro mi, że musiałaś się o tym dowiedzieć w ten sposób – powiedział Holden.

Teresa popatrzyła na niego. Nie pamiętała, czy delirium jest jednym z objawów hipotermii, ale wyglądało na to, że może być.

– O czym się dowiedziałam?

– O tej sprawie z zabiciem cię. Że podsunąłem tę myśl Cortázarowi. To nie było nic osobistego.

Teresa przyjrzała mu się. Żaloszny człowiek skulony na śniegu. Wiedziała, że powinna się złościć. Ostatnio była zła przez cały czas i na wszystkich. Spróbowała przywołać tę złość, ale nie przyszła. Wzbudzał w niej tylko współczucie.

Holden inaczej zinterpretował jej milczenie. Mówił dalej.

– To nie powinno być ci zaszkodzić. Starąłem się doprowadzić do rozłamu między twoim ojcem a Cortázarem, to wszystko. Ty byłaś jedynym, co mogło to wywołać. Wszyscy widzieli, jak bardzo cię kocha.

– Naprawdę?

Przytaknięcie Holdena było oporne, jakby już zmieniał się w lód.

– Znałem pewną kobietę. Bardzo długo. Mawiała, że nie można nikogo oceniać po tym, co mówi, musisz obserwować, co robi.

– I ona to powiedziała.

– Dostrzegam ironię. Ale obserwowałem też, co robiła. Jak wywoływała w ludziach sympatię, jak wzbudzała w nich strach. Nie jestem dobry w tym drugim, ale z tym pierwszym kiedyś radziłem sobie całkiem dobrze.

– Dzięki niej?

– Częściowo. I obserwowałem, jak zachowywał się względem ciebie ojciec. Jak cię traktował. A potem to wykorzystałem. Przykro mi.

– Tak?

– Nie żałuję – przyznał. – Ale jest mi przykro.

– Do tego stopnia, że zrobiłbyś to znowu tak samo?

– Spróbowałbym sprawić, żeby wszystko potoczyło się trochę szybciej, ale tak. Przepraszam, że to był najlepszy dostępny mi ruch.

Teresa znowu spojrzała na chmury. Padał z nich śnieg. Zaczynały ją piec palce. Wciąż żadnego statku.

– W porządku – powiedziała. – Wiedziałam, że jest pan wrogiem. Zrobił pan to, co robią wrogowie. Gorzej, gdy robią tak przyjaciele.

– Prawda – zgodził się Holden. – Jedzie wózek – rzucił po chwili.

Wysłuchała się i też to usłyszała. Elektryczny jęk wózka ochrony. Przy tym, jak śnieg tłumił dźwięki, musiał być już blisko. Rozejrzała się za jakąś kryjówką, sposobem ucieczki, ale śnieg zdradziłby ją niezależnie od tego, gdzie by się wybrała, a Holden nie potrafił już biec.

– Spokojnie – powiedziała. – Zajmę się tym.

Chwilę później Holden wstał, a Piżmak popatrzyła na niego z troską. Wyraz jej pyska mówił: „Może jednak powinieneś usiąść. Nie wyglądasz dobrze”. Holden podrapał ją za uszami.

Dobiegły ją głosy. Wyłowiła dwa, może i trzeci. Na ścieżce prowadzącej z powrotem do Budynku Rządowego zamigotało światło. Reflektory wózka jadącego szybko przez śnieg. Głosy

wołające jej imię. Wózek wjechał na polanę i stanął. W środku było trzech mężczyzn: dwóch miało na sobie mundury gwardzistów, takie jak ten skradziony przez Holdena, trzecim był pułkownik Ilich.

Ilich wyskoczył z pojazdu, celując z pistoletu w Holdena.

– Ręce do góry! – krzyknął. – Już!

– Dobrze – odpowiedział Holden, wsuwając ręce z powrotem do rękawów, a potem je unosząc. – Nie jestem uzbrojony.

– Teresa, wsiadaj do wózka.

– Nie, sam do niego wsiadaj – odpowiedziała. – Nigdzie z tobą nie jadę.

Ilich obrócił się w jej stronę z wyraźnym wstrząsem. Patrzyła, jak zaczyna rozumieć, a potem zmieszanie gładko przechodzi w furję.

– Wsiadaj do pierdolonego wózka – rzucił.

– Bo co, zastrzelisz mnie?

Gwardziści popatrzyli po sobie nerwowo, a Ilich ruszył w jej stronę. Pistolet wciąż trzymał wycelowany w Holdena, ale patrzył na nią.

– Nie, nie zastrzelę cię. Ale przydzielę ci straż, która będzie ci patrzeć na ręce przez resztę życia.

– Już mnie nie kontrolujesz! – krzyknęła Teresa, a Ilich się roześmiał.

– Oczywiście, że tak. To dosłownie mój podstawowy obowiązek. Pilnowanie, by dziewczynka jadła. Pilnowanie, by dziewczynka spała. Uczenie jej. Socjalizowanie. Jestem twoją pierdoloną mamusią i mówię ci, żebyś zabrała swój zepsuty, egoistyczny i egocentryczny tyłek do tego cholernego wózka!

– Nie – rzuciła i złożyła ręce na piersi.

Ilich wyglądał, jakby zeszło z niego powietrze. Przez chwilę myślała, że wygrała.

– Zrobisz to – powiedział – albo zabiję psa.

Opuścił nieco broń. Miała wrażenie, jakby ktoś skrzył głośność świata. Wciąż wszystko słyszała, ale z oddali. Czekwała na grzmot strzału pewna, że nadchodzi. Nie zdołałaby go powstrzymać. „Nie rób tego, przyjdę”, próbowało się przebić do jej gardła, ale stała zamrożona. Jej gardło nie mogło działać ani trochę lepiej niż nogi.

Ilich pokręcił głową, tylko centymetr w jedną, potem centymetr w drugą stronę. Obrócił się, by wycelować w Piżmak, ale to nie on oddał strzał, który przeszył powietrze.

Coś działo się przy wózku. Teresa z początku nie potrafiła dostrzec, co takiego. Jej umysł próbował ją przekonać, że gwardziści biją się ze sobą, tylko że jeden wypadł z boku wózka, lądując w śniegu, a zmagania w pojeździe trwały dalej. Kątem oka zobaczyła, że Holden z wciąż uniesionymi rękami robi krok do przodu, zasłaniając Piżmak, ale Ilich nie zwracał już na niego uwagi.

– Kapitanie Erder! Raport! – krzyknął, ale nikt mu nie odpowiedział. Zamiast tego z wózka dobiegł krótki, ostry krzyk. Trzasnęło coś mokrego i krzyk zgasł. Wszystko kompletnie znieruchomiało. Ilich zrobił krok w stronę wózka, potem kolejny.

Z cienia za pojazdem wyskoczył Timothy, biegnąc sprintem przez śnieg. Miał czarne oczy i szarą skórę. Ilich wystrzelił i na gołych żebrach Timothy'ego pojawiła się plama czerni. Uderzył w Ilicha, jakby spadł z dużej wysokości i posłał jego nogi w powietrze, wgniatając tułów w śnieg.

Wszystko działo się za szybko. Nie wiedziała, czy pistolet należał do jednego z gwardzistów, czy wypadł z ręki Ilichowi. Tylko w jego dłoni wyglądał na mniejszy. Piżmak zaszczekała radośnie, rozrzucając ogonem śnieg.

Holden powoli opuścił rękę.

– Amos?

Timothy – Amos – stanął nad Ilichem i na moment całkowicie znieruchomiał, a potem odpowiedział.

– Cześć, kapitanie. Paskudnie wyglądasz.

Leżący w śniegu Ilich próbował wciągnąć do płuc powietrze wybite przez siłę szarży Timothy'ego.

– Tobie też zdarzało się lepiej prezentować.

– Cóż, wiesz, jak to jest. – Amos zwrócił swoje ciemne oczy na nią i ruchem głowy wskazał wciąż chrapliwie dyszącego Ilicha. – Cześć, Tycia. Czy ten facet to twój przyjaciel?

Teresa zaczęła potwierdzać, zaprzeczać, a potem zrozumiała, o co ją pyta.

– Nie – odpowiedziała. – Nie jest po mojej stronie.

– Dobrze – powiedział Amos i wystrzelił dwa razy. Błyski wystrzałów były najjaśniejszą rzeczą na świecie.

– Jak nas znalazłeś? – zapytał Holden, chwiejąc się.

– Przez tego dupka – wyjaśnił Amos. – Śledziłem go za każdym razem, gdy opuszczał teren kompleksu. Pomyślałem, że prędzej czy później będę miał okazję go dorwać. Byliście dobrym odwróceniem uwagi.

– Musiałeś go zabijać? – zapytał Holden.

– Wyrównałem tylko rachunek, to wszystko. Na pewno dobrze się czujesz, kapitanie? Wyglądasz dość koszmarnie.

W głowie Teresy pojawiły się liczne pytania – „gdzie mieszkałeś?”, „jak przeżyłeś bez swoich rzeczy?”, „jak mocno zostałeś zraniony?”, „czemu nie jesteś martwy?” – ale z jej ust wydobyło się:

– Nie jest ci zimno?

Amos popatrzył na nią i zastanowił się nad pytaniem. Płatki śniegu lądowały na jego nagiej piersi i tam się topiły. Dziura w piersi, gdzie został postrzelony, nie krwawiła. Po chwili wzruszył ramionami.

– Przeżyję.

Zanim Teresa zdążyła powiedzieć coś jeszcze, gdzieś z góry dobiegł potężny, głęboki ryk. Jej pierwszą myślą było, że wywołali lawinę. Wyobraziła sobie i pozostałych zmiecionych przez tony śniegu sunące po górskim zboczu, ale potem zobaczyła światło na niebie.

Amos chwycił ją za łokieć, nachylił się i krzyknął jej do ucha:

– Musimy iść między drzewa!

Pozwoliła się poprowadzić, z Holdenem i Piżmak idącymi tuż za nią, a z nieba opadł olbrzymi statek. Podmuch z jego silników manewrowych w jednej chwili stopił śnieg na polanie i odrzucił wózek gwardii. Teresa skuliła się pomiędzy uspijonymi drzewami, zasłaniając uszy dłońmi, aż ryk ucichł i Amos klepnął ją w ramię.

Na ziemi stała marsjańska korweta, bardzo starego typu. Jej boki pokrywała mozaika płyt z różnych materiałów. Z całej jednostki unosiła się para, a stygnący metal i koronka węglowo-krzemowa

tykały i strzelały. Teresa ruszyła w jego stronę z poczuciem zachwytu, radości i osiągnięcia czegoś doniosłego. Udało jej się.

Otworzyła się śluza i z góry w ciemność, mgłę i padający śnieg wyjrzał mężczyzna. Nie był ubrany w żadnego rodzaju mundur.

– Kto tam jest?! – zawołał.

– Aleks?! – odkrzyknął Holden.

– O, jasny szlag – powiedział człowiek we włazie niemal konwersacyjnym tonem.

W dół opadła chwiejna metalowa drabinka. Holden ruszył pierwszy, z początku niepewnie, ale coraz sprawniej w miarę, jak się wspinał. Piżmak nerwowo kręciła się wokół stopni na dole.

– Nie wiem – zwróciła się do niej Teresa. – Dlatego kazałam ci zostać w moim pokoju.

– Idź – rzucił Amos. – Zajmę się tym.

Teresa złapała jasny metal i wspięła się ku rękóm obcych ludzi, wyciągającym się, by pomóc jej wejść na pokład. A tuż za nią szedł Amos, nie używając rąk, bo trzymał w nich psa. Czarna rana na piersi najwyraźniej w ogóle mu nie przeszkadzała. Czekający na nich mężczyzna roześmiał się na widok Piżmak, a suka niepewnie zamachała ogonem.

Przebieralnia wyglądała, jakby leżała na boku, a Holden i łysy ciemnoskóry mężczyzna szczyrzyli się do siebie i obejmowali. Timothy – nie, Amos – wciągnął drabinę i zamknęły się za nią drzwi śluzy.

Przygotowała się na tę chwilę. „Jestem Teresa Duarte i oddaję wam tego więźnia w zamian za zabranie mnie z Lakonii”. Teraz, gdy nadeszła, wydawało się, że to wszystko jest oczywiste.

– Musicie iść na mostek – powiedział ciemnoskóry. Aleks, jak nazwał go Holden. – Musimy się stąd wynosić, ale nie spuszczę was z oczu, sukinsyny.

Teresa poszła za nimi, nie wiedząc, co innego miałyby zrobić. Amos szedł przy niej przez położony na bok szyb windy na mostek. Czekala tam piękna starsza kobieta z siwymi lokami spuszczoneymi prawie na same oczy. Na widok Holdena głęboko, drżąco wciągnęła powietrze. Więzień ujął jej dłoń.

– Dobra – odezwał się Aleks. – Wszyscy muszą się przypiąć. Startujemy z tej kuli błota.

Wszędzie wokół rozbrzmiały radosne krzyki i Teresa zaskoczyła samą siebie, dołączając do nich. Amos złapał ją za ramię i zaprowadził do bardzo staro wyglądającej, zupełnie niegodnej zaufania pryczy przeciążeniowej.

– Musisz się przypiąć, Tycia. Mam pomysł, co zrobić z tą panią – powiedział, wskazując kciukiem Piżmak. – Zostań tutaj z Naomi i kapitanem.

– Naomi – powtórzyła Teresa. – To Naomi Nagata?

– A statek to *Rosynant* – potwierdził Amos. – I nie wiem, kim jest reszta tych ludzi, ale tak czy inaczej, jesteśmy w domu.

A potem odszedł, prowadząc Piżmak w głąb statku i zostawiając ją, by mogła wpatrywać się w monitor. Czuła się dziwnie, jakby była we śnie, ale równocześnie zwyczajnie, jakby szła po prostu trochę mniej znajomym korytarzem. Była tutaj. Odlatywała.

Statek zadygotał, zasyczał i zaczął się wznosić.

– Mam włączyć główny silnik? – Przez dźwięki silników manewrowych przebił się głos Aleksa. – Jeśli chcesz, mogę to wszystko zmienić w żużel.

– Nie – odpowiedział Holden – zostaw. Wciąż mamy tam przyjaciół. Na przykład Elvi.

– Och – rzucił Aleks. – Powinniśmy po nią wrócić?

– Nie – zaprzeczył Holden. – Jest tam, gdzie powinna.

Rosynant wzbił się w niebo, wgniatając Teresę w chłodny, niebieski żel pryczy. Statek dygotał i jęczał, startując, a potem, gdy znaleźli się dość wysoko nad ziemią, rozległ się głębszy grzmot i skoczyli w górę. W ciemność przestrzeni. Zostawiając wszystko za sobą. Zamknęła oczy, próbując zdecydować, jak się czuła. Czy czuła cokolwiek, czy też wszystko naraz.

Jej dom, wszystko, co kiedykolwiek znała, zostawał z tyłu, a była pewna, że nie chciała tam nigdy wrócić. Księżniczka uciekała w diabły z krainy czarów.

Głośny alarm zwrócił jej uwagę w tej samej chwili, gdy pilot – Aleks – rzucił coś wulgarnego. Obejrzała się na niego. Miał

poszarzałą twarz.

– Aleks? – zapytała kobieta.

– Zostaliśmy namierzeni – wyjaśnił Aleks. – Zajęło nam to za dużo czasu. To *Zawierucha*.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Naomi

Ponieważ *Rosynanta* zaprojektowano do lądowania na brzuchu, Holden pojawił się na ścianie mostka. Był wychudzony. Gorzej, sprawiał wrażenie, jakby chorował od miesięcy. Bruzdy wokół ust zrobiły się głębsze, a jego uśmiech wyglądał nie tyle na zwykłą radość, ile jak zaskoczenie, że przydarzyło mu się coś dobrego. Wydawało się, że ma posiniaczone serce, ale nic gorszego. Nie było złamane. Nie wyglądał na złamanego.

Spojrzał jej w oczy i w jej piersi rozluźniło się coś, o istnieniu czego nie wiedziała. Odetchnęła głęboko, z drzeniem. Ujął jej dłoń. Myślała, że to już nigdy się nie zdarzy, a jednak był tutaj, znowu jej dotykał.

– Hej – powiedział za cicho, by usłyszał go ktoś oprócz niej.

– Hej – odpowiedziała.

Stojący za nim Amos wyglądał dziwnie. Miał szarą skórę i jednolicie czarne oczy. Widziała dzieciaki na Pallas robiące sobie coś takiego z oczami za pomocą wstrzykiwanych barwników i tatuaży twardówkowych, ale u Amosa nie wyglądało to na przejaw mody.

Na dodatek trzymał na rękach dużego czarnego psa z siwym pyskiem i skonsternowanym wyrazem mordy. Dziewczyna obok niego wyglądała znajomo, choć nie na tyle, by Naomi mogła ją zidentyfikować. Później będzie czas na opowieści.

Aleks z szerokim uśmiechem zajął miejsce w swojej pryczy.

– Dobra. Wszyscy muszą się przypiąć. Startujemy z tej kuli błota.

Załoga wykrzyknęła radośnie, nie do końca pijana sukcesem, ale może nieco na rauszu. A może to tylko ona. Holden zajął jedną z wolnych prycz, trzymając się blisko dziewczyny. Jakby chciał ją chronić.

Statek powoli przechylił się do wyprostowanej pozycji.

– Mam włączyć główny silnik? – zapytał Aleks. – Jeśli chcesz, mogę to wszystko zmienić w żużel.

Zanim Naomi zdążyła odpowiedzieć, zrobił to Holden.

– Nie, zostaw. Wciąż mamy tam przyjaciół. Na przykład Elvi.

– Och. Powinniśmy po nią wrócić?

Holden pokręcił głową, choć Aleks na niego nie patrzył.

– Nie. Jest tam, gdzie powinna.

Był na statku ledwie od pięciu minut, a już odpowiadał, jakby był kapitanem. Gdyby zwróciła na to uwagę, byłby przerażony. I przeprasający, a w innym kontekście być może oczekiwałaby przeprosin. W końcu była szefową podziemia, mózgiem stojącym za kampanią oraz setką innych, prowadzonych równocześnie operacji. Przyjemność z odzyskania go i poczucia, jak ona, Aleks i statek wracają w utarte tory, była większa, niż mogła wyrazić. To było jak obudzenie się po długim, koszmarnym śnie i odkrycie, że cokolwiek się w nim działo, nie zdarzyło się naprawdę.

Być może był to najpiękniejszy moment w całym jej długim życiu.

Nie mógł trwać długo.

Czuła, jak Aleks prowadzi statek przez atmosferę, sunąc nad okolicą i wznosząc się na tyle, by smuga wylotowa z dyszy przestała stanowić zagrożenie dla ludzi w dole. Kiedy włączył się główny silnik, wystrzelili, lecąc przez resztki atmosfery w światło lakońskiego słońca. W czasie gdy Aleks obliczał ich kurs do pierścienia wrót, Naomi sprawdziła mapę taktyczną, szukając swojej floty. Wszyscy lecieli z bardzo dużym przyspieszeniem. Trzymając się granic tego, co mogło wytrzymać ludzkie ciało, sprawiali, że dogonienie ich przez lakońskie okręty stawało się mniej prawdopodobne. A wrogie jednostki...

Wywołała nakładkę zawierającą pozycje niszczycieli i pancernika klasy *Magnetar*. Poczuli się tak, jakby się obejrzała i zobaczyła wija na ramieniu. Włączyło się ostrzeżenie o namierzeniu, rozcinając jak skalpel radosny nastrój.

– Aleks?

– Zostaliśmy namierzeni. Zajęło nam to za dużo czasu. To *Zawierucha*.

Naomi naniosiła na ekran taktyczny dane z czujników. *Magnetar* bez powiększenia wciąż praktycznie nie był widoczny, będąc ledwie jaśniejszą plamką w ciemności pośrodku jasnej gwiazdy smugi z jego dyszy. Choć nawet z niewielkim powiększeniem zobaczyła taki sam organiczny, nieludzki kształt, jak *Nawałnicy*. Błady jak kość krąg niewyobrażalnie wielkiego zwierzęcia. Taki sam okręt powalił na kolana dwie floty. Jedna fregata z prawie wyczerpaną amunicją nie miała z nim żadnych szans. Radość zmieniła się w pył. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedy oboje wylądują w więzieniu, Duarte pozwoli jej widywać Jima. Czy w ogóle zaoferują im opcję poddania się. Przebicie się przez obronę planetarną wymagało czterech okrętów, z których jeden tego nie przetrwał. A może dwa, w zależności od tego, co się teraz wydarzy.

Przynajmniej *Zawierucha* była ostatnim *Magnetarem*, jaki kiedykolwiek został i zostanie zbudowany. Zniszczyła platformy konstrukcyjne, więc chociaż tyle. Jeśli będzie ją to kosztowało życie – jeśli zginą wszyscy – Bobbie i tak byłaby zadowolona. Niektóre ofiary były warte swojej ceny.

– Mamy połączenie wiązką kierunkową z *Zawieruchy* – zgłosił Ian. Głos drżał mu tylko trochę.

– Odbierzmy – rzuciła Naomi, a Ian się na nią obejrzał. Wyraźnie zobaczyła niepewność w jego oczach. Nie wiedział, czy zamierza ich poddać, czy poprowadzić wszystkich na śmierć. Sama nie była tego do końca pewna. – Już, Kefilwe. Czekać, nie poprawimy sytuacji.

Wyświetlił nadchodzącą wiadomość na wszystkich ekranach, choć tylko ten Naomi mógł też nadawać. Nie wiedziała, czy pokazując rozmowę całej załozie, chciał wyrzucić presję, czy po prostu pomylił się ze zdenerwowania. W sumie żadna różnica.

Kobieta na ekranie była młoda, miała ciemną skórę i proste, krótko ścięte włosy. Była ubrana w lakoński granat z insygniami admirała, w stylu zgodnym z używanymi przez Marsa. Wściekłość w jej oczach dała Naomi bardzo niewiele nadziei.

– Jestem admirał Sandrine Gujarat, dowódca lakońskiego pancernika *Głos zawieruchy*. Macie trzydzieści sekund na zrzuć rdzenia, dezaktywację systemów uzbrojenia i otwarcie śluzy do abordażu. Niewykonanie tych poleceń spowoduje całkowite zniszczenie waszego statku.

Trzydzieści sekund. Naomi buntowniczo uniosła głowę. Jeśli zostanie schwytana, z czasem wyciągną z niej wszystko, co wie. Sieci i kontakty w dziesiątkach układów. Długoterminowe plany i strategie. Wszystko, co stworzyła przez czas spędzony na pracy dla Saby, a potem po zajęciu jego miejsca. Czyniło to z niej doskonałą zdobycz dla wroga. Statek pełen ludzi wstrzymał oddech, czekając na jej decyzję, czy ich wyda, czy każe zginąć. Czuła się tak, jakby miażdżyły ją setki g przyspieszenia, a równocześnie unosiła się w nieważkości.

Jednakże odpowiedzi udzielił głos, który nie należał do niej. Nawet go nie znała.

– Nie, admirał Gujarat. To nie skończy się niczyją zgubą. Proszę natychmiast wstrzymać atak.

Oczy admirał na ekranie zrobiły się większe ze złości, ale i zmieszania. Naomi wykręciła szyję, by zobaczyć, kto się odezwał. Siedziała w pryczy przeciążeniowej, gestykulując, by przesłać jej sterowanie łącznością. Naomi zawahała się, a potem to zrobiła. Gdy na transmisji z *Rosa* pojawiła się twarz dziewczyny, lakońska admirał zbladła.

– Wie pani, kim jestem, pani admirał?

– Ja nie... Wysoki konsul...

– Tak, jestem córką i dziedziczką wysokiego konsula – oświadczyła dziewczyna. – Rozumie już pani. Bardzo dobrze. Jestem na pokładzie *Rosynanta* na prośbę ojca. Pani groźba jest niedorzeczna i rozkazuję pani natychmiast wrócić do przydzielonego pani zadania ochrony macierzystej planety.

Dziewczyna nie mogła mieć jeszcze szesnastu lat, ale w jej głosie brzmiała swobodna arogancja. Naomi obróciła się do Jima i samymi ruchami ust zapytała: „to prawda?”. Uniósł dłonie w pasiarskim geście wzruszenia ramion.

– Panienko – odpowiedziała admirał, odruchowo się przy tym kłaniając – jesteś... Nie wiedziałam... To bardzo nietypowe, panienko. Obawiam się, że nie mogę pozwolić, by ten statek gdziekolwiek odleciał.

Dziewczyna dramatycznie wywróciła oczami.

– Czy jest jakaś procedura? Procedura bezpieczeństwa?

– Przepraszam?

– Na wypadek gdyby coś mi się działo, gdyby przetrzymywano mnie wbrew mojej woli. Grożono mi. Cokolwiek. Czy jest jakiś zwrot, którego powinnam użyć, żeby to wskazać? Coś pozornie niewinnego, co mogłabym włączyć do rozmowy tak, że porywacze by się nie zorientowali?

– Ja... To...

– Odpowiedź brzmi „tak lub nie”, pani admirał. To nie takie trudne.

Jeśli to będzie dalej szło w ten sposób, *Zawierucha* poczęstuje ich atomówką, po prostu żeby pozbyć się dziewczyny.

– Jest, panienko – przyznała admirał Gujarat.

– Czy go użyłam?

– Nie.

– W takim razie możemy uznać, że nie jestem tu pod przymusem. Że coś dzieje się między wysokim konsulem a przywództwem podziemia – coś, w co zostałam wprowadzona, a pani nie. Biorąc to pod uwagę? Proszę. Wrócić. Do. Swoich. Obowiązków.

Kobieta na ekranie wyżej uniosła ramiona.

– Mam rozkazy od admirała Trejo, zgodnie...

– Stop – rzuciła dziewczyna. – Jak się nazywa?

– Kto?

– Admirał Anton Trejo. Jak brzmi jego nazwisko?

– Trejo?

– Właśnie – zgodziła się dziewczyna i nachyliła bliżej kamery, by jej twarz zajęła cały ekran. Odezwała się cicho z wyraźną furią: – Moje to *Duarte*.

– Bardzo przepraszam, panienko – odpowiedziała admirał. – Nie mogę pozwolić, by ten statek odleciał.

– Nie? – warknęła nastolatka. – To proszę mnie zestrzelić. – Zamknęła połączenie i odwróciła się do Aleksa, patrzącego na nią z otwartymi ustami. – Możemy lecieć. Ona jest teraz śmiertelnie przerażona.

– Przygotować się do ostrego ciągu? – ogłosił Aleks nieco niepewnym tonem przez interkom, a dziewczyna ukloniła się uprzejmie i opadła z powrotem na pryczę.

– Jim? – odezwała się Naomi.

– Wiem – powiedział. – To był naprawdę dziwny dzień.

* * *

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – powiedziała Naomi, wchodząc do windy.

Amos zamrugął, a potem wzruszył ramionami.

– Jasne, nie dziwię się, szefowo. Co mogę powiedzieć? Przepraszam.

Osiem godzin ostrego ciągu wyprowadziło ich poza skuteczny zasięg *Zawieruchy*. Piętnaście zwiększyło odległość do wartości, przy której prawie czuła się bezpieczna. Nie *bezpieczna* bezpieczna, ale dość, by mogła sobie wyobrazić opuszczenie mostka i podjęcie próby zrozumienia wszystkiego, co się stało, oraz wysłuchania historii odzyskania Jima i Amosa. I tego, jak w to wszystko wpasowywała się Teresa.

Opowiedzenie im, co działo się podczas ich długich i odrębnych pielgrzymek. Co stracili. Po zebraniu ich czwórki razem Aleks poprosił o ceremonię. Jakby wszechświat dał im szansę, a on martwił się, że jeśli z niej nie skorzysta, znowu w jakiś sposób

ucieknie. Tak więc znowu szła do służby razem z Amosem, jakby wróciła przeszłość. Ale jakby wróciła zmieniona.

Zmiany Amosa były dziwne. Jego skóra była równocześnie blada i ciemna, jakby coś czarnego pomalowano cienką warstwą bieli. Oczy miał całkiem czarne i było coś dziwnego w jego sposobie poruszania się. Jednak po tak długim czasie możliwość myślenia o nim bez cierpienia i niepokoju sprawiała, że modyfikacje wydawały się po prostu ciekawe. Były lepsze od tego, co już w sobie nosiła. Od stracenia go.

– Zadzwońbym wcześniej, ale... Cóż, nie byłem gotowy odejść. Byłem cierpliwy.

– Co się stało?

Wzruszył ramionami.

– Jedno poprowadziło do drugiego. Ale dobrze tu wrócić.

Winda się zatrzymała i wyszła z niej. Amos był krok za nią.

– Jesteś inny.

– Owszem – przyznał, uśmiechając się łagodnie. Co było typową reakcją Amosa. Powiedział to w tak znajomy sposób.

– Czy bomba zawiodła? – zapytała.

– Nie, nic jej nie było.

– To czemu nie wykonałeś zadania? Nie obwiniam cię, ale... Czym się kierowałeś?

Amos znieruchomiał na chwilę, jakby słuchał czegoś niedostępnego dla niej.

– Poznałem dzieciaka – powiedział. – Uznałem, że zabicie jej byłoby główniane. Pomyślałem, że może to zła decyzja. – Wzruszył ramionami.

Naomi podeszła i go objęła. Jakby obejmowała metalowy słup.

– Dobrze mieć cię z powrotem.

Aleks i Holden stali przy wewnętrznych drzwiach służby. Aleks przebrał się w mundur FMRK. Artefakt z innej ery. Jim miał na sobie białą formalną koszulę. Umył włosy i zaczesał je do tyłu. Wyglądał poważnie i dystyngowanie.

Trumna w służbie była tylko powłoką, w zasadzie ledwie workiem na ciało z nieco usztywnioną powłoką. I była pusta.

– Tak zawsze to robiliśmy – oświadczył Aleks teraz, gdy zebrali się razem. – Gdy straciliśmy kogoś bez możliwości odzyskania ciała. I tak poświęcaliśmy tę chwilę.

Spuścił wzrok na pokład. Jim zrobił to samo. Amos przybrał taki sam poważny wyraz twarzy, jaki zawsze stosował w podobnych okolicznościach. Zalała ją fala złożonych uczuć. Smutek i żal, ulga i pustka z powodu straty, której nigdy nie da się uzupełnić.

Aleks odchrząknął i przetarł oczy wierzchem dłoni.

– Bobbie Draper była jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Była marine do szpiku kości. Cokolwiek innego robiła, opierało się właśnie na tym. Była dzielna i honorowa, a do tego silna. Stała się doskonałą kapitan. Pamiętam, gdy Fred Johnson próbował w dawnych czasach zrobić z niej ambasador, a ona ciągle mówiła prawdę prosto w oczy, zamiast bawić się w polityka. Zawsze taka była. Brała się za niemożliwe i udawało jej się to osiągnąć.

Odetchnął głęboko, otworzył usta, jakby chciał mówić dalej, a potem je zamknął i pokręcił głową. W oczach Jima też pojawiły się łzy. I ona także płakała. Czarne oczy Amosa poruszyły się, jakby czytał coś z powietrza, a potem nieco wyżej uniósł głowę.

– Była twardzielką – rzucił, urwał i z satysfakcją kiwnął głową.

– Będziemy za nią tęsknić – powiedziała Naomi. – Od tej chwili. I na zawsze.

Przez chwilę wszyscy stali w ciszy, a potem Jim podszedł do panelu i otworzył zewnętrzne drzwi. Kiedy były już otwarte, małe silniczki chemiczne trumny wysunęły ją na zewnątrz. I zniknęła. Jim z powrotem zamknął śluzę, odwrócił się i podszedł do nich, obejmując ją i Aleksa. Chwilę później objęła ją też znacząca masa ręki Amosa. Cała czwórka stała objęta w kręgu, otoczona szumem i dudnieniami *Rosynanta*. Zostali tak bardzo długo.

* * *

Elementy jej mieszanej floty znajdujące się najbliżej pierścienia wrót przeleciały przez nie na długo, zanim *Ros* przebył połowę drogi

przez układ. Aleks utrzymywał bardzo uciążliwe przyśpieszenie, balansując pozostałą im masę reakcyjną i dystans do przyjaznej bazy zaopatrzeniowej w układzie Gossner. Ich ciąg był nieco mniejszy i robili dłuższe przerwy niż podczas nurkowania do wnętrza układu, ale głównie w celu oszczędzania masy, a także dlatego, że *Zawierucha* i jej niszczyciele zaparkowano blisko Lakonii, gdzie wciąż zestrzeliwały torpedy i wysłane po długich trajektoriach kamienie rzucone w planetę przez ludzi Naomi. Po trzech dniach lotu w stronę wrót ktoś gdzieś nabrał dość odwagi, by wydać rozkaz, i *Zawierucha* wysłała za uciekającym *Rosem* garść torped. Działka obrony punktowej wszystkie zestrzeliły i ten ruch nie został powtórzony.

Kiedy lecieli z ciągiem, Naomi spędzała czas na obliczaniu harmonogramu bezpiecznego przejścia i przesyłaniu go wiązką kierunkową do pozostałych statków. Od początku kampanii do jej końca utracili trzydzieści dwie jednostki, co oznaczało niecałe dwieście osób. Odzyskali Jima i Amosa, wzięli na pokład Teresę Duarte i zniszczyli mechanizm produkcyjny wykorzystywany przez Lakonię do stworzenia potężnej floty. *Zawierucha* wciąż była potężną maszyną wojenną zdolną do przejęcia kontroli nad dowolnym Układem Słonecznym, ale była tylko jedna. Nie mogła atakować gdziekolwiek poza pierścieniami wrót, nie zostawiając Lakonii bez osłony. Została unieruchomiona.

Burza dotarła do pierścienia wrót i przed przejściem wysłała do Naomi formalny salut. Jillian Houston zabierała swój statek do stacji Draper i czekała na nowe rozkazy. Dziwna myśl. Naomi spędziła tyle umysłowej energii i skupienia na wygraniu bitwy, że prawie zapomniała o wszystkim, co przychodziło po niej. Uwolnienie się od Lakonii nie oznaczało – nie mogło oznaczać – powrotu do faktycznych rządów Związku Transportowego. Po pierwsze przepadła stacja Medyna i nikt już nie umieści w przestrzeni wrót trwałej bazy. Po drugie, Lakonia zastąpiła wcześniejszą strukturę handlu i władzy swoją własną.

Jednak otwierały się pewne możliwości. Nie było szans na utrzymanie kluczowego punktu przestrzeni wrót tak jak wcześniej,

z drugiej strony można było stworzyć sieć tanich, łatwych do wymiany przekaźników, informujących o ruchu do środka i na zewnątrz. Statki mogły przynajmniej wiedzieć, jakie mają ryzyko zaginięcia, zanim zdecydują się na przejście. Nie było wielu ludzi decydujących się na przelot przez pierścień wrót ze świadomością, że nie wyłonią się już po drugiej stronie. Jeśli zapewni się ludziom dość informacji, będą w stanie samodzielnie podejmować decyzje. Choć to problem na później. Na razie mogła oglądać smugi z dysz silników floty, która złamała Lakonię, obserwować, jak statki docierają do wrót i nikną jeden po drugim, myśląc: „Bezpieczny. Bezpieczny. Bezpieczny”.

W przerwach między lotem z ostrym ciągiem załoga świętowała oraz, niestety, walczyła. W okresie dużego napięcia przed atakiem Ian Kefilwe wylądował w łóżku z innym młodym mężczyzną – inżynierem Safwanem Corkiem – i teraz zmagali się z trudną sytuacją wynikającą z faktu, że obaj przeżyli. Próbowano się w to nie mieszać, ale raz zobaczyła Jima siedzącego z Ianem w jednym z pustych magazynów na torpedy i słuchającego łkania młodzieńca. Wydawało się to właściwe.

Statek był zaledwie około trzystu tysięcy kilometrów od pierścienia wrót i zostało im już tylko hamowanie, by dopilnować, że bezpiecznie przeleczą i będą mieli czas na manewry po drugiej stronie, nie rozbijając się z dużą prędkością o stację pośrodku strefy. Siły lakońskie nie próbowały ich gonić. Nawet nie słały torped dalekiego zasięgu.

Teresa Duarte była zdumiewającą istotą ludzką. Naomi próbowała nawiązać z nią jakieś relacje, ale skończyło się na jednej próbie. Mieli wtedy przerwę, lecąc z łagodną jedną czwartą g, a Naomi jadła kolację. Widok pełnego kambuza wciąż był dla niej czymś dziwnym. W jej myślach załoga *Rosa* wciąż obejmowała tylko sześć osób.

Teresa siedziała sama, opierając się o ścianę, z miską makaronu w jednej dłoni i pałeczkami w drugiej. Włosy miała zaplecione do tyłu, przez co jej twarz miała ostrzejsze rysy niż zwykle. Nikt przy niej nie siadał, nikt z nią nie rozmawiał. Pewnie dlatego, że nie wiedzieli, co powiedzieć.

Naomi wzięła sobie miskę białego kibble i usiadła naprzeciw dziewczyny. Teresa podniosła wzrok i w jej oczach rozblęła wściekłość, zanim się opanowała.

– Mogę? – zapytała Naomi.

– To twój statek, możesz siadać, gdzie tylko chcesz.

– Przebywanie w takim miejscu musi być trochę dziwne, prawda?

Teresa przytaknęła. Naomi wzięła do ust porcję kibble i zaczęła się zastanawiać, czy będą siedzieć w milczeniu. Teresa pokręciła głową.

– Wszędzie są ludzie. I nie ma gdzie pójść. W domu mogłam być sama, ale tutaj nikt nigdy nie jest sam.

– Są sposoby – rzuciła Naomi, myśląc o kontenerze towarowym. – Ale zwykle było tu mniej tłoczno. Faktycznie zrobiło się trochę pełno.

– Powinniście mieć załogę dwudziestu dwóch osób.

– Zwykle lataliśmy w szóstkę. Czasem w czwórkę.

– Nie podoba mi się tu – oświadczyła Teresa, wstając. – Gdy odlecimy, chcę sobie znaleźć jakieś inne miejsce.

Odeszła, nie mówiąc nic więcej. Nie odstawiła miseczki z niedojedzonym makaronem do recyklera, więc kiedy Naomi zjadła, posprzątała też po niej, a potem pomaszerowała korytarzem do swojej kabiny.

Do ich kabiny.

Jim leżał w pryczy przeciążeniowej. Jego kombinezon miał ciemne plamy od potu pod pachami i wzdłuż pleców. Popatrzył na nią i pokręcił głową.

– Nigdy więcej nie wyjdę tak bardzo z formy – oświadczył. – To jest żalosne.

– Poprawisz się – zapewniła, kładąc się obok niego.

Prycza przesunęła się, uwzględniając dodatkową masę. Za każdym razem, gdy go widziała, czuła, że nie do końca wierzy w to, co widzi. Nie do końca pozwalała sobie wierzyć, że naprawdę wrócił, na wypadek gdyby to wszystko było snem lub fałszywą ulgą. Jakby świat miał znowu jej go odebrać. Powoli się poprawiało, ale nie była pewna, czy kiedykolwiek całkowicie pozbędzie się tego uczucia.

– Widziałam twoją przyjaciółkę w kambuzie – powiedziała. – Odniosłam wrażenie, że ma problemy z dostosowaniem się.

– Cóż, była jedynym dzieckiem galaktycznego boga-cesarza, a teraz je płatki na mocno przestarzałym okręcie. To musi być trudna zmiana sytuacji.

– Co z nią zrobimy, gdy już dotrzemy do stacji zaopatrzeniowej? Wiesz, że jest zbyt ważna, by po prostu ją wypuścić, prawda?

– Nie wiem, czy zdołamy ją zmusić do pozostania. Chyba że zdecydujemy się wsadzić ją do więzienia. Ale są inne opcje.

– Są?

– Było mnóstwo Marsjan, którzy w dawnych czasach nie opowiedzieli się po stronie Duarte'go. Zapewne ma wśród nich jakichś kuzynów. A jeśli będziemy mieć szczęście, niektórzy z nich mogą być terapeutami lub doradcami. Albo... nie wiem. Prowadzić ośrodki rehabilitacyjne.

– A jeśli nie?

– Jeśli nie, to można coś sprokurować. Jeśli pogrzebie się dostatecznie głęboko, to każdy jest z kimś spokrewniony. Po prostu będziemy szukać dość długo, aż znajdziemy powiązanie właściwych osób.

– Mówisz jak Avasarala – skomentowała Naomi.

– Dużo o niej myślałem. Czuję się tak, jakbym miał w głowie jej mniejszą wersję. Miałaś kiedyś takie uczucie?

– Dobrze je znam – przyznała Naomi. – Teresa nie potrzebuje po prostu miejsca, gdzie przygarną ją jacyś przyszywani krewni. Potrzebuje miłości.

– Miała miłość. Ojciec ją kochał. Naprawdę głęboko. Zabrakło jej tak naprawdę poczucia proporcji.

– A ty sprowadziłeś ją tutaj.

– Sama się sprowadziła – odpowiedział. – Tak jak my wszyscy. I to cholerny wrzód na tyłku dla każdego z nas, zawsze gdy coś takiego się dzieje. Wyrastanie poza rodzinę? To ciężka praca nawet w najlepszej sytuacji. A ta taką nie jest.

Przytuliła się do niego, wsuwając mu się pod ramię. Był mokry od potu, ale nie przeszkadzało jej to. Przesunęła palcami po jego czole

i policzku. Obrócił głowę, wciskając ją w jej dłoń, jak kot spragniony pieszczot.

– Myślisz, że nic jej nie będzie? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Poradzi sobie albo nie. Tak czy tak, będzie to zależało od niej. Ale jestem pewien, że kiedy to zrobi, będzie sobą. A to będzie dla niej zwycięstwem. Pomożemy, jeśli będziemy mogli. Jeśli nam pozwoli.

Pojawiło się ostrzeżenie. Przejście przez wrota za pięć minut. Jim westchnął, wstał i zaczął się przebierać w czyste ubranie.

– A co z tobą? – zapytała Naomi.

– Co ze mną?

– Ty sobie poradzisz?

Jim uśmiechnął się z lekkim zmęczeniem w oczach. Lekkim smutkiem.

– Rozegrałem długą, paskudną grę i wygrałem. A po jej wygraniu wróciłem do domu. Rano budzę się z tobą przy boku. Jest doskonale.

Rozdział pięćdziesiąty

Elvi

Dzień po ucieczce Teresy Elvi spędziła godziny przed świtem, oglądając wiadomości. Gdy tylko skończyły się działania bojowe, jeszcze zanim rozdzielono martwych i rannych, zaczęły powstawać historie. Różnice między wiadomościami państwowymi i raportami bezpieczeństwa dostępnymi dla Elvi po walce wywoływały wrażenie, że doszło do dwóch różnych bitew. Jednostki separatystycznych terrorystów, śledzonych podczas ucieczki do pierścienia wrót, zostały odparte przez przemożne siły lakońskiej floty. Albo przeciwnik osiągnął wszystkie swoje cele i wycofał się z własnej woli. Orbitalne platformy obronne i naziemne stanowiska dział szynowych skutecznie obroniły Lakonię przed desperacką próbą ataku samobójczego. Albo też zignorowano leżące u podstaw projektowych założenie, że platformy i działa będą stanowić tylko chwilowe wsparcie obrony zapewnianej przez flotę. A straty przeciwnika, choć rzeczywiste, trudno było uznać za katastrofalne. Wróg uciekał, a zagrożenia dla Lakonii wymagały w zasadzie jedynie prac porządkowych. Albo *Zawierucha* została uwięziona w pobliżu planety na przewidywalną przyszłość, podczas gdy garstka niszczycieli polowała na torpedy i kamienie posłane w stronę planety, z których każda mogła doprowadzić do potężnych zniszczeń.

Największym kłamstwem – wręcz zapierającym dech w piersi – było stwierdzenie, że platformy konstrukcyjne wyłączono, nim

zostały zaatakowane, a teraz są doprowadzane do aktywności w tajnej lokalizacji, by ochronić je przed kolejnymi atakami. Pozostałe historie dotyczące bitwy mogły być naciąganiem faktów, ale platformy konstrukcyjne już nie istniały. Nie było takiej wersji rzeczywistości, w której prawdą było twierdzenie rządu o ich przetrwaniu. Stocznie Lakonii zmieniły się w chmury odłamków rozproszonych na orbicie wokół planety i nie sprawią wszystkie króla konie i żołnierze, że w całość znów się je zbierze.

Do tego dochodziło to wszystko, o czym wiadomości po prostu w ogóle nie wspominały: że korweta przeciwnika wylądowała w odległości rzutu kamieniem od Budynku Rządowego. Że córka wysokiego konsula uciekła z wrogiem w ramach tego, co być może stało się rekordowym w dziejach ludzkości aktem buntu nastolatki. Że uciekł także więzień przetrzymywany w Budynku Rządowym.

A przynajmniej ten jeden więzień.

– Pani major? – odezwał się młody mężczyzna. – Admirał Trejo czeka na panią.

Lobby było przestronne, z kolumnami w kolorze piaskowca i rozstawionymi fotelami i kanapami mogącymi pomieścić przynajmniej sto osób. Była w nim sama.

– Doktor – powiedziała Elvi.

Młodzieniec wyglądał na zmieszanego.

– Przepraszam?

– Wolę, żeby tytułować mnie panią doktor. Major to stopień honorowy, na doktorat zapracowałam.

– Tak jest, doktor Okoye. Oczywiście. Admirał...

– Czeka na mnie – dokończyła, wstając i obciągając bluzę. – Proszę prowadzić.

Spotkanie nie odbyło się w jednym ze zwykłych pokoiów. Bez formalnego biurka, ekranu przestrzennego, żadnego tłumku ludzi chylących czoło przed potęgą państwa i walczących o swój status. Byli tylko Trejo i ona w prywatnej jadalni. Jadł proste śniadanie składające się z kawy, owocu i lukrowanego ciastka, z drugim takim samym zestawem przygotowanym dla niej. Zajmujące niemal całą ścianę okno wychodziło na zasypane śniegiem tereny ogrodów

i poza nie, aż po sam horyzont. Trochę nieprzyzwoicie było myśleć o przemocy, która tym wszystkim wstrząsnęła. Fakt, że nie znajdowali się pod ziemią w jakimś specjalnym schronie, wydawał się kolejnym rodzajem kłamstwa.

– Admirale – przywitała go, siadając. Młodzieniec natychmiast wyszedł. Trejo osobiście nalał jej kawę.

– Znaleźliśmy Ilicha – powiedział na powitanie admirał. – A w każdym razie jego ciało. Został zamordowany przez separatystów wraz z dwoma gwardzistami.

Elvi czekała, czy w związku z tym coś poczuje. Znajomy, profesjonalnie troskliwy mężczyzna, z którym współpracowała, był martwy. Nigdy więcej go nie zobaczy. Nie pierwszy raz straciła współpracownika. W czasach, nim ktokolwiek nazwał ją majorem, uczyła na uniwersytecie, na którym w trakcie jednego semestru zginęło trzech członków wydziału. Straciła większość personelu naukowego na *Jastrzębiu*, co było druzgocące. To nie było. Tam, gdzie powinna znaleźć szok i smutek, odkryła tylko niezmierzone pokłady urazy. Nie była do końca pewna, komu ją przypisywała. Duarte. Trejo. Holdenowi. Im wszystkim razem.

– Szkoda – powiedziała, bo miała wrażenie, że powinna to jakoś skomentować.

– Był lojalny względem imperium – odpowiedział Trejo. – Niezależnie od jego wad, tego mu nie można odmówić.

Nie wiedziała, jak miałyby to skomentować, więc milczała.

– Nasza sytuacja ponownie uległa zmianie – oświadczył Trejo i urwał, by podmuchać na powierzchnię kawy.

Nie wyglądał tylko na wyczerpanego, wydawał się o wiele lat starszy, niż kiedy tu przybył, a już wtedy sytuacja była fatalna. Jeszcze kilka takich lat i Trejo stanie się najstarszym żyjącym człowiekiem, niezależnie od fizycznej długości życia. Przypomniała się jej legenda o kimś, kto zażyczył sobie wiecznego życia, ale zapomniał poprosić o wieczną młodość na dokładkę. W opowieści człowiek ten stopniowo kurczył się i malał, aż zmienił się w cykadę. Zaciekawilo ją, czy Fayez wie, kogo oryginalnie dotyczyła ta opowieść.

Znowu uświadomiła sobie, że Trejo czeka na jej odpowiedź. Nie wiedziała, co miałyby powiedzieć, i nie bardzo ją to obchodziło.

– Dobrze się pani czuje, majorze?

– Pani doktor – skorygowała. – Chyba lepiej byłoby, gdyby używał pan tytułu naukowego. I dobrze się czuję, po prostu miałam ostatnio sporo na głowie. Z pewnością pan rozumie.

– Owszem, zdecydowanie rozumiem – potwierdził. – Platformy konstrukcyjne. Patykowe księżyce, jak je nazywają. To właśnie one zwróciły uwagę wysokiego konsula na Lakonię. Wiedziała pani? Zobaczył je w pierwszej fali skanów, które dotarły do nas po otwarciu wrót. W jednej z nich był częściowo zbudowany pojazd, a przynajmniej coś, co wyglądało na pojazd.

– Słyszałam – przyznała Elvi. Kawa była dobra, choć ciastko trochę zbyt słodkie jak na jej preferencje.

– To one stanowią podstawę potęgi Lakonii.

Jezu Chryste, pomyślała Elvi. Czy Trejo zawsze był taki świętoszkowaty, a ona po prostu tego nie zauważyła? A może po prostu była teraz zbyt rozdrażniona.

– Wbili nam bramkę – powiedział. – To im muszę przyznać. Wymyślili brzydką sztuczkę, a my daliśmy się na nią nabrać. Raz. Więcej się to nie powtórzy. Musi pani odstawić inne sprawy, którymi się teraz pani zajmuje. Na razie. Wiem, co zamierza pani teraz powiedzieć. „Kolejny najwyższy priorytet”.

– Owszem, od tego bym zaczęła – zgodziła się Elvi.

– Utrata tych platform oznacza utratę najpotężniejszych statków stworzonych przez ludzkość. To utrata produkcji antymaterii, utrata zbiorników regeneracyjnych. Bez nich tracimy zdolność do projekcji naszej siły poza ten układ. Niezależnie od tego, czy walczymy przeciwko terrorystom, czy rzeczom poza wrotami pierścieni, potrzebujemy tych zdolności.

– Czyli odkładamy na półkę to, czym stał się wysoki konsul – skomentowała. – Odkrycie natury przeciwnika oraz dziwnych ataków na cały układ także idzie w odstawkę. Tajemnica nieśmiertelności? Odłożona.

– Słyszę frustrację w pani głosie i ją dzielam – stwierdził Trejo – ale pozostaje faktem...

– Nie, nie przeszkadza mi to. Ale głównym priorytetem nie jest produkcja broni – odparła. Wyjęła swój terminal, wywołała notatki i mu go podała. – To tutaj? To jest mój priorytet.

Trejo zmarszczył się, patrząc na ekran, jakby oferowała mu jakiegoś wyjątkowo nieprzyjemnego owada.

– Układ Andro?

– Wielki zielony diament wyglądający, jakby zawierał zapis całej cywilizacji protomolekuły. Wzlot i upadek. Zapewne osiągnęłabym najlepsze wyniki, gdyby naprawiono *Jastrzębia* i obsadzono go zespołem dobranym specjalnie na potrzeby tego projektu. Przygotowałam już listę nazwisk. Prześlę ją panu.

– Doktor Okoye...

– Rozumiem, że nie mogę pana do niczego zmusić, ale jestem przekonana, że wszystkie problemy, z którymi próbujemy sobie poradzić, są powiązane, a to – wskazała schemat olbrzymiego diamentu – wygląda bardziej jak kamień z Rosetty niż cokolwiek innego. Czyli właśnie tam skupię swoje wysiłki. W mojej profesjonalnej ocenie ma to znacznie więcej sensu niż szykowanie większych wybuchów albo poszukiwanie fontanny młodości.

Trejo odłożył ręczny terminal. Poruszył przy tym filiżankę, z której kawa wylała się na biały obrus.

– Prowadzimy wojnę...

– Tak, tym też powinien się pan zająć.

– Przepraszam?

– Powinien pan przestać prowadzić wojnę. Wysłać podziemi koszyk owoców czy coś takiego. Rozpocząć rozmowy pokojowe. Nie wiem, nie jestem pewna, jak to działa. Mówiłam to już wcześniej i nie cofam swoich słów. Jeśli chce pan pokoju, proszę przegrać z wdziękiem. Mamy większe problemy.

Dojadła ciastko i popiła resztkami kawy z filiżanki. Smakowało lepiej z goryczą spłukującą słodycz z ust. Trejo patrzył na nią z kamienną twarzą. Wstała.

– Niech pan robi to, co uważa za konieczne. Idę przygotować się do pracy, a potem będę w laboratorium na uniwersytecie. Jeśli chce mnie pan wrzucić do więzienia za niesubordynację, lub jak się to tam nazywa po wojskowemu, tam mnie pan znajdzie. Ale jeśli chce pan to naprawić, proszę dać mi znać, kiedy będzie można przygotować *Jastrzębia*, a ja zdam panu raport ze wszystkiego, co odkryję.

Nie odpowiedział. Ukłoniła się uprzejmie i wyszła. Miała nadzieję, że poczuje się lepiej, i faktycznie tak było, choć tylko trochę.

Rozległe niebo Lakonii oczyściło się. Zniknęły śnieżne chmury, a powietrze było rześkie, niosąc tylko ślad miętowej woni świeżo poruszonej lakońskiej gleby. Chmura – albo stado – czegoś przemknęło wysoko na niebie, znikając na tle słońca i pojawiając się znowu we wspólnej drodze na południe. Jakieś organizmy podążające za gradientem temperatury, substancji odżywczych lub kierując się jakąś bardziej egzotyczną potrzebą, o której nic nie wiedziała. O której nikt nie wiedział. Jeszcze.

Choć kiedyś ją poznają. Jeśli zdoła to wszystko naprawić.

Fayez już nie spał, gdy wróciła do ich mieszkania. Siedział na brzegu łóżka w miękkiej bawełnianej piżamie zapewnianej gratis przez imperium lakońskie. Masował nową stopę zgodnie z zaleceniami lekarza. Popatrzył na nią zmartwiony. On też nie spał od poprzedniej nocy. Wrócili do swoich pokoi zmęczeni i zmarznięci, pogrążeni także w innym rodzaju szoku. Była pionkiem w partii szachów Holdena. A Holden doprowadził ją do ostatniego rzędu i promował na królową.

– I co? Jak się ma Trejo? – zapytał Fayez, niepewnie i z nadzieją. – Wygnał nas?

– Nic z tych rzeczy – odparła Elvi. – Może później.

– Mimo wszystko moglibyśmy odejść.

Tylko częściowo żartował. Wyobraziła sobie, jak by to wyglądało. Odzyskanie *Jastrzębia*. Albo właściwie dostanie się na dowolny statek. Gdyby wydostali się z Lakonii, mogliby udać się gdziekolwiek. Trejo nie miałby zasobów, żeby ich ścigać. Nie teraz. Mogliby wrócić

do Sol, polecieć do Bara Gaon albo jednej z nowych, walczących o byt kolonii. Mogliby zostawić za sobą te wszystkie bzdury.

Tylko że tam gdzieś było coś szukające sposobu na zgaszenie umysłów ich wszystkich, a nie było lepszego miejsca na walkę z nim niż to tutaj. Jej więzieniem nie była Lakonia, strażnikiem nie był Trejo. To, co odebrało jej wszelki wybór, to tajemnica tak ewidentnie wymagająca rozwiązania, a ona była najlepszą do tego osobą.

Łagodnie pocałowała męża w usta. Kiedy się odsunęła, z jego oczu zniknęło całe rozbawienie. Zbyt długo byli razem. Byli wspólnie bardzo różnymi ludźmi. Czowała nadchodzącą kolejną zmianę. Wkraczała teraz w nową część życia. A to znaczyło odpuszczenie sobie wszystkich opowiastek o tym, jak to zostawała tu tylko ze strachu przed władzami. Władze zostały złamane. Była tu, bo się na to zdecydowała, a to wszystko zmieniało.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, że miałeś nadzieję na spokojną emeryturę gdzieś, gdzie oboje moglibyśmy pracować naukowo.

– Albo jedno z nas – rzucił. – Nie jestem pazerny.

– Nie jest to nam pisane. I przepraszam.

Fayez westchnął i skrzyżował nogi.

– Jeśli nie, to nie. Wciąż mam ciebie?

– Zawsze.

– To wystarczy – rzucił, a potem poklepał materac obok siebie.

– Muszę iść.

– Sprzeczne sygnały – skomentował.

– Wrócę po pracy.

– Teraz tak mówisz, ale cię znam. Znajdziesz coś ciekawego i zostaniesz tam, drążąc temat do północy, a kiedy w końcu wrócisz do domu, będzie pora znowu wychodzić.

– Pewnie masz rację.

– To dlatego wszyscy cię potrzebują – powiedział Fayez. – Dlatego ja też cię potrzebuję. Kiedy będziesz miała dość, będę tutaj.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Przepraszam, że nie mogliśmy uciec razem.

– Może w następnym życiu.

* * *

Wszechświat jest zawsze dziwniejszy, niż myślisz.

Nie miało znaczenia, jak rozległą miała wyobraźnię, jak cyniczną, radosną i otwartą, jak dobrze wyedukowaną i dziką. Wszechświat zawsze był dziwniejszy. Każde marzenie, każda wizja, niezależnie od tego, jak bujna i nieprawdopodobna, w końcu okazywała się zbyt skromna.

Elvi urodziła się w układzie z jedną gwiazdą i garstką planet. Studiowała egzobiologię, gdy wciąż była to teoretyczna dziedzina wiedzy. Zaraz po obronie doktoratu jej największym marzeniem było uzyskanie stypendium badawczego i może – co byłoby ukoronowaniem jej najdzikszych nadziei – znalezienie jakichś twardego dowodów na to, że życie wyewoluowało tam niezależnie. Byłaby to najbardziej zdumiewająca, najważniejsza rzecz, jaką mogła sobie wyobrazić. Znalazłaby miejsce w historii nauki jako kobieta, która odkryła żyjące struktury pochodzące z miejsca innego niż Ziemia.

Z perspektywy czasu jej marzenie wydawało się niemożliwie skromne.

W laboratorium zatrzymała się na długą rozmowę z doktorem Ochidą. Chciała podsumowania wszystkich prowadzonych badań – na czym stoją, kto prowadzi projekty, jakie miał zdanie na temat planów projektów. Nie zrobiła tego nawet po śmierci Cortázara. Nie zachowywała się, jakby to ona miała kierować laboratorium. Teraz to zrobiła, a Ochida nie zaprotestował. Co zapewne oznaczało, że faktycznie mu przewodzi.

W każdym razie odpowiedział na wszystkie jej pytania, a Trejo nie przysłał żadnych straży, żeby ją stąd zabrali. A to z kolei znaczyło, że w praktyce kontroluje najbardziej zaawansowaną placówkę badawczą w historii ludzkości. A jeśli dziesięciolecia spędzone w instytucjach naukowych czegoś ją nauczyły, to tego, że władza oznacza zasady.

– Będziemy musieli wprowadzić pewne zmiany – oznajmiła. – Zamykamy Stodołę.

Ochida zamilkł. Mogłaby powiedzieć, że wszystkie zespoły badawcze muszą od teraz chodzić na rękach, a jej rozmówca byłby mniej wstrząśnięty.

– Ale protomolekuła... zapasy...

– Mamy dość – powiedziała. – Powody zbierania kolejnego materiału zginęły wraz ze zniszczeniem platform konstrukcyjnych.

– Ale... więźniowie. Co z nimi zrobimy?

– Nie jesteśmy katami – odparła Elvi. – Nigdy nie powinniśmy byli nimi być. Kiedy przyjdą gwardziści, proszę im powiedzieć, że nie przyjmujemy więźnia. Jeśli Trejo będzie chciał ustawić tych ludzi pod ścianą i ich zastrzelić, w żaden sposób nie mogę temu zapobiec, ale mogę oświadczyć, że tego nie popieram. I nie będziemy opierać na tym naszych badań. Od tej pory świadoma zgoda albo praca z drożdżami.

– To jest... to będzie...

– Szybkość nie jest jedyną miarą postępu, doktorze – oświadczyła Elvi. Ale po jego oczach poznała, że nie wiedział, co miała na myśli. – Po prostu proszę tego dopilnować. W porządku?

– Tak jest, doktor Okoye. Jak pani sobie życzy. – Uciekając, prawie zginał się w pas.

„Wszechświat jest zawsze dziwniejszy, niż myślisz”. Elvi poszła do prywatnego laboratorium. Miała tyle rzeczy do zrobienia, tyle potencjalnych kierunków, które należało zbadać. Mogła utrzymać stan Duarte'go w tajemnicy lub utworzyć własną grupę badawczą, ściągając najlepsze umysły z Lakonii. Konspiracja Trejo i tak skurczyła się już tylko do ich dwojga i Kelly'ego. A po ucieczce Teresy w towarzystwie cholernego Jamesa Holdena traktowanie tego jak tajemnicy państwowej z każdą chwilą wydawało się bardziej niedorzeczne.

Teraz, gdy należało do niej, krzesło wydało się wygodniejsze. Wiedziała, że tak naprawdę to nie ono się zmieniło, a ona. Wywołała listę czekających wiadomości i je przejrzała. Najnowsza pochodziła

ze stoczni, z informacją o przebiegu prac przy *Jastrzębiu*. Uznała to za gałązkę oliwną ze strony Trejo.

Poczuła, jak w miarę czytania kolejnych wiadomości robi się spokojniejsza. Bardziej skupiona. Skomplikowany, mroczny świat polityki i intryg oddalał się, a jego miejsce zajął skomplikowany, tajemniczy świat procedur badawczych i obcych biologii. Odniosła wrażenie, jakby wróciła do domu. Fayez miał rację. Jeśli nie będzie uważać, zostanie tu do rana. Jednakże cokolwiek zrobi, niezależnie od wybranej dalej ścieżki, pierwszy krok był taki sam. Nawet jeśli był to zły pomysł, był konieczny.

Czarnookie dzieci obserwowały ją, gdy podchodziła do ich klatki. Cara wstała i wyszła jej na powitanie, jak często robiła. Gdy Elvi odblokowała zamek i rozsunęła drzwi klatki, Cara zapatrzyła się na nie zmieszana. Jej młodszy brat podszedł do boku dziewczyny i wsunął swoją dłoń w jej. Elvi cofnęła się, kiwając im głową. Dwoje dzieci wyszło wolno z klatki, po raz pierwszy od dziesięcioleci. Drobną pierś Ksana poruszała się, gdy gwałtownie oddychał pełen emocji. Po szarawym policzku Cary spłynęła łza.

– Naprawdę? – wyszeptała. Jej pytanie znaczyło: „Naprawdę jesteście wolni?”.

– Są pewne sprawy, nad którymi muszę popracować – powiedziała Elvi, odkrywając, że jej głos też drży. – Miałam nadzieję, że moglibyście mi pomóc.

Epilog

Holden

Holden leżał z zamkniętymi oczami przypięty do automatycznego lekarza. Na statku panowała nieważkość, by oszczędzać resztki masy odrzutowej. Nie miał nic przeciwko. Brak ciężenia był sięgającym głębi ciała potwierdzeniem, że nie znajduje się już na Lakonii. Za to go kochał.

Maszyna tykała i szumiała w nieco rozczarowany sposób, jakby próbowała mu powiedzieć, że powinien więcej ćwiczyć i ograniczyć spożywanie soli. W tle rozbrzmiewały głosy. Ostatnio w tle zawsze były jakieś głosy. Po tylu latach z podstawową załogą posiadanie pełnej obsady było jak przyjęcie, na które przyszło za dużo ludzi, ale nikt nie chciał wyjść.

W lewą rękę wbiła się igła i automatyczny lekarz mlasnął coś pod mechanicznym nosem, pompując dobraną dla niego mieszankę środków przeciwnowotworowych, powstrzymujących starzenie i stabilizatorów ciśnienia krwi. Oraz pewnie coś na ukojenie nerwów. Bóg wiedział, że mu się należało. Chłód w ręce wywołał mrowienie na wargach i poczuł coś, co jego mózg spróbował zinterpretować jako orzeszki ziemne. Kiedy było po wszystkim, igła się wysunęła z żyły, a maszyna rozłożyła wąski skaner na ruchomym ramieniu i przesunęła nim wzdłuż jego twarzy. Na ekranie pojawił się obraz czaszki z nowym wzrostem na zielono.

– Wszystkie części we właściwych miejscach? – Naomi zapytała od drzwi.

– Większość – odparł, a skaner zapiszczał na niego karcąco. Został w bezruchu do zakończenia obrazowania. Odezwał się znowu dopiero, gdy ramię zostało złożone. – Czuję się cholernie nieprzyzwoicie, ząbkując w tym wieku.

– No cóż, wybili ci zęby – skomentowała Naomi. Powiedziała to łagodnym tonem, ale usłyszał w jej głosie żądzę mordy. Umniejszył tę sprawę, ale wiedziała. Przez cały czas znajdowania się pod kontrolą Lakonii ze wszystkiego żartował. Ustanowił dla siebie zasady, by jego bezradność nie zmieniła się w rozpacz. Knuł, planował i rozglądał się za okazjami. Teraz się to skończyło, a na niego wciąż czekało to wszystko, czego bardzo starannie nie chciał czuć.

– Mój tata mawiał coś, gdy podróżował – powiedział Holden, gdy automatyczny lekarz zakończył cykl.

– Który?

– Ojciec Caesar. Mawiał, że gdy za szybko dotrzesz gdzieś daleko, twoja dusza potrzebuje czasu, żeby cię dogonić.

Naomi zmarszczyła brwi.

– Sądziłam, że na tej podstawie fanatycy religijni argumentowali, że Pasiarze nie mają dusz.

– To całkiem możliwe – zgodził się Holden. – Ale ojciec Caesar mówił wyłącznie o zmianie stref czasowych. W każdym razie myślałem po prostu o... zmianie. Wiesz?

Nie rozmawiał wiele o dniu, w którym został aresztowany. Z nikim poza Naomi. Zabrano go do aresztu w Medynie i przesłuchiowano. Nie był pewien, czy spędzi resztę życia w celi, czy zamordują go jako ostrzeżenie dla innych. A potem gubernator Singh wysłał go na Lakonię w celu przesłuchiwania w sprawie obcych, którzy zbudowali wrota, i tych drugich obcych, którzy ich zabili. Przez pierwszą część tego wszystkiego, a potem okazjonalnie przez cały czas uwięzienia nachodziło go poczucie, że nic z tego nie dzieje się naprawdę. Albo że się dzieje, ale nie jemu. Stał się kimś innym. Bycie więźniem na jakiś czas uczyniło go nieco szalonym i wciąż się z tego nie otrząsnął. Nie do końca. Jednakże każdego dnia, gdy budził się na *Rosie*, mając przy boku Naomi i Aleksa na fotelu

pilota, czuł się odrobinę bliżej normalności. Jego dusza docierała trochę bliżej, w szerokim, metaforycznym sensie.

Naomi odepchnęła się, podlegała do niego i wyhamowała z podświadomym wdziękiem kogoś urodzonego do nieważkości. Uścisnęła jego dłoń. Ostatnio robiła to często, a jemu się to bardzo podobało. Zwłaszcza gdy budził się w środku nocy, zbyt nieprzytomny, by wiedzieć, gdzie jest, i zaczynał panikować, że strażnicy znowu przyjdą go bić. Jej głos go uspokajał, ale dotyk dłoni działał szybciej.

– Za jakieś czterdzieści minut zaczniemy hamować – powiedziała.

– Ostro?

– Aleks mówi, że jakieś trzy czwarte g. Będzie dobrze, ale pomyślałam, że i tak ci powiem.

– Nie będziemy uwięzieni przez wiele godzin w jednej pryczy.

– A w każdym razie nie przez to – przyznała.

Nie wiedział, czy nawiązania do seksu były szczerze, czy po prostu stanowiły jeszcze jeden sposób powiedzenia mu, że wrócił do domu. I tak go to uspokoiło.

– Tak między nami? – odezwał się. – Ucieszę się, gdy znowu zostaniemy sami. To mili ludzie, ale nie rodzina, wiesz?

– Wiem – potwierdziła. – Ale... może będziemy musieli porozmawiać o zatrudnieniu kogoś. Skoro nie ma Clarissy i Bobbie.

– Jasne – rzucił. – Pomyślimy o tym. – Ale nie teraz. Później. Gdy będę w stanie.

Wszystko usłyszała.

– Pójdę sprawdzić linie chłodziwa – powiedziała. – Te dzieciaki dorastały na nowszych statkach, nie są przyzwyczajone do naszych tolerancji na temperaturę.

– Dobrze – zgodził się Holden. – Dokończę to i pójdę na mostek.

– Brzmi nieźle – rzuciła i odepchnęła się do tyłu, nie spuszczać z niego wzroku w drodze do drzwi, a potem złapała się ich.

Kiedy zniknęła, automatyczny lekarz zadzwonił, pozwalając mu się odpiąć. Poruszał się powoli nie z powodu bólu, tylko dlatego, że lubił uczucie uwalniania się. Raport był już na ekranie, gdy skończył. W sumie wyglądało to całkiem nieźle. Wywołał dokumentację od

chwili powrotu na *Rosa* i wszystkie linie trendów biegły w odpowiednią stronę. Zatem miał to przed sobą w czystych, jasnych liniach. Jego dusza w drodze z powrotem.

Dobrze będzie znowu poczuć się sobą. Naomi utknęła jako główna koordynatorka podziemia przechodzącego do tego, co miało teraz przyjść, ale bardzo jasno dała do zrozumienia, że stanowisko kapitan okrętu bojowego podczas kampanii już jej zdecydowanie nie interesuje. Fotel kapitański *Rosynanta* należał do niego. Choć formalnie, ponieważ nadal była admirał floty ruchu oporu, jego tytuł kapitański był raczej honorowym tytułem. Mimo wszystko wiązały się z nim pewne obowiązki, nawet jeśli nie teraz, to wkrótce.

Zawahał się, a potem wywołał dokumentację Amosa. Nie było żadnych danych. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Nie chciał odbywać rozmowy, ale będzie musiał. Jeśli znowu ma być kapitanem, będzie musiał wziąć na barki wszystko, co się z tym wiąże.

Najpierw wstąpił do kambuza po bańkę kawy i wydrukowany kawałek czegoś, co system nazwał grzybowym bekonem. Koło stołu unosiło się troje nowych członków załogi i czuł, że przyglądają mu się tak, jak robili to czasem ludzie w barach lub korytarzach stacji. „Czy to James Holden?”. Wcześniej potrafił to ignorować, ale teraz odczuwał ich uwagę, jakby kierowali na niego dmuchawę z gorącym powietrzem. Udał, że nie zauważył ich zainteresowania, i skierował się do warsztatu.

Piżmak unosiła się w środku pomieszczenia, mając na zadzie skomplikowaną pieluchę z dziurą na ogon. Zaczęła nim machać, gdy tylko Holden wszedł do środka. Energiczne ruchy wprowadziły ją w ruch wirowy wokół jej środka masy definiowanego przez większe i głównie nieruchome ciało oraz mniejszy i szybko ruszający się ogon. Holden rzucił jej do pyska kawałek bekonu wielkości palca, a ona radośnie go złapała.

– Robisz się w tym coraz lepsza – skomentował, patrząc na głośno mlaskającego czworonoga.

Warsztat był mu doskonale znajomy. Zapach wysokiej klasy smarów i resztkowe ciepło drukarek, a do tego był stary. Na swoim

miejscu wciąż wisiała tabliczka: ON DBA O CIEBIE – TY DBASZ O NIEGO.

Z wnętrza ściany dobiegły dźwięki, dwa ostre, mocne uderzenia, a potem stęknienie. Szuranie spowodowane przesuwaniem się ciała przez kanał techniczny.

– Cześć, kapitanie – rzucił Amos, wysuwając się spod pokładu. W jednej ręce trzymał klucz, w drugiej filtr powietrza. Jego skóra miała nieprzyjemnie szary odcień, przez co wyglądał, jakby zmarzł. Jak u topielca.

– Wszystko dobrze idzie? – zapytał Holden, z wymuszoną swobodą wskazując psa.

– Jak dotąd. Okazuje się, że sporo ludzi myślało o tym, jak radzić sobie z psami na statku. Przyglądam się rozwiązaniom, na które wpadli. – Zostawił narzędzia w powietrzu i podrapał uszy Piżmak, drugą ręką przytrzymując jej szczękę, żeby nie odleciała.

– Wydaje się skomplikowane – skomentował Holden.

– Nie ma w tym zbyt dużo godności. Zbieram zestaw podróży dla Tyciej. Pomyślałem, że zabierze ją ze sobą, dokądkolwiek się uda. Największy problem to filtry. Wychodzi na to, że psy zrzucają mnóstwo futra, które szybko zapycha standardowe wymienniki, jeśli się go najpierw nie złapie.

Holden złapał się uchwytu na ścianie. Piżmak próbowała obrócić się do niego, ale nie miała od czego się odepchnąć.

– Słyszałeś o jakichś planach Teresy? – zainteresował się Holden, unikając tematu, dla którego tu przyszedł.

Mechanik z powrotem złapał filtr powietrza i zaczął przesuwać kciukiem po jego brzegu, kontrolując go dotykiem. Czerń oczu sprawiała, że trudno było stwierdzić, gdzie dokładnie patrzy.

– Nie. Ostatnio widziałem ją, jak rozmawiała z Aleksem i jednym z nowych dzieciaków o marsjańskich kanałach rozrywkowych. Najwyraźniej Kit w jej wieku oglądał jeden z jej ulubionych. Tycia chyba lubi mieć coś wspólnego z ludźmi, nawet jeśli to tylko takie same filmy.

– Byłem dzisiaj w ambulatorium – rzucił Holden. – Zauważyłem, że ty tam nie wstępowałaś.

– No cóż. Automat nie bardzo wie, co teraz ze mną zrobić.

– Właśnie – potwierdził Holden. – W tej sprawie. – Zawahał się. Nie wiedział, jak zapytać, czy to, co przed nim stoi, wciąż naprawdę jest Amosem.

– To co ci chodzi po głowie?

– Naprawdę jesteś jeszcze Amosem?

– Tak.

– Nie, no wiesz. Amos... zginął. Został zabity. A potem drony naprawcze wzięły ciało i... Muszę wiedzieć, czy naprawdę jesteś Amosem Burtonem? Amosem, którego znałem.

– Jasne. Coś jeszcze?

Holden kiwnął głową, bardziej do siebie niż kogoś innego. Piżmak zaskomlała i próbowała do niego podpłynąć, machając łapami w powietrzu. Sięgnął i przyciągnął do siebie sukę, zapierając o swoje kolano i klepiąc po plecach.

– Po prostu uważam, że to ważne.

– Mam wrażenie, że nie umiesz przyjąć potwierdzenia za odpowiedź, kapitanie. Ja tak na to patrzę. Owszem, zaliczyłem coś bardzo dziwnego. Zmieniło mnie to. Wiem teraz rzeczy, których wcześniej nie wiedziałem.

– Jakie rzeczy? – zapytał Holden, ale Amos zbył go machnięciem.

– Rzecz w tym, że ty też masz za sobą sporo dziwnych spraw. Zmieniłeś się. Wiesz rzeczy, których wcześniej nie wiedziałeś. Naomi i Aleks? To samo. Cholera, nawet Tycia jest ledwie spokrewniona z osobą, którą była, gdy pierwszy raz ją spotkałem. To po prostu życie. – Amos wzruszył ramionami. – Pewnie pies niezbyt się zmienia, poza tym, że trochę posiwiiał przy pysku.

Piżmak zamachała ogonem.

– Jeśli chcesz zrobić z tego pytanie filozoficzne, proszę bardzo – rzucił Amos. – Ale jeśli pytasz, czy wciąż jestem mną, to jestem.

Holden przytaknął.

– Dobra. Musiałem zapytać.

– Żaden problem – stwierdził Amos.

Holden ostatni raz podrapał Piżmak. W powietrze wzbiła się chmurka futra, z włosami trzymającymi się razem w złożonej sieci,

dryfując w stronę wymiennika powietrza.

– Rozumiem, co mówisz. Aleks zacznie hamowanie za jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści minut.

– Do tego czasu nas zabezpieczę – zapewnił Amos.

Holden przeciągnął się do drzwi. Miał już wyjść, gdy zatrzymały go słowa Amosa.

– Ale jedna sprawa.

Zaparł się w drzwiach. Amos skierował na niego spojrzenie czarnych oczu.

– Jasne.

– Te rzeczy, które wkurzył Duarte? Te, które zjadły Medynę?

– Wiem, o kogo ci chodzi – potwierdził Holden.

– Jedna z rzeczy, które teraz wiem, to fakt, że zamierzają wszystkich zabić.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Owszem – potwierdził Holden. – Ja też to wiem.

Podziękowania

Choć napisanie każdej książki jest aktywnością znacznie mniej samotną, niż mogłoby się zdawać, w ciągu ostatnich kilku lat znacząco wzrosła liczba osób zaangażowanych w „Expanse” we wszystkich ucieleśnieniach cyklu, włącznie z tym. Ta książka nie powstałaby bez ciężkiej pracy i poświęcenia Danny’ego i Heather Baror, Bradleya Englerta, Tima Holmana, Anne Clarke, Ellen Wright, Alex Lencicki i całej genialnej ekipy wydawnictwa Orbit. Szczególne podziękowania także dla Carrie Vaughn, za jej usługi czytania wstępnej wersji tekstu, i grupie z Sakeriver: Tomowi, Sake Mike’owi, Non-Sake Mike’owi, Jim-me, Porterowi, Scottowi, Raji, Jeffowi, Markowi, Danowi, Joe i Erikowi Slaine, którzy wprowadzili wszystko w ruch.

Grupa wsparcia dla „The Expanse” powiększyła się również o pracowników Alcon Entertainment, obsadę i załogę serialu „The Expanse”. Składamy podziękowania i wyrazy wdzięczności zwłaszcza Alexowi Cabrerze-Aragonowi, Glentonowi Richardsowi i Juliannie Damewood.

Szczególny dług wdzięczności należy się Jeffowi Bezosowi i jego zespołowi z Amazon, za wsparcie projektu we wszystkich jego postaciach.

Oraz, jak zwykle, nic z tego nie powstałoby bez wsparcia i towarzystwa Jayné, Kat i Scarlet.

O autorze

James S. A. Corey to pseudonim piszących fantastykę autorów Daniela Abrahama, autora entuzjastycznie przyjętej powieści *Long Price Quartet*, i pisarza Ty Francka. Obaj mieszkają w Albuquerque, stan Nowy Meksyk, USA.

Więcej informacji na temat tej serii znajdziesz na:

www.the-expanse.com.